

IRWIN SHAW

POGODA DLA BOGACZY

TOM III

Książnica Katowice

Na dysk przepisał : Franciszek Kwiatkowski

NOTA AUTORA

Zazwyczaj nie ma potrzeby pisania wstępu do powieści, sędzę jednak, że ze względu na telewizyjną prezentację „Pogody dla bogaczy” czytelnicy powinni wiedzieć, iż książka ta jest dalszym ciągiem wersji drukowanej, nie telewizyjnej, i wszelkie zbieżności z II częścią filmu telewizyjnego są czysto przypadkowe: Kontrakt przewidywał, że producenci mają prawo nakręcić następne odcinki już bez zgody autora. Wykorzystali to prawo i stworzyli swoją wersję dalszych dziejów rodziny Jordachów.

Mam nadzieję, że ten wstęp wyjaśni wątpliwości czytelników książki, którzy obejrzelili jedną lub obydwie części serialu telewizyjnego.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Z notatnika Billy Abbotta, Monika mówi, że nic nie jestem wart. Mówi to jednak tylko na pół serio. Sama Monika natomiast jest wartościową dziewczyną. Fakt, że jestem w niej zakochany, na pewno przesłania mi jej obraz. Później do tego wrócę.

Zapytała mnie kiedyś, o czym piszę w tym notatniku. Powiedziałem, że - jak ciągle powtarza pułkownik - my tutaj w NATO znajdujemy się na pierwszej linii frontu cywilizacji. To ważne, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, jak było na pierwszej linii frontu cywilizacji w Brukseli w drugiej połowie dwudziestego wieku. Może jakiś zasuszony, napromieniowany uczonej kopiąc w ruinach miasta natknie się na ten notatnik z nadpalonymi rogami, pewnie sztywny od rdzawych plam mojej krwi, i poczuje wdzięczność dla Williama Abbotta juniora za jego przezorne zapisywanie obserwacji dotyczących życia prostego amerykańskiego żołnierza, który bronił cywilizacji na krańcu Europy. Ile kosztowały ostrygi, jaki kształt i wymiary miały piersi jego ukochanej, co należało do jego zwykłych przyjemności - takich jak pieprzenie czy wykradanie armii benzyny; tego rodzaju informacje.

Monika zapytała, czy zawsze muszę być niepoważny, a ja odpowiedziałem pytaniem: cóż mi innego pozostaje?

- Czy ty w nic nie wierzysz? - pytała dalej.

Powiedziałem, że wierzę, iż zawsze trzeba iść z prądem. Jeśli ulicą idzie pochód, włączam się i dotrzymuję kroku, machając ręką zebranych tłumom, zarówno przyjacielom, jak i wrogom.

- Wracaj do swoich bazgrołów - powiedziała. - Napisz, że nie jesteś prawdziwym przedstawicielem swojego pokolenia.

Bazgroły to może najlepsze określenie tego, co robię. Pochodzę z rodziny piszącej. Moi rodzice są - a raczej byli - pisarzami.

Swego rodzaju. Ojciec pracował jako rzecznik prasowy, należał więc do profesji nie cieszącej się szczególną estymą w salonach Akademii czy gabinetach wydawców. Jednak wszelkich zasług czy potknięć, jakie stały się jego udziałem, dopracował się przy maszynie do pisania. Teraz mieszka w Chicago i pisze do mnie często, zwłaszcza kiedy jest pijany. Sumiennie odpisuję na jego listy. Żyjemy w wielkiej przyjaźni, kiedy dziela nas cztery tysiące mil.

Moja matka pisywała recenzje do nędznych pisemek. Prawie nie utrzymujemy kontaktów. Teraz robi coś dla filmu. Wyrosłem przy akompaniamencie stukotu maszyn do

pisania i przelewanie na papier własnych nie upiększonych myśli wydaje mi się rzeczą naturalną.

Rozrywki tutaj są bardzo ograniczone, chociaż jest lepiej niż w Wietnamie, jak mawia pułkownik.

Gram z pułkownikiem w tenisa i chwałę jego kiepski bekhend, co jest jednym ze sposobów urzędzenia się w wojsku.

Jeśli wbrew przepowiedniom pułkownika nie dosięgnie, NATO decydujące rosyjskie uderzenie, będę kontynuował te bazgroły.

Dostarcza mi to zajęcia, kiedy nic się nie dzieje w parku maszynowym, gdzie nazywają mnie „starszym od ciężarówek”.

Zastanawiam się, co robi dziś wieczorem, kiedy ja to piszę, facet odpowiedzialny za park maszynowy w kwaterze głównej sił Układu Warszawskiego.

Aleksander Hubbell był dziennikarzem. W każdym razie pracował dla magazynu „Time” w Paryżu. Ale w tym tygodniu miał przestać być dziennikarzem, bo spędzał urlop z żoną. Żona odbywała właśnie sjęstę w hotelu u nasady przylądka, a Aleksander Hubbell zbliżał się do prefektury policji w Antibes. Głowił się nad nazwiskiem Jordach, które wyczytał przed trzema dniami w „Nice-Matin”.

Amerikanin o nazwisku Jordach został zamordowany w porcie Antibes dokładnie pięć dni po własnym ślubie. Poszukiwano mordercy czy morderców. Dotychczas nie udało się ustalić motywu zbrodni.

Jordacha śmiertelnie pobito na pokładzie jego własnego jachtu „Klotylda”, zakotwiczonego na przystani w Antibes.

Hubbell chlubił się swoją dziennikarską pamięcią, toteż denerwowało go, że nazwisko, które powinien natychmiast rozpoznać i zaszufladkować, majaczyło jedynie na krańcach świadomości. Kiedy je sobie przypomniał, odczuł ulgę. W okresie gdy pracował jeszcze w Nowym Jorku, ukazał się numer „Life'u” z fotografiami dziesięciu obiecujących młodych polityków z całych Stanów Zjednoczonych. Na jednym ze zdjęć był ktoś o nazwisku Jordach - Hubbell nie pamiętał imienia - ówczesny burmistrz małego miasteczka Whitby, oddalonego o blisko sto mil od New York City. Następnie Hubbell przypomniał sobie coś jeszcze. Po tym artykule w „Lifie” był jakiś skandal w college'u w Whitby, kiedy to zbuntowani studenci demonstrowali przed domem burmistrza, a żona burmistrza pojawiła się w drzwiach pijana i naga. Ktoś zrobił zdjęcie, odbitka obiegła całe miasto.

Ale człowiek, którego żona ukazała się z gołym tyłkiem tłumowi wyjących studentów,

mógł przecież się jej pozbyć i poślubić kogoś o mniej „wystawnych” obyczajach.

Oczywiście - myślał Hubbell czekając na zmianę światła na skrzyżowaniu - może tu chodzić o kogoś zupełnie innego o tym samym nazwisku. Jacht w Antibes znajdował się daleko od Whitby, w stanie Nowy Jork. W każdym razie warto sprawdzić. Gdyby się okazało, że chodzi właśnie o tego młodego, obiecującego polityka, warto by się tym zainteresować bez względu na urlop. Urlop trwał już pięć dni i Hubbell zaczynał się nudzić.

Samotny policjant drzemał za biurkiem w pustym, odrapanym pokoju, ale rozpromienił się, wyraźnie rad z towarzystwa, kiedy Hubbell wyjaśnił swoją poprawną francuszczyzną, że jest dziennikarzem i chciałby się czegoś dowiedzieć o morderstwie. Policjant wyszedł do sąsiedniego pokoju, w chwilę później powrócił i oświadczył, że chef może zaraz przyjąć Hubbella. Wyglądało na to, że owo popołudnie w Antibes nie obfitowało w zbrodnie.

Chef, niewielki ciemny mężczyzna o zaspanych oczach, ubrany był w sportową koszulkę i pogniecione bawełniane spodnie. Kiedy się odezwał, błysnął złoty przedni ząb:

- Czym mogę służyć, monsieur?

Hubbell wyjaśnił, że szczegóły zamordowania we Francji Amerykanina, zwłaszcza jeśli jest to ten Jordach, którego on ma na myśli, człowiek o pewnej pozycji w ojczyźnie, mogłyby zainteresować czytelników amerykańskich. Zarówno on sam, jak i jego zwierzchnicy byłiby niezmiernie wdzięczni, gdyby chef mógł rzucić jakieś światło na całą tę sprawę.

Chef przyzwyczajony był do dziennikarzy francuskich, którzy traktowali to morderstwo jako zwykłe portowe porachunki. Ten wyglądający na spryciarza Amerykanin, przedstawiciel cenionego pisma, który bada okoliczności śmierci rodaka w kurorcie przyciągającym wielu Amerykanów, to zupełnie inna sprawa. Chef czułby się znacznie lepiej, gdyby winowajca był już aresztowany i znajdował się za kratkami, ale na to w tej chwili nie można było nic poradzić.

- Czy są jakieś poszlaki wskazujące na winnego czy motywy zbrodni? - pytał mężczyzna.

- Usilnie pracujemy nad tą sprawą - powiedział chef. - Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Czy ma pan jakieś punkty zaczepienia?

Chef wahał się przez chwilę. W filmach reporterzy zazwyczaj znajdują poszlaki, które przegapiła policja. Ten Amerykanin wygląda inteligentnie, istnieje więc szansa, że natknie się

na coś użytecznego.

- W noc swego wesela - zaczął chef - monsieur Jordach wplątał się w spór, bardzo brutalny spór, jak powiedziała mi jego bratowa, w Cannes, w barze zwanym „La Porte Rose”, z mężczyzną znanym policji. Z cudzoziemcem. Jugosłowianinem o nazwisku Danovic.

Przesłuchiwaliliśmy go. Ma wprawdzie doskonałe alibi, ale chcielibyśmy zadać mu jeszcze kilka pytań. Niestety, wydaje się, że zniknął. Właśnie go szukamy.

- Brutalny spór - powiedział Hubbell. - Ma pan na myśli bójkę?

Chef skinął głową.

- Wyjątkowo brutalną. Tak mi powiedziała bratowa zamordowanego.

- Wie pan, o co poszło?

- Bratowa utrzymuje, że monsieur Jordach interweniował w chwili, gdy cudzoziemiec zamierzał ją zgwałcić.

- Rozumiem - powiedział Hubbell. - Czy Jordach często wdawał się w barowe bójki?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Znałem monsieur Jordacha. Czasami wypijaliśmy razem szklaneczkę. Wiadomość o jego śmierci bardzo mnie zasmuciła. Znałem go jako spokojnego człowieka. Był bardzo lubiany. Chyba nie miał wrogów. Mimo to trudno mi uwierzyć, że był w Ameryce człowiekiem o liczącej się pozycji, jak pan powiedział.

- W „Nice-Matin” pisali, że był właścicielem jachtu. - Hubbell roześmiał się lekko. - To się raczej liczy.

- Obsługiwał jacht - wyjaśnił chef. - Był czarterowym kapitanem.

To stanowiło źródło jego utrzymania.

- Rozumiem - powiedział Hubbell. Nie mógł sobie wyobrazić jednego z dziesięciu najbardziej obiecujących młodych polityków Ameryki zarabiającego na życie obsługiwaniem czarterowych rejsów po Morzu Śródziemnym, bez względu na to, ile razy jego żona tam w kraju pokazała się nago. Cała ta historia stawała się coraz mniej interesująca.

- A może to morderstwo polityczne? - zapytał z nadzieją.

- Nie sędzę. On na pewno nie był związany z polityką. Staramy się zbierać informacje o takich ludziach.

- Przemysł?

- Mało prawdopodobne. W tej dziedzinie również jesteśmy poinformowani. A przynajmniej podejrzliwi.

- Więc jak by go pan określił? - nalegał Hubbell, już tylko z przyzwyczajenia.

Chef wzruszył ramionami.

- Przyzwoity pracujący człowiek. Porządny typ. - Bravo type po francusku.

Umiarkowana pochwała, trochę protekcyjna w ustach francuskiego gliny. - O ile wiadomo, uczciwy - kontynuował chef: - Nie byliśmy tak naprawdę blisko. On prawie nie znał francuskiego.

Nie tak jak pan. - Hubbell skinieniem głowy skwitował komplement.

- A mój angielski, aż wstyd przyznać, jest bardzo prymitywny. - Chef uśmiechnął się mówiąc o tej swojej ułomności. - Nie dyskutowaliśmy zresztą na temat naszych prywatnych poglądów.

- Wie pan, co robił, zanim tu przyjechał?

- Był marynarzem na statkach handlowych. - Chef wahał się przez moment. Jordach, zapytany kiedyś przy szklance wina o złamany nos i blizny, powiedział mu, że był bokserem. Prosił jednak, żeby chef tego nie powtarzał. W portowych kafejkach bokserzy łatwo stają się celem zainteresowania krzepkich facetów będących pod wpływem alkoholu. „Nie przyjechałem do Francji, żeby się bić - powiedział Jordach. - To nie jest dla mnie szczęśliwy kraj pod tym względem.

Odbyłem jeden pojedynek w Paryżu i miałem prawie odbity mózg.”

Mówiąc to Jordach się śmiał. Sądząc po tym, jak wyglądało jego ciało, w walce, w której uczestniczył przed śmiercią, także nie dopisało mu szczęście.

Dlaczego nie miałbym tego powiedzieć dziennikarzowi, zastanawiał się chef: Nie zaszkodzi to w żaden sposób Jordachowi, który raczej nie będzie już popijał w portowych kafejkach.

- Zdaje się, że był zawodowym pięściarzem. Raz nawet walczył w Paryżu. W ważnym spotkaniu. Został znokautowany.

- Bokser? - zainteresowanie Hubbella znowu wzrosło. W dziale sportowym można umieścić kilkaset słów. Jeżeli facet walczył w Paryżu, musiał być dość znany. Czytelników zainteresuje amerykański bokser zamordowany we Francji. Wyśle do redakcji teleksem to, co uda mu się wyszperać tutaj, i poprosi, żeby zrekonstruowali resztę z materiałów archiwalnych. Zresztą i tak w Nowym Jorku wszystko przerabiają.

- Jordach? - zapytał Hubbell. - Nie pamiętam żadnego boksera o tym nazwisku.

- Walczył pod przybranym nazwiskiem - wyjaśnił chef, notując w pamięci, że musi sam się zająć tą częścią historii Jordacha. W zawodowy boks zazwyczaj wmieszani byli gangsterzy. Tu mógł być jakiś ślad: złamana obietnica, nie dopełniony układ. Powinien był pomyśleć o tym wcześniej. - Jako bokser nazywał się Tommy Jordan.

- Aha - powiedział dziennikarz. - To już coś. Niewątpliwie.

Pamiętam jakieś historie o nim z gazet. Dobrze się zapowiadał.

- O tym nic nie wiem - odrzekł chef. - Tylko o walce w Paryżu.

Zaglądałem do „L'Equipe”. Pisali, że ogromnie rozczarował. - Teraz chef chciał przede wszystkim zadzwonić do pewnego faceta w Marsylii, który miał powiązania z mafieu. Wstał. - Przykro mi, ale muszę już wracać do pracy - powiedział. - Jeżeli chciałby pan zdobyć więcej informacji, to może porozmawia pan z rodziną. Z żoną, bratem, synem.

- Jego brat jest tutaj?

- Cała rodzina - powiedział chef. - Pływali razem jachtem.

- Może wie pan, jak ma na imię ten brat?

- Rudolf. To rodzina niemieckiego pochodzenia.

Rudolf - przypomniał sobie Hubbell. - Rudolf Jordach to było właśnie nazwisko z „Life'u”.

- A więc to nie on brał tutaj ślub?

- Nie. - Chef był zniecierpliwiony.

- A jego żona też jest tutaj?

- Tak, i zważywszy na okoliczności, właśnie bratowa może powiedzieć panu znacznie więcej niż ja...

- Bratowa? - zapytał Hubbell wstając z krzesła. - Ta, która była w barze?

- Tak. Najlepiej niech pan z nią porozmawia. Jeżeli dowie się pan czegoś, co może być przydatne dla mnie, będę wdzięczny za następną wizytę. A teraz, bardzo mi przykro, ale już...

- Gdzie mogę ją znaleźć?

- Mieszka w „Hôtel du Cap”. - Chef polecił Jean Jordach nieopuszczanie Antibes i zabrał jej paszport.

Jean Jordach będzie mu potrzebna, kiedy znajdzie Danovica. Jeśli w ogóle kiedykolwiek go znajdzie. Przesłuchiwał tę kobietę, ale była rozhisteryzowana i pijana, toteż - opowiedziała nielogiczną i poplątaną historię. A teraz ten idiota lekarz dał jej środki uspokajające. Powiedział, że jest niezrównoważoną nałogową alkoholiczką i że on nie bierze odpowiedzialności za jej stan, jeżeli chef będzie ją dręczył pytaniami.

- Resztę rodziny - powiedział chef - znajdzie pan chyba w przystani na jachcie „Klotylda”. Dziękuję za zainteresowanie, monsieur. Ufam, że nie zmarnowałem pańskiego czasu. - Chef wyciągnął rękę.

Hubbell powiedział:

- Merci bien, monsieur. - Uzyskał już wszystkie możliwe informacje, wyszedł więc z prefektury.

Chef usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę telefonu, by połączyć się z Marsylią.

W południowym słońcu niewielki biały stateczek pokonywał leniwie śródziemnomorskie fale. Na oddalonym brzegu budynki przy plaży i na wzgórzach w głębi rysowały się różowo-białym wzorem na zielonym tle pinii, oliwek i palm. Dwyer w czystej białej koszulce z wydrukowaną nazwą jachtu „Klotylda” stał na dziobie. Teraz ten niski, muskularny mężczyzna płakał. Odkąd sięgał pamięcią, nazywano go zawsze Króliczkiem z powodu długich, wystających przednich zębów. Mimo mięśni i roboczego ubrania, było w nim coś dziewczęcego. Kiedy po raz pierwszy rozmawiał z mężczyzną, którego prochy właśnie wysypano w morze, powiedział: „Nie jestem pedałem.”

Teraz jego czarne oczy zamglone łzami patrzyły na piękny brzeg.

„Pogoda dla bogaczy”, powiedział kiedyś zamordowany.

Mógłbyś powtórzyć to jeszcze raz, myślał Dwyer. Nie dla ciebie ta pogoda i nie dla mnie. Oszukiwaliśmy się. Przyjechaliśmy w niewłaściwe miejsce.

Wesley Jordach, ubrany podobnie jak Dwyer w bawełniane spodnie i białą koszulkę, stał samotnie w kabinie pilota z ręką na kole sterowym z wypolerowanego drewna dębowego i miedzi; wzrok utkwiał w tym punkcie lądu, gdzie wznosiła się twierdza w Antibes. Był wysoki jak na swój wiek, chudy, silny, grubokościsty, opalony, o włosach blond, przetykanych jaśniejszymi pasmami, spłowiałymi od słońca i soli. Podobnie jak Dwyer, myślał o mężczyźnie, którego prochy powierzył właśnie morzu, o mężczyźnie, który był jego ojcem. - Biedny, głupi, stuknięty sukinsyn - powiedział głośno, z goryczą. Pamiętał dzień, kiedy ojciec, którego nie widział od wielu lat, przyjechał zabrać go ze szkoły wojskowej nad Hudsonem, gdzie bił się z połową studentów w każdym wieku, ze wszystkich klas, bez względu na wzrost, powodowany ślepą, niezrozumiałą i pozbawioną sensu furją.

- Odbyleś swoją ostatnią bójkę - powiedział ojciec.

Zapanowała cisza. I wtedy ten surowy mężczyzna zapytał:

- Słyszałeś?

- Tak, proszę pana.

- Nie mów do mnie „proszę pana”. Jestem twoim ojcem - powiedział ów mężczyzna.

Ojciec ustalił reguły dla niewłaściwego członka rodziny, pomyślał chłopiec z oczami utkwionymi w twierdzę, gdzie - jak mu powiedziano - przez jedną noc po powrocie z Elby więziony był Napoleon.

Przy poręczy na rufie stał wuj chłopca, Rudolf Jordach, ubrany w absurdalną czerń, i ciotka, Gretchen Burke, brat i siostra zamordowanego. Ludzie z miasta, nienawykli do morza,

nawykli do tragedii; sztywne symbole śmierci na tle słonecznego horyzontu.

Nie rozmawiali z sobą, nie dotykali się, nawet na siebie nie patrzyli. To, co nie zostało powiedziane w owo lazurowe letnie popołudnie, nie będzie później wymagało wyjaśnień, lamentów czy przeprosin.

Kobieta miała niewiele ponad czterdziestkę, była wysoka, szczupła i wyprostowana, czarne włosy okalające przezroczyście bladą twarz rozwiewał lekko morski wiatr; znamiona wieku, ledwie dostrzegalne, stanowiły dopiero zapowiedź tego, co ma nadejść. Jako dziewczyna była piękna, teraz też była piękna, choć w inny sposób, a jej surową twarz naznaczył smutek i niespokojna zmysłowość, nie przelotna czy krótkotrwała, ale głęboko zakorzeniona i permanentna. Oczy kobiety, zmrużone od blasku, miały głęboki niebieski kolor, który przy pewnego typu oświetleniu stawał się niemal fiołkowy. Nie widać było w nich śladów łez.

To musiało się zdarzyć, myślała. Oczywiście. Powinniśmy byli to wiedzieć. On prawdopodobnie wiedział. Może podświadomie, ale jednak wiedział. Cała ta gwałtowność musiała mieć gwałtowny koniec. Prawdziwy syn swego ojca, jasnowłosego cudzoziemiec w rodzinie, obcy ciemnemu bratu i ciemnej siostrze, choć z tego samego łóża.

Mężczyzna także był smukły, tą zadbaną, arystokratyczną jankeską smukłością, nie odziedziczoną po żadnym z rodziców, ale zdobytą aktem woli, a teraz podkreślaną dobrym krojem niemal ambasadorskiego, amerykańskiego ciemnego ubrania. Był o dwa lata młodszy od siostry, a wyglądał jeszcze młodziej; fałszywe, delikatne echo młodości w twarzy i postawie mężczyzny, którego głos i ruchy były zawsze świadome i przemyślane, mężczyzny, który zdobył wielki autorytet, walczył przez całe życie, zwyciężył i przegrał, przyjmował odpowiedzialność we wszystkich sytuacjach, wyrósł z nędzy i chciał zgromadzić znaczną fortunę, który był bezwzględny, kiedy było to konieczne, przebiegły, kiedy przebiegłość się opłacała, surowy dla siebie i innych, wspaniałomyślny na własną miarę, kiedy wspaniałomyślność była możliwa. Rezygnacja, do której został zmuszony, czała się w wąskich, opanowanych ustach, w czujnych oczach; dawała się odkryć czy odgadnąć. Mogła to być twarz młodego generała lotnictwa, któremu odebrano dowództwo z powodu błędu niższych rangą, błędu wynikającego niekoniecznie z jego winy.

Poszedł sam, myślał Rudolf Jordach, wszedł do kajuty, w której spałem, zamknął cicho drzwi i poszedł sam. Poszedł na spotkanie ze śmiercią, wzgardziwszy moją pomocą, wzgardziwszy mną wzgardziwszy moją męskością czy tym, co uznałby - gdyby się kiedykolwiek nad tym zastanowił - za mój brak męskości, w sytuacji, która wymagała

mężczyzny.

Pod pokładem Kate Jordach pakowała swoją torbę. Nie zajęło jej to dużo czasu. Na wierzchu położyła białą koszulkę z nazwą statku - która tak rozśmieszyła Toma, kiedy zobaczył, jak obfite piersi Kate rozpychają litery - a na niej jasną suknię kupioną przez Toma na ich ślub akurat siedem dni temu.

Nieustannym nudzeniem doprowadziła Toma do ślubu. To właściwe słowo - nudzenie. Byli przedtem idealnie szczęśliwi, ale kiedy przekonała się, że jest w ciąży - przyzwoita, cholernie dobrze wychowana, posłuszna angielska dziewczyna z niższych warstw... Oto macie pannę młodą! Gdyby nie było ślubu, ta okropna, rozhisteryzowana, wygadana, luksusowa żona Rudolfa nie miałyby pretekstu, żeby się upić, nie poszłaby z tym jugosłowiańskim alfonsiem, trzymałaby na tyłku te swoje kosztowne różowe spodnie, nie trzeba by jej było ratować, nikt nie musiałby się o nią bić i mężczyzna dużo lepszy od jej męża żyłby do dziś.

Dosyć tego, pomyślała Kate. Dosyć. Dosyć.

Zamknęła z trzaskiem torbę i usiadła na brzegu koi.

Jej mocne, opalone ciało zaczęło się zaokrąglać, nabrzmięwało dzieckiem, które nosiła w sobie. Kate złożyła zręczne, sprawne ręce na podołku, rozglądając się ostatni raz po ciasnej kajucie i słuchając znajomego odgłosu morza pieniacego się za otwartym lukiem.

Tom, myślała. Tom, Tom.

- Kim była Klotylda? - zapytała go kiedyś.

- Królową Francji. Kimś, kogo znałem jako chłopiec. Pachniała tak jak ty.

Jean, żony Rudolfa Jordacha, nie było w niewielkiej grupie żałobników na stateczku zmierzającym do wybrzeży Francji.

Siedziała na ławce w parku hotelowym, obserwując, jak jej córeczka bawi się z młodą dziewczyną, którą Rudolf zaangażował do opieki nad dzieckiem do czasu, kiedy - jak to sformułował - Jean będzie zdolna sama zająć się Enid. Kiedy to nastąpi? - zastanawiała się Jean. Za dwa dni, za dziesięć lat, nigdy?

Miała na sobie spodnie i sweter. Nie przywiozła odpowiedniego ubrania na pogrzeb. Rudolf odczuł ulgę, kiedy powiedziała, że nie pójdzie. Nie mogła znieść myśli o wejściu na pokład „Klotyldy”, o oskarżających spojrzeniach żony, syna, przyjaciela zmarłego.

Kiedy rano obejrzała się w lustrze, była wstrząśnięta tym, co się stało w ciągu ostatnich dni z jej drobną, ładną, dziewczęcą twarzą.

Skóra na twarzy i na całym ciele wydawała się naciągnięta do granic wytrzymałości, jak na jakiejś niewidocznej ramie. Jean zdawało się, że w każdej chwili jej ciało może eksplodować, a nerwy wyskoczą przez skórę, łamiąc się i skrzypiąc jak luźne przewody z drutu, trzeszczące pod wpływem wyładowań elektrycznych.

Lekarz zapisał jej valium, ale była już właściwie poza etapem valium. Gdyby nie dziecko, myślała, poszłaby nad morze i rzuciłaby się ze skał.

Kiedy tak siedziała w cieniu drzewa, wdychając aromatyczny zapach pinii i rozgrzanej słońcem lawendy, powiedziała do siebie:

- Niszczę wszystko, czego dotknę.

Hubbell pił kawę na tarasie kawiarni przy głównym placu, rozmyślając o tym, co mu powiedział policjant. Najwyraźniej nie mówił wszystkiego, co wiedział, ale tego można się spodziewać po policji, zwłaszcza zaprzątniętej problemem tak nieprzyjemnego, nie wyjaśnionego morderstwa. „Bratowa będzie mogła pomóc panu więcej niż ja” - powiedział glina. Bratowa. Naga dama, żona obiecującego młodego burmistrza. To było zdecydowanie warte kilkuset słów.

Przystań może poczekać.

Zapłacił za kawę, wsiadł do stojącej na postoju taksówki i powiedział:

- „Hôtel du Cap”.

Recepcjonista poinformował go, że pani Jordach nie ma w pokoju, ale widział ją idącą do parku z dzieckiem i jego opiekunką.

Hubbell dowiedział się, że w hotelu jest teleks. Zapytał, czy mógłby skorzystać z niego wieczorem, i po chwili wahania recepcjonista odpowiedział, że to się da załatwić. Hubbell słusznie zinterpretował to wahanie jako konieczność napiwku. Nie szkodzi. „Time” może sobie na to pozwolić. Hubbell podziękował recepcjoniście, wyszedł na taras i ruszył schodami prowadzącymi do długiej alei pięknego parku, a dalej do pawilonu kąpielowego, restauracji i nad morze. Przez chwilę męczyła go zazdrość, kiedy pomyślał o małym hałaśliwym hotelu przy autostradzie, w którym jego żona odbywała właśnie sjęstę. „Time” płacił dobrze, ale nie aż tak dobrze, by wystarczało na „Hôtel du Cap”.

Zszedł po stopniach do pachnącego parku. Po chwili zobaczył dziewczynkę w białym kostiumie kąpielowym bawiącą się plażową piłką z młodą dziewczyną. Na ławce w pobliżu siedziała kobieta w spodniach i w swetrze. Nie była to scenka, którą normalnie kojarzyłoby się z morderstwem.

Hubbell powoli zbliżył się do tej grupki, zatrzymał się na chwilę, niby to podziwiając

klomb kwiatowy, a kiedy był już zupełnie blisko, uśmiechnął się do dziecka.

- Bonjour - powiedział. - Dzień dobry.

Dziewczynka odpowiedziała „bonjour”, ale kobieta na ławce nie odezwała się. Hubbell zauważył, że jest bardzo ładna, ma dobrą, wysportowaną sylwetkę, twarz wyniszczoną i bladą, ciemne kręgi pod oczami.

- Pani Jordach? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała głosem płaskim i bezdźwięcznym. Spojrzała na niego tępo.

- Jestem z magazynu „Time”. - Jako człowiek honorowy nie zamierzał udawać, że jest przyjacielem jej męża lub zamordowanego szwagra, czy po prostu amerykańskim turystą, który usłyszawszy o jej zmartwieniach chciał z właściwą Amerykanom otwartością złożyć wyrazy współczucia. Takie sztuczki należy zostawić młodym facetom bijącym się o teksty podpisane nazwiskiem.

- Przysłano mnie tu, żebyśmy coś napisał o pani szwagrze. - Usprawiedliwione kłamstwo, dopuszczalne według kodeksu Hubbella.

Jeżeli ludzie myślą, że wyznaczono cię do jakiejś pracy, często czują się troszkę zobowiązani do pomocy.

Kobieta w dalszym ciągu nic nie mówiła, patrzyła jedynie na niego tym swoim martwym wzrokiem.

- Szef policji powiedział, że będzie pani mogła udzielić mi paru informacji w tej sprawie. Bliższych informacji. - Słowo „bliższych” brzmiało tak jakoś nieszkodliwie, sugerowało, że to, co zostanie powiedziane, nie jest przeznaczone do publikacji, ma służyć jedynie jako wskazówka dla odpowiedzialnego dziennikarza, który pragnie uniknąć błędów przy pisaniu.

- Czy rozmawiał pan z moim mężem? - zapytała Jean.

- Jeszcze go nie spotkałem.

- „Jeszcze go nie spotkałem” - powtórzyła Jean. - Chciałabym móc to powiedzieć o sobie. Założę się, że i on by tego pragnął.

Hubbell był zupełnie zaskoczony zarówno tonem, jak treścią wypowiedzi.

- Czy ten policjant powiedział panu, dlaczego ja mogę udzielić informacji? - zapytała kobieta głosem szorstkim i chrapliwym.

- Nie - skłamał Hubbell.

- Niech pan zapyta mojego męża - powiedziała. - Niech pan pyta całą tę przekłętą rodzinę. Mnie proszę zostawić w spokoju.

- Jeśli można, pani Jordach, tylko jedno pytanie - powiedział Hubbell ze ściśniętym

gardłem. - Czy byłaby pani gotowa wytoczyć oskarżenie przeciwko mężczyźnie, który panią zaatakował?

- Jakże to ma znaczenie? - powiedziała tępo. Usiadła ciężko na ławce i patrzyła na swoje dziecko uganiające się w słońcu za plażową piłką. - Niech pan już idzie. Proszę, niech pan idzie.

Hubbell wysiadł z taksówki i szedł wzdłuż wybrzeża. Nie jest to odpowiednie miejsce do umierania, myślał idąc w stronę kapitanatu portu, żeby się dowiedzieć, gdzie stoi „Klotylda”. Kapitan portu, stary, ogorzały mężczyzna, siedział przed budynkiem w popołudniowym słońcu, na krześle opartym o ścianę, i palił fajkę.

Fajkę wskazał w stronę wejścia do portu, do którego wpływał powoli biały jacht.

- To jest „Klotylda”. Zatrzymają się tu przez jakiś czas - mówił stary człowiek. - Zepsuła im się śruba i wał napędowy. Pan Amerykanin?

- Tak.

- To okropne, co się stało, prawda?

- Straszne - przytaknął Hubbell.

- Właśnie wrzucili jego prochy w morze - kontynuował stary człowiek. - Dla marynarza to równie dobre miejsce na pochówek jak każde inne. Sam nie miałbym nic przeciwko temu. - Nawet w połowie sezonu kapitan portu miał mnóstwo czasu na pogawędkę.

Hubbell podziękował, poszedł wzdłuż nabrzeża i usiadł na odwróconej do góry dnem łódce w pobliżu miejsca, na które manewrowała „Klotylda”. Widział dwie postacie w czerni na rufie, a za nimi powiewającą na wietrze amerykańską flagę. Widział niskiego, muskularnego mężczyznę na dziobie i wysokiego, jasnowłosego chłopca obracającego kołem w kabinie sterowej, kiedy statek z wyłączonymi silnikami podpływał wolno, rufą do przodu.

Potem zobaczył, jak jasnowłosy chłopiec biegnie na rufę, by rzucić cumę marynarzowi na nabrzeżu, a mężczyzna, który wyskoczył zwinnie na brzeg, łapie drugą cumę rzuconą przez chłopca. Kiedy obydwie cumy były już założone na pachołki, mężczyzna wskoczył z powrotem na pokład i wraz z chłopcem zamontowali trap, zręcznie i z wprawą, bez słowa. Dwoje niepotrzebnych ludzi w czerni odeszło z rufy, jakby usuwając się z drogi.

Hubbell wstał z łódki, na której siedział. Czując się ciężko i niezręcznie po tym pokazie marynarskiej zwinności, wszedł na trap.

Chłopiec spojrzał na niego ponuro.

- Szukam pana Jordacha - powiedział Hubbell.

- Ja się nazywam Jordach. - Głos chłopca był głęboki, nie młodzieńczy.

- Sądzę, że chodzi mi raczej o tamtego pana. - Hubbell gestem wskazał Rudolfa.
- Słucham? - Rudolf zbliżył się do trapu.
- Pan Rudolf Jordach?
- Tak. - Ton był ostry.
- Jestem z magazynu „Time”... - Hubbell zauważył, jak twarz mężczyzny stężała. -

Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało...

- Tak? - pytające, niecierpliwe.
- Nie chciałbym naprzykrzać się w takiej chwili... - Hubbell czuł się głupio, mówił jakby z odległości, odgradzony niewidoczną ścianą wrogości najpierw chłopca, a teraz mężczyzny. - Może jednak mógłbym zadać panu kilka pytań na temat...

- Proszę porozmawiać z szefem policji. Teraz to jego sprawa.

- Rozmawiałem z nim.

- A więc wie pan tyle samo co ja - powiedział Rudolf i odwrócił się. Na twarzy chłopca pojawił się zimny uśmiezek.

Hubbell stał jeszcze przez chwilę, niepewny, czy przypadkiem nie pomylił się w wyborze zawodu, po czym powiedział: „przepraszam”, nie kierując tego do nikogo w szczególności, bo nie bardzo wiedział, co innego mógłby powiedzieć lub zrobić, odwrócił się i poszedł w stronę wejścia do portu.

Kiedy wrócił do hotelu, żona siedziała w kostiumie bikini na maleńkim balkonie przed ich pokojem, pracując nad opalenizną.

Bardzo kochał swoją żonę, ale trudno mu było nie zauważyć, że w bikini wygląda niedorzecznie.

- Gdzie byłeś przez całe popołudnie? - zapytała.
- Zbierałem materiały.
- Sądziłam, że to mają być wakacje.
- Ja też.

Wydostał przenośną maszynę do pisania, zdjął marynarkę i zabrał się do pracy.

ROZDZIAŁ II

Z notatnika Billy Abbotta, 1968 Telegram od matki przyszedł na mój numer poczty wojskowej. „Wuj Tom został zamordowany - pisała matka. - Spróbuj przyjechać do Antibes na pogrzeb. Wuj Rudolf i ja jesteśmy w Hôtel du Cap w Antibes. Ucałowania. Matka.”

Wuja Toma widziałem raz, kiedy jako chłopiec przyleciałem z Kalifornii do Whitby na pogrzeb babki. Pogrzeby stwarzają wspaniałą okazję, żeby członkowie rodziny mogli się na nowo poznać. Było mi przykro, że wuj Tom nie żyje. Polubiłem go tej nocy, którą spędziliśmy razem w pokoju gościnnym u wuja Rudolfa.

Zrobił na mnie wrażenie fakt, że miał przy sobie broń. Myślał, że śpię, kiedy wyjmował rewolwer z kieszeni i wkładał do szuflady.

Miałem o czym myśleć następnego dnia podczas pogrzebu.

Jeżeli już któryś wuj miał zostać zamordowany, wolałbym, żeby to był Rudolf. Nigdy nie żyliśmy w przyjaznych stosunkach, a kiedy podrosłem, w sposób grzeczny dał mi do zrozumienia, że nie pochwała ani mnie, ani moich poglądów na społeczeństwo. Moje poglądy nie zmieniły się zasadniczo. Skrytykowały się, powiedziałyby prawdopodobnie wuj, gdyby zadał sobie trud zapoznania się z nimi. Jednak wuj jest bogaty i jakaś wzmianka o mnie może się znaleźć w jego testamencie, jeżeli nawet nie z sympatii do mnie, to z braterskiej miłości do mojej matki. Z tego, co słyszałem z rozmów mojej matki z Rudolfem i z jej dwoma mężami, Tom Jordach nie należał do ludzi, po których zostaje fortuna.

Pokazałem telegram pułkownikowi, który okazał wyrozumiałość i dał mi dziesięć dni urlopu na podróż do Antibes. Nie pojechałem do Antibes, wysłałem jednak pod adres hotelu depeszę z kondolencjami, tłumacząc, że wojsko nie może zwolnić mnie na pogrzeb.

Monika też wzięła sobie wolne dni i wybraliśmy się do Paryża.

Spędziliśmy czas wspaniale. Monika jest akurat taką dziewczyną, jaką chce się mieć przy sobie w Paryżu.

- Obawiam się, że nadszedł czas, aby omówić kilka spraw, których unikaliśmy do tej pory - powiedział Rudolf. - Musimy się zastanowić, co należy zrobić ze spadkiem. Trzeba pomówić o pieniądzach, choć jest to bolesne.

Zgromadzili się w salonie „Klotyldy”. Kate ubrana była w ciemną suknię, najwyraźniej starą i teraz już za ciasną. Zniszczona walizka ze sztucznej skóry stała na podłodze tuż obok jej krzesła.

Salon miał białe ściany, zasłony iluminatorów były niebieskie, a na ścianach wisiały stare sztychy przedstawiające żaglowce, które Tom wygrzebał gdzieś w Wenecji. Wszyscy

spoglądali na walizkę Kate, choć nikt jeszcze nic na ten temat nie powiedział.

- Kate, Króliczku - zapytał Rudolf - czy Tom zostawił testament?

- Nigdy nie mówił mi o testamencie - odpowiedziała Kate.

- Ani mnie - przyłączył się Dwyer.

- Wesley?

Wesley pokręcił przecząco głową.

Rudolf westchnął. Pocziwy Tom, zawsze taki sam, pomyślał, konsekwentny do końca. Choć się ożenił, miał syna i ciężarną żonę, nie poświęcił jednego wolnego popołudnia na napisanie testamentu.

Rudolf sporządził swój pierwszy testament w biurze adwokata, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, i od tej pory pięć czy sześć razy go zmieniał, ostatnia wersja została sporządzona po urodzeniu córeczki Enid. Teraz, kiedy Jean spędzała coraz więcej czasu w klinikach odwykowych, pracował nad nowym testamentem.

- A może miał sejf w banku? - zapytał.

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała Kate.

- Króliczku?

- Jestem pewien, że nie - odpowiedział Dwyer.

- Czy miał jakieś papiery wartościowe?

Kate i Dwyer spojrzeli na siebie, zaintrygowani.

- Papiery wartościowe? - zapytał Dwyer. - Co to takiego?

- Akcje, obligacje. - Gdzie byli ci ludzie przez całe życie, zastanawiał się Rudolf.

- Ach, o to chodzi - powiedział Dwyer. - Tom zawsze mówił, że to jeszcze jeden sposób, jaki wymyślili, żeby wycisnąć coś z człowieka pracy. - Mówił także: „zostaw tego rodzaju sprawy mojemu cholernemu bratu”, ale to działo się jeszcze przed ostatecznym pogodzeniem się braci, toteż Dwyer nie sądził, by moment był odpowiedni na ten właśnie cytat.

- W porządku, nie miał papierów. Więc co zrobił ze swoimi pieniędzmi? - Rudolf starał się nie okazywać poirytowania.

- Miał dwa konta - wyjaśniła Kate. - Bieżący rachunek we frankach w Credit Lyonnais, tutaj w Antibes, i dolarowe konto oszczędnościowe w Credit Suisse w Genewie. Wolał, kiedy płacono mu w dolarach. To konto jest nielegalne, ponieważ mamy prawo stałego pobytu we Francji, ale tym bym się nie przejmowała. Nikt nigdy o to nie pytał.

Rudolf skinął głową. Jednak brat nie był całkowicie pozbawiony zmysłu finansowego.

- Książeczka bankowa, ostatni wyciąg z Credit Lyonnais i książeczka czekowa są w

szufladzie pod koją - powiedziała Kate. - Wesley, gdybyś tam poszedł...

Wesley skierował się do kajuty kapitańskiej.

- Króliczku, czy mogę zapytać, jak Tom ci płacił?

- Nie płacił mi - powiedział Dwyer. - Byliśmy wspólnikami. Na końcu roku dzieliliśmy to, co zostało.

- Czy są jakieś papiery, jakiś kontrakt, coś w rodzaju formalnej umowy?

- Na Boga, nie. Po co nam był kontrakt?

- Czy jacht zapisany jest na niego, czy na was obydwu? A może na Kate?

- Rudi, byliśmy małżeństwem tylko pięć dni. Nie mieliśmy czasu na takie rzeczy. „Klotylda” jest na nazwisko Toma. Papiery są w szufladzie razem z bankowymi. Jest tam też polisa ubezpieczeniowa i inne dokumenty.

Rudolf znowu westchnął.

- Byłem u prawnika...

Oczywiście, pomyślała Gretchen. Stała w progu, patrząc na rufę.

Rozmyślała nad telegramem Billy'ego. Krótka wiadomość od uprzejmego obcego człowieka, pozbawiona szczerego żalu czy chęci pocieszenia. Nie znała aż tak dobrze stosunków w wojsku, wiedziała jednak, że żołnierze, jeśli chcieli, dostawali urlopy, by mogli wziąć udział w pogrzebie. Pisała także do Billy'ego, żeby przyjechał na wesele, odpowiedział jednak, że jest zbyt zajęty rozsyłaniem ciężarówek i kierowaniem ruchem samochodów na ulicach i drogach Belgii, wiodących do Har-Magedon, by tańczyć na weselach niemal zapomnianych krewnych. Pomyślała z goryczą, że ona również zaliczała się do tych niemal zapomnianych krewnych. Niech się więc nurza w przyjemnościach Brukseli. Syn godny swego ojca. Skupiła uwagę na bracie, cierpliwie próbującym rozwikłać poplątane życiorysy. Naturalnie Rudi natychmiast poszedł do adwokata. W końcu śmierć ma także aspekt prawny.

- U francuskiego adwokata - kontynuował Rudolf - który na szczęście mówi dobrze po angielsku. Jego adres dał mi szef hotelu.

Adwokat budzi zaufanie. Powiedział, że chociaż wszyscy macie prawo do stałego pobytu we Francji, to jednak skoro mieszkacie na jachcie i nie macie ani domu, ani ziemi, według prawa francuskiego statek należy traktować jako terytorium amerykańskie i najlepiej byłoby pominąć Francuzów i załatwić wszystko z konsulem amerykańskim w Nicei. Czy macie coś przeciwko temu?

- Rób, jak chcesz, Rudolf - powiedziała Kate. - Co uważasz za najlepsze.

- Jeżeli można tak zrobić, nie mam nic przeciwko temu - powiedział Dwyer. Sprawiał wrażenie znudzonego, jak mały chłopiec na lekcji arytmetyki, który marzy o tym, by być już

na boisku i grać w baseball.

- Dziś po południu spróbuję porozmawiać z konsulem - oznajmił Rudolf - i zobaczę, co on poradzi.

Przyszedł Wesley z książeczką bankową Credit Suisse, książeczką czekową Credit Lyonnais i wyciągami bankowymi z trzech ostatnich miesięcy.

- Pozwolisz, że to obejrzę? - Rudolf zwrócił się do Kate.

- To przecież twój brat.

Jak zwykle, pomyślała Gretchen stojąc w drzwiach, odwrócona plecami do wnętrza salonu, nikt nie ułatwi Rudiemu żadnej sytuacji.

Rudolf wziął od Wesleya książeczki i papiery. Spojrzał na ostatni wyciąg z Credit Lyonnais. Było tam trochę ponad dziesięć tysięcy franków. Około dwóch tysięcy dolarów, przeliczył Rudolf odczytując głośno sumę. Następnie otworzył książeczkę bankową.

- Jedenaście tysięcy sześćset dwadzieścia dwa dolary - powiedział.

Był zaskoczony, że Tom aż tyle odłożył.

- Wydaje mi się - powiedziała Kate - że to już wszystko. Cały kram.

- Oczywiście jest jeszcze statek - powiedział Rudolf. - Co z nim zrobimy?

Przez chwilę w kajucie panowała cisza.

- Ja wiem, co zrobię z tym statkiem - powiedziała Kate spokojnie, głosem pozbawionym emocji. Wstała z krzesła. - Mam zamiar go opuścić. I to zaraz. - Niemodna, przyciasna sukienka przylgnęła do jej pulchnych, opalonych kolan z dołeczkami pośrodku.

- Kate - zaprotestował Rudolf - trzeba coś zdecydować.

- Zgadzam się na wszystko, cokolwiek zdecydujesz. Nie spędzę na pokładzie ani jednej nocy.

Kochana, normalna, rzeczowa kobieta, pomyślała Gretchen, czekała, by pożegnać ostatecznie swojego mężczyznę, i teraz odchodzi, nie oglądając się na zyski czy korzyści, jakie może przynieść obiekt, który był jej domem, życiem, źródłem jej szczęścia.

- Dokąd idziesz? - spytał Rudolf Kate.

- Na razie do hotelu w mieście. A potem zobaczę. Wesley, czy mógłbyś mi zanieść walizkę do taksówki?

Wesley bez słowa podniósł walizkę w swojej ogromnej dłoni.

- Zadzwoń do ciebie do hotelu, Rudi, kiedy już będę mogła rozmawiać. Dziękuję ci za wszystko. Jesteś dobrym człowiekiem. - Pocałowała go w policzek, pocałunek-błogosławieństwo, milczący gest oczyszczenia, i wyszła za Wesleyem na pokład, mijając stojącą w drzwiach Gretchen.

Rudolf osunął się na krzesło, z którego wstała Kate, i ruchem pełnym znużenia przetarł oczy. Gretchen podeszła do niego i z czułością dotknęła jego ramienia. Nauczyła się już, że czułość może być pomieszana z dezaprobatą, a nawet z pogardą.

- Spokojnie, braciszku - powiedziała. - Nie możesz uporządkować wszystkim życia w ciągu jednego popołudnia.

- Rozmawiałem z Wesleyem - powiedział Dwyer. - Wiedział, że Kate odchodzi. On chce zostać ze mną na „Klotyldzie”. Przynajmniej przez jakiś czas. Przynajmniej do czasu zreperowania wału napędowego i śruby. Proszę się o niego nie martwić. Ja się nim zajmę.

- Tak - powiedział Rudolf. Podniósł się, lekko zgarbiony, jakby dźwigał ciężar na ramionach. - Robi się późno. Muszę spróbować dotrzeć do Nicei przed zamknięciem konsulatu. Gretchen, czy podwieźć cię do hotelu?

- Dziękuję, nie. Chyba zostanę tu jeszcze i wypiję z Króliczkim drinka. A może dwa. - W to popołudnie nie można było zostawić Dwycera samego.

- Jak chcesz - powiedział Rudolf, kładąc na stole książeczki bankowe i wyciągi, które do tej pory trzymał w ręce. - Jeśli zobaczysz Jean, powiedz jej, że nie będę na kolacji.

- Zrobię to - powiedziała Gretchen.

Nie jest to również popołudnie, pomyślała, w którym ktoś mógłby zmusić ją do rozmowy z Jean.

Chyba przyjemniej będzie na pokładzie - powiedziała Gretchen do Dwycera po odejściu Rudolfa. Salon, który dotychczas wydawał się gościnnym, przytulnym pomieszczeniem, stał się dla niej czymś w rodzaju ponurego kantoru, gdzie życie ludzkie stanowi symbol, pozycję książek w rubrykach „winien” i „ma”.

Przeszła już kiedyś przez coś podobnego. Kiedy mąż jej zginął w wypadku samochodowym, również nie zostawił testamentu. Być może Colin Burke, który nigdy w życiu nie uderzył człowieka, żył w otoczeniu książek, sztuk, scenariuszy, uprzejmie i dyplomatycznie porozumiewał się z pisarzami i aktorami, którymi kierował i których często nienawidził, miał więcej wspólnego z jej grubiańskim, niemal nie umiejącym czytać bratem, niż się na pozór wydawało.

Z powodu braku testamentu powstało zamieszanie z podziałem własności Colina. Była jego eks-żona utrzymująca się z alimentów, dom z obciążoną hipoteką, tantiemy. Do akcji wkroczyli prawnicy, przez ponad rok masa spadkowa była unieruchomiona. Wtedy też wszystkim zajął się Rudi, tak jak teraz, tak jak zawsze.

- Przyniosę drinki - mówił Dwyer. - To miło, że została pani ze mną. Najtrudniej jest

być samemu. Po tym wszystkim, co przeszliśmy obaj z Tomem. A teraz Kate odeszła. Większość kobiet wniosłaby na pokład niezgodę między dwóch mężczyzn, którzy tak długo byli przyjaciółmi i współnikami. Ale nie Kate. - Usta Dwyera drżały niemal niedostrzegalnie. - Poczciwa Kate jest w porządku, prawda?

- Więcej niż w porządku - powiedziała Gretchen. - Króliczku, niech to będzie mocny drink.

- Whisky, co?

- I dużo lodu, bardzo proszę. - Gretchen przeszła w stronę dziobu, gdzie kabina sterowa i salon mogły ich zasłonić przed wzrokiem chodzących po nabrzeżu ludzi. Miała dość przyjaciół Toma, Dwyera i Kate z innych statków stojących w przystani, przychodzących na pokład ze zbolętymi twarzami, by wybełkotać kondolencje. Ich smutek był szczery. Gretchen nie była tak pewna swojego.

Siedząc na dziobie pośród czystych, zwiniętych lin, wypolerowanej miedzi, wyblakłego, nieskalanego tekowego drewna pokładu, przyglądała się znanemu już teraz widokowi zatłoczonej przystani, który tak ją zachwyił pierwszego dnia: rozhuśtane maszty, mężczyźni wykonujący starannie i powoli milion drobnych czynności składających się na codzienną rutynę tych, co żyli z morza. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się zdarzyło, nie mogła pozostać obojętna wobec spokojnego piękna tego widoku.

Dwyer podszedł od tyłu, bosy; lód podzwaniał w szklankach, które trzymał w rękach. Podał jej drinka. Gretchen uniosła szklankę uśmiechając się markotnie. Przez cały dzień nie jadła i nie piła, więc pierwszy łyk zaszczypał ją w język.

- Nigdy nie piję mocnych trunków - powiedział Dwyer - ale może powinienem się nauczyć. - Sączył drinka małymi łydkami, świadomie rozkoszując się smakiem i działaniem trunku. - Mówię pani, że pani brat Rudi to niesamowity facet. Zaradny chłop.

- Tak - powiedziała Gretchen. Był to jakiś sposób scharakteryzowania Rudolfa.

- Gdyby nie on, bylibyśmy w paskudnym kłopotcie...

Albo w żadnym pomyślała Gretchen. Gdyby trzymał swoją żonę w domu i został na drugim kontynencie.

- Bez niego okradliby nas do czysta - powiedział Dwyer.

- Kto?

- Prawnicy - powiedział ogólnikowo Dwyer. - Pośrednicy okrętowi, urzędy. Wszyscy.

Oto człowiek, pomyślała Gretchen, którego zaskakiwały na morzu huragany, który wykonywał często pracę na granicy fizycznej wytrzymałości w warunkach, kiedy jakakolwiek słabość posłałaby na dno i jego, i tych, co byli od niego zależni; który przetrzymał

towarzystwo ludzi brutalnych i gwałtownych i który czuł się zupełnie bezradny na widok skrawka papieru, na samo wspomnienie lądowej władzy. Inna rasa, myślała Gretchen. Przez całe swoje dorosłe życie była otoczona przez mężczyzn poruszających się wśród papierów, w biurach i poza biurem, tak ufnie i pewnie jak Indianin w lesie. Nieżyjący brat należał do innej rasy, pewnie już od urodzenia.

- Martwię się tylko o Wesleya - powiedział Dwyer.

Martwi się nie o siebie, pomyślała Gretchen, chociaż nie widział żadnej potrzeby spisywania kontraktu, chociaż po prostu dzielili to, co zostało na końcu roku, i chociaż nawet w tej chwili nie ma żadnego prawa przebywania na wyszorowanym pokładzie tego pięknego statku, na którym przez lata zarabiał na życie.

- Z Wesleyem wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Rudi się nim zajmie.

- On nie będzie chciał - powiedział Dwyer, pijąc. - Wesley pragnął być taki jak ojciec. Tak bardzo się starał poruszać jak ojciec, mówić jak ojciec, dorównać ojcu, że to było aż zabawne. - Dwyer pociągnął łyk, skrzywił się lekko i wpatrywał w zadumie w trzymaną w ręce szklanke, jakby próbując zdecydować, czy jest w niej przyjaciel, czy wróg. Westchnął, niepewny, i kontynuował: - Na morzu czy w porcie, mieli zwyczaj stać w kabinie sterowej przez całą noc; na dole słychać było ich rozmowy. Wesley zadawał pytanie, Tom nie spiesząc się odpowiadał. To były długie odpowiedzi. Zapytałem kiedyś Toma, o czym, do diabła, tyle gadają.

Tom się roześmiał. „Chłopak pyta mnie o moje życie, a ja mu opowiadam. Myślę, że chce nadrobić lata, które stracił: Myślę, że chce wiedzieć, jaki jest jego stary. Czułem to samo wobec mojego ojca, tylko że on nie dawał mi żadnych odpowiedzi, raczej kopniaka w tyłek.” Z tego, co czasem się wyrwało Tomowi - mówił Dwyer ostrożnie, nieśmiało - domyślałam się, że nie bardzo się z ojcem kochali, prawda?

- Nie - powiedziała Gretchen - naszego ojca trudno było kochać.

Sam też nie miał w sobie wiele miłości. A jeśli miał, rezerwował ją dla Rudolfa.

Dwyer westchnął.

- Och, rodzina - powiedział.

- Tak, rodzina - powtórzyła Gretchen.

- Zapytałem Toma, jakiego rodzaju pytania zadawał mu Wesley.

„Typowe - odpowiedział Tom - jaki byłem w szkole, jacy byli mój brat i siostra”, to znaczy pani i Rudi. „Jak to się stało, że zostałem bokserem, a potem marynarzem. Kiedy miałem pierwszą dziewczynę. Jakie były moje inne kobiety, jego cholerna matka...”

Zapytałem Toma, czy mówi chłopcu prawdę. „Wyłącznie prawdę, jestem

nowoczesnym ojcem. Uważam, że trzeba mówić dzieciom, skąd się biorą niemowlęta, i wszystko.” Tom miał swoje własne, specyficzne poczucie humoru.

- Cóż to musiały być za rozmowy! - zawołała Gretchen.

- „Oszczędź mu prawdy, a zepsujesz dziecko”, powiedział mi kiedyś Tom. Czasami mówił tak, jakby jednak zdobył jakieś wykształcenie.

Chociaż nie miał wielkiego wyobrażenia o wykształceniu. Może nie powinienem tego pani mówić - Dwyer ciągnął z przejęciem, poruszając resztkami lodu w szklance - ale jako przykład podawał waszego brata, Rudiego. Mówił: „Weź choćby Rudiego, zdobył takie wykształcenie, jakie może pomieścić ludzki umysł, a zobacz, jak wylądował, wysuszony jak stary rodzynek, po tym numerze, który pijana żona wykonała w rodzinnym mieście, stał się pośmiewiskiem wszystkich i siedzi teraz na tyłku zastanawiając się, co ma zrobić z resztą swego życia.

- Chyba wypiłabym jeszcze jednego drinka, Króliczku.

- I ja też. Zaczyna mi to smakować. - Wziął szklankę Gretchen, skierował się ku rufie i do salonu.

Gretchen zastanawiała się nad tym, co powiedział Dwyer.

Dowiedziała się z tego więcej o nim samym niż o Tomie czy Wesleyu.

Zdała sobie sprawę, że Tom był ośrodkiem życia Króliczka; Dwyer mógłby prawdopodobnie powtórzyć słowo po słowie wszystko, co Tom do niego powiedział, od początku do końca ich znajomości. Gdyby Dwyer był kobietą, można by powiedzieć, że był w Tomie zakochany.

Zresztą, nawet jako mężczyzna... Te dziewczęce usta, ten dość szczególny sposób, w jaki posługiwał się rękami. Biedny Dwyer, pomyślała, może to w końcu on będzie cierpieł najbardziej.

Właściwie nie miała naprawdę wyrobionego zdania o Wesleyu. Kiedy po raz pierwszy zjawili się na pokładzie, wydawał się układnym, zdrowym chłopcem. Po śmierci ojca stał się milczący, jego twarz nie wyrażała nic, unikał ich wszystkich. Powiedziała Dwyerowi, że Rudi się nim zajmie. Teraz wątpiła, by Rudi czy ktokolwiek inny był do tego zdolny.

Dwyer przyniósł whisky. Pierwszy drink zaczynał już działać.

Gretchen czuła się rozmarzona, wyobcowana, wszystkie problemy stawały się mgliste i oddalone. Było to przyjemniejsze od stanu, w jakim się znajdowała przed paroma godzinami. Może Jean, ukrywająca swoje butelki dysponowała jakąś użyteczną wiedzą, którą należało posiadać: Gretchen z wdzięcznością pociągnęła łyk z następnej szklanki.

Dwyer wyglądał inaczej niż zwykle, był jakiś zakłopotany, kiedy tak stał oparty o

barierę w czystej białej koszulce i bawełnianych spodniach, przygryzając wargę komicznymi wystającymi zębami, którym zawdzięczał swój przydomek. Jakby podjął jakąś decyzję w trudnej sprawie, kiedy był sam w salonie nalewając drinki.

- Może nie powinienem tego mówić, pani Burke...

- Gretchen.

- Dziękuję. Ale czuję, że z tobą mogę porozmawiać. Rudi jest wspaniałym człowiekiem, podziwiam go, trudno nawet marzyć o tym, by w sytuacji, w jakiej się teraz znaleźliśmy, mieć po swojej stronie lepszego człowieka, ale nie jest to człowiek, z którym facet taki jak ja mógłby porozmawiać, tak naprawdę porozmawiać, czy rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak - powiedziała Gretchen - rozumiem.

- Jest wspaniałym człowiekiem, jak powiedziałem - ciągnął Dwyer zmieszany, usta drgały mu nerwowo - ale on nie jest taki jak Tom.

- Nie, nie jest - przyznała Gretchen.

- Wesley rozmawiał ze mną: Nie chce mieć do czynienia z Rudim. Ani z jego żoną. To chyba całkiem naturalny ludzki odruch po tym, co się stało, nie uważasz?

- Tak. Po tym, co się stało.

- Jeśli Rudi będzie wywierał nacisk na chłopaka, w najlepszych na świecie intencjach, o tym jestem przekonany, to zaczną się kłopoty. Straszne kłopoty. Trudno przewidzieć, co ten chłopak może zrobić.

- Zgadzam się z tobą - powiedziała Gretchen. Nie myślała o tym dotychczas, jednak w momencie kiedy Dwyer wypowiedział te słowa, zrozumiała, że mówi prawdę. - Ale co można zrobić? Kate nie jest jego matką, zresztą ma własne problemy. A ty?

Dwyer roześmiał się smutno.

- Ja? Nie wiem, gdzie będę za dwadzieścia cztery godziny. Jedyna rzecz, na jakiej się znam, to statki. Za tydzień mogę płynąć do Singapuru, za miesiąc do Valparaiso. Tak czy inaczej, nie jestem stworzony na niczyjego ojca.

- A więc?

- Przyglądałem ci się naprawdę uważnie - powiedział Dwyer. - Mimo że nie zwracałaś na mnie większej uwagi niż na mebel...

- Och, Króliczku, daj spokój - powiedziała Gretchen z poczuciem winy, bo właśnie taka sama myśl przyszła jej do głowy przed kilkoma minutami.

- Nie jestem z tego powodu rozszalony; nie wydaję też żadnych sądów, proszę pani...

- Gretchen - powiedziała automatycznie.

- Gretchen - powtórzył posłusznie. - Ale skoro to się zdarzyło... i teraz zostałam ze mną, pozwalając mi gadać, i widzę przed sobą prawdziwego człowieka... Nie mówię, że Rudi nie jest człowiekiem - dodał pospiesznie - tylko że on nie jest typem Wesleya. A jego żona... - Dwyer urwał.

- Nie mówmy o jego żonie.

- Gdybyś podeszła do Wesleya i powiedziała mu prosto z mostu, bez owijania w bawełnę: „Pojdziesz ze mną”, na pewno by się zgodził.

Zrozumiałby, że jesteś typem kobiety, która może zastąpić mu matkę.

Gretchen pomyślała, że to nowość w procesie naturalnego poczęcia - synowie wybierający sobie matki. Czyż ewolucja nigdy się nie skończy?

- Trudno mnie nazwać wzorową matką - powiedziała oschle.

Przeraziła ją myśl o ponoszeniu jakiegokolwiek odpowiedzialności za chudego chłopaka o posępnej minie, noszącego genetyczne dziedzictwo dzikości Toma. - Przykro mi, Króliczku, ale to się raczej nie uda.

- Pomyślałem sobie, że warto spróbować - powiedział apatycznie Dwyer. - Po prostu nie chciałbym, żeby Wesleya pozostawiono samemu sobie. Nie jest jeszcze wystarczająco dorosły, bez względu na to, co sam sądzi. Wesleya Jordacha wiele jeszcze w życiu czeka.

Gretchen nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, słysząc te słowa.

- Świnka Kimball, inżynier na „Wedze” - kontynuował Króliczek - który widział panią Jordach w lokalu z tym Jugosłowianinem, mówił mi, że Wesley nie daje mu spokoju. Chce, żeby Świnka pomógł mu odnaleźć tego faceta, żeby mu go pokazał... może się mylę, ale zdaje mi się, Świnka zresztą też tak myśli, że Wesley chce sam pomścić ojca.

- O Boże - jęknęła Gretchen.

- Rozglądasz się tutaj - Dwyer wskazał gestem spokojną przystań, zielone wzgórze, bezużyteczny fort i malownicze, anachroniczne umocnienia wojskowe - i myślisz, jaki to przyjemny, cichy zakątek.

A tak naprawdę to między Niceą a Marsylią jest równie dużo zbirów jak w każdym innym miejscu na świecie. Dodajmy do tego prostytutki, narkotyki, przemyt i hazard i już będzie wiadomo, dlaczego w tej okolicy często błyska nóż i pistolet i tylu tu facetów, co zabiliby własną matkę za dziesięć franków, a nawet za frajer, gdyby było trzeba. A z tego, co mi mówił Świnka Kimball, ten gość, z którym się bił Tom, do takich właśnie należy. Jeżeli Wesley będzie go szukał i znajdzie, trudno przewidzieć, co się chłopakowi stanie. W tej wojskowej szkole, w której był, musieli Wesleya siłą odrywać od chłopaków w bójkach. To nie były sparringi w sali gimnastycznej, mógłby ich pozabijać, gdyby nikogo nie było w

pobliżu. Jeśli chce, żeby Świnka Kimball wskazał mu tego kogoś, to istnieje podejrzenie, że ma zamiar go zabić.

- O Chryste. Króliczku, co ty właściwie usiłujesz mi powiedzieć?

- Że bez względu na to, co się zdarzy, musicie chłopaka zabrać stąd, z Francji. A Rudolf Jordach nie jest człowiekiem, który może to zrobić. Teraz - powiedział Dwyer - jestem pijany. Gdybym nie był, to bym tego nie mówił. Ale tak myślę. Pijany czy trzeźwy.

Każde moje słowo jest prawdziwe.

- Króliczku, dziękuję, że mi to powiedziałeś. - Tak naprawdę, to Gretchen była niezadowolona, że zdecydowała się zostać z nim, kiedy wszyscy poszli. To nie moja sprawa, myślała urażona, rozwiązanie problemu przekracza moje możliwości. - Porozmawiam z bratem, zobaczymy, co się da zrobić. Myślisz, że byłoby dobrze, gdybym poczekała tu na Wesleya i zjedlibyśmy kolację we trójkę?

- Mam powiedzieć szczerze?

- Oczywiście.

- Sądzę, że Wesley cię lubi. Wiem nawet, że tak jest, bo mi to powiedział. Ale dziś wieczorem na pewno nie chciałby jeść kolacji z nikim z rodziny Jordachów. Sam z nim pójdę. Mamy sobie trochę do powiedzenia na osobności, on i ja.

- Dziękuję za drinki - powiedziała Gretchen.

- Na koszt firmy.

- Przyślij mi pocztówkę. Z Singapuru, z Valparaiso, skądkolwiek.

- Na pewno. - Dwyer zaśmiał się cierpko.

Gretchen zwlekała z dokończeniem drinka. Miała wrażenie, że jeśli zostawi Dwyera samego, to chłop się załamie, usiądzie na pokładzie i będzie szlochał. Nie chciała, żeby Wesley po powrocie zastał go w takim stanie.

- Skończę tylko swojego drinka...

- A może jeszcze jednego? Przyniosę.

- Dziękuję, ten wystarczy.

- Stałem się amatorem whisky - powiedział Dwyer. - Wiesz coś o tym? - Pokręcił głową. - Wierzysz w sny? - zapytał gwałtownie.

- Czasami. - Zastanawiała się, czy Dwyer słyszał kiedyś o Freudzie.

- Ostatniej nocy miałem sen - powiedział Dwyer. - Śniło mi się, że Tom leżał na podłodze, nie wiem, gdzie to było, leżał po prostu na podłodze i wyglądał jak nieżywy. Podniosłem go i wiedziałem, że muszę go gdzieś zanieść. W moim śnie nie byłem na tyle duży, żeby nieść go w ramionach, więc musiałem go sobie zarzucić na plecy.

Tom był dużo wyższy ode mnie i jego nogi wlokły się po podłodze, zarzuciłem sobie jego ramiona na szyję, żebym mógł trzymać go mocno, i zacząłem iść. Nie wiem gdzie, w jakieś miejsce, do którego musiałem go donieść. Wiesz, jak to jest we śnie. Pocilem się, on był ciężki, wisiał mi na szyi, na plecach. I wtedy nagle poczułem na swoim tyłku, że zaczyna mu stawać. Szedłem dalej.

Chciałem mu coś powiedzieć, ale nie wiedziałem, co powiedzieć nieżywemu człowiekowi, który ma stercza. Jego członek stawał się coraz większy i większy. Zaczęło mi się robić gorąco. I nawet we śnie poczułem się zawstydzony. Wiesz, dlaczego się wstydzilem? Bo chciałem tego. - Dwyer pokręcił głową. Mówił w rozmarzeniu, pod wpływem impulsu. Po chwili znowu pokręcił głową, ale już ze złością. - Musiałem to komuś powiedzieć. - Głos miał chrapliwy. - Przepraszam.

- W porządku, Króliczku - wtrąciła ciepło Gretchen. - Nie ponosimy odpowiedzialności za nasze sny.

- To pani może tak powiedzieć, pani Burke.

Tym razem nie poprawiła go, nie poprosiła, by zwracał się do niej Gretchen. Nie mogła spojrzeć na Dwyer, bo się bała, że twarz zdradzi jej myśli. Mogłaby się zdobyć jedynie na litość, a obawiała się tego, co jej litość mogła wyrządzić temu człowiekowi.

Pochyliła się i dotknęła jego ręki. Złapał jej dłoń mocno twardymi palcami marynarza, a potem miękkim, instynktownym ruchem podniósł ją do ust i pocałował. Puścił rękę Gretchen i odwrócił się od niej.

- Przepraszam - szepnął łamiącym się głosem - ja właśnie... nie wiem sam... ja...

- Nie musisz nic mówić, Króliczku - powiedziała Gretchen miękko.

Teraz cisza zagoi rany, zatamuje krew. Gretchen czuła się zmieszana, bezradna. A gdyby tak powiedziała: „Weź mnie na dół, do swojej kabiny, i tam kochaj się ze mną.” Kobięca myśl, główna czynność. Czy jej ciało przyniosłoby ukojenie czy zgryzotę? A jakie miałyby to znaczenie dla niej samej? Akt litości, potwierdzenie ciągłości życia czy ostatni, żalony krzyk rozpacz?

Spojrzała na czyste, muskularne plecy niskiego mężczyzny, który pocałował jej rękę i odwrócił się od niej. Już niemal zrobiła krok w jego stronę i się cofnęła. Był to odwrót raczej psychiczny niż fizyczny.

Ręka, w której ciągle jeszcze trzymała szklanekę z whisky, zrobiła się zimna od lodu. Gretchen odstawiała trunek.

- Muszę iść - powiedziała. - Trzeba zdecydować o tylu sprawach.

Powiedz Wesleyowi, żeby zadzwonił do mnie, jeśli będzie czegoś potrzebował.

- Powiem mu. - Dwyer nie patrzył na nią, z drżącymi ustami wpatrywał się w wejście do portu. - Czy mam pójść do kawiarni i zawołać taksówkę?

- Nie, dziękuję. Chyba się przejdę. Spacer dobrze mi zrobi.

Zostawiła go na dziobie „Klotyldy”, bosego i schludnego, w białej koszulce, z dwiema pustymi szklankami.

Powoli oddalała się od statków, weszła do miasta wąskimi uliczkami pod górę; przed nią groźnie wynurzała się noc. Spojrzała na wystawę antykwariusza. Spodobała jej się miedziana okrętowa lampa.

Chętnie by ją kupiła i zabrała z sobą do domu, żeby rozjaśnić kąt pokoju. I wtedy przypomniała sobie, że nie ma prawdziwego domu, przyjechała tu z wynajętego na sześć miesięcy mieszkania w Nowym Jorku; nie miała pokoju, który mogłaby rozjaśnić lampa.

Zagłębiła się w miasto, zatłoczone ludźmi kupującymi coś i sprzedającymi, czytającymi gazety przy kawiarnianych stolikach, strofującymi dzieci, fundującymi im lodowe torty; nikt tu nie myślał o śmierci. Zobaczyła reklamę kina, w którym tego wieczoru grano amerykański film z francuskim dubbingiem. Postanowiła samotnie zjeść kolację w mieście, a potem obejrzeć ten film.

Przeszła obok katedry, zatrzymała się na chwilę, żeby na nią popatrzeć, i o mało nie weszła do środka. Gdyby to zrobiła, znalazłaby Wesleya na ławce w głębi pustej nawy, poruszającego ustami w modlitwie, której się nigdy nie nauczył.

ROZDZIAŁ III

Z notatnika Billy Abbotta, 1968 Mój ojciec był raz w Paryżu, kiedy wypuścili go ze szpitala zaraz po wojnie. Jeszcze nie znał wtedy mojej matki. Mówił, że przez całe trzy dni, jakie tam spędził, był zbyt pijany, by cokolwiek zapamiętać. Twierdził, że nie odróżniłby Paryża od Dayton w Ohio.

Niewiele mówił o wojnie, co czyniło go znacznie sympatyczniejszym od innych weteranów, na których towarzystwo byłem narażony.

Czasami jednak podczas weekendów, jakie spędzałem z nim zgodnie z orzeczeniem rozwodowym, kiedy napił się już wystarczająco, a zazwyczaj następowało to dosyć wcześnie, wyśmiewał wszystko, co robił jako żołnierz. Mawiał, że głównie interesowało go własne bezpieczeństwo i dziewczęta z Czerwonego Krzyża; był w lotnictwie i jak twierdził, siedział na tyłku wystukując dla ojczystych gazet historyjki o dzielnych chłopcach, którzy lecieli na akcje.

A jednak zgłosił się do wojska i został ranny, a w każdym razie kontuzjowany, w drodze powrotnej z akcji. Zastanawiam się, czy ja zrobiłbym tyle. Wojsko, z tego co widzę tutaj i co czytam w gazetach o Wietnamie, to jakiś makabryczny kawał. Oczywiście wtedy, jak wszyscy mówią, to była inna wojna. W obecności pułkownika przybieram pozę superwojskową, ale gdyby w Europie wybuchła wojna, prawdopodobnie zdezerterowałbym na odgłos pierwszego strzału.

W NATO pełno jest Niemców, wszyscy bardzo przyciszeni i sojusznicy, nie różnią się bardzo od innych zwierząt. Z Moniką, która jest Niemką, to zupełnie inna historia.

Było już prawie ciemno, kiedy Rudolf opuścił konsulat. Konsul okazał się sympatyczny, słuchał uważnie, robił notatki, wezwał urzędnika, obiecał dołożyć wszelkich starań, żeby pomóc, ale to będzie wymagało czasu; musi zadzwonić do Paryża, zasięgnąć porady prawnej, nie był bowiem przekonany, czy adwokat z Antibes miał rację, mówiąc Rudolfowi, by pominął Francuzów; konieczne będzie określenie przez wyższe władze rodzaju dokumentów niezbędnych do przekazania prawa własności „Klotyldy” i odblokowania kont bankowych. Śmierć Amerykanina za granicą zawsze stwarza skomplikowane problemy, powiedział konsul, a ton jego wypowiedzi sugerował, że dopuszczenie do aktu tej wagi na obcej ziemi graniczyło niemal ze zdradą. Tego dnia, pomyślał Rudolf, setki Amerykanów zginęły w Wietnamie, który można uznać za obcy kraj, ale ich śmierć nie przysporzyła żadnemu konsulowi zawikłanych problemów.

Sprawa spuścizny po Tomie Jordachu będzie bardziej skomplikowana niż inne, ostrzegł konsul, i nie da się jej rozwiązać z dnia na dzień. Rudolf wyszedł z konsulatu w gęstniejący mrok czując się beznadziejnie zaplątany w ciemną pajęczynę legalizmu, która będzie go oplątywać coraz ciasniej z każdym ruchem, jaki wykona, aby się uwolnić. Raz jeszcze uwikłany w potrzeby innych, pomyślał z uczuciem litości dla siebie.

Oddalając się z konsulatu Rudolf zastanawiał się, co robiono w dawnych czasach w amerykańskiej dziczy, kiedy szef plemienia ginął w bitwie. Kto przejmował sznury nanizanych muszelek, żony, opiekę nad dziećmi, wigwam, wojenne pióropusze, orle pióra, włócznie i strzały? Jaki mądry nie-wojownik, szaman czy medyk, podejmował się roli prostującego ścieżki administratora?

Rudolf zostawił samochód na wybrzeżu, przed hotelem „Negresco” przy Promenade des Anglais, nie chciał bowiem ryzykować zabłądzenia na ulicach nieznanego miasta; stamtąd pojechał do konsulatu taksówką. Teraz szedł pieszo, nie bardzo wiedział dokąd i nie przywiązywał do tego wagi; posuwał się w kierunku hotelu „Negresco”, nie zważając na przechodniów spieszących do domów na kolację. Nagle przystanął. Miał mokre policzki. Płakał. Płakał, nawet sobie tego nie uświadamiając, kiedy tak szedł na ślepo w stronę morza. O Boże, pomyślał, a więc musiałem przyjechać taki szmat drogi z rzeki Hudson do Nicei, żeby się rozplakać po raz pierwszy od dzieciństwa. Wydawało mu się, że żaden z przechodniów nie zauważył jego łez, nie kierowały się w jego stronę zaciekawione spojrzenia. Może Francuzi byli przyzwyczajeni do widoku zapłakanych mężczyzn spacerujących po ulicach, może to był u nich narodowy zwyczaj? Może, myślał Rudolf, po tym, co kraj ten przeszedł od czasów Ludwika XVI, istniało dużo powodów do płaczu?

Kiedy odnalazł swój samochód, było już zupełnie ciemno. Snuł się po bocznych ulicach, bez celu zmieniając kierunek. Bella Nizza, przypomniał sobie. Włosi odzyskali ją w czasie drugiej wojny. Na krótko. We włoskim odpowiedniku Pentagonu istniał prawdopodobnie plan odbicia jej w jakiejś wojowniczej przyszłości. Dobrzy sąsiedzi. Tymczasem sadzili róże i jaśminy na polach wszystkich bitew, czekając, aż nadejdzie następna wojna. Nieszczęśni, pełni nadziei, z góry skazani na zagładę włoscy generałowie.

Nizza, nie warta zachodu, nie warta gości jednego kalabryjskiego wieśniaka. To już nie była bella Nizza, ale nowoczesne, zasypane odpadkami handlowe miasto, zbiorowisko obdrapanych czynszówek, z bluzgającą z głośników muzyką rock, wychwalającą swoją urodę w fałszywych folderach turystycznych. Wszystko zmieniało się na gorsze. Na Promenade des Anglais paliły się latarnie, ich światło odbijało się w dachach nie kończącego się strumienia samochodów, pobłyskiwało w zanieczyszczonym morzu, które szumiało za wąskim

paseczkiem kamienistej plaży. Konsul w czasie rozmowy powiedział, że Nicea jest dobrą placówką w służbie dyplomatycznej. Konsul musiał wiedzieć o Nicei coś, czego nie można było dostrzec gołym okiem. A może miał kiedyś stanowisko w Kongo czy Waszyngtonie i nawet Nicea mogła się po tym wydawać dobra. Rudolf zastanawiał się, czy w drodze między konsulem a morzem minął gdzieś mordercę swego brata. Było to całkiem możliwe. Policja nieustannie aresztowała morderców. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby w kawiarni przysiadł się do niego mężczyzna, rozpoznał go i powiedział spokojnie: „Bonjour monsieur, może pana zainteresuje wiadomość, że ja to zrobiłem”.

Otworzył drzwiczki samochodu i stał tak, nie wsiadając, myślał o nocy, jaka go czeka; o powrocie do hotelu w Antibes, o konieczności wytłumaczenia Jean, że muszą zostać jeszcze w miejscu, które stało się dla nich koszmarem; o konieczności wytłumaczenia Kate i Wesleyowi, i Dwyerowi, że nic nie zostało załatwione, że wszystko trwa w zawieszeniu, że na czas nieokreślony związani są ze śmiercią i trudno przewidzieć, kiedy będą mogli znów wrócić do spraw życia.

Zamknął samochód. Nie mógł stawić czoła temu, co czekało go w Antibes. Mimo całej swej nieatrakcyjności, na ten wieczór Nicea lepsza była od Antibes. W każdym razie przestał płakać.

Uważając na uliczny ruch, z nozdrzami pełnymi wyziewów, które według zapewnień uczonych w jego kraju stanowiły śmiertelne zagrożenie dla ludzkiej rasy, Rudolf przeszedł na drugą stronę Promenade des Anglais, jasną od blasku wystaw i świateł lokali.

Wszedł do jakiejś kawiarni, usiadł przy stoliku na tarasie i zamówił whisky z wodą sodową. Uznany lek, paliatyw, środek przynoszący zapomnienie, krótkotrwały rozplątawcz zawikłanych problemów. Kiedy kelner przyniósł whisky, Rudolf pił wolno, zadowolony z nieobecności Jean, bo przy niej nie mógłby pić.

Czasami wydawało mu się, że w jej obecności nie może oddychać - ale tą sprawą zajmie się innym razem. Pociągnął kolejny łyk.

Nagle poczuł się straszliwie głodny. Nic nie jadł od śniadania, składającego się jedynie z croissanta i kawy. Ciało ma swój własny rytm, zależny od nieskomplikowanych, bezwzględnych potrzeb. Głód zapanował nad myślami Rudolfa. Rozparł się w krześle, sącząc whisky i z lubością układając menu wieczornego posiłku. Na początek melon z odrobiną porto, potem zupa rybna - specjalność regionalna - z czosnkowanymi grzankami z tartym serem, befsztyk z sałatą, kawałek brie, a na deser truskawki. Pół butelki blanc de blanc do zupy i pół butelki ciężkiego czerwonego wina z Prowansji do mięsa i sera. Czekał go wieczór pełen rozkoszy łakomstwa. Nigdy nie musiał się martwić o to, że utyje, a jednak zdawał sobie

sprawę, że krępowałyby go zamówienie takiej kolacji akurat dziś, gdyby nie był sam. Ale w Nicei nie znał nikogo. Żałobnicy pozostali w innym mieście. Zapłacił za whisky i ruszył wzdłuż promenady do hotelu „Negresco”, by zapytać recepcjonistę o najlepszą restaurację w Nicei. Szybkim krokiem udał się pod wskazany adres, oczy miał suche.

Najlepszą restaurację w Nicei oświetlały świece, zdobiły lśniące bukiety różowych róż, we wnętrzu unosił się charakterystyczny aromat dobrych potraw. Przy stolikach siedziało niewielu gości, ale wszyscy wyglądali na zamożnych i dobrze odżywionych. Na sali panował spokój i odpowiednio poważny nastrój, a jej szef był uśmiechniętym Włochem o błyszczących zębach i mówił po angielsku.

A może, pomyślał Rudolf, jest to szpieg pracujący dla włoskiej armii, który co noc sporządza w domu plany przystani, mikrofilmowane następnie przez współprzestępcę?

Bella Nizza.

Kiedy tak siedział przy stole nakrytym lśniącym białym obrusem, smarując masłem chrupiącą bułeczkę, uznał, że może mylił się sądząc, iż to miasto nie jest warte kości jednego kalabryjskiego wieśniaka. Przecież i tak nie znał nikogo w Kalabrii.

Żeby jeszcze zaostrić apetyt, zamówił martini. Kelner przyniósł trunek, jasny i lodowato zimny. Rudolf wyłowił oliwkę i skubał ją zębami. Pachniała jałowcem i śródziemnomorskim słońcem. Odsunął podaną przez kelnera kartę.

- Wiem, co chcę zjeść.

Jedzenie potwierdziło opinię recepcjonisty hotelowego o tej restauracji. Rudolf jadł i pił powoli, czując, jak każdy kęs jedzenia i każda kropla wina przywraca mu dobre samopoczucie.

Czasami, pomyślał, najlepszy z urlopów zamyka się tylko w dwóch godzinach życia.

Kiedy skończył jeść truskawki, poprosił o rachunek. Chciał się przejść, bezimienny, nie skrępowany, z poczuciem pełni, a potem usiąść w kawiarni, napić się kawy i koniaku. Dał maitre d'hôtel i kelnerom sute napiwki i powolnym krokiem wyszedł w balsamiczne powietrze. Przeszedł kilkuminutowy odcinek do plaży. Morze, najstarsze ze wszystkiego. Ulysses jakoś przetrzymał. Przywiązany do masztu, podczas gdy wosk uodporniał na pieśni uszy jego marynarzy. Wielu dzielnych mężczyzn leży uśpionych w głębinach. A teraz wśród nich jest także Tom. Rudolf stanął na kamienistym brzegu, kilka jardów od miejsca, w którym łagodne fale wślizgiwały się w łódź Francji, ozdobione niewielkimi koronkami piany. Noc była bezksiężycowa, ale gwiazdy świeciły jasno, a wzdłuż ciemnej krzywizny wybrzeża tysiące świetlnych punkcików rozwieszało sznury klejnotów na wzgórzach.

Rudolf głęboko odetchnął przesyconym solą powietrzem. Choć za plecami słyszał

odgłosy ulicznego ruchu, czuł się cudownie samotny, prócz niego na plaży nie było nikogo, a przed nim rozciągał się jedynie ciemny bezmiar wody. Wiedział, że jutro będzie dniem winy i niepokoju, ale to dopiero jutro. Pochylił się, podniósł gładki, okrągły kamień i rzucił go na powierzchnię wody.

Kamień odbił się trzykrotnie. Rudolf zachichotał. Gdyby był młodszy, gdyby był chłopcem, przebiegłby jak piłkarz wzdłuż plaży, skrajem wody, uskakując przed nieregularnymi przyływami i odpływami fal. Jednak w jego wieku, w czarnym ubraniu nie wydawało się wskazane zwracanie na siebie uwagi ludzi spacerujących po promenadzie powyżej plaży, nawet w tym miłym nastroju po dobrej kolacji.

Wrócił więc na promenadę i wszedł do jasno oświetlonej kawiarni, wybierając takie miejsce, skąd mógłby obserwować zatłoczoną ulicę, mężczyzn i kobiety, którzy po całodzienniej pracy czy wypełnianiu turystycznych obowiązków teraz po prostu rozkoszowali się klimatem, błyskawiczną wymianą spojrzeń, możliwością przechadzki, bez pośpiechu w ciepłą noc, pod rękę z ukochanym.

Kawiarnia nie była zatłoczona. O dwa stoliki dalej jakaś kobieta czytała czasopismo, głowę miała tak pochyloną, że Rudolf nie mógł dostrzec jej twarzy. Kiedy wchodził, podniosła głowę, a potem szybko powróciła do lektury. Na stoliku przed nią stał do połowy napełniony kieliszek białego wina. Rudolf zauważył, że kobieta ma ciemne włosy, ładne nogi, ubrana jest w jasnoniebieską sukienkę.

I nagle uświadomił sobie inny nie sprecyzowany głód.

„Tylko nie zepsuj tego wieczoru” - ostrzegł się w myśli.

Zamówił po angielsku kawę i koniak. Zauważył, że kiedy mówił, kobieta znów podniosła głowę. Dostrzegł, a może tylko mu się wydawało, że dostrzegł, przelotny błysk uśmiechu na jej twarzy.

Kobieta nie wyglądała młodo, takie odniósł wrażenie, dobiegała czterdziestki, a więc była prawie w jego wieku, miała staranny makijaż, sztuczne cienie wokół oczu. Trochę za stara na prostytutkę, ale mimo to atrakcyjna.

Kelner postawił przed nim kawę i koniak, położył rachunek z kasy i odszedł w stronę baru w głębi. Rudolf wypił łyk kawy, mocnej i czarnej, potem podniósł kieliszek z koniakiem i powąchał. W momencie kiedy zamierzał wypić, kobieta uniosła swój kieliszek wina. Tym razem nie było wątpliwości. Uśmiechnęła się. Miała pełne, czerwone usta, ciemnoszare oczy, czarne włosy. Rudolf uprzejmie uniosł swój kieliszek nieco wyżej w geście pozdrowienia i wypił trochę.

- Pan jest Amerykaninem, prawda? - mówiła z nieznacznym obcym akcentem.

- Tak.

- Poznałam to od razu, jak tylko pan wszedł. Po ubraniu. Jest pan tu na wakacjach?

- Poniekąd. - Rudolf sam nie wiedział, czy ma ochotę kontynuować tę konwersację. Nie czuł się swobodnie z nieznanymi, zwłaszcza z kobietami. Ta nie wyglądała jak prostytutka, które widywał, polujące na zdobycz na ulicach Nowego Jorku, ale był przecież w obcym kraju i skąd mógł wiedzieć, jak się ubierają i wyrażają prostytutki francuskie. Nie był przyzwyczajony, by zaczepiały go kobiety. Miał w sobie coś ponurego, surowego, jak twierdził Johnny Heath, jego przyjaciel i adwokat. Johnny'ego Heatha zaczepiano wszędzie, gdziekolwiek się udał, na ulicy, w barach, na przyjęciach. Johnny Heath nie miał w sobie nic surowego.

W latach młodości Rudolf wypracował sobie pełen rezerwy chłodny sposób bycia, wierząc że nadaje mu to wygląd człowieka należącego do innej klasy niż chłopcy i mężczyźni, wśród których dorastał, głośni, bezpośredni, po plejbejsku towarzyscy. Być może, myślał patrząc na kobietę przy sąsiednim stoliku, trochę w tym przeholowałem.

- Czy dobrze się pan bawi? - zapytała. Jej matowy głos miał pewną szorstkość, która nie była jednak nieprzyjemna.

- Umiarkowanie - odpowiedział.

- Mieszka pan w hotelu w Nicei?

- Nie.

Rudolf przypuszczał, że takie damy postępowały zgodnie z pewną rutyną. Domyślał się, że ta należała do wyższych szczebli swojej profesji, toteż nie przystępowała natychmiast do rzeczy, schlebując najpierw mężczyźnie, udając, że jest nim zainteresowana, i nie przenosząc ostatecznej transakcji ani na poziom wyraźnie fizyczny, ani handlowy.

- Jestem tu przejazdem - powiedział. Już zaczynał się zastanawiać: dlaczego nie? Dlaczego by się raz jeden w życiu nie przekonać, jak to jest? A poza tym przez długi czas zachowywał wstrzeźliwość. Przez zbyt długi czas. Nie spał w jednym pokoju z Jean od jej poronienia. Ponad rok. Czasami, pomyślał, trzeba sobie przypomnieć o tym, że się jest mężczyzną. Nagim, rozdwojonym zwierzęciem. Dotyczy to nawet jego. Uśmiechnął się do kobiety.

Dobrze było się uśmiechać.

- Czy mogę postawić pani drinka?

Nigdy przedtem nie postawił drinka osobie nieznanemu, ani mężczyźnie, ani kobiecie. Pora chyba zacząć. W jakim celu oszczędzał siebie, co chciał udowodnić? Nawet w tej chwili, tylko w tym mieście, było prawdopodobnie tysiące mężczyzn figlujących radośnie w łóżkach

z kobietami, nie żałujących sobie niczego, korzystających z rozkoszy, do których zostały stworzone ich ciała, zapominających o trudach i niepokojach minionego dnia. Co stawiało go ponad ludzką przeciętność?

- Jestem sam - powiedział odważnie. - Właściwie nie mówię po francusku. Sprawiłoby mi przyjemność towarzystwo kogoś, kto mówi po angielsku. - Zawsze to pełne hipokryzji zastrzeżenie, pomyślał.

Kobieta spojrzała na zegarek udając, że podejmuje decyzję:

- To byłoby bardzo miłe - uśmiechnęła się do niego.

Jest ładna, kiedy się uśmiecha, pomyślał Rudolf; ma równe białe zęby i miłe drobne zmarszczki wokół ciemnoszarych oczu. Złożyła czasopismo, wzięła torebkę, wstała i przeszła trzy kroki do stolika Rudolfa. Podniósł się, podsunął jej krzesło, a kobieta siadając powiedziała: „Dziękuję”.

- Lubię rozmawiać z Amerykanami, ile razy zdarzy mi się okazja.

Spędziłam trzy lata w Waszyngtonie i nauczyłam się lubić Amerykanów.

Gambit, pomyślał Rudolf, zachowując jednak przyjemny wyraz twarzy.

Gdybym był Szwedem albo Grekiem, powiedziałyby, że lubi Szwedów i Greków. Zastanawiał się, jak spędziła te trzy lata w Waszyngtonie, dotrzymując towarzystwa członkom lobby, podważając za pieniądze opinie kongresmenów w motelowych pokojach?

- Ja też lubię niektórych Amerykanów - powiedział.

Kobieta zachichotała dyskretnym, przyciszonym chichotem damy. Mimo wspólnoty profesji zdecydowanie nie istniało pokrewieństwo między nią i krzykliwymi prymitywami polującymi na ulicach Nowego Jorku.

Rudolf słyszał, że w Ameryce są również kurwy o dobrych manierach, które biorą za godzinę sto dolarów i więcej i które można zamówić jedynie przez telefon - nie pracujące aktorki, modelki, eleganckie panie domu, zarabiające na nurkowe futro - jednak sam nigdy się z żadną z nich nie zetknął. W istocie nie powiedział nigdy do żadnej prostytutki więcej niż dwa słowa: „Dziękuję, nie”.

- A Francuzów - zapytała kobieta - pan lubi?

- Umiarkowanie. A pani?

- Niektórych - znów zachichotała.

Pojawił się kelner o kamiennej twarzy, przyzwyczajony do zmian przy stolikach. - La meme chose? Un vin blanc? - zapytał Rudolf kobietę.

- O, mówi pan po francusku.

- Un petit peu - powiedział Rudolf. Czuł się podochocony, w figlarnym nastroju. Była

to odpowiednia noc na gry, maski, zabawę z Francuzką. Cokolwiek się zdarzy tej nocy, dama przekona się, że nie ma do czynienia z jeszcze jednym przeciętnym amerykańskim turystą. - Je l'ai etudie a l'ecole. W szkole średniej. Jak to jest po francusku?

- Colege? Lycee?

- Lycee - powiedział Rudolf z uczuciem triumfu.

Kelner zaszurał nogami, jakby przypominając, że nie może stać przez całą noc słuchając Amerykanina, który usiłuje sobie przypomnieć francuski ze szkoły średniej, żeby zrobić wrażenie na kobiecie, która dopiero co go poderwała.

- Monsieur, encore un cognac? - zapytał.

- S'il vous plait - odpowiedział z godnością Rudolf.

Potem rozmawiali mieszaniną obydwu języków i oboje śmieli się z francuszczyzny, jaką Rudolfowi udawało się wygrzebać z pamięci.

Opowiedział o piersiastej nauczycielce francuskiego ze szkoły, o tym jak w wieku lat kilkunastu uznał, że jest w niej zakochany, jak pisał do niej płomienne listy po francusku, jak kiedyś narysował ją nagą i jak nauczycielka skonfiskowała ten rysunek.

Zdawało mu się, że jego nowej znajomej sprawia przyjemność słuchanie go, korygowanie błędów jego francuszczyzny i chwalenie, kiedy udało mu się powiedzieć więcej niż trzy słowa. Jeśli takie są francuskie ładacznice, myślał Rudolf, trochę wstawiony po butelce szampana, łatwo zrozumieć, dlaczego prostytutka stanowi tak szacowny składnik francuskiej cywilizacji.

W pewnej chwili kobieta - dowiedział się, że ma na imię Jeanne - spojrzała na zegarek i spoważniała.

- Robi się późno - powiedziała po angielsku, biorąc torebkę i ilustrowane pismo - muszę iść.

- Przykro mi, że zmarnowałam pani czas. - Głos Rudolfa stał się ochryply; miał trudności z wymawianiem słów.

Kobieta wstała.

- Było mi bardzo przyjemnie, Jimmy - powiedziała. Takie imię podał Rudolf. Jeszcze jedna maska. Nie będzie można go odnaleźć. - Ale czekam na ważny telefon...

Rudolf wstał również, by się pożegnać; odczuwał zarazem ulgę i żal, że nie będzie się z nią kochał. Zachwiał się nieco i przewrócił krzesło. - To była sza... czarujące - wymamrotał.

Kobieta leciutko zmarszczyła brwi.

- W jakim hotelu pan mieszka?

W jakim hotelu? Przez moment mapa Francji nie istniała w jego świadomości.

- Gdzie jest mój... mój hotel? - wybąkał. - Och, w Antibes.

- Ma pan samochód?

- Tak.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę.

- W tym stanie nie może pan prowadzić.

Zwiesił głowę, zmieszany. Czuł, że kobieta mówi pogardliwie o Amerykanach przyjeżdżających do Francji w stanie, w którym nie mogą prowadzić samochodu. W stanie, w którym nie mogą w ogóle nic robić.

- Właściwie nie piję - powiedział tonem wytłumaczenia. - Miałem zły dzień.

- Drogi są tutaj niebezpieczne, zwłaszcza w nocy - stwierdziła.

- Zwłaszcza w nocy - przytaknął skwapliwie.

- Chciałby pan pójść ze mną? - zapytała.

Nareszcie, pomyślał. Teraz nawet nie będzie to grzech, po prostu względy bezpieczeństwa. Jako człowiek interesu powinien właściwie zapytać, ile to kosztuje, ale po tych wspólnych drinkach i przyjacielskiej rozmowie zabrzmiałoby to głupio. Równie dobrze może to zrobić później. Bez względu na to, jaka okaże się cena, z pewnością stać go na spędzenie jednej nocy w Europie z kurtyzaną.

Był dumny z siebie, że wpadł na to słowo - kurtyzana. Nagle poczuł, że przejaśnia mu się w głowie.

- Volontiers - rzekł, posługując się jej językiem, żeby pokazać, że nie jest z nim tak źle, jak myślała. Głośno zawołał kelnera: - Garson - i wyjął portfel. Zakrył portfel rękami, żeby kobieta nie zobaczyła, ile ma banknotów. Wiedział, że w takich sytuacjach, chociaż nie był do nich przyzwyczajony, należy zachować ostrożność.

Podszedł kelner i po francusku wymienił sumę rachunku. Rudolf nie mógł go zrozumieć i zawstydzony odwrócił się bezradnie do kobiety.

- Co on mówi?

- Dwieście piętnaście franków.

Wyjął z portfela trzy banknoty stufrankowe i gestem przerwał nieudolne wysiłki kelnera próbującego wydać resztę.

- Nie powinien pan dawać tak dużego napiwku - szepnęła kobieta biorąc go pod rękę i kierując się w stronę wyjścia.

- Amerykanie. Szlachetna i wspaniałomyślna rasa!

Jeanne się roześmiała i mocniej ścisnęła jego ramię.

Znaleźli taksówkę. Rudolf podziwiał wdzięk, z jakim kobieta podniosła rękę, aby

zatrzymać kierowcę; podziwiał kształt jej nóg i ciepłą krągłość piersi.

W taksówce trzymała go za rękę, nic poza tym. Jechali niedługo.

Pachniało perfumami, piżmem, wspomnieniem kwiatów. Taksówka zatrzymała się przed niewielką kamienicą na ciemnej ulicy. Kobieta zapłaciła kierowcy, znów wzięła Rudolfa pod ramię i wprowadziła go do domu. Szedł za nią po schodach, podziwiając ją teraz z tej perspektywy. Otworzyła drzwi kluczem, przeprowadziła go przez ciemny hall do pokoju i zapaliła lampę. Był zaskoczony rozmiarami pokoju i jego gustownym urządzeniem, choć nie mógł dostrzec zbyt wielu szczegółów w przyćmionym świetle pojedynczej lampy. Musi mieć hojną klientelę, pomyślał, Arabów, włoskich przemysłowców, niemieckich baronów od stali.

- Teraz... - zaczęła, i w tym momencie zadzwonił telefon.

A więc nie kłamała, pomyślał, rzeczywiście spodziewała się telefonu. Kobieta wahała się, jakby nie chciała podnieść słuchawki.

- Czy mógłby pan?... - wskazała ręką na drugie drzwi. - Wołałabym być teraz sama.

- Oczywiście. - Rudolf przeszedł do drugiego pokoju i zapalił światło. Była to niewielka sypialnia z podwójnym rozesłanym łóżem.

Przez drzwi, które zamknął za sobą, słyszał głos kobiety. Wydało mu się, że jest zła na kogoś, z kim rozmawia, chociaż nie mógł zrozumieć, co mówi. Spojrzał w zamyśleniu na ogromne łóżko.

Ostatnia szansa, żeby wyjść. Do diabła, pomyślał i rozebrał się, rzucając niedbale ubranie na krzesło. Portfel wsunął do innej kieszeni. Położył się do łóżka i naciągnął koce.

Musiał zaraz zasnąć, bo kiedy się ocknął, obok niego leżało ciepłe, pachnące ciało, w pokoju było ciemno, mocna, aksamitnie gładka noga spoczywała na jego udzie, na brzuchu czuł miękką, poszukującą rękę, usta szeptały mu do ucha słowa, których nie mógł zrozumieć.

Nie wiedział, która jest godzina. Leżał nieruchomo, uspokojony, cudownie rozprężony, dotykając palcami znajomego już teraz ciała, które dało mu tyle rozkoszy. Pachnąca, przypadkowa istota w łóżku obok niego. Wszystkie pochwały należały się zwierzęciu ukrytemu w czarnym ubraniu. Wstrzemięźliwy purytanin został zlekceważony, wspaniale zlekceważony. Podniósł głowę, oparł się na łokciu i delikatnie pocałował kobietę w policzek.

- Chyba już późno - wyszeptał. - Będę musiał iść.

- Jedź ostrożnie, cheri - powiedziała kobieta, senna, nasycona dzięki niemu.

- Teraz czuję się dobrze. Nie jestem już pijany.

Kobieta przekręciła się na bok, sięgnęła do lampy na nocnym stoliku. Rudolf wstał,

dumny ze swojej nagości. Chełpliwość niedorostka, pomyślał kwaśno, ubierając się. Kobieta również wstała, miała ciało smukłe, silne, pełne piersi, umięśnione biodra. Włożyła szlafrok, usiadła na krześle obserwując z uśmiechem, jak Rudolf się ubiera. Rudolf wolałby, żeby nie zapalała światła, żeby się nie obudziła. Wtedy mógłby zostawić sto, może tysiąc franków na parapecie kominka, a ciemność i sen ukryłyby jego prowincjonalną amerykańską ignorancję w tych sprawach; mógłby wyslizgnąć się z mieszkania, z kamienicy, zerwać wszelkie powiązania. Ale światło się paliło, kobieta obserwowała go z uśmiechem. Czekala?

Nie można było uniknąć tego momentu. Wyciągnął portfel.

- Czy tysiąc franków wystarczy? - zapytał, zająknawszy się trochę przy słowie „wystarczy”.

Kobieta przyjrzała mu się badawczo, z jej twarzy zniknął uśmiech.

Potem zaczęła się śmiać. Śmiech, początkowo cichy, stawał się ochryply. Pochyliła się, ujęła głowę w dłonie, gęste błyszczące włosy rozsypały się ciemną kaskadą, zakrywając jej twarz. Nie przestawała się śmiać. Rudolf przyglądał się jej czując, jak napinają mu się nerwy; żałował teraz, że poszedł z nią do łóżka, że postawił jej drinka, że w ogóle był w Nicei, że noga jego kiedykolwiek stanęła we Francji.

- Przepraszam - powiedział bezmyślnie. - To dlatego, że nie jestem przyzwyczajony...

Kobieta podniosła głowę, na twarzy ciągle jeszcze miała uśmiech.

Wstała, podeszła do Rudolfa i pocałowała go w policzek.

- Kochanie - powiedziała, a śmiech ciągle jeszcze czał się w jej gardle. - Nie wiedziałam, że jestem tyle warta.

- Jeżeli chcesz więcej... - powiedział sztywno.

- Dużo więcej. Nie chcę nic. To najwyższa cena. Kochany mężczyzno!

Przez cały czas myślałeś, że jestem profesjonalistką. I byłeś taki uprzejmy i czuły. Gdyby wszyscy klienci byli do ciebie podobni, myślę, że wszystkie stałybyśmy się kurwami. Lubiłam Amerykanów już przedtem, ale teraz lubię ich jeszcze bardziej.

- Na Boga, Jeanne - po raz pierwszy wymówił jej imię. - Nigdy nie przypuszczałem, że ktokolwiek mógłby mnie poderwać, zabrać do domu i... Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie mów nic. Jesteś zbyt skromny, mój uroczy Amerykaninie, o wiele za skromny.

- Widzisz, nigdy dotychczas mi się to nie zdarzyło... - Rudolf obawiał się, że kobieta znowu zacznie się śmiać.

Jeanne pokręciła niedowierzająco głową. - Coś jest nie w porządku z amerykańskimi kobietami. - Podeszła do łóżka, usiadła na brzegu, wskazując ręką obok.

- Chodź, usiądź tutaj - poprosiła.

Rudolf usiadł przy niej. Kobieta siostrzanym gestem ujęła jego rękę.

- Jeśli może ci to poprawić samopoczucie, cheri - powiedziała - mnie również nie przytrafiło się to nigdy dotychczas. Ale czułam się taka samotna... wygłodzona... Czy nie odgadłeś tego?

- Nie - przyznał. - Tak naprawdę to nie jestem kobieciarzem.

- „Nie jestem kobieciarzem” - powtórzyła, podkpiwając życzliwie. - Niepijący. Akurat taki męczyzna, jakiego potrzebowałam tej nocy.

Pozwól, że powiem ci trochę o sobie. Jestem mężatką. Mój mąż jest majorem. Był adiutantem attache wojskowego w Waszyngtonie.

A więc stąd ten angielski, pomyślał, nie członkowie lobby, kongresmeni, motele.

- Teraz został na jakiś czas oddelegowany do Paryża. Do Ecole Militaire. Czasowo - zaśmiała się krótko, chrapliwie. - Jest tam już od trzech miesięcy. Mam dwoje dzieci; chodzą do szkoły tu, w Nicei. Dzisiaj pojechały z wizytą do babci.

- Nie miałaś obrączki - powiedział Rudolf. - Sprawdziłem.

- Dziś jej nie miałam - twarz Jeanne spochmurniała. - Dziś wieczorem nie chciałam być mężatką. Kiedy dostałam po południu telegram od męża, w którym zapowiadał, że zadzwoni, wiedziałam, co ma do powiedzenia. Że znów będzie zbyt zajęty, żeby przyjechać do Nicei. Był zbyt zajęty przez trzy miesiące. W Ecole Militaire muszą przygotowywać straszliwą wojnę, skoro byle major nie może dostać jednego dnia wolnego, żeby raz na trzy miesiące polecieć do Nicei i zobaczyć się z żoną. Domyślam się, jakiego rodzaju wojnę przygotowuje mój major w Paryżu. Słyszałeś moją rozmowę telefoniczną?...

- Tak. Ale nie mogłem zrozumieć co mówiłaś... Wydawało mi się, że jesteś zła.

- To nie była przyjazna rozmowa - powiedziała Jeanne. - O, nie.

Zaczynasz chyba rozumieć, dlaczego siedziałam przy kawiarnianym stoliku bez obrączki.

- Mniej więcej - odpowiedział Rudolf.

- Kiedy usiadłeś w kawiarni, już miałam zrezygnować i pójść do domu - powiedziała spokojnie. - Przedtem zaczepiało mnie dwóch mężczyzn. Upozowani, nadęci faceci, eksperci i koneserzy, amatorzy... jak to się mówi w Ameryce... jeden...

- Jednonocnej przygody - podrzucił Rudolf.

- Właśnie.

- Ale przynajmniej oni nie wzięli cię za ladacnicę - powiedział Rudolf ponuro. - Wybacz mi.

Jeanne poklepała go po ręce.

- Nie ma nic do wybaczenia - powiedziała. - To przydało temu wieczorowi właściwą nutę komedii. Kiedy usiadłeś przy stoliku z tą twoją uczciwą, kościstą, godną szacunku amerykańską twarzą, zdecydowałam nie wracać do domu. - Uśmiechnęła się. - Jeszcze nie.

Okazało się, że się nie pomyliłam. Nigdy już nie powinieneś być skromny. - Następne siostrzane pogłaskanie ręki. - Zrobiło się późno. Mówiłeś, że musisz iść. Czy chcesz mój numer telefonu? Czy mogę cię znów zobaczyć?...

- Myślę, że ja także powinienem ci opowiedzieć trochę o sobie - zaczął Rudolf. - Przede wszystkim nie mam na imię Jimmy. Sam nie wiem, dlaczego... - Wzruszył ramionami. - Chyba wstydziłem się tego, co robię. - Uśmiechnął się. - Tego, co wydawało mi się, że robię. Może tak na pół wierzyłem, że jeśli nie powiedziałem ci prawdziwego imienia, to również nie ja to naprawdę robię. A pewnie chodziło mi o to, że gdybyśmy się kiedykolwiek spotkali, a ja byłbym z kimś innym i ty byś zawołała: „Halo, Jimmy”, mógłbym odpowiedzieć: „Przykro mi, ale chyba wzięła mnie pani za kogoś innego”.

- Żałuję, że nie mam odwagi prowadzić dziennika - powiedziała Jeanne. - Zapisałabym bardzo szczegółowo wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru. Bardzo szczegółowo. Moje dzieci miałyby się z czego śmiać, gdyby to znalazły po mojej śmierci. Cóż ty wiesz, kochana, stara, wrażliwa Maman?

- Na imię mi Rudolf. Nigdy nie lubiłem tego imienia. Kiedy byłem chłopcem, myślałem, że brzmi nieamerykańsko, chociaż naprawdę coraz trudniej powiedzieć, co brzmi amerykańsko, a co nie. I dlaczego ktokolwiek miałby się tym przejmować. Ale kiedy ma się kilkanaście lat i głowę pełną książek, których bohaterowie nazywają się Huckleberry Finn, Daniel Boone, Stud Lonigan... no, w każdym razie wydawało mi się, że Rudolf brzmi jak... przypomina ciężką niemiecką kuchnię. Zwłaszcza w czasie wojny. - Nigdy nie powiedział nikomu, co myślał o swoim imieniu, nigdy nawet nie sformułował tego wyraźnie sam dla siebie, a teraz odkrył z uczuciem ulgi i cierpkiego rozbawienia, że może mówić o tym całkiem otwarcie z tą przystojną, obcą, czy prawie obcą kobietą.

Siedząc w przyćmionym świetle lampy na łóżku, które było miejscem tak wyszukanej rozkoszy, pragnął także jeszcze bardziej oddać się tej kobiecie, znaleźć powody, by opóźnić rozstanie, razem z nią udawać, że daleko jeszcze do brzasku, że odejście nie jest nieuniknione.

- Rudolf - powtórzyła Jeanne. - To ani złe, ani dobre. Myśl, że masz na imię Rodolfo. To brzmi lepiej, prawda?

- Dużo lepiej.

- Dobrze - przekomarzała się. - Więc od tej pory będę cię nazywała Rodolfo.

- Rodolfo Jordach - powiedział. Dawało mu to nowe, znacznie bardziej śmiałe wyobrażenie o sobie samym. - Jordach. To moje nazwisko. Mieszkam w „Hôtel du Cap”. - Teraz wszystkie zasłony obronne zostały opuszczone. Nazwiska i adresy. Jedna strona wydana na łaskę drugiej. - I jeszcze jedno. Jestem żonaty.

- Spodziewałam się tego - odpowiedziała Jeanne. - To twoja sprawa.

Tak jak moje małżeństwo jest moją sprawą.

- Żona jest ze mną w Antibes. - Nie uważał za konieczne powiedzieć Jeanne, że jego stosunki małżeńskie też się nie układają najlepiej. - Daj mi swój numer telefonu.

Jeanne wstała, podeszła do małego biurka, na którym był papier i pióro, zapisała telefon. Podała mu karteczkę, którą Rudolf starannie złożył i schował do kieszeni.

- Następnym razem - powiedziała - będziesz musiał wynająć pokój w hotelu. W domu będą dzieci.

Następnym razem...

- Teraz zamówię ci taksówkę. - Przeszli do salonu, Jeanne wykręciła numer, przez chwilę mówiła coś szybko, potem poczekała, powiedziała: „Tres bien”, i odwiesiła słuchawkę.

- Taksówka będzie za pięć minut - powiedziała. Zanim otworzyła mu frontowe drzwi, pocałowali się; był to długi, dziękczynny, uzdrawiający pocałunek. - Dobranoc, Rodolfo - powiedziała uśmiechając się. Rudolf wiedział, że uśmiech ten zapamięta na długo.

Kiedy wyszedł na ulicę, taksówka już stała, dieslowski silnik sprawiał wrażenie łodzi motorowej oczekującej na wyjazd w morze.

Podróże...

- Hotel „Negresco” - powiedział Rudolf wsiadając. Taksówka ruszyła, Rudolf obejrzał się na dom. Było to absolutnie konieczne, żeby mógł go znów odnaleźć, żeby potrafił rozpoznać go w marzeniach. Pod hotelem „Negresco” bardzo uważnie przechodził na drugą stronę ulicy, do zaparkowanego samochodu. Potem, siedząc za kierownicą wynajętego auta, jechał wolno i bardzo ostrożnie opustoszałą drogą wzdłuż morza w kierunku Antibes.

W porcie zwolnił jeszcze bardziej, potem nagle skręcił na parking, wysiadł i ruszył nadbrzeżem aż do miejsca, gdzie w uśpionej przystani stała na kotwicy „Klotylda”. Jacht był nie oświetlony.

Rudolf nie chciał obudzić Wesleya ani Króliczka. Zdjął buty i zszedł z pokładu do łodzi przywiązanej przy burcie, odwiązał linę, usiadł pośrodku i cicho włożył wiosła w dulki. Wiosłował niemal bezszelestnie, oddalając się od jachtu w kierunku środka przystani, a potem

ciągnąc mocniej wiosłami, w stronę wejścia do portu. W nozdrzach czuł smolisty zapach wody pomieszany z kwiatową wonią napływającą od brzegu.

Działał niemal automatycznie, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi. Ucisk wiosel na ręce i ramiona sprawiał mu autentyczną przyjemność, a odgłosy uderzania fali dziobowej o burty łódki wydawały się odpowiednią muzyką na zakończenie tej nocy.

Zatopione w cieniu miasto Antibes, z błyskającymi gdzieś światłami, oddalało się powoli, w miarę jak Rudolf zbliżał się do czerwonych i zielonych świateł wyznaczających kanał wyjściowy w morze. Sprawiały mu przyjemność rytmiczne poruszenia ciała, pochylającego się w przód i odchylającego się do tyłu. Ileż razy te same wiosła poruszały się w rękach jego brata. Czuł słabość własnych dłoni zaciśniętych na gładkim drewnie, wypolerowanym silnymi rękami Toma. Spodobała mu się myśl, że rano będzie miał prawdopodobnie pęcherze.

Ta samotność na ciemnej powierzchni wody była dla niego błogosławieństwem, a migające światła u wejścia do portu pocieszeniem, zapowiedzią bezpiecznej przystani. Tutaj możliwy był smutek, ale także nadzieja. „Tom, Tom” - powiedział miękko, kiedy znalazł się na morzu i poczuł, jak łagodne kołysanie fal unosi łódkę. Przypomniawszy sobie wszystkie sytuacje, kiedy zawiedli się nawzajem, i ostatnie dni, kiedy już zapomnieli o tych zawodach, a w każdym razie wybaczyli je sobie.

Płynął niestrudzony i pogodny, samotny w czarnej nocy, gdy nagle posłyszał silnik niewielkiego rybackiego kutra z małą acetylenową lampą na dziobie, wychodzącego tuż za nim w morze. Kuter przepłynął obok, Rudolf mógł dostrzec dwóch mężczyzn przyglądających mu się ciekawie. Zdawał sobie sprawę, jak dziwaczny musi się im wydawać samotny człowiek w ciemnym garniturze wypływający o tej godzinie w morze. Wiosłował, dopóki kuter nie zniknął mu z oczu, potem odłożył wiosła i spojrzał w usiane gwiazdami niebo.

Myślał o swoim ojcu, rozwścieczonym i żalonym starym człowieku, który także wiosłował w ciemności, który na swoją ostatnią podróż wybrał sobie noc sztormu. Samobójstwo mógł popełnić jego ojciec, który w śmierci znalazł spokój, jakiego nigdy nie osiągnął za życia. Dla niego było niemożliwe. Był innym człowiekiem, inne stawiano mu żądania. Odetchnął głęboko, zawrócił i powiosłował z powrotem do „Klotyldy”. Palily go dłonie.

Spokojnie przywiązał łódkę do rufy „Klotyldy”, wspiął się po drabince na pokład i zszedł na brzeg. Włożył buty, rytuał został dopełniony, ceremonia zakończona. Rudolf wszedł do samochodu i zapalił silnik.

Dotarł do hotelu już po trzeciej. Hall był pusty, nocny portier ziewał za biurkiem. Rudolf poprosił o klucz i już zbliżał się do windy, kiedy recepcjonista zawołał:

- Och, panie Jordach. Pani Burke zostawiła dla pana wiadomość. Ma pan zadzwonić do niej zaraz po powrocie. To pilne.

- Dziękuję - powiedział Rudolf znużonym głosem. O cokolwiek chodzi, Gretchen będzie musiała poczekać do rana.

- Pani Burke prosiła, żebyśmy zadzwonił do niej, jak tylko pan przyjdzie. Bez względu na porę. - A więc przypuszczała, że będzie próbował jej unikać, i przedsięwzięła środki, żeby mu to uniemożliwić.

- Rozumiem - powiedział Rudolf. Westchnął. - Proszę więc do niej zadzwonić i powiedzieć, że przyjdę, tylko najpierw zajrzę do żony.

- Powinien był zostać na noc w Nicei. Albo wiosłować do świtu. I stawić wszystkiemu czoło w świetle dnia.

- I jeszcze jedno - powiedział recepcjonista. - Pytał o pana pan Hubbell. Mówił, że jest z pisma „Time”. Korzystał z teleksu.

- Jeżeli przyjdzie tu i jeszcze raz będzie o mnie pytał, proszę powiedzieć, że mnie nie ma.

- Rozumiem. Bonne nuit, monsieur.

Rudolf zadzwonił na windę. Miał zamiar zatelefonować do Jeanne, życzyć jej dobrej nocy i spróbować powiedzieć, co dla niego zrobiła, posłuchać jej matowego głosu z ostrymi, zmysłowymi nutami, zapaść w sen w którym pamięć tej nocy zdjęłaby ciężar sennych majaków. Teraz mógł o tym wszystkim zapomnieć. Wszedł do windy i poczuł się bardzo stary. Wysiadł na swoim piętrze i możliwie najciszej otworzył drzwi do apartamentu. Światła paliły się zarówno w salonie, jak i w sypialni, w której spała Jean. Od czasu morderstwa nie chciała spać w ciemności. Kiedy zbliżał się do drzwi sypialni, zawołała:

- Rudolf?

- Tak, kochanie. - Rudolf westchnął. Miał nadzieję, że będzie spała. Wszedł do jej pokoju. Jean siedziała na łóżku, wpatrując się w niego. Rudolf automatycznie rozejrzał się w poszukiwaniu szklanki albo butelki. Nie było ani szklanki, ani butelki, a po wyrazie twarzy Jean poznał, że nie piła. Wygląda staro, pomyślał, staro. Ściągnięta twarz, przygaste oczy nad koronkową koszulą upodobniały ją do złośliwej karykatury kobiety, jaką będzie za czterdzieści lat.

- Która godzina? - zapytała szorstko.

- Po trzeciej. Lepiej położyć się spać.

- Po trzeciej. Konsulat w Nicei pracuje w dziwnych godzinach.

- Wziąłem sobie wolną noc.

- Od czego?

- Od wszystkiego.

- Ode mnie - powiedziała gorzko. - To już się stało prawie nawykiem, co? Twoim sposobem życia.

- Porozmawiamy o tym rano.

Jean wciągnęła powietrze.

- Śmierdzisz perfumami. Czy o tym też porozmawiamy rano?

- Jeżeli chcesz. Dobranoc.

Skierował się do wyjścia.

- Nie zamykaj drzwi - krzyknęła. - Muszę mieć otwarte wszystkie drogi ucieczki.

Zostawił drzwi otwarte. Gdyby tylko potrafił się nad nią litować.

Przeszedł przez salon do swojej sypialni, tym razem zamykając za sobą drzwi. Potem otworzył drzwi prowadzące z jego pokoju na korytarz i wyszedł. Nie miał ochoty tłumaczyć Jean, że musi się zobaczyć z Gretchen w jakiejś sprawie, którą siostra uważała za pilną.

Pokój Gretchen był w końcu korytarza. Rudolf przeszedł obok par butów wystawionych przez gości do wyczyszczenia, w czasie kiedy spali. Europa bliska jest komunizmu, pomyślał, ale przyszli komisarze, obiecujący Troccy, ciągle jeszcze, każdej nocy między północą a szóstą rano polerują buty.

Zapukał do drzwi Gretchen. Otworzyła natychmiast, jak gdyby stała tam zaalarmowana telefonem z recepcji, jak gdyby nie mogła znieść jeszcze tej sekundy czy dwóch, które zajęłoby jej przejście przez pokój, by zobaczyć się z bratem. Ubrana była w jasnoniebieski szlafrok frote, takiego samego koloru jak suknia, którą miała na sobie Jeanne w kawiarni. Pomyślał, że Gretchen ze swą drobną, bladą twarzą, ciemnymi włosami i silnym pełnym wdzięku ciałem była uderzająco podobna do Jeanne.

- Wejdz. Tak się niepokoiłam. Gdzie ty byłeś, na Boga?

- To długa historia. Nie możemy poczekać do rana?

- To nie może czekać do rana - powiedziała zamykając drzwi.

Pociągnęła nosem. - Bosko pachniesz, braciszku. - W głosie Gretchen był sarkazm. - A wyglądasz tak, jakbyś się przed chwilą pieprzył.

- Jestem dżentelmenem - powiedział Rudolf, starając się zbagatelizować oskarżenie. - Dżentelmeni nie dyskutują o takich sprawach.

- Damy dyskutują. - Gretchen miała w sobie coś wulgarnego.

- Nie mówmy o tym, proszę - powiedział. - Muszę się przespać. Cóż jest tak cholernie pilnego?

Gretchen opadła w wielki fotel, jak gdyby była już zbyt zmęczona, by dłużej stać.

- Króliczek Dwyer, dzwonił przed godziną - powiedziała bezbarwnie.

- Wesley jest w więzieniu.

- Co takiego?

- Wesley jest w więzieniu w Cannes. Wdał się w bójkę w barze i o mało nie zabił człowieka butelką od piwa. Uderzył gliniarza i policja musiała go poskromić. Czy to jest dla ciebie wystarczająco pilne, braciszku?

ROZDZIAŁ IV

Z notatnika Billy Abbotta, Dzisiaj w Brukseli były zamieszki, eksplodowały bomby. Chodzi o to, czy dzieci rodzin mówiących po flamandzku mają się uczyć w swoim własnym języku, czy też po francusku, i o to, żeby napisy na ulicach były w obydwu językach. A czarni w naszych jednostkach przebąkują o buncie, jeżeli nie będzie im wolno nosić afro. Ludzie gotowi są rozszarpać się o byle co. I dlatego właśnie, co przykro powiedzieć, jestem w mundurze, chociaż nie mam najmniejszej ochoty kogokolwiek skrzywdzić i jeśli o mnie chodzi, to każdy, kto tylko chce, może sobie mówić po flamandzku po baskijsku, serbochorwacku czy nawet sanskrytem, a moją jedyną reakcją byłoby powiedzenie, że dla mnie to brzmi pięknie.

Czyżby mi czegoś brakowało?

Tak przypuszczam. Jeżeli ktoś jest silny, to pragnie dominować nad wszystkim i wszystkimi dokoła. Trudno dominować nad ludźmi, którzy mówią innym językiem; w takich wypadkach siła wywołuje złe reakcje, czego przykładem są turyści amerykańscy w restauracjach Europy: zaczynają krzyczeć, kiedy kelner nie może zrozumieć, co zamawiają. W kategoriach politycznych równa się to brygadam specjalnej policji do zwalczania zamieszek i bombom łzawiącym.

Monika mówi po niemiecku, angielsku, francusku, flamandzku i hiszpańsku. Twierdzi, że umie czytać po celtycku. Jeżeli mogę coś na ten temat powiedzieć, to wydaje mi się, że jest pacyfistką w równym stopniu co ja, ale pracując jako tłumacz w NATO musi wykrzykiwać najstraszliwsze groźby, ułożone przez wojowniczych starców pod adresem innych wojowniczych starców z przeciwnego skrzydła wielkiego domu wariatów, w którym wszyscy mieszkamy.

Dzisiaj spędziłem z nią cały dzień w łóżku.

Od czasu do czasu nam się to zdarza.

Dwyer czekał przed prefekturą w Cannes, kiedy podjechała taksówka.

Rudolf zdecydował, że rozsądniej będzie przyjechać taksówką niż samochodem. Nie chciał atakować francuskiego komisariatu domagając się uwolnienia siostrzeńca, i w efekcie być zmuszonym do dmuchania w balonik. Dwyer, mimo grubego granatowego marynarskiego swetra, drżał, oparty o ścianę, a jego twarz była zielonkawobiała w wodnistym świetle lamp prefektury. Wsiadając z taksówki Rudolf spojrzął na zegarek. Było po czwartej. Ulice Cannes opustoszały, wszyscy załatwili już swoje sprawy na tę noc lub odłożyli je do

rana.

- O Boże! - powiedział Dwyer. - Cieszę się, że cię widzę. Co za noc! Kurwa, co za noc!

- Gdzie on jest? - zapytał Rudolf, próbując nadać swemu głosowi spokojny ton, aby przytępić trochę histerię malującą się na twarzy Dwyera w nerwowym geście pocierania pięścią o wewnętrzną stronę dłoni.

- Gdzieś w środku. Pewnie w celi. Nie pozwolili mi się z nim zobaczyć. Nie mogę tam wejść. Powiedzieli, że mnie też zapuszczają, jeśli jeszcze raz się pokażę. Francuska policja - powiedział z goryczą. - Równie dobrze można by rozmawiać z Hitlerem.

- Jak on się czuje? - zapytał Rudolf. Patrząc na Dwyera zgarbionego w zimnym powietrzu nocy, sam poczuł przebiegające po plecach dreszcze. Ubrany był jak na ciepły dzień, wychodząc z hotelu nie pomyślał o płaszczu.

- Nie wiem, jak się czuje teraz - powiedział Dwyer. - Nie był w takim złym stanie, kiedy go wciągali do środka. Ale uderzył glinę i Bóg jeden wie, co z nim zrobili, odkąd go tam zabrali.

Rudolf bardzo chciał, żeby była otwarta jakaś kawiarnia, marzyło mu się oświetlone miejsce choćby z imitacją ciepła. Jednak ulica ciągnęła się w obydwie strony, wąska i ciemna, oświetlona jedynie słabym migotaniem latarni.

- W porządku, Króliczku - powiedział pocieszająco. - Już jestem.

Zobaczę, co się da zrobić. Ale musisz mnie wprowadzić. Co się właściwie stało?

- Zabrałem go na kolację do Antibes - zaczął Króliczek obronnym tonem, jak gdyby Rudolf go oskarżał, jak gdyby jego niewinność wymagała obrony i potwierdzenia, zanim cokolwiek innego zostanie powiedziane czy zrobione. - W taki wieczór nie mogłem przecież zostawić chłopaka samego.

- Oczywiście.

- Wypiliśmy trochę wina. Wesley zawsze pił wino razem z nami, w obecności ojca, który nalewał mu z butelki, jakby chłopak był dorosły; zapomina się, że to dzieciak... Zresztą, we Francji... - Głos Dwyera załamał się, jak gdyby ta butelka wina wypita z chłopcem w restauracji w Antibes była jeszcze jednym niesłusznym oskarżeniem przeciwko niemu.

- Wiem - powiedział Rudolf, próbując ukryć zniecierpliwienie. - I co dalej?

- Potem chłopak zażądał koniaku. Wypił dwa. Pomyślałem: dlaczego nie? W końcu w dzień pogrzebu własnego ojca... Nawet gdyby się upił, byliśmy blisko portu, mogłem bez kłopotu odtransportować go na statek. Tylko że on nie chciał wracać na statek. Nagle wstał od stołu i powiedział: „Jadę do Cannes”. „Po diabła wybierasz się do Cannes o tej porze?” -

zapytałem. „Odwiedzić nocny lokal” - powiedział To jego własne słowa. Odwiedzić. „Zamierzam odwiedzić Porte Rose!”. Bóg wie, jak ten cały dzień, koniak i to wszystko podziało na chłopaka. Przysięgam, że próbowałem go powstrzymać.

„Odpieprz się, Króliczku” - powiedział. Nigdy przedtem nie mówił tak do mnie. Miał dziwny wyraz twarzy. Nie zatrzymałby go nawet buldożer. „Nikt cię nie prosi, żebyś ze mną szedł - powiedział. - Idź się wyśpij”. Zanim go dogoniłem i złapałem za ramię, już wychodził z restauracji. Nie mogłem przecież pozwolić, żeby poszedł sam w to przekłete miejsce.

- Nie - powiedział znużony Rudolf. - Zrobiłeś dobrze. - Zastanawiał się, czy on sam na miejscu Dwyera postąpiłby lepiej czy gorzej. Pewnie gorzej, pomyślał.

- Wzięliśmy więc taksówkę i pojechaliśmy do „Porte Rose”. - Dwyer gadał bez końca; strach, smutek czy też bezsilność czyniły go rozmownym. - W taksówce Wesley nie powiedział słowa. Ani jednego słowa. Po prostu siedział i wyglądał przez okno, jak turysta. Kto, u diabła, mógł wiedzieć, co chodziło mu po głowie? Nie jestem psychologiem, nigdy nie miałem dzieci, skąd mogę wiedzieć, o jakich szaleństwach myślał? - W głosie Dwyera znowu pojawiła się nuta podejrzliwości, że nikt w jego niewinność nie uwierzy ani jej nie uzna. - Więc - ciągnął dalej - pomyślałem, wszystko w porządku, chłopak jest wytrącony z równowagi, ale kto nie jest w taki dzień? Ma jakieś szalone pomysły, ale może winien jest to swojemu staremu, żeby pójść i zobaczyć miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. Widział koniec, popioły lecące w morze, może powinien zobaczyć także początek.

Początek, pomyślał Rudolf, przypominając sobie nieokrzesanego brata, z którym dzielił łóżko nad piekarnią, początek to nie był nocny lokal w Cannes. Trzeba by cofnąć się dalej w przeszłość.

Znacznie dalej.

- Pomyślałem, że to może nawet dobry pomysł - ciągnął Dwyer. - W każdym razie jedno było pewne, nie będzie tam tego Jugosłowianina, z którym się bił Tom, policja poluje na niego, od czasu gdy z nim rozmawiali w dzień po morderstwie, i do tej pory nie znaleźli śladu. Zresztą ja nigdy nie widziałem tego faceta i Wesley też nie, więc nie rozpozna go, nawet gdyby w świetle reflektora stał przy barze obok nas. Nie będzie to dla mnie przyjemne doświadczenie, ale w końcu co to szkodzi, kilka drinków, potem do łóżka i jutro kac.

- Rozumiem, Króliczku - powiedział Rudolf, drżąc z zimna. - Nie mogłeś zrobić nic innego w tej sytuacji.

Dwyer energicznie skinął głową.

- W tej sytuacji - powtórzył.

- Jak się zaczęła bójka? - zapytał Rudolf. Usprawiedliwienia Dwyera można odłożyć

do jutra. Jest czwarta nad ranem. Rudolfowi było zimno, Wesley był w komisariacie i może właśnie przesłuchiwały go gliny. - Czy Wesley zawinił?

- Zawinił? Czy kiedykolwiek wiadomo, czyja to wina, jeśli coś takiego się zdarzy? - Usta Dwyera drżały. - Staliśmy przy barze, nic do siebie nie mówiąc, po dwóch albo może po trzech whisky, bo już piliśmy szkocką; Wesley chciał szkocką, nie sprawiał wrażenia pijanego... Ten chłopak musi mieć głowę mocną jak stal... A obok niego stał wielki Anglik, który pił piwo i gadał głośno. Zszedł pewnie z jakiegoś statku w porcie, bo łatwo było poznać w nim marynarza, mówił coś po angielsku o Amerykanach do dziewczyny, a nie musiało to chyba być bardzo pochlebne, bo Wesley odwrócił się nagle do niego i powiedział spokojnie: „Wyłącz temat Amerykanów, wyspiarzu”.

O Boże, pomyślał Rudolf, cóż za pora i miejsce na patriotyzm.

- Mówił coś o tym, jak to Amerykanie pozwolili Anglikom walczyć w ich wojnie; Wesleya nawet wtedy nie było na świecie, cóż go to, do diabła, mogło obchodzić? Chryste, jego własny ojciec nie biłby się w barze, gdyby nawet dziesięciu Anglików powiedziało, że wszyscy Amerykanie to sutenerzy i kurwiarze. Ale Wesley palił się do bójki. Nigdy przedtem nie widziałem, jak się bił, ale Tom opowiadał mi o nim, zorientowałem się, na co się zanoszą, złapałem go za rękę i powiedziałem: „Chodź, chłopie, czas wracać”. Ten Anglik, on musiał chyba ważyć ze dwieście funtów, miał trzydzieści albo trzydzieści dwa lata... i wypił tyle piwa... powiedział wtedy: „Czy mógłbyś to powtórzyć, synku?” I wtedy Wesley, miły i spokojny, powiedział: „Wyłącz temat Amerykanów, wyspiarzu”.

I jeszcze nawet wtedy można było wszystkiego uniknąć, bo ta dziewczyna ciągnęła Anglika za rękaw i mówiła: „Chodźmy do domu, Arnold”. Ale on ją odtrącił i powiedział do Wesleya: „Z jakiego jesteś statku, bracie?” Widziałem, jak powoli sięgał po stojącą na barze butelkę od piwa. A Wesley odpowiedział: Z „Klotyldy”, i czułem, jak się napięły wszystkie mięśnie jego ramienia. Anglik się roześmiał. „Lepiej, poszukaj sobie innego miejsca, synu, bo nie wydaje mi się, żeby od dziś „Klotylda” miała być popularnym statkiem”. Myślę, że ten śmiech zadecydował. Wesley gwałtownym ruchem wyciągnął rękę, pierwszy chwycił butelkę i rozbił ją na twarzy faceta. Anglik osunął się, cały zakrwawiony, wszyscy dokoła zaczęli krzyczeć, a Wesley zaczął go tratować z najbardziej szalonym wyrazem, jaki kiedykolwiek widziałem na chłopięcej twarzy. Gdzie on się nauczył bić w ten sposób, nikt się nigdy nie dowie. Rany boskie, jak on go tratował. I śmiał się jak szalony, a ja, uwieszony jego ramienia, próbowałem go odciągnąć, ale dla niego znaczyłem nie więcej niż komar bzycający koło szyi.

To nie trwało długo. Przy stoliku siedziało dwóch gliniarzy po cywilnemu, skoczyli na niego, ale tak zdzielił jednego, że glina osunął się na kolana. Wtedy drugi gliniarz wyciągnął

pałkę, trzasnął Wesleya w szyję, i to był koniec meczu. Potem wywlekli chłopca do wozu policyjnego; nie pozwolili mi jechać, więc pobiegłem do komisariatu, a karetka na światłach, z włączoną syreną, pognąła z pełną szybkością. Bóg jeden wie, w jakim stanie jest teraz ten Anglik. - Dwyer westchnął. - I to by było wszystko - powiedział bez tchu. - Wszystko. Teraz już wiesz, o co chodzi, dlaczego telefonowałem do hotelu.

Rudolf westchnął także.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś - powiedział. - Poczekaj tutaj.

Zobaczę, co się da zrobić.

- Poszedłbym z tobą - powiedział Dwyer. - Ale oni nie znoszą mojego widoku.

Rudolf wyprostował ramiona i wszedł do komisariatu, trochę oślepiiony nagłym światłem, i mimo zadania, jakie go czekało, rad z ciepłego wnętrza. Miał świadomość tego, że jest nie ogolony, ma pogniecione ubranie. Czułby się znacznie bardziej pewny siebie, gdyby - cytując słowa Gretchen - nie wyglądał tak, jakby właśnie przed chwilą się pieprzył. Miał także świadomość, że ciągle jeszcze otacza go piżmowa woń perfum. Nie jesteś odpowiednio ubrany i odświeżony na tę okazję, mówił sobie, podchodząc do wysokiej barierki, zza której przyglądał mu się gniewnie gruby policjant o sinych szczękach.

Podróże, myślał, kiedy się uśmiechał, czy też kiedy zdawało mu się, że się uśmiecha do policjanta, podróże poszerzają horyzonty; zwiedza się katedry, łóżka żon wojskowych z kontynentu, przepływa ponad kadłubami statków zatopionych w licznych wojnach, poznaje się zagraniczne obyczaje, dziwne towary, komisariaty, krematoria...

- Nazywam się Jordach - powiedział powoli po francusku do siedzącego za biurkiem policjanta. - Jestem Amerykaninem... - Czy ten policjant wiedział coś o Lafayettecie, planie Marshalla, dniu inwazji? Zagrać na wdzięczność? Słaba szansa.

- Podobno macie tutaj mojego bratanka, Wesleya Jordacha?

Policjant powiedział coś po francusku tak szybko, że Rudolf nie mógł zrozumieć.

- Proszę mówić powoli. Nie jestem mocny we francuskim.

- Niech pan przyjdzie o ósmej rano - policjant powtórzył wolno, i Rudolf zdołał go zrozumieć.

- Chciałbym się z nim zobaczyć teraz.

- Słyszał pan, co powiedziałem - policjant mówił przesadnie wolno, podniósł obie dłonie i pokazał osiem palców.

Rudolf doszedł do wniosku, że policjant nie słyszał nigdy o Lafayettecie ani o inwazji.

- On może potrzebować opieki lekarskiej - powiedział.

Policjant znów się odezwał z szyderczą powolnością:

- Ma doskonałą opiekę lekarską. O ósmej rano. Francuskiego czasu - roześmiał się.

- Czy ktoś tutaj mówi po angielsku? - To jest komisariat policji, monsieur.

Nie jesteśmy na Sorbonie.

Rudolf chętnie zapytałby o kaucję, ale nie znał odpowiedniego francuskiego słowa. Każdego roku musi być w Cannes pięćdziesiąt tysięcy amerykańskich i angielskich turystów, i chociaż jeden z tych drani mógłby zadać sobie trud i nauczyć się angielskiego.

- Chciałbym pomówić z pana przełożonym - upierał się Rudolf.

- Nie ma go w tej chwili.

- To z kimkolwiek.

- Ja jestem ktokolwiek. - Policjant znów się roześmiał. Potem spochmurniał. Nachmurzona mina była u niego czymś bardziej naturalnym niż śmiech. - Jest pan proszony o wyjście, monsieur - powiedział ostro. - Ten pokój musi być pusty.

Przez chwilę Rudolf myślał o zaproponowaniu łapówki. Ale tej nocy popełnił już jeden błąd, proponując pieniądze w niewłaściwym miejscu. Tutaj byłoby to znacznie bardziej niebezpieczne.

- Proszę wyjść, proszę wyjść, monsieur - policjant niecierpliwie machał tłustą ręką. - Mam pracę do wykonania.

Pokonany Rudolf opuścił komisariat. Dwyer czekał na niego, uderzając pięścią jednej ręki o wewnętrzną stronę drugiej dłoni.

- I co? - zapytał.

- Nic z tego - powiedział bezbarwnie Rudolf. - Nie przed ósmą rano. Możemy przenocować tutaj, w hotelu. Nie ma sensu wracać do Antibes na te kilka godzin.

- Nie chciałbym tak zostawić „Klotyldy” - zaczął Dwyer. - Trudno powiedzieć, co w tej sytuacji... - Nie dokończył myśli. - Wrócę tu rano.

- Jak chcesz - powiedział Rudolf. Czuł się tak, jak gdyby biegł przez wiele godzin. Wczesnym rankiem zatelefonuje do adwokata w Antibes. Przypomniał sobie starego Teddy Boylana, którego rodzina miała cegielnię w Port Philip, gdzie Rudolf się urodził, i który zaprzyjaźnił się z nim, jeśli można to określić tym słowem, i w pewnym sensie wykształcił go. Teddy Boylan radził mu skończenie prawa. „Prawnicy rządzą światem” - powiedział. Być może to dobra rada dla mężczyzn, którzy chcą rządzić światem. Kiedyś on też do nich należał. Kiedyś. A gdyby posłuchał tej rady i został adwokatem, czy policjant o sinych szczękach wyśmiewałby go i wyrzucił za drzwi? Czy Wesley siedziałby teraz za kratkami, zdany na łaskę gliny, którego znokautował w bójce? Czy Tom żyłby jeszcze, a może przynajmniej miałby bardziej godną śmierć?

Rozmyślenia o czwartej nad ranem.

Szedł ciężkimi krokami po opustoszałych już teraz ulicach, oczyszczonych z kurw, graczy i karetok pogotowia, w stronę hotelu „Carlton”, gdzie będzie mógł dostać pokój i przespać się kilka godzin, a Dwyer znajdzie taksówkę, która zawiezie go z powrotem na „Klotyldę”.

Tak właśnie musiał się czuć ojciec ze sto razy w życiu, pobity i zbolały, nie mając ochoty się poruszyć, myślał Wesley, kiedy leżał na kamiennej ławie w celi, do której go wrzucono. Myśl ta w jakiś sposób podnosiła go na duchu, poczuł się bliższy ojcu, czego nie dała mu popołudniowa modlitwa. Teraz był spokojny, rozluźniony, niczym się nie przejmował, w każdym razie jeszcze nie w tej chwili. Cieszył się, że odciągnięto go od Anglika, i miał nadzieję, że nie zabił sukinsyna.

Jeżeli ten drań nie umarł, to Rudi wyciągnie go stąd. Rudi Jordach, rodzinny specjalista od załatwiania spraw. Wesley, pomyślawszy o tym, musiał się uśmiechnąć, chociaż uśmiech sprawił mu ból.

Uśmiech jednak szybko zniknął. Wesley nie znał wystarczająco długo swojego ojca. Nie wiedział, jaki okres byłby wystarczający.

Wiedział tylko, że jemu tego czasu nie wystarczyło. Nie będzie już długich rozmów w ciemnej kabinie sterowej. Ojciec zwykł to nazywać czasem rekompensaty, wypełniania luk, nadrabiania lat, kiedy to matka uciekała z Wesleyem, przepychała go z jednej żalostnej szkoły do drugiej i mówiła, że ojciec go porzucił, uciekł z nędzną dziwką, już prawdopodobnie nie żyje, jeśli nadal prowadził taki tryb życia, pijąc, łajdacząc się, grając w karty, bijąc się, trwoniąc pieniądze, nieprzyjaciel wszystkich. Matka odpowiedzialna była za wiele rzeczy.

Jeżeli już o tym mowa, on sam też ponosił za wiele rzeczy odpowiedzialność. Gdyby był trochę uważniejszy i dostrzegł czy wyczuł zatopioną kłodę, w którą uderzyli, i gdyby nie musieli wracać do Antibes na remont, płynęliby teraz wszyscy wzdłuż wybrzeży Włoch. Portofino, Elba, Sycylia. Ojciec mówiłby tym swoim niskim, ochrypłym głosem, wszyscy spaliby pod pokładem, a on opowiadałby o Klotyldzie Deveraux, kobiecie, której imię nosi statek, służącej w domu grubego niemieckiego wuja Harolda, szorującej nagiemu Tomowi plecy w wannie, podającej mu gigantyczne posiłki, kochającej się z nim. Pierwsza prawdziwa miłość, powiedział ze smutkiem ojciec, trwała krótko i odeszła.

Gdyby nie spał jak dziecko, usłyszałby kroki na pokładzie, tak jak słyszał wszystko ojciec, bez względu na to, czy był zmęczony i czy spał głęboko; gdyby wtedy zobaczył swojego ojca idącego samotnie na odsiecz Jean Jordach, mógłby z nim pójść; może miałby

tyle rozsądku, żeby skłonić go do wezwania policji, a przynajmniej byłby z nim i Jugosłowianin zrozumiałby, że walka nie ma sensu.

Kogo ja oszukuję? - pomyślał Wesley. - Którejś nocy zdarzyłoby się to w Portofino, na Elbie czy Sycylii. Nie można było powstrzymać Jean Jordach od wikłania się w kłopoty i wciągania w nie wszystkich. Nie lubił jej od początku i powiedział to ojcu. Ojciec mówił: „Przyznaję, że ona ma swoje problemy. Ja bym się z nią nie ożenił, ale Rudi to zupełnie innego rodzaju człowiek. Ona jest bogata, była ładna, elegancka...” Tom wzruszył ramionami.

„Może trzeba płacić za bogactwo, urodę i elegancję”. Tylko że zapłacić musiał jego ojciec. Był zbyt odważny, zbyt pewny siebie.

„Sam miałem masę kłopotów z kobietami”. Mówiąc to uśmiechał się w ciemności trochę smutno. Opowiedział też synowi o bliźniaczkach z Elysium w Ohio, które podobno wykorzystał, tak przynajmniej twierdzono, kiedy zaarrestowano go pod zarzutem gwałtu. „Z dzisiejszej perspektywy - powiedział filozoficznie Tom - wydaje mi się, że może było warto, ale wtedy tak nie myślałem. Chyba powinienem cię ostrzec, żebyś był ostrożny, ale nie sądzę, żeby to coś pomogło, prawda, Wesley?”

„Jestem dość ostrożny” - powiedział Wesley. Przespał się z dwiema mężatkami w czasie dwu różnych rejsów, podejmując ryzyko, bo ich mężowie byli na pokładzie, i zdawał sobie sprawę, że ojciec o tym wie.

„Zauważyłem, że to lubisz” - powiedział sucho Tom.

„Chyba przeciętnie” - powiedział Wesley.

„Ja też lubiłem. Była jedna taka szalona Angielka, która nazywała się... zaraz, nie mogę sobie przypomnieć... Betty, Betty jakoś tam, aha, Betty Johns. Przez nią o mało nie zabito mnie w Paryżu, bo spędziłem z nią dwa tygodnie w Cannes, trwoniąc pieniądze, pompując w siebie wino i wymyślne potrawy przed walką. W momencie gdy ten paryski pojedynek dobiegł końca i Francuz pobił mnie już wszystkimi możliwymi sposobami, nie używając do tego celu jedynie wiadra z wodą, byłem gotów złożyć śluby i zostać mnichem”. Tom zachichotał.

W tych reminiscencjach z przeszłości, odkrywanych przed synem, pojawiały się także inne nazwiska, przy których Tom nie chichotał: chłopca, z którym podpalił krzyż na trawniku Boylana i który go później wsypał; menażera Schultzy'ego; człowieka z Revere Club, od którego próbował szantażem wyciągnąć pięć tysięcy dolarów; Falconettiego, którego skompromitował w oczach dwudziestu siedmiu członków załogi statku, co doprowadziło tamtego do samobójstwa.

Tak jakby uważał, że chłopiec spragniony ojca, znalazłszy go wreszcie, może powziąć

o nim fałszywe, zbyt szlachetne wyobrażenie, któremu on nie będzie mógł sprostać, musi je więc skorygować, by oszczędzić synowi nieuniknionego i gorzkiego rozczarowania.

Rady, które mu dawał, były praktyczne. „Lubisz morze. Idź za tym głosem. To dobre życie, w każdym razie, jeśli będziesz miał szczęście jak ja. Przyjemna mieszanka lenistwa i pracy. Ciągłe coś nowego. I w dodatku na świeżym powietrzu. W końcu zostaniesz właścicielem „Klotyldy” albo nawet lepszego statku. Znasz się na tym. Dbaj o statek, otaczaj go miłością, tak jak Dwyer i ja. I radzę ci nie pieprzyć klientek”. Uśmiechnął się. Nie mógł pozostać obojętny na przemożne zainteresowanie młodego człowieka seksem.

„Bądź swoim własnym szefem, bo praca dla kogoś to pułapka. Naucz się wszystkiego. Na pokładzie i pod pokładem. Masz doskonałą okazję, by obserwować mnie, Króliczka i Kate. Nie żałuj pieniędzy na wyposażenie. Jeżeli z jakichkolwiek powodów nie podoba ci się klient, wysadź go w najbliższym porcie. Jeżeli przyłapiesz klienta na używaniu narkotyków, wyrzuć je za burtę, nie podejmując żadnej rozmowy na ten temat. Jeśli to możliwe, nie pij z klientami.

Będzie cię stać na własne trunki. Nie bądź zachłanny. Takie wiadomości szybko się rozchodzą. Jeżeli nie podoba ci się pogoda, płyn do portu, nie zwracając uwagi na to, że jakiś ważniak na pokładzie mówi, że musi być w Rzymie, w Cannes czy w Atenach na spotkaniu w interesach czy że musi skądś zabrać dziewczynę. Nie zgłaszaj się na ochotnika na żadne wojny. Nie wycofuj się, ale sam nie zaczynaj bójek...”

Wesley pomyślał, że powinien był nagrać to wszystko na taśmę i puszczać sobie co wieczór przed zaśnięciem.

„Trzymaj broń na pokładzie. Na wszelki wypadek. Zamknij ją. Może się przydać”. Ojcowskie dziedzictwo: nie oszczędzaj na wyposażeniu i trzymaj broń pod ręką.

Wesley nie miał pojęcia, gdzie na „Klotyldzie” chowano rewolwer.

Króliczek pewnie wiedział, ale Wesley był pewien, że mu nie powie.

I tak w najważniejszej chwili nie było tej broni pod ręką.

Ojciec ciągle mówił w tej ciemności za kratami, głos miał spokojny, lekko rozbawiony, ale słowa były niezrozumiałe. Ból w tyle głowy Wesleya pulsował, wspomnienie głosu ojca oddaliło się, jak dźwięk boi mijanej z lewej strony dziobu we mgle. Wesley usnął.

ROZDZIAŁ V

Z notatnika Billy Abbotta, Mam słabość do mojego ojca, który jest człowiekiem słabym.

Wybaczyłem mu. Nie mam słabości do mojej matki, która jest silną kobietą i której nie wybaczam. Niech uczeni, którzy w następnym stuleciu będą się przedzierać przez ruiny Brukseli, jakoś sobie z tym poradzą. Wszyscy jesteśmy w jakiś sposób prześladowani przez naszych rodziców. Mnie prześladowuje dwóch ojców. William Abbott, który mnie spłodził, był - i myślę, że dalej jest - niewielki, zachwycający, czarujący i bezużyteczny.

Colin Burke, drugi mąż mojej matki, był błyskotliwym, egoistycznym, utalentowanym człowiekiem, u którego aktorzy grali jak aniołowie, a ekran rozświecał się jak ognisko. Kochałem go i podziwiałem, i chciałem być do niego podobny, gdy dorosnę. Obawiam się jednak, że jestem podobny do Willie'ego Abbotta, choć brak mi tych zalet, które stanowią o jego uroku. Jego też kochałem.

Z pięćdziesiąt razy kładłem go do łóżka pijanego.

Dzisiaj rozegrałem pięć setów tenisa, obstawionych zakładami, i wszystkie wygrałem.

W ciągu tygodnia Rudolf był raz jeszcze w konsulacie w Nicei, dwukrotnie w więzieniu w Grasse, dokąd przeniesiono Wesleya, i trzykrotnie w biurze adwokata. Konsul zajął dość niesprecyzowane stanowisko i przeproszał za to, adwokat okazał się do pewnego stopnia pomocny, Wesley znacznie mniej: po prostu milczał, nie okazywał skruchy, nie czuł się też fizycznie zmęczony i mniej interesował go jego własny los niż los mężczyzn więzionych razem z nim, wśród których był złodziej biżuterii i paser kradzionych czeków i fałszerz dzieł sztuki. Wesley nie golił się od chwili aresztowania, gęsty jasny zarost nadawał mu niechlujny, dziczący wygląd, doskonale pasujący do otoczenia kryminalistów. Kiedy wszedł do niewielkiego pomieszczenia, w którym pozwolono Rudolfowi z nim rozmawiać, wniósł zjełczały, zwierzęcy zapach żarłocznej bestii zamkniętej w niehigienicznym zoo. Zapach ten przypomniał Rudolfowi pokój nad rodzinną piekarnią, łóżko, które dzielił z bratem jako nastolatek, kiedy Tom wracał późno po nocy spędzonej na burdach w mieście. Wyjął chusteczkę i udawał, że wyciera nos, kiedy Wesley uśmiechając się lekko usiadł po drugiej stronie niewielkiego, nie pomalowanego, obdrapanego stolika, będącego gwarantowanym prowansalskim zabytkiem, przywiezionym, dzięki uprzejmości policji, z ukwieconego miasta Grasse.

Rudolf przybrał poważny wyraz twarzy, chcąc podkreślić, że sprawa nie jest błaha. Za

pośrednictwem adwokata policja poinformowała go, że butelka od piwa może zostać uznana za broń niebezpieczną, i Wesley w najlepszym razie wyjdzie z więzienia po kilku tygodniach.

Wielokrotnie rozmawiał także Rudolf ze swoim adwokatem w Nowym Jorku, Johnny Heathem. Heath powiedział, że gdyby udało się Rudolfowi wypłatać spod jurysdykcji Francuzów, wtedy najprawdopodobniej trzeba by załatwiać sprawy spadkowe w Nowym Jorku, ostatnim znanym miejscu zamieszkania zamordowanego w Stanach, a to zajmie dużo czasu.

Zatoniemy wszyscy w papierach, pomyślał Rudolf. Johnny Heath powiedział, że jego zdaniem sędzia na pewno uczyni Kate Jordach egzekutorką masy spadkowej, choć jest ona obywatelką angielską, a sam spadek prawdopodobnie przypadnie w 1/3 Kate, a w 2/3 synowi Toma: pewnym czynnikiem komplikującym będzie tu jednak fakt, że Kate jest w ciąży. Słuchając tego Rudolf wyobrażał sobie, jak „Klotylda” i wszyscy na jej pokładzie toną w morzu rozporządzeń, nakazów sądowych i papierków prawniczych. Syn Toma, jako nieletni, będzie musiał mieć opiekuna do chwili ukończenia osiemnastu lat, i zdaniem Heatha nie ma żadnych przeszkód, żeby rola ta przypadła Rudolfowi, najstarszemu i najbliższemu krewnemu chłopca. Majątek ruchomy najprawdopodobniej trzeba będzie zlikwidować i zapłacić podatki, to znaczy, że w ciągu roku „Klotylda” musi zostać sprzedana. Heath jednak ostrzegął, że nie może jeszcze wypowiedzieć się wiążąco, musi przedtem zasięgnąć dodatkowych opinii.

Rudolf nic nie powiedział Wesleyowi o sprawach poruszonych przez Heatha. Zapytał jedynie, czy dobrze go traktują i czy czegoś potrzebuje. Chłopiec niedbałym tonem odpowiedział, że traktowany jest jak wszyscy inni i niczego nie potrzebuje. Trudny, niewdzięczny, stale wrogo usposobiony młodzieniec, pomyślał urażony Rudolf. Skracał swoje wizyty, jak tylko mógł.

Wrócił do hotelu zmęczony, ale tam nie czekało go nic lepszego.

Tak naprawdę było znacznie gorzej. Sceny z Jean stawały się coraz gwałtowniejsze. Chciała wracać do domu, wydostać się z tego więzienia; prawdopodobnie po raz pierwszy określono w ten sposób „Hôtel du Cap”. Nie wiadomo dlaczego, wbiła sobie do głowy, że Rudolf uniemożliwia jej wyjazd, a wyjaśnianie, że policja zatrzymała paszport, nie mogło zatamować potoku hysterii.

- Do jasnej cholery - powiedziała w czasie ostatniej awantury - ten twój szalony brat powinien był pilnować swojego nosa. Tamten by mnie zerznął, wielka rzecz. Nie byłabym pierwszą amerykańską damą, której się to przydarzyło we Francji, ale przynajmniej teraz jechałabym już do domu.

W chwili gdy ten ostry głos atakował jego uszy, Rudolf nagle przypomniał sobie Jean wkrótce po ich ślubie. Inteligentna, urocza, pełna temperamentu dziewczyna, z którą się kochał w ciepłe popołudnie w pokoju wychodzącym na morze (czy był to ten sam pokój, w którym teraz spała Jean, tego Rudolf nie mógł sobie przypomnieć). W to zdumiewające popołudnie chciała kupić mu jacht, wyznała mu wtedy, że jest znacznie od niego bogatsza; Rudolf przez cały czas uważał, że poślubił biedną, pracującą dziewczynę. Lepiej nie myśleć o tamtych dniach...

To, że Wesley o mało nie zabił człowieka, Jean uznała za dowód, iż u podstaw całej tragedii leży wrodzona Jordachom potrzeba gwałtu, a nie jej własne pijaństwo czy niezrównoważenie emocjonalne. „Tak czy inaczej - wrzeszczała - ze mną czy beze mnie, ci dwaj, mężczyzna i chłopiec, ze swoimi charakterami byli od początku skazani. To jest sprawa krwi”. Przypomniał sobie, że Gretchen powiedziała prawie to samo, i miał jej to za złe. Widział Wesleya w więzieniu. W żyłach chłopca płynęła nie tylko krew Jordachów.

Rudolf pamiętał matkę Wesleya, nadaśaną, zimną, zgrabną Teresę.

Kto wie, od jakich bandytów sycylijskich wywodził się ów smrodliwy zapach, ów wilczy uśmiech? Wina, jeżeli w ogóle chodziło tu o winę, musiała być sprawiedliwie rozdzielona.

- Wiem o twoim szalonym ojcu - nacierała Jean, oskarżając Rudolfa o jego splamionych zbrodnią niemieckich przodków. - Nie mam pojęcia, w jaki sposób tobie i twojej świątobliwej siostruni udało się na razie uciec od tego. A zresztą, weźmy twoją siostrę: jak zmarł jej mąż? Zabity, zabity, zabity...

- W wypadku samochodowym. - Rudolf próbował uciszyć piskliwy, wznoszący się głos. - Pięćdziesiąt tysięcy ludzi rocznie...

- Zabity - powtórzyła z uporem Jean. - Boję się nawet pomyśleć o tym, jakie życie będzie miało nasze dziecko z takim ojcem jak ty...

Wobec tych ataków Rudolf czuł się bezsilny. Był pewny siebie, zdolny do rozwiązywania racjonalnych problemów, ale irracjonalność przerażała go, wprawiała w zakłopotanie, czyniła bezbronnym. Kiedy wychodził z pokoju, Jean rzucała się na kozetkę, kryła twarz w poduszkach i uderzając w nie rękami szlochała jak dziecko: „Chcę do domu, chcę do domu”.

Również Gretchen, choć się do tego nie przyznawała, stawała się coraz bardziej niespokojna. Czekająca na nią praca, mężczyzna z Nowego Jorku nie przestawał telefonować, atrakcje Lazurowego Wybrzeża już dawno straciły dla niej wszelki urok. Rudolf zdawał sobie

sprawę, że siostra nie wyjeżdża jedynie z poczucia lojalności wobec niego. Kolejny dług.

W ciągu tego tygodnia, pewnego wieczora, kiedy byli sami, zapytała spokojnie:

- Rudi, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby się po prostu wycofać?

- Co masz na myśli?

- Daj sobie spokój. W końcu to nie twoje sprawy. Po prostu spakuj się i wyjedź. Tak czy inaczej, oni wszyscy jakoś sobie poradzą.

- Nie - odpowiedział krótko. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

- Podziwiam cię, braciszku - powiedziała Gretchen, chociaż w tonie jej głosu nie było podziwu. - Podziwiam cię i nie przestaniesz mnie zdumiewać.

- Ty nie musisz zostawać, wiesz o tym.

- Wiem. I nie zamierzam zostać tu na zawsze. Myślę, że ty zrobisz tak, jeśli będzie to konieczne.

- Jeśli będzie to konieczne. - Na niego nie czekała żadna praca, nikt nie dzwonił z Nowego Jorku.

- Do tego, co powiedziałam, dodaj jeszcze litość, braciszku. Idę teraz nad morze wygrzewać się w słońcu.

Kate nie dzwoniła jeszcze ze swojego hotelu i Rudolf był jej za to wdzięczny. Z przerażeniem myślał o chwili, kiedy będzie musiał pójść do Kate, powiedzieć jej, co załatwił i jakie z tego wynikają konsekwencje.

Biedny Króliczek Dwyer - myślał Rudolf idąc wolno wąskimi uliczkami starego miasta na kolejną wizytę w biurze adwokata - stary druh i wspólnik, którego nie zabezpieczyło ani prawo, ani zwyczaj, bo zarówno przyjaźń, jak długoletnia praca nie miały nawet wagi piórka na jakiegokolwiek prawniczej wadze.

Jedynie dzięki popołudniom spędzonym z Jeanne w miejskim hotelu Rudolf trzymał się jakoś. Żadnych komplikacji, żadnych żelaznych kajdan miłości czy obowiązku, jedynie niewyobrażalne zaspokojenie ciała, które przynosiło zapomnienie na jedną czy dwie godziny w jakimś ciemnym pokoju, wynajętym w obcym mieście.

Czy te popołudnia w Nicei to był właśnie prawdziwy powód, dla którego chciał zostać? Ten egoistyczny sport podwójnego cudzołóstwa? Czyżby podziw i litość ofiarowano mu za kłamstwo?

Rudolf ciężkim krokiem zbliżał się do biura adwokata, pocąc się nieprzyjemnie w gorącym słońcu.

Adwokat miał gabinet we własnym domu, obok starych murów miejskich, były to dawniej dwa skromne budynki z kamienia, w których mieszkali rybacy wyphywający z Antibes, przekształcone i zmodernizowane, przerobione teraz na jedną wspianą rezydencję, należącą do ludzi, którzy nigdy nie zarzucali sieci, nie poruszyli wiosłem i nie walczyli ze sztormami. Rudolf pomyślał, że wbrew przyjętej doktrynie ekonomicznej to bogaci naśladowają biednych, nie odwrotnie. W każdym razie przejmują dogodne miejsca, które biedni przypadkiem wynaleźli w czasach, kiedy byli jedynymi obywatelami miasta wystawionego na ataki piratów, ogień nieprzyjaciela i działania sztormów.

Gabinet adwokata wyglądał imponująco; elegancko umeblowany lśniącymi od politory, ciężkimi osiemnastowiecznymi meblami, na ścianach rzędy oprawionych w wołową skórę książek prawniczych.

Szerokie okno wychodziło na morze rozbryzgujące się na murach obronnych. Adwokat był człowiekiem starym, doskonale ubranym, trzymał się prosto i prezentował równie imponująco jak jego otoczenie. Na jego szerokich, starannie wypielęgnowanych dłoniach pełno było wątrobianych plam. Nad ostro zarysowaną twarzą o szerokim nosie błyszczała łysina; oczy miał smutne. Trudno się dziwić, że jest smutny, pomyślał Rudolf ściskając dłoń starego człowieka, jeśli się zważy, przez co musiał przejść, by znaleźć się w tym pokoju.

- Mam dla pana dość istotne wiadomości - powiedział prawnik, kiedy Rudolf usiadł naprzeciwko niego przy wielkim błyszczącym biurku.

Mówił po angielsku wolno, ale starannie. Już na początku poinformował Rudolfa, że lata wojny spędził w Anglii. Miał młody głos. - Przede wszystkim sprawa pana żony. Mam tutaj jej paszport.

- Otworzył szufladę, pochylił się nieco, wyciągnął paszport i popchnął go lekko po powierzchni biurka w kierunku Rudolfa. - Policja znalazła Danovica, tego człowieka, którego chcieli ponownie przesłuchać. Zapewniali mnie, że przesłuchanie to było... powiedzmy, energiczne. Niestety, człowiek ten figuruje wprawdzie w kartotece policyjnej z powodu wcześniejszych aresztowań za inne przestępstwa, ale za każdym razem zwalniano go bez procesu. Poza tym jego alibi okazało się solidne. Przez cały dzień był w Lyonie, gdzie robił sobie zęby. Świadcstwo dentysty jest niepodważalne.

- Co to znaczy?

Adwokat wzruszył ramionami.

- To znaczy, że jeśli policja nie będzie mogła udowodnić, że dentysta kłamie albo że Danovic miał współników, którym wskazał denata, którym polecił, czy z którymi

współdziałał w popełnieniu morderstwa, nie będzie można go aresztować. Jak dotąd, nie ma dowodów, że wiedział o tym cokolwiek. Policja chciałaby oczywiście kontynuować przesłuchania, ale w obecnej sytuacji nie mają sposobu, żeby go zatrzymać... Chyba że... - zrobił pauzę.

- Chyba że?...

- Chyba że pana żona chce wnieść przeciwko niemu oskarżenie o usiłowanie gwałtu.

Rudolf jęknął. Wiedział, że nie da się skłonić Jean do zrobienia czegoś takiego.

- Moja żona chce tylko wrócić do domu - powiedział.

Adwokat skinął głową.

- Rozumiem to doskonale. I oczywiście nie ma świadków.

- Jedynym świadkiem był mój brat. A on nie żyje.

- W tym przypadku, wydaje mi się, najlepiej będzie, jeśli żona pańska jak najszybciej pojedzie do domu. Mogę sobie wyobrazić koszmar...

Nie, stary człowieku, nie możesz, nawet przez minutę, dumał Rudolf. Miał jednak na myśli bardziej siebie niż swoją żonę.

- W każdym razie sprawy o gwałt są najtrudniejsze - stwierdził stary człowiek... - Zwłaszcza we Francji.

- Nie są łatwe również w Ameryce - przyznał Rudolf.

- To przestępstwo, wobec którego prawo jest w niezbyt wygodnej sytuacji - uśmiechnął się adwokat. Był stary i przyzwyczajony do niesprawiedliwości.

- Żona już jutro odleci - powiedział Rudolf.

- A teraz - adwokat, gładko załatwiwszy jeden problem, pieszczotliwym gestem pogładził lśniąca powierzchnię biurka; jego biała ręka rzucała blade refleksy na drewnie - sprawa pańskiego bratanka. - Z ukosa spojrział na Rudolfa bladymi oczami w żółtawych torbach pomarszczonej skóry. - Nie jest to chłopiec komunikatywny.

W każdym razie nie wobec mnie. Ani też wobec policji, jeśli już jesteśmy przy tym temacie. W czasie przesłuchań odmawia wyjawienia motywów, które skłoniły go do zaatakowania mężczyzny w barze. Może panu coś powiedział? - I znów to ukośne, sprytnie spojrzenie.

- Mnie nie. Trochę się domyślam; ale... - Rudolf wzruszył ramionami. - Oczywiście w sądzie nie będzie to miało żadnego znaczenia.

- A więc... nie ma możliwości obrony. Nie ma okoliczności łagodzących. Prawo francuskie traktuje surowo ataki tego typu - adwokat oddychał ciężko. Astma, pomyślał Rudolf, albo oznaka aprobaty, niewypowiedzianej dumy z cywilizowanego charakteru

Francji, gdzie uderzenie człowieka butelką po piwie uważane jest za przestępstwo, w przeciwieństwie do postawy Ameryki, z pogranicza cywilizacji, gdzie jeden atakuje drugiego bezkarnie i lekkomyślnie. - Na szczęście - kontynuował adwokat, odzyskuje oddech - temu Anglikowi nic nie grozi. Za kilka dni wyjdzie ze szpitala. On sam kilkakrotnie był w niezgodzie z lokalnymi zarządzeniami policyjnymi i nie ma zamiaru wnosić skargi. Juge d'instruction, wzięwszy pod uwagę wiek chłopca i stratę, jaką ostatnio przeżył, kierując się miłosierdziem, zalecił po prostu, żeby chłopaka w ciągu ośmiu dni odstawić do najbliższej granicy czy lotniska... Proszę mnie nie pytać dlaczego. - Ponownie pogłaskał powierzchnię biurka. - Jeżeli chłopiec chce wrócić do Francji, żeby dalej się uczyć, to może... - lekkim, delikatnym prychnięciem w chusteczkę do nosa stary człowiek z doskonałą uprzejmością dawał do zrozumienia, że kształcenie jest czymś rzadkim w Ameryce. - Jestem pewien, że mniej więcej po roku, kiedy wszystko zostanie zapomniane, zdołam mu załatwić zezwolenie na powrót.

- Cieszę się, że to słyszę. Z tego, co mi mówili jego ojciec i pan Dwyer, wynika, że chłopcu się tutaj podoba i bardzo dobrze radził sobie w szkole.

- Powinien kontynuować naukę w liceum, w każdym razie dopóki nie dostanie haccalaureat. Jeśli chce w ogóle do czegośkolwiek w życiu dojść, jest to, jak sądzę, w naszej epoce minimum wymagań.

- Pomyślę o tym. I naturalnie pomówię z chłopcem.

- Doskonale - powiedział stary człowiek. - Ufam, drogi przyjacielu, że docenił pan moje usługi i lojalność, i że, jeśli wolno mi się tak wyrazić, zauważył pan, że użyłem tych niewielkich wpływów, które mam w tym... tym - po raz pierwszy zawahał się nad wyborem angielskiego słowa - pays... w tej części wybrzeża... z pomyślnym skutkiem.

- Bardzo panu dziękuję, maitre - powiedział Rudolf. Nareszcie dowiedział się, jak należy tytułować we Francji adwokata. - W jaki sposób to będzie zorganizowane? - zapytał. - Mam na myśli doprowadzenie do najbliższej granicy. - Rudolf zmarszczył brwi. - Wie pan, jeszcze nikt ze znajomych nie był doprowadzany do najbliższej granicy.

- Ach, o to chodzi - powiedział beztrąsko stary człowiek. Dla niego była to zwykła, codzienna historia. - Jeżeli od dziś za tydzień stawi się pan na lotnisku w Nicei z biletem dla chłopca, przyjedzie on w towarzystwie detektywa, który upewni się, że wsiadł do samolotu lecącego do innego kraju. Do Stanów Zjednoczonych na przykład. Ponieważ policjant będzie po cywilnemu, nie wzbudzi niczyjzego zainteresowania, jak wuj czy przyjaciel rodziny życzący chłopcu hon voyage.

- Czy chłopak o tym wie? - zapytał Rudolf.

- Sam powiedziałem mu to dziś rano.

- Co on na to?

- Jak zwykle, nic.

- Czy wydawał się zadowolony, smutny? - Rudolf nie rezygnował.

- Ani zadowolony, ani smutny.

- Rozumiem.

- Pozwoliłem sobie sprawdzić rozkład lotów linii amerykańskich z Nicei.

Najwygodniejszy byłby samolot odlatujący o 11-30 rano.

- Będę na lotnisku - powiedział Rudolf. Sięgnął po paszport Jean i schował go do kieszeni.

- Panie Jordach - powiedział stary człowiek - muszę wyrazić moje uznanie dla spokoju i równowagi godnej dżentelmena, z jaką przetrwał pan ten bolesny epizod.

- Dziękuję. - Jak tylko opuścę ten piękny gabinet, pomyślał Rudolf, przestanę być spokojny i nie będę demonstrował żadnego rodzaju równowagi, ani godnej dżentelmena, ani innej. Kiedy wstawał z krzesła, poczuł się niewyraźnie, jak gdyby miał zemdleć, i musiał się oprzeć ręką o biurko, żeby pewniej stanąć na nogach.

Stary człowiek spojrzał na niego kąpiąco. - Trochę zbyt obfity lunch? - zapytał.

- Całkowity brak lunchu. - Przez siedem dni Rudolf nie jadł południowego posiłku.

- Trzeba dbać o zdrowie - powiedział stary człowiek. - Zwłaszcza jeśli się jest w obcym kraju.

- Czy chciałby pan zapisać mój adres w Stanach? - zapytał Rudolf.

- Żeby wysłać mi rachunek.

- To nie będzie potrzebne, monsieur - powiedział gładko stary człowiek. - Mój kancelista ma przygotowany dla pana rachunek. Nie musi pan się starać o franki. Wystarczy czek w dolarach, jeśli zechce pan uprzejmie wysłać go do banku w Genewie, którego adres znajdzie pan na blankiecie.

Imponujący, zaradny starszy pan, otoczony lśniącymi osiemnastowiecznymi meblami, cieszący się widokiem na błękitne morze i nieopodatkowanym kontem w Szwajcarii, podniósł się powoli, baczny na swój podeszły wiek, uściśnął rękę Rudolfa i odprowadzając go do drzwi powiedział:

- Enfin, muszę wyrazić panu i pańskiej rodzinie moje współczucie.

Mam nadzieję, że to, co się wydarzyło, nie powstrzyma pana od złożenia kiedyś wizyty w tym uroczym zakątku świata.

Po kolei, myślał Rudolf, oddalając się od domu adwokata; szedł wzdłuż murów w stronę portu, mijając po drodze Musce Grimaldi i wszystkie znajdujące się wewnątrz obrazy Picassa. Najpierw złe wiadomości. A to znaczyło: Kate i Dwyer. Będzie musiał powiedzieć im o swojej wczorajszej rozmowie z Heathem. Najlepiej obojgu razem, żeby nie było miejsca na nieporozumienia, podejrzenia o sekretne układy. Potem dopiero dobre wiadomości: dla Jean i Gretchen, że mogą już wracać do domu. Nie uśmiechała mu się myśl o żadnych z tych spotkań. A potem znów trzeba udać się do więzienia i zdecydować, gdzie, jak i z kim będzie mieszkał Wesley w Ameryce.

Ta rozmowa może się okazać najgorsza ze wszystkich. Rudolf miał nadzieję, że do tej pory chłopiec już się ogolił i wziął prysznic.

Rudolf przystanął i spojrzał na Niceę poprzez Baie des Anges.

Zatoka Aniołów. Francuzi nie zwracali uwagi na to, jak nazywali rzeczy. Antibes, na przykład. Grecy osadnicy nazwali je Antipolis - Naprzeciw Miasta. Jakiego miasta? Aten, oddalonych o tysiące mil drogi wiosłową galerą? Grecy opanowani nostalgią? On nie tęsknił za żadnym miejscem. Szczęśliwi Grecy. Jakie wówczas panowały prawa, jaką karę ci wzorowi politycy uznawali za odpowiednią dla chłopca, który w tawernie uderzył kogoś butelką od piwa? Jaki to obywatelski duch, żądza sławy czy zysku skłoniły owych mężów tworzących prawa w otoczeniu posągów i powściągliwej retoryki do porzucenia swoich akademii, swoich festiwali w dążeniu do elekcji i do podjęcia ciężaru rządzenia tą inteligentną, wojowniczą rasą?

On sam także wygłaszał mowy na trybunach, prawił pochlebstwa i czynił obietnice, słyszał owacje tłumu, zwyciężył i przyjął urząd.

Dlaczego? Dziś już nie potrafi sobie przypomnieć.

Nawet na wąskiej, kamienistej drodze biegnącej szczytem murów towarzyszył Rudolfowi szum miejskiego ruchu. Antibes, niegdyś senne, zapomniane miasto, przepełniali obecnie wybrańcy czy też ofiary dwudziestego wieku, którzy w pędzie do klimatu południa pozostawiali za sobą zimę, aby tu żyć i pracować, nie tylko odpoczywać. Kwiaty i przemysł lekki. Rudolf był człowiekiem północy, ale jemu też przydałoby się kilka lat na południu. Gdyby się nie zdarzyło to, co się zdarzyło, mógłby osiąść po trzydziestce w tym przytulnym zakątku anonimowo, nikomu nie znany, przeszedłszy w zasłużony stan spoczynku, jak robili to niektórzy.

Miał początki francuskiego - tu myśl o Jeanne - mógłby popracować nad językiem, nauczyć się czytać Victora Hugo, Gide'a, Cocteau i nowych, godnych czytania pisarzy, jeździć do teatru do Paryża.

Marzenia. Teraz nierealne.

Wciągnął głęboko słone, balsamiczne powietrze znad morza. Niemal wszystkie miejsca stały dla niego otworem, oprócz tego jednego, nawiedzonego, cudownego miejsca.

Znów podjął marsz; schodził z murów w kierunku portu. Poprosi, żeby Dwyer odnalazł Kate, i mogą porozmawiać w kawiarni; Kate przecież powiedziała, że nie chce nigdy więcej oglądać „Kłotyldy”.

Mogła już do tej pory, po minięciu szoku, zmienić zdanie, nie była kobietą sentymentalną, ale Rudolf nie miał zamiaru jej zmuszać.

U wejścia do portu znajdowała się kawiarenka odwiedzana przez marynarzy. Przy małym stoliku przed kawiarnią siedział Dwyer z kobietą odwróconą do Rudolfa plecami. Kiedy Rudolf zawołał Dwyera, kobieta obejrzała się i wtedy zobaczył, że to Kate. Wydawała się szczuplejsza, a może sprawiała to czarna sukienka, którą miała na sobie. Cera Kate straciła orzechowobrazowy kolor, włosy miała niedbale rozrzucone. Rudolf poczuł przyływ gniewu czy też uczucia zbliżonego do gniewu. Wiedząc o wszystkim, co próbuje dla niej zrobić, nawet się nie pofatygowała, żeby zadzwonić do niego i powiedzieć, gdzie się zatrzymała. A teraz siedzą sobie tutaj w dwójkę z Dwyerem, wyglądają jak stare małżeństwo omawiające wspólne sekrety w promieniach słońca. Kate wstała, żeby się z nim przywitać, i Rudolf poczuł się zmieszany.

- Czy mogę się do was przysiąc na chwilę? - zapytał. Różne bywały chwile.

Dwyer bez słowa przysunął krzesło od sąsiedniego stolika. Ubrany był jak zwykle, opalony, muskularny, pod krótkimi rękawami białej koszuli z nadrukiem ukrywały się drobne ramiona. Jeśli nosił żałobę, nie była ona na pokaz.

- Czego się napijesz? - zapytał.

- A wy co pijecie?

- Pastis.

- Dziękuję, to nie dla mnie - powiedział Rudolf. Nie lubił tego słodkiego, likierowatego smaku. Przypominał mu długie łamiące się laseczki czarnych cukierków, podobnych do miniaturowych węży, które kupował mu ojciec, kiedy Rudolf był jeszcze małym chłopcem.

Nie był w odpowiednim nastroju do wspomniania ojca. - Czy mógłbym wypić koniak?

Dwyer wszedł do kawiarni, żeby przynieść koniak. Rudolf spojrzał przez stół na Kate. Siedziała otępiała, na jej twarzy nie malowało się żadne uczucie. Mogłaby być meksykańską chłopką, pomyślał Rudolf, siedzącą po skończonej pracy w słońcu pod ścianą z wypalanej cegły, w oczekiwaniu na powrót męża z pola. Kate spuściła oczy, nie chciała spojrzeć na

Rudolfa, jakby mur z wypalonego słońcem błota odgradził jej prymitywne myśli. Wyczuł jej wrogość. Czy pożegnalny pocałunek, kiedy opuszczała „Klotyldę”, był szyderczym pozdrowieniem? Czy też był prawdziwy, wyrażał uczucie chwili i później Kate tego żałowała?

- Co u Wesleya? - zapytała, ciągle unikając wzrokiem Rudolfa. - Króliczek wszystko mi opowiedział.

- W porządku. Od dziś za tydzień pozwolą mu opuścić Francję.

Najprawdopodobniej pojedzie do Stanów.

Kate skinęła głową.

- Przypuszczałam, że tak zrobią - mówiła głosem niskim i bezbarwnym. - Tak będzie lepiej. Nie powinien się obijać w tej części świata.

- Zrobił bardzo głupio, wdając się w ten sposób w bójkę. Nie mam pojęcia, co go napadło - zaczął Rudolf.

- Może żegnał się ze swoim ojcem.

Przez chwilę Rudolf milczał, zawstydzony tym, co powiedział. Czuł się dokładnie tak jak w dniu, kiedy po raz pierwszy wyszedł z konsulatu i płakał na ulicy. Zastanawiał się, czy teraz również jego policzki były mokre od łez.

- Znasz go lepiej niż ja - powiedział. Musiał zmienić temat. - A ty jak się czujesz, Kate? - zapytał, usiłując nadać swemu głosowi serdeczny ton.

Kate prychnęła dziwnie, jakby z dezaprobatą. - Tak dobrze, jak można się spodziewać - powiedziała. - Króliczek dotrzymywał mi towarzystwa.

Może ci dwoje powinni się pobrać? - pomyślał Rudolf. Dwoje z tej samej rasy. Z tej samej twardej szkoły. Dotrzymywali sobie towarzystwa, jak to określiła Kate.

- Spodziewałem się, że zadzwonisz - powiedział kłamliwie. Kate podniosła oczy, popatrzyła na niego.

- Wiedziałam, gdzie mogę cię znaleźć - rzekła obojętnie - gdybym miała ci cokolwiek do powiedzenia.

Wrócił Króliczek z koniakiem i dwiema nowymi szklankami pastisu.

Rudolf obserwował, jak wlewali do szklanek wodę i pastis stawał się mlecznożółty... Automatycznie podniósł swoją szklankę.

- Za... - przerwał, zaśmiał się niepewnie. - Chyba za nic.

Dwyer podniósł szklankę, ale Kate obróciła jedynie powoli swoją szklankę na stole.

Koniak był ostry, toteż Rudolf po pierwszym łyku łapał powietrze.

- Są pewne nowe punkty, myślę że powinniście o nich wiedzieć... - Muszę przestać

mówić tak, jakbym występował na zebraniu zarządu, pomyślał. - Cieszę się, że spotkałem tu was oboje. - Tak jasno, jak tylko potrafił, wytłumaczył im to, co powiedział Heath o masie spadkowej. Słuchali uprzejmie, ale bez zainteresowania. Miał ochotę krzyknąć: „Czy nie obchodzi was, co się stanie z waszym życiem?”

- Ja wcale nie chcę być, jak to się nazywa... - powiedziała wolno Kate.

- Egzekutorką. - Heath powiedział mu, że tak prawdopodobnie zadecyduje sędzia.

- Egzekutorką. Nic o tym nie wiem - powiedziała Kate. - Zresztą zamierzam wrócić do Anglii. Do Bath. Jest tam moja mama, mogę korzystać z opieki społecznej, a mama popilnuje dziecka, kiedy pójdę do pracy.

- Do jakiej pracy? - zapytał Rudolf.

- Zanim posłuchałam głosu morza, byłam kelnerką w restauracji. - Kate zaśmiała się ironicznie. - Kelnerka zawsze znajdzie pracę.

- Po załatwieniu spraw spadkowych zostanie trochę pieniędzy - powiedział Rudolf. - Nie będziesz musiała pracować.

- A co miałabym robić przez cały tydzień? Wpatrywać się w telewizję? Wiesz, że nie jestem próżniakiem. - Ton głosu Kate zabrzmiał wyzywająco, jasno wskazywał na to, że i Rudolf, i jego kobiety są próżniakami. - Jeśli zostaną jakiegokolwiek pieniądze, a nie myślę, żeby zostało dużo po tych adwokatach i po tym wszystkim, odłożę to na naukę dziecka. Może, jak się urodzi dziewczynka, to po skończeniu szkoły nie będzie musiała podawać do stołu i prasować sukien pań w zaparowanej pralni statku, jak jej mama.

Nie sposób z nią dyskutować.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała, pieniędzy czy czegokolwiek - powiedział Rudolf bez większej nadziei - to daj mi znać.

- Nie będę niczego potrzebowała. - Kate znów spuściła oczy i kręciła szklanką po stole.

- Na wszelki wypadek. Może na przykład pewnego dnia będziesz chciała odwiedzić Amerykę.

- Ameryka nie jest dla mnie żadną atrakcją - powiedziała Kate. Śmieliby się ze mnie w Ameryce.

- Nie będziesz chciała znów zobaczyć Wesleya?

- Nie mam nic przeciwko temu. Jeżeli Wesley zapragnie mnie zobaczyć, z Ameryki do Londynu codziennie latają samoloty.

- Jednak dopóki masa spadkowa jest unieruchomiona - kontynuował Rudolf, starając się pozbyć proszącej nutki w głosie - będziesz potrzebowała pieniędzy.

- Nie ja - powiedziała Kate. - Mam oszczędności. Zresztą kazałam Tomowi płacić sobie pensję, tak jak przedtem, nawet kiedy spaliśmy w tym samym łóżku i planowaliśmy małżeństwo. Powiedziałam mu, że miłość to jedna sprawa, a praca druga. - Kate z dumą rozgraniczała te sprawy. Wreszcie podniosła swoją szklanę i wypła kilka łyków pastisu.

- Poddaję się. - Rudolf nie mógł opanować irytacji. - Mówisz tak, jakbym był twoim wrogiem.

Spojrzała na niego pustymi oczami wieśniaczki z pueblo.

- Nie pamiętam, żebyś powiedziała coś, co można by uznać za oznakę wrogości. Powiedziałam coś takiego, Króliczku?

- Tak naprawdę to nie bardzo zwracałem uwagę - rzekł niepewnie Dwyer. - Nie mogę wydać sądu.

- A ty? - Rudolf zwrócił się do Dwyera. - Czy ty nie potrzebujesz pieniędzy?

- Zawsze byłem oszczędnym typem - odpowiedział Dwyer. - Tom miał zwyczaj drażnić się ze mną mówiąc, że jestem skąpiec i kutwa. Ja mam dosyć, dziękuję.

Rudolf, kompletnie pokonany, dopił koniak.

- Zostawcie mi przynajmniej swoje adresy. Oboje. Żebym mógł być z wami w kontakcie.

- Zostaw adres Wesleya w tutejszej stoczni - powiedziała Kate. - Napiszę do nich od czasu do czasu, a oni przekażą mu kartkę.

Chciałabym go zawiadomić w odpowiednim czasie, czy ma siostrę, czy brata.

- Nie jestem jeszcze pewien, gdzie zamieszka Wesley. - Rudolf zaczynał chrypnąć, gardło miał podrażnione koniakami i wysiłkiem przemawiania do tych dwóch wymykających się, upartych istot ludzkich. - Jeżeli napiszesz do niego na mój adres, na pewno dostanie list.

Kate przyglądała mu się przez długą chwilę, potem znów podniosła szklanę do ust. Wypiła łyk.

- Nie chciałabym, żeby twoja żona czytała jakiegokolwiek moje listy - powiedziała odstawiając szklanę.

- Żona nie otwiera mojej poczty. - Rudolf nie potrafił teraz opanować gniewu.

- Cieszę się, że to kobieta z odrobiną charakteru - powiedziała Kate. W jej oczach był ledwie widoczny błysk złośliwości, a może po prostu Rudolf to sobie wyobraził.

- Próbuję jedynie pomóc... - powiedział z wyraźnym znużeniem: - Czuję się zobowiązany... - urwał, ale już było za późno.

- Wdzięczna jestem za twoje intencje - powiedziała Kate - ale nie masz wobec mnie żadnych obowiązków.

- Lepiej nie mówmy o tym, panie... Rudi - powiedział Dwyer.

- W porządku, nie mówmy o tym. Mam zamiar zostać w Antibes jeszcze co najmniej tydzień. Kiedy chcesz wyjechać do Anglii, Kate?

Kate obydwoma rękami wygładziła zmarszczki na sukni.

- Jak tylko pozbieram swoje rzeczy.

Rudolf przypominał sobie jedną obdrapaną walizkę z imitacji skóry, którą Wesley wyniósł z „Klotyldy”. Zebranie wszystkich rzeczy prawdopodobnie nie mogło jej zająć więcej jak piętnaście minut.

- Jak myślisz, ile czasu ci na to potrzeba? - zapytał cierpliwie Rudolf.

- Trudno powiedzieć. Tydzień. Dwa. Chcę się jeszcze pożegnać z kilkoma osobami.

- Muszę mieć przynajmniej twój tutejszy adres - powiedział Rudolf.

- Może coś wyskoczyć, może trzeba będzie coś podpisać u notariusza.

- Króliczek wie, gdzie jestem.

- Kate - powiedział ciepło Rudolf - ja chcę być twoim przyjacielem.

Kate wolno skinęła głową.

- To wymaga trochę czasu, bracie - powiedziała chrapliwie.

Pożegnalny pocałunek w salonie „Klotyldy” wynikał ze stanu odrętwienia. Po tygodniu refleksji Kate była rozgoryczona. Rudolf nie mógł jej za to potępiać. Zwrócił się do Dwyera:

- A ty jak długo masz zamiar tu pozostać?

- Dowiesz się o tym prędzej ode mnie, Rudi - odpowiedział Dwyer. - Zamierzam zostać, dopóki mnie nie wyrzucą. Lada dzień przywiozą nowy wał i śrubę, a to będzie oznaczało wstawienie „Klotyldy” do doku co najmniej na trzy dni, to znaczy, jeżeli ubezpieczenie...

Możesz oddać mi przysługę: zajmij się tymi z ubezpieczenia. Są tak cholernie powolni, jeżeli się ich nie ponagla. Ty potrafisz z nimi rozmawiać lepiej niż ja. Więc jeśli...

- Niech diabli wezmą ubezpieczenie - powiedział Rudolf tracąc panowanie nad sobą. - Sam sobie załatwiał ubezpieczenie.

- Nie ma potrzeby krzyczeć na biednego Króliczka - wtrąciła spokojnie Kate. - On po prostu stara się utrzymać statek w dobrym stanie, żeby, kiedy dojdzie do sprzedaży, nie miał przegniłego kadłuba...

- Przepraszam - powiedział Rudolf. - Tyle ostatnio przeszedłem...

- Co do tego nie ma wątpliwości. - Jeśli miało to być ironiczne, z tonu głosu Kate nie dało się odczytać intencji.

Rudolf podniósł się.

- Muszę teraz wracać do hotelu. Ile jestem winien?

- Drinki stawiam ja - powiedział Dwyer. - Przyjemność po mojej stronie.

- Będę was informował o tym, co się dzieje - powiedział Rudolf.

- Jesteś bardzo uprzejmy. Chciałbym zobaczyć Wesleya, zanim wyjedzie do Ameryki.

- Więc musisz przyjechać na lotnisko - powiedział Rudolf. - Wesley przybędzie tam prosto z więzienia. Z policjantem.

- Francuskie gliny - westchnął Dwyer. - Nie warto dać im się złapać, co? Powiedz Wesleyowi, że będę na lotnisku.

- Uważajcie na siebie - powiedział Rudolf. - Obydwoje.

Nie odpowiedzieli, siedzieli w milczeniu nad swoimi szklankami, teraz już w cieniu, bo zachodzące słońce zasłaniał dom po przeciwnej stronie ulicy. Rudolf wykonał nieokreślony gest i poszedł z powrotem w kierunku Agence de Voyage w pobliżu placu, gdzie mógł kupić trzy bilety na jutrzejszy lot.

Mąż i żona, pomyślał z goryczą mijając sklep z antykami, potem sklep z serami i jeszcze sklep, w którym sprzedawano gazety.

Tworzyliby dobraną parę. Co się ze mną dzieje? Dlaczego jestem tak cholernie pewny, że mogę się zajmować rozwiązywaniem czyichkolwiek problemów? Przypominam te idiotyczne psy na wyścigach. Wystarczy tylko wskazać mi zadanie - moje, nie moje, czyjekolwiek - i już biegnę jak psy za mechanicznym królikiem, nawet jeśli nigdy nie udaje im się go złapać, nawet jeśli wiedzą, że nigdy nie mogą go złapać. Jaką chorobą zaraziłem się w młodości? Próżnością? Obawą, że nie będę lubiany? Jakimś substytutem odrzuconej religii? Co za szczęście, że nigdy nie musiałem walczyć na wojnie, zginąłbym już pierwszego dnia, zastrzelony przez własnych ludzi, próbując powstrzymać odwrót czy idąc na ochotnika po amunicję do straconego karabinu, porzuconego w okrążeniu. W ciągu najbliższego roku, mówił sobie Rudolf, muszę się nauczyć, jak mówić „odpieprz się” wszystkim razem i każdemu z osobna.

ROZDZIAŁ VI

Z notatnika Billy Abbotta, Dziś wieczorem Monika zaniepokoiła mnie. Czytała odbitki korekty przemówienia, które przetłumaczyła z francuskiego na angielski, nagle podniosła głowę i powiedziała:

- Właśnie coś zauważyłam. W obydwu tych językach, a także w większości innych, czasowniki mieć, być, iść i umierać są nieregularne. Wprawdzie w angielskim odmiana I have, he has, I had nie ma zbyt wielu form, bardziej uderzające jest to we francuskim: j'ai, tu as, il a, nous avons. Czasownik to be natomiast jest w większym stopniu zróżnicowany: I am, you are, he is, we were, you are being, they had been, I shall, he will. Po francusku: je suis, tu es, nous sommes, vous etes, il sera. I jeszcze: soit i soyons, je fus i il fut w innych czasach. A pomyśl teraz o I go, I went, I have been gone i aller, je vais, nous allons, ils vont. Odmiana „umierać” przebiega po trochę prostszej linii, ale też wywołuje wahanie mówiącego. I die. I am dead. A po francusku mourir w bezokoliczniku, ale je meurs, nous mourions, nous sommes mort's. Co to wszystko znaczy? Że rasa ludzka nie najlepiej się czuje we wszystkich swoich podstawowych działaniach - istnieniu, posiadaniu, przenoszeniu się z miejsca na miejsce, umieraniu? Że próbujemy wyprzeć się naszej najbardziej fundamentalnej działalności, uciec od niej albo ją zakamuflować.

Natomiast czasownik „zabijać” (to kill) odmienia się w sposób tak prosty, jak to tylko jest możliwe: I kill, you kill, he kills, I killed you killed. He killed. Tu nie ma nic do ukrycia, nic, z czym trudno byłoby się pogodzić. To samo dotyczy pieprzenia (fuck). Czy zawarty jest w tym jakiś sąd?

- Cieszę się, że nie jestem tłumaczem - powiedziałem. Ale zmusiło mnie to do myślenia, nie spałem przez pół nocy dręcząc się sobą i moimi powiązaniem z językiem.

Kiedy Rudolf wrócił do hotelu, zastał Gretchen w barze. Piła koktajl z szampanem i rozmawiała z młodym człowiekiem w tenisowym stroju. Przez kilka ostatnich dni Gretchen dużo piła, co nie było w jej stylu, i rozmawiała z każdym mężczyzną, który znalazł się w pobliżu, co, jak pomyślał złośliwie Rudolf, było całkiem w jej stylu. Czy rzeczywiście ostatniej nocy słyszał miękkie kroki mijające drzwi, przy których stały buty powystawiane do czyszczenia, kroki kierujące się do jej pokoju. Mając w pamięci Niceę, nie bardzo mógł mieć do siostry o to pretensje. Zresztą w sytuacji Gretchen można było wybaczyć właściwie każdą rozrywkę, jaką by sobie wynalazła, żeby się zabawić.

- Czy mogę ci przedstawić mojego brata, Rudolfa Jordacha - powiedziała, kiedy

Rudolf podszedł do stolika. - Basil, zapomniałam, jak się nazywasz, kochanie.

Rudolf pomyślał, że musiała wypić co najmniej trzy koktajle z szampanem, skoro mówiła „kochanie” do mężczyzny, którego nazwiska nie pamiętała.

Młody człowiek wstał. Rudolf stwierdził, że jest wysoki i szczupły, w typie aktora, ma ufarbowane włosy i jest szelmowsko przystojny.

- Berling - powiedział młodzieniec, skłaniając się lekko. - Siostra opowiadała mi o panu.

Berling, Basil Berling, myślał Rudolf odpowiadając skinieniem głowy na ukłon. Kto może nazywać się Basil Berling? Sądząc z akcentu, to Anglik.

- Czy nie usiądzie pan z nami? - zapytał Basil Berling.

- Tylko na chwilę - odpowiedział rzeczowo Rudolf. - Mam do omówienia pewne sprawy z siostrą.

- Mój brat kocha dyskusje - powiedziała Gretchen. - Strzeż się tych jego dysput.

Cztery koktajle, nie trzy, pomyślał Rudolf.

- Czego się pan napije? - zapytał Basil Berling z uprzejmością członka Angielskiego Stowarzyszenia Aktorów, ciężko pracującego nad swoją wymową i świadomego, że wywodzi się z dość pośledniej szkoły. Pojawił się kelner.

- To samo - powiedział Rudolf.

- Jeszcze raz trzy - powiedział do kelnera Basil Berling.

- On mnie zalewa koktajlami - powiedziała Gretchen.

- Widzę to.

Gretchen skrzywiła się. - Rudolf jest tym trzeźwym w naszej rodzinie - wyjaśniła Berlingowi.

- Ktoś musi być.

- O Boże, boję się tej nadchodzącej dyskusji - powiedziała Gretchen. - Basil... więc jak ty się nazywasz, kochanie?...

Udaje bardziej pijaną, niż jest, pomyślał Rudolf. Żeby mi dokuczyć. Dzisiaj stanowią cel wszystkich ataków.

- Berling - powiedział mężczyzna, ciągle miły.

- Pan Berling jest aktorem - wyjaśniła Gretchen. - Czy to nie dziwny zbieg okoliczności - pytała głosem zarazem dziewczęcym i pijackim - że tu, na samym końcu świata, przez najczystszy przypadek spotykamy się w hotelowym barze i okazuje się, że oboje „robimy w kinie”? - Podkpiwała teraz z niego podrabianym angielskim akcentem, ale do młodego człowieka zdawały się nie docierać te złośliwości.

- Naprawdę? - w głosie Anglika zabrzmiało zaskoczenie. - W filmie? Właściwie powinienem być się tego domyślić.

- Czyż to nie jest eleganckie? - Gretchen kokieteryjnie dotknęła ramienia Rudolfa, nie zwracając uwagi na pokrewieństwo. - Muszę wyznać przerażającą prawdę. Moja rola należy do tych mniej fascynujących. - Pociągnęła kilka łyków nowego drinka uśmiechając się do Basila Berlinga znad szklaneczki.

- Trudno uwierzyć - powiedział niezręcznie Berling.

Muszę pozbyć się go natychmiast, pomyślał Rudolf, zanim poproszę szefa sali, żeby go wyrzucił.

- Ależ tak - powiedziała Gretchen. - Za sceną. Jestem jedną z tych pań z czarnymi paznokciami. Aż po tyłek w octanie. Montażystka. No to sekret się wydał. Po prostu zwykła skromna montażystka.

- Czynisz zaszczyt tej profesji - powiedział Basil Berling.

Boże, chroń mnie od rytuałów związanych z łączeniem innych w pary, pomyślał Rudolf, kiedy Gretchen powiedziała „kochanie” i poklepała wierzch dłoni Berlinga. Przez chwilę Rudolf był ciekaw, jaka naprawdę jest jego siostra w łóżku, ilu było mężczyzn w jej przeszłości, ilu jest dziś. Gdyby ją o to zapytał, powiedziałaby mu.

- Gretchen - zaczął Rudolf, kiedy z nadmiarem wdzięku pochylała głowę w stronę aktora. - Muszę iść na górę i powiedzieć Jean, żeby się pakowała. Mam jej paszport i na pewno będzie chciała jutro wyjechać. Chciałbym przedtem zamienić z tobą słowo.

Na twarzy Gretchen pojawił się grymas. Rudolf miał ochotę ją uderzyć. Wydarzenia tego dnia nadwreżyły jego nerwy.

- Dopij drinka, kochanie - powiedziała do Berlinga. - Mój braciszek jest człowiekiem zajęтым, sumienną pszczołką latającą od kwiatka do kwiatka.

- Oczywiście. - Aktor podniósł się. - Zresztą i tak muszę się przebrać. Grałem trzy sety w tenisa i jeżeli dłużej posiedzę taki spocony, okropnie się przeziębę.

- Dziękuję za wino - powiedziała Gretchen.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Dwyer też tak powiedział - przypomniał sobie Rudolf. Wszyscy dobrze się bawią tego popołudnia, pomyślał kwaśno. Prócz niego.

- Czy zobaczę cię później, Gretchen? Na kolacji? - zapytał Berling. Wysoki, ale ma chude, żylaste nogi, zauważył Rudolf. Ja wyglądałbym lepiej w spodenkach tenisowych, pomyślał małostkowo.

- Przypuszczam - powiedziała Gretchen.

- Miło mi było poznać szanownego pana - zwrócił się Berling do Rudolfa.

Rudolf chrząknął. Jeżeli ten człowiek ma zamiar nazywać go „szanownym panem”, jak gdyby stał już nad grobem, będzie zachowywał się zrzędliwie, odpowiednio do wieku.

Brat i siostra obserwowali, jak aktor męskim, sprężystym krokiem zmierzał do wyjścia, jak gdyby na scenie.

- Na Boga, Gretchen - powiedział Rudolf już po wyjściu Berlinga - umiesz ich dobierać, nie ma co.

- O tej porze roku nie ma wielkiego wyboru. Dziewczyna musi brać, co się nawinie. Więc jaką to nieprzyjemną nowinę tak ci spieszno zakomunikować?

Rudolf zorientował się teraz, że Gretchen wcale nie jest pijana.

- To dotyczy Enid. Chciałbym, żebyś poleciała jutro z nią i z Jean i przypilnowała dziecka. To znaczy ich obydwu.

- O Boże! - westchnęła Gretchen.

- Nie mogę powierzyć Jean mojej córki - kontynuował z uporem Rudolf.

- A ty? Nie wyjeżdżasz?

- Nie mogę. Jest tu jeszcze dużo do załatwienia. Chciałbym, żebyś została z nimi w moim mieszkaniu w Nowym Jorku. Pani Johnson jeszcze przez tydzień jest na urlopie w St. Louis.

- Daj spokój, Rudi. Za stara jestem, żeby zostać niańką.

- Do diabła, Gretchen! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

..

Gretchen odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, jakby chciała w ten sposób powstrzymać pełną złości replikę. Ciągłe nie zmieniając pozycji i nie otwierając oczu powiedziała:

- Nie musisz mi codziennie przypominać o tym, co dla mnie zrobiłeś.

- Codziennie? - Rudolf cedził słowa. - A kiedy robiłem to po raz ostatni?

- Po co aż tyle słów, kochany braciszku! - Gretchen otworzyła oczy i pochyliła się do przodu. - Nie sprzecajmy się o to. - Podniosła się. - Załatwiłeś sobie niańkę. Tak czy inaczej, miło będzie znów wrócić tam, gdzie morderstwa zdarzają się w gazetach, a nie we własnej rodzinie. O której odlatuje samolot?

- O jedenastej trzydzieści. Mam dla ciebie bilet.

- Myślisz o wszystkim, prawda?

- Tak. O wszystkim.

- Nie wiedziałabym, co począć bez ciebie, braciszku - powiedziała Gretchen. - Lepiej

będzie, jak zacznę się pakować. - Uśmiechnęła się do niego, ale Rudolf zauważył, że przyszło jej to z trudem. - A więc rozejm?

- Rozejm - powiedział.

W drodze do windy zatrzymał się przy recepcji.

- Kiedy pana nie było, panie Jordach - powiedział recepcjonista - jakaś pani zostawiła dla pana list. - Wyjął z przegródki kopertę i podał ją Rudolfowi razem z kluczem. Na kopercie było tylko jego nazwisko, napisane kobiecym charakterem pisma, który wydawał się Rudolfowi znajomy. W windzie rozdarł kopertę i wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru.

List był od Jeanne:

„Drogi Amerykaninie, Ten list jest prośbą, żebyś do mnie nie dzwonił. Możesz zgadnąć dlaczego. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę mogła. Być może dopiero za tydzień lub dwa. Niewykluczone, że w Paryżu już na stałe odwołali wojnę. Spodziewam się, że spędzasz przyjemnie czas w Antibes i przedłużysz swój pobyt. Południa bez ciebie są ponure.

Jeżeli chcesz do mnie napisać, to pisz na poste restante, Poczta Główna, Nicea. Mam nadzieję, że wszystko napisałam bez błędu.

Prowadź ostrożnie.

Jeanne”

Rudolf zgniótł list, wsunął go do kieszeni, wysiadł z windy, przed drzwiami apartamentu przybrał odpowiedni wyraz twarzy, włożył klucz do zamka i po chwili wszedł do pokoju.

Jean stała przy oknie i patrzyła na morze. Nie odwróciła się. W gasnącym świetle na tle otwartego okna, w lnianej letniej sukni, wyglądała szczupło i młodo. Przypominała Rudolfowi dziewczęta, z którymi chodził do college'u, dziewczęta noszące na piersi odznaki studenckich klubów, chodzące w niedzielne popołudnia na mecze piłkarskie w obszernych futrach i jasnych wełnianych pończochach, i na studenckie potańcówki, gdzie Rudolf grywał na trąbce, żeby w ten sposób zarobić trochę pieniędzy. Stojąc tak w drzwiach i patrząc na to złudzenie kruchej młodości, jakie wywołała jego żona, poczuł przypływ litości dla niej, litości nieproszonej i jałowej.

- Dobry wieczór, Jean - powiedział, idąc w jej stronę.

Jean, Jeanne, pomyślał. Co kryje się w imieniu?

Jean powoli się odwróciła. Zauważył, że jej miękkie włosy, sięgające ramion, były tego dnia uczesane, miała też zrobiony makijaż. Nie wyglądała już na starą kobietę, jaką stanie się pewnego dnia.

- Dobry wieczór - powiedziała poważnie. Także jej głos powrócił do normy, jeżeli za

normalne dla niej można było uznać to, że nie chrypiała z przepicia, złości czy samoudręczenia.

- Tu jest twój paszport. Adwokat odzyskał go dzisiaj.

- Dziękuję.

- Mam dla ciebie na jutro bilet na samolot. Możesz już wracać do domu.

- Dziękuję - powtórzyła. - A ty?

- Będę musiał zostać jeszcze co najmniej tydzień.

Jean skinęła głową, otworzyła paszport, spojrzała na zdjęcie, przyjrzała mu się ze smutkiem i rzuciła dokument na stół.

Moje zdjęcie w paszporcie też nie jest zbyt pochlebne, miał ochotę powiedzieć Rudolf.

- Co najmniej tydzień... - powtórzyła. - Musisz być wyczerpany.

- Czuję się dobrze. - Rudolf opadł na fotel. Dopóki Jean nie powiedziała, że musi być wyczerpany, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczony. Źle sypiał, często budził się w środku nocy po nieprzyjemnych snach. Ostatniej nocy miał najdziwniejszy, bardzo niepokojący sen. Obudził się nagle. Wydawało mu się, że łóżko drży, i w pierwszej chwili myślał, że to trzęsienie ziemi.

Pamiętał, że we śnie miał wrażenie, jakby całe nogi poszczypywały mu niewidzialne palce. Pamiętał, że we śnie pomyślał o poltergeistach. Po obudzeniu zastanawiał się, skąd mu się wzięło to słowo. Widział je oczywiście wydrukowane, ale nigdy go nie wypowiedział ani nie napisał.

- Jak Enid? - zapytał.

- Świetnie. Zabrałam ją po południu do Juan-les-Pins i kupiłam koszulkę marynarską. Wygląda w niej rozkosznie i przez cały czas patrzy w lustro. Teraz je z nianią kolację.

- Zajrzę tam i powiem jej dobranoc. Za chwilę. - Rudolf odpiął kołnierzyk i rozluźnił krawat. Zdjąwszy już całodzienne jarzmo, może włożyć do kolacji sportową koszulkę, rozpiętą pod szyją. - Gretchen poleci z tobą i z Enid - powiedział.

- Nie musi się trudzić - w głosie Jean nie było śladu urazy. - Może wolałaby zostać. Pogoda jest wspaniała, a poza tym widziałam ją idącą znad morza z przystojnym młodzieńcem.

- Chce już wracać do Nowego Jorku. Prosiłem, żeby została z tobą i z Enid, dopóki pani Johnson nie wróci z St. Louis.

- To będzie dla niej męczące. Sama mogę się zająć Enid. Nie mam nic innego do roboty - dalej mówiła spokojnie, bez urazy czy nuty zaczepnej.

- Uważam, że lepiej będzie, jak Gretchen ci pomoże - zaryzykował.

- Jak chcesz. Chociaż potrafię przez tydzień być trzeźwa, wiesz o tym.

- Wiem - przyznał. - Po prostu dla pewności.

- Myślałam o nas. - Głos Jean był monotony, pozbawiony wrogości.

Ręce ze splecionymi palcami trzymała przed sobą, jakby wygłaszała przygotowaną mowę na trybunie. - O tym, co przeszliśmy.

- Dlaczego nie zapomnisz o tym, co przeszliśmy? - zapytał Rudolf.

Nie był w odpowiednim nastroju do słuchania przygotowanych mów.

- Myślałam o nas - powtórzyła monotonnym głosem, pozbawionym wrogości. - Myślę, że dla dobra twojego i Enid powinniśmy się rozwieść.

Wreszcie, pomyślał Rudolf. Przynajmniej nie ja wypowiedziałem te słowa.

- Czy nie możemy trochę poczekać z takimi rozmowami? - zapytał ciepło.

- Jak wolisz. Ale ja nie jestem ci potrzebna. Ani dziecku. Ty już mnie nie chcesz... - Jean podniosła rękę, choć Rudolf nie próbował nic powiedzieć. - Nie zbliżyłeś się do mnie od przeszło roku, i znalazłeś sobie kogoś tutaj, jestem pewna. Proszę cię, nie zaprzeczaj.

- Nie będę zaprzeczał.

- Nie potępiam cię, mój drogi. Od dawna zatruwam ci życie. Inny mężczyzna już dawno by mnie zostawił. I to przy aplauzach tłumu - uśmiechnęła się kwaśno.

- Wolałbym, żebyś poczekała, aż obydwójce wrócimy do domu, do Ameryki... - zaczął Rudolf, choć uważał, że zdjęto mu z ramion wielki ciężar.

- Dziś wieczorem mam ochotę mówić. - Jean nie nalegała zbyt. - Myślałam o nas przez cały dzień, od przeszło tygodnia nie wypiałam drinka, jestem więc tak trzeźwa i rozsądna, jak pewno nie zdarzy mi się już do końca życia. Czy nie chcesz usłyszeć, o czym myślałam?

- Nie chcę, żebyś powiedziała cokolwiek, czego miałabyś potem żałować.

- Żałować? - Jean wykonała niezręczny ruch, jakby opędzała się od osy: - Żałuję wszystkiego, co powiedziałam. I prawie wszystkiego, co zrobiłam. Słuchaj uważnie, mój drogi. Jestem pijaczką.

Zawiodłam się na sobie i jestem pijaczką. Będę rozczarowana sobą i pozostanę pijaczką przez całe życie i nie przezwyciężę tego.

- Dotychczas nie próbowaliśmy jeszcze wszystkiego - powiedział Rudolf. - Te miejsca, w których się leczyłaś, okazały się niezbyt dobre. Są jeszcze inne kliniki, które...

- Możesz mnie wysłać do każdej kliniki w Ameryce. Każdy psychiatra w Ameryce może grzebać w moich snach. Mogą mi wszywać antabus i mogę wyrzygać wszystkie flaki. I ciągle jeszcze będę pijaczką. I będę na ciebie wrzeszczała jak jędza i narobię ci wstydu...

Pamiętaj, że już to robiłam, nie jeden raz... mogę prosić o wybaczenie i zrobić to znowu, mogę narażać życie mojej córeczki, wożąc ją po pijanemu samochodem, i mogę zapomnieć o wszystkim, i szukać butelki wciąż i wciąż na nowo, aż do dnia mojej śmierci, a chciałabym, żeby nastąpiło to wkrótce, tylko że nie mam dość odwagi, aby się zabić, i to jest jeszcze jedno rozczarowanie...

- Proszę cię Jean, nie mów tak - Rudolf wstał i skierował się w jej stronę, ale Jean cofnęła się, jakby w obawie przed jego dotknięciem.

- Teraz jestem trzeźwa, a trzeźwiałam przez ponad tydzień, więc wykorzystajmy ten cudowny, niespodziewany moment, aby spojrzeć prawdzie w oczy i podjąć trzeźwe, światoburcze decyzje. Ja usunę się gdzieś sama, zejść z oczu. Czy Meksyk jest wystarczająco daleko? Może Hiszpania? Wiesz, że znam hiszpański? Szwajcaria?

Mówiono mi, że są tam wspaniałe kliniki, można więc się spodziewać za każdym razem doskonałych rezultatów na jakieś dwa, trzy miesiące.

- W porządku, więc żyjmy za każdym razem przez dwa, trzy miesiące.

Bez względu na rozwód...

- Nie ma sensu udawać, że utrzymam jakąkolwiek pracę. - Nic nie mogło przerwać tego monotonnego, opętanego głosu. - Ale dzięki mojemu kochanemu zmarłemu ojcu mogę żyć bardziej niż wygodnie, ekstrawagancko. Musisz mi pomóc założyć fundusz powierniczy dla Enid, ponieważ istnieje możliwość, że kiedy będę pijana, poznam jakiegoś sprytnego, oszałamiającego młodego Włocha, który będzie się starał okraść mnie z fortuny, a to by mi się bardzo nie podobało. Wymyśliłam nawet sposób, żebyś nie czuł się winny, że mnie zaniedbujesz i pozwalasz mi błądzić bez opieki po tym ciemnym i niebezpiecznym świecie. Wynajmę sobie miłą, silną, młodą kobietę, najprawdopodobniej lesbijkę, która dotrzyma mi towarzystwa i dopilnuje, żeby nie spotkało mnie nic złego, kiedy pogrążę się w pijaństwie... a jeśli to będzie konieczne, dostarczy mi także niewinnego i pozbawionego niebezpieczeństw seksu...

- Przestań! - krzyknął Rudolf. - Dosyć, już dosyć.

- Nie bądź taki zgorszony, mój drogi, purytański Rudolfie. Robiłam to już przedtem i nie było nieprzyjemnie, jestem pewna, że mogę zacząć robić to znów, zwłaszcza po butelce czy dwóch, i też nie będzie nieprzyjemnie. Prawda, mój kochany, jest tak, że nie mogę już dłużej walczyć. Nawet armia konfederacka w końcu się poddała.

Mam już dosyć śmierci. Brak mi miejsca do manewru. Osiągnęłam swój Appomattox. Widzisz, moje wykształcenie nie poszło tak całkiem na marne. Może pan zwrócić mój miecz, generale Grant. Nie, to brzmi kpiąco, a ja nie zamierzam kpić. Jestem w rozpacz. Nie mogę

już walczyć. Nie mogę walczyć z tobą, z piciem, z poczuciem winy, małżeństwem, cokolwiek to słowo teraz znaczy dla ciebie i dla mnie. Czasami, kiedy będę przeżywała okres spokoju, pojawię się z moją towarzyszką lesbijką - ale postaram się, ażeby nie wyglądała zbyt dwuznacznie, ubiorę ją dziewczęco, podobnie jak siebie - aby odwiedzić Enid. Nie będziesz musiał przy tym asystować. Proszę cię, nie mów nic dzisiaj, ale jutro rano wsadzając mnie do samolotu pamiętaj o mojej ofercie i podziwiał mnie za moje wyrzeczenie. Przyjmij je, zanim zmienię zdanie i do końca życia zawisnę ci na szyi jak trup.

- Słuchaj, kiedy stąd wyjedziesz, porzucisz tutejszą niezdrową atmosferę, będziesz...

- Obydwoje przesraliśmy nasze życie - znów zaintonowała Jean. - Ty też nie jesteś coraz młodszy, nie możesz po prostu siedzieć w kącie i wpatrywać się w ogień przez następne pięćdziesiąt lat, musisz coś robić. Bądź wdzięczny za dzień dzisiejszy. Chwytaj szansę. Kto wie, jak długo towar będzie na rynku. Wiem, że miałeś dzisiaj długi, ciężki dzień, teraz chcesz się ogolić, wziąć ciepły prysznic, włożyć świeże ubranie, wypić martini i pójść na kolację.

Kiedy będziesz brał prysznic, zamówię dla ciebie drinka. Nie obawiaj się, nie wypiję ani kropli aż do Nowego Jorku, mam całe tony nadludzkiej wprost siły woli. A potem może będziesz tak miły i zabierzesz mnie na kolację, zjemy ją tylko we dwoje i porozmawiamy o czym innym, na przykład o twoim dalszym życiu, o tym, do jakiej szkoły powinna chodzić Enid, jaką kobietę zdecydujesz się w końcu poślubić, z kim sypiałeś tu, na Lazurowym Wybrzeżu. A kiedy zrobi się późno i będziemy już oboje zmęczeni, wrócimy do naszego uroczonego, nienormalnie drogiego apartamentu i pozwolisz mi spać w twoim łóżku, ponieważ jutro odlatuję do Ameryki, a ty zostajesz tutaj do końca letniej pogody, żeby porozplątywać wszystkie supły, które ja pozawiazywałam.

Rudolf wstał, podszedł do Jean i wziął ją w ramiona. Na twarzy miała wypieki, a jej wstrząsane dreszczami ciało wydawało się Rudolfowi rozgorączkowane.

- Tak mi przykro - szeptała z głową na jego piersi. Obejmowała go mocno. - Myślę, że powinnam wygłosić tę mowę już bardzo dawno temu, może jeszcze zanim wzięliśmy ślub; tylko że nie byłam chyba taka, zanim wyszłam za mąż.

- Cicho, cicho - powiedział bezradnie Rudolf. - Kiedy wrócisz do domu, wszystko się zmieni.

- Kiedy wrócę do domu, będę tylko o dzień starsza. - Jean odsunęła się od Rudolfa i uśmiechnęła blado. - Trudno uważać to za istotną poprawę. Teraz weź prysznic. Kiedy wyjdiesz z łazienki, będę już mniej elokwentna, a czekające martini przypomni ci, że nie wszystko jeszcze stracone. Będę przy tobie w porze koktajlu z następną coca-colą.

Pod prysznicem Rudolf pozwolił sobie na łyzy. Kiedyś, w ciągu tych wszystkich lat, musiała być taka chwila, w której można było ocalić Jean. Był zbyt zajęty, zbyt zaabsorbowany, aby rozpoznać ten moment, wykonać ten niezbędny gest, zanim w końcu zamknęły się przed nią wszystkie drogi ucieczki.

Nie mógł uregulować temperatury wody. Wydawało się, że leci zbyt gorąca i parzy skórę tysiącami igieł, a kiedy przykręcał kran, wytryskiwała lodowato zimna, zamrażając go niemal, przyprawiając o dreszcze, jak gdyby stał nagi w deszczowym sztormie.

Wyszedł spod prysznica, wytarł się dużym, szorstkim ręcznikiem i obejrzał w dużym lustrze, zawstydzony swoim sprawnym, cudzołożnym ciałem, o silnych, wyraźnych mięśniach, bezużytecznych w życiu, jakie prowadził; swoją męskością, utrudniającą raczej wspaniałomyślną charytatywność. Chair, pomyślał. Po francusku ciało. Słowo zbliżone do charytatywności, przynajmniej w pisowni.

Zachowaj to, pomyślał z goryczą, na popołudnia w Nicei. Ubierał się powoli, kontakt drogiego, dobrze dopasowanego ubrania ze skórą sprawiał mu przyjemność. Drobne, regenerujące rozkosze ciała.

Założył cienką wełnianą koszulę, miękkie kaszmirowe skarpetki, wyprasowane flanelowe spodnie, wygodne, wyczyszczone mokasyny (nocna działalność komunistów w korytarzach) i bawełnianą prążkowaną marynarkę. Dziś wieczorem Gretchen nie mogłaby powiedzieć, że wygląda, jakby przed chwilą się pieprzył.

Kiedy wszedł do salonu, martini stało na stoliku obok kanapy, a Jean wyglądała przez okno na pachnącą ciemność, którą zapalające się światła wybrzeża przecinały coraz to nowymi jasnymi plamami koloru. Jean zapaliła w pokoju tylko jedną lampę, a teraz stała ze szklanką coca-coli w ręce. Usłyszawszy Rudolfa, odwróciła się:

- Kiedy brałeś prysznic, telefonowała Gretchen. Powiedziałam jej, że jemy kolację sami. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

- Mówiła zresztą, że zje kolację z przyjacielem w „Golfe Juan”.

- Poznałem go.

- Zastanawiam się często, jak układają się jej stosunki z mężczyznami. Nie zwierza mi się.

- Za to mnie nie oszczędza.

- Jak wszyscy - powiedziała niefrasobliwie Jean. - Biedny Rudolf.

- Chodziła bez celu po pokoju, dotykając poręczy krzesel, otwierając szuflady biurka.

- Powiedz mi Rudi, bo jakoś nie pamiętam, czy w tym samym pokoju zatrzymaliśmy się po

ślubie?

- Ja też nie pamiętam - przyznał Rudolf podnosząc szklaneczkę martini.

- A więc - Jean też uniosła swoją szklankę - za... za co? - Uśmiechnęła się. W przyciemnionym pokoju wyglądała pięknie i młodo. - Powiedzmy, za rozwód. - Pociągnęła łyk coca-coli.

Rudolf odstawił szklankę.

- Wypiję później. Chcę powiedzieć Enid dobranoc.

- Idź - powiedziała Jean. - Myślę, że powinieneś dać jakąś premię tej francuskiej dziewczynie. Była bardzo dobra dla Enid. Miła i cierpliwa. Sama jest jeszcze prawie dzieckiem, ale zawsze potrafiła wymyślić ciekawe zabawy dla małej. To umiejętność, której ja nie posiadam.

- Ani ja. Czy nie chcesz pójść ze mną?

- Nie dziś - odpowiedziała Jean. - Zresztą muszę trochę podreperować makijaż.

- Nie będę tam długo.

- Nie spiesz się. Mamy przed sobą całą noc.

Enid ubrana w pasiastą marynarską koszulkę, kończyła właśnie kolację. Śmiała się, kiedy Rudolf wszedł do pokoju. Chociaż niania nie mówiła po angielsku, zdawało się, że obydwie w jakiś sposób doskonale się rozumieją. Edukacja, pomyślał Rudolf z przykrością, zniszczy ten szczególny, wspólny im obu dar. Pocałował w główkę Enid, powiedział dziewczynie „bonsoir”. Dziewczyna usprawiedliwiła się:

- Przykro mi z powodu tej koszulki. Mała jest wykąpana, ale absolutnie nie chciała założyć pidżamy, uparła się, że chce spać w koszulce. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Uważałam, że nie warto o to walczyć...

- Oczywiście, że nie. - Rozsądna, ustępliwa Francuzka. - Będzie lepiej spała. - Rudolf poprosił opiekunkę o spakowanie rano rzeczy dziecka, ponieważ wyjeżdżają do Nowego Jorku. Zanim wszystko tu skończę, pomyślał, będę wystarczająco dobrze mówił po francusku, by porozmawiać nawet z korsykańskim policjantem. Chociaż jeden plus.

- Bien, monsieur - powiedziała dziewczyna.

Rudolf przez długą chwilę przyglądał się swojej córeczce.

Wyglądała zdrowo i radośnie, policzki miała ogorzałe od słońca. A więc, pomyślał, jest jeszcze jeden plus: przynajmniej ona wyniosła coś dobrego z tej podróży. Patrząc na Enid, która z zadowoleniem jadła kolację i w pewnej chwili złapała za rękę francuską nianię,

Rudolf postanowił zwolnić po przyjeździe do Nowego Jorku panią Johnson. Pani Johnson, kobieta po pięćdziesiątce, wprawdzie sprawna i spokojna, nie była osobą odpowiednią do zabaw z dzieckiem.

Jeszcze raz pocałował Enid w główkę i pochylił się niżej, kiedy dziecko powiedziało „dobranoc, tatusiu”, plasując gdzieś w okolicach jego policzka mokry płatkowo-siankowy pocałunek.

Pachniała mydłem i talkiem; gdyby nie obecność dziewczyny, Rudolf podniósłby małą z wyłożonego poduszkami krzesła, na którym siedziała, i mocno, mocno przytulił.

Powiedział jednak tylko: „Dobranoc, marynarzyku, śpij słodko.”, i wyszedł z pokoju.

Kolacja była znakomita, nad morzem świecił księżyc, w restauracji nie było tłoku i kelnerzy z oddaniem uwijali się przy ich stoliku.

Jean nalegała, żeby zamówił dla siebie butelkę wina, i Rudolf dał się przekonać. Okazało się, że mają sobie bardzo dużo do powiedzenia, nie było to jednak nic ważnego ani kłopotliwego, toteż rozmowa toczyła się bez krępujących przerw. Wszyscy jesteśmy z gumy, myślał Rudolf podziwiając miękkość włosów Jean pochylonej lekko nad talerzem, rozciągamy się aż do odkształcenia i potem wskakujemy, przynajmniej na pozór, z powrotem w pierwotną formę, czy może w niemal pierwotną formę.

Siedzieli długo przy kawie i Rudolf był pewny, że przy tym stoliku na wprost wielkiego okna wychodzącego na ciemne morze, ze srebrną drózką księżycowego światła oddalającego się migotliwie w stronę odległych wysp, sprawiali wrażenie zadowolonych z siebie.

Wolno wracali do hotelu. Kiedy znaleźli się w apartamencie, Jean powiedziała:

- Połóż się do łóżka, kochanie. Przyjdę za chwilę.

Rudolf leżał nagi w ciemności i czekał. Drzwi otworzyły się cicho, zaszeleściła zdejmowana suknia, i po chwili Jean była przy nim w łóżku. Otoczył ją ramieniem, jej ciało już nie drżało, było ciepłe, ale bez płomienia gorączki. Żadne z nich nie poruszyło się i po chwili oboje spali. Tej nocy Rudolfowi nie śniło się, że hotel kołysze się podczas trzęsienia ziemi czy że odwiedzają go złośliwe duchy.

Dalej, w głębi korytarza, Gretchen spała niespokojnie, sama.

Kolacja była cudowna, wino lało się obficie, młody człowiek był niemal najprzystojniejszym mężczyzną w całej restauracji. Najpierw jej nadskakiwał, potem stał się natrętny; Gretchen o mało nie powiedziała „tak”. Jednak w końcu spała sama. Tuż przed

zaśnięciem pomyślała: gdyby ten mój przeklęty brat nie powiedział: „umiesz ich dobierać, nie ma co”, nie spałabym samotnie tej nocy.

ROZDZIAŁ VII

Z notatnika Billy Abbotta, Przypadkiem wpadł mi w ręce numer międzynarodowego wydania „Time'u” z tego tygodnia. Pomyśleć tylko, w rubryce „Zbrodnie” była tam saga Jordachów, ze zdjęciem nagiej Jean, i cała nieprzyjemna historia rodziny. Porażka, morderstwo i wstyd w kilkuset dobrze dobranych słowach.

Wycinam tę historię i wkładam w inne moje zapiski. Dostarczy to moim ewentualnym potomkom pożytecznych informacji dotyczących naszego drzewa genealogicznego. Niemal ostatnim miejscem, w którym spodziewać by się można spotkania z trójką dzieci niemieckiego emigranta, piekarza-samobójcy z miasta nad rzeką Hudson, jest jacht na Riwierze. Jednak po niedawnym zamordowaniu w porcie Antibes Tomasza Jordacha, lepiej znanego przed laty jako pięściarz wagi średniej Tomy Jordan, w dossier śledztwa francuskiej policji wypłynęły na powierzchnię także inne nazwiska z przeszłości.

M.in.: Rudolf Jordach, lat 40, brat Toma, milioner, były burmistrz Whitby w stanie Nowy Jork; kilkunastoletni syn Jordana, Wesley; Jean Prescott Jordach, żona Rudolfa i dziedziczka firmy farmaceutycznej Prescott ze środkowego wschodu; Gretchen Burke, siostra obydwu Jordachów, wdowa po reżyserze teatralnym i filmowym, Colinie Burke.

Źródła w Antibes podają, że Jordana zatłuczono na śmierć zaledwie w kilka dni po jego weselu i po tym, jak wy dostał pijaną bratową ze szponów portowego opryszka w podrzędnej knajpie nocnej w Cannes.

Jean Jordach, przebywająca w luksusowym „Hôtel du Cap”, w okresie gdy policja kontynuuje śledztwo, twierdzi, że zaczepiono ją, kiedy piła samotnie wieczornego drinka na nabrzeżu. Jordan pojawił się na miejscu wydarzenia i brutalnie pobił mężczyznę, który ją zaczepił. Następnie znaleziono Jordana zamordowanego na własnym jachcie.

Policja francuska potwierdziła jedynie fakt, że ma listę podejrzanych.

Ja na szczęście nie jestem wymieniony. Istnieje znikoma szansa, żeby ktokolwiek skojarzył mnie z panią Burke, żoną znakomitego reżysera, dziś nieżyjącego, a wcześniej małżonką przeciętnego wykolejeńca o nazwisku Abbott. Oczywiście skojarzyłaby Monika, bo opowiadałem jej dużo o matce, ale szczęśliwie Monika nie czyta „Time'u”. Jej zdaniem pismo to zajmuje się informacjami dla rozrywki, a nie w imię prawdy.

Zastanawiam się czasem, czy nie powinienem spróbować zawodu dziennikarza. Jestem wścibski i złośliwy, a to dwie istotne cechy tej branży.

Moniki nie ma w domu. Na stole kartka. Nie będzie jej kilka dni.

Monika całkowicie uznaje podwójne kryteria - tyle że w odniesieniu do siebie.

Już za nią tęsknię.

W limuzynie, którą sprowadził recepcjonista, były już spakowane bagaże. Gretchen, Jean i Enid siedziały na tylnym siedzeniu, Enid trochę zapłakana z powodu rozstania z francuską dziewczyną. Rudolf po raz trzeci sprawdził, czy ma wszystkie bilety, szofer właśnie otwierał mu drzwi, kiedy na podjeździe przed hotelem zatrzymał się samochód. Wsiadła z niego niska, okrągłutka, skromnie ubrana kobieta o siwiejących włosach i niewielki tustawy mężczyzna w garniturze urzędnika, który prowadził samochód.

- Rudolfie Jordach, chwileczkę - zawołała kobieta, idąc w jego stronę.

- Słucham? - Kobieta wydała mu się znajoma.

- Przypuszczam, że pan mnie nie pamięta. - Odwróciła się do małego, grubego mężczyzny: - Powiedziałam ci, że nie będzie mnie pamiętał.

- Rzeczywiście.

- A ja pana pamiętam - powiedziała kobieta do Rudolfa. - Bardzo dobrze. Jestem żoną Toma, matką Wesleya. Przyjechałam po mojego syna. - Zanurzyła rękę w ogromnej torbie, wydobyla numer „Time'u” i pomachała nim w kierunku Rudolfa.

- O Boże - jęknął Rudolf. Zupełnie zapomniał o dziennikarzu i teleksie. Najwyraźniej dziennikarz jednak o nim nie zapomniał.

Biedny Wesley, pomyślał, nazwisko jego powtarzane będzie przez tydzień w milionach domów, spojrzenia ciekawskich ścigać go będą przez następne lata, obcy ludzie zaczną zaczepiać go wszędzie, gdzie się pojawi, zadając pytanie: „Przepraszam, czy to nie pan?...”

- Czy mogę zobaczyć, co tam jest? - Rudolf wyciągnął rękę po tygodnik. Dziennikarz był na statku, zanim Wesley dostał się do więzienia, ale mógł przecież w dalszym ciągu interesować się sprawą. Rudolf skrzywił się na myśl o tym, jak mógł wyglądać w „Timie” opis bójki Wesleya w nocnym lokalu i Anglika przebywającego w szpitalu ze wstrząsem mózgu.

Teresa cofnęła się, schowała pismo za siebie.

- Może pan iść i kupić sobie własny egzemplarz. Z tego, co tu piszą, wynika, że stać pana na to. Razem z tą gołą luksusową żoną!

- O, Boże, pomyślał Rudolf, wykopali to stare zdjęcie. Jakim błogosławieństwem dla całego świata byłoby puszczenie z dymem w ciągu jednego dnia archiwów wszystkich pism i gazet na ziemskim globie.

- Wszystko jest w tym tygodniku - powiedziała Teresa z wrogością.

- Tym razem pańska forsa nie wybawiła mojego eks-męża, co?

Wreszcie dostał to, czego szukał.

- Przykro mi, pani Tereso - powiedział Rudolf. Tom musiał być w chwili ślubu pijany albo zamroczony narkotykami. Rudolf widział jego żonę po raz ostatni przed trzema laty w biurze Heatha. Kiedy dawał jej pieniądze na wyjazd do Reno i załatwienie rozwodu; miała wtedy włosy ufarbowane na platynowy blond i ważyła chyba ze dwadzieścia funtów mniej. Nie wyglądała jednak ani lepiej, ani gorzej niż teraz.

- Przepraszam, że pani nie poznałem. Trochę się pani zmieniła.

- Nie zrobiłam na panu większego wrażenia, co? - Teraz już wrogość była bardziej wyraźna. - Pozwoli pan, że przedstawię mojego męża, Eddie Kralera.

- Witam, panie Kraler.

Mężczyzna coś mruknął.

- Gdzie jest mój syn? - zapytała chrapliwie Teresa.

- Rudi - wołała z samochodu Gretchen - nie chcemy spóźnić się na samolot. - Nie słyszała nic z tej całej wymiany zdań.

Chociaż ranek był chłodny, Rudolf zaczynał się pocić.

- Musi mi pani wybaczyć, panie Kraler, ale spieszymy się na lotnisko.

- Tak łatwo się pan nie wywinie, panie Jordach - wykrzyknęła Teresa, wymachując rękami. - Nie przyjechałam tu taki kawał drogi z Ameryki, żeby pozwolić panu odlecieć.

- Nigdzie nie odlatuję - powiedział Rudolf podnosząc głos, odpowiednio do tonu jej wypowiedzi. - Muszę wsadzić rodzinę do samolotu i zaraz wracam. Zobaczymy się za dwie godziny.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest mój syn - nalegała Teresa chwytając Rudolfa za rękaw i przytrzymując go w momencie, gdy zaczął wsiadać do samochodu.

- Jeśli pani musi wiedzieć, to jest w więzieniu.

- W więzieniu! - wrzasnęła Teresa. Tragicznym gestem położyła rękę na szyi. Jej reakcja upewniła Rudolfa, że przynajmniej ta część historii nie znalazła się w czasopiśmie.

- Proszę nie histeryzować - powiedział ostro Rudolf. Wrzask Teresy był najgłośniejszym hałasem, jaki słyszał w hotelu od chwili przyjazdu. - To nie jest poważna sprawa!

- Słyszałeś, Eddie? - krzyknęła. - Mój syn jest za kratkami, a on mówi, że to nie jest poważna sprawa!

- Słyszałem, jak to mówił - powiedział Kraler.

- To jest taka rodzina. Oddaj dziecko w ich ręce - ciągnęła Teresa równie głośno jak

przedtem - a zanim się zorientujesz, znajdzie się w policyjnej kartotece. Jakie to szczęście, że jego ojciec został zamordowany, bo inaczej nie dowiedziałabym się nigdy, gdzie chłopak jest, i Bóg jeden wie, co ci ludzie mogliby z niego zrobić. Wie pan, kto naprawdę powinien być w więzieniu? - puściła rękaw Rudolfa, odstąpiła krok do tyłu, wskazując na niego drżącym palcem ręki wyciągniętej oskarżającym operowym gestem. - Pan! Z pana sztuczkami, łapówkami i brudnymi pieniędzmi!

- Kiedy się pani uspokoi - powiedział Rudolf zamierzając się ulokować na przednim siedzeniu limuzyny - wszystko pani wytłumaczę. - I zwracając się do szofera: - Allonsy.

Kobieta rzuciła się na niego i znów go złapała za rękę.

- Nie, tak łatwo się pan nie wywinie, mój panie!

- Puść mnie, głupia kobieto. Teraz nie mam czasu rozmawiać.

Samolot nie będzie czekał, choćby pani nie wiem jak głośno krzyczała.

- Eddie - wrzasnęła Teresa do męża - czy pozwolisz mu tak umknąć?

- Wie pan, panie Jordach - zaczął mężczyzna.

- Nie znam pana. Niech się pan nie miesza. Jeśli chce pan ze mną rozmawiać, proszę tu poczekać, aż wrócę. - Energicznym ruchem strącił rękę kobiety ze swojego rękawa, a recepcjonista, który wyszedł przed hotel, by ich pożegnać, ruszył groźnie w kierunku Teresy.

Rudolf szybko wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwiczki i zamknął je od wewnątrz. Szofer obszedł samochód, usiadł za kierownicą, włączył silnik. Kiedy wyjeżdżali z bramy, Teresa ze złością wymachiwała za nimi czasopismem.

- O co chodziło? - zapytała Gretchen. - Nie mogłam usłyszeć, co ona mówiła.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział ostro Rudolf. - To matka Wesleya.

- Bardzo się zmieniła - stwierdziła Gretchen. - I to nie na lepsze. Czego ona chce?

- Jeżeli nie wypadła z roli, to chce pieniędzy. - Będzie musiał wziąć Gretchen na bok i poprosić o dopilnowanie, żeby Jean nie wpadł w ręce numer „Time'u”.

Z tarasu budynku lotniska Rudolf obserwował start samolotu.

Pożegnanie przebiegło spokojnie. Obiecał wrócić do Nowego Jorku możliwie najszybciej. Starał się nie porównywać w myślach dzisiejszego dyskretnego odjazdu z wakacyjną wesołością, jaka towarzyszyła ich przybyciu na to samo lotnisko. Wtedy czekał na nich Tom z przyszłą oblubienicą, a w porcie „Klotylda” gotowa powieźć ich pomiędzy wyspy w okolicach Cannes na powitalny rodzinny obiad.

Kiedy samolot zniknął mu z oczu, Rudolf westchnął, przeszedł przez budynek dworca lotniczego walcząc z pokusą kupienia w kiosku numeru tygodnika „Time”. Cokolwiek w nim

napisano, z pewnością nie mogło mu to sprawić przyjemności. Zastanawiał się, w jaki sposób ludzie figurujący ciągle na łamach prasy, politycy, ministrowie, aktorzy i inni, potrafią się zmusić do otwierania porannej gazety.

Pomyślał o pulchnej, siwiejącej kobiecie i jej korpulentnym, niewysokim małżonku, którzy czekali na niego w hotelu, i znowu westchnął. Jak tej upiornej kobiecie w ogóle udało się zdobyć męża? I to jeszcze drugiego. A może - jeśli ten dziennikarz z „Time'u” jest jeszcze w Antibes - powinien poprosić go o odszukanie zdjęcia Teresy w gazecie, pod starym przybranym nazwiskiem, zatrzymanej przez policję po obławie w burdelu. Jedno zdjęcie warte drugiego. Biedny Wesley.

Grając na zwłokę, poprosił, żeby szofer pojechał w Nicei do centrum, i tam skierował go na ulicę, gdzie mieszkała Jeanne. Nie miał pojęcia, jak by się zachował, gdyby przypadkiem zobaczył ją wychodzącą z domu z dziećmi czy wojowniczym małżonkiem.

Najprawdopodobniej nie zrobiłby nic. Ale Jeanne nie pojawiła się.

Ulica przypominała wszystkie inne ulice.

- Proszę z powrotem do hotelu. Dalszą drogą, nad morzem.

W Antibes jechali wzdłuż portu, Rudolf widział z daleka „Klotyldę” z drobną postacią Dwyera poruszającego się po pokładzie. Nie powiedział jednak szoferowi, by się zatrzymał.

- Znam swoje prawa - mówiła Teresa. Siedzieli we trójkę na krzesłach na niewielkiej polance hotelowego parku, gdzie nikt nie mógł słyszeć ich rozmowy. Kiedy Rudolf wrócił z lotniska, oczekująca go para tkwiła sztywno naprzeciwko siebie w fotelach przy recepcji. Wyraz ich twarzy był zawzięty i pełen dezaprobaty, a sama ich obecność stanowiła milczący wyrzut dla rozpróżnionych, goniących za przyjemnościami hotelowych gości, którzy, w sportowych strojach, mijali ich w drodze na korty tenisowe czy basen. Państwo Kraler słuchali posepnie, kiedy Rudolf prowadził ich do parku, wyjaśniając pospiesznie głosem spokojnym i naturalnym, w jaki sposób Wesley dostał się w ręce policji i dlaczego wyjeżdża do Ameryki.

- Byliśmy u adwokata w Indianapolis, gdzie mieszkamy, mój mąż i ja, znam więc swoje prawa matki - głos Teresy zgrzytał w uszach Rudolfa jak metal przesuwany po szkle. - Wesley jest niepełnoletni, adwokat powiedział, że teraz, kiedy nie żyje jego ojciec, ja jestem jego prawną opiekunką. Czy nie tak właśnie powiedział adwokat, Eddie?

- Tak właśnie powiedział. Dokładnie.

- Kiedy wyciągnę go z więzienia - kontynuowała Teresa - zabiorę go do prawdziwego domu, gdzie będzie mógł otrzymać przyzwoite chrześcijańskie wychowanie.

- Nie uważa pani, że lepiej nie mieszać w to religii? - zapytał Rudolf. - Mimo

wszystko życie, jakie pani prowadziła...

- Nie musi pan owijać w bawełnę prawdy o życiu, jakie prowadziłam.

Mąż wie wszystko. Prawda, Eddie?

- Wszystko. - Eddie skinął głową, a obwisłe woreczki skóry pod jego podbródkiem poruszały się rytmicznie.

- Byłam dziwką, nie ma co ukrywać - powiedziała niemal z dumą Teresa. - Ale oczy mi się otworzyły. Zagubiona owca droższa jest sercu Pana... - zawahała się. - Zna pan z pewnością ciąg dalszy; nawet jeśli pan i pana rodzina pozostaliście zabłąkanymi poganami.

- Prawdę mówiąc - powiedział z udaną niewinnością Rudolf - nie znam dalszego ciągu.

- To nie ma znaczenia - powiedziała szybko. - Mój mąż jest mormonem, dzięki jego wysiłkom nawróciłam się i zostałam przyjęta do owczarni. Żeby pan wiedział, nie farbuję już włosów, co może pan zauważył, jeżeli w ogóle zadaje pan sobie kiedykolwiek trud, żeby coś u mnie zauważyć, nie piję alkoholu ani nawet kawy czy herbaty.

- To godne podziwu, pani Tereso - powiedział Rudolf. Przeczytał gdzieś, że mormonizm jest najszybciej się rozprzestrzeniającą religią chrześcijańską we współczesnym świecie, ale mając w swym gronie Teresę wyznawcy tej religii muszą chyba odczuwać, że zbyt szeroko zarzucili swoje sieci. Mógł sobie wyobrazić, jaki wstrząs przeżyła starszyczna Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego w świątyni w Salt Lake City, przyjmując do swego błogosławionego grona Teresę Jordach. - Nie rozumiem, jaki to ma związek z Wesleyem.

- To ma jeden związek z Wesleyem, taki mianowicie, że przestanie być kryminalistą. Znam waszą rodzinę. Znam dobrze Jordachów, może pan być pewny. Wszyscy to cudzołóżnicy i krętacze.

Rudolf zauważył, że słownik Teresy poszerzył się znacznie wraz z jej nawróceniem. Nie miał pewności, czy tak było lepiej.

- Nie wydaje mi się, żeby kilkudniowy pobyt Wesleya w więzieniu z powodu bójki w barze był w istocie spowodowany moim ateizmem. A poza tym - nie mógł się powstrzymać od tego dodatku - cudzołóstwo i kręactwo nie należą do moich głównych zajęć.

- Nikogo nie oskarżam - powiedziała Teresa, chociaż oskarżeniem była każda wypowiedziana przez nią sylaba i każdy gest. - Trudno jednak zaprzeczyć, że kiedy o mało nie zabił człowieka, był pod pana opieką, bo pan jest jego wujem i głową rodziny...

- Dobrze, dobrze - przyznał ze znużeniem Rudolf. Chciał, żeby już sobie poszła, zniknęła razem ze swoim tłustym, cnotliwym małżonkiem o zasznurowanych ustach,

przerażała go jednak myśl, że Wesley mógłby pozostać na łasce tej pary w Indianapolis. Nie bardzo wiedział, co może zrobić, aby temu zapobiec, ale musiał spróbować wszystkich możliwości. - Czego pani chce? - Wyjaśnił jej, że za sześć dni Wesleya wsadzą do samolotu lecącego do Ameryki, ale nie powiedział o swoim świeżo zrodzonym pomysle oddania go tam na rok do dobrej szkoły z internatem, a potem odesłania z powrotem do Francji, żeby tutaj kontynuował naukę, ani też o swoim planie (egoistycznym? wspaniałomyślnie wujowskim?) powrotu do Francji i czuwania nad chłopcem.

- Czego ja chcę? - powtórzyła Teresa. - Chcę z niego zrobić przyzwoitego obywatela, a nie dzikie zwierzę w dżungli, jak jego ojciec.

- Oczywiście zdaje pani sobie sprawę, że za dwa lata Wesley będzie w wieku poborowym i jeśli znajdzie się w Stanach, może zostać wysłany na śmierć do Wietnamu.

- Jeśli taka jest wola boska - powiedziała Teresa. - Czy zgadzasz się ze mną, Eddie?

- Wola boska - powiedział Kraler. - Mój syn jest w wojsku i jestem z tego dumny. Chłopak musi spróbować szczęścia jak każdy inny.

- Nie chcę żadnych przywilejów dla mojego syna - powiedziała Teresa.

- Nie sądzi pan, że należałoby zapytać Wesleya, co on chce robić?

- To mój syn. Nie muszę go o nic pytać. I jestem tu po to, żeby nie dać go wyslizgać z należnej mu części wielkiego spadku po ojcu. - Aha, pomyślał Rudolf, teraz doszliśmy do sedna sprawy. - Kiedy zostanie sprzedany ten luksusowy jacht, o którym piszą w gazecie - Teresa mówiła piskliwie - może pan być pewny, że będę zaglądała wszystkim przez ramię i dopilnuję, żeby mój syn nie został na lodzie. A nasz adwokat przepatrzy każdziuteńki skrawek papieru, tego też może pan być pewny, panie Jordach.

Rudolf podniósł się.

- W takim razie nie widzę żadnej potrzeby przedłużania tej rozmowy. Macocha Wesleya, która prawdopodobnie zostanie wyznaczona egzekutorką masy spadkowej, wynajmie adwokata, i obaj prawnicy mogą załatwić wszystkie sprawy. Ja mam co innego do roboty. Żegnam.

- Chwileczkę - powiedziała Teresa. - Nie może się pan tak wymknąć.

- Muszę się zdrzemnąć. Od świtu jestem na nogach.

- Nie interesuje pana, gdzieśmy się zatrzymali? - krzyczała czując, jak zwycięstwo wymyka się jej z rąk; łatwość, z jaką wygrała ten spór, budziła podejrzenia, że przeciwnik coś knuje. - Gdzie mieszkamy w Ameryce? Mój mąż jest bardzo szanowanym kupcem w Indianapolis. Ma rozlewnię napojów bezalkoholowych. Pracuje u niego trzystu ludzi. Daj panu swój bilet, Eddie.

- Nie trzeba, panie Kraler. Nie chcę waszego adresu ani tutaj, ani w Indianapolis. Spływajcie stąd - dorzucił po wariacku.

- Chcę zobaczyć mojego chłopca w więzieniu - krzyczała Teresa. - Chcę zobaczyć, co oni zrobili z moim biednym synem!

- Oczywiście. Niech to pani zrobi koniecznie.

Jej instynkty macierzyńskie były znacznie słabsze w gabinecie Heatha, kiedy Rudolf jej płacił; wtedy na widok czeku wystawionego na swoje nazwisko podpisała akt zrzeczenia się opieki nad synem.

- Mam zamiar przeprowadzić legalną adopcję - wtrącił Kraler. - Jest życzeniem mojej żony, aby chłopak zapomniał, że kiedykolwiek nazywał się Jordach.

- To jest sprawa do załatwienia pomiędzy nim a matką - powiedział Rudolf. - Ale kiedy odwiedzę go w więzieniu, wspomnę mu o tym projekcie.

- Kiedy wybiera się pan do więzienia? - zapytała Teresa. - Nie życzę sobie, żeby pan z nim sam rozmawiał i wlewał w jego uszy truciznę... Pójdę z panem.

- Nigdzie pani ze mną nie pójdzie - powiedział Rudolf. - Moją zasadą jest odwiedzanie więzień bez osób towarzyszących.

- Ależ ja nie mówię po francusku - lamentowała Teresa. - Nawet nie wiem, gdzie jest to więzienie. Jak przekonam gliny, że jestem jego matką?

- Obawiam się, że będzie pani musiała sama sobie z tym poradzić, pani Kraler - powiedział Rudolf. - I nie chciałbym już nigdy oglądać żadnego z was. Powiedzcie swojemu adwokatowi, żeby kontaktował się z kancelarią Heath, Murrows i Gordon przy Wall Stret. Zresztą pani już tam kiedyś była.

- Ty draniu! - wykrzyknęła Teresa całkiem nie jak mormonka.

Rudolf się uśmiechnął.

- Życzę przyjemnego popołudnia. - Skinął głową i pozostawił dwoje pulchnych, małych, rozdrażnionych ludzi siedzących w milczeniu na krzesłach w cieniu sosen. Aż się trząsał z wściekłości, przygnębienia i rozpaczony na myśl o biednym chłopaku w więzieniu w Grasse, ale na razie nie mógł nic dla niego zrobić. Wyrwanie Wesleya ze szponów matki wymagałoby podjęcia akcji ratunkowej na ogromną skalę, a dzisiaj Rudolf nie czuł się na siłach, aby chociaż pomyśleć, od czego należałoby ją zacząć. Pani Teresa Kraler, chrześcijanka czy nie chrześcijanka, czując w powietrzu zapach pieniędzy, przypominała sobie maniery swojej dawnej profesji. Przerażała go myśl, że musi uprzedzić Kate, co ją czeka.

Szybko spakował swoje rzeczy. Recepcjonista zarezerwował mu pokój w „Colombe d'Or” w Saint-Paul-de-Vence. Z hotelu w Grasse miałby bliżej do więzienia, gdzie chodził niemal codziennie.

Saint-Paul-de-Vence było bliżej Jeanne. Wybrał Saint-Paul-de-Vence. Nie miał żadnego powodu, by pozostawać dłużej w „Hôtel du Cap”, za to wiele powodów, by go opuścić. Poprosił recepcjonistę o przesyłanie poczty i nie podawanie nikomu, bez względu na okoliczności, nazwy nowego hotelu. Napisał do Jeanne, podając jej swój adres, zakleił tę wiadomość w kopercie zaadresowanej na poste restante w Nicei.

Kiedy zszedł na dół do recepcji, aby zapłacić rachunek, a jego bagaże umieszczano w samochodzie, skonstatował z ulgą, że Kralerowie już poszli. Wysokość rachunku zaszokowała go. Pomyślał, że za agonię na Lazurowym Wybrzeżu płaci się majątek. Był to jeden z najlepszych hoteli na świecie, ale Rudolf wiedział, że nigdy już tu nie wróci. I to nie z powodu kosztów.

Najpierw pojechał do portu. Dwyer i Kate muszą znać miejsce jego pobytu. Kiedy wszedł na pokład, Dwyer polerował właśnie jeden z niewielkich mosiężnych pachołków na dziobie. Na widok Rudolfa podniósł się, uściśli sobie rękę.

- Co słychać? - zapytał Rudolf.

Dwyer wzruszył ramionami.

- No, nie są to wakacje - odpowiedział. - Nie dostarczyli jeszcze śruby ani wału. Muszę sprowadzić je z Włoch, a Włosi nie przepuszczą ich przez granicę, dopóki nie dostaną pieniędzy. Dzień w dzień dzwonię do ubezpieczeń, ale im się nie spieszy. Im się nigdy nie spieszy. Przysyłają mi coraz to nowe formularze do wypełnienia - mówił z rozżaleniem. - I ciągle domagają się podpisu Toma. Może Włosi myślą, że we Francji nikt nie umiera. Musiałem wszystko dawać do tłumacza. Jest w mieście kelnerka, z którą jestem zaprzyjaźniony i która zna język, tyle że gównem wie o statkach i ciągle się pyta o takie rzeczy, jak wyposażenie, światła pozycyjne, sążeń, balast i tak dalej. Doprowadza mnie to do szału.

- Dobrze, Króliczku - powiedział Rudolf, powstrzymując westchnienie. - Przyślij wszystkie papiery do mnie. Załatwię to.

- Co za ulga. Dziękuję.

- Przenoszę się do „Colombe d'Or” w Saint-Paul-de-Vence - oznajmił Rudolf. - Tam będziesz mógł mnie znaleźć.

- Nie dziwi mnie, że się wynosisz z tego hotelu. Musiał cię kosztować kupę pieniędzy.

- Nie był tani.

- Rozglądasz się dokoła - mówił Dwyer - widzisz te wszystkie wielkie statki, drogie

hotele i tak sobie myślisz: skąd się bierze ta cała forsa? W każdym razie, ja się zastanawiam.

- Króliczku - zaczął Rudolf, zdając sobie sprawę, że w sposób całkiem absurdalny zajmuje pozycję obronną - w młodości byłem chyba biedniejszy od wszystkich znanych ci ludzi.

- Tak. Tom mi opowiadał. Harowałeś jak pies. Nie mam pretensji do ludzi, którzy przeszli taką drogę jak ty. Podziwiam ich.

Powiedziałbym, że masz prawo do tego wszystkiego, co możesz mieć.

- Jest masa rzeczy, które mogę mieć - powiedział Rudolf - i z których chętnie bym zrezygnował.

- Wiem, o co ci chodzi.

Zapanowało krótkie, krępujące milczenie.

- Spodziewałem się, że Kate będzie tu z tobą - powiedział Rudolf.

- Wyłynęło coś, o czym powinna wiedzieć. Jak ona się czuje?

Dwyer patrzył na niego uważnie, jakby próbując zdecydować, czy powinien mówić mu o Kate.

- Wyjechała. Dziś rano pojechała do Anglii.

- Czy masz jej adres?

- Tak. Mam - odpowiedział ostrożnie Dwyer.

- Jest mi potrzebny. - Możliwie najkrócej Rudolf opowiedział Dwyerowi o przyjeździe Kralerów, o problemach prawnych, z którymi Kate będzie musiała się uporać sama albo też będą musiały być załatwione w jej imieniu.

Dwyer powoli skinął głową.

- Tom opowiadał mi o tej swojej żonie. Prawdziwa suka, co?

- To najskromniejsza z jej cnót - powiedział Rudolf. Zauważył, że Dwyer waha się, czy dać mu adres Kate. - Króliczku, chciałbym cię o coś zapytać. Czy nie wierzysz, że próbuję załatwić wszystko jak najlepiej dla Kate? I dla Wesleya? A także dla ciebie?

- O mnie nikt nie musi się martwić. A Kate... - Dwyer wykonał ten swój dziwaczny, niemal kobiecy ruch rękami, jak gdyby wyjaśnienie sytuacji za pomocą słów przekraczało jego możliwości. - Wiem, że tamtego dnia zachowywała się... no... złośliwie. Nie dlatego, że ma do ciebie żal czy coś takiego. Powiedziałbym, że... - znów ten sam ruch. - Chodzi o to, że ona... - szukał odpowiedniego słowa - ona jest rozbita. To rozsądna kobieta, przezwycięży to.

Szczególnie teraz, kiedy jest z powrotem w domu, w Anglii. Masz ołówek i kawałek kartki?

Rudolf wyjął z kieszeni notes i pióro. Króliczek podał mu adres, który Rudolf zapisał.

- Ona nie ma telefonu - wyjaśnił Dwyer. - Domyślam się, że jej rodzina nie tarza się w forsie.

- Napiszę do niej - powiedział Rudolf - kiedy coś się wyjaśni. - Rozejrzył się dokoła po wyszorowanym pokładzie, błyszczących poręczach i mosiężnych okuciach. - Statek wygląda wspaniale.

- Zawsze jest coś do zrobienia - odpowiedział Dwyer. - Umówiłem się, że zaholujemy go do doku od dziś za dwa tygodnie. Te przeklęte części powinny już do tego czasu przyjść z Włoch.

- Króliczku, jak myślisz, ile warta jest „Klotylda”? - zapytał Rudolf. - Za ile się ją sprzeda?

- Ile jest warta i za ile się ją sprzeda to dwie różne rzeczy - powiedział Dwyer. - Jeżeli wziąć pod uwagę cenę, za jaką ją kupiliśmy, całą pracę i ulepszenia, jakich dokonaliśmy z Tomem, i nowy radar, który podarowałeś mu jako prezent ślubny - też trzeba będzie go zainstalować - powiedziałbym, że będzie warta około stu tysięcy dolarów. Tyle jest warta. Ale jeżeli musisz ją sprzedać szybko, jak nam powiedziałaś, wyjaśniając konieczność ustalenia masy spadkowej, i to teraz, czyli już po połowie sezonu... Nikt przecież nie chce płacić za utrzymanie statku przez całą zimę...

Jeżeli ktoś zamierza kupować, zrobi to najprawdopodobniej późną wiosną. Ale jeżeli musisz sprzedać, to wtedy naturalnie będą próbowali cię wykiwać, i będziesz miał szczęście, jak dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy. Ja w każdym razie nie znam się na tym.

Powinieneś się trochę rozejrzeć, porozmawiać z pośrednikami tutaj, w Cannes, i w Saint-Tropez. Wiesz, o co mi chodzi, może mają kogoś, kto dałby przyzwoitą cenę...

- Czy dotychczas nie miałeś żadnych propozycji? - zapytał Rudolf.

Dwyer pokręcił przecząco głową.

- Nie sądzę, by zgłosił się ktoś, kto zna Antibes. Po morderstwie i po tym wszystkim. Myślę, że lepiej zmienić nazwę statku i popłynąć do innego portu. Może nawet do innego kraju. Gdzieś do Hiszpanii albo do Włoch. Może po prostu do Pireusu, do Grecji...

Ludzie są przesądni, jeśli chodzi o statki.

- Króliczku, nie chciałbym, żebyś się rozzłościł o to, co powiem, ale muszę z tobą o tym porozmawiać. Ktoś musi zostać na statku, dopóki się go nie sprzeda.

- Tak sądzę.

- I trzeba mu płacić.

- Tak - powiedział Dwyer, wyraźnie skrepowany.

- Ile wynosi taka pensja?

- To zależy - mówił wymijająco Dwyer - ile pracy byś wymagał od tego kogoś, czy byłby to inżynier, czy nie, tego typu sprawy.

- A na przykład ty? Gdybyś został zaangażowany na inny statek?

- No, gdybym został zaangażowany wcześniej, mam na myśli to, że teraz wszyscy mają już skompletowane załogi, to chyba pięćset dolarów miesięcznie.

- W porządku - powiedział Rudolf. - Dostaniesz pięćset dolarów miesięcznie.

- Nie prosiłem o to. - Głos Dwycera był chrapliwy.

- Wiem, że nie prosiłeś. Ale dostaniesz.

- Pamiętaj tylko, że o to nie prosiłem. - Dwyer wyciągnął rękę i Rudolf ją uściśnął. - Chciałbym, żeby Tom mógł się w jakiś sposób dowiedzieć, co robisz dla mnie, dla Kate, dla chłopaka i dla „Klotyldy”.

Rudolf uśmiechnął się.

- Nie prosiłem o to, pamiętaj.

Dwyer się zaśmiał. - Myślę, że jest jeszcze jakaś whisky na pokładzie.

- Nie miałbym nic przeciwko szklaneczce - przyznał Rudolf.

Kiedy przeszli na rufę, Dwyer powiedział:

- Twoja siostra... pani Burke... to znaczy Gretchen, zrobiła ze mnie amatora whisky.

Mówiła ci o tym?

- Nie. Zachowała wasz romans w tajemnicy.

Rudolf spostrzegł, że Dwyer się nie uśmiechnął, więc nie dodał już nic na temat Gretchen.

Wypili ciepłą whisky w sterówce. Dwyer przeprosił, że nie ma lodu.

Nie chciał włączać generatora wytwarzającego prąd, żeby nie marnować paliwa.

- Zabawna rzecz - mówił zupełnie już teraz odprężony, ze szklanką w ręce - że ty i Gretchen, i Tom jesteście z jednej rodziny. - Pociągnął duży łyk whisky. - Ogień i woda - zakończył niejasno.

Rudolf nie poprosił, żeby mu wytłumaczył, co przez to rozumie.

- Jeśli nie zobaczymy się wcześniej, spotkamy się na lotnisku, kiedy będzie wyjeżdżał Wesley. Pamiętaj datę?

- Zapisałem sobie - odpowiedział Dwyer. - Zapakuję jego rzeczy i przywiozę. - Zawahał się, zakasłał lekko. - Ma tam w kajucie cały plik zdjęć. Wiesz... zdjęcia statku, portów, w których byliśmy, jego z ojcem, moje i Kate... Czy powinienem je też zapakować? - Podniósł szklankę i pijąc zamknął oczy, jak gdyby sprawa nie miała większego znaczenia.

- Zapakuj - zdecydował Rudolf. Wspomnienia sprawiają ból, ale są bagażem

niezbędnym.

- Mam cały stos fotografii z wesela. My wszyscy... wiesz... toasty, tańce, no, takie rzeczy, my wszyscy...

- Myślę, że dobrze będzie te zdjęcia zostawić - powiedział Rudolf.

Co za dużo, to niezdrowo.

Dwyer skinął głową.

- Kate też ich nie chciała. A ja nie wiem, czy znajdę dla nich miejsce. W końcu będę podróżował, wiesz...

- Przyślij je do mnie. Schowam je w bezpiecznym miejscu. Może po jakimś czasie Wesley będzie chciał je zobaczyć. - Rudolf przypomniał sobie zdjęcia, które zrobiła tego dnia Jean. Schowa je razem.

Dwyer znów skinął głową.

- Jeszcze drinka?

- Dziękuję. Nie jadłem obiadu. Nie poszedłbyś ze mną?

Dwyer pokręcił głową.

- To miło z twojej strony, Rudi, ale ja już jadłem. - Rudolf zorientował się, że Dwyer miał wyznaczone normy. Przyjmowanie jednej przysługi dziennie. Nie więcej.

Odstawili szklanki. Dwyer starannie wytarł wilgotne plamy.

Kiedy Rudolf opuszczał „Klotyldę”, zabierał się znów do czyszczenia pachołków na dziobie.

Po zameldowaniu się w nowym hotelu Rudolf jadł obiad na tarasie wychodzącym na dolinę, która wyglądała jak zaprojektowana według obrazu Renoira. Po obiedzie zatelefonował do starego adwokata w Antibes. Wyjaśnił, że „Klotylda” jest do sprzedania, i poprosił, żeby adwokat występował jako pełnomocnik spadkobierców.

- Jeżeli najlepsza oferta, jaką pan dostanie, nie będzie sięgała co najmniej stu tysięcy dolarów, to proszę mnie zawiadomić. Wtedy ja kupię.

- To bardzo dżentelmeński gest z pana strony - powiedział adwokat; jego głos, zniekształcony przez druty telefoniczne, brzmiał cieniutko.

- Sprawa czystego interesu.

- Rozumiem - powiedział adwokat. Obydwaj wiedzieli, że to kłamstwo, co zresztą nie miało znaczenia.

Potem Rudolf zadzwonił do Johnny Heatha do Nowego Jorku i wszystko mu opowiedział.

- Ale gmatwanina - westchnął Heath. - Zrobię, co będę mógł.

Niecierpliwie czekam na list od adwokata Kralerów.

Rudolf włożył spodenki kąpielowe i czterdzieści razy przepłynął basen. Do jego umysłu docierał jedynie plusk wody, a po wyjściu na brzeg odczuwał zdrowe zmęczenie w całym ciele.

Suszył się siedząc nad basenem i sącząc zimne piwo. Miał poczucie winy, że jest mu tak dobrze. Zastanawiał się, zły na siebie za tę myśl, jak by zareagował, gdyby go poproszono do telefonu i zakomunikowano nowinę, że samolot z jego rodziną na pokładzie spadł do morza.

Ogień i woda, powiedział Dwyer.

ROZDZIAŁ VIII

Z notatnika Billy Abbotta, Rodzina. To jest temat. Miłość i zniszczenie. Niekoniecznie. Ale wystarczająco często, by znaleźć się w danych statystycznych. Dla Freuda scena tragedii greckiej - kazirodztwo, ojcobójstwo, inne intymne rozkosze. Strach pomyśleć, jak wyglądało życie rodzinne biednego doktora w Wiedniu.

Czy Jung był łagodniejszy? Muszę zapytać Monikę, tę krynicę mądrości. Uświadomiłem sobie, że ona nigdy nie mówi o swojej rodzinie. Szkielety w każdej szafie.

Nigdy nie widziałem Wesleya Jordacha. Biedny chłopak. Zagubiony przy tasowaniu kart. Czy zamordowanie ojca okaże się pożytecznym doświadczeniem dla jego duszy? Mój dziadek umarł, kiedy Rudolf i moja matka byli jeszcze stosunkowo młodzi, ale nie wydaje się, aby pogłębiło to jakoś zauważalnie ich dusze.

Lubiłem moją babkę, bo była mną oczarowana. Nie była oczarowana moją matką i nawet w dniu pogrzebu nie potrzebowała jej. Czy matka będzie mi w jakiś sposób potrzebna w dniu mojego pogrzebu? Mam przeczucie, że umrę młodo. Moja matka jest ze stali, będzie trwała wiecznie, przeżyje mężczyznę za mężczyzną.

Czy razi mnie jej zmysłowość? Tak.

A czy razi mnie moja zmysłowość, zmysłowość Moniki? Nie.

Niesprawiedliwość to moneta wymieniana między pokoleniami.

Moja matka jest kobietą łatwo zmieniającą partnerów. Mój ojciec twierdzi, że kiedy był młodszy i mógł sobie na to pozwolić, równie łatwo zmieniał partnerki. Ja nie. Jako dziecko pijaka wystrzegam się grzechów, które widzę u rodziców.

Synowie się buntują. Córki uciekają. Ja nie zrobiłem ani tego, ani tego. Ukryłem się. Ułatwiło mi to wojsko. Ciekawe byłoby spotkanie z kuzynem Wesleyem; dotychczas mi nie znanym, i porównanie zapisów; w naszych żyłach płynie ta sama krew.

„Dzieci-kwiaty” przekształciły ideę rodziny. Nie mógłbym żyć w komunie. Niehigieniczna gmatwanina. Desperackie eksperymenty, skazane na porażkę. Zbyt daleko odeszliśmy od wspólnot plemiennych. Nie chcę, żeby przeszkadzało mi czyjeś dziecko, kiedy czytam, gołę się, biorę do łóżka swoją żonę.

Czy od dziś za dziesięć lat będę mieszkał na przedmieściu, grał w brydża i przez cały weekend oglądał w telewizji mecze futbolowe?

Dojeżdżał do pracy? Zamieniał się żonami? Głosował na ówczesnego Nixona?

Już późno. Brak mi Moniki.

Wesley, świeżo ogolony i schludny, w garniturze przywiezionym przez Rudolfa z „Klotyldy”, siedział czekając na policjanta, który miał go zawieźć na lotnisko. Garnitur kupił mu ojciec przeszło rok temu; toteż marynarka miała już za krótkie rękawy i była za ciasna. Zgodnie z przewidywaniami Wesleya wujek Rudolf jakoś wszystko za niego pozłatwiał. Chociaż konieczność opuszczenia Francji nie wydawała mu się takim wspaniałym rozwiązaniem. W Ameryce nigdy nie czuł się dobrze, a we Francji czuł się szczęśliwy, w każdym razie do dnia śmierci ojca.

W więzieniu w Grasse nie było tak źle. Policjant, którego uderzył w barze, pracował w Cannes, toteż nie prześladował go w więzieniu.

Zarówno wśród strażników, jak i u sędziego śledczego, który go przesłuchiwał, Wesley cieszył się pewną popularnością, i z powodu tego, co się przydarzyło jego ojcu, i tego, że mówił po francusku i znokautował Anglika mającego u miejscowej policji umiarkowanie korzystną reputację barowego zabijaki. Poza tym Wesley był uprzejmy i nie sprawiał nikomu kłopotu. Nie zaszkodził mu także banknot wsuwany czasami przez wuja do ręki strażnika ani telefon z amerykańskiego konsulatu, również sprowokowany przez wuja Rudolfa.

Wuj Rudolf nigdy nawet nie dawał do zrozumienia, że Wesley powinien okazywać wdzięczność za to wszystko, co dla niego zrobił; i to w oczach Wesleya stanowiło główną zaletę Rudolfa. Wesley zresztą chciałby okazać wdzięczność, ale nie bardzo wiedział jak.

Pomyślał, że w końcu będzie musiał się nad tym zastanowić. Na razie nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć wujowi, który wydawał się zażenowany widząc Wesleya za kratkami, jakby w jakiś sposób poczuwał się do winy.

Jeden ze strażników przemycił mu nawet z kartoteki policyjnej zdjęcie mężczyzny o nazwisku Danovic, z którym bił się jego ojciec w „Porte Rose”. Wesley przypomniał sobie tę twarz w chwili, gdy jej rozpoznanie będzie konieczne.

Nie powiedział o tym nikomu. Nigdy nie był chłopcem otwartym, niechętnie mówił o sobie nawet z własnym ojcem, chociaż ojciec opowiedział mu o swoim życiu niemal wszystko, co Wesley chciał usłyszeć. Teraz swoje uczucia zachowywał dla siebie. Czuł się zagrożony, choć nie wiedział, co mu zagraża. Jednak cokolwiek to było, milczenie stanowiło pierwszą linię obrony. Tego nauczył się już dawno, kiedy matka umieściła go w tej cholernej szkole wojskowej.

Z matką to co innego. Krzyczała, wrzeszczała, zrzędziła i rozczulała się nad nim, obiecując, że będzie prowadził inne życie, kiedy ściągnie go z powrotem do siebie i swojego nowego męża do Indianapolis. Nie chciał prowadzić innego życia. Zapytał wuja, czy musi jechać do Indianapolis, a Rudolf posmutniał i powiedział: „Przynajmniej dopóki jesteś

niepełnoletni.”

Miało to jakiś związek z pieniędzmi, ale Wesley nie bardzo to rozumiał. Nie szkodzi. Może się rozejrzeć w sytuacji i prysnąć, jeśli nie będzie mu się podobało.

Zdobył tymczasem wystarczającą wiedzę o uciekaniu.

Żałował, że nie mógł pójść do szkoły, kiedy rok się rozpoczął. We wrześniu zaczynał się sezon koszykówki. W zeszłym roku to on był gwiazdą drużyny i wiedział, że w tym roku też na niego liczyli.

Miał nadzieję, że mają przed sobą kiepski sezon i uświadomią sobie, jak bardzo Wesley by im się przydał. Zastanawianie się nad tymi sprawami wydawało mu się czymś błahym akurat w okresie, kiedy zamordowano ojca, ale szkoła zajmowała ważne miejsce w jego życiu i nie mógł tak po prostu przestać o niej myśleć tylko dlatego, że w tym momencie dorosłym wydawała się nieistotna. Czuł, że ojciec by to zrozumiał, nawet jeśli nie rozumiał tego nikt inny.

Niektórzy chłopcy w szkole wyśmiewali się z niego, bo był Amerykaninem i miał zabawny akcent. Nigdy nie uderzył żadnego z nich, choć miał na to ochotę; wiedział, że ojciec stłukłby go na kwaśne jabłko, gdyby się wydał jego udział w bójkach. Teraz byłoby inaczej, pomyślał ponuro. Wraz ze smutkiem doznał nie znanego dotąd poczucia wolności. Teraz popełniam błędy na własny rachunek, mówił sobie, ludzie mogą się z nimi pogodzić albo nie.

Konsekwencje błędu popełnionego przez ojca będą długotrwałe.

Modlił się za ojca, ale niech go diabli porwą, jeżeli mu przebaczył. Jedna noc, jeden szaleńczy, pokazowy wyczyn, i ojciec wpakował go w kupę gówna. Gówno, myślał, siedząc tak w swoim czystym ubraniu, gówno.

Agent, który miał go zawieźć na lotnisko, otworzył drzwi i wszedł do celi. Miał na sobie sportowe spodnie i marynarkę, ale choćby był ubrany jak tancerz z baletu, i tak każdy wiedziałby od razu, że to policjant.

Powietrze na zewnątrz pachniało cudownie. Wesley zapomniał już, jak wspaniały zapach może mieć powietrze.

Wsiedli do nie oznakowanego samochodu. Wesley siedział na przednim siedzeniu, obok policjanta, Agent miał wielki brzuch i wciskając się za kierownicę, zasapał przez złamany nos. Wesley chciał go zapytać czy dostał kiedykolwiek butelką od piwa lub zastrzelił człowieka, ale zdecydował, że lepiej będzie prowadzić rozmowę na inne tematy.

Agent jechał wolno krętą górską drogą. Otworzył wszystkie okna w samochodzie.

- Pogoda jest wspaniała - powiedział - więc korzystajmy z niej. - Dla niego była to

lekka poranna praca, toteż starał się jak najlepiej wykorzystać piękny dzień. Już pachniał winem. - A więc opuszczasz Francję? Szkoda. Po tej nauczce będziesz się bił, kiedy nie ma świadków - zaśmiał się z tego dowcipu. - Co zamierzasz robić w Ameryce?

- Będę się trzymał z dala od policji.

Agent znowu się roześmiał.

- Sprytny chłopak. Moja żona nie daje mi spokoju. Powinniśmy pojechać do Ameryki, powiada. - Pokiwał głową. - Za pensję policjanta, możesz to sobie wyobrazić. - Przyjrzał się Wesleyowi z ukosa. - Twój wuj jest człowiekiem zamożnym, prawda?

- Jednym z najbogatszych.

- To widać. - Policjant westchnął, spojrzął na swoją pogniecioną marynarkę. - Podziwiam jego ubrania. Ten człowiek ma ogromne wpływy. To jasne. Nic dziwnego, że jesteś w drodze do domu.

Dom nie jest odpowiednim określeniem miejsca, gdzie się udaje, pomyślał Wesley.

- Może wrócisz tu kiedyś jako turysta i wydasz masę pieniędzy - stwierdził agent.

- Jeżeli przedtem nie staniecie się komunistami - powiedział Wesley. W więzieniu było dwóch mężczyzn, którzy utrzymywali, że są komunistami i że dzień ten jest już bliski.

- Nie mów takich rzeczy - policjant spochmurniał. - Zwłaszcza w Ameryce. Odwróć się od nas plecami. - I teraz już zajęty sprawą złej opinii Amerykanów o Francuzach zapytał: - Nie będziesz po powrocie opowiadał dziennikarzom, jak torturowała cię policja, żeby wymusić przyznanie się do winy?

- Nie miałem do czego się przyznawać - powiedział Wesley. - Wszyscy widzieli, jak uderzyłem tego salaud. Chociaż mógłbym coś powiedzieć o tym, jak jeden z pańskich przyjaciół bił mnie w samochodzie w drodze do prefektury - dodał złośliwie. Po tygodniach spędzonych w zamknięciu cieszyła go ta jazda przez dojrzałą, kwitnącą krainę. A leniwe gawędzenie z człowiekiem dość przyjaźnie nastawionym odsuwało konieczność myślenia o tym, co czekało go na lotnisku i w Indianapolis.

- A czego się spodziewałeś? - w tonie agenta brzmiała nuta krzywdy. - Dał się znokautować dziecku jednym uderzeniem na oczach całego świata i miał nie wziąć za to odrobiny rewanzu w ciemnym samochodzie? Wszyscy jesteśmy ludźmi.

- W porządku - powiedział wielkodusznie Wesley. - Nic nie powiem.

- Jesteś porządnym chłopcem. Wyrobiłeś sobie dobrą opinię w Grasse. Widziałem mężczyznę, z którym twój ojciec wdał się w awanturę. Wyglądał, jakby go przejechała lokomotywa. - Skinął głową, jakby był ekspertem od tych spraw. - Twój ojciec zrobił znakomitą robotę. Znakomitą. - Znowu spojrzął na Wesleya z ukosa, tym razem twarz miał

poważną. - Ten facet znany jest policji. Ze złej strony. Dotychczas udało mu się uciec przed karą, na jaką w pełni zasłużył. Związany jest z niebezpiecznymi ludźmi. Odsyłają cię do domu zarówno dla twojego dobra, jak i dla dobra Francji.

- To dziwne, że facet odpowiedzialny za morderstwo, o czym wszyscy wiedzą, może ujść karze.

- Zapomnij o tym, co ludzie wiedzą, przyjacielu - poradził sceptycznie agent. - Zapomnij o wszystkim, wracaj do domu i bądź miłym młodym Amerykaninem.

- Tak, proszę pana - powiedział Wesley. Pamiętał każdy szczegół fotografii, wąskie oczy, wystające ostre kości policzkowe, cienkie usta, ciemne kręcone włosy. Niech pan zapomni o człowieku, który zabił mojego ojca, miał ochotę powiedzieć, ale nie zrobił tego. - Zastanawiam się, czy mógłby mi pan zrobić uprzejmość? - zapytał.

- O co chodzi? - Głos policjanta nabrał profesjonalnej podejrzliwości.

- Czy mógłby pan przejechać wzdłuż portu? Chciałbym spojrzeć na statek.

Agent zerknął na zegarek.

- Jest jeszcze wcześnie. Mamy czas. Dlaczego nie?

- To bardzo uprzejmie z pana strony - powiedział Wesley. „C'est tres gentil de votre part, monsieur”, po francusku. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczył go ojciec po przyjeździe do Antibes. Chociaż ojciec prawie nie znał francuskiego, powiedział mu: „Są dwa zwroty, do których zabójady przywiązują dużą wagę.

Pierwszy to: s'il vous plait, co znaczy proszę. I c'est tres gentit de votre part. Zrozumiałeś? Powtórz!

Wesley nie zapomniał tej lekcji.

- Mam syna prawie w twoim wieku - powiedział agent. - Też szaleje na punkcie statków. Przy każdej okazji kręci się w portach.

Zapowiedziałem, że się go wyrzeknę, jeśli zostanie marynarzem.

Gdyby nie te wszystkie statki, policja nie miałaby tutaj nic do roboty. Ludzie, których one przyciągają - mówił posepnie - Algierczycy, Jugosłowianie, Grecy, Korsykanie, Sycylijczycy, nudyści, dzieci angielskie w konflikcie z prawem, dziewczyny, które uciekły z domu, bogaci playboye z nawykami narkomańskimi...

- Pokręcił głową wymieniając tę listę złoczyńców zrodzonych przez morze. - ...a teraz każde śmierzące miasteczko z widokiem na Morze Śródziemne buduje nowy port. Żeby nad tym czuwać, potrzebna będzie cała żandarmeria francuska. Czego dowodem jest choćby twoja sprawa. - Ze złością pogroził Wesleyowi palcem, jakby ten wybuch szczerości przypomniał mu, że konwojuje przestępcę na wygnanie. - Czy myślisz, że przydarzyłoby ci się to samo,

gdybyś mieszkał na przykład w Clermont-Ferrand?

- Moja sprawa to był przypadek - powiedział Wesley, żałując już, że poprosił o pokazanie portu.

- Wszyscy tak mówią. A kto musi rozplątywać tę gmatwaninę?

Policja.

- A jak pan widzi przyszłość swego syna? - Wesley uznał, że pora zmienić temat.

- Chciałbym, żeby został prawnikiem. Na tym można zrobić pieniądze, chłopcze. Posłuchaj mojej rady, wróć do Ameryki i zostań prawnikiem. Ilu znasz prawników, którzy kiedykolwiek byli w więzieniu?

- Rozważałem już tę ewentualność. - Wesley miał nadzieję, że uda mu się wprowadzić glinę w poprzedni, bardziej ekspansywny nastrój.

- Rozważ to na serio.

- Taki mam zamiar. - Wesley był grzeczny, pełen uznania i nadziei, że gliniarz się zamknie.

- I nigdy nie noś przy sobie broni! Słyszysz?

- Tak, proszę pana.

- Posłuchaj rady starszego człowieka, który interesuje się młodym pokoleniem i niejedno w życiu widział.

Teraz Wesley rozumiał, dlaczego na eskortę wybrano właśnie tego policjanta. Byle tylko pozbyć się go z prefektury i uniknąć słuchania kazań.

Gliniarz mruczał coś bez słów, zapalił papierosa, a samochód zatańczył niebezpiecznie, kiedy na moment puścił zupełnie kierownicę. Gdy dym dotarł do Wesleya, chłopiec zakasłał. Ani ojciec, ani Króliczek nie palili.

- I nigdy nie pal papierosów - pouczał gliniarz. - Pogardzam sobą za ten nawyk. - Zamilkł nagle.

Kiedy wjechali do portu, Wesley zobaczył „Klotyldę”. Na pokładzie nie było nikogo. Wbrew zdrowemu rozsądkowi niemal się spodziewał, że zobaczy ojca wychodzącego ze sterówki i sprawdzającego cumy.

Ojciec zawsze się obawiał, że może zerwać się nagły sztorm i cumy puszcza. Przestań, myślał Wesley, przestań, on już nigdy więcej nie wyjdzie na pokład. Przez moment zastanawiał się, co by się stało, gdyby nagle otworzył drzwiczki samochodu, wyskoczył i zaczął biec. W ciągu minuty mógł zgubić tłustego gliniarza, skryć się, wślizgnąć nocą na „Klotyldę”, wyprowadzić ją z portu na otwarte morze i popłynąć do Włoch. To była najbliższa granica. Czy gliniarz użyłby rewolweru? Broń wyrzuszała pod pachą jego

sportową marynarkę. Zbyt ryzykowne. Szaleństwo. Przynajmniej dzisiaj musiał panować nad sobą. Do Antibes powróci kiedy indziej.

- Statki - powiedział pogardliwie gliniarz i nacisnął gaz. Wesley zamknął oczy. Nie chciał już patrzeć na „Klotyldę”.

Rudolf i Dwyer czekali na niego przy odprawie pasażerów. Dwyer przyniósł płóciennie-skórzany worek z rzeczami Wesleya, a w ręce trzymał wielką brązową kopertę.

- Twoja matka z mężem przeszła już przez kontrolę paszportową - powiedział Rudolf.
- Będą cię szukali po tamtej stronie. Lecą tym samym samolotem.

Wesley skinął głową. Nie był pewny siebie na tyle, żeby się odezwać.

- Wszystko w porządku, monsieur Jordach - rzekł z uszanowaniem agent. - Pójdę z nim i wsadzę go do samolotu.

- Merci - powiedział Rudolf.

- Tu są twoje rzeczy. - Dwyer wskazał torbę. - Trzeba to zważyć. - Dwyer na tę okazję ubrał się w garnitur. Wesley nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział go w garniturze, nawet na weselu.

Wydawał się mniejszy niż we wspomnieniach Wesleya, i znacznie starszy, na skroniach i wokół ust widoczne były drobnutkie, delikatne zmarszczki. - A tu - Dwyer podał mu kopertę - są zdjęcia, które trzymałeś w kajucie. Myślałem, że może czasami będziesz chciał na nie popatrzeć. - Głos Dwyera był drżący i niepewny.

- Dziękuję, Króliczku. - Wesley wziął kopertę.

Rudolf podał mu karteczkę.

- Tu są dwa adresy, Wesley. Mój adres domowy i adres biura mojego przyjaciela Johnny Heatha, na wypadek gdyby mnie nie było. Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebował... - Rudolf także nie sprawiał wrażenia zbyt pewnego siebie.

Nie jest przyzwyczajony do oglądania członków swojej rodziny odprowadzanych przez gliniarza, myślał Wesley, chowając do kieszeni kartkę papieru.

- Uważaj na siebie - powiedział Dwyer, kiedy Rudolf podawał dziewczynie w okienku bilet Wesleya i obserwował ważenie bagażu.

- Nie martw się o mnie, stary druhu. - Wesley starał się być pogodny.

- Nigdy. - Dwyer się uśmiechnął, choć nie bardzo przypominało to uśmiech. - Zobaczymy się kiedyś?

- Pewnie. - Wesley nawet nie próbował się uśmiechać.

- W porządku - powiedział po francusku policjant - pora iść.

Wesley uściskał rękę wuja, który wyglądał tak, jakby mieli się spotkać za godzinę lub dwie, i Dwycera, który wyglądał tak, jakby miał go już nigdy nie zobaczyć.

Przechodząc przez kontrolę paszportową u boku policjanta, Wesley nie obejrzał się za siebie; agent okazał legitymację i mrugnął do siedzącego za biurkiem oficera.

Matka Wesleya i jej mąż, którego Wesley jeszcze nigdy nie widział, stali w hali odlotowej tuż przy wejściu, jakby chcieli się upewnić, że chłopak im nie ucieknie.

- Jesteś błądy - powiedziała matka. Rozwiane włosy przesłaniały jej twarz. Wyglądała, jakby złapał ją huragan o sile dziesięciu stopni.

- Czuję się świetnie. To jest mój przyjaciel - Wesley dotknął ramienia agenta. - Jest policjantem i nie mówi po angielsku.

Agent lekko się skłonił. Sprawa przeszła gładko i mógł sobie pozwolić na odrobinę galanterii.

- Wyjaśnij im, że muszę cię odprowadzić na pokład - powiedział po francusku.

Wesley wykonał polecenie. Matka się cofnęła, jakby policjant dotknięty był zaraźliwą chorobą.

- Poznaj swojego nowego ojca - powiedziała. - To Eddie Kraler.

- Witaj - rzekł Kraler niczym mistrz ceremonii pozdrawiający na ekranie telewizorów sławnego gościa. Wyciągnął rękę.

- Ręce z daleka ode mnie - powiedział spokojnie Wesley.

- Nie przejmuj się nim, Eddie. Dzisiaj jest zdenerwowany. To naturalne. Ale on się nauczy. Chcesz się czegoś napić, dziecino?

Cola, sok pomarańczowy?

- Whisky - powiedział Wesley.

- Posłuchaj, młody człowieku - zaczął Kraler.

- On żartuje - wtrąciła pospiesznie matka. - Prawda, Wesley?

- Nie.

Kobięcy głos zapowiadał przez głośniki odlot samolotu. Agent wziął Wesleya za ramię.

- Odprowadzę cię na pokład - powiedział po francusku. - Takie mam rozkazy.

Może powinienem był spróbować szczęścia, kiedy byliśmy w porcie, myślał Wesley wychodząc na płytę lotniska. Matka i jej mąż szli tuż za nim.

Rudolf wiozł Dwycera w kierunku Antibes. Przez całą drogę żaden z nich nie powiedział słowa. Przy wjeździe do portu Dwycer oznajmił:

- Wsiądę tutaj. Muszę się z kimś spotkać.

Obydwoj wiedzieli, że się zatrzyma w małej kawiarence i upije, ale chce zostać sam.

- Będziesz tu jeszcze przez jakiś czas?

- Około tygodnia - odpowiedział Rudolf. - Dopóki wszystkiego nie załatwię.

- Do zobaczenia. - Dwyer wszedł do kawiarni, rozpinając koszulę i ściągając krawat, który niedbale wepchnął do kieszeni.

Rudolf znów uruchomił silnik. W kieszeni miał list od Jeanne.

Pisała, że zje z nim obiad w „Colombe d'Or” i może się z nim widywać każdego popołudnia w tym tygodniu. Donosiła, że wojna w Paryżu znów trwa.

Kiedy samolot skręcił na zachód ponad Monte Carlo i w kabinie zgasły napisy nakazujące zapięcie pasów, Wesley zaczął oglądać zdjęcia z koperty, którą dał mu Dwyer. Nie zauważył, że matka przeszła między fotelami i zatrzymała się przy nim. Spojrzała z góry na zdjęcia, które trzymał w ręce. Nagle pochyliła się i porwała cały pakiet.

- Nie będziesz tego już więcej potrzebował - powiedziała. - Biedne dziecko, masz tyle do zapomnienia.

Nie chciał robić sceny, w każdym razie nie tak od razu, więc nic nie powiedział. Patrzył, jak stała w przejściu między fotelami, drąc po kolei fotografie i rzucając kawałki na podłogę. Ona nie miała żadnych oporów przed robieniem sceny, myślał. Nie ma co, Indianapolis zapowiada się wspaniale!

Wyjrzał przez okno i zobaczył, jak ukochany zielony półwysep Antibes zlewa się w dole w jedną całość z niebieskim morzem.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

Z notatnika Billy Abbotta, 1969 Dużo się mówi w NATO o przesiedlonych populacjach, o Niemcach wysiedlonych z Polski, wschodnich Niemcach uciekających do Niemiec Zachodnich, o Palestyńczykach, Armeńczykach, Żydach wyrzuconych z krajów arabskich, o Włochach wypędzonych z Tunezji i Libii, o francuskich colons z Algierii. Niewątpliwie będzie takich więcej. Naturalna rozmowa wojskowych, wyczekujących okazji do wojny.

Przyszło mi do głowy, że ja sam jestem taką przesiedloną populacją, z dala od domu, pełen sentymentalnych i bez wątpienia zniekształconych wspomnień o szczęśliwym życiu i lepszych czasach w innym kraju, pozbawiony poczucia lojalności wobec ludzi (armii USA), pośród których przebywam na wygnaniu, mimo iż żywią mnie oni, ubierają i płacą mi znacznie lepiej niż mógłbym to sobie zapewnić w moim rodzinnym kraju z moimi miernymi zdolnościami i zupełnym brakiem ambicji.

Nie jestem do niczego przywiązany, a to równa się stwierdzeniu, że mogę się stać desperatem. Moje obecne przywiązanie do Moniki jest w najlepszym razie tymczasowe. Przypadkowe przeniesienie, przesunięcie pułkownika do jednostki w Grecji czy Guam, gdzie nie będzie mógł znaleźć odpowiedniego partnera do tenisa, zmiana dowódcy zadecydowana przez kogoś w Waszyngtonie, kto nie wie, że ja żyję, ani się o to nie troszczy, propozycja lepszej pracy dla Moniki w innym kraju wystarczy, by zniszczyć ten związek.

To nie musi nawet być coś tak przypadkowego. Ostatnio Monika stała się nerwowa. Coraz częściej przyłapuję ją na tym, jak obserwuje mnie w zadumie, która nie wróży nic dobrego. Przypuszczenie, że w tej zadumie mieści się także smutek na myśl o rozstaniu ze mną, byłoby z mojej strony szczytem ślepego egocentryzmu.

Jeśli Monika mnie opuści, będę sypiał z żoną pułkownika.

Billy Abbott w cywilnym ubraniu, pogodzony ze światem, wisząc u ramienia Moniki, wyszedł po doskonałej kolacji z restauracji przy Grande Place w Brukseli. Owiało go zimne nocne powietrze. Jedzenie było drogie, bo lokal wychwalano w przewodnikach, ale warte takiej ceny. Zresztą wygrał po południu sześćdziesiąt dolarów z pułkownikiem w tenisa. Pułkownik miał bzika na punkcie tenisa, starał się grać co najmniej godzinę dziennie, i jak przystało na prawdziwego absolwenta West Point, lubił wygrywać.

Pułkownik widział, jak Billy gra w tenisa, kiedy chłopak był jeszcze kapralem, i

spodobał mu się jego styl gry; opanowany i podstępny, Billy potrafił pokonać graczy uderzających piłkę dwukrotnie silniej. Był także bardzo szybki i mógł obsłużyć w deblu trzy czwarte kortu. Pułkownik miał już czterdzieści siedem lat, potrzebował więc partnera, który to potrafił. Toteż Billy nie był już kapralem, ale sierżantem dowodzącym bazą transportową.

Praca ta przynosiła znaczne dodatkowe dochody poza żołdem sierżanta: niezbyt częste, ale hojne napiwki od wdzięcznych oficerów, których samochodowe interesy nie pokrywały się z interesami armii, znacznie częstsze wpływy z pokątnego sprzedawania wojskowej benzyny po cenach trochę niższych od obowiązujących w mieście. Pułkownik zapraszał również Billy'ego na kolację. Mawiał często, że lubi wiedzieć, co myślą szeregowcy, a żona pułkownika uważała, że Billy jest czarującym młodym człowiekiem o manierach oficera, zwłaszcza w cywilnym ubraniu.

Żona pułkownika także lubiła grać w tenisa i żyła w oczekiwaniu dnia, kiedy męża oddelegują gdzieś na miesiąc lub dwa, a Billy zostanie na miejscu.

Nie jest to już Stara Armia, mówił czasami pułkownik, ale trzeba się dostosować. Dopóki pułkownik był jego dowódcą, nie istniało niebezpieczeństwo, że Billy zostanie wysłany do Wietnamu.

Billy wiedział, że oszczędzono mu niemiłego dźwięku nieprzyjacielskiego ognia dzięki staraniom wuja Rudolfa w Waszyngtonie; kiedyś zamierzał okazać swoją wdzięczność. Teraz miał w kieszeni list od wuja, zawierający czek na tysiąc dolarów.

Matka Billy'ego jako źródło funduszków została już zupełnie osuszona, i Monika, której Billy opowiadał o swoim bogatym wuju, zmusiła go do napisania listu z prośbą o pieniądze. Nie chciała powiedzieć, na co jej potrzebne pieniądze, ale Billy już dawno pogodził się z faktem, że jest to dziewczyna tajemnicza. Nigdy nie opowiadała o swojej rodzinie z Monachium ani o tym, dlaczego w wieku lat osiemnastu uparła się zrobić dyplom w Trinity College w Dublinie. Stale wychodziła na tajemnicze spotkania, ale poza tym była na ogół przyjemną towarzyszką życia. Zresztą zgodziła się wprowadzić do jego małego, przytulnego mieszkania na tyłach Placu pod pewnym warunkiem. Miał nie zadawać pytań, kiedy oświadczała, że nie będzie jej wieczorem, a czasami przez cały tydzień.

Delegaci NATO odbywali dyskretne spotkania, o których nie należało rozmawiać. Billy nie był młodzieńcem ciekawym, kiedy w grę wchodziły sprawy, które go bezpośrednio nie dotyczyły.

Tak naprawdę Monika nie była ładna, z tymi czarnymi, potarganymi włosami, w butach na niskich obcasach i nieeleganckich pończochach, ale miała wielkie niebieskie oczy, które rozjaśniały całą jej twarz, kiedy się uśmiechała, i uroczą drobną figurkę.

Ważne było to, że drobną. Billy miał tylko pięć stóp i sześć cali wzrostu, i delikatną budowę. Bardzo nie lubił poczucia niższości, jakie budziły w nim kobiety wyższe.

Gdyby tego wieczora zapytano go, jakiej profesji zamierza się poświęcić, odpowiedziałby najpewniej, że zostanie w wojsku. Od czasu do czasu Monika wpadała w złość i dokuczała mu z powodu braku ambicji. Z ujmującym uśmiechem sportowca przyznawał, że nie ma żadnych ambicji. Melancholijnie ciemna głębia jego oczu, ocienionych ciężkimi czarnymi rzęsami, nadawała temu uśmiechowi niezwykle walor, jak gdyby Billy specjalnym wysiłkiem zdobywał się na wesołość przez wzgląd na rozmówcę. Billy wystarczająco dużo wiedział o sobie, by nie przywoływać tego uśmiechu zbyt często.

Tego wieczora Monika miała jedno ze swoich tajemniczych spotkań.

- Nie czekaj na mnie - powiedziała, kiedy patrzyli na błyszczącą, rozświetloną wspaniałość okien i murów Placu. - Mogę wrócić późno.

Może mnie nie być całą noc.

- Rujnujesz moje życie seksualne - powiedział.

- Bez wątplenia! - Trinity College plus oddziały NATO sprawiły, że Monika bez trudu posługiwała się zarówno językiem angielskim, jak i amerykańskim.

Billy pocałował ją delikatnie i obserwował, jak wsiadała do taksówki. Wskoczyła do środka, jakby wykonywała najlepszy skok w dal na zawodach. Podziwiał jej energię. Nie usłyszał adresu, jaki podała kierowcy. Przyszło mu na myśl, że ilekroć wsadzał ją do taksówki, nigdy nie słyszał, dokąd jedzie.

Wzruszył ramionami i skierował się w stronę kawiarni. Za wcześnie było iść do domu, a nie miał ochoty spotykać się z nikim tego wieczora.

W kawiarni zamówił piwo, wyjął z kieszeni kopertę z czekiem i listem od wuja. Wymiana całkiem serdecznych listów trwała, odkąd Billy przeczytał w „Timie” notatkę o śmierci Toma Jordacha i zobaczył to straszne zdjęcie nagiej żony Rudolfa, które skądś wygrzebano. W liście do Rudolfa nie wspomniał o fotografii, a zawarte w nim kondolencje były szczere, w każdym razie na tyle szczere, na ile go było stać. Listy Rudolfa, rozgadane, pełne rodzinnych nowin, kazały przypuszczać, że stał się samotnym mężczyzną, który nie bardzo wie, co z sobą robić. Smutno, choć z umiarem pisał Rudolf o swoim rozwodzie i o tym, że pewna dama z Indianapolis rości sobie prawo do kuzyna Wesleya. Nie wspominał o tym, że matka Wesleya figurowała w kartotekach policyjnych jako zwykła prostytutka, ale matka Billy'ego nie szczędziła mu detali w tej sprawie. W listach matka przejawiała skłonność do surowości i napominania. Nigdy mu nie przebaczyła tego, że odmówił trzymania się z dala od armii, i pewnie chętnie by odgrywała dostojną męczennicę, pomyślał

urazony, gdyby zamiast do wojska poszedł do więzienia. Każdy ma swoje zasady. Jeśli chodzi o niego, wolał grać w tenisa z czterdziestosiedmioletnim pułkownikiem i żyć we względnym luksusie z błyskotliwą, zgrabną, władającą kilkoma językami i - trzeba przyznać - ukochaną Fraulein w cywilizowanym mieście o nazwie Bruksela.

List do wuja z prośbą o pożyczkę był raczej smutny i czarujący niż natrętny. Billy dawał w nim do zrozumienia, że ma za sobą jakieś pechowe partie pokera, kosztowny defekt samochodu, stoi przed koniecznością kupienia nowego... W liście od Rudolfa, który nadszedł tego rana, czuło się wyrozumiałość, choć wuj nie ukrywał, że spodziewa się zwrotu pieniędzy.

Monika chciała mieć gotówkę następnego ranka, będzie więc musiał iść do banku. Zastanawiał się, na co jej potrzebne pieniądze. Cóż u diabła, zreflektował się, przecież to tylko pieniądze, i w dodatku nie moje. Zamówił drugie piwo.

Rano dowiedział się, na co jej były potrzebne pieniądze. Monika wróciła o świcie, obudziła go, zrobiła kawę, kazała mu usiąść i powiedziała, że te tysiąc dolarów to łapówka dla sierżanta w magazynie broni. Dzięki niej ludzie, z którymi Monika pracuje, a o których nic bliższego nie powie, będą mogli pojechać ciężarówką należącą do armii USA - oczekuje zresztą, że Billy załatwi tę ciężarówkę z parku maszynowego - i załadować pewną ilość karabinów, granatów i naboji. Sam Billy nie będzie zamieszany w całą sprawę. Ma tylko określonej nocy wyprowadzić ciężarówkę z autentycznym rozkazem wyjazdu i przekazać ją pół mili dalej człowiekowi ubranemu w mundur porucznika wojskowej żandarmerii USA. Przed świtem ciężarówka będzie z powrotem. Monika powiedziała to wszystko spokojnie, a Billy siedział w milczeniu, sącząc kawę i zastanawiając się, czy Monika przez całą noc brała narkotyki. W trakcie tych wyjaśnień, wygłaszanych głosem równie obojętnym, jakim mówiła pewnie kiedyś na seminarium w Trinity College o nieznanym irlandzkim poecie, powiedziała także, że właśnie ze względu na jego pracę w parku maszynowym wybrano Billy'ego na jej kochanka, chociaż przyznała, że od tamtego czasu przywiązała się do niego, i to nawet bardzo.

Kiedy Billy wreszcie się odezwał, starał się panować nad swoim głosem:

- Do czego, u diabła, ma to wszystko być użyte?
- Tego nie mogę ci powiedzieć, kochanie. - Monika pogłaskała jego rękę. - Lepiej będzie, jeśli się nigdy nie dowiesz.
- Jesteś terrorystką.
- Takie samo słowo jak każde inne - powiedziała Monika wzruszając ramionami. -

Może wolałabym określenie: idealistka, poszukiwaczka sprawiedliwości, przeciwniczka tortur czy po prostu miłośniczka zwykłego, zastraszonego, ogłupiałego, szarego człowieka. Wybierz sobie.

- A co by było, gdybym tak poszedł do NATO i opowiedział im o tobie? O tym szalonym planie? - Billy czuł się głupio, kiedy tak siedział w małej, chłodnej mieszczańskiej kuchni, ubrany jedynie w rozchylający się stary szlafrok kąpielowy, drżąc z zimna, z jajami na wierzchu, i rozmawiał o wysadzeniu ludzi w powietrze.

- Nie próbowałam tego, kochanie. Po pierwsze nigdy ci nie uwierzą. Powiem, że zamierałam cię opuścić i w tak dziwny sposób wywierasz zemstę. A niektórzy moi znajomi chłopcy potrafią być naprawdę nieuprzejmi.

- Grozisz mi? - zapytał Billy.

- Chyba możesz to tak określić.

Po wyrazie jej oczu Billy zorientował się, że Monika mówi śmiertelnie serio. Serio było właśnie odpowiednim określeniem. I śmiertelnie. Poczuł się zmarznięty i przestraszony. Nigdy nie pozował na bohatera. Nigdy w życiu nie bił się nawet na pięści. - Jeżeli zrobię to ten jeden raz - Billy starał się, żeby głos mu nie drżał - nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

- Decyzja należy do ciebie - powiedziała obojętnie Monika.

- Dam ci odpowiedź w południe. - Billy rozmyślał gorączkowo, w jaki sposób mógłby się z tego wszystkiego wyplątać, polecieć do Ameryki, ukryć się w Paryżu, Londynie, uciec w ciągu sześciu godzin od tego obłąkanego surrealistycznego spisku.

- Dobrze - powiedziała Monika. - Banki otwarte są po południu. Ale muszę cię uprzedzić, dla twojego własnego dobra, że będziesz śledzony.

- Co za cholerna baba z ciebie! - wykrzyknął, nie panując nad swoim głosem.

- Gdybyś nie był tak powierzchowny, lekkomyślny i zadowolony z siebie - powiedziała spokojnie - wiedziałbyś to żyjąc ze mną tak długo.

- Nie wiem, czy to, że się nie chce zabijać, jest objawem lekkomyślności i zadowolenia z siebie. - Billy czuł się dotknięty takim opisem własnej osoby. - Nie bądź tak cholernie przemądrzała.

- Codziennie zakładasz mundur. W takich samych mundurach tysiące młodych mężczyzn w twoim wieku wychodzi każdego dnia, by zabijać setki tysięcy ludzi, którzy nic im nie zrobili. To właśnie uważam za lekkomyślność. - W miarę jak mówiła, jej oczy coraz bardziej ciemniały od gniewu.

- I ty położysz temu kres? - wykrzyknął Billy. - Ty i pięciu czy sześciu żadnych mordów zbirów?

- Możemy próbować. Oprócz innych rzeczy, których też będziemy próbować. Będziemy mieli przynajmniej satysfakcję, żeśmy próbowali. A jaką satysfakcję będziesz miał ty? - Monika zaśmiała się szyderczo, jej usta wykrzywił brzydki grymas. - Że grałeś w tenisa kiedy się to wszystko działo? Że nie ma ani jednej żywej istoty ludzkiej, która darzyłaby cię szacunkiem? Że siedzisz beczynnienie, podczas gdy mężczyźni, których buty lizesz rano, w południe i wieczorem, spiskują, jak by wysadzić w powietrze ten świat? Że kiedy wszystko rozprysnie się w końcowej eksplozji, będziesz z siebie dumny umierając, bo dobrze jadłeś i piłeś, i pieprzyłeś się w czasie, gdy to wszystko przygotowywano? Ocknij się! Ocknij się! Nie istnieje żadne prawo, które by mówiło, że masz być nędznym robakiem.

- Retoryka - powiedział Billy. - Cóż takiego zamierzacie zrobić?

Porwać izraelski samolot, wybić kilka okien w jakiejś ambasadzie, zastrzelić policjanta regulującego ruch? Taka jest twoja idea ocalenia świata?

- Przede wszystkim nie ma to żadnego związku z Izraelem. My, to znaczy moja grupa i ja, mamy różne zdania na ten temat, nie martw się więc o swoich żydowskich przyjaciół, czy raczej moich żydowskich przyjaciół, jeśli o to chodzi.

- Wdzięczny ci jestem - powiedział zjadliwie Billy - za tę niemiecką wyrozumiałość dla Żydów.

- Ty draniu! - Monika próbowała uderzyć go ponad stołem, ale Billy był szybszy i złapał ją za rękę.

- Nic z tych rzeczy. Możesz być wspaniała przy karabinie maszynowym, nie jesteś jednak bokserem, moja panienko. Nikomu się nie uda uderzyć mnie bezkarnie. Wrzeszczałaś na mnie bez przerwy, groziłaś mi i prosiłaś, żebym zrobił coś, co może spowodować moją śmierć albo wsadzenie mnie do więzienia na resztę życia, a do tej pory jeszcze nic mi nie wytłumaczyłaś. - Nie zważając na konsekwencje, Billy kontynuował ostro: - Jeżeli ci pomogę, to nie dlatego, że mnie nastraszyłaś, przekupiłaś czy coś w tym rodzaju.

Zawrę z tobą układ. Masz rację: nie istnieje prawo, które mówiłoby, że mam być robakiem. Przekonaj mnie, a będę twoim sojusznikiem. Teraz siadaj, trzymaj swoje przekłete ręce przy sobie i swoje przekłete groźby zachowaj dla siebie i spokojnie mi wszystko wytłumacz. W przeciwnym razie nic z tego. Zrozumiałaś?

- Puść mnie - powiedziała ponuro Monika.

Billy uwolnił jej rękę. Spojrzała na niego z wściekłością. I zaczęła chichotać.

- Hej, Billy chłopcze, coś w tym jednak jest. Kto by przypuszczał?

Chyba musimy się napić świeżej kawy. Zimno ci. Idź się ubrać, włóż sweter i pogawędzimy sobie przyjemnie przy śniadaniu o tym, jak cudownie jest żyć w dwudziestym

wieku.

Ubierając się w sypialni, Billy znów zaczął drżeć. Ale nawet wtedy czuł się szalenie podniecony. Chociaż raz nie wycofał się, nie umknął, nie uciekł. A mogła to być sprawa życia lub śmierci, co do tego nie miał wątpliwości. Niedocenianie zaciętości czy pasji Moniki nie miało sensu. Gazety obfitowały w historii o porwaniach, bombach, politycznych morderstwach i spektakularnych masakrach, zaplanowanych i przeprowadzonych przez ludzi, którzy siedzą przy sąsiednim biurku, którzy stoją obok nas w autobusie, śpią z nami, jadają z nami kolacje. Jego pech polegał na tym, że właśnie Monika była jedną z takich osób. Jak powiedziała, powinien był się czegoś domyślać. Zraniły go jej obelgi. Co innego zdawać sobie sprawę, że jest się człowiekiem bezwartościowym, a co innego słyszeć to od kobiety, którą się podziwia, a nawet więcej, znacznie więcej, którą się kocha, i która zachowywała się tak, jakby sama też kochała.

Ten chichot w zimnej, oświetlonej brzaskiem dnia kuchni wyrażał jednak szacunek i Billy przyjął go z wdzięcznością. W oczach Moniki stał się teraz godnym oponentem i musiał być odpowiednio traktowany. Do tej pory pozostawiał świat własnemu losowi, zadowolony, że znalazł dla siebie zaciszny państwowy kącik. Świat go dopędził i musi sobie z tym poradzić. Został wplątany w bieg wydarzeń, czy mu się to podoba, czy nie. W jednej chwili, niemal instynktownie, nadał swojej egzystencji nową wartość.

Do diabła z Moniką, pomyślał, wkładając sweter. Teraz nie chodzi już tylko o ryzyko związane z samym oddychaniem. Do diabła z nimi wszystkimi.

Kiedy wrócił do kuchni, Monika parzyła właśnie świeżą kawę: Zdjęła buty i dreptała w pończochach, z rozczochranymi włosami jak zwykła żona, która dopiero co wstała z małżeńskiego łóżka, żeby idącemu do biura mężowi przygotować śniadanie. Terroryzm w kuchni, krwawe plamy nad gorącym piecem, ofiary wybierane wśród szczęku garnków i patelni. Billy usiadł przy porysowanym drewnianym stole, ocalonym z jakiejś belgijskiej farmy, Monika naląła mu kawy do filiżanki.

Sprawna niemiecka Hausfrau. Robiła dobrą kawę. Billy z przyjemnością się napił. Monika naląła sobie też trochę i uśmiechnęła się do niego. Nie była to już kobieta, która powiedziała, że wybrano go na jej kochanka, ponieważ kieruje bazą samochodową, co daje możliwość dostępu do ciężarówek potrzebnych do odbywania tych straszliwych kursów. Na razie ta kobieta nie istniała. Przynajmniej przez te dziesięć minut zimnego poranka, pomyślał pijąc gorącą kawę.

- No więc od czego zaczniemy? - Spojrzał na zegarek. - Nie mamy wiele czasu.

Wkrótce muszę być w pracy.

- Zacniemy od początku. Od sytuacji na świecie. Świat pogrążony jest w chaosie. Wszędzie są faszyci...

- W Ameryce?... - zapytał. - Opanuj się, Monika.

- W Ameryce są jeszcze w ukryciu - powiedziała niecierpliwie. - Jeszcze mogą sobie na to pozwolić. Ale kto dostarcza im broni, pieniędzy, zasłon dymnych, kto ich naprawdę wspiera? Grube ryby w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Teksasie. Jeżeli będziesz się upierał przy swojej naiwności, nie zadam sobie trudu, by rozmawiać z tobą.

- Mówisz jak z książki.

- A dlaczego nie? Co złego jest w uczeniu się z książki? Tobie też by nie zaszkodziło, gdybyś przeczytał kilka książek. Jeżeli tak się martwisz o swój ukochany kraj rodzinny, to odetchniesz, kiedy ci powiem, że teraz nie prowadzimy działań w Ameryce; w każdym razie nie ludzie, z którymi współpracuję, chociaż nie twierdzą, że nie ma takich, którzy to robią. W Ameryce też wybuchają bomby, i obiecuję ci, że będzie ich wybuchać więcej. Ameryka znajduje się u podstawy piramidy i kiedyś stanie się celem pierwszoplanowym.

Zdziwisz się, jak łatwo się w końcu rozleci. Bo piramida jest niepewna, opiera się na kłamstwach, niemoralnych przywilejach, skradzionych bogactwach, ujarzmionych populacjach; jej podstawa stoi na cienkiej warstwie piasku, a pod spodem jest wyrobisko.

- To brzmi jeszcze bardziej książkowo. Dlaczego nie przyniesiesz po prostu odpowiednich broszur z biblioteki i nie dasz mi do przeczytania?

Monika zignorowała drwinę.

- Naszym zadaniem jest - kontynuowała - pokazanie, że struktura współczesnego świata jest nie tylko podła, ale i krucha.

- Jak masz zamiar tego dokonać z kilkoma szalonymi gangsterami?

- Nie używaj tego słowa - powiedziała ostrzegawczo.

- Obojętnie, jak chcesz ich nazywać. Rewolwerowcy. Mordercy. To nie ma znaczenia.

- Castro dokonał przewrotu na Kubie z osiemnastoma ludźmi.

- Ameryka to nie Kuba. Zresztą Europa też nie.

- Są wystarczająco blisko. Ataki staną się coraz częstsze. Ludzie stojący u władzy będą skrępowani, niepewni, wreszcie przestraszeni. Zaczną działać pod wpływem strachu, popełniać jeden błąd za drugim, każdy następny będzie gorszy od poprzedniego.

Zastosują presję. Zgodzą się na zgubne ustępstwa, dzięki którym wszyscy zdadzą sobie sprawę, że klęska jest bliska, co wywoła dalsze incydenty, więcej rys w całej budowlu.

- Och, zmień płytę dobrze?

- Zostanie zamordowany prezes banku - recytowała, pochłonięta swoją wizją - porwany ambasador, strajk sparaliżuje cały kraj, pieniądze stracą wartość. Ludzie nie będą wiedzieli, skąd przyjdzie następny cios, tylko że na pewno przyjdzie. Napięcie będzie wzrastać, aż wreszcie wszystko eksploduje. Obejdzie się bez wojska... wystarczy garstka ludzi pełnych poświęcenia...

- Jak ty? - zapytał Billy.

- Jak ja. - W głosie Moniki było wyzwanie.

- A jeśli wam się powiedzie? Co wtedy? Rosja zagarnie cały kraj. O to wam chodzi?

- Czas na Rosję nadejdzie. Nie myśl, że jestem na tyle głupia, żebym tego właśnie chciała.

- Więc czego chcesz?

- Chcę, żeby skończyło się zatruwanie świata, kierowanie go ku zagładzie w taki czy inny sposób. Chcę powstrzymać naszych współczesnych wojowników, szpiegów, bomby nuklearne, przekupionych polityków, zabijanie dla zysku... Ludzie cierpią i chcę, żeby wiedzieli, kto powoduje to ich cierpienie i co na tym zyskuje.

- W porządku. To wszystko jest godne podziwu. Ale bądźmy praktyczni. Założmy, że dostaniesz ciężarówkę, założmy, że wpadnie ci w ręce kilka granatów, materiały wybuchowe, karabiny, co konkretnie zamierzasz z tym zrobić?

- Zamierzamy podłożyć bombę w jednym banku tu, w Brukseli, umieścić materiały wybuchowe w ambasadzie hiszpańskiej, zgładzić w Niemczech pewnego sędziego, który jest największą świnią na całym kontynencie. Więcej nie mogę ci powiedzieć. Dla twojego własnego dobra.

- Gotowa jesteś zrobić masę rzeczy dla mojego dobra, co? - Billy skłonił się ironicznie. - Dziękuję ci, dziękuję ci też moja matka i mój pułkownik.

- Nie zachowuj się lekceważąco. Nigdy więcej nie zachowuj się wobec mnie lekceważąco.

- Robisz wrażenie, jakbyś była gotowa od razu mnie zastrzelić, moja droga „rewolwerowa damo” - powiedział Billy, kpiąc z niej ponownie, zmuszając się do odwagi, choć znów, mimo swetra, cały drżał.

- Nigdy nikogo nie zastrzeliłam. I nie mam zamiaru. To nie moja robota. A jeżeli masz takie skrupuły, może pocieszy cię wiadomość, że plan naszych działań w Belgii nie zakłada niczyjej śmierci.

Chodzi tylko o zasianie niepokoju, ostrzeżenie, symbol.

- W Belgii. A gdzie indziej?

- To ciebie nie dotyczy. Nie musisz nic o tym wiedzieć. Później, jeżeli nabierzesz przekonania i zechcesz bardziej czynnie uczestniczyć, zostaniesz przeszkolony, będziesz brał udział w dyskusjach. Na razie wszystko, co masz robić, to pójść do banku, zrealizować czek wuja i udostępnić ciężarówkę na kilka godzin w nocy. O Boże - powiedziała gwałtownie - przecież to dla ciebie nic nowego, po tych łapówkach i czarnorynkowej benzynie; nie myśl, że nie wiem, w jaki sposób żyjesz na tak wysokiej stopie za żołd sierżanta.

- Na Boga, Moniko, czy chcesz powiedzieć, że nie widzisz różnicy między drobnym świństwem i tym, o co mnie prosisz?

- Owszem, widzę. Jedno jest niskie i obrzydliwe, a drugie szlachetne. Żyjesz jak w transie. Nie lubisz siebie, tego co robisz, pogardzasz wszystkimi dokoła, słyszałam przecież, jak mówisz o swojej rodzinie, swojej matce, ojcu, wuju, o tych bydlakach, z którymi pracujesz... Nie zaprzeczaj! - Podniosła rękę, by go powstrzymać, kiedy próbował się odezwać. - Dusileś to wszystko w sobie. Nikt cię nie zmusił, żebyś się sobie przyjrzał i zobaczył, co to wszystko znaczy. Więc teraz ja rzucam ci takie wyzwanie.

- Dając równocześnie do zrozumienia, że przydarzy mi się coś bardzo nieprzyjemnego, jeśli nie zrobię tak, jak chcesz.

- Tak to jest, chłopcze. Przemyśl sobie to, co powiedziałam, jak będziesz w pracy.

- Tak właśnie zrobię. - Billy podniósł się. - Muszę iść do biura.

- Będę na ciebie czekała w porze obiadowej.

- Co do tego nie mam wątpliwości - powiedział wychodząc.

Przedpołudnie w biurze minęło mu jakby w zamroczeniu. Kiedy sprawdzał rozkazy, zapotrzebowania, wykazy, raporty operacyjne, podejmował tuziny decyzji, każdą ciągle od nowa, z każdej rezygnował, podejmował następną i znów z niej rezygnował. Trzy razy podnosił słuchawkę, żeby zadzwonić do pułkownika, wyznaczyć mu wszystko, zapytać o radę, poprosić o pomoc ale za każdym razem ją odkładał. Przejrzał rozkład lotów z Brukseli do Nowego Jorku, postanowił pójść do banku, zrealizować czek od wuja i jeszcze tego rana wsiąść w samolot. Mógłby pójść do CIA w Waszyngtonie, wyjaśnić swoje kłopotliwe położenie, spowodować uwięzienie Moniki, stać się czymś w rodzaju cichego bohatera w tych tajnych korytarzach. Czy rzeczywiście? Czy ci ludzie, biegli w mordowaniu, skomplikowanych tajnych operacjach i obalaniu rządów, złożąliby mu oficjalne gratulacje, a sekretnie, we własnym stylu, zbesztali za tchórzostwo? A może byłoby jeszcze gorzej, może zrobiliby z niego podwójnego agenta, kazali wrócić i dołączyć do bandy, do której należy Monika, i składać cotygodniowe sprawozdania o jej działalności? Czy chciałby widzieć Monikę za kratkami? Nawet tego ranka nie mógł sobie zupełnie szczerze powiedzieć, że jej

nie kocha. Miłość? To było odpowiednie słowo. Większość kobiet nudziła go. Zazwyczaj zaraz po kopulacji znajdował jakieś usprawiedliwienie, żeby wyskoczyć z łóżka i wracać do domu.

Nocnych igraszek z Moniką w żadnym razie nie można nazwać kopulowaniem. Były absolutną rozkoszą. Określając to bez osłonek, mówił sobie, mogę się z nią kochać pięć razy w ciągu nocy i tęsknić za tym, by zobaczyć ją nagą i różową w łóżku w porze obiadowej.

Billy nie chciał, żeby go zabito. Wiedział o tym tak samo jak o tym, że nie chce rzucić Moniki. Było coś podniecającego, głęboko ekscytującego w myśli, że ośmielił się kochać kobietę, sprawiać, że o szóstej rano jęczała z rozkoszy i bólu, wiedząc przez cały czas, że gotowa jest w południe wydać rozkaz jego egzekucji.

A gdyby tak powiedzieć: „jestem z tobą”? Wślizgiwać się w cień i wynurzać z niego. Grając z pułkownikiem w tenisa w klubie cieszącym się nieposzlakowaną opinią, usłyszeć gdzieś w pobliżu eksplozję ze świadomością, że się ją zorganizowało? Mijając bank, w którego zarządzie zasiada wuj Rudolf, ukradkiem podłożyć bombę mającą wybuchnąć, zanim bank otworzy rano swe podwoje? Poznać fanatyków przemykających się z kraju do kraju, którzy za sto lat będą może bohaterami w podręcznikach historii, którzy zabijali posługując się trucizną i gołymi rękami, którzy nauczą go swoich tajemnic, dzięki którym zapomni, że ma tylko pięć stóp i sześć cali wzrostu?

W końcu nie zadzwonił do pułkownika, nie zrealizował czeku, nie poczynił żadnych przygotowań w bazie samochodowej, nie pojechał też na lotnisko.

Oszołomiony, przetrwał jakoś to przedpołudnie, a kiedy zadzwonił pułkownik, że grają o piątej trzydzieści, odpowiedział: „Tak jest, panie pułkowniku”, choć czuł, że istnieją wszelkie dane, by o tej porze już nie żył.

Kiedy wyszedł z biura czekała na niego Monika. Zobaczywszy że jest uczesana, poczuł ulgę, ponieważ mężczyźni mijający ich w drodze na lunch rzucali im badawcze spojrzenia z ledwie powstrzymaną złośliwością, głównie z powodu jego stopnia, i nie byłby zadowolony, gdyby myśleli, że wodzi się z kocmołuchem.

- A więc? - zapytała Monika.

- Chodźmy na lunch.

Zaprowadził ją do dobrej restauracji: wiedział, że nie przyjdą tu inni, spragnieni odmiany po jedzeniu w wojskowej kantine.

Potrzebował budzących zaufanie gładkich obrusów, kwiatów na stołach, usłużnych kelnerów, miejsca, które nie przypominało o zagrożonym świecie, zdesperowanych

spiskowcach i walących się piramidach. Zamówił to samo dla nich obojga. Monika udawała, że nie interesuje się tym, co je, i nie będzie sobie zawracała głowy kartą. Przynajmniej na tyle ją znał, że rozumiał, dlaczego odepchnęła menu. Do czytania musiała zakładać grube okulary, a była na tyle próżna, że nie lubiła się w nich pokazywać publicznie. Ale kiedy jedzenie podano, jadła ze znacznie większym apetytem niż Billy. Zastanawiał się, w jaki sposób zachowywała figurę.

Jedli spokojnie, rozmawiając uprzejmie o pogodzie, o zaczynającej się nazajutrz konferencji, podczas której Monika miała być tłumaczem, o jego spotkaniu z pułkownikiem na korcie o piątej trzydzieści, o premierze sztuki w Brukseli, którą Monika chciała zobaczyć. Dopóki nie podano kawy, żadne z nich nie wspomniało o tym, co zaszło rano. Teraz Monika zapytała:

- Więc co zdecydowałeś?

- Nic. - Nawet w tej przegrzanej, przytulnej restauracji poczuł, że jest mu zimno. - Rano odesłałem wujowi czek.

Monika uśmiechnęła się zimno.

- To też jest jakaś decyzja.

- Częściowo - odpowiedział Billy. Kłamał. Miał ciągle czek w portfelu. Nie wiedział, że tak odpowie. Uczynił to zupełnie automatycznie, jakby przyciśnięto jakąś dźwignię w jego mózgu. Ale już w chwili gdy wypowiadał swą kwestię, wiedział, że odesłał wujowi ten czek z podziękowaniem i wyjaśnieniem, że jego sytuacja finansowa poprawiła się i na razie nie potrzebuje pomocy. To się może przydać później, kiedy rzeczywiście będzie czegoś potrzebował od wuja Rudolfa.

- W porządku - powiedziała spokojnie Monika. - Jeżeli bałeś się, że można będzie pójść śladem tych pieniędzy, to rozumiem. - Wzruszyła ramionami. - Nie jest to takie ważne. Znajdziemy pieniądze gdzie indziej. A co z ciężarówką?

- Nic nie zrobiłem w tej sprawie.

- Masz jeszcze całe popołudnie.

- Nie. Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Myślę, że z tym też możemy sobie poradzić. Wystarczy, że będziesz patrzył w inną stronę.

- Tego też nie zrobię. Muszę wiele przemyśleć, zanim się na coś zdecyduję. Jeżeli twoi przyjaciele chcą mnie zabić - mówił ostro, ale nie podnosił głosu widząc, że zbliża się kelner z kawą - powiedz im, że będę uzbrojony. - Miał za sobą jednodniowe ćwiczenia z czterdziestką piątką, potrafił ją rozebrać i złożyć, ale w strzelaniu do celu wpisywanym

okresowo do wojskowej kartoteki miał bardzo złe wyniki. Strzelanina w brukselskim corralu, pomyślał. Kto to był, John Wayne? Co zrobiłby dzisiaj John Wayne? Billy zachichotał.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała ostro Monika.

- Przypomniał mi się film, który kiedyś widziałem.

- Tak, proszę - powiedziała Monika po francusku do kelnera stojącego nad nią ze srebrnym dzbankiem do kawy. Kelner napełnił filiżanki ich obojga.

Po odejściu kelnera Monika jakoś dziwnie uśmiechnęła się do Billy'ego.

- Nie musisz zabierać broni. Nikt nie zamierza cię zastrzelić. Nie jesteś wart kuli.

- Miło to usłyszeć.

- Czy w ogóle cokolwiek może zrobić na tobie wrażenie, dotknąć cię?

- Sporządzę odpowiednią listę i wręcę ci ją przy naszym następnym spotkaniu. Jeśli się spotkamy.

- Owszem - powiedziała.

- Kiedy wyprowadzasz się z mieszkania?

Monika spojrzała na niego zaskoczona. Nie umiał powiedzieć, czy to zaskoczenie było prawdziwe, czy udane.

- Nie miałam zamiaru się wyprowadzać. Czy chcesz, żebym to zrobiła?

- Nie wiem. Ale po dzisiejszym dniu...

- Na razie zapomnijmy o dzisiejszym dniu. Lubię żyć z tobą.

Odkryłam, że polityka nie ma żadnego związku z seksem. Może dla innych ma, ale dla mnie nie. Uwielbiam kłaść się z tobą do łóżka.

Z innymi mężczyznami nie zaznałam w łóżku wiele szczęścia. Orgazmy w nowej lewicy zdarzają się rzadko, w każdym razie dla mnie, a w obecnej epoce nauczono damy, że orgazm jest ich prawem, danym przez Boga. Jesteś w tym względzie odpowiedzią na panińskie modlitwy, kochanie, jeśli wybaczysz mi tę odrobinę wulgarności.

Zwłaszcza w przypadku tej konkretnej panienki. Poza tym lubię dobre kolacje, a jesteś na tyle miły, że je zapewniasz. Więc... - w tym momencie zapaliła papierosa. Paliła bez przerwy i popielniczki w mieszkaniu zawsze pełne były niedopałków. Billy'ego to denerwowało, bo sam nie palił i brał poważnie ostrzeżenia artykułów w czasopiśmie o procencie śmiertelności wśród palaczy.

Ale przypuszczał, że trudno wymagać, by terrorysta, oczekujący ciągle na policję czy pluton egzekucyjny, martwił się, że może umrzeć na raka płuc w wieku lat sześćdziesięciu. - Więc - mówiła Monika wydmuchując dym przez nos - podzielę moje życie, dopóki jeszcze trwa, na przedziały. Ty do seksu, homarów, pate de foie gras, a inni do mniej poważnych

zająć, jak strzelanie do niemieckich sędziów. Nie cieszysz się, że jestem taką rozsądną dziewczyną?

Kraje mnie na kawałki, pomyślał, na małe postrzępione kawałki.

- Nie cieszę się z niczego - powiedział.

- Nie miej takiej żalostnej miny, chłopcze. Każdy według swoich zdolności. A teraz coś ci powiem: mam prawie całe popołudnie wolne. Czy mógłbyś się wymknąć za godzinę lub dwie?

- Tak. - Billy dawno już udoskonalił system wchodzenia i wychodzenia z biura nie będąc zauważonym.

- To dobrze. - Poklepała go po ręce. - Chodźmy do domu, połóżmy się do łóżka i urządzmy absolutnie cudowny popołudniowy seans.

Billy, wściekły na siebie, że nie potrafił się oprzeć pokusie, cisnął banknot na stolik i majestatycznym krokiem wyszedł z restauracji.

- Muszę na dziesięć minut wrócić do biura. Spotkamy się w domu.

- Nie będę mogła się doczekać. - Monika uśmiechnęła się, a duże niebieskie oczy rozjaśniły jej bawarską twarz z college'u Trinity.

ROZDZIAŁ II

Z notatnika Billy Abbotta, To będzie na jakiś czas ostatni zapis w tym notatniku.

Lepiej nie pisać nic więcej na temat Moniki.

Wszędzie są złodzieje i włamywacze. W Brukseli ich pełno.

Monika bardziej nerwowa niż kiedykolwiek.

Kocham ją. Nie chce mi wierzyć.

Sidney Altscheler stał w oknie swego biura na wysokim piętrze budynku „Time and Life”, patrząc ponuro na światła domów otaczających wieżowiec. Myśl o pracy, jaka czekała go przez cały weekend, nastrojała ponuro.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i do pokoju weszła sekretarka:

- Ktoś o nazwisku Jordach chce się z panem widzieć.

Altscheler zmarszczył brwi.

- Jordach? Nie znam nikogo takiego. Proszę powiedzieć, że jestem zajęty, niech napisze do mnie list.

Sekretarka już się odwróciła do wyjścia, kiedy sobie przypomniał.

- Chwileczkę. Pięć, sześć miesięcy temu drukowaliśmy coś o morderstwie. Tamten człowiek nazywał się Jordach. Proszę powiedzieć, żeby wszedł. Mam piętnaście minut, zanim przyjdzie Thatcher z poprawionym tekstem. Może jest jakiś dalszy ciąg historii Jordacha, który można by wykorzystać. - Wrócił do okna, ciągle ponury z powodu weekendu, patrzył na światła okolicznych biur, które jutro zostaną pogaszone, bo w sobotę wszyscy wiceprezesi, urzędnicy, księgowi i gońcy będą się cieszyli wolnym czasem.

Stał jeszcze przy oknie, kiedy gwałtownie zapukano do drzwi i do gabinetu weszła sekretarka z chłopcem w za ciasnym garniturze.

- Proszę siadać - powiedział Altscheler i usiadł za biurkiem. Z drugiej strony biurka stało krzesło. Wskazał je chłopcu.

- Będę potrzebna? - zapytała sekretarka.

- Jeżeli tak, to panią poproszę. - Przyjrzał się chłopcu. Jakies szesnaście, siedemnaście lat, duży, jak na swój wiek. Twarz pociągła, ładna, z niepokojącymi, czujnymi oczami. Smukła sylwetka sportowca.

- Panie Jordach - powiedział opryskliwie - czym mogę panu służyć?

Chłopiec wyciągnął stronę wyrwaną z „Time'u”.

- Czy pan drukował tę historię o moim ojcu? - Jego głos był głęboki i dźwięczny.

- Tak przypominam sobie. - Altscheler zawahał się. - Pan jest synem burmistrza?
- Nie - odpowiedział chłopiec. - Tego, którego zamordowano.
- Rozumiem. - Głos Altschelera stał się cieplejszy. - Jak panu na imię, młody człowieku?

- Wesley.

- Czy znaleźli już mordercę?

- Nie. - Wesley zawahał się i po chwili dodał: - To znaczy, oficjalnie nie.

- Nie przypuszczałem. Nie natknąłem się na żadne informacje o dalszym przebiegu śledztwa.

- Tak naprawdę, to chciałem się zobaczyć z człowiekiem, który napisał ten artykuł. Powiedziałem to na dole w informacji, trochę potelefonowali i powiedzieli mi, że ten człowiek nazywa się Hubbell i jest jeszcze we Francji. Więc kupiłem numer „Time'u” i zobaczyłem na pierwszej stronie pana nazwisko.

- Ach, tak - powiedział Altscheler. - A dlaczego chciał pan się widzieć z panem Hubbellem? Czy uważa pan, że artykuł jest nie fair czy nieprawdziwy?

- Nie. Nic takiego!

- Czy wydarzyło się coś nowego, o czym pana zdaniem powinniśmy wiedzieć?

- Nie. Chciałem porozmawiać z panem Hubbellem o moim ojcu i o jego rodzinie. Było o tym dużo w artykule.

- Tak. Ale pan Hubbell nie mógłby panu pomóc. To było robione tutaj, materiały zebrał jeden z naszych dokumentalistów.

- Nie znałem dobrze mojego ojca - powiedział Wesley. - Widziałem go, jak byłem mały, a potem zobaczyłem dopiero kilka lat temu.

Chciałbym dowiedzieć się o nim więcej.

- Rozumiem, Wesley - powiedział ciepło Altscheler.

- Z tego artykułu wynikało, że wiecie znacznie więcej, niż ja wiedziałem kiedykolwiek. Mam listę ludzi, z którymi mój ojciec miał do czynienia w różnych okresach swojego życia. „Time” również umieściłem na tej liście. I to wszystko.

- Rozumiem. - Altscheler zadzwonił na sekretarkę. Przyszła natychmiast. - Panno Prentice, proszę sprawdzić, kto robił dokumentację do artykułu o Jordachu. O ile dobrze pamiętam, panna Larkin. Proszę zaprowadzić do niej tego młodego człowieka i powiedzieć, żeby zrobiła dla pana Jordacha wszystko, co będzie mogła. - Altscheler podniósł się. - Muszę teraz wracać do pracy.

Dziękuję, że przyszedł pan do mnie, Wesley. I powodzenia.

- Dziękuję panu. - Wesley również wstał i wyszedł za sekretarką z gabinetu.

Altscheler wrócił do okna i wyjrzał. Uprzejmy, smutny chłopiec.

Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby to jego ojciec został zamordowany, a on byłby pewny, że wie, kto to zrobił. Tych problemów nie brano pod uwagę w Yale, gdzie zapracował na swój dyplom.

Dokumentalistka pracowała w niewielkim pomieszczeniu bez okien, oświetlonym neonowymi rurkami. Była niewielką młodą kobietą w okularach, ubraną niedbale, ale ładną. Kiwała głową i onieśmielona patrzyła na Wesleya, kiedy panna Prentice wyjaśniała, po co przyszedł.

- Proszę tu chwilę poczekać, panie Jordach, a ja pójde do archiwum. Będzie pan mógł przeczytać wszystko, co wygrzebie.

- Zarumieniła się lekko wypowiedziawszy to zdanie. „Wygrzebywanie” nie jest odpowiednim słowem, kiedy się rozmawia z chłopcem, którego ojciec został zamordowany. Zastanawiała się, czy powinna ocenzurować materiały, zanim pozwoli chłopcu je obejrzeć.

Doskonale pamiętała pracę nad tą historią, głównie dlatego, że była tak różna od wszystkiego, czego ona sama w życiu doświadczyła. Nigdy nie była na Riwierze, w istocie nigdy nie wyjeżdżała z Ameryki, ale była zapamiętałą czytelniczką na kursach literatury w college'u i południe Francji utrwaliło się w jej wyobraźni jako widownia romansu i tragedii; Scott Fitzgerald jeżdżący z przyjęcia na przyjęcie w Grand Corniche, zdesperowany i wesoly Dick Diver na jasnych plażach i te czekające na nich kłopoty, kiedy wszystko się zawali. Zachowała swoje notatki do tego artykułu, czego zazwyczaj nie robiła, w niejasnym poczuciu związków z geografią literacką, którą pewnego dnia zbada. Patrzyła na chłopca, który tam był, cierpiał, a teraz stał tutaj w swoim ciasnym garniturze; chciałaby zadać mu kilka pytań, przekonać się, czy coś wie o tym wszystkim.

- Czy wypiłby pan tymczasem filiżankę kawy? - zapytała.

- Nie, dziękuję pani.

- A może chciałby pan przejrzeć numer z tego tygodnia?

- Dziękuję, kupiłem na dole.

- Wróć za chwilę - powiedziała pogodnie. Biedny chłopak, myślała wychodząc z pokoju. I taki przystojny. Nawet w tym śmiesznym garniturze. Była romantyczną dziewczyną, czytała dużo poezji.

Mogła go sobie wyobrazić ubranego w swobodnie udrapowaną czerń, jak młody Yeats z wczesnych fotografii.

Kiedy wróciła z materiałem, chłopiec siedział na krześle pochylony, łokcie miał oparte na udach, ręce opuszczone między kolanami, jak piłkarze oczekujący na ławce rezerwowych.

- Tutaj jest wszystko - powiedziała pogodnie. Rozważała po drodze, czy usunąć zdjęcie nagiej Jean Jordach, ale zdecydowała je zostawić. W końcu ta fotografia była w numerze i chłopak musiał ją widzieć.

- Proszę się nie spieszyć. Mam coś do zrobienia. - Wskazała górę wycinków na swoim biurku. - Ale pan nie będzie mi przeszkadzał. - Było jej przyjemnie, że chłopak jest w pokoju. To łamało rutynę.

Wesley przez dłuższą chwilę przyglądał się teczce, nie otwierając jej, podczas gdy panna Larkin, zajęta wycinaniem i robieniem notatek, od czasu do czasu spoglądała na niego, dopóki jej na tym nie przyłapał, co ją podekscytowało. Powinien się jednak przyzwyczaić do przyglądających mu się dziewcząt, pomyślała próbując się usprawiedliwić. Będą to robiły całymi stadami.

Zobaczyła, że pierwszą rzeczą, jaką wyjął z teczki, było zdjęcie ojca w bokserskich spodenkach, z gotowymi do ciosu pięściami. Tom Jordan groźny i młody. Wesleyowi się wydawało, że ojciec robi wrażenie niewiele starszego niż on sam. Na ramionach i torsie widoczny był każdy napięty mięsień. Musiał napędzać stracha facetom, z którymi miał walczyć.

Panna Larkin też obejrzała to zdjęcie, kiedy je wyjmowała z archiwum. Uważała, że bokser wygląda jak przystojny łotr, jak ktoś, od kogo lepiej trzymać się z daleka. Wolą mężczyzn w typie intelektualistów. Teraz już otwarcie przypatrywała się chłopcu, ponieważ uwagę jego zaprzętała wyłącznie trzymana w ręce fotografia. Był zaskakująco podobny do swego ojca, ale nie dostrzegała w nim nic łotrowskiego. Musi mieć co najmniej dziewiętnaście lat, pomyślała, i może byłoby przyjemnie zaprosić go na dół na drinka. Teraz chłopiec dziewiętnastoletni może być bardzo dojrzały. Sama miała dopiero dwadzieścia cztery lata, trudno to nazwać istotną różnicą.

Zdjęcie pochodziło z pisma „Ring”, u dołu podklejono artykuł o Tomie Jordanie. „Tom Jordan, obiecujący bokser wagi średniej, niepokonany w 18 pojedynkach, 8 nokautów, w drodze do Londynu na walkę z Sammy Walesem, ubiegającym się o mistrzostwo Anglii w wadze średniej, w Albert Hall. Artur Schultz, menażer Jordana, przepowiada, że po dalszych 4 czy 5 meczach Tommy będzie mógł się zmierzyć z każdym przeciwnikiem swojej wagi”.

Do fotografii przypięta była jeszcze jedna kartka maszynopisu.

Wesley znów zaczął czytać. „Zwyciężył w Londynie przez nokaut.

Trzy tygodnie później walczył w Paryżu z Rene Badaud. Znokautowany w siódmej

rundzie. Od tej pory wyniki nierówne, traci klasę.

Zaangażowany jako partner sparringowy Freddy'ego Quaylesa, Las Vegas, Nevada (data). Quayles głównym pretendentem do tytułu mistrza wagi średniej. Incydent między Quaylesem i Jordanem.

Źródła z Las Vegas przekazują pogłoski o walce w pokoju hotelowym o żonę Quaylesa, późniejszą aktorkę grającą drobne epizody w Hollywood. Świadek twierdzi, że widział Quaylesa w szpitalu, mocno pobitego. Quayles nigdy nie odzyskał formy, porzucił ring, pracuje obecnie jako sprzedawca w sklepie z artykułami sportowymi w Denver, Kolorado. Tom Jordan zniknął z Las Vegas; nakaz aresztowania za kradzież samochodu. Od tej pory nie wypłynął.”

I to było wszystko. Całe życie w kilku wierszach, podsumowane w pięciu słowach: „Od tej pory nie wypłynął.” Wypłynął jak najbardziej, w Antibes, pomyślał z goryczą Wesley. Wyjął pióro, kartkę papieru i zapisał: Artur Schultz, Freddy Quayles.

Potem jeszcze raz przyjrzał się fotografii swojego ojca; lewa ręka wyciągnięta, prawa pod brodą, mięśnie ramion naprężone, młoda twarz zdradzająca oznaki niepohamowania i pewności siebie, według fachowca zawodnik gotów po czterech czy pięciu dalszych meczach zmierzyć się z każdym w swojej wadze. Od tej pory nie wypłynął.

Wesley spojrzał na pannę Larkin.

- Nie sądzę, żebym go poznał; gdyby tu teraz wszedł i tak wyglądał. - Roześmiał się. - Cieszę się, że mając takie bary nie wierzył w skuteczność bicia dzieci.

Panna Larkin zorientowała się, że Wesley dumny jest z wysportowanego ciała, pewności siebie i wojowniczości ojca w okresie, kiedy był od niego niewiele starszy.

- Jeżeli chce pan zatrzymać to zdjęcie, włożę je do dużej koperty, żeby się nie pogniotło.

- Naprawdę? Mogę je zabrać?

- Oczywiście.

- To wspaniale! - wykrzyknął Wesley. - To znaczy wspaniale, że mogę dostać to zdjęcie. Nie mam żadnego zdjęcia ojca. Miałem kilka, ale wszystkie były robione później... Nie wyglądał na nich tak jak na tym. Wyglądał dobrze - dodał pospiesznie, jakby nie chciał, żeby panna Larkin wyobraziła sobie; że oczernia ojca czy też że ojciec stał się grubym, łysym, starym mężczyzną albo kimś w tym rodzaju. - Ale po prostu inaczej. Chyba miał inny wyraz twarzy. Myślę, że nie można przejść przez życie i ciągle wyglądać na dwadzieścia lat.

- Nie, nie można - powiedziała panna Larkin. Codziennie rano wypatrywała zmarszczek dookoła oczu.

Wesley pogrzebał w teczce i wyciągnął notki biograficzne członków rodziny, przygotowane przez pannę Larkin. Przeczytał je szybko.

Było w nich niewiele rzeczy, o których nie wiedział, szybki sukces wuja i skandal w college'u, dwa małżeństwa ciotki, zarys kariery jego ojca. Jedną linijkę przeczytał dwukrotnie. „Kiedy Rudolf Jordach mając niewiele ponad trzydzieści lat wycofał się z czynnego życia, mówiono, że ma kilka milionów.” Kilka. Ile walk musiałby stoczyć jego ojciec, ile sezonów na Morzu Śródziemnym musiałby obsłużyć, żeby mieć chociaż jeden milion?

Spojrzał z zaciekawieniem na ładną dziewczynę w okularach, pracującą za biurkiem. Przypadek zrządził, że właśnie ona dowiedziała się tak wiele o jego rodzinie. Zastanawiał się, co by usłyszał, gdyby tak zapytał ją, co naprawdę sądzi o Jordachach.

Napisała w swoich notatkach, że dzieje Rudolfa są typową amerykańską historią sukcesu, biedny chłopak osiąga powodzenie na ogromną skalę. Czy powiedziała by o ojcu: biednemu chłopakowi nie wiedzie się na typowo amerykański sposób?

Wydał zabawny, niezbyt głośny dźwięk, prawie się roześmiał. Panna Larkin podniosła głowę.

- To wszystko, co mamy. Niestety, nie jest tego dużo.

- W porządku - powiedział Wesley. - Doskonale. - Nie chciał, żeby ta miła młoda dama pomyślała, że nie jest wdzięczny. Oddał jej teczkę i wstał. - Bardzo pani dziękuję. Lepiej już pójdę.

Panna Larkin również się podniosła. Popatrzyła na niego dziwnie, jakby podejmowała jakąś decyzję.

- Prawie skończyłam na dzisiaj - powiedziała. - Zastanawiałam się, czy nie zechciałby pan zejść ze mną na dół i wypić drinka? - Zabrzmiało to tak, jakby zwracała się do niego z jakąś prośbą, ale nie potrafiłby powiedzieć, o co jej chodziło. - Później jestem umówiona... - Nawet Wesley się zorientował, że kłamała. - Mam godzinę czasu...

- Nie podadzą mi drinka w barze. Nie mam jeszcze osiemnastu lat.

- Rozumiem. - Zarumieniła się. - Więc dziękuję za wizytę. Jeżeli będzie pan tu kiedyś, to wie pan, gdzie mnie szukać. Gdybym w jakiś sposób mogła pomóc...

- Tak, proszę pani - powiedział.

Obserwowała go, kiedy wychodził z pokoju, szerokie ramiona rozpięły za ciasną marynarkę. Nie ma jeszcze osiemnastu lat, pomyślała. Ależ ja jestem głupia.

Przez kilka minut siedziała wpatrując się w papiery na biurku.

Miała dziwne uczucie, że przydarza jej się właśnie coś szczególnego albo że coś

takiego się przydarzy. Przeczytała jeszcze raz wszystkie materiały w teczce. Morderstwo, bogaty brat, siostra intelektualistka, awanturniczy zawodowy bokser pobity na śmierć, nie rozwiązana zagadka. Piękny syn, jeszcze prawie dziecko, o dziwnych, tragicznych oczach, poszukujący czego?

Zemsty?

Próbowała pisać powieść o dziewczynie bardzo podobnej do niej, wyrosłej w rozbitej rodzinie, samotnej dziewczynie obdarzonej żywą wyobraźnią, podkochującej się w nauczycielach; o jej pierwszej miłości, pierwszych rozczarowaniach z mężczyznami, o przyjeździe do Nowego Jorku z małego miasta. Teraz myślała o tym z pogardą.

Już tysiąc razy zostało to opisane.

Dlaczego historia tego chłopca nie miałyby się stać tematem powieści? W końcu Dreiser zaczął Tragedię amerykańską po przeczytaniu artykułu w gazecie. Nikt w rodzinie Dreisera nie został zamordowany, pisarz nie znał nawet nikogo, kto został zamordowany, a mimo to napisał wielką powieść. Przed kilkoma minutami siedział z nią w pokoju przystojny, niezwykle chłopiec, dźwigający na swych barkach, w sposób niemal widoczny, brzemień wyrzutów sumienia, przygotowujący się, pomyślała z rozkosznym dreszczem, do nieuniknionego czynu. Hamlet jako amerykańskie dziecko. Dlaczego nie? Zemsta należała do najstarszych motywów literackich. Nadstaw drugi policzek, mówi Biblia, ale także: oko za oko. Jej ojciec, rozjuszony Irlandczyk, kłął za każdym razem, ilekroć czytał, co Anglicy ciągle jeszcze wyczyniają w Irlandii, a kiedy była dzieckiem, w domu wisiał portret Parnella.

Zemsta jest w równym stopniu częścią każdego z nas, myślała, co nasze kości i krew. Lubimy udawać, że w dwudziestym wieku jesteśmy już na to zbyt cywilizowani, ale człowiek z Wiednia, który strawił życie na tropieniu hitlerowców, morderców Żydów, szanowany był na całym świecie. Jej ojciec mówił, że był to ostatni bohater drugiej wojny światowej.

Żałowała teraz, że zabrakło jej rozsądku, by zapytać chłopca, gdzie można go znaleźć. Będzie musiała go znaleźć, dobrze poznać, ożywić na stronicach książki z całym jego gniewem, wątpliwościami, młodością. Mówiła sobie, że to cyniczne, ale w końcu albo się jest pisarzem, albo nie. Jeżeli chłopak jeszcze kiedykolwiek pojawi się w tym pokoju, spróbuję się dowiedzieć o nim wszystkiego.

Odczuwając przypływ sił twórczych i takie uniesienie, jakby natrafiła na skarb, złożyła starannie wszystkie materiały do teczki, odniosła do centralnego archiwum i postawiła na miejsce.

Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu, by wrzucić w ogień sześćdziesiąt stron powieści, które dotychczas napisała.

ROZDZIAŁ III

Rudolf siedział przy niewielkim pianinie, próbując wygrać melodię On a Clear Day, kiedy usłyszał dzwonek i panią Burton wychodzącą z kuchni, by otworzyć drzwi. Widział, jak przechodziła przez hall w kierunku drzwi frontowych. Miała na sobie kapelusz i palto.

Pracowała u niego na przychodne, bo każdego wieczora musiała wracać do domu, żeby nakarmić własną rodzinę w Harlemie. Słyszał dochodzący z kuchni śmiech Enid, która jadła tam kolację ze swoją nianią. Rudolf nie oczekiwał nikogo, nie przestał więc pracować nad melodią. Kupienie pianina okazało się dobrym pomysłem.

Początkowo zdecydował się na to, bo nowa niańka miała bardzo miły głos. Posłuchał kiedyś, jak cichutko śpiewała jego córce.

Powiedziała, że umie trochę grać na pianinie, więc uznał, że byłoby dobrze, gdyby Enid słuchała kogoś grającego na instrumencie we własnym domu. Gdyby się okazało, że ma jakiegokolwiek zdolności, byłoby to dla niej znacznie pożyteczniejsze niż słuchanie nagrań, jak gdyby Bach i Beethoven byli czymś tak zwykłym jak światło elektryczne, które można włączyć lub wyłączyć naciskając przycisk.

Kiedy jednak pianino było już od kilku dni w domu, zasiadł przy nim sam, próbując najpierw akordów, a potem melodii. Miał dobry słuch i mógł spędzać całe godziny bawiąc się w ten sposób, nie myśląc o niczym, tylko o muzyce płynącej spod palców. Należało wykorzystać każdą możliwość, by się rozerwać chociaż przez kilka minut. Już się prawie zdecydował brać lekcje.

Usłyszał, że pani Burton wchodzi do pokoju.

- Panie Jordach, w drzwiach stoi jakiś młody człowiek, który mówi, że jest pana bratankiem. Czy mam go wpuścić?

Odkąd Rudolf przeprowadził się na dwa ostatnie piętra kamienicy o fasadzie z ciemnoczerwonego piaskowca, ale bez portiera, pani Burton obawiała się włamywaczy i rabusiów i zamykała drzwi na łańcuch. Narzekała, że sąsiedzi beztrąsko nie zamykają drzwi wejściowych i każdy może dostać się na klatkę schodową.

Rudolf wstał.

- Zobaczę, kto to jest - powiedział. W liście z Brukseli w ubiegłym tygodniu Billy nie wspominał o przyjeździe do Ameryki. Z listów, które pisywał syn Gretchen, wyglądało na to, że wyrósł na przyjemnego, inteligentnego młodego człowieka, toteż pod wpływem impulsu Rudolf wysłał tysiąc dolarów, o które chłopak prosił.

Teraz zastanawiał się, czy Billy nie popadł w tarapaty z armią i nie zdezerterował. To

tłumaczyłoby prośbę o pieniądze. Wesley nie odezwał się ani słowa od ich spotkania w Nicei, choć minęło prawie dziewięć miesięcy.

Pani Burton wyszła za Rudolfem do hallu. Za półotwartymi drzwiami, zabezpieczonymi łańcuchem, w słabym świetle lampy sufitowej, stał Wesley.

- W porządku, pani Burton - powiedział Rudolf. Odczepił łańcuch i otworzył drzwi. - Wejdz, Wesley. - Wyciągnął rękę na powitanie.

Wesley podał mu rękę po ułamku sekundy.

- Czy będę panu jeszcze dziś potrzebna? - zapytała pani Burton.

- Nie, dziękuję.

- To pójdę już do domu. Przyjemnego weekendu.

- Dziękuję, pani Burton. - Rudolf po jej wyjściu zamknął drzwi na klucz. Wesley stał w hallu. Twarz miał szczupłą, bladą i pozbawioną wyrazu, duch własnego ojca w wieku chłopięcym, wrogi i czujny. Był w tym samym ubraniu, które miał na sobie, kiedy opuszczał więzienie w Grasse, tylko że teraz garnitur stał się jeszcze ciaśniejszy. Rudolf odniósł wrażenie, że od czasu ich ostatniego spotkania Wesley znacznie wyrósł i zmężniał. Jego włosy, co Rudolf odnotował z zadowoleniem, nie były za długie i krótko ostrzyżone na szyi.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział Rudolf, kiedy wchodzili do salonu. - Czy mogę ci dać coś do picia?

- Chętnie napiłbym się piwa.

- Czuj się jak w domu. - Rudolf wyszedł do kuchni, gdzie Enid z nianią jadły kolację. Nianka była solidną kobietą około czterdziestki i miała cudowny wpływ na zachowanie Enid.

- Enid, przyszedł twój kuzyn Wesley - powiedział Rudolf wyciągając z lodówki butelkę piwa. Miał zamiar poprosić, żeby dziewczynka po jedzeniu przyszła do salonu i przywitała się z Wesleyem, ale nie zrobił tego. Nie wiedział, po co chłopak przyszedł. Jeżeli chodziło o jakieś sprawy sercowe czy dramatyczne kłęski dorastającego młodzieńca, obecność Enid jedynie komplikowałaby sprawę. Rudolf pocałował Enid w główkę i wrócił do salonu niosąc piwo i szklanę. Wesley, dość skrepowany, stał ciągle w tym samym miejscu. Rudolf nalał mu piwa.

- Dziękuję. A wuj się nie napije?

- Wypiję trochę wina do kolacji. Siadaj, siadaj. - Wesley zaczekał, aż usiadzie Rudolf, a potem zajął krzesło naprzeciwko niego. Pił z przyjemnością.

- No, co słyhać? - zapytał Rudolf. - Co cię sprowadza do Nowego Jorku?

- Poszedłem pod zły adres. - Rudolf zauważył, że chłopak nie odpowiedział na jego pytanie. - Portier nie chciał mi powiedzieć, dokąd się przeprowadziłeś. Nie chciał uwierzyć,

że jestem twoim bratankiem. Musiałem pokazać legitymację biblioteczną - sprawiał wrażenie rozżalonego, jak gdyby Rudolf przeprowadził się o cztery przecznice dalej na północ tylko po to, żeby go uniknąć.

- Czy nie dostałeś mojego listu? Podalem ci nowy adres w dniu, w którym wynająłem to mieszkanie.

- Nie dostałem żadnych listów. Ani jednego. - Wesley pokręcił głową.

- Nawet tego o ostatecznym projekcie podziału spadku i o tym, jaka część przypadnie na ciebie?

- Nic. - Wesley znów napił się piwa.

- Co się dzieje z twoją pocztą? - Rudolf starał się, by w jego głosie nie zabrzmiała irytacja.

- Może moja matka nie pochwała korespondencji. W każdym razie tak przypuszczam.

- Jadłeś już kolację?

- Nie.

- Więc przy kolacji powiem ci, co było w tym liście.

- Wujku Rudi, nie jechałem tu autostopem aż z Indianapolis, żeby rozmawiać o pieniądzach - powiedział miękko Wesley. - To jest... chyba można to nazwać wizytą towarzyską.

- Matka wie, że tu przyjechałeś?

Wesley pokręcił głową.

- Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach, matka i ja.

- Nie uciekłeś chyba z domu, co?

- Nie. Teraz są ferie wielkanocne. Zostawiłem wiadomość, że wrócę na czas do szkoły.

- Co za ulga - powiedział sucho Rudolf. - Jak sobie radzisz w szkole?

- Dobrze. Jestem kosa z francuskiego - uśmiechnął się chłopięco. - Uczę kolegów wszystkich brzydkich słów.

- Czasem mogą się bardzo przydać. - Rudolf się uśmiechnął.

- Dlaczego musiałeś jechać autostopem? - zapytał już poważniejszym tonem.

- Forsa - odpowiedział Wesley.

- Twoja matka dostaje co miesiąc zupełnie przyzwoitą sumę na twoje utrzymanie. Z pewnością wystarczyłoby na bilet do Nowego Jorku raz do roku.

- Nie daje mi nawet złamanego centa. Nie narzekam. Po szkole pracuję. Radzę sobie.

- Naprawdę? - Rudolf był sceptyczny. - Czy to jedyne twoje ubranie?

- Całe ubranie tak. Mam kilka swetrów, dżinsy i różne takie rzeczy, do szkoły i do roboty. A w zimie noszę starą kurtkę syna Kralera, więc nie marznę. On jest w wojsku, walczy w Wietnamie.

- Myślę, że muszę napisać do twojej matki. Nie ma prawa wydawać tych pieniędzy na swoje potrzeby.

- Wujku Rudi, nie wywołuj zamieszania, bardzo proszę - powiedział ostrożnie Wesley, stawiając szklanekę na podłodze obok krzesła. - I bez tego dosyć idiotyzmów dzieje się w tym domu. Ona twierdzi, że będę dostawał te pieniądze, które powinna mi dawać, wszystkie, co do centa, jeżeli będę chodził z nią i Kralerem do kościoła, jak porządny chrześcijanin.

- Och, jęknął Rudolf - zaczynam to sobie wyobrażać.

- Chociaż trochę, co? - Wesley znów się uśmiechnął po chłopięcemu.

- Hiszpańska inkwizycja w Indianapolis.

- Chyba jednak wypiję drinka - zdecydował Rudolf. Wstał, podszedł do barku i przygotował sobie martini. - Chcesz jeszcze piwa, Wesley?

- Z przyjemnością. - Wesley podniósł z podłogi szklanekę, wstał i podał ją Rudolfowi.

- Enid jest w kuchni. Czy nie chciałbyś się z nią przywitać? - Dostrzegł wahanie Wesleya. - Jej matki tu nie ma. Pisałem ci, że wzięliśmy rozwód. - Pokręcił głową, poirytowany. - Tego listu też pewno nie dostałeś?

- Nie.

- Psiakrew. Teraz będę pisał do ciebie na poste restante. Nie uważałeś, że to dziwne, że nikt do ciebie nie pisze?

- Chyba nigdy specjalnie nad tym nie rozmyślałem.

- Pisałeś do Króliczka czy do Kate?

- Raz lub dwa. Ale nie odpisali, więc zrezygnowałem. Masz od nich wiadomości?

- Oczywiście - powiedział Rudolf. Dwyer przesyłał mu comiesięczny raport wraz z rachunkami z „Klotyldy”. Trzeba mu było powiedzieć, że Rudolf kupił statek. Zlecona przez sąd oficjalna wycena jachtu wyniosła sto tysięcy dolarów, Dwyer się nie mylił, jednak żaden inny kupiec nie ofiarował nawet zbliżonej ceny, i Dwyer zabrał „Klotyldę” na zimę do Saint-Tropez. - U nich wszystko w porządku.

Kate ma dziecko. Chłopca. Masz brata. Przyrodniego.

- Biedny szczeniak - powiedział Wesley, ale ta nowina najwyraźniej go ucieszyła. Ciągłość dziedzictwa, pomyślał Rudolf. - Jak będziesz pisał do Kate, powiedz, że odwiedzę ją kiedyś w Anglii - ciągnął Wesley. - Dzieciaki. W ten sposób mój stary jest jedynym z rodziny, który ma więcej niż jedno dziecko. Powiedział mi pewnej nocy, że chciałby mieć

pięcioro. On wspaniale radził sobie z dziećmi. Czasem zjawiała się na statku para z najbardziej rozpaskudzoną gnojkiem, jakiego można sobie wyobrazić, a po tygodniu pływania ze starym szczeniakiem mówił do każdego „proszę pana”, wstawał, kiedy starsi wychodzili na pokład, na postoju w portach zmywał pokład, uważał na to, co mówi, i tak dalej. - Wesley, trochę skrepowany, bawił się szklanką z piwem. - Nie chciałbym się przechwalać, wujku Rudi, ale popatrz, co zrobił ze mną. Może nawet teraz nie jestem wiele wart, ale trzeba mnie było widzieć, kiedy wyciągnął mnie ze szkoły. Byłem wtedy beznadziejny.

- Teraz nie jesteś.

- W każdym razie nie czuję się tak. A to już coś.

- Na pewno.

- A propos dzieci, czy myślisz, że mógłbym pójść do kuchni i przywitać się z Enid?

- Oczywiście - powiedział Rudolf z wyraźną przyjemnością.

Enid była wyjątkowo onieśmielona, kiedy weszli do kuchni. Wesley przedstawił się małej.

- Halo, Enid, jestem twoim kuzynem Wesleyem. Pamiętasz mnie?

Enid przyjrzała mu się poważnie i odwróciła głowę.

- Jest późno - powiedziała niania, stając w jej obronie. - O tej porze staje się trochę kapryśna.

- Przyjdę kiedyś rano - zaanonsował Wesley. W małej kuchni jego głęboki, męski głos zabrzmiał metalicznie i ostro; Enid zatkała uszy rączkami.

- Panienko, co za maniery - powiedziała niania.

- Pewnie mówię za głośno - usprawiedliwił się Wesley wychodząc za Rudolfem z kuchni. - Nabiera się takiego przyzwyczajenia na statku, gdzie szumi wiatr i woda i jest hałas.

W salonie Rudolf nalał sobie do szklaneczki martini i wrzucił na wierzch kawałek skórki cytrynowej. Uniósł szklaneczkę w stronę Wesleya, nagle rad z tego, że chłopak przyjechał go zobaczyć, że chciał przywitać się z Enid. Może, pomyślał, w jakiejś dalekiej, mglistej przyszłości znowu staniemy się czymś w rodzaju rodziny.

Zostało mi niewiele, pomyślał litując się nad sobą, rodzina jest czymś, czego można się trzymać. Nawet list, jaki otrzymał od Billy'ego, zawierający nieśmiałą, choć bezceremonialną prośbę o pieniądze, utrzymany był w serdecznym tonie. Rudolf zdawał sobie sprawę, że nie mając własnych synów, stałby się przyjacielem chłopców, nawet więcej niż przyjacielem, gdyby tylko na to pozwolili. Teraz, gdy był samotny, już nie żonaty, Jean stała się niemal zapomnianym incydentem z przeszłości, a jego własne dziecko pod opieką wysoce

odpowiedzialnej osoby było jeszcze w tym wieku, że mógł traktować je jedynie jak uroczą zabawkę. Wiedział, że gdyby tylko nawiązał kontakt z krewnymi, wkrótce potrzebowałby ich bardziej, niż oni kiedykolwiek mogliby potrzebować jego. Miał nadzieję, że chwila taka nadejdzie, i to wkrótce.

- Cokolwiek sprowadziło cię do Nowego Jorku - zaczął, wyraźnie poruszony, podnosząc szklaneczkę - jestem szczęśliwy, że cię widzę.

Wesley, bardzo opanowany, także uniósł swoją szklankę.

- Dzięki.

- Skończyłeś już z bójkami w barach, mam nadzieję - powiedział Rudolf.

- Nie obawiaj się. - Wesley mówił poważnie. - To mam już poza sobą.

Chociaż czasem bardzo trudno się powstrzymać. W szkole jest dużo czarnych; biali chłopcy się ich czepiają, oni czepiają się białych. Myślę, że mam opinię mięczaka. Ale, do diabła, przeżyję to. Już się nauczyłem. Zresztą obiecałem to mojemu ojcu w dniu, kiedy zabierał mnie ze szkoły wojskowej. Tylko raz zapomniałem o tej obietnicy. Trudno to zresztą nazwać normalnymi okolicznościami. - Patrzył ponuro w szklankę z piwem, wyglądał poważnie jak na swój wiek. - Tylko ten jeden raz. Podobno, jak mówi przysłowie, każdy pies może ugryźć raz. Myślę, że winien to jestem ojcu, żeby dotrzymać tej obietnicy. Tyle przynajmniej... - przerwał. Zacisnął usta. Rudolf się bał, że chłopak zacznie płakać.

- Myślę, że tak - powiedział szybko. - Gdzie mieszkasz w Nowym Jorku?

- W YMCA. Nie jest tak źle.

- Słuchaj, jutro rano odwożę Enid na tydzień do jej matki w Montauk, ale wracam w niedzielę. Może pojedziesz ze mną, zaczerpniesz morskiego powietrza?... - Rudolf urwał, widząc czujne spojrzenie Wesleya.

- Dziękuję. To byłoby bardzo przyjemne. Ale zrobimy to kiedy indziej. Muszę wracać do Indianapolis.

- Nie jedź autostopem. Dam ci pieniądze na samolot. - Kiedy ja wreszcie przestanę proponować ludziom pieniądze, pomyślał zrozpaczony, zamiast tego, po co rzeczywiście przyszli.

- Dziękuję - powiedział Wesley. - Ja naprawdę lubię jeździć autostopem. Spotyka się tylu rozmaitych ludzi.

- Jak chcesz. - Choć propozycja Rudolfa została odrzucona, nie dziwił się, że chłopiec nie chciał ryzykować spotkania z Jean i przypominania sobie wszystkiego od początku. - Gdybyś jednak chciał tu przenocować, pościelę ci na kanapie. Nie mam gościnnego pokoju, ale będzie ci tu wygodnie. - Gościnność, solidarność rodzinna, nie dolarowe banknoty.

- To miło z twojej strony - powiedział ostrożnie Wesley - ale urządziłem się w YMCA.

- Następnym razem uprzedź mnie przed przyjazdem. Są tu w sąsiedztwie przyjemne hotele, byłoby ci tam najwygodniej.

Moglibyśmy pójść do teatru czy coś w tym rodzaju... - Urwał gwałtownie. Nie chciał, żeby chłopiec pomyślał, że próbuje go przekupić.

- Jasne - powiedział bez przekonania Wesley. - Następnym razem.

Tym razem, wujku Rudi, chciałbym porozmawiać o moim ojcu - spoglądał poważnie na Rudolfa. - Nie miałem okazji dobrze go poznać. Byłem dzieckiem, może jeszcze ciągle jestem dzieckiem, ale chcę wiedzieć, jaki on był, ile był wart... Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

- Chyba tak.

- Bez przerwy sporządzam listy, zbieram nazwiska ludzi, którzy znali ojca w różnych okresach jego życia. Ty i ciocia Gretchen jesteście na pierwszym miejscu mojej listy. To chyba całkiem naturalne.

- Tak mi się zdaje. Tak. To całkiem naturalne. - Rudolf obawiał się tych pytań, obawiał się odpowiedzi, jakich będzie musiał udzielić temu wysokiemu, poważnemu, nad wiek wyrośniętemu chłopcu.

- Kiedy zacząłem go poznawać - kontynuował Wesley - przez ten krótki czas, jaki spędziliśmy razem, wydawał mi się jakimś bohaterem, niemal świętym. Podziwiałem sposób, w jaki traktował mnie, Kate i Dwyera, jak osiągał to, że wszyscy robili, co chciał, a on nawet nie musiał podnosić głosu, jak potrafił sobie poradzić w każdej sytuacji. Ale wiem, że nie zawsze był taki. Wiem, że moje zdanie o nim to opinia dziecka. Ale muszę się dowiedzieć, jaki był naprawdę. Dla mojego własnego dobra. Bo to pomoże mi się zorientować, jaki jestem ja sam. Jakim człowiekiem chcę być, co chcę zrobić z moim życiem... To może brzmi trochę mętnie, co? - Wesley poruszył swymi mocnymi ramionami, jak gdyby był zły na siebie.

- To nie jest takie mętne, Wesley - powiedział miękko Rudolf. - Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, wszystko, co pamiętam. Ale myślę, że przede wszystkim powinniśmy pójść na kolację. - Odsunąć przeszłość, pierwsza zasada cywilizacji.

- Chętnie bym zjadł coś dobrego - powiedział Wesley wstając. - Po drodze jadłem różne paskudztwa. A to, co jem w domu... - Wykrzywił się. - Moja matka ma bzika na punkcie zdrowego jedzenia. To dobre dla wiewiórek. Wujku Rudi - uśmiechnął się - wszyscy ciągle mi mówią, jaki jesteś bogaty. Czy stać cię na befsztyk?

- Chyba na to jestem wystarczająco bogaty. W każdym razie kilka razy do roku.

Poczekaj na mnie chwilę. Pójdę tylko na górę powiedzieć dobranoc małej i wezmę marynarke.

Właśnie wyjmował z szafy marynarke, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo - powiedział Rudolf do słuchawki.

- Rudi... - To był głos Gretchen. - Co robisz z kolacją? - Ilekroć Gretchen była lekko zmieszana, zachowywała się bardzo opryskliwe i bezpośrednio. Rudolf nie rozmawiał z nią od kilku tygodni, a piętnaście po siódmej w piątkowy wieczór to dziwna pora na telefon.

- No... - Zawahał się. - Mam niespodziewanego gościa. Wesley przyjechał autostopem z Indianapolis. Zabieram go na kolację. Czy chciałabyś pójść z nami?

- Czy on chce z tobą porozmawiać na jakiś specjalny temat? - Gretchen była rozczarowana.

- Nic mi o tym nie wiadomo. O ile wiem, nie ma nic takiego, o czym nie chciałby mówić w twojej obecności.

- Wolałabym nie przeszkadzać...

- Nie wygłupiaj się, Gretchen. Czy chciałabyś ze mną porozmawiać dziś wieczór na jakiś specjalny temat? - Ostatni raz, kiedy jedli razem, Gretchen wydawała się roztargniona i zrobiła wystarczająco dużo aluzji, by Rudolf się domyślił, że chodzi o kłopoty z hollywoodzkim reżyserem, z którym pracowała i miała romans pełen wzlotów i upadków. Jak on się nazywał? Kinsella. Evans Kinsella.

Arogancki skurwysyn z Hollywood. Tylko raz w życiu Gretchen miała szczęście wybrać odpowiedniego mężczyznę, i ten mężczyzna wjechał na drzewo. Rudolf przypuszczał, że jej telefon ma jakiś związek z Kinsellą, ale jeśli będzie chciała, może poruszyć ten temat, kiedy już odprowadzą Wesleya do YMCA.

- Zadzwoniłam, bo nie mam co z sobą robić dziś wieczorem. Mój przyjaciel wystawił mnie do wiatru - mówiła Gretchen. - Dla odmiany. - Zaśmiała się bez radości. - Więc pomyślałam o rodzinie.

Weekendy to dobra pora na kłopoty i rodzinę. - Nie powiedziała jednak, czy przyjdzie na kolację. Zamiast tego zapytała: - Jak się czuje Wesley?

- Radzi sobie - powiedział Rudolf. - Bardzo wyrósł. I jak zwykle poważny. Nawet bardziej niż zwykle.

- Kłopoty?

- Nie większe niż twoje czy moje - odpowiedział lekko Rudolf.

- Myślisz, że będzie miał coś przeciwko spotkaniu ze mną?

- Absolutnie nie. Powiedział, że jesteśmy obydwój na początku listy ludzi, z którymi

chciał się zobaczyć.

- Co on przez to rozumie? - Gretchen była zatroskana.

- Wyjaśnię ci po kolacji. Tymczasem on ma ochotę na befszytk. - Rudolf podał Gretchen nazwę restauracji.

Odłożył słuchawkę, ubrał się w marynarkę, i zszedł na dół. Wesley stał pośrodku salonu i rozglądał się dookoła.

- Wiesz - powiedział szczerząc zęby w uśmiechu - tak właśnie sobie wyobrażam prawdziwie chrześcijański dom.

Kiedy szli Trzecią Avenue do restauracji, Rudolf zauważył, że Wesley chodzi bardzo podobnie jak Tom, niemal tak samo się garbi i ostrzegawczo kołysze ramionami. Kiedy obaj z Tomem byli młodzi, Rudolf podejrzewał, że jest to świadoma poza, mająca reklamować niebezpiecznego i drapieżnego samca na wolności, którego należy unikać. Później, już jako człowiek dorosły, Rudolf widział w sposobie chodzenia brata metodę unikania bólu. Sygnał, że chce, by świat zostawił go w spokoju.

Sposób poruszania się Rudolfa, płynny, powolny, ze sztywnymi ramionami, był wypracowanym krokiem, który opanował jako młodzieniec, sądząc, że jest to sposób poruszania się charakteryzujący dżentelmena, członka Ivy League. Nie dbał I teraz o to, by wyglądać na dżentelmena, miał też do czynienia w interesach z tyloma członkami Ivy League, że nie zależało mu na tym, by brano go za jednego z nich. Ale ten sposób chodzenia był teraz częścią jego osobowości. Gdyby go teraz zmienił, byłaby to poza.

Kiedy powiedział Wesleyowi, że Gretchen zje z nimi kolację, twarz chłopca rozjaśniła się i wykrzyknął:

- To wspaniale. Ona jest pierwszorzędną, prawdziwą damą. Jakże różni się od tych rozmaitych dam, z którymi musieliśmy radzić sobie na statku. - Pokręcił głową ubawiony. - Forsa wyłaziła im uszami, cycki pokazywały dzień i noc, a każdego traktowały jak szmatę. - Dwa piwa wzbogaciły jego słownik. - Wiesz, zastanawiam się czasami, jak to się dzieje, że takie baby, które przez całe życie nie kiwnęły palcem, zachowują się, jakby do nich należał cały ten przeklęty świat.

- Ćwiczą przed lustrem - powiedział Rudolf.

- Ćwiczą przed lustrem. - Wesley się roześmiał. - Muszę to zapamiętać. Ciocia Gretchen pracuje, prawda?

- Bardzo ciężko.

- I to jest chyba przyczyna. Ten, kto nie pracuje, jest po prostu gównem. Nie masz mi

za złe, że się tak wyrażam? - zapytał zaniepokojony.

- Nie.

- Ojciec miał raczej niewyparzony język. Mówił, że nie lubi ludzi, którzy wysławiają się tak, jakby mieli kotwicę w zadku. Mówił, że jest różnica między używaniem słów nieprzyzwoitych a mówieniem plugastw.

- Chyba coś w tym jest. - Rudolf nigdy nie przewyciężył swojej młodzieńczej awersji do przekleństw, zawsze starannie cenzurował swoje wypowiedzi, i nagle zaczął się zastanawiać, czy brat włączył również i jego do ludzi, którzy mówią, jakby mieli w tyłku kotwicę.

- Wiesz - kontynuował Wesley - Króliczek też uważał, że twoja siostra jest osobą szczególną. Powiedział mi, że ty powinieneś się ożenić z kimś takim jak ona.

- To byłoby dość trudne, zważywszy, że jesteśmy rodzeństwem, a ja nie jestem egipskim faraonem.

- Co to takiego?

- Przepraszam - powiedział Rudolf. Zmieszanie (a może zazdrość?) wobec nieukrywanego podziwu Wesleya dla jego siostry sprawiło, że podjął dość pedantyczną samoobronę. - Taki zwyczaj panował w starożytnym Egipcie w rodzinach faraonów.

- Rozumiem. Nie można mnie chyba nazwać człowiekiem starannie wykształconym.

- Jesteś jeszcze młody.

- Tak. - Wesley zadumał się nad swoją młodością:

Rudolf był pewien, że chłopak miał dobre zadatki. Było więc rzeczą karygodną, że prawo dało Kralerom możliwość ich zniszczenia. Rano zobaczy się z Johnnym Heathem, kiedy Johnny przyjedzie z żoną, żeby zabrać jego i Enid do Montauk. Jeszcze raz zapyta Johnny'ego, czy nie ma jakiegoś prawnego sposobu wyrwania chłopca ze szponów matki.

- Skoro jesteśmy przy edukacji. Czy wybierasz się do college'u?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Matka twierdzi, że byłyby to zmarnowane pieniądze. Dużo czytam, ale nie to, co mi polecają w szkole. Interesowałem się trochę mormonami. Chciałem wiedzieć, czy matka i Kraler są tacy dlatego, że są mormonami, czy po prostu dlatego, że jest to matka i Kraler.

- Roześmiał się. - Teraz widzę to tak: od początku byli strasznymi ludźmi, a religia wydobyła z nich to, co najgorsze. Jednak - Wesley spoważniał - to bardzo dziwna religia. Mormoni na pewno byli dzielnymi ludźmi, walczyli z całym Stanami i tak dalej, jeździli furgonami przez Amerykę, osiedlali się na pustyni i jak mówią, uczynili ją kwitnącą. Ale te wszystkie żony! Kiedy patrzę na matkę, to przysięgam, że się zastanawiam, jak w ogóle

komukolwiek może wpaść do głowy myśl o ożenku. Wystarczy jej posłuchać przez dziesięć minut, by dojść do wniosku, że jedna żona to akurat o jedną żonę za dużo. Małżeństwo... - Wesley nachmurzył się. - Choćby w naszej rodzinie. Ty się rozwiodłeś, ciocia Gretchen się rozwiodła, ojciec... Zadaję sobie pytanie: Co to wszystko znaczy?

- Nie jesteś pierwszym mężczyzną, który sobie zadaje takie pytanie. Może to wina czasów, w jakich żyjemy? Dostosowujemy się nawzajem do swoich nowych pozycji, jak by to określił socjolog, a może jeszcze nie jesteśmy do tego gotowi.

- Jest w szkole dziewczyna - Wesley znów się nachmurzył - śliczna jak brzoskwinia, starsza ode mnie. Ja... no... zabawiałem się z nią trochę na tylnym siedzeniu samochodu i w jej własnym domu, kiedy rodzice wychodzili... kilkakrotnie... i zaczęła mówić o małżeństwie. Nie mogłem jej oderwać od tego tematu. Po prostu przestałem się z nią widywać. Masz zamiar jeszcze raz się ożenić?

- Przyjrzał się badawczo Rudolfowi, jakby nasłuchując odgłosu weselnych dzwonów.

- Trudno powiedzieć. W tej chwili nie mam żadnych planów.

- Religia to zabawna rzecz - powiedział gwałtownie Wesley, jakby ta wymiana zdań o małżeństwie zmieszała go i chciał jak najprędzej zmienić temat. - Chcę wierzyć w Boga - powiedział żarliwie. - W końcu musiało być coś, co uruchomiło cały ten kram. To znaczy, jak się tu znaleźliśmy, co tutaj robimy, jak to wszystko działa, skąd mamy powietrze do oddychania, wodę do picia, pożywienie. W ostatnich miesiącach przeczytałem całą Biblię. Nie ma tam odpowiedzi, mówię ci, przynajmniej dla mnie.

Kochany bratanku, miał ochotę powiedzieć Rudolf, twój wuj próbował tego przed tobą, kiedy miał lat szesnaście. I nie znalazł żadnej odpowiedzi.

- W co mamy wierzyć? - zapytał Wesley. - Czy wierzysz w te miedziane tablice, które według mormonów znalazł Joseph Smiths w głębi stanu Nowy Jork i nigdy nie pokazał ich nikomu? Jak można przypuszczać, że ludzie uwierzą w coś takiego?

- No, Mojżesz zszedł z góry Synaj z dziesięcioma przykazaniami wypisanymi w kamieniu przez Boga - powiedział Rudolf, czując wyraźną ulgę, że Wesley nie zapytał o jego własny ukryty brak wiary. - Wielu ludzi wierzyło w tę historię przez tysiące lat.

- A ty? Chodzi mi o to, czy ty w to wierzysz?

- Nie.

- W szkole też opowiadają ci takie historie, przy których masz ochotę głośno się roześmiać. Przez całe godziny próbują ci wmówić, że biali i czarni to jedno i to samo, a wystarczy tylko wyjść za drzwi i pójść jedną przecznicę dalej, żeby się przekonać, że to nie jest tak. We Francji wyglądało to inaczej. A może ja byłem inny we Francji? We Francji

dawałem sobie radę doskonale, mimo trudności językowych, podczas gdy w Indianapolis... -
Wzruszył ramionami. - Większość nauczycieli wydaje mi się do niczego.

Jeżeli nie podstawiają akurat stołków sobie nawzajem, poświęcają czas głównie na próby powstrzymania uczniów od wrzeszczenia w klasie i obrzucania się oślinionymi kulkami papieru. Jeżeli w college'u jest podobnie, to pieprzę. - Spojrzał pytająco na Rudolfa. - Co wuj myśli o college'u? To znaczy o mnie w college'u?

- Wszystko zależy od tego, co chcesz robić dalej - odpowiedział ostrożnie Rudolf. Wzruszony był naiwną gadaniną chłopca i jego ufnością, że wuj nie zdradzi go w świecie dorosłych.

- Kto, u diabła, może to wiedzieć? - wykrzyknął Wesley. - Mam pewne plany, ale nie jestem jeszcze gotów, by komukolwiek o nich opowiadać. - Ton głosu chłopca stał się nagle zimny.

- Na przykład - mówił Rudolf nie zwracając uwagi na zmianę zachowania Wesleya - wiesz coś niecoś o morzu. Lubisz morze, prawda?

- Lubię - powiedział z goryczą Wesley.

- Może będziesz chciał pracować w marynarce handlowej.

- To pieskie życie, jak twierdzi Króliczek.

- Niekoniecznie. Chyba on nie miał takiego pieskiego życia na „Klotyldzie”?

- Nie.

- Na pewno nie jest pieskie, jeśli jesteś oficerem na porządnym statku, jeśli masz być kapitanem...

- Chyba nie.

- Tu, w Nowym Jorku, jest akademia marynarki handlowej. Po jej skończeniu od razu zostajesz oficerem.

- Aha... - Wesley się zadumał. - Może powinienem się nad tym zastanowić.

- Popytam się i napiszę ci, czego się dowiedziałem. Pamiętaj, dowiaduj się o listy na poste restante.

Kiedy przed zamówieniem kolacji czekali na przyjscie Gretchen, Rudolf wypił martini. Była to odpowiednia pora na wyjaśnienie Wesleyowi spraw spadkowych.

- W każdym razie - tłumaczył chłopcu - po zapłaceniu podatków i honorariów adwokatów zostanie do podziału trochę więcej niż sto tysięcy dolarów. - Nie chciał, żeby Wesley czy Kate dowiedzieli się kiedykolwiek, że to właśnie była suma, jaką zapłacił za „Klotyldę” po to, by w ogóle można było rozpocząć likwidację masy spadkowej. - Jedna

trzecia dla Kate, jedna trzecia w depozyt dla jej dziecka, z Kate jako egzekutorką - nie powiedział chłopcu o całych godzinach spędzonych na utarczkach prawnych, które doprowadziły do osiągnięcia takiego kompromisu. Kralerowie zacięcie walczyli, żeby Teresa, jako matka Wesleya, została administratorką całej masy spadkowej. Fakt, że Kate nie była obywatelką amerykańską i mieszkała na stałe w Anglii, dawał pewne podstawy prawne tym roszczeniom. Heath musiał zagrozić wyciągnięciem dwóch wyroków skazujących Teresę za prostytutkę i rozpoczęciem postępowania, w wyniku którego uznano by ją za niezdolną - pod względem moralnym - do sprawowania opieki nad Wesleyem, choć była jego naturalną matką. Rudolf doskonale zdawał sobie sprawę, że ze względu na Wesleya nigdy nie dopuściłby do podjęcia przez Heatha takiej akcji, jednak groźby poskutkowały i Kralerowie w końcu poddali się, wyrażając zgodę na to, by administratorem całej masy spadkowej został Rudolf. Znaczyło to, że musiał co miesiąc odpowiadać na długą listę złośliwych pytań o zużytkowanie każdego pensa, który przechodził przez jego ręce. Ponadto Kralerowie bezustannie grozili wszczęciem procesu za nieprawidłowe czy wręcz kryminalne postępowanie w administrowaniu interesami Wesleya.

Rudolf nie przestawał się zastanawiać, jaki to zły duch dotknął ramienia Toma w dniu, w którym poprosił, by ta kobieta została jego żoną.

- W ten sposób blisko jedna trzecia przypada... - Rudolf nagle urwał. - Wesley, czy ty słuchasz?

- Oczywiście - chłopak zgłodniałym wzrokiem wiódł za kelnerem, który przechodził koło ich stolika z wielkim befsztykiem na tacy.

Jednego z całą pewnością nie można zarzucić Wesleyowi, pomyślał Rudolf: nie jest zafascynowany pieniędzmi.

- Jak mówiłem - kontynuował Rudolf - jest około trzydziestu trzech tysięcy dolarów, które zostaną złożone jako fundusz powierniczy na twoje nazwisko. To powinno przynosić około tysiąca dziewięciuset dolarów rocznie, które matka ma wydawać na twoje utrzymanie. Kiedy skończysz osiemnaście lat, dostaniesz całą sumę i będziesz mógł wykorzystać ją według własnego uznania. Radzę, żebyś zostawił to jako fundusz powierniczy. Dochód nie będzie duży, ale pomoże ci opłacić college, jeżeli chcesz się uczyć. Czy słuchasz mnie, Wesley?

Chłopiec znów nie uważał. Patrzył z nieukrywanym podziwem na imponującą blondynkę w nurkach, która weszła na salę w towarzystwie dwóch brzuchatych siwych panów w białych krawatach.

Rudolf wiedział, że była to ulubiona restauracja ważniejszych członków mafii, a

dziewczyny, które tu przychodziły, uwieszone u ich ramion, stanowiły poważną konkurencję dobrej kuchni.

- Wesley - powiedział Rudolf błagalnie - mówię o pieniądzach.

- Wiem - Wesley usprawiedliwiał się. - Ale, do diabła, to jest coś!

- To przychodzi razem z pieniędzmi, Wesley. - Rudolf uważał, że jako wuj ma obowiązek zaszcześcić chłopcu prawdziwe poczucie wartości. - Tysiąc dziewięćset dolarów rocznie może nie znaczy dla ciebie dużo, ale kiedy byłem w twoim wieku... - Teraz zdał sobie sprawę, że jeśli dokończy to zdanie, zabrzmiałoby ono pompatycznie. - Ach, do diabła z tym. Napiszę ci wszystko w liście.

W tym momencie zobaczył wchodzącą Gretchen i pomachał do niej.

Obydwaj wstali, kiedy podeszła do stolika. Cmoknęła Rudolfa w policzek, a potem zarzuciła ręce na szyję Wesleya i ucałowała go mocno.

- Jak się cieszę, że cię widzę. - Ku zdumieniu Rudolfa jej głos drżał. Poczł dla niej litość, kiedy tak przyglądał się im obojgu.

Gretchen wpatrywała się w twarz chłopca, walcząc z uczuciem, którego Rudolf nie potrafił zidentyfikować. Może myślała o swoim własnym synu, straconym dla niej, odrzucającym ją za każdym razem kiedy napisała, że chciałaby odwiedzić go w Brukseli, wynajdującym powody, dla których nie powinna przyjeżdżać. - Wyglądasz wspaniale - powiedziała Gretchen, nadal tuląc do siebie chłopca. - Chociaż przydałby ci się nowy garnitur.

Roześmieli się obydwaj.

- Jeśli zostaniesz do poniedziałku - kontynuowała Gretchen puszczając wreszcie Wesleya i siadając przy stole - pójdziemy do Saksa i zobaczymy, czy mają coś, co będzie pasowało na ciebie.

- Przykro mi - powiedział Wesley, kiedy obydwaj z Rudolfem usiedli - ale jutro muszę już wracać.

- Przyjechałeś tu tylko na jeden dzień? - zapytała Gretchen z niedowierzaniem.

- To bardzo zajęty człowiek - wyjaśnił Rudolf. Nie miał ochoty słuchać wybuchów gniewu Gretchen, do których doszłoby niewątpliwie, gdyby tylko usłyszała, że w chrześcijańskich umysłach Krakerów dawanie chłopcu pieniędzy uzależnione jest od chodzenia do kościoła. - Zamówmy coś. Umieram z głodu.

W czasie posiłku Wesley zaczął pytać o ojca.

- Mówiłem wujkowi Rudiemu już w domu - powiedział pochłaniając befsztyk -

dlaczego chcę wiedzieć, dlaczego muszę wiedzieć, jaki był mój stary. Chodzi mi o to, jaki był naprawdę. Opowiedział mi wiele, zanim umarł, a Króliczek trochę dodał... ale dotychczas jakoś mi się to nie wiąże w całość. To znaczy, ojciec dla mnie składa się z kawałków i fragmentów. Wszystkie te historie o tym, jaki postrach siał jako chłopak i jako młody człowiek, w jakie się pakował kłopoty, jak ludzie go nienawidzili. Jak on nienawidził ludzi. Ciebie i wuja Rudiego też... - Spojrzał poważnie najpierw na Gretchen, a potem na Rudolfa. - Ale kiedy zobaczyłem go razem z tobą, wtedy już nie czułem do ciebie nienawiści. On... no... chyba muszę to powiedzieć... on ciebie kochał. Powiedział mi, że przez większą część życia był nieszczęśliwy, a potem... sam mi to powiedział... nauczył się tracić nieprzyjaciół i być szczęśliwym.

No więc ja też chcę się nauczyć być szczęśliwym. - Teraz chłopiec wyraźnie płakał, nie przestając przez cały czas polykać ogromnych kęsów befsztyka, jakby od tygodni nic nie jadł.

- Najważniejszy w tej sprawie - Gretchen odłożyła nóż i widelec i mówiła wolno - jest Rudi. Nie masz mi za złe, Rudi, że to mówię?

- Mów, co chcesz. Jeśli uznam, że nie masz racji, będę prostował.

- Innym razem może powie chłopcu, kiedy i jak jego ojciec nauczył się być szczęśliwy. W dniu, w którym dowiedział się, że Rudolf bez jego wiedzy zainwestował pięć tysięcy dolarów, które Tom zdobył szantażując prawnika kleptomana w Bostonie. Tom nazwał to zwrotem okupu, bo taką samą sumę ich ojciec musiał zapłacić, żeby wyciągnąć Toma z więzienia, kiedy groziło mu oskarżenie o gwałt.

Tom cisnął studolarowe banknoty na hotelowe łóżko i powiedział:

„Chcę spłacić tę naszą francowatą rodzinę, ot co. Możesz się nimi podetrzeć. Wydać na dziwki. Podarować na swój ulubiony cel dobroczynny. W każdym razie nie wyjdę stąd z tymi pieniędzmi.”

Pięć tysięcy dolarów, które dzięki starannej pielęgnacji urosło do sześćdziesięciu tysięcy przez te lata, kiedy Rudolf nie wiedział, co się z Tomem dzieje, czy w ogóle żyje, i które w końcu pozwoliły Tomowi kupić statek i nazwać go „Klotyldą”. „Twój ojciec - powie może kiedyś chłopcu - stał się szczęśliwy dzięki przestępstwu, szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i pieniądзом, i był na tyle sprytny, by wykorzystać to w jedyny możliwy sposób, który mógł go ocalić.” Nie wierzył, żeby powiedzenie tego mogło wiele pomóc Wesleyowi. Wydawało mu się, że Wesley nie ma skłonności do popełniania przestępstw; jak dotąd, miał raczej pecha, a zamiłowanie do pieniędzy było mu nie znane.

- Rudi - mówiła Gretchen - był ulubieńcem rodziny. Jeśli moi rodzice zdolni byli w

ogóle do miłości, była przeznaczona dla niego. Nie twierdzą, że na to nie zasługiwał: to on właśnie pomagał w sklepie, on dostawał najlepsze stopnie w szkole, on był gwiazdą drużyny lekkoatletycznej, od niego oczekiwano, że pójdzie do college'u. On dostawał prezenty, obchodziło się jego urodziny, tylko dla niego była świeżo wyprasowana koszula do wyjścia, on dostał drogą trąbkę, żeby mógł grać w orkiestrze. W niego zainwestowano wszystkie nadzieje rodziny. Jeśli chodzi o mnie i o Toma... - Wzruszyła ramionami. - My byliśmy wyrzutkami. Nie było mowy o college'u dla mnie. Kiedy skończyłam szkołę, wysłano mnie do pracy i musiałam oddawać niemal całą moją pensję do domu. Kiedy Rudolf umawiał się z dziewczyną, matka osobiście troszczyła się o to, żeby miał kieszonkowe i mógł pannie coś zafundować. Kiedy ja miałam romans, nazwała mnie dziwką. Sama słyszałam, jak nasi rodzice ze sto razy przepowiadali, że Tom skończy w więzieniu.

Kiedy zwracali się do niego, a robili to możliwie najrzadziej, po prostu warczeli. Myślę, że w końcu powiedział sobie: „Dobra, skoro myślicie, że jestem taki, no to taki będę.” Szczerze mówiąc, bałam się go panicznie. Miał w sobie jakąś przerażającą gwałtowność.

Unikałam go. Kiedy szłam ulicą z którymś z moich przyjaciół, udawałam, że nie dostrzegam Toma, żeby nie musiała go przedstawiać. Ucieszyłam się, kiedy wyjechał z miasta i zniknął mi z oczu. Przez całe lata nawet o nim nie pomyślałam. Teraz zdaję sobie sprawę, że nie miałam racji. Przynajmniej my oboje powinniśmy byli się jakoś połączyć, stworzyć wspólny front przeciwko reszcie rodziny. Wtedy byłam zbyt młoda, żeby to sobie uświadomić, a poza tym bałam się, że on ściągnie mnie do swojego poziomu. Byłam snobką, chociaż nie w tym stopniu co Rudi, i uważałam Toma za niebezpiecznego prowincjusza. Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku i przez jakiś czas próbowałam swych sił jako aktorka, a potem zaczęłam pisać do czasopism, skręcałam się ze strachu, że Tom mnie odnajdzie i stracę przez niego wszystkich przyjaciół. I wreszcie go zobaczyłam. Rudi zaprowadził mnie raz na jego walkę; zarówno Tom, jak i twoja matka zrobili na mnie wyjątkowo nieprzyjemne wrażenie. Wydawało mi się, że pochodzą z innego świata. Straszego świata. Zachowałam się wobec nich okropnie i uciekłam. Wstydziłam się, że jestem w jakiś sposób z nimi powiązana. Wszystko to może być dla ciebie zbyt bolesne, Wesley...

Wesley skinął głową.

- Jest bolesne. Ale pytałem cię. Nie chcę żadnych bajeczek.

Gretchen zwróciła się do Rudolfa.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci przykrości, Rudi, całą tą historyjką o szczęśliwym wspólnym dzieciństwie.

- Nie - odpowiedział Rudolf. - „Piękno jest prawdą, prawda jest pięknem”, resztę

znacie. Byłem zarozumiałym nudziarzem, Wesley - mówił rozdrapując stare rany - jak się tego pewnie domyślasz. W istocie nie miałbym ci nawet za złe, gdybyś i teraz tak pomyślał.

Nie przypuszczam, żeby twój ojciec użył tego słowa. Powiedziałby, gdyby kiedykolwiek się nad tym zastanowił, że wszystko, co robiłem, było udawaniem, nie wobec mnie samego, ale z myślą o oddziaływaniu na innych ludzi, przeważnie starszych, wpływowych ludzi. Kiedy patrzę na to teraz, przychodzi mi na myśl określenie: zarozumiały nudziarz. Ale wtedy taki sposób postępowania stwarzał mi możliwość ucieczki ze świata, w którym zamknięci zostali mój ojciec i matka. - Roześmiał się ponuro. - niesprawiedliwość polega na tym, że to podziałało. Rzeczywiście uciekłem.

- Oceniasz się zbyt surowo, wujku Rudi - powiedział spokojnie Wesley. - Czemu od czasu do czasu nie potraktujesz się ulgowo?

Ojciec powiedział, że uratowałeś mu życie.

- Naprawdę? - zapytał Rudolf zaskoczony. - Nigdy mi tego nie mówił.

- Nie miał zwyczaju chwalić ludzi prosto w oczy - powiedział Wesley. - Mnie w każdym razie zbyt nie chwalił... - Uśmiechnął się. Miał równe białe zęby i ciepły uśmiech, który całkowicie odmieniał jego ostrą, nachmurzoną twarz, nadając jej wygląd chłopięcy i otwarty. Rudolf chciał, żeby chłopiec uśmiechał się częściej. - Nigdy nie wychwalał też Króliczka i Kate, z wyjątkiem jej kuchni, ale to był raczej żart, zważywszy, że Kate jest Angielką. Nawet wtedy, kiedy zacząłem go poznawać, kiedy był zupełnie sam i nie podejrzewał, że ktoś go obserwuje, miał w sobie coś smutnego, jak gdyby przydarzyło mu się w życiu wiele złych rzeczy, o których nie może zapomnieć. Ale naprawdę powiedział, że uratowałeś mu życie.

- Dałem mu tylko trochę pieniędzy, które mu się należały - powiedział Rudolf. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że Gretchen próbowała ci wytłumaczyć, dlaczego twój ojciec jako młody człowiek był właśnie taki... że takim zrobiła go rodzina.

- Tak - powiedział Wesley. - Rozumiem to.

- To jest prawdą - kontynuował Rudolf - a równocześnie nie jest.

Jak zawsze, istnieją pewne motywacje. To nie moja wina, że byłem najstarszym synem, że mój ojciec był niewykształconym i gwałtownym mężczyzną z ohydą przeszłością, za którą nie ponosił odpowiedzialności. Nie moja wina, że matka była zimną, rozhisteryzowaną kobietą z idiotycznymi aspiracjami do eleganckiego świata. Nie moja wina, że Gretchen była sentymentalną, pełną egoizmu kretynką... Wybacz mi - zwrócił się do Gretchen - nie przedzieram się przez to wszystko ze względu na ciebie czy na mnie. Chodzi o Wesleya.

- Rozumiem - powiedziała Gretchen pochylona nad jedzeniem z na wpół ukrytą twarzą.

- W końcu - kontynuował Rudolf - wszyscy troje mieliśmy te same geny, ulegaliśmy tym samym wpływom. Może dlatego właśnie Gretchen powiedziała teraz, że twój ojciec był przerażający. Bała się, ponieważ to, co dostrzegała w nim, widziała także u siebie, broniła się przed tym. Ja widziałem w nim odbicie naszego ojca, dzikiego mężczyzny przywiązanego do znieawidzonej pracy, do tego stopnia ogarniętego patologicznym lękiem przed zakończeniem życia w nędzy, że wolał w końcu popełnić samobójstwo niż stanąć przed taką perspektywą. Ja uciekłem przed tym na swój własny sposób. W stronę pieniędzy, poważania...

Wesley skinął poważnie głową.

- Może to dobrze, że chłopak Kralera jest w Wietnamie. Kto wie, jaki wpływ wywarłoby to na mnie, gdybym musiał codziennie jadać z nim kolację.

- Przypadek twojego ojca nie był wyjątkowy: Nie on pierwszy urodził się jako młodszy syn - mówił Rudolf - zdarzały się też gorsze rodziny, niezwykle było tylko to, że próbował zniszczyć wszystko, czego dotknął. Przykro mi to mówić, Wesley, ale do dnia pogrzebu naszej matki byłem przekonany, że twój ojciec urodził się ze skłonnością do niszczenia i że ta skłonność sprawiała mu ogromną przyjemność. Do niszczenia wszelkiego rodzaju, łącznie z samozniszczeniem.

- I tak się w końcu stało - powiedział Wesley z goryczą.

- To, co zrobił tamtej nocy w Cannes - mówił Rudolf - było godne podziwu. Według jego kryteriów. Zresztą, prawdę mówiąc, według moich także. Nie możesz o tym zapominać.

- Postaram się - powiedział Wesley. - Ale to nie jest łatwe. Naprawdę myślę, że kierowała nim próżność. Głupia próżność macho.

Rudolf westchnął.

- Myślę, że powiedzieliśmy ci teraz wszystko, co mogliśmy, tak uczciwie, jak na to nas było stać. Anegdoty zostawimy sobie na kiedy indziej. Musisz być zmęczony. Wyślę ci listę nazwisk osób, z którymi może chciałbyś porozmawiać i które być może pomogą ci bardziej niż my. Skończ kolację i podwieziemy cię do YMCA.

- Nie ma potrzeby - uciał krótko Wesley. - Pójdę przez park.

- Nikt w Nowym Jorku nie chodzi nocą sam po parku - wykrzyknęła Gretchen.

Wesley spojrzał na nią zimno.

- Ja chodzę.

O Chryste, pomyślał Rudolf, patrząc, jak chłopak kończy ostatni kawałek befsztyka,

on wygląda i mówi zupełnie jak jego ojciec.

Niech Bóg ma go w swojej opiece.

ROZDZIAŁ IV

Rudolf stał na chodniku z Enid i jej opiekunką, czekając w porannym słońcu, aż Johnny Heath i jego żona podjadą Lincolnem Continentalem, by zabrać Rudolfa i Enid do Montauk. Niania trzymała walizkę. Wyjeżdżała na tydzień do rodziny w New Jersey.

Dziwnym trafem, rozmyślał leniwie Rudolf, opiekunki do dzieci jakoś nigdy nie mają rodzin mieszkających w tym samym stanie, w którym pracują. Enid dźwiżyła jakieś podręczniki i zeszyty z ćwiczeniami, które miała przerobić w czasie wakacji. Niania zapakowała jej torbę. Rudolf miał podróżny neseser z przyborami do golenia, piżamą i czystą koszulą.

Poprzedniego wieczora, kiedy pożegnali się z Wesleyem, Rudolf odprowadził Gretchen do domu. Zapraszał, żeby pojechała z nim i z Heathami do Montauk. Spojrzała na niego dziwnie i wtedy przypomniał sobie, że miała kiedyś romans z Heathem.

- Chcesz mieć wielu świadków, kiedy spotykasz się ze swoją byłą żoną? - zapytała.

W rzeczywistości nie pomyślał o tym wcale, ale kiedy Gretchen mu przypomniała, uświadomił sobie, że siostra ma rację. Jean odwiedziła go raz z krzepką masażystką, którą zaangażowała w Reno jako swoją towarzyszkę, ale spotkanie okazało się bardzo nieudane, choć Jean była trzeźwa, rozsądna i uległa, nawet podczas zabawy z Enid. Mówiła, że prowadzi spokojne życie w niewielkim domu, jaki kupiła w Montauk. Meksyk się nie udał. Zdecydowała, że to klimat dla pijących, zbyt surowy na jej nerwy. Była kompletnie trzeźwa, jak wyznała z nieznacznym uśmiechem, i nawet zaczęła znów fotografować. Nie próbowała umieścić zdjęć w żadnym piśmie. Robiła je raczej dla siebie, dumna, że już jej się nie trzęsą ręce.

Pomimo deprymującej obecności masażystki, Jean znów tak bardzo przypominała mu kobietę, z którą się ożenił i którą kochał tyle lat - te same błyszczące włosy, delikatna różowa karnacja, świadcząca o zdrowiu i młodości - że zaczął się od nowa zastanawiać z niepokojem, czy postąpił słusznie, zgadzając się na rozwód. Jego uczucia zawierały domieszkę litości, ale była w nich także litość dla samego siebie. Kiedy przed kilkoma dniami Jean zadzwoniła, żeby zapytać, czy Enid mogłaby przyjechać do niej na tydzień, nie mógł odmówić.

Nie bał się o Enid, bał się o siebie, gdyby miał spędzić jakiś czas sam na sam z Jean w tym, co nazywała małym, przytulnym domkiem wypełnionym odgłosami ogromnego nieprzytulnego oceanu.

Jean zaproponowała mu pokój gościnny, on jednak zarezerwował sobie miejsce w pobliskim motelu. Po namyśle zaprosił także Heathów. Nie chciał, żeby wieczór przed

plonącym kominkiem w cichym domku i kojący szum morza kusił go wizją powrotu do życia rodzinnego.

Niech przeszłość pozostanie przeszłością. Stąd obecność Heathów.

Stąd obcesowe pytanie Gretchen.

- Nie potrzebuję żadnych świadków. Mamy z Johnnym wiele spraw do omówienia, a ja nie znoszę chodzić do jego biura.

- Rozumiem - powiedziała Gretchen bez przekonania i zmieniła temat. - Co sądzisz o Wesleyu?

- Myślący młody człowiek. Może zbyt... no... zamknięty w sobie. Co z niego wyrośnie, zależy od tego, czy wytrzyma ze swoją matką i jej mężem, do czasu gdy skończy osiemnaście lat.

- To piękny chłopak - powiedziała Gretchen. - Nie uważasz?

- Nie myślałem o tym.

- Wspaniała twarz do filmu. Ostre rysy, delikatny uśmiech, zadziwiająca powaga moralna, ciepłe spojrzenie.

- Może jesteś bardziej spostrzegawcza ode mnie. - Ta uwaga była jedyną odpowiedzią Rudolfa.

- Albo bardziej wrażliwa. - Gretchen się uśmiechnęła.

- Kiedy zadzwoniłaś do mnie, odniosłem wrażenie, że chciałabyś ze mną o czymś porozmawiać. Masz jakieś kłopoty?

- Nie większe niż zwykle. - Znów się uśmiechnęła. - Powiem ci o tym, jak wrócisz do miasta.

Przed domem Rudolf pocałował ją na dobranoc i obserwował, jak szła przez oświetlony hall, strzeżony przez portiera.

Wyglądała schludnie, odpowiedzialnie, pociągająco, jak osoba umiejąca sobie radzić. Czasami - pomyślał. Tylko czasami.

Podjechał Lincoln Continental. Johnny Heath siedział za kierownicą, obok jego żona Elaine. Niania pocałowała Enid na pożegnanie.

- Będziesz grzeczną dziewczynką, prawda? - zapytała.

- Nie. Będę strasznie niegrzeczną dziewczynką. - Enid głośno chichotała.

Rudolf się roześmiał i niania spojrzała na niego z wyrzutem.

- Przepraszam, Anno - powiedział przywołując na twarz powagę.

Elaine Heath wysiadła z samochodu, pomogła ulokować Enid na tylnym siedzeniu i sama usiadła obok niej. Była to wysoka, wspaniale zadbana kobieta o twardych,

inteligentnych oczach. Odpowiednia żona dla człowieka, który był współnikiem w jednej z najlepiej prosperujących firm na Wall Street. Heathowie nie mieli dzieci.

Rudolf usiadł koło Johnny'ego. Kiedy ruszali, Enid pomachała niani stojącej na chodniku.

- Nej, ho - wykrzyknął Johnny znad kierownicy - naprzód, na orgie w Montauk, na homary i rozbierane pikniki na białych plażach. - Twarz Johnny'ego była miękka i okrągła, oczy zwodniczo łagodne, ręce na kierownicy białe, z minimalną warstwą tłuszczu, brzuch pod kraciastą sportową marynarką stanowił ledwie zapowiedź tego, co ma nadejść. Johnny prowadził samochód dobrze i agresywnie. Inni kierowcy musieli respektować prawo pierwszeństwa Johnny Heatha, tak jak inni prawnicy musieli respektować jego wytrwałość i dążenie do celu na zebraniach zarządów czy przed trybunałem.

Rudolf niezbyt często widywał Heatha; odkąd Johnny się ożenił, jakoś się od siebie odsunęli, ilekroć jednak Rudolf spotkał starego przyjaciela po kilkumiesięcznym niewidzeniu, zawsze myślał bez żalu, że sam mógłby tak wyglądać.

Słyszał za sobą radosne paplanie dziecka. Słyszał, jak Elaine szepcze do ucha Enid coś, co małą rozśmiesza. Na pozór wydawałoby się, że Elaine nigdy nie przytuli dziecka, w obawie że jej piękny tweedowy kostium pogniecie się czy zabrudzi. Odwróciwszy się do tyłu Rudolf zauważył, że Enid targa nienaganną fryzurę Elaine, która śmieje się uszczęśliwiona. Nigdy nie można o nikim powiedzieć nic pewnego, pomyślał Rudolf, patrząc znów na drogę przed sobą. Przejeżdżali właśnie most Triborough; wzdłuż rzeki rozciągał się Nowy Jork, wieżowce, szkło, dym, stara, olbrzymia, nieznośna machina błyszcząca w porannym wiosennym słońcu. Tylko w niektórych momentach, w takich jak ten, kiedy widział miasto jako wielką, wyzywającą całość, której szorstkie, władcze piękno układało się w spoisty wzór, odczuwał Rudolf jakiś dreszcz, jakieś zadowolenie z poczucia przynależności do niego, jakich doznawał każdego dnia, gdy był młodszy.

W dole pod nimi na wartko płynącej rzece niewielki jachcik dzielnie pruł pod prąd. Być może, pomyślał Rudolf, tego lata popłynę do Włoch na pokładzie „Klotyldy”? Mogę przecież jakoś wykorzystać ten statek. Rozpoczęli już rejs do Portofino, ale nigdy tam nie dopłynęli. Trzeba rozpędzić duchy. Może namówi Jeanne, żeby na dwa tygodnie uciekła od męża i dzieci, i będzie kochał się z nią przy szybkości dwunastu węzłów i w cieplejszym klimacie, pił z karafki zimne miejscowe wino w kawiarenkach na liguryjskim wybrzeżu? Nie mogę dopuścić, abym się stał wyczerpanym starym człowiekiem. Fantasia Italiana.

Otrząsnął się ze swoich marzeń.

- Johnny, mówiłeś przez telefon, że chciałbyś ze mną porozmawiać. O czym?

- Mam klienta - zaczął Johnny. - Właściwie jest to martwy klient i trzeba ustalić masę spadkową. - Johnny, pomyślał złośliwie Rudolf, robi większe pieniądze na umarłych niż całe miasto grabarzy. Adwokaci. - Spadkobiercy się handryczą, jak na spadkobierców przystało - mówił Johnny. - Wiesz zresztą, jak to jest.

- Stało się to moją specjalnością - powiedział Rudolf.

- Żeby uniknąć procesu - kontynuował Johnny - część nieruchomości wystawiono na sprzedaż po bardzo przyzwoitej niskiej cenie. Wielkie ranczo w Nevadzie. Chodzi o zwykłe uniknięcie podatku dochodowego. Ale o tym nie muszę ci mówić.

- Nie.

- Nic nie robisz w Nowym Jorku - mówił Johnny. - Nie wyglądasz dobrze, a już na pewno nie wyglądasz na szczęśliwego. Zastanawiam się, czym się zajmujesz tak dzień po dniu.

- Gram na pianinie - wyjaśnił Rudolf.

- Nie widziałem ostatnio twego nazwiska na afiszach przed Carnegie Hall.

- Nie trać nadziei.

- Po prostu pogrążasz się w marazmie - powiedział Johnny. - Wypadasz z obiegu. Chryste, nie widać cię ostatnio nawet na przyjęciach.

- A jakie są przyjęcia w Nevadzie?

- Złoty skautów - powiedział zaczepnie Johnny. - To jeden z najszybciej rosnących stanów. Tuziny ludzi stają się milionerami.

Żeby ci udowodnić, że nie żartuję, jeżeli się zgodzisz, przystąpię do spółki, załatwię długi hipoteczne, pomogę ci znaleźć ludzi, którzy poprowadzą ranczo. Nie jest to z mojej strony altruizm, stary kumplu, mnie też przyda się miejsce, gdzie mógłbym się ukryć od czasu do czasu. A także mały azyl podatkowy na złotym zachodzie. Nie widziałem tego rancza, ale widziałem księgi. Nadaje się do życia. A przy odrobinie rozsądnych dodatkowych inwestycji nawet do luksusowego życia. Jest tam wspaniały duży dom, który po niewielkich przeróbkach będzie wyglądał jak marzenie. Trudno o lepsze miejsce do wychowywania dzieci: nieskażona atmosfera, z dala od narkotyków, o setki mil od najbliższego miasta. A polityka jest tam bezbłędnie kontrolowana, po prostu misterna, spoista robota, będziesz mógł się w nią wślizgnąć jak ryba do wody. Nigdy nie słyszeli tam o Whitby w stanie Nowy Jork. Tak czy inaczej zresztą, teraz to wszystko poszło już w zapomnienie, nawet w Whitby, nawet mimo tego przekłętą artykułu w „Timie”. Za dziesięć lat skończysz jako senator. Rudi, czy ty mnie słuchasz?

- Oczywiście. - Tak naprawdę przez kilka ostatnich sekund nie słuchał zbyt uważnie.

Zaintrygowało go stwierdzenie Johnny'ego, że to dobre miejsce do wychowywania dzieci. Musiał oczywiście troszczyć się o Enid, ale byli jeszcze Wesley i Billy. Ciało i krew. Martwił się o nich. Billy nie potrafił nigdzie zagrać miejsca. Nawet jako uczeń w szkole był cyniczny, pozbawiony ambicji, szydłszy, istny wyrzutek społeczeństwa. Wesley, o ile Rudolf mógł się zorientować, nie miał żadnych szczególnych uzdolnień, i jest mało prawdopodobne, by kiedykolwiek wykształcenie mogło poprawić jego szanse na uczciwe życie. Na nowoczesnym ranczo z odwiecznymi sprawami: suszy, deszczu i urodzaju, a także nowszymi potrzebami: umiejętnością sprawnego obchodzenia się z maszynami, pracownikami, problemami rynku, byłaby dla nich obydwu wystarczająca ilość pracy, by ustrzec ich od kłopotów. W końcu założyliby własne rodziny. Istniała zawsze możliwość, że on sam ożeni się ponownie (dlaczego nie?) i będzie miał więcej dzieci. - Marzenie patriarchy - powiedział na głos.

- O co chodzi? - zapytał Heath, zaintrygowany.

- Nic. Mówiłem do siebie. Widziałem się w otoczeniu mojego stada i mojego potomstwa.

- Nie będziesz tam odcięty od świata - wyjaśniał Johnny zrozumiałszy fałszywie intencje wypowiedzi Rudolfa, którą uznał za ironiczną. - Na terenie posiadłości jest lądowisko. Możesz mieć własny samolot.

- Amerykańskie marzenie - powiedział Rudolf. - Lądowisko na terenie posiadłości.

- A cóż jest złego w amerykańskim marzeniu? - zapytał Johnny. - Ruchliwość nie należy do grzechów powszednich. Kiedy tylko zechcesz, możesz być w ciągu godziny w Reno czy San Francisco. Co o tym myślisz? To nie jest przejście w stan spoczynku, choć ma wiele zalet tej sytuacji. To jest ponowne podjęcie działania, nowego rodzaju działania...

- Pomyślę o tym - powiedział Rudolf.

- Dlaczego nie zaplanujesz, dlaczego obaj nie zaplanujemy, że polecimy w przyszłym tygodniu, żeby rzucić na to okiem? - zapytał Johnny. - To nam nie może zaszkodzić. A dla mnie będzie dobrą wymówką, żeby się wyrwać z tego cholernego biura. Do diabła, nawet jeśli ta podróż okaże się bezużyteczna, będą to wakacje. Możesz nawet zabrać z sobą pianino.

Przycięzka ironia, pomyślał Rudolf. Wiedział, że Johnny uważał jego wycofanie się z czynnego życia za rodzaj kapryśnej aberracji, za przedwczesny objaw męskiego klimakterium. Johnny przejdzie w stan spoczynku prosto na cmentarz. Razem wspinali się na szczyt, razem zrobili dużo pieniędzy, nigdy się nawzajem nie oszukali, rozumieli się doskonale i Rudolf zdawał sobie sprawę, że dla Johnny'ego ponowne włączenie go do działania byłoby aktem przypieczętowującym tę przyjaźń.

- W porządku - powiedział Rudolf. - Zawsze marzyłem o tym, żeby jeździć konno po pustyni.

- To nie jest pustynia. - Heath był rozdrażniony. - W tej okolicy jest mnóstwo rancz. Wszystko u podnóża gór. A przez teren posiadłości przepływa strumyk pełen pstrągów.

- W tym tygodniu, kiedy Enid będzie u Jean, będę miał kilka wolnych dni - powiedział Rudolf. - A ty możesz się wyrwać?

- Kupię bilety - odpowiedział Johnny.

Kiedy przejeżdżali w szybkim tempie obok nie kończących się cmentarzy Long Island, gdzie pokolenia nowojorczyków grzebały swoich zmarłych, Rudolf zamknął oczy i marzył o płaskowyżach i górach srebrnego stanu Nevada.

Gretchen zwykle lubiła pracować w soboty, kiedy były tylko we dwie z asystentką Idą Cohen w pokoju montażowym, same w opustoszałym, cichym budynku. Dzisiaj jednak praca nie sprawiała jej żadnej przyjemności, co Ida wywnioskować mogła ze sposobu, w jaki Gretchen przesuwała w tę i z powrotem taśmy na stole montażowym, przytrzymując z irytacją film rękami w białych rękawiczkach, i jak opuszczała w dół tnącą dźwignię z ostrym trzaskiem, to pogwizdując ponuro, to wzdychając z desperacją. Ida wiedziała, jaka jest przyczyna złego nastroju Gretchen tego ranka. Reżyser Evans Kinsella powrócił do swoich starych sztuczek, kręcąc leniwie, niespójnie, walcząc z kacem i pozwalając aktorom na wszystko w przekonaniu, że Gretchen nada jakiś sens zmarnowanym kilometrom taśmy, którymi ją zarzucił. Ida była także w pokoju poprzedniego dnia, kiedy Kinsella zadzwonił, żeby powiedzieć, iż nie może zabrać Gretchen na kolację, tak jak obiecał.

Ida, absolutnie lojalna wobec kobiety, z którą pracowała, nienawidziła teraz Kinselli z intensywnością uczuć równą tej, jaką rezerwowała wyłącznie dla sprawy wyzwolenia kobiet. Na zebrania tego ruchu uczęszczała z religijnym wprost zaangażowaniem, wygłaszała płomienne i niezbyt składne mowy. Ida była gruba i niska, posunęła się nawet do tego, że zrezygnowała z noszenia stanika, dopóki Gretchen jej nie zbeształa. - Na Boga, Ido, z takimi wymionami po prostu cofasz ten ruch o cały wiek.

Czterdziestopięcioletnia, brzydka Ida, nie mająca u swego boku mężczyzny, który by ją terroryzował, uważała, że piękna, utalentowana Gretchen pozwala mężczyznom się wykorzystywać.

Namówiła Gretchen dwukrotnie, żeby poszła z nią na zebranie, jednak Gretchen, znudzona i zrażona piskliwością głosu niektórych mówczyń, wyszła wcześniej ze słowami:

- Kiedy pójdziecie na barykady, możecie na mnie liczyć. Nie wcześniej.

- Ale nam są potrzebne właśnie takie kobiety jak ty - błagała Ida.

- Być może - odrzekła Gretchen - ale mnie nie.

Ida westchnęła z rozpaczą w obliczu tej grzesznej abdykacji politycznej, jak to określiła.

Tego ranka Gretchen pracująca przy stole montażowym miała inne kłopoty niż jakość filmu, który montowała. W ostatnim tygodniu Kinsella podrzucił jej scenariusz z prośbą o przeczytanie i wydanie opinii. Autorem był młody pisarz, nie znany im obojgu, którego agent nalegał, żeby Kinsella przeczytał scenariusz.

Gretchen uznała, że scenariusz jest znakomity, i kiedy Kinsella zadzwonił po południu, żeby odwołać wspólny obiad, powiedziała mu to.

- Znakomity? - wykrzyknął do słuchawki. - Uważam, że to kupa gówna. Daj go mojej sekretarce i powiedz, żeby odesłała. - Odwiesił słuchawkę, zanim zdążyła zaprotestować. Zamiast odesłać scenariusz, Gretchen siedziała do drugiej w nocy, czytając go raz jeszcze. Choć autorem był młody mężczyzna, centralną postacią była młoda zdecydowana kobieta ze środowiska robotniczego, pogrążona w szarości i beznadziei otaczających ją ludzi; dziewczyna, która jako jedyna z całego pokolenia swoich rówieśników w małym sennym miasteczku miała dość rozsądku i odwagi, by wyrwać się stamtąd, żyć zgodnie z własnym marzeniem.

Reakcją na produkowane od dawna w Hollywood bajeczki z happy endem była ostatnio fala filmów, których bohaterowie błędzili biernie i bez celu, by po przelotnym zrywie buntu przeciw własnemu losowi popaść znowu w beznadziejną apatię. Pozostawiało to widzom smak błota w ustach, toteż Gretchen wierzyła, że zrealizowanie tego scenariusza wniosłoby odświeżający powiew. Jeżeli dawne hollywoodzkie filmy, pełne wypracowanego cukierkowego optymizmu, były fałszywe, myślała, to równie fałszywe były te apatyczne zawodzenia. Przecież bohaterowie pojawiają się codziennie. Jeżeli nawet nie wzrastają razem ze swoją klasą, to na pewno nie wszyscy ze swoją klasą idą na dno.

Po skończonej lekturze Gretchen utwierdziła się w przekonaniu o słuszności swojego pierwszego wrażenia. Gdyby Kinsella potrafił się wznieść do poziomu swoich wcześniejszych prac, zrobiłby z tego olśniewający film. Żeby mu to powiedzieć, zadzwoniła nawet do jego hotelu o drugiej trzydzieści nad ranem, ale telefon nie odpowiadał. Teraz, kiedy pracowała nad nędznym rezultatem tygodniowych zdjęć Kinselli, wszystko to chodziło jej po głowie niby fragment z filmu, w którym jakaś scena powtarza się ciągle na nowo.

Nagle Gretchen przerwała pracę.

- Idę - powiedziała - chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Słucham? - Ida podniosła głowę znad kartoteki i rejestru ujęć.

Gretchen miała scenariusz przy sobie, w ogromnej torbie przewieszanej przez ramię, z którą zawsze przychodziła do pracy.

Podeszła do wieszaka, gdzie wisiała torba, i wyjęła maszynopis.

- Idę teraz na godzinę, dwie do muzeum. Chcę, żebyś tymczasem zostawiła ten cały chłam i przeczytała to. - Podała Idzie scenariusz. - Kiedy wrócę, pójdziemy na paniński obiad, tylko we dwie, i wtedy chciałabym z tobą o tym porozmawiać.

Ida przyjrzała się Gretchen z powątpiewaniem, biorąc od niej scenariusz. Przerwanie pracy nie po to, żeby napić się z termosu kawy, było niepodobne do Gretchen.

- Oczywiście - powiedziała Ida. Poprawiła okulary i spojrzała na trzymany w rękach scenariusz, jakby się obawiała, że może zawierać bombę zegarową.

Gretchen włożyła płaszcz i zeszła na dół, w gwar Siódmej Alei, przy której stał budynek wytwórni. Poszła prosto do Muzeum Sztuki Nowoczesnej, żeby - jak to sobie błędnie wyjaśniała - ukoić nerwy kontaktem z ucziwymi dziełami sztuki. Jednak kiedy wychodziła z muzeum, nie była wcale spokojniejsza niż przedtem. Po godzinie oglądania Picassa, Renoira i Henry Moore'a nie mogła znieść myśli o powrocie do stołu montażowego, zadzwoniła więc do Idy i umówiła się z nią w pobliskiej restauracji. - Umaluj się trochę i wyprostuj szwy na pończochach - radziła z okrucieństwem. - Restauracja jest francuska i wytworna. Klasy lux. Zapraszam, bo mam kłopoty.

Czekając w restauracji na Idę, wypiła w barze szkocką. Nigdy nie piła w ciągu dnia, ale dzisiaj tłumaczyła sobie buńczucznie, że to nie jest zabronione. W końcu to sobota.

Kiedy Ida weszła i dostrzegła Gretchen w barze, zapytała podejrzliwie:

- Co pijesz?

- Szkocką.

- Naprawdę masz kłopoty! - Wprawdzie Ida uważała, że należy do awangardy współczesnej myśli filozoficznej, ale w życiu codziennym reprezentowała zawzięty purytanizm.

- Proszę dwie szkockie - powiedziała Gretchen do barmana.

- Nie mogę pracować, jeśli wypiję cokolwiek - jęknęła żałośnie Ida. - Przecież wiesz o tym.

- Nie będziesz pracować dziś po południu - wyjaśniła Gretchen. - Nikt nie będzie pracował. Sądziłam, że jesteś przeciwna eksploatacji kobiet. Zwłaszcza w soboty. Czy nie tłumaczysz mi zawsze, że ten kraj najbardziej potrzebuje dwudziestogodzinnego tygodnia pracy?

- To tylko teoria - broniła się Ida patrząc z obrzydzeniem na szklanekę, którą postawił przed nią barman. - Ja pracuję dlatego, że chcę.

- Nie dziś - Gretchen była stanowcza. Skinęła na maitre d'hôtel. - Proszę stolik na dwie osoby. Proszę tam przynieść nam drinki. - Położyła niedbale dwa dolary jako napiwek dla barmana.

- To strasznie duży napiwek za trzy drinki - wyszeptała Ida, kiedy szły za maitre d'hôtel w głąb sali.

- Wysokość dawanych napiwków przyczyni się do równouprawnienia kobiet i mężczyzn.

Maitre d'hôtel wysunął dwa krzesła przy stoliku usytuowanym tuż obok wejścia do kuchni.

- Widzisz - Ida rozejrzała się wokoło - restauracja jest prawie pusta, a on posadził nas przy kuchni. Tylko dlatego, że nie ma z nami mężczyzn.

- Wypij swoją whisky - poradziła Gretchen. - Zemścimy się w niebie.

Ida, sącząc trunkę, skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Jeżeli już coś zamawiałś, mogło to być przynajmniej coś słodkiego.

- No, teraz na barykady, gdzie nie ma słodkich trunków - wykrzyknęła Gretchen. - Powiedz mi, co myślisz o scenariuszu.

Twarz Idy rozjaśniła się. Dobra scena w filmie czy fragment książki, którą podziwiała, mogły ją wprowadzić w stan euforii.

- Jest wspaniały. Boże, jaki to będzie film!

- Tylko wygląda na to, że nikt nie zamierza go nakręcić - powiedziała Gretchen. - Myślę, że ten scenariusz już krążył i że nasz ukochany Evans Kinsella był dla agenta ostatnią deską ratunku.

- Czy Evans już to czytał?

- Tak. Uważa, że to kupa gówna. Jego własne słowa. Powiedział, żebym dała scenariusz jego sekretarce do odesłania.

- Prostack! - wykrzyknęła z oburzeniem Ida. - I pomyśleć, że jest taką figurą. Ile będzie kosztował ten film, który robimy?

- Trzy i pół miliona.

- Coś cholernie niedobrego dzieje się w tym interesie, i na całym świecie, prawdę mówiąc, jeśli takiemu kretynowi daje się do zabawy trzy i pół miliona dolarów.

- W ciągu ostatnich trzech lat dwa razy osiągnął wielki sukces.

- Kwestia szczęścia - wyjaśniła Ida. - To wszystko kwestia szczęścia.

- Nie jestem pewna, czy tylko to. On jednak umie błysnąć talentem.

- Nie jest to talent za trzy i pół miliona dolarów - upierała się Ida. - Nie rozumiem, dlaczego się za nim wstawiasz. Po tym jak on cię traktuje. I nie mam tu na myśli wyłącznie godzin pracy.

- Och - powiedziała Gretchen z beztrąską, której wcale nie odczuwała. - Odrobina masochizmu nigdy dziewczynie nie zaszkodzi.

- Gretchen, czasami naprawdę doprowadzasz mnie do szału - powiedziała sztywno Ida.

Stanął nad nimi kelner z bloczkiem i ołówkiem w pogotowiu.

- Pora złożyć zamówienie - powiedziała Gretchen. Spojrzała na kartę. - Jest pieczona kaczka z oliwkami. Porcja na dwie osoby.

Zjesz ze mną na spólkę?

- Dobrze, ale nie lubię oliwek, więc możesz zjeść wszystkie.

Gretchen zamówiła kaczkę i butelkę Pouilly Fume.

- Nie całą butelkę - prosiła Ida. - Ja nie wypiję więcej jak pół kieliszka.

- Całą butelkę - powiedziała Gretchen do kelnera, nie zwracając uwagi na Idę.

- Upijesz się - ostrzegła Ida.

- Dobrze - odpowiedziała Gretchen. - Muszę podjąć kilka poważnych decyzji, a może nie zrobiłabym tego na trzeźwo.

- Masz dziś niesamowity wyraz oczu.

- Możesz założyć się o swój wyzwolony stanik, że mam powody. - Gretchen skończyła whisky jednym haustem.

- Co chcesz zrobić? Tylko nie bądź lekkomyślna. Jesteś zła i napompowałaś się tym alkoholem...

- Owszem, jestem zła - przyznała Gretchen - i wlałam w siebie odrobinę whisky, a jedną z rzeczy, jaką zamierzam zrobić, jest wypicie większej części tej butelki wina, jeśli ty mi nie pomożesz. A potem... - Urwała nagle.

- A co potem?

- A potem... nie jestem zupełnie pewna. - Gretchen roześmiała się, a ten dziwnie brzmiący śmiech przekonał Idę, że to pierwszy etap postępującego alkoholizmu. - A potem porozmawiam sobie z Evansem Kinsellą. O ile uda mi się go odnaleźć, w co wątpię.

- Co zamierzasz mu powiedzieć? - Ida była zaniepokojona.

- Kilka nieprzyjemnych, celnych prawd. Na początek.

- Bądź rozsądna - powiedziała zatroskana Ida. - W końcu, bez względu na to, kim jest

dla ciebie poza tym, nadal jest jeszcze twoim szefem.

- Ido, czy ktoś powiedział ci kiedykolwiek, że masz chorobliwy respekt dla władzy?

- Nie nazwałabym go chorobliwym. - Ida była dotknięta.

- Więc jak byś go nazwała? Przesadny, niewolniczy, pełen uwielbienia?

- Jeśli koniecznie musisz to wiedzieć, nazwałabym go normalnym.

Tak czy inaczej, nie zajmujmy się mną przez chwilę. Co masz zamiar mu powiedzieć?

- Że film, nad którym pracujemy, jest do dupy. To na początek.

- Och, Gretchen, proszę cię. - Ida podniosła rękę, jakby w ten sposób chciała ją powstrzymać.

- Ktoś powinien ci kupić jakiś pierścionek - powiedziała Gretchen.

- Masz ładne ręce i pierścionek świetnie by to podkreślał. Może spędzimy popołudnie szukając pierścionka, jeśli nie znajdziemy tego drania Kinselli.

Ida zatroskana rozejrzała się wokół. Restauracja już się zapelniła i przy sąsiednim stoliku siedzieli dwaj mężczyźni.

- Ludzie mogą cię usłyszeć.

- Niech słyszą - powiedziała Gretchen. - Chcę rozpowszechnić dobrą nowinę.

Kelner stał przy stoliku i sprawnie dzielił kaczkę. Wino chłodziło się w kubelku.

- Ja dziękuję za oliwki, proszę wszystkie dać pani.

Gretchen z podziwem przyglądała się, jak zręcznie kelner porcjował kaczkę.

- Założę się, że on nie pije w czasie pracy - powiedziała.

Kinsella znany był z tego, że robił to od czasu do czasu.

- Sza. - Ida uśmiechała się do kelnera przepraszając za ekscentryczną przyjaciółkę.

- Pije pan? - Gretchen zwróciła się do kelnera.

- Nie, proszę pani. - Kelner wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale zrobiłbym to, gdyby mi ktoś postawił.

- Z samego rana przyślę butelkę - powiedziała Gretchen.

- Gretchen, nigdy cię nie widziałam w takim stanie. Co cię napadło?

- Wściekłość. Po prostu zwykła, zdrowa wściekłość. - Spróbowała kaczki. - Oho - powiedziała i łapczywie pociągnęła łyk wina.

- Na twoim miejscu - Ida skubała jedzenie - poczekalabym, aż się skończy weekend, zanim bym coś zrobiła.

- Nigdy nie odkładaj wściekłości na później. To nasze stare rodzinne motto. Zwłaszcza przez weekend. Trudno się wściekać w poniedziałek rano. Wprowadzenie się w odpowiedni stan umysłu wymaga całego tygodnia.

- Kinsella nigdy ci nie przebaczy, jeśli naskoczysz tak na niego.

- Po uwerturze - kontynuowała Gretchen nie zwracając uwagi na wstręt Idy - rozpoczniemy pełny spektakl. O tym, jak godziłam się pracować nad tymi śmieciami, których dostarcza, ponieważ chciałam w dalszym ciągu rozkoszować się względami jego czystego, białego ciała.

- Gretchen - mówiła z wyrzutem Ida - powiedziałaś mi kiedyś, że go kochasz. - W panińskim sercu Idy romans zajmował poczesne miejsce.

- Kiedyś - powtórzyła Gretchen.

- Doprowadzisz go do furii.

- O to mi właśnie chodzi. I dalej powiem mu; że właśnie przeczytałam scenariusz który polecił mi odesłać do agenta, i uznałam, że jest oryginalny i inteligentny, i zbyt dobry jak na jego gust. Jednak, ponieważ jest to jedyny reżyser, z którym aktualnie sypiam, i z pewnością jedyny reżyser, którego dobrze znam i który może dostać pieniądze za film tylko ze względu na swoje nazwisko, to powiem mu, że jeśli nie postradał jeszcze całkiem rozumu, z jakim przyszedł na świat to kupi jutro ten scenariusz, nawet gdyby miał to zrobić tylko dlatego, że ja go o to proszę.

- Wiesz, że odpowie: nie.

- Prawdopodobnie.

- Co wtedy zrobisz? Zalejesz się łzami i poprosisz o wybaczenie?

Gretchen spojrzała na nią zaskoczona. Ida nigdy nie okazywała skłonności do sarkazmu. Widocznie cała ta rozmowa bardzo ją poruszyła.

- Ida, kochanie - powiedziała ciepło Gretchen - nie możesz się tym tak przejmować. W końcu to ja mam stoczyć walkę.

- Nie mogę patrzeć, jak wdajesz się w kłopoty.

- Są takie chwile, kiedy nie daje się tego uniknąć. Pytałaś, co zrobię, jeśli on powie: nie.

- Kiedy on powie: nie - poprawiła Ida. - Powiem, że w tej chwili rzucam pracę nad filmem.

- Masz przecież kontrakt! - wykrzyknęła Ida.

- Więc niech mnie skarży. Może także wezwać na pomoc prawo, by ściągnąć mnie z powrotem do swojego łóżka.

- Wiesz, że jeśli ty odejdziesz, ja też to zrobię. - Głos Idy drżał w poczuciu ogromnej wagi tego, co powiedziała.

- Na wojnie - powiedziała chrapliwie Gretchen - trzeba czasami poświęcić oddziały.

- To nie jest wojna - zaprotestowała Ida. - To po prostu film, taki sam jak tysiące innych.

- W tym rzecz. Nie chcę spędzić całego życia pracując nad filmami, które są takie same jak tysiące innych. - Dostrzegła, że Ida jest bliska łez, jej ciepłe ciemne oczy wilgotniały. - Ido, ty nie musisz płacić za moje poglądy. Nie ma powodu, żebyś odchodziła, kiedy ja to zrobię.

- Nie będę o tym mówić.

- W porządku. Sprawa jest zamknięta. Teraz skończ swoją kaczkę.

Zaledwie ją napoczęłaś. Nie smakuje ci?

- Ależ... tak... bardzo - wyjąkała Ida.

Przez minutę jadły w milczeniu, Gretchen dolewała sobie wina.

Widziała, że Ida z trudem stara się zapanować nad swoją łagodną, miłą twarzą, która mogłaby być twarzyczką puciołowatego dziecka; przez krótką chwilę żałowała, że w ogóle dała jej do czytania scenariusz, że obciążyła ją swoimi problemami. Musiała jednak uzyskać potwierdzenie swojej opinii o wartości scenariusza, a знаła z doświadczenia kryształową uczciwość Idy i jej niezawodny gust. Gdyby tego nie uczyniła, nigdy nie miałyby dość pewności, by zmierzyć się z Kinsellą: Jeżeli Evans Kinsella jest w domu, myślała ponuro, to czeka go ciężkie popołudnie, bez względu na Idę Cohen. Jeżeli jest w domu.

Wreszcie Ida się odezwała.

- Myślę - głos jej był niemal nieśmiały - że jest jeszcze inny sposób załatwienia tej sprawy. Nie musisz chyba załatwiać wszystkiego tak obcesowo?

- Chyba nie... chociaż nie bardzo potrafię załatwiać sprawy dyplomatycznie.

Ida zachichotała.

- Nie, nie potrafisz. Może jednak ten jeden raz posłuchasz mnie.

Obydwie wiemy, że on nigdy nie powie: tak. Zwłaszcza jeżeli będziesz się z nim spierać.

- Skąd go tak dobrze znasz? - zapytała Gretchen z pełną kpiny podejrzliwością. - Czyżbyś miała z nim romansik za moimi plecami?

Ida roześmiała się głośno, wrócił jej dobry humor.

- Jakże bym mogła? Przecież on nawet nie jest Żydem.

Roześmiały się obydwie. Nagle twarz Idy spoważniała.

- Ja myślę tak: skończ montować ten film...

- O Boże... - jęknęła Gretchen.

- Cicho. Posłuchaj mnie przez jedną minutę. Ja ciebie słuchałam.

- Bez wątpienia - przyznała Gretchen.

- Nawet nie wspominaj mu więcej o tym scenariuszu. Udawaj, że już ci zupełnie wyleciał z pamięci.

- Ale wcale mi nie wyleciał. Zaczyna mnie już prześladować. Nawet teraz widzę jedno ujęcie po drugim...

- Powiedziałam: udawaj. - Ida była zniecierpliwiona. - Znajdź kogoś kto wyłoży pieniądze na opcję i sama kup ten scenariusz.

- Nawet gdybym mogła zdobyć te pieniądze - powiedziała Gretchen, i natychmiast pomyślała o biednym Rudim - to co z tego?

- Wtedy - Ida ciągnęła triumfalnie - sama go wyreżyseruj.

Gretchen odchyliła się na oparcie krzesła. Tego się nie spodziewała.

- Wielkie nieba, co za pomysł!

- Dlaczego nie? - Ida mówiła z zapalem, znów zapominając o jedzeniu. - W dawnych czasach większość reżyserów wywodziła się z pokojów montażowych.

- W dawnych czasach - westchnęła Gretchen. - I wszyscy byli mężczyznami.

- Wiesz, że nie lubię takiego gadania. - W głosie Idy brzmiał wyrzut.

- Wybacz, ale zapomniałam o tym na chwilę. Ale choćby dla zabawy wymień nazwiska dwudziestu pięciu kobiet-reżyserów.

- W dawnych czasach nie było też dwudziestu pięciu kobiet w całym wojsku. - Zebrania, na które chodziła, dostarczały solidnej podstawy argumentom Idy, i wykorzystywała to w całej pełni. - Nie chcesz chodzić na zebrania, nie chcesz nawet czytać broszur, jakie wydajemy, ale możesz bardziej nam pomóc wypuszczając piękny film niż chodząc na milion zebrań. A jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, czy sobie poradzisz, to pozwól sobie powiedzieć, że wiesz więcej o filmie, niż kiedykolwiek wiedział Kinsella, i więcej, niż on się kiedykolwiek dowie.

- To jest pomysł... - zastanawiała się zamyślona Gretchen - teraz, kiedy pierwszy szok już minął, uważam, że to jest pomysł.

- Nie będzie to kosztowny film - Ida mówiła szybko. - Niewielkie miasteczko, głównie wynajęte wnętrza, łatwe ujęcia, mała obsada, przeważnie młodzież. Nawet gdybyś miała dużo pieniędzy, nie znalazłabyś renomowanych aktorów do tych ról. Znam kilka osób, które finansują filmy. Mogłabym się z nimi skontaktować. Ty mogłabyś się zwrócić do swojego brata...

Biedny Rudi, pomyślała znów Gretchen.

- Ile kosztował pierwszy film Evansa Kinselli? - zapytała Ida.

- Sto dwadzieścia pięć tysięcy - Gretchen odpowiedziała bez namysłu. Kinsella nieustannie się przechwalał, że jego pierwszy film, który był wielkim kasowym sukcesem, zrobiony był za darmo, i zawsze wymieniał dokładną sumę.

- Sto dwadzieścia pięć tysięcy - powtórzyła Ida. - A teraz dają mu trzy i pół miliona dolarów.

- To właśnie jest przemysł rozrywkowy.

- Czasy się zmieniły, i dzisiaj za sto dwadzieścia pięć tysięcy to jest niemożliwe - mówiła Ida. - Ale założę się, że ten film możemy zrobić za siedemset pięćdziesiąt tysięcy, nie więcej. Większości aktorów płaci się za dzień zdjęciowy, a przy takich rolach główni bohaterowie zrezygnują z honorarium i wezmą tantiemy. Wszystkie pieniądze będą więc na ekranie, nie gdzie indziej.

- Kochana Ido, mówisz już jak potentat filmowy.

- Obiecuj mi tylko jedno - prosiła Ida.

- Co takiego? - Gretchen zapytała podejrzliwie.

- Nie dzwoń do Kinselli dzisiaj ani jutro. Przemysł to wszystko jeszcze raz, przynajmniej do poniedziałku.

Gretchen zawahała się.

- Dobrze - powiedziała w końcu - ale pozbawiasz mnie wspaniałej walki.

- Lepiej pomyśl o tym, jaką minę będzie miał Kinsella, kiedy film się ukaże. Wtedy chętnie pozbawisz się satysfakcji powiedzenia mu, jakim jest frajerem.

- Dobrze, obiecuję. Teraz zamówimy sobie pyszny, słodki francuski deser, a potem, przez resztę popołudnia, całkiem sobie popołgujemy. Powiedz, ile razy widziałas „Tam gdzie rosną poziomki” Bergmana?

- Pięć razy.

- Ja też widziałam to pięć razy. Więc chodźmy dziś na wagary, to będzie w sumie równe pół tuzina.

Wracając do domu na tylnym siedzeniu Continentala, w ruchu niedzielnego popołudnia, Rudolf myślał o weekendzie. Johnny Heath siedział za kierownicą, Elaine obok niego. Weekend udał się zdecydowanie. Dom Jean był przytulny, tak jak obiecywała, a widok na ocean wspaniały. Masażystka nie wyglądała na lesbijkę i okazała się bardzo dobrą kucharką. Mimo przepowiedni Johnny'ego, nie było orgii, rozbieranych pikników na plaży, natomiast wszyscy razem chodzili na długie spacerunki po twardym piasku pozostałym po odpływie; a Enid cały czas trzymała matkę za rękę. Obydwie były sobą najwyraźniej

zachwycone, toteż Rudolf, choć nic o tym nie powiedział, zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdyby Enid została z matką i chodziła do wiejskiej szkoły, unikając w ten sposób niebezpieczeństw nowojorskich ulic. Mógłby widywać się z dzieckiem podczas weekendów i ferii szkolnych. Oczywiście, gdyby miał potraktować serio szaloną propozycję Johnny'ego w sprawie Nevady, wynikłyby komplikacje. Tak czy inaczej, nie sfinalizuje przecież tego jutro ani w przyszłym tygodniu, prawdopodobnie nawet nie w najbliższym roku.

Jean wyglądała zdrowo i była w dobrej kondycji. Co rano wykonywały razem z masażystką spartańskie ćwiczenia i każdego dnia Jean wędrowała całe mile wzdłuż brzegu szukając tematów do zdjęć.

Sprawiała wrażenie szczęśliwej, była jakaś rozmarzona, przypominała dziecko, które właśnie się obudziło z przyjemnego snu. Cieszyła się ze spotkania z Heathami i możliwości spędzenia weekendu w ich towarzystwie. Ani ona, ani masażystka która miała na imię Lorraine, nie próbowały odciągnąć go na bok na chwilę prywatnej rozmowy. Jeśli nawet Jean miała jakichkolwiek przyjaciół w sąsiedztwie, to nie pojawili się ani w sobotę, ani w niedzielę.

Kiedy Rudolf chciał obejrzeć zdjęcia, powiedziała:

- Jeszcze nie jestem gotowa. Może za miesiąc.

Siedząc na tylnym siedzeniu wygodnego samochodu pędzącego w kierunku miasta, zdał sobie sprawę, nie bez odrobiny smutku, że w czasie tego weekendu Jean wydawała mu się szczęśliwsza niż kiedykolwiek od czasu ich ślubu.

Na stole było wino, ale żadnych mocniejszych trunków. Jean nie sięgnęła po butelkę i Rudolf nie zauważył ostrzegawczych spojrzeń kierowanych w jej stronę przez Lorraine.

Doszła z sobą do ładu, pomyślał Rudolf. Nie mógł tego powiedzieć o sobie.

Kiedy wjeżdżali przez most do Nowego Jorku, zobaczył budynki rysujące się jak statki na tle tonącego na zachodzie słońca, przypominającego kiczowaty oleodruk. W oknach zapalały się światła, maleńkie mrugające punkciki, niby świece w otworach strzelniczych w murze twierdzy o zmierzchu. Najbardziej lubił ten widok i tę porę dnia. Puste niedzielne ulice, którymi przejeżdżali, wyglądały czysto i zachęcająco. Gdyby zawsze w Nowym Jorku była niedziela, pomyślał, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby kiedykolwiek opuścić to miasto.

Kiedy zatrzymali się przed jego domem, zapytał, czy Heathowie nie zechcieliby wejść na górę na drinka, ale Johnny powiedział, że jest już za późno, a są zaproszeni na koktajl. Rudi podziękował Johnny'emu za podwiezienie, pochylił się i pocałował Elaine w policzek.

Podczas weekendu polubił ją jeszcze bardziej.

- Będziesz dziś wieczorem sam? - zapytała Elaine.

- Tak.

- To wsiadaj z powrotem i spędź z nami wieczór. Po koktajlu idziemy na obiad do Gino.

Kusiło go, by przyjąć propozycję, ale miał wiele do przemyślenia i czuł, że będzie lepiej, jeśli zostanie sam. Nie powiedział jej, że ostatnio nie najlepiej się czuł w dużym towarzystwie. Był przekonany, że to przejściowe, ale musiał się z tym liczyć.

- Dziękuję - powiedział - ale mam masę listów, na które muszę odpisać. Pójdziemy na kolację w ciągu najbliższego tygodnia. Tylko we troje.

- Zadzwoń do ciebie jutro - oznajmił Johnny - kiedy już załatwię wyprawę do Nevady.

- Przez cały dzień będę w domu. - Patrząc na oddalający się samochód, Rudolf zaczął żałować, że to powiedział. Obawiał się, że w samochodzie jedno z Heathów mówiło właśnie: „Będzie cały dzień w domu, bo nie wie, co z sobą zrobić.”

Wszedł po stopniach, niosąc swoją torbę. Nie musiał wyjmować klucza, żeby otworzyć drzwi frontowe. Znowu ci sąsiedzi z dołu.

Będzie musiał z nimi porozmawiać. Kiedy wchodził do ciemnego hallu, usłyszał męski głos:

- Nie ruszaj się i ani słowa. Mam cię na muszce.

Usłyszał, jak zatrzasnęły się za nim drzwi frontowe.

- Które twoje mieszkanie? - zapytał głos.

Zawahał się. Gdyby Enid była na górze, nie odpowiedziałby.

Dziękował Bogu, że jest bezpieczna u matki, o setki mil stąd. A niania była w New Jersey. Na górze nie było nikogo. Poczul, że coś, może rewolwer, szturcha go ostro w żebra.

- Pytaliśmy o coś, mój panie - powiedział inny głos. Rudolf uświadomił sobie obecność drugiego mężczyzny, który stał obok niego.

- Drugie piętro - powiedział.

- Na schody - zakomenderował głos. Rudolf zaczął wchodzić. Ze szczeliny pod drzwiami parterowego mieszkania nie dochodziło światło. Nie ma nikogo w domu. Niedzielny wieczór, myślał, wspinając się mechanicznie po stopniach. Za sobą słyszał ciężkie kroki dwu osób.

Kiedy wyjmował klucze, otwierał drzwi i wchodził do mieszkania, drżały mu ręce.

- Zapal światło - powiedział ten sam głos.

Namacał kontakt, nacisnął. Kiedy lampa w przedpokoju zabłysła, Rudolf obrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn, którzy zaczęli się przedtem na dole w hallu. Byli młodzi, czarni, jeden wysoki, drugi średniego wzrostu, obydwaj schludnie ubrani. Twarze mieli pociągłe, napięte i pełne nienawiści. Narkomani, pomyślał. Wysoki mężczyzna trzymał w ręce wycelowany w Rudolfa rewolwer aż granatowoczarny w blasku lampy.

- Do pokoju - zakomenderował.

Poszli za nim do salonu i drugi mężczyzna przekreślił kontakt.

Zapaliły się wszystkie lampy. Pokój wyglądał przytulnie i czysto, zasłony były zaciągnięte. Poprzedniego ranka, zanim wyjechali, niania posprzątała. Zegar na kominku głośno tykał. Rudolf zobaczył, że była piąta trzydzieści.

- Dawaj portfel - powiedział mężczyzna - tylko bez kawałów.

Rudolf sięgnął do marynarki i wyciągnął portfel. Mężczyzna z pistoletem porwał go brutalnie i rzucił drugiemu.

- Zobacz, co jest w środku.

Drugi mężczyzna przejrzał portfel.

- Trzydzieści dolarów - mruknął trzymając banknoty w ręce.

- Cholera - zaklął mężczyzna z rewolwerem. - Co masz w spodniach.

Rudolf wyciągnął portmonetkę i dwie ćwierćdolarówki luzem. Drugi mężczyzna wyciągnął rękę, chwycił portmonetkę i bilon.

- Znowu możesz zakląć, bracie - powiedział. - Tu jest tylko ósemka. - Upuścił na dywan dwie ćwierćdolarówki.

- Masz tupet podjeżdżać tu Lincolnem Continentalem z trzydziestoma dolarami w kieszeni - rzekł ten z rewolwerem.

- Sprytny jesteś, co? Boisz się, żeby cię ktoś nie obrobił, co, panie Rockefeller?

- Przykro mi. - Rudolf westchnął. - To wszystko, co mam. Plus te karty kredytowe. - Karty kredytowe rozrzucone były teraz na podłodze.

- Ta instytucja nie przyjmuje kart kredytowych, prawda, Elroy? - powiedział mężczyzna.

- Na pewno nie - odparł Elroy. Obydwaj zaśmieli się chrapliwie.

Rudolf czuł się wyobcowany, jakby to wszystko nie przydarzyło się jemu, ale jakiejś maleńkiej, odrętwiałej postaci gdzieś bardzo daleko.

- Gdzie trzymasz w domu pieniądze? - zapytał mężczyzna z rewolwerem. - Gdzie jest sejf?

- Nie mam żadnych pieniędzy w domu - wyjaśnił Rudolf. - I nie ma tu sejfu.

- Jesteś coraz bardziej cwany, co? - powiedział mężczyzna. Wolną ręką uderzył Rudolfa prosto w oczy tak mocno, że przez moment oślepiły go łzy i zachwiał się na nogach.

- To tylko żeby cię zachęcić do mówienia prawdy - powiedział ten z rewolwerem.

- Sprawdźcie sami. - Rudolf przez chwilę nic nie widział.

- Masz ostatnią szansę, żeby nam pokazać, gdzie to jest - powiedział mężczyzna.

- Przykro mi. Nie mogę nic poradzić.

Mężczyzna z rewolwerem oddychał ciężko, nieregularnie, rozglądał się dookoła, a w jego oczach odbijały się nierównomiernie światła z różnych lamp. - Co ty na to, Elroy? - zapytał.

- Trzeba dać temu skurwysynowi nauczkę - zdecydował Elroy.

Mężczyzna obrócił rewolwer nagłym ruchem i opuścił go na skroń Rudolfa. Osuwając się na podłogę, Rudolf miał wrażenie, że opada powoli i całkiem przyjemnie w przestrzeni, a sama podłoga wydawała mu się wspaniałym, miękkim łóżkiem. Po chwili jakiś głos z oddali powiedział:

- Wystarczy, Elroy. Nie chcesz przecież tego drania zabić?

Rudolf śnił. Ale przez cały czas wiedział, że to sen. Szukał Enid na plaży. Słysząc było pisk hamulców. Dziwnym trafem na plaży w nierównych odstępach zaparkowane były autokary, ludzie wsiadali do nich i wysiadali; ludzie, których nie znał, czy też nie mógł rozpoznać, którzy nie zwracali na niego uwagi, którzy czasem tarasowali mu drogę, a czasem zamieniali się w cienie, kiedy przepychał się między nimi krzycząc: „Enid, Enid!” Wiedział, że to sen, ale mimo to bardzo się męczył, bo zdawał sobie sprawę, że nigdy nie odnajdzie córki. Świadomość, że ją utracił, była nie do zniesienia.

I wtedy się obudził. Światła ciągle się paliły. Ale teraz był to blask, który ranił mu oczy. Leżał na podłodze i wszystko go bolało, głowa, pachwiny. Każdy ruch był torturą. Twarz miał mokrą.

Kiedy jej dotknął, dostrzegł na dłoni krew.

Cały pokój był zdemolowany. Wszystkie wyściełane krzesła i sofę pocięto nożami, a ich wnętrzości walały się po podłodze jak kupy śniegu. Kawalki zegara leżały na ceglany obramowaniu kominka.

Wyciągnięto wszystkie szuflady biurka, komody i kredensu, a ich zawartość porzucano po całym pokoju. Lustro nad kominkiem było potłuczone na drobne kawałki. Drewniane krzesła, stolik do kawy i niewielki bufet porysowano pogrzebaczem od kominka, a sam pogrzebacz leżał dziwnie wygięty. Wszystkie butelki z bufetu zostały rozbite o ścianę,

wszędzie poniewierało się szkło, a w całym pokoju pachniała whisky. Wierzch pianina oparty był o sofę, a odkryte poszarpane struny wisiały luźno nad klawiaturą niby wnętrzości zwierzęcia. Rudolf spróbował spojrzeć na swój zegarek, żeby się zorientować, jak długo leżał nieprzytomny, ale w miejscu zegarka na nadgarstku zobaczył brzydką krwawiącą ranę.

Jęcząc z gigantycznego wysiłku poczołgał się do telefonu. Zdjął słuchawkę z widełek, przyłożył do ucha. Aparat działał. Bogu dzięki. Wydawało mu się, że stracił kilka minut na przypomnienie sobie telefonu Gretchen. Z trudem wykręcił numer. Długo nikt nie odpowiadał. Rudolf leżał na podłodze ze słuchawką przy policzku.

Wreszcie usłyszał, że ktoś po drugiej stronie podnosi słuchawkę.

- Halo. - To był głos Gretchen.

- Gretchen - wymamrotał.

- Gdzie ty byłeś? - zapytała. Sprawiała wrażenie urażonej. - Dzwoniłam o piątej.

Powiedziałeś, że wrócisz o...

- Gretchen - przerwał jej chrapliwie. - Przyjedź tu. Natychmiast.

Jeżeli drzwi będą zamknięte, wezwij policjanta, żeby ci otworzył.

Ja... - i wtedy poczuł, że znowu mdleje. Nie mógł nic więcej powiedzieć. Leżał tak na podłodze, a głos Gretchen krzyczał do jego ucha: - Rudi, Rudi, czy ty mnie słyszysz?... - I cisza.

Rudolf znowu zemdlął.

Spędził w szpitalu dwa tygodnie i nigdy nie pojechał do Nevady z Johnny Heathem.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ I

Wesley dostarczył pani Wertham artykuły spożywcze z Supermarketu za siedemnaście dolarów i pani Wertham zaprosiła go na filiżankę kawy. Pan Wertham pracował w rozlewni Kralera, i to, jak myślał Wesley, zdaniem pani Wertham niwelowało przepaść społeczną i seksualną, jaka istniała między dobrze sytuowaną panią domu i szesnastoletnim roznosicielem. Przyjął zaproszenie na kawę. Był to już ostatni kurs tego dnia, a w domu Kralerów nigdy nie dostawał kawy.

Po kawie pani Wertham dość nieśmiało, choć przy akompaniamencie chichotów, powiedziała mu, że jest bardzo przystojnym młodzieńcem, i zaprosiła go do łóżka. W domu Kralerów nie dawano mu nie tylko kawy, a pani Wertham była dobrze zbudowaną farbowaną blondynką.

Przyjął więc i to zaproszenie.

Kawa była dobra, ale łóżko jeszcze lepsze. Musiał się spieszyć, bo przed domem stał rower należący do sklepu, ze skrzynką na towary między dwoma przednimi kołami, a po chłopakach z tej dzielnicy można się spodziewać, że ukradną wszystko, cokolwiek im wpadnie w ręce, nawet wózek dostawczy z ogromnym napisem UM Supermarket.

To się wydarzyło dokładnie miesiąc temu. Od tej pory dostarczył towar pani Wertham jeszcze dziesięciokrotnie. Zapotrzebowanie na artykuły spożywcze w gospodarstwie Werthamów zależało od stanu libido pani domu.

Tym razem, kiedy Wesley się ubierał, pani Wertham w szlafroku siedziała, wpatrując się w niego, jakby był wielkim kremowym deserem. - Jesteś naprawdę dobrze zbudowanym młodym człowiekiem - stwierdziła z podziwem. - Mógłbyś podnieść mojego męża jedną ręką.

- Dziękuję pani - powiedział Wesley wkładając sweter. Nie miał najmniejszej ochoty podnosić pana Werthama jedną ręką.

- Zazwyczaj nie robię takich rzeczy - powiedziała pani Wertham, zapominając prawdopodobnie, że Wesley umie liczyć - ale... - Westchnęła. - To taka przyjemna odmiana.

- Tak, proszę pani - przyznał Wesley.

- Gdybyś tak, przywożąc tu następnym razem zamówienie, wsunął do paczki jakiś prezent, to byłby przyjemny gest z twojej strony.

Jakieś pół szynki czy coś takiego. Między trzecią a piątą zawsze jestem w domu.

- Tak, proszę pani - odpowiedział wykrętnie Wesley. Po raz ostatni udało się pani Wertham zaciągnąć go do łóżka. - Muszę już iść. Mój rower stoi przed domem.

- Rozumiem. Będziesz pamiętał o szynce, dobrze?

- Tak, proszę pani.

Wózek ciągle jeszcze stał na dole. Wesley, niezadowolony z siebie, wślizgnął się na siodełko i popedałował w stronę poczty. Pół szynki. Ta baba wyobraża sobie, że wszystko jest w cenach okazyjnych. To poniżające. Od tej pory nie przyjmie niczego tylko z tego powodu, że po prostu zostało mu ofiarowane. W Ameryce pełno jest wspaniałych dziewczyn. Choćby ta skromna panienka w redakcji „Time'u” w Nowym Jorku, nawet mimo jej wieku. Nigdy więcej nie da się nabrać na byle co. Gdzieś poza Indianapolis musi być dziewczyna, z którą mógłby rozmawiać, podziwiać ją, z którą mógłby się śmiać, opowiedzieć jej o ojcu i o sobie; dziewczyna, którą mógłby kochać i być z tego dumny, dziewczyna, przy której po wyjściu z łóżka nie czułby się jak wieprz. Tymczasem, zdecydował, trzeba poczekać.

Na poczcie zastał dwa listy, jeden od Króliczka, a drugi od wuja Rudolfa. Odkąd posłuchał rady wuja Rudolfa i odbierał swą pocztę na poste restante, otrzymywał regularnie wiadomości od Króliczka i Kate. Dzięki nim życie w Indianapolis stawało się niemal znośne.

Wepchnął nie czytane listy do kieszeni, ponieważ pan Citron, kierownik Supermarketu, zawsze patrzył na niego z wyrzutem, ilekroć Wesley wrócił nawet o pięć minut później, niż było to zdaniem pana Citrona konieczne, a dziś miał już i tak trochę spóźnienia przez panią Wertham. Pan Citron, myślał Wesley, patrząc niewinnie na kierownika po powrocie do sklepu, musiał mieć w głowie zegar kontrolny. „Staraj się zawsze być panem samego siebie - mawiał ojciec - to jedyny sposób pokonania tych drani.”

W magazynie za samem wyjął listy z kieszeni. Najpierw otworzył list od Króliczka; wyraźny charakter pisma sprawiał wrażenie, jakby list pisał człowiek ważący ponad sto funtów.

Drogi Wesleyu, „Klotylda” została sprzedana za sto dziesięć tysięcy dolarów.

Więcej forsy dla Ciebie i Kate, i jej dzieciaka. Gratulacje. Teraz mogę Ci już powiedzieć, że prawdziwym właścicielem nie był Johnny Heath, jak stwierdzały papiery statku, ale Twój wuj Rudolf. Pewnie miał swoje powody, żeby to ukrywać. Już się obawiałem, że nigdy jej nie sprzedamy. Próbowałem namówić Twego wuja, żeby pozwolił mi zmienić nazwę statku, ale nie chciał o tym słyszeć. On ma zasady.

Może zbyt wiele zasad. Nowi właściciele to Niemcy, bardzo mili ludzie, wiedzą o tym, co się stało, ale wydaje się, że nie robi to na nich wrażenia. Przypuszczam, że Niemcy nie są przesądni. Ona mi powiedziała, że zakochali się w „Klotyldzie” od pierwszego wejrzenia. Chcieli, żebym został jako kapitan, ale zdecydowałem, że tego nie zrobię. Jest

mnóstwo powodów, i nie sędzę, żebym musiał ci mówić jakie to powody.

Poznałem małżeństwo Amerykanów z dwójką chłopców w wieku 11 i lat, którzy kręcą się po Saint-Tropez i mają jacht Chris-Craft długości 43 stóp. Prosimi, żebym u nich pracował. Jestem jedynym członkiem załogi, ale dzieci mogą pomóc w utrzymaniu czystości, a żona mówi, że może gotować. Mąż twierdzi, że umie czytać mapę i radzi sobie ze sterem. Zobaczymy. Więc jestem ciągle na starym poczciwym Śródziemnym. Powinno się jakoś ułożyć. Przyjemnie jest mieć na pokładzie dwójkę dzieci.

Miałem wiadomości od Kate. Pracuje jako barmanka w pubie niedaleko od miejsca, gdzie mieszka, więc może spędzać dużo czasu z dzieciakiem. Pewnie wiesz, że nazwała go Tomasz Jordach.

Przykro mi, że trafiłeś w Indianapolis w takie dno. Twój wuj twierdzi, że możesz się z nimi rozstać, jak będziesz miał osiemnaście lat. To już nie tak długo, a czas leci szybko, więc wytrzymaj i nie rób żadnych głupstw.

Mój nowy statek nazywa się „Dolores”, tak ma na imię właścicielka, a nasz macierzysty port to Saint-Tropez, więc możesz pisać do mnie na adres kapitanatu.

Tyle nowin, Przyjacielu. Jeśli znajdziesz się na wybrzeżu, to wpadnij do mnie.

Au revoir, Króliczek”

Wesley starannie złożył list i schował go z powrotem do koperty.

Dwukrotnie pisał do Króliczka pytając o Danovica, ale Króliczek nigdy o nim nie wspomniał. Czas leci szybko, napisał. Może na Śródziemnym. Bo nie w Indianapolis. Niewiele było rzeczy w Indianapolis, które lubił. Jedną z nich była stara hala targowa z wysokim sufitem i straganami pełnymi owoców i jarzyn, z unoszącym się nad wszystkim zapachem pieczonego chleba. Chodził tam tak często, jak tylko mógł, ponieważ przypominało mu to targ blisko portu Antibes.

Kiedy otworzył list wuja, wypadły z niego dwa banknoty dwudziestodolarowe. Podniósł je i schował do kieszeni. Nie prosił o pieniądze - nigdy tego nie zrobił - był jednak wdzięczny, kiedy je dostawał. Wuj miał zwyczaj darowywania czegoś w niespodziewanych dla wszystkich momentach. To miłe, jeśli można sobie na to pozwolić. A wuj Rudolf najwyraźniej mógł. Nie należy tego krytykować.

„Drogi Wesleyu!

Zwróć uwagę na adres. W końcu wyniosłem się z Nowego Jorku. Od czasu napadu miasto straciło dla mnie wiele ze swego uroku i zacząłem się martwić, z pewnością

przesadnie; o bezpieczeństwo Enid. Wynająłem na rok na próbę ten dom w Bridgehampton na Long Island. To spokojne, urocze miasteczko, z wyjątkiem letnich miesięcy, kiedy ożywiają je artyści i literaci. Mieszkam w pobliżu plaży, około piętnastu minut jazdy samochodem od domu mojej eks-żony. Enid jest z nią przez tydzień szkolny, a weekend spędza ze mną, i dzięki temu nie potrzebujemy opiekunki. Enid bardzo dobrze się czuje na wsi i choćby tylko ze względu na nią ta przeprowadzka była słuszna.

Już całkiem przyszedłem do siebie po dwóch operacjach twarzy i chociaż sapię z powodu jakichś zmian w kanałach nosowych po wypadku jak stary weteran, kiedy biegam po nadmorskim piasku, czuję się świetnie. Lekarze chcieli jeszcze raz operować mój nos ze względów kosmetycznych, ale powiedziałem, że co za dużo, to niezdrowo. Gretchen mówi że z tym spłaszczonym nosem jestem teraz bardziej podobny do Twojego ojca.

A propos, Gretchen zaczyna właśnie całkiem nową karierę. W przyszłym tygodniu kończy film, który montuje dla Kinselli, i startuje sama jako reżyser. Kupiła scenariusz, który jej się podobał. Przeczytałem ten scenariusz i też mi się spodobał. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co robić z pieniędzmi, więc zainwestowałem w ten film i staram się możliwie taktownie służyć Gretchen radą na temat finansowej strony przedsięwzięcia. Bądź ostrożny, jak ją następnym razem zobaczysz. Uważa, że odniósłbyś wielki sukces w jednej z ról. Mieliśmy już prawie wszystko w naszej rodzinie, prócz gwiazdy filmowej, i nie jestem całkiem pewien, jak to się odbije na nazwisku rodzinnym.

Przykro mi, że w zamieszaniu po wypadku zapomniałem dotrzymać obietnicy i przysłać listę ludzi, którzy mogliby Ci coś powiedzieć o ojcu. Jest oczywiście Johnny Heath, który razem ze swoją żoną wynajmował „Klotyldę”. Nie pamiętam, czy byłeś już wtedy na pokładzie. Są także państwo Goodheart, którzy pływali na tym statku w rozmaitych sezonach. Podaję adresy na osobnej kartce papieru. Jeżeli chcesz cofnąć się aż do czasów, kiedy Twój ojciec miał tyle lat co Ty teraz, to był w Port Philip chłopiec - teraz oczywiście to już mężczyzna - o nazwisku Claude Tinker, który towarzyszył Twojemu ojcu w jego niektórych eskapadach. Słyszałem, że rodzina Tinkerów mieszka nadal w Port Philip. Jest poza tym Teodor Boylan, teraz już prawdopodobnie stary człowiek, który miał bliskie związki z naszą rodziną.

Widziałem tylko jedną profesjonalną walkę Twojego ojca, z czarnym chłopcem o nazwisku Virgil Walters - może on będzie coś pamiętał.

Menażer Twojego ojca nazywał się Schultz i odnalazłem go kiedyś za pośrednictwem czasopisma „Ring”, kiedy chciałem się skontaktować z ojcem.

Jeżeli przypomną mi się jeszcze jakieś nazwiska, przyślę Ci je.

Żałuję, że nie mogłeś odwiedzić mnie tego lata, i mam nadzieję, że uda Ci się to kiedyś indziej.

Załączam mały prezencik na początek nowego roku szkolnego. Jeżeli potrzebowałbyś więcej, nie wahaj się napisać.

Serdeczności, Rudolf

Wesley złożył list i podobnie jak list Króliczka, schował z powrotem do koperty. On pisze z kotwicą w tyłku, pomyślał. Nie jest taki, istnieje po prostu mur między tym, czym jest, a tym, czym się wydaje. Wesley chciałby bardziej polubić wuja Rudolfa.

Dał obydwie listy Jimmy'emu, kiedy Jimmy przyszedł pomóc zmiatać.

Jimmy też pracował jako roznosiciel. Był Murzynem, w tym samym wieku co Wesley. Jimmy przechowywał zdjęcie Toma w bokserkim kostiumie, które Wesley dostał od dziewczyny z „Time'u”, i wszystkie listy, jakie Wesley otrzymywał, ponieważ matka przynajmniej dwa razy w tygodniu przeglądała rzeczy w jego pokoju, szukając śladu grzechu i wszystkiego, co mogła tam znaleźć. Listy od wuja, Kate i Króliczka byłyby wystarczającym dowodem kolosalnego spisku, mającego okraść ją z miłości syna, o którym to uczuciu często mówiła. Nagłe wybuchy uczucia z jej strony były trudne do zniesienia. Upierała się, żeby go całować i trzymać w objęciach, nazywała go swoim słodkim chłopczykiem i mówiła, że gdyby tylko obciął sobie włosy, byłby pięknym młodym człowiekiem, a gdyby zgodził się korzystać z radości, jakie niesie religia, wprowadziłby swoją matkę w stan błogiej szczęśliwości, i wtedy zarówno ona, jak i Kraler gotowi byłiby zrobić dla niego wszystko.

Matka nie udawała, Wesley wiedział, że go naprawdę kocha i pragnie, żeby był szczęśliwy, ale na jej sposób, nie jego. Jej wylewność wprowadzała go w zakłopotanie. Myślał z tęsknotą o Kate.

Nigdy nie mówił Jimmy'emu o swojej matce ani o Kralerze, chociaż Jimmy był jedynym przyjacielem, jakiego Wesley miał w tym mieście.

Unikał wszystkich innych okazji do zbliżenia, z wyjątkiem pani Wertham, a to się przecież tak naprawdę nie liczyło. Nie chciał odczuwać żalu, że zostawia za sobą cokolwiek, kiedy będzie opuszczał Indianapolis.

Nie miał ochoty wracać do domu na kolację. Wiedział, że jedzenie będzie wstrętne, a ponadto odkąd Kraler dostał telegram, że jego syn Max został zabity w Wietnamie, dom - i tak wystarczająco okropny - stał się ponury jak grobowiec. Teraz codziennie spodziewali się przysłania ciała i ten czas oczekiwania przypominał jeden nie kończący się pogrzeb.

Wesley zaprosił Jimmy'ego na kolację.

- Mogę ci dziś postawić - powiedział. - Mój bogaty wuj znowu mnie obdarował.

Jedli w małej restauracji w pobliżu Supermarketu, w której za dolara pięćdziesiąt można było dostać befsztyk, a kiedy się zamawiało piwo, właściciel nie pytał o dowód stwierdzający pełnoletność.

Jimmy chciał być muzykiem w stylu rock; czasami zabierał Wesleya do domu i grał na klarncie; jedna z siostr akompaniowała mu na pianinie, a druga tymczasem przynosiła im piwo. Siostry traktowały Jimmy'ego jak skarb i uważały że nic nie jest za dobre dla kogoś, kogo Jimmy darzy sympatią. Nie było tu problemu, że ktokolwiek okradnie je z miłości Jimmy'ego, czy jego pozbawi ich uczucia.

Ciepły, ciasny dom Jimmy'ego, wypełniony obecnością dwóch ładnych roześmianych dziewcząt, był jeszcze jednym miejscem w Indianapolis, które Wesley lubił. W porównaniu z Indianapolis, z jego fabrykami, wieczorną i poranną falą białych robotników, nieciekawymi dzielnicami jednakowych domów i zaśmieconymi ulicami, Antibes wydawało się przedmieściem niebiańskiej metropolii.

Wesley nie powiedział matce o Jimmym. Była uprzejma wobec Murzynów, ale uważała, że powinni trzymać się na dystans. Miało to jakiś związek z mormońską religią.

Po kolacji nie zapomniał powiedzieć Jimmy'emu, że bardzo byłby wdzięczny, gdyby od tej pory Jimmy zawoził zamówienia do domu pani Wertham. Nie precyzował dlaczego, a Jimmy o to nie zapytał. To była jeszcze jedna zaleta Jimmy'ego: nie zadawał głupich pytań.

Wolno szedł do domu. Istniała milcząca umowa, że jeżeli wracał o dziewiętej, Kralerowie nie robili mu histerycznych scen na temat włóczenia się po mieście i przynoszenia wstydu rodzinie, nie wypominano mu, że jest nieodrodnym synem swojego ojca. Już codzienna rutyna była wystarczająco nieprzyjemna, ale sceny, zwłaszcza wieczorem, działały mu na nerwy i niemal uniemożliwiały zaśnięcie. Wciąż na nowo rozmyślał o ucieczce, chciał jednak dać matce wszystkie możliwe szanse. Coś w tym musiało być. Przecież kiedyś ojciec ją kochał.

Kiedy przyszedł do domu, Kraler płakał w saloniku, trzymając w ręce oprawione w ramki zdjęcie syna. Na zdjęciu widoczny był Max Kraler w mundurze szeregowca. Był to chłopiec o pociągłej twarzy i smutnych oczach, wyglądał tak, jakby wiedział, że zostanie zabity, zanim skończy dwadzieścia jeden lat. Matka wzięła Wesleya do przedpokoju i wyszeptala, że pan Kraler dostał wiadomość, iż za dwa dni przywiozą ciało Maxa, i spędził całe popołudnie czyniąc przygotowania do pogrzebu.

- Bądź dla niego miły, proszę cię - powiedziała. - On kochał tego chłopca. Chce żebyś

jutro ostrzygł sobie włosy i poszedł ze mną kupić ciemne ubranie na pogrzeb.

- Podobają mi się moje włosy, mamo - powiedział Wesley. - Nie mam zamiaru ich strzyc.

- W takiej chwili... - matka ciągle szeptała - mógłbyś chociaż ten jeden raz... żeby okazać szacunek dla zmarłego.

- Mogę okazać równie wiele szacunku zmarłemu z takimi włosami.

- Nie możesz zrobić nawet takiej drobnej rzeczy, żeby sprawić przyjemność swojej matce? - Zaczęła płakać.

- Lubię takie włosy - powiedział Wesley - nikt, prócz ciebie i jego - zrobił gest w kierunku pokoju - nigdy nie zawraca mi tym głowy.

- Jesteś twardym, upartym chłopcem. - Teraz już łzy spływały obficie po jej policzkach. - Nigdy nie ustąpisz, nawet o cal.

- Ustępuję, kiedy to ma sens.

- Pan Kraler nie pozwoli mi kupić ci nowego ubrania, jeśli nie obetniesz włosów.

- Więc pójdę na pogrzeb w starym ubraniu. Max nie zwróci na to uwagi.

- To przykry żart - zaszlochała.

- Nie miał to być żart.

- Przez to stare ubranie i te włosy jak u dzikiego Indianina narobisz nam wstydu w kościele.

- Dobrze. Więc nie pójdę do kościoła. I nie pójdę na cmentarz.

Nigdy nie widziałem Maxa. Co to za różnica?

- Mamusiu - zawołał pan Kraler z saloniku - czy możesz tu na chwilę przyjść?

- Już idę, kochanie - odpowiedziała Teresa. Spojrzała ostro na Wesleya i uderzyła go mocno w policzek.

Nie zareagował, po prostu dalej stał w hallu. Matka poszła do Kralera, a Wesley po chwili wszedł na górę do swojego pokoju.

Na tym sprawa się zakończyła. W czasie pogrzebu Maxa Kralera Wesley rozwoził artykuły spożywcze.

Kapral Healey, który także służył w Wietnamie, ale nie znał syna Kralera, eskortował ciało chłopca do Indianapolis. Kraler był weteranem wojny koreańskiej, zaprosił więc kaprala, jako towarzysza broni, żeby zatrzymał się u nich, zamiast w hotelu. W noc po pogrzebie Wesley musiał dzielić łóżko z Healeyem, bo zameżna córka Kralera, Doris, mieszkająca w Chicago, zajęła pokój gościnny po drugiej stronie korytarza. Doris, niewielka,

podobna do myszy młoda kobieta, zdaniem Wesleya wyglądała zupełnie jak stary Kraler.

Healey był niskim, przyjemnym mężczyzną lat około dwudziestu trzech, na kurtce miał przypięty medal, Fioletowe Serce, z dwoma paskami. Kraler, który w czasie wojny koreańskiej pracował jako urzędnik w biurze kwatermistrza w Tokio, przez cały dzień zanudzał gościa opowieściami o swoich doświadczeniach wojennych. Healey starał się być uprzejmy, ale dawał Wesleyowi znaki, że chętnie by się urwał. Gdy Kraler przerwał na chwilę swą opowieść, chłopak wstał i oświadczył, że chętnie by się przeszedł; zapytał czy Wesley może mu towarzyszyć, ponieważ boi się, że zabłądzi. Kraler powiedział jak żołnierz do żołnierza: - Oczywiście, kapralu - a Teresa przyzwalająco skinęła głową. Od czasu sceny w hallu nie odezwała się do Wesleya ani słowem, i chłopak był wdzięczny Healeyowi, że wyciąga go z domu.

- Do licha - powiedział Healey, kiedy szli ulicą - ciężka tu służba. A jaka jest siostra, ta Doris?

- Nie mam pojęcia - powiedział Wesley. - Wczoraj widziałem ją po raz pierwszy.

- Przez cały czas robi do mnie oko - powiedział Healey. - Myślisz, że mnie podrywa?

- Skąd mogę wiedzieć.

- Czasami te skromne lalunie przypominają elektrownie, kiedy przychodzi co do czego. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym spróbował?

- A dlaczego miałbym mieć? - zapytał Wesley. - Tylko bądź ostrożny. Matka patroluje dom jak pies wartowniczy.

- Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja - powiedział Healey.

Pochodził z Wirginii, wymawiał słowa miękko i śpiewnie. - Ten pan Kraler jest niesamowity. Z jego opowieści wynika, że w Tokio codziennie wrzała walka wręcz. On pożera po prostu wszystkie krwawe szczegóły mojego zranienia. Jedna rzecz jest pewna: nie mam najmniejszego zamiaru przyłączyć się do amerykańskiego legionu.

Przeżyłem już swoje i nie chcę słyszeć ani jednego słowa ani o tej wojnie, ani o żadnej innej. Gdzie możemy napić się piwa?

- Niedaleko stąd. Chyba przydałby ci się drink.

- Można by się spodziewać, że kiedy facet przywozi ciało - skarżył się Healey - to znajdzie się łyżek czegoś, żeby wszystkich trochę podnieść na duchu. A tu nawet nie dali filizanki kawy, cholera.

- Oni są mormonami.

- To musi być jakaś smutna religia. Chodzę do kościoła w każdą niedzielę, jak tylko mogę, ale nie lekceważę Stwórcy. W końcu Bóg stworzył whisky, piwo, wino, rany boskie;

On nawet stworzył kawę i herbatę. Jak oni myślą, po co to wszystko stworzył?

- Zapytaj Kralera.

- Tak - powiedział ponuro Healey.

Zajęli stolik w restauracji, w której Wesley jadł kolację z Jimmym, i pili piwo. Wesley wytłumaczył, że było to jedyne miejsce, w którym z pewnością nikt nie zwróci mu uwagi, że on nie ma jeszcze osiemnastu lat.

- Jesteś dużym chłopakiem - powiedział Healey. - Przyjemnie chyba być wysokim, wtedy nikt się ciebie zbytnio nie czepia. Powiem ci coś: facet mojego wzrostu zawsze w życiu obrywa.

- Mogą się człowieka czepiać na wiele sposobów, choć nie ma to żadnego związku ze wzrostem.

- Tak. Zauważyłem, że twoja matka i Kraler nie są dla ciebie zbyt serdeczni.

Wesley wzruszył ramionami.

- Znoszę to z uśmiechem.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

- Mógłbyś udawać, że masz dwadzieścia jeden.

- Gdyby to było konieczne - powiedział Wesley.

- Co zrobisz z poborem, kiedy będziesz miał osiemnaście?

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Chcesz posłuchać rady kogoś, kto tam był i o mało nie został na zawsze? - zapytał Healey. - Bez względu na to, co zrobisz, nie podawaj im swojego nazwiska i nie pozwól wręczyć sobie numeru. To nie jest zabawne, Wesley, to wcale nie jest zabawne.

- A co można zrobić?

- Cokolwiek. Po prostu nie dopuść, żeby wzięli cię do wojska.

Nigdy w życiu nie widziałeś takiej masy beznadziejnych, rozczarowanych facetów, do których się strzela, którzy rozrywają się na minach, umierają na najróżniejsze choroby i plugastwa w dżungli, jakie tylko można sobie wyobrazić, a żaden z nich nie wie, co właściwie tam robi. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja zgłosiłem się na ochotnika. Na ochotnika, do jasnej cholery!

- Mój ojciec powiedział mi kiedyś: nie zgłaszaj się na ochotnika na żadną wojnę.

- Twój ojciec wiedział, co mówi. Nie ma wątpliwości, że wojsko potrafi wybić człowiekowi z głowy patriotyzm, zapewniam cię, że mnie nie wyleczyła z niego akcja nieprzyjacielska, chłopie. A już ostatnia kropla się przelała, kiedyśmy z kumplem wysiedli na

lotnisku w San Francisco wystrojeni w paradne mundury, z baretkami, w pełnej gali. Przed nami szły dwie fajne babki; przyspieszyliśmy kroku, dogoniliśmy je i ja zacząłem „Co wy, dziewczynki, robicie dziś wieczorem?” Stanęły i przyjrzały mi się, jakbym był zmija. Nie powiedziały słowa, ale dziewczyna, która stała bliżej, plunęła na mnie, prosto w twarz, najspokojniej w świecie. Wyobraź sobie! Napluła na mnie! Potem odwróciły się i poszły sobie. - Healey pokręcił głową. - Wróciliśmy do domu, prosto z wojny, z odznaczeniami, z Fioletowymi Sercami, i tak nas powitano. Pozdrowienie zwycięskich bohaterów! - Zaśmiał się kwaśno. - Za takich ludzi nie masz ochoty nadstawić tyłka, Wesley. Po prostu nie siedź w miejscu, ruszaj się, żeby nie zdołali położyć na tobie łapy. Mówią, że najlepsze miejsce, żeby się zgubić, to Europa. Paryż jest szansą numer jeden. Nawet jeśli musisz zarejestrować się w ambasadzie, nie zadają sobie trudu, żeby cię wykurzyć.

Rozmowy wokół polowego ogniska, myślał Wesley. Stare bitwy i tęsknota za domem.

- Byłem w Europie - powiedział. - Zupełnie dobrze mówię po francusku.

- Na twoim miejscu nie czekałbym zbyt długo, Wesley. Postaraj się bracie, żebyś na swoje osiemnaste urodziny był w wesołym Paryżu - powiedział Healey i zamówił dwa następne piwa.

Trumna, którą eskortował do Indianapolis, zarówno w kościele, jak i na cmentarzu przystrojona była flagą. Kraler zabrał tę flagę i oświadczył przy kolacji, że powiesi ją w pokoju Maxa, który teraz zajmował Wesley.

Kiedy wrócili, w domu nie paliło się światło, i to już był wystarczający powód do zadowolenia. Gdyby matka nie spała i poczuła od nich zapach piwa, nie obyłyby się bez łez i scen.

Cicho weszli po schodach i właśnie zaczęli się rozbierać, kiedy rozległo się ciche pukanie, drzwi się otworzyły i weszła Doris.

Miała boscie nogi i szlafrok, przez który wszystko było widać.

Uśmiechnęła się do nich i przyłożyła palec do ust, zamykając ostrożnie drzwi.

- Słyszałam, jak wracaliście, chłopcy, i pomyślałam, że byłoby przyjemnie trochę pogadać. Żeby się trochę lepiej poznać - powiedziała. - Czy przypadkiem któryś z was nie ma papierosa? - Mówiła w sposób sztuczny, afektowany, jak gdyby od czasu ukończenia szkoły nie przestała się posługiwać dziecinnym językiem. Wesley zauważył, choć starał się specjalnie nie przyglądać, że miała obwisłe piersi i tłusty, nisko zawieszony tyłek. Gdybym tak wyglądał, pomyślał, nie chodziłbym ubrany w ten sposób, chyba że w kompletnej

ciemności. Jednak Healey uśmiechał się szeroko, a w jego oczach pojawił się nowy błysk. Zdjął już koszulę i od pasa był zupełnie nagi. Ten też nie jest najlepiej zbudowany, zauważył Wesley.

- Bardzo proszę, droga pani - powiedział Healey, wytworny dżentelmen z Wirginii. - Mam całą paczkę w kieszeni. - Przeszedł przez pokój do krzesła, na którym wisiała jego koszula. Wyjął z kieszeni papierosa i zapalki i zaczął zdejmować koszulę z poręczy krzesła.

- Nie musisz się dla mnie ubierać. - Doris poruszyła chudymi ramionami i uśmiechnęła się zalotnie do Healeya. - Jestem mężatką i wiem, jak są zbudowani mężczyźni.

Rzeczywiście podrywała go, pomyślał Wesley, kiedy w ciągu dnia dawała mu znaki.

Healey z galanterią zapalił Doris papierosa. Poczęstował też Wesleya. Wesleyowi nie smakowały papierosa, ale wziął jednego.

- Boże - powiedziała Doris zaciągając się i wypuszczając kółka dymu - jestem z powrotem w krainie żywych. Biedny Max. Niewiele znaczył, kiedy żył, a jedyny moment chwały przeżył jako nieboszczyk. O rany, biskup miał trochę kłopotu, kiedy w swojej mowie usiłował jakoś pochwalić biednego Maxa. - Ze współczuciem pokiwała głową i spojrzała twardo na Wesleya. - Czy jesteś taki zły, jak mówią?

- Istny diabeł.

- Założę się - powiedziała Doris. - Z takim wyglądem. Mówią, że jesteś postrachem mężatek.

- Co? - zapytał zaskoczony Wesley.

- Chcę cię tylko o czymś poinformować - zaczęła Doris - ponieważ wydajesz mi się miłym chłopcem. Powiedz lepiej niejkiej pani W., żeby się postarała rano dotrzeć do skrzynki z listami przed swoim mężem.

- O czym ty do diabła mówisz? - zapytał Wesley, choć mógł się domyślać. Jakieś plotkarki z sąsiedztwa musiały zauważyć rower Supermarketu stojący kilka razy przed domem pani Wertham, i wypaplały to jego matce.

- Kiedy cię nie było, stałeś się tematem rozmowy - wyjaśniła Doris. - Przede wszystkim mówiło się o tym, że jesteś tak niepodobny do Maxa i ta różnica nie wypada na twoją korzyść, o tym mogę cię zapewnić.

- Domyślałam się - powiedział Wesley.

- Matka nie miała też wielu ciepłych słów dla twojego ojca - powiedziała Doris. - On musiał być kimś, jeśli nawet połowa tego, co ona opowiada, jest prawdą. A ty idziesz w jego ślady, powiedziała twoja matka, zostałeś we Francji aresztowany, bo omal nie zabiłeś człowieka w pijackiej bójce.

- Hej - wykrzyknął Healey - bracie, gratulacje!

- A poza tym - kontynuowała Doris - jesteś prawdziwym maniakiem seksu, jak twój stary. Choćby sprawa z tą obrzydliwą panią W., która jest wystarczająco stara, by być twoją matką. A Bóg jeden wie, do ilu jeszcze domów dostarczałeś coś więcej niż tylko artykuły spożywcze. - Doris zachichotała, a jej obwisłe piersi zatrzęśły się pod przezroczystym szlafrocikiem.

- Hej, mam dobry pomysł - powiedział Wesley. Prawie się dusił w maleńkim pokoju, pełnym kółek papierosowego dymu, w obecności zalotnej, złośliwej, niemal nagiej dziewczyny i pożądliwie łypiącego na nią żołnierza. - Wy dwoje macie najwyraźniej sobie wiele do powiedzenia...

- Możesz to jeszcze raz powtórzyć, Wesley - powiedział Healey.

- Nie jestem śpiący - kontynuował Wesley - i chętnie zaczerpnę jeszcze powietrza. Nie będzie mnie pewnie z godzinę - zakończył ostrzegawczo. Nie miał najmniejszej ochoty wrócić do pokoju i zastać tych dwoje w łóżku.

- Może zostanę tu na jeszcze jednego papierosa - powiedziała Doris. - Ja też nie jestem śpiąca.

- To jest nas troje w tej samej sytuacji - dodał Healey.

Wesley gasił właśnie swojego papierosa, kiedy drzwi otworzyły się na całą szerokość. W drzwiach stała jego matka z oczami w słup.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Teresa przyjrzała się najpierw jemu, następnie Healeyowi, a potem, zdawało się, przez całe minuty wpatrywała się w Doris. Doris zachichotała.

- Wesley - powiedziała matka - nie mogę odpowiadać za zachowanie pana Healeya ani córki pana Kralera, która jest mężatką.

Odpowiadam jednak za twoje zachowanie - mówiła chrapliwym szeptem.

- Nie chciałabym budzić pana Kralera, więc byłabym wdzięczna, gdybyś zrobił czy powiedział to, co zamierzasz, cicho i spokojnie.

I może będziesz na tyle uprzejmy, żeby zejść ze mną na dół?

W nastroju oficjalnym, tak jak teraz, była stokroć gorsza niż w napadzie hysterii. Zszedł z nią po ciemnych schodach do saloniku.

Na stole leżała złożona flaga z trumny.

Matka odwróciła się w jego stronę ze zmienioną twarzą.

- Pozwól sobie coś powiedzieć, Wesley - zaczęła tym samym chrapliwym szeptem. - Widziałam właśnie najgorszą rzecz w całym moim życiu. Ta mała, ta dziwka. Kto ją tam

sprowadził? Ty? Kto miał ją pierwszy zerznąć? Ty czy ten żołnierz? - W złości z jej słownika zniknęły pobożne eufemizmy. - Robić to tego samego dnia, kiedy syn mego męża został złożony na wieczny odpoczynek, oddawszy życie za ojczyznę... Gdybym powiedziała panu Kralerowi, co się działo w tym domu, wziąłby na ciebie kij basebalowy.

- Nie mam zamiaru nic tłumaczyć, mam - powiedział Wesley. - Możesz jednak powiedzieć panu Kralerowi, że gdyby spróbował podnieść na mnie palec, zabiję go.

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

- Słyszałam, co powiedziałaś. Powiedziałaś: zabiję, prawda?

- Tak właśnie powiedziałem.

- Masz duszę mordercy. Powinam pozwolić ci zgnić w tym francuskim więzieniu. Tam jest twoje miejsce.

- Nie zapominaj o faktach - powiedział ostro Wesley. - Nie miałaś żadnego udziału w wyciąganiu mnie z więzienia. Zrobił to mój wuj.

- Więc niech twój wuj ponosi wszelkie konsekwencje. - Pochyliła się do przodu, twarz miała wykrzywioną. - Zrobiłam co mogłam, i nie udało mi się. - Nagle schyliła się, złapała przez spodnie penis Wesleya i pociągnęła mocno. - Chętnie bym ci go obcięła - powiedziała.

Wesley chwycił ją za nadgarstek i brutalnie odepchnął jej rękę.

- Jesteś pomyłona, mam. Wiesz o tym?

- Chcę, żebyś w tej chwili opuścił ten dom. Na zawsze!

- To dobry pomysł. Już najwyższy czas.

- Ale ostrzegam cię - powiedziała - mój adwokat zrobi wszystko, żebyś nie dostał ani grosza z plugawych pieniędzy twojego ojca. Z twoją kartoteką nie będzie trudno przekonać sędziego, że nie ma sensu dawać majątku w ręce zdesperowanego mordercy. Idź, wynoś się stąd, idź do swoich dziwek i chuliganów. Ojciec byłby z ciebie dumny.

- Wypchaj się tymi pieniędzmi - powiedział Wesley.

- To twoje ostatnie słowo do matki? - powiedziała melodramatycznie.

- Tak. Moje ostatnie słowo. - Zostawił ją na środku pokoju, oddychając z trudem, jakby miała dostać ataku serca. Bez pukania wszedł do swojego pokoju. Doris już nie było, a Healey leżał na łóżku, paląc papierosa, ciągle nagi od pasa, ale jeszcze w spodniach.

- Cholera jasna - powiedział Healey - ta dama wtargnęła tu w najbardziej nieodpowiednim momencie.

- Tak. - Wesley zaczął wrzucać rzeczy do niewielkiej torby.

Healey przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Dokąd idziesz, bracie?

- Wynoszę się stąd - powiedział Wesley. Zajrzał do portfela, żeby się upewnić, czy ma jeszcze spis nazwisk, który ciągle się powiększał od czasu, gdy wyszedł z więzienia. Nigdy nie zostawił portfela w miejscu, w którym mogłaby go znaleźć matka.

- Teraz, w środku nocy? - zapytał Healey.

- W tej sekundzie.

- Chyba nie mogę cię potępić - powiedział Healey. - Zapowiada się, że śniadanie w tym domu nie będzie przyjemnym posiłkiem. - Roześmiał się. - Kiedy następnym razem armia będzie mnie chciała wysłać z nieboszczykiem, to im powiem, że najpierw muszą mi dostarczyć komplet wiadomości o rodzinie. Jeśli przyjedziesz kiedyś do Aleksandrii, wpadnij do mnie.

- Dobra. - Wesley rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy nie zostawił w pokoju czegoś ważnego. Nie było nic takiego. - Serwus, Healey - powiedział.

- Serwus, bracie. - Healey strząsnął popiół na podłogę. - Pamiętaj, co ci mówiłem o Paryżu.

- Będę pamiętał. - W szczelnie zapiętej starej wiatrówce, która miała go chronić przed chłodem nocy, Wesley cicho wyszedł z pokoju, zbiegł po ciemnych schodach i opuścił dom.

Idąc ciemnymi, wietrznymi ulicami z niewielką torbą w ręce, przypomniał sobie również, jak ojciec powiedział mu, że jednym z najlepszych dni w jego życiu był ten, w którym zdał sobie sprawę, że już przestał nienawidzić jego matkę. To wymagało czasu, powiedział ojciec.

Dla syna to również będzie wymagało czasu, pomyślał Wesley.

Dzień później był w Chicago. Kiedy wszedł do całonocnej restauracji na przedmieściach Indianapolis, usłyszał, jak kierowca ciężarówki mówi do dziewczyny, że jest w drodze do Chicago.

Chicago, pomyślał Wesley, jest równie dobrym miejscem na rozpoczęcie tego, co ma zamiar robić, cokolwiek by to było, jak każde inne. Zapytał więc kierowcę, czy mógłby go zabrać. Kierowca powiedział, że bardzo go ucieszy towarzystwo w drodze. Gdyby nie konieczność słuchania opowieści kierowcy o kłopotach, jakie ma w domu, w New Jersey, z siedemnastoletnią córką, Wesley bardzo by sobie chwalił tę jazdę.

Kiedy kierowca wysadził go w pobliżu Wirgley Field, Wesley zerknął na swoją listę adresową i znalazł adres Williama Abbotta. Mogę równie dobrze zacząć od niego, pomyślał, i udał się pod zanotowany adres.

Dochodziło południe, ale Abbott ciągle jeszcze był w piżamie, pomiętym szlafroku, w

ciasnym jednopokojowym mieszkaniu zaśmieconym butelkami, gazetami, pojemnikami od kawy i pogniecionymi kartkami papieru przy maszynie do pisania.

William Abbott nie zrobił na Wesleyu korzystnego wrażenia, przede wszystkim udawał, że wie o Tomie Jordachu znacznie więcej, niż wiedział naprawdę, toteż Wesley wyszedł, jak tylko mógł najszybciej.

Przez następne dwa dni próbował znaleźć pracę w dwóch czy trzech Supermarketach, ale w tym tygodniu w Chicago nie przyjmowano do Supermarketów, poza tym pytano go ciągle o kartę związkową. Miał niewiele pieniędzy i uznał, że Chicago nie jest dla niego odpowiednim miejscem. Zadzwoił do wuja Rudolfa do Bridgehampton, na jego koszt, żeby uprzedzić, że przyjeżdża, ponieważ nie bardzo wiedział, gdzie poza tym mógłby pojechać.

Rudolf wydawał się jakiś dziwny, niepewny, jakby obawiał się, że może ich podsłuchiwać ktoś niepowołany.

- O co chodzi? - zapytał Wesley. - Jeżeli nie chcesz, to wcale nie muszę przyjeżdżać.

- Nie o to chodzi - głos Rudolfa był pełen niepokoju. - Chodzi o to, że dwa dni temu dzwoniła twoja matka, żeby sprawdzić, czy jesteś u mnie. Ma nakaz aresztowania.

- Co takiego?

- Nakaz aresztowania - powtórzył Rudolf. - Myśli, że cię gdzieś ukrywam.

- Aresztowania? Ale za co?

- Mówi, że ukradłeś sto pięćdziesiąt dolarów z jej domowych pieniędzy, które jeszcze wieczorem przed twoim odejściem miała w dzbanku nad kuchenką. Powiedziała, że da ci nauczkę. Czy wzięłeś te pieniądze?

- Żałuję, że tego nie zrobiłem - powiedział Wesley z goryczą. To ten przeklęty Healey, pomyślał. W wojsku nauczył się żyć w nieprzyjacielskim kraju. A może, co bardziej prawdopodobne, zrobiła to ta Doris z twarzą lalki.

- Jakoś to wyjaśnię - powiedział uspokajająco Rudolf. - Tymczasem nie wydaję mi się, że postąpiłbyś rozsądnie przyjeżdżając tutaj.

Czy potrzebujesz pieniędzy? Powiedz, gdzie jesteś, to wyślę ci przekaz.

- Wszystko w porządku - powiedział Wesley. - Jeśli przyjadę do Nowego Jorku, dam ci znać. - Odwiesił słuchawkę, zanim Rudolf zdążył cokolwiek powiedzieć.

Tylko tego mi potrzeba, pomyślał, ciupy w Indianapolis.

Wtedy zdecydował, że pojedzie do Nowego Jorku. Rudolf nie był jedyną osobą, którą znał w tym mieście. Przypomniał sobie, jak miła dziewczyna z „Time'u” mówiła, żeby zwrócił się do niej, gdyby kiedykolwiek potrzebował pomocy. Nikt nie pomyśli o tym, żeby go szukać w redakcji czasopisma „Time”.

Następnego ranka był już w drodze.

ROZDZIAŁ II

Po telefonie z Chicago nie rozmawiał z wujem prawie przez dwa miesiące.

Kiedy przyjechał do Nowego Jorku, udał się prosto do biura Alicji Larkin. Po pięciu dniach spędzonych w drodze musiał wyglądać strasznie, bo kiedy wszedł do jej redakcyjnego pomieszczenia, zrobiła taką minę, jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody. Od paru dni prawie nic nie jadł, sypiał w szoferkach ciężarówek, był nie ogolony, miał poszarpany kołnierzyk, spodnie poplamione smarem, bo pomagał zmieniać koło w przyczepie pod Pittsburgiem, a w kieszeni czterdzieści pięć centów.

Kiedy jednak minął pierwszy szok, panna Larkin była wyraźnie rada, że go widzi, i uparła się zabrać go na dół na lunch, jeszcze zanim zdążył powiedzieć, po co przyjechał.

Kiedy się już najadł i poczuł znów jak istota ludzka, opowiedział jej o wszystkim. Starał się nie nadawać swej opowieści zbyt dużego znaczenia i nawet żartował, bo nie chciał, żeby ta miła dziewczyna wzięła go za przerośniętego dzieciaka. Łatwo było z nią rozmawiać, patrzyła na niego badawczo zza okularów, a gdy tłumaczył, dlaczego opuścił Indianapolis, opowiadał o nakazie aresztowania, podziale masy spadkowej i o wszystkim innym, jej drobna twarz o różowych policzkach była napięta.

Kiedy wyrzucał to wszystko z siebie, nie przerywała mu, od czasu do czasu tylko wzdychała, potrząsała głową z wyrazem współczucia lub oburzenia.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - zapytała, kiedy skończył.

- No, mówiłem już chyba, jak byłem tu poprzednim razem, że chciałbym porozmawiać z ludźmi, którzy znali mojego ojca, i zorientować się, jaki on się im wydawał... różnym ludziom w różnych okresach jego życia. Znałem go niecałe trzy lata. - Teraz mówił z przejęciem, nie nadawał swoim słowom ironicznego brzmienia, nie starał się sprawiać wrażenia dorosłego. - Mam takie wrażenie, jakby w mojej głowie była wielka dziura... w miejscu, gdzie powinien być mój ojciec... i chciałbym wypełnić ją, jak tylko będę mógł. Pewnie brzmi to głupkowato...

- Nie, wcale nie - powiedziała.

- Mówiłem, że mam listę ludzi... - Wyciągnął z kieszeni portfel i położył na stole zniszczoną kartkę papieru, na której wypisane były nazwiska. - Wydaje mi się, że „Time” może odnaleźć każdego, sądziłem, że gdyby nie sprawiło to pani zbyt dużego kłopotu, to może w wolnej chwili...

- Oczywiście - powiedziała panna Larkin - nie jesteśmy tak wszechmocni, jak mógłbyś... - przerwała ujrawszy jego zaskoczony wyraz twarzy. - To znaczy tak

wszystkowiedzący, jak mógłbyś przypuszczać, ale odszukiwanie ludzi czasami nam się udaje.

- Spojrzała na listę. - To musi zająć trochę czasu i nie ma żadnej gwarancji, że odnajdę ich wszystkich, ale... - przyjrzała mu się z zaciekawieniem. - Zatrzymasz się w Nowym Jorku?

- Chyba tak.

- Gdzie?

Wesley niezręcznie poruszył się na krześle.

- Nie zdecydowałem się jeszcze. Przyjechałem prosto tutaj.

- Wesley, powiedz mi prawdę, ile masz pieniędzy?

- Co to za różnica? - odpowiedział broniąc się.

- Wyglądasz jak strach na wróble. Jadłeś tak jakby to był twój pierwszy posiłek od tygodnia. Ile masz przy sobie pieniędzy?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Czterdzieści pięć centów - powiedział. - Dziedzic fortuny Jordachów. Oczywiście - dodał pospiesznie - mogę zawsze zadzwonić do wuja i on mnie wesprze, ale na razie wolałbym tego nie robić.

- Czy mogę zabrać tę listę? - zapytała panna Larkin. - Będziesz musiał mi naturalnie powiedzieć, kim są ci ludzie i gdzie, twoim zdaniem, można ich znaleźć.

- Oczywiście.

- To może potrwać kilka tygodni.

- Nie spiesz mi się.

- I masz zamiar przeżyć kilka tygodni za czterdzieści pięć centów?

- zabrzmiało to jak oskarżenie, jakby panna Larkin była na niego zła.

- Coś się trafi - powiedział wymijająco. - Zawsze się trafia.

- Czy czułbyś się urażony, gdybym ci powiedziała, że coś się właśnie trafiło? - Z niewyjaśnionych powodów spłonęła rumieńcem.

- Co?

- Ja - powiedziała znacznie głośniejszym głosem, niż przypuszczała. - Ja się nadarzyłam. - Słuchaj uważnie. Mam dwa pokoje i kuchenkę. Możesz spać na sofie, która jest całkiem wygodna. Nie jestem najlepszą kucharką, ale nie umrzesz z głodu.

- Na to się nie mogę zgodzić - zaprotestował Wesley.

- Dlaczego nie?

Znowu uśmiechnął się blado.

- Nie wiem dlaczego.

- Czy masz jakieś inne ubranie?

- Mam czystą koszulę, parę skarpetek i jakąś bieliznę. Zostawiłem to na dole w informacji.

Panna Larkin z afektacją skinęła głową.

- Czystą koszulę. O ile mogę się domyślać, ludzie z tej listy rozsiani są po całym kraju...

- Tak myślę. Ojciec trochę się włóczył po świecie.

- I zamierzasz podróżować po całych Stanach, chodzić do domów tych ludzi i zadawać im najbardziej intymne pytania, mając tylko jedną czystą koszulę.

- Nie zastanawiałem się nad tym specjalnie - powiedział przybierając postawę obronną.

- Będziesz miał szczęście, jeśli z takim wyglądem w ogóle cię gdzieś wpuszczą. Dziwię się, że pozwolili ci wejść na górę do mojego biura.

- Chyba przez ostatnich kilka dni nie patrzyłem do lustra - powiedział.

- Powiem ci, co zamierzam z tobą zrobić. - Ton panny Larkin był bardziej pewny siebie niż jej samopoczucie. - Zamierzam zabrać cię do domu, pożyczyć trochę pieniędzy, żebyś kupił sobie jakieś ubranie, i...

- Nie mogę na to pozwolić...

- Oczywiście, że możesz - powiedziała krótko. - Słyszałeś przecież, że powiedziałam „pożyczyć”?

- Bóg jeden wie, kiedy dostanę swoje pieniądze.

- Mogę poczekać - powiedziała.

Westchnął głęboko. Widziała wyraźnie, jaką ulgę poczuł Wesley.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle jest pani dla mnie taka miła - powiedział. - Prawie wcale mnie pani nie zna...

- Wiem o tobie dosyć, żeby być dla ciebie miła - teraz z kolei ona westchnęła. - Muszę być wobec ciebie uczciwa i coś ci powiedzieć.

Nie robię tego tak, z litości. Mam dalekosiężne plany. Wiesz, co to znaczy?

- Czytałem kiedyś książkę, panno Larkin... - powiedział nieco urażony.

- Alice.

- Chciałem powiedzieć, że nie jestem tak głupi, na jakiego wyglądam.

- Wcale nie przypuszczam, że jesteś głupi. Jednak - powiedziała biorąc głęboki oddech

- Mam prywatne, egoistyczne powody, żeby robić to, co robię, i równie dobrze możesz poznać je teraz, jak później. Mam nadzieję, że nie będziesz się czuł dotknięty.

- Jak mogę się czuć dotknięty, kiedy ktoś chce przyjąć mnie jako współlokatora i

ubrać jak uczciwego człowieka?

- Coś ci powiem - zaczęła. - Kiedy ostatnim razem wyszedłeś z mojego biura... Nie. Zacznę od początku. Tak jak prawie wszyscy pracownicy pisma, chcę zostać pisarką. Myślę o sobie jako o powieściopisarce. Kiedy cię poznałam, miałam już napisanych sześćdziesiąt stron powieści. Po twoim wyjściu poszłam do domu i spaliłam je.

- Dlaczego to zrobiłaś - zapytał. - Co to ma wspólnego ze mną?

- Wszystko. Jak szukałam tej dokumentacji i potem wysłuchałam twojej historii, uznałam, że wszystko, co napisałam, to bazgroły, płaskie, wyświechtane, wtórne. Postanowiłam napisać powieść o młodym chłopaku, którego ojciec został zamordowany...

- O... - powiedział miękko Wesley. Teraz przyglądał jej się uważnie.

- Ten młody chłopak - kontynuowała, unikając jego wzroku, patrząc na stół - chce się dowiedzieć wielu rzeczy: kto to zrobił, dlaczego, jakie życie prowadził jego ojciec. On nie znał ojca, rodzice rozwiedli się, kiedy był małym chłopcem, i ojciec zniknął.

Żeby cię uspokoić, powiem, że to morderstwo nie zostaje popełnione w Europie. Ja nic nie wiem o Europie. Nigdy tam nie byłam. Ale fabuła nie różni się tak bardzo od tego, co ty robisz...

- Rozumiem.

- Widzisz teraz, jak dalekosiężny jest mój plan?

- Tak.

- Mając cię stale przed oczami, będę mogła cię obserwować i pomóc ci w znalezieniu tych wszystkich ludzi. W jakiś sposób można to uznać za uczciwą wymianę. Czy masz coś przeciwko temu?

Wesley wzruszył ramionami.

- Niekoniecznie. Chociaż nie bardzo widzę siebie jako bohatera książki.

- To nie jest zupełnie tak - wyjaśniła panna Larkin. - Ty będziesz jedynie postacią w mojej wyobraźni, wykorzystam tylko to, co będzie mi potrzebne, mając nadzieję, że powstanie z tego dobra książka.

- A jeśli dojdiesz do wniosku, że nie byłem wart tego zachodu?

- Zaryzykuję.

- Jak się kończy ta książka? - Wesley był zaciekawiony. - Czy on znajduje mordercę?

- Tak, w końcu znajduje.

- I co wtedy robi?

- Mści się.

Wesley zaśmiał się kwaśno.

- W książce to łatwe, co?
- Nie chcę niczego ułatwiać.
- A co się dzieje z chłopakiem?

Panna Larkin głęboko wciągnęła powietrze.

- Zostaje zabity.

Wesley nie patrząc na nią bębnił palcami po stole.

- To nawet logiczne - powiedział.
- Oczywiście chodzi tu o fikcję - powiedziała.
- Częściowo - dodał Wesley.

- Jeżeli zadajesz się z pisarzami, czy nawet z kimś, kto tak jak ja myśli, że jest pisarzem, to ryzykujesz, że będą próbowali ukraść przynajmniej część twojej duszy.

- Nawet nie wiedziałem, że mam duszę.

- Pozwól, że ja będę o tym decydować - powiedziała Alice. - Ale jeżeli to wszystko wydaje ci się wstrętne, czy idiotyczne, to nie musisz się godzić.

- Czy mimo wszystko napiszesz tę książkę?

- Tak. Będę próbowała.

- To co, u diabła - roześmiał się. - Jeżeli w ogóle mam duszę, to chyba wystarczy mi jej na kilka stron książki!

- Dobrze - powiedziała szybko Alice, chociaż ręce jej drżały.

Wyciągnęła coś z torebki. - Muszę wracać do pracy. Tu jest moja karta kredytowa od Bloomingdale'a, na rogu Lexington Avenue i Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. - Mówiąc to bazgrała coś na firmowym papierze „Time'u”. - Pokażesz tę kartkę razem z numerem mojego konta, żeby byli pewni, że upoważniam cię do korzystania z niego. Pójdiesz tam dziś po południu i kupisz sobie kilka koszul i flanelowe spodnie. Poproś, żeby przysłali wszystko do domu; będzie jasne, że ja to zamawiam. Nie możesz przecież chodzić tak ubrany. Koło szóstej wróć tutaj i pójdziemy razem do domu. Aha, będą ci przecież potrzebne jakieś pieniądze; choćby na przejazd.

- Znowu pogrzebała w torbie i podała mu pięć dolarów w banknotach jednodolarowych i trochę drobnych.

- Dziękuję. Pamiętaj, że wszystko, co mi dajesz, to tylko pożyczka. Dostanę koło trzydziestu tysięcy dolarów, kiedy skończę osiemnaście lat.

- Będę pamiętać. - W głosie Alice zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Zapisz to - nalegał Wesley. - Pięć dolarów i datę.

Alice skrzywiła się.

- Jak chcesz. - Wyjęła pióro, notes i zapisała. Podała mu notes przez stół. - Jesteś zadowolony?

Wesley z powagą przyjrzał się stronie w notatniku.

- W porządku - powiedział. Alice schowała notes do torebki.

- Czy teraz, kiedy jestem postacią z książki, mam się jakoś specjalnie zachowywać? Czy nie mogę używać brzydkich słów, mam pomagać uciemżonym dziewczynom, itede?

- Możesz się zachowywać, jak ci się podoba - powiedziała Alice. I wtedy zauważyła, że Wesley żartował i że się śmieje. I ona się roześmiała. - Nie bądź za mądry na swój wiek, chłopcze - powiedziała.

Wesley był w drodze do Port Philip. Równie dobrze mogę wystartować od miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło, powiedział, kiedy Alice odkryła, że Teodor Boylan jeszcze żyje i mieszka ciągle w Port Philip. Ojciec wspominał coś Wesleyowi o związkach Boylana z rodziną, a do Port Philip jechało się tylko dwie godziny pociągiem.

Wesley był schludnie ubrany we flanelowe spodnie, sportową marynarkę i porządne brązowe buty z magazynu Bloomingdale'a. Alice uparła się także, żeby przystryc mu włosy, nie za krótko, ale porządnie. Wydawało się, że jest zadowolona z jego obecności w małym mieszkanku na West Side, w pobliżu parku. Powiedziała, że już jej było smutno mieszkać samotnie, i po wyjściu z pracy myśli z przyjemnością o tym, że zastanie go w domu. Kiedy przychodzili do niej młodzi mężczyźni, przedstawiała Wesleya jako kuzyna z zachodu, który przyjechał spędzić u niej kilka tygodni.

Czekając, aż Alice wyszuka informacje, o które ją prosił, Wesley z przyjemnością włóczył się po mieście. Dużo chodził do kina, oglądał Radio City Music Hall, budynek ONZ, krzykliwe światła Broadwayu. Wiezorami Alice zabierała go czasem do teatru, co otworzyło przed nim zupełnie nowy świat, bo nigdy dotąd nie widział spektaklu na żywo.

W domu starał się jej nie przeszkadzać, kiedy stuknęła na maszynie do pisania w swoim pokoju. Nigdy nie zaproponowała, żeby przeczytał to, co napisała, a Wesley nie zadawał żadnych pytań.

Czasami czuł się dziwnie czytając pisma w dużym pokoju i słuchając stukotu maszyny ze świadomością, że tam za drzwiami, ktoś pisze o nim albo wymyśla postać, która mogłaby być nim. Od czasu do czasu Alice wychodziła z pokoju i przez dłuższy czas przyglądała się Wesleyowi w milczeniu, jak gdyby studiowała go, próbując odgadnąć jego myśli; po chwili wracała do swojego pokoju i znów zaczynała stukać na maszynie.

Ilekcio zabierała go do teatru czy na kolację, zmuszała ją, by cenę biletu lub posiłku

zapisła w notesiku.

Pociąg z turkotem posuwał się na północ wzdłuż rzeki Hudson. Dzień był jasny, słoneczny, rzeka błyszcząca i czysta. Wesley pomyślał, jak przyjemnie byłoby mieć małą łódź i żeglować po szerokim nurcie, wzdłuż zielonych urwistych brzegów, małych sennych miasteczek, zakotwiczać się na noc i obserwować, jak się toczy życie tych miejscowości.

Zobaczył ogromną, przerażającą bryłę Sing Singu w Ossining i poczuł przez moment jakby ból wspólnoty z ludźmi zamkniętymi wewnątrz. Ta wielka, wolna rzeka, płynąca tuż pod ich zakratowanymi oknami, i oni tam, odliczający lata. Nigdy, pomyślał, nigdy. Cokolwiek się zdarzy.

Na dworcu w Port Philip wsiadł do taksówki i powiedział: - Do rezydencji Boylana.

Kierowca zapuszczając silnik przyjrzał mu się z zaciekawieniem we wstecznym lusterku.

- Chyba nie miałem takiego kursu od dziesięciu lat - powiedział. - Czy ma pan zamiar tam pracować?

- Nie, to wizyta towarzyska.

Kierowca wydał dziwny dźwięk, trudno było odgadnąć, czy to kaszel czy śmiech.

Wesley patrzył przez okno. Miasto wyglądało obskurnie, ulice były zaniedbane, jak gdyby mieszkający tu ludzie, pewni klęski, już dawno temu zarzucili wszelkie próby upiększenia miejskiego pejzażu. Niewiadomo dlaczego, przypomniało to Wesleyowi włóczęgów śpiących na parkowych ławkach, którzy po obudzeniu mówili ładnym, poprawnym językiem absolwentów college'u.

Brama wjazdowa do rezydencji Boylana była wyłamana i zdjęta z zawiasów, żwirowa alejka prowadząca pod górę, do domu, pełna dziur, trawniki pozarastane, dzikie żywopłoty nie przycięte. Sam dom wyglądał jak miniatura Sing Singu.

- Proszę chwilę poczekać - powiedział Wesley zapłaciwszy szoferowi. - Zobaczą, czy mnie wpuszczą. - Nacisnął dzwonek u frontowych drzwi. Z wnętrza nie dobiegł żaden odgłos, więc po chwili nacisnął znowu. Rozejrzał się dookoła. Chwasty na trawniku były niemal wysokości człowieka, po murze ogrodowym pięło się dzikie wino.

Minęło kilka minut, już zamierzał wsiąść z powrotem do taksówki i wrócić do miasta, kiedy drzwi się otworzyły. Stał w nich zgarbiony stary człowiek w pasiastej kamizelce lokaja.

- Słucham? - powiedział.

- Chciałbym porozmawiać z panem Boylanem - zaczął Wesley.

- Kogo mam zaanonsować?

- Jordach.

Stary człowiek przyjrzał mu się badawczo, pochylając się do przodu, żeby lepiej widzieć.

- Zobaczę, czy pan Boylan jest w domu - powiedział i zamknął drzwi.

Kierowca niecierpliwie nacisnął klakson.

- Jeszcze chwileczkę, dobrze? - wykrzyknął Wesley.

Po trzydziestu sekundach drzwi otworzyły się znowu.

- Pan Boylan może pana przyjąć - powiedział stary człowiek.

Wesley dał znak taksówkarzowi, że może odjechać. Taksówka śmignęła dokoła pełnego dziur podjazdu przed domem i ruszyła ze wzgórza.

Stary człowiek poprowadził Wesleya przez długi, ciemny hall i otworzył drzwi.

- Może pan pozwoli, sir - powiedział przytrzymując drzwi.

Wesley wszedł do dużego pokoju, w którym też było ciemno, gdyż okna przesłaniały ciężkie zasłony, choć na zewnątrz świeciło słońce. W wysokim, obitym skórą fotelu siedział mężczyzna i czytał książkę. W pobliżu jednego z dużych okien prowadzących na taras, gdzie padało trochę słońca, siedziały przy stoliku dwie młode kobiety i grały w karty. Z zaciekawieniem przyjrzały się Wesleyowi. Chociaż było już późne popołudnie, miały na sobie nocne koszule i plisowane szlafrociki.

Mężczyzna wolno się podniósł, starannie odłożył książkę grzbietem do góry na poręcz fotela.

- Ach - powiedział - pan Jordach? - Jego głos był cienki i oschły.

- Tak, proszę pana.

- Jordach. Znam to nazwisko. - Zachichotał cichutko. - Jestem Teodor Boylan. Niech pan siada. - Wskazał ręką na identyczny kryty skórą fotel, stojący naprzeciw tego, w którym sam siedział. Nie podał Wesleyowi ręki. Miał błyszczące blond włosy, które na pewno farbował, pobrużdżoną starą twarz, ostry nos i zamglone oczy.

Wesley usiadł. Czuł się sztywny i skrepowany, świadom spojrzeń dwóch kobiet. Wolałby, żeby ich nie było w pokoju.

- A czym to pan jest szczeniakiem? - zapytał Boylan, siadając w fotelu. - Księcia kupców czy tego rzezimieszka?

- Tomasza - odpowiedział Wesley. - Tomasz Jordach to mój ojciec.

- Już nie żyje. - Boylan skinął głową, jakby na znak aprobaty. - Niedługo chodził po tym świecie. Tak mu było pisane. Zamordowany - zwrócił się do kobiet przy oknie. - I to w

ładnej części świata - rzucił złośliwe spojrzenie na Wesleya. - Czego pan chce?

- Wiem, że znał pan moją rodzinę - zaczął Wesley.

- Bardzo blisko. Zbyt blisko - znów mówił do kobiet przy oknie. - Ciotka tego młodego człowieka była dziewczyną, kiedy ją poznałem.

Kiedy mnie opuściła, nie była już dziewczyną. Może pan wierzyć lub nie, ale w pewnym momencie poprosiłem, żeby została moją żoną.

Odmówiła. - Odwrócił się do Wesleya. - Czy powiedziała to panu?

- Nie.

- Jestem pewien, że jest wiele rzeczy, o których panu nie powiedzieli. Pana ciotka i wuj z ogromną przyjemnością przychodzili do tego domu. Dom był wtedy w znacznie lepszym stanie. Podobnie jak ja - znowu zachichotał; ochrypli, nieprzyjemny dźwięk. - Nauczyłem ich wielu rzeczy, kiedy byli młodzi i wygłodniali. W tym domu otrzymali bardzo cenne lekcje.

Przez te wszystkie lata nie pokazali się tu, żeby odwiedzić starego człowieka. Ale, jak widzisz, młodzieńcze, nie jestem tak całkiem pozbawiony towarzystwa... - Beztrosko wskazał ręką na dwie młode kobiety, które znów zaczęły grać w karty. - Młode piękności - powiedział ironicznie. - To są zalety bogactwa. Możesz sobie kupić młodość. Przychodzą i odchodzą. Są dwa, trzy miesiące, a wybiera je dla mnie pewna dyskretna madame, która jest moją starą i cenną znajomą w wielkim mieście Nowy Jork. I która ciągle nie może wyjść ze zdumienia, kiedy słyszy z rubinowych usteczek opowieści o nienasyconym apetycie starego człowieka.

- Och, uspokój się, Teddy - powiedziała jedna z kobiet, tasując karty.

- Moje drogie. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście na chwilę zostawiły mężczyzn, by mogli sobie sami porozmawiać.

Kobieta, która się odezwała, westchnęła i podniosła się z krzesła.

- Chodź, Elly - powiedziała - on jest znowu w jednym z tych swoich przeklętych nastrojów.

Druga kobieta również wstała i obydwie wyszły z pokoju, kołysząc biodrami, stukając wysokimi obcasami pantofli o wypastowaną posadzkę.

- Z płacenia za pracę wypływa jedna ogromna korzyść - zaczął Boylan, kiedy kobiety wyszły z pokoju i zamknęły za sobą drzwi. - Pracownicy są posłuszni. Na starość człowiek ceni posłuszeństwo bardziej od innych cnót. A więc, młody człowieku, interesują cię szlachetne korzenie twojej rodziny...

- Właściwie interesuje mnie przede wszystkim mój ojciec...

- Znane mi są głównie jego wyczyny - powiedział Boylan. - Ale Gretchen i Rudolfa

znałem aż zbyt dobrze. Obawiam się, że pański wuj, Rudolf, od wczesnej młodości cierpiał na powszechną amerykańską chorobę: interesowały go tylko pieniądze. Próbowałem nim pokierować, pokazałem mu drogę do świetności, chciałem go nauczyć doceniać doskonalsze rzeczy w życiu, ale jego wielmożność dolar władał nim bez reszty. Ostrzegałem go, że sam się unieście, ale cierpiał na niemal żydowską zachłanność. - Boylan potarł kciukiem środkowy palec. - Brzęk monet był niebiańską muzyką dla jego uszu. Nie wystarczała mu fortuna, którą zdołał sam zgromadzić, musiał jeszcze ożenić się z wielkimi pieniędzmi, i to go załatwiło. Był skazany i ostrzegałem go, ale ogłuszyły go dźwięki złotej harfy. - Zaśmiał się wesoło. Potem zaczął spokojniej: - Był to człowiek pozbawiony podstawowej cnoty, jaką jest wdzięczność. Ale zapłacił za to, a ja w każdym razie go nie żałuję.

- Naprawdę, panie Boylan - wtrącił sztywno Wesley - ja przyszedłem po...

- Co do Gretchen - kontynuował Boylan, jak gdyby Wesley w ogóle się nie odezwał. - Najładniejsza dziewczyna w mieście. Dojrzała jak piwonia kwitnąca na kupie żużla. Była poważna, skromna, ze spuszczonej oczami. Na początku. Potem już nie. Mogła mieć wygodne życie, cieszyć się szacunkiem, podróżować: byłem gotów ofiarować jej wszystko. Raz kupiłem jej jaskrawoczerwoną suknię.

Kiedy wchodziła do pokoju w błyszczącej czerwieni, każdy mężczyzna odczuwał niepokój. Wzruszył ramionami. - Wzgardziła wszystkim, co jej ofiarowałem. Wolała tanich młodych mężczyzn, którym łatwo przychodziło kłamstwo, szybko zmieniających się w jej łóżku. Sama się zniszczyła swoją nieokiełznaną zmysłowością. Proszę żeby pan zapamiętał moje słowa i powtórzył jej dokładnie, jeśli ją pan zobaczy.

Ramol, pomyślał Wesley, kompletny ramol, ale obdarzony szaloną swadą. Starał się nie myśleć o ciotce Gretchen wchodzącej do pokoju w czerwonej sukni, którą kupił jej ten zbzikowany staruch.

- Chodzi mi o to - powtórzył z uporem - czy mój ojciec...

- Pański ojciec - powiedział pogardliwie Boylan - był kryminalistą i podpalaczem, i jego miejsce było za kratkami. Przychodził tu szpiegować swoją siostrę i podpalił krzyż na wzgórzu za domem, ponieważ w czasie jednego z takich bandyckich najazdów odkrył, że siostra jest na górze w moim łóżku, i zobaczył mnie, całkiem nagiego, w tym właśnie pokoju, jak przygotowywałem dla niej drinka. Płonący krzyż. Symbol bigoterii i ignorancji. - Boylan wypłukał te słowa, po tylu latach ciągle jeszcze oburzony płonąca obelgą pod własnym domem. - Oczywiście wydało się to wiele lat później. Claude Tinker, chłopak, który był jego współnikiem, a teraz jest szanowanym obywatelem tego miasta, wyznał mi to wszystko przy dobrym obiedzie w mojej własnej jadalni. Pański ojciec... - Boylan potarł swój długi,

pomarszczony, starczy nos.

- Powiedziałbym, że to niewielka strata. Śledziłem jego karierę.

Jak należało się spodziewać, nic mu się nie udało. Nawet utrzymanie się przy życiu.

Wesley podniósł się.

- Bardzo panu dziękuję, panie Boylan - powiedział. Nienawidził tego człowieka. - Chyba usłyszałem dosyć. Teraz już pójdę.

- Jak pan chce - powiedział niedbale Boylan. - Zna pan drogę do wyjścia. Uważałem, że może pana zainteresować prawda, w pańskim wieku prawda może być użytecznym przewodnikiem. Jestem już za stary na to, by kłamać czy rozpieszczać jakieś przygodne męty tylko dlatego, że byłem kiedyś uprzejmy dla jednej czy dwóch osób z rodziny. - Podniósł książkę z oparcia fotela i zaczął czytać.

Wychodząc z pokoju i kierując się w stronę drzwi frontowych Wesley myślał: mój stary nie powinien podpalić samego krzyża. Powinien podłożyć ogień pod cały ten cholerny dom. Z tym skurwysynem w środku.

Kilka mil w dół wzgórza aż do stacji poszedł piechotą i miał szczęście, bo kiedy wchodził na peron, pociąg właśnie wjeżdżał.

Kiedy wrócił do domu, Alice miała przygotowaną kolację. Dostrzegła jego zaciśnięte usta, napięte szczęki, toteż zjedli w milczeniu.

Nie zapytała, jak mu poszło w Port Philip.

Alice powiedziała Wesleyowi, że Dominic Joseph Agostino, który walczył w latach dwudziestych i trzydziestych jako Joe Agos, albo Piękność Bostonu, i prowadził salę gimnastyczną w klubie Revere, kiedy pracował tam Tom Jordach, jeszcze żyje i ciągle pracuje w klubie. Ojciec mówił Wesleyowi, że Agostino był dla niego dobry, nie pozwolił wyrzucić go z pracy, kiedy posądzono Toma o przeszukiwanie szafek członków klubu, i nawet przekonał go, by startował jako amator. Tom cieszył się, że w ogóle spróbował boksu, chociaż w końcu nie zrobił kariery. Do diabła - mówił - lubiłem walczyć. Branie za to pieniędzy stanowiło czysty zysk. W każdym razie przez jakiś czas. Tom powiedział, że Agostino miał jedną cudowną cechę: wobec członków klubu, z którymi staczał walki sparringowe, był tak grzeczny jak układna pokojówka, i zawsze mówił im, jacy są dobrzy i jakie robią postępy w tym co nazywał Sztuką, udawało mu się nawet przez sekundę nie dać nikomu poznać, że naprawdę miałby ochotę wysadzić w powietrze każdego z nich, razem z tym całym budynkiem i jego wytwornymi pomieszczeniami pełnymi olejnych portretów starej bostońskiej arystokracji.

- Był wzorem dobrych manier - mówił Tom z podziwem - i bardzo wiele mnie nauczył.

Wesley wsiadł w samolot do Bostonu na lotnisku La Guardia - trzydzieści sześć dolarów w obydwie strony, jak zapisał to w notesiku, który teraz sam prowadził, by mieć pewność, że Alice chytrze nie oszukuje samej siebie w sprawie pieniędzy, które mu pożycza. Podróż byłaby bardzo przyjemna, gdyby nie eks-spadochroniarz, który usiadł obok i zaczął się pocić, jak tylko samolot rozpoczął kołowanie. Spadochroniarz wbijał paznokcie w dłonie i powtarzał od chwili, gdy znaleźli się w powietrzu:

„Niech pan posłucha lewego silnika, nie podoba mi się ten lewy silnik, na litość boską, rozbijemy się, a ci faceci z kabiny mają to w nosie”.

Im więcej się o czymś wie, pomyślał Wesley, tym mniej się to lubi.

Samolot nie rozbił się, a kiedy już znaleźli się na ziemi, były spadochroniarz przestał się pocić i wyglądał jak zwykły pasażer, który właśnie wysiadł z samolotu.

Stary człowiek za biurkiem recepcji w klubie Revere przyjrzał się dziwnie Wesleyowi, kiedy ten zapytał, czy mógłby rozmawiać z panem Agostino.

- Ja jestem Agostino - powiedział. Miał cichy chrapliwy głos, był niedużego wzrostu, kościsty, uniform klubowy wisiał na nim luźno, a wielkie jabłko Adama poruszało się w tę i z powrotem na żylastej szyi.

- Chodzi mi o tego, który pracował w sali gimnastycznej - wyjaśnił Wesley.

- To ja - mężczyzna przyjrzał mu się podejrzliwie. - Od piętnastu lat nie pracuję na sali. Pieprzony wiek. A poza tym artretyzm.

Zrobili ze mnie portiera. Z dobroci serca. W jakiej sprawie chciałeś się widzieć z Agostino?

Wesley przedstawił się.

- Syn Tommy Jordana - powiedział bezbarwnie Agostino. - Co ty wiesz? Pamiętam go. Został zabity, prawda? Gdzieś to czytałem. - W szepczącym chrapliwym głosie o południowobostońskim akcencie nie było żadnej emocji. Jeżeli nawet nazwisko przywoływało jakieś miłe wspomnienia w tej łysiejącej głowie ozdobionej kilkoma wiotkimi siwymi włosami, zatrzymywał to dla siebie. - Szukasz pracy? - Teraz ton stał się oskarżycielski.

Fachowym okiem zmierzył Wesleya. - Masz nawet dobrą budowę. Chcesz stanąć na ringu czy co?

- Nie jestem bokserem - powiedział Wesley.

- Też dobrze. W klubie już nie uprawiają boksu. Uznali, że to nie jest sport dla dżentelmenów. Z tymi wszystkimi czarnuchami i tak dalej. Teraz, kiedy chcą wyjaśnić różnicę zdań, skarżą się do sądu - zaśmiał się, wypuszczając z gwizdem powietrze przez dziury po brakujących zębach.

- Chciałem tylko porozmawiać z panem kilka minut o moim ojcu - wyjaśnił Wesley. - Jeżeli ma pan czas.

- Twój ojciec. Tak. Miał cios, twój ojciec, ale tylko w prawej.

Lewą rękę można było mu równie dobrze przywiązać do pleców.

Widziałem go raz w walce zawodowców. Widziałem, jak znokautował tamtego słabeusza. Ale po walce powiedziałem mu: „nigdy nie dojdiesz na szczyt, jeśli nie wyrobisz sobie lewej ręki”. I chyba nigdy sobie nie wyrobił. Choć tak jak się dziś sprawy mają, mógłby załapać parę dobrych dniówek, jako biały i tak dalej. Twój stary nie był złym chłopakiem. Podejrzywałem u niego żyłkę do złodziejstwa, nie żebym go potępiał, kiedy ściany w tej budzie praktycznie wytapetowane były dolarami. Jak oszedł, opowiadano tu różne historie. Jakoś się rozeszło, że szantażował jednego członka klubu, i adwokata; na Boga, szło o pięć tysięcy kawałków. Ojciec faceta dowiedział się o tym i rozpuścił wiadomość, że jego biedny synalek jest chory na kleptomanię. Pieniądze nie przestawały ginąć i chyba twój stary musiał faceta przyłapać i kazał sobie płacić za milczenie. Mówił ci kiedyś o tym?

- Tak. Powiedział, że to był jego szczęśliwy dzień.

- To niezła forsa, całych pięć kafli. Co on z tym zrobił?

- Zainwestował. Właściwie zrobił to jego brat w jego imieniu. W końcu kupił jacht.

- O tym też czytałem w tej gazecie. Jacht. Cholera. Chciałbym mieć takiego brata. Taki nędzny gówniarz kończy jako właściciel jachtu!

- Agostino pokręcił głową. - Zgadzałem się z nim, od czasu do czasu stawiałem mu kilka piw. Nie zaskoczyło mnie zbytnio, że został zabity. Taak, porozmawiam z tobą, jeśli tylko o to ci chodzi... - W głosie Agostina można było wyczuć podejrzliwość. - Nie mam zamiaru składać się na żaden fundusz pamięci Toma Jordana ani nic takiego, jeżeli o to ci chodzi.

- Chcę tylko przez chwilę porozmawiać - powiedział Wesley.

Agostino skinął głową. - W porządku. Za parę minut mam kwadrans przerwy. Zastępuje mnie wtedy szef sali restauracyjnej. Niedaleko stąd jest bar. Tam się spotkamy. Tym razem ty możesz postawić piwo.

W tym momencie do recepcji podszedł korpulentny mężczyzna w czarnym płaszczu z aksamitnym kołnierzem i powiedział:

- Dzień dobry, Joe. Czy jest dla mnie poczta?

- Dzień dobry, panie Saunders. - Agostino skłonił się lekko. - Miło znów pana widzieć. Tym razem już na dobre wyszedł pan ze szpitala?

- Do następnego razu - odpowiedział korpulentny mężczyzna i roześmiał się. Agostino posapując śmiał się razem z nim.

- Wiek, Joe, wiek - westchnął mężczyzna.

- Czyż nie jest to smutna prawda? - powiedział Agostino. Kiedy Wesley wychodził z klubu, odwrócił się i sięgał ręką do przegródki z literą S.

- Najlepiej pamiętam dzień - mówił Agostino nad kuflem piwa w końcu ciemnego baru - kiedy miałem sparringową walkę z jednym z członków klubu. Wielki facet, młody; jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, z takiej pieprzonej starej rodziny bostońskiej. - Głos Agostina, ciągle jeszcze ostry, i czarne jak węgiel, bystre sycylijskie oczy pełne były nienawiści. - Jakieś zasrane mistrzostwo międzyszkolne zdobył piękny chłopiec o nazwisku Greening. To nazwisko pamiętam do dziś, Greening. Myślał, że jest nie wiem czym w tych rękawicach, waga półciężka, ja miałem wtedy sto trzydzieści sześć, sto trzydzieści osiem. Jego twarzy przez cały czas nie opuszczał ten chłodny wyraz wyższości, skurwysyn trafił mnie w brodę hakiem, popartym całą jego wagą.

Myślałem, że złamał mi tę przeklętą szczękę. Byłem tego dnia bardzo zaziębiony, nie mogłem złapać tchu podczas tych sparringów w sali. Rany boskie, nie śmiałeś dotknąć żadnego z tych członków klubu mocniej, niżbyś głaskał szczeniaka, wylaliby cię na zбитy pysk, zanim zdążyłbyś otworzyć usta, gdybyś upuścił choć kroplę krwi z jakiegoś nosa z Beacon Hill, a ten skurwysyn ogłuszył mnie, powybił mi zęby, usta miałem pełne juchy, nie mogłem złapać tchu, miał wspaniały temat do późniejszych opowieści w barze wśród takich samych szykownych gówniarzy, ciągnących krew z biedaków!

Dranie! - Agostino pokręcił głową, kępki włosów na łysinie poruszyły się, podniósł rękę do kościstej szczęki, jakby chciał sprawdzić, czy jest złamana, skrzeczący, wściekły starczy głos na chwilę zamilkł. Patrząc na niego Wesley nie potrafił go sobie wyobrazić młodego, poruszającego się lekko po ringu, rozdającego i odbierającego ciosy. Jednego jestem pewien, myślał obserwując, jak Agostino głośno siorbie piwo, nie chciałbym nigdy być tak stary.

- Potem - kontynuował Agostino - to była już czysta przyjemność.

Greening był poirytowany, nie dostał swojej porcji dziennych ćwiczeń, mówił, że nawet nie opłacało mu się rozbierać, i zapytał twojego ojca, czy nie powalcząby z nim rundę lub dwie. Dałem twojemu staremu znak i włożył rękawice. Chłopcze, to była rozkosz dla

oczku. Ta wspaniała, prosta mistrzowska postawa nie znaczyła nic dla twojego ojca, chociaż na początku dostał parę naprawdę mocnych w głowę, zanim się zorientował, że to gówno z nim też chce walczyć poważnie. Wtedy po prostu zmasakrował faceta; nie przerywali na żadne rundy ani inne podobne grzeczności, zwyczajnie rzucili się na siebie. Przez chwilę wydawało mi się, że Tom po prostu robi to dla mnie osobiście, bierze odwet za całe moje nędzne życie. W końcu twój ojciec przyłożył mu wspaniały prosty i stara bostońska rodzina ze szklanymi oczami zaczęła kręcić się w kółko jak pijany komediant. Tom był gotów dołożyć mu ostatniego, ale wkroczyłem na ring i przerwałem walkę. Nie martwiłem się o Toma, wiedział, co robi, ale musiałem myśleć o swojej robocie. Pan Greening wrócił do krainy żywych, krew miał rozmazaną po całej tej przeklętej harwardzkiej buźce, i wyszedł z sali nie mówiąc nawet dziękuję. Twój stary nie miał żadnych wątpliwości. „No to koniec z moją robotą” - powiedział. „Prawdopodobnie - przytaknałem - ale było warto. Dla mnie.” - Agostino zarechotał radośnie na wspomnienie tego odległego wspaniałego momentu. - Cztery dni później kazano mi go wyrzucić. Pamiętam ostatnią rzecz, jaką mu powiedziałem: „Nigdy nie wierz bogatym.” - Spojrzał na zegar wiszący nad barem. - Muszę już wracać. Miło z twojej strony, że przyszedłeś, synu. Dziękuję za piwo. - Wziął leżącą na barze czapkę z daszkiem od uniformu, i bardzo starannie włożył ją na głowę. Czapka była na niego za duża i jego blada, koścista twarz wyglądała jak twarzyczka zagłodzonego dziecka. Już wychodził, ale zawrócił i podszedł do Wesleya: - Powiem ci coś, synu, jest cała masa ludzi, których chętnie widziałbym martwych zamiast twojego ojca.

Potem zgarbiony, poczłapał w stronę drzwi, żeby zająć swoje miejsce w recepcji klubu, gdzie marząc o sycylijskiej zemście i zniszczeniu będzie wydawał pocztę i śmiał się służalczo z dowcipów członków klubu aż do końca swoich dni.

Tego wieczoru, kiedy Wesley wrócił do Nowego Jorku, Alice zauważyła, że jest w zupełnie innym nastroju niż po powrocie od Boylana z Port Philip.

- Ten facet, Agostino - powiedział, pomagając w kuchni szykować kolację, co polegało głównie na rozstawianiu talerzy i układaniu nakryć - to wspaniały, niesamowity stary człowiek. Na pewno wart był tej podróży. - Potem opowiedział jej najdokładniej, jak pamiętał, wszystko, co mówił stary bokser: Alice prosiła, żeby wielokrotnie powtarzał niektóre zdania, „jeśli to możliwe, słowami tego faceta”, jak gdyby próbowała zapamiętać, złapać właściwy ton głosu tego człowieka, rytm jego wypowiedzi i wyobrazić sobie jego rzeczywisty wygląd.

- Na Sycylii pewnie paliłby zbiory i porywał principessas - powiedziała Alice. - Biedny człowiek, siedzi uwięziony w Bostonie i wydaje pocztę. Ale, ale, dziś w redakcji

dostałam wiadomości dla ciebie. Pisałam do starego dziennikarza w Elysium w stanie Ohio, który czasami pracuje dla nas, jeśli coś ciekawego dzieje się w tamtej części świata, i chyba odnalazł dla ciebie Klotyldę twojego ojca.

- Jak on to, do diabła, zrobił! - wykrzyknął Wesley, chociaż po odnalezieniu przez Alice Dominica Josepha Agostino zaczął przypuszczać, że nikt nie zdoła się ukryć przed dociekliwością magazynu „Time”.

- Wydaje się, że przed kilkoma laty odbył się w Elysium dość głośny rozwód - mówiła Alice. - Szanowny obywatel o nazwisku Harold Jordach, chyba mówi ci coś to nazwisko?... - Alice uśmiechnęła się do niego znad talerza sałatki.

- Daj spokój!

- Żona wystąpiła o rozwód, ponieważ znalazła go w łóżku służącej.

Narobiło się dużo szumu w Elysium, w stanie Ohio, i nasz człowiek, który nazywa się Farrell, pisał o tym w lokalnej gazecie. Jak będziesz miał czas, możesz się z nim zobaczyć. Żona poszła sobie, zabierając manatki, dom, połowę interesu i alimenty, a ta kobieta została publicznie napiętnowana. A wszystko to działo się w tym małym, cichym, bogobojnym miasteczku. Czy potrafisz odgadnąć nazwisko damy przyłapanej flagrante delicto?

- Powiedz mi - poprosił Wesley, choć potrafił nie tylko odgadnąć nazwisko damy, ale także znaczenie zwrotu flagrante delicto.

- Klotylda - powiedziała triumfalnie Alice. - Klotylda Devereux.

Prowadzi pralnię mechaniczną na tej samej ulicy co gazeta Farrella. Mam adres w notesie. Co ty na to?

- Jadę jutro do Ohio - powiedział Wesley.

Stał naprzeciwko pralni na sennej uliczce. Ze stacji autobusowej zatelefonował do garażu Jordacha, z zamiarem spotkania się z wujecznym dziadkiem Haroldem, zanim poszuka Klotyldy Devereux.

Równie dobrze może najpierw załatwić tę gorszą część sprawy. Kiedy wreszcie Harold Jordach podszedł do telefonu i Wesley powiedział mu, kim jest, tamten od razu zaczął krzyczeć:

- Nie chcę mieć z tobą do czynienia. I z nikim z twojej rodziny! - Mówił dość dziwnie, a podniesiony ton głosu podkreślał jeszcze niemiecki akcent. - Dostyc miałem kłopotów przez tę przeklętą rodzinę Jordachów. Wystarczy mi na całe życie, nawet gdybym dożył dziewięćdziesiątki. Nie przychodź węszyć tutaj ani koło mojego domu, bo zawołam policję. Nie chcę mieć do czynienia z synem człowieka, który splugawił mój dom. Jedyna dobra

rzecz, jaką mogę powiedzieć o twoim ojcu, to że nie żyje. Słyszysz mnie?

- Słyszę - powiedział Wesley i odwiesił słuchawkę. Wyszedł z budki telefonicznej kiwając głową. Schludność i uroda miasteczka zrobiły na nim wrażenie, już kiedy jechał autobusem, a teraz patrząc na równo przystrzyżone trawniki, pomalowane na biało domki w stylu nowoangielskim, drewniane kościółki z wąskimi wieżyczkami, zastanawiał się, jak można tak długo zachować złość w tak przyjemnym mieście, a to udało się najwyraźniej wujecznemu dziadkowi Haroldowi. Rozwód widać nie poprawił mu humoru. Idąc pod wskazany mu przez Alice adres zastanawiał się leniwie, czy wujeczny dziadek Harold potrafiłby dojść do porozumienia z jego matką.

Pralnia mechaniczna należała do ogromnej sieci podobnych zakładów i przypominała wszystkie inne pralnie tego rodzaju: przez wielkie szklane okno widać było cały rząd maszyn ze stojącymi naprzeciwko nich krzeselkami, na których siedziały kobiety i rozmawiały czekając, aż pranie będzie gotowe.

Przed wejściem do środka Wesley wahał się przez chwilę. Ojciec mówił o Klotyldzie z tak melancholijną nutą tęsknoty i żalu za jej urodą i dobrocią, że wydawało mu się głupie tak przejść wzdłuż rzędu włączonych maszyn i plotkujących kobiet do lady, za którą stała niska, tęga kobieta, wydająca ludziom pranie i resztę, i powiedzieć jej:

- Jestem synem mojego ojca. Mówił mi, że kiedy był w moim wieku, bardzo panią kochał.

A jednak nie przyjechał przecież z Nowego Jorku do Ohio po to, żeby tylko popatrzeć przez okno. Rozprostował ramiona, wszedł do środka, ignorując zaciekawione spojrzenia kobiet, które zamilkły, żeby przyjrzeć mu się dokładnie, kiedy je mijał.

Kobieta za ladą stała odwrócona do niego plecami. Kiedy się zbliżył, układała na półkach zawinięte w papier paczki z czystą bielizną. Miała gołe ramiona. Wesley zauważył, że są silne i krągłe, a skóra ma ciemny odcień. Kruczoczarne włosy kobiety związane były niedbale w węzeł na czubku głowy, co pozwalało obserwować pracę mięśni na karku, kiedy wsuwała paczki na miejsce.

Miała na sobie luźną, kolorową sukienkę, przez co jej plecy i ramiona wydawały się jeszcze szersze. Wesley czekał przy ladzie, aż skończy układanie paczek i się odwróci.

- Słucham - powiedziała uprzejmie. Twarz miała szeroką, o wystających kościach policzkowych, a cerę niemal miedzianą.

Wszystko, razem z tymi kruczoczarnymi włosami i czarnymi oczami, pomyślał Wesley, przypomina indiańską squaw. Ojciec mówił kiedyś o swoim przypuszczeniu, że Klotylda ma trochę indiańskiej krwi jakiegoś plemienia z puszczy kanadyjskich. Wesleyowi

kobieta wydała się bardzo stara.

- Szukam pani Devereux, pani Klotyldy Devereux - powiedział.

Kobieta spojrzała na niego bez uśmiechu, badawczo, lekko drgnęła, jakby próbowała sobie coś przypomnieć.

- Znam cię - rzekła. - Jesteś synem Toma Jordacha, prawda?

- Tak - odparł Wesley.

- Wielki Boże, miałam wrażenie, że widzę ducha. - Uśmiechnęła się.

- Duch w pralni. - Zachichotała. - Był to głęboki, płynący z gardła chichot. Ten śmiech wzbudził sympatię Wesleya, ale nie potrafił się dopatrzeć w tej starzejącej się, pulchnej kobiecie ani śladu urody, o której mówił ojciec. - Proszę się pochylić nad ladą - powiedziała.

Wesley spełnił jej życzenie. Kobieta ujęła jego twarz w swoje dłonie, przez dłuższą chwilę patrzyła na niego z bliska, a potem pocałowała go w czoło. Usłyszał za sobą śmiech jednej z kobiet przy pralkach.

Kobieta puściła go i Wesley stanął prosto, ciągle czując na czole dotyk miękkich warg. Klotylda uśmiechnęła się smutnym, niemal sennym uśmiechem.

- Mój Boże - powiedziała miękko - syn Toma w tym mieście. - Zaczęła rozwiązywać fartuch, który miała na perkalikowej sukience.

- Wyjdziemy stąd. Tutaj nie można rozmawiać. Sara! - krzyknęła w kierunku zaplecza pralni, za półkami z bielizną - czy możesz tu na chwilę przyjść?

Kiedy pojawiła się młoda blondynka z rozczochranymi włosami, Klotylda powiedziała:

- Sara, nie będzie mnie przez resztę popołudnia. Zresztą jeszcze tylko godzina do zamknięcia, a ja mam ważne spotkanie. Zastąp mnie tutaj i potem zamknij, dobrze?

- Tak, proszę pani.

Klotylda powiesiła fartuch i zrobiła coś z włosami, tak że opadły jej na ramiona. Stała się przez to jeszcze bardziej podobna do Indianki. Otworzyła przymocowaną na zawiasach część kontuaru i wyszła na zewnątrz. Miała szerokie biodra, obfity biust i mocne, grube nogi bez pończoch. Nagle w sposób niemal bolesny przypomniała Wesleyowi Kate.

Wzięła Wesleya pod rękę, kiedy przechodzili koło siedzących kobiet, które teraz demonstracyjnie im się przyglądały ze złośliwym uśmieszkiem w kącikach ust. Już na zewnątrz Klotylda powiedziała:

- Od czasu tej sprawy w sądzie kobiety w mieście patrzają na mnie jak na rozpustnicę babilońską. - Kiedy szli ulicą bez przerwy trzymała Wesleya pod rękę. - O Boże - westchnęła - jak przyjemnie jest wyjść na powietrze po całodziennym wążaniu brudnej bielizny.

- Spojrzała z ukosa na Wesleya. - Słyszałeś o tej sprawie?

- Tak - przytaknął. - Właśnie dzięki temu panią znalazłem.

- Nie ma tego złego... Wiem, że twój ojciec nie żyje. - Powiedziała to obojętnie, jak gdyby już dawno zapanowała nad uczuciami. - Czytałam w tym artykule, że ożenił się dwa razy. Czy był szczęśliwy?

- Za drugim razem.

Klotylda skinęła głową.

- Bałam się, że już nigdy nie będzie szczęśliwy. Wszyscy go tak osaczali...

- Miał własny statek. Jacht - tłumaczył Wesley. - Na Morzu Śródziemnym. On kochał morze.

- Coś podobnego. Tom na Morzu Śródziemnym. Zawsze chciałam podróżować, ale... - Nie dokończyła zdania.

- Nazwał swój statek „Klotylda”.

- O Boże! - wykrzyknęła, nie zwalniając kroku i ciągle trzymając go pod rękę. - Klotylda! - I wtedy Wesley zauważył, że kobieta płacze, a łzy obficie płynące z czarnych oczu błyszczą na jej gęstych, czarnych rzęsach.

- Kiedy ludzie go pytali, dlaczego wybrał takie imię dla statku, mówił zwykle, że to imię starej królowej francuskiej. Ale mnie podał prawdziwą przyczynę.

- Po tylu latach... - powiedziała z niedowierzaniem, głos jej się załamał. - Po tym, co się zdarzyło. - Teraz głos Klotyldy stał się ostry. - Czy o tym też ci opowiedział?

- Tak. Że wuj znalazł panią i jego... razem, i zagroził, że każe panią deportować z powrotem do Kanady za deprawowanie nieletnich...

- Czy powiedział ci też, jaki był dalszy ciąg? - Głos Klotyldy nabrał jeszcze ostrzejszego brzmienia.

- Chyba tak. O pani i wuju. O tym, co wyszło na jaw na procesie i było w gazetach. - Wesley czuł się skrepowany.

- Wstrętny, zaśliniony facet - powiedziała z zawziętością Klotylda. - Byłam służącą w jego domu. Nie mogłam ryzykować powrotu do Kanady, mój mąż by mnie zabił. Próbowałam to wytłumaczyć Tomowi. Ale on nie chciał zrozumieć. Chciał, żebym z nim uciekła. Szesnastoletni chłopak... - Klotylda roześmiała się, a śmiech ten zabrzmiał smutno na słonecznej, wysadzonej drzewami ulicy.

- W końcu zrozumiał - powiedział Wesley. - Powiedział mi to.

Zresztą świadczy o tym nazwa jachtu, prawda?

- Chyba tak. - Klotylda szła w milczeniu, ocierając łzy wierzchem dłoni. - Czy mówił

ci, że pewnego dnia, kiedy szedł do pracy, włożyłam kartkę do paczki z kanapkami?

- Nie przypominam sobie.

- Napisałam: „kocham cię”. I tak się to wszystko zaczęło; - Zaśmiała się gwałtownie. - Boże, jaki on miał apetyt! Nie widziałam nikogo, ani mężczyzny, ani chłopaka, kto by tyle jadł.

Jakie ja żarcie gotowałam dla niego! Pieczenie, jarzyny z ogródka, wszystko, co najlepsze, kiedy jego wuj i cała ta straszna rodzina wyjechali do Saratogi i mieliśmy cały dom dla siebie. Popołudniami zwykle śpiewałam sobie przy kuchni czekając, aż Tom wróci z pracy.

Te dwa tygodnie będę pamiętać do końca mojego życia. - Zatrzymała się nagle jakby pociągnięta jakąś niewidzialną smyczą, obróciła Wesleya dokoła i trzymając go za ramiona zaglądała mu w oczy: - Dlaczego tu przyjechałeś? Czy potrzebujesz czegoś ode mnie?

- Nie. Przyjechałem właśnie po to, co teraz robimy... żeby porozmawiać o nim.

Po chwili milczenia, w czasie którego ciemne oczy badawczo wpatrywały się w jego twarz, Klotylda znów go pocałowała w czoło.

- To wprost niebywałe, jak bardzo jesteś do niego podobny. On był pięknym młodzieńcem, powiedziałam mu, że wygląda jak święty Sebastian, sprawdził to w encyklopedii w bibliotece... i wtedy także się dowiedział, skąd pochodzi moje imię. Trudno sobie wyobrazić takiego dzikiego chłopaka jak on szukającego czegoś w encyklopedii. - W miarę jak Klotylda mówiła, twarz jej nabierała miękkości i Wesley wyobrażał sobie, że musiała mieć dokładnie taki sam wyraz wtedy, gdy ojciec wrócił z biblioteki i powtórzył jej, czego się tam dowiedział.

- Czy jesteś rozczarowany? - zapytała.

- Dlaczego?

- Po tym, co ojciec musiał ci o mnie naopowiadać, i że nazwał statek moim imieniem... i ta królowa Francji... - Zaśmiała się krótko. - A znajdujesz starą, grubą kobietę za ladą pralni.

- Nie. Nie jestem rozczarowany. - Nie był całkowicie pewien, czy mówi prawdę. Musiała być zupełnie inna, kiedy była młoda, pomyślał.

- Jesteś porządnym chłopcem - powiedziała, kiedy znów podjęli marsz. Mam nadzieję, że powodzi ci się lepiej niż twojemu ojcu w tym wieku.

- Zupełnie nieźle - powiedział Wesley.

- Po tym jak... kiedy my... kiedy zerwaliśmy ze sobą, można tak powiedzieć, chociaż mieszkaliśmy w tym samym domu, widywałam go codziennie i podawałam mu posiłki; jadł

razem z całą rodziną w jadalni, ale nie powiedzieliśmy już do siebie ani słowa, poza jednym „do widzenia”. Tom stał się wtedy dziki, jakby go coś dręczyło. Co wieczór wracał do domu zakrwawiony po bijatykach, ludzie zaczęli go traktować jak zbląkanego, niebezpiecznego psa, rznął każdą kurewkę w mieście. Oczywiście dowiedziałam się o tym, ale myślę, że było to z jego strony coś w rodzaju zemsty. Nie miałam mu tego za złe, chociaż wiedziałam, że pewnego dnia będzie musiał za to zapłacić w tym parszywym zakłamanym miasteczku.

Wsadzili go do więzienia za gwałt. Gwałt, dobre sobie. Wszystkie dziewczyny i kobiety z odrobiną bigła latały za nim po mieście jak gromada dzieciaków za wozem strażackim. Czy o tym ci mówił?

- Tak.

- A o bliźniaczkach, którym rzekomo zrobił dzieci? I o tym, jak ojciec dziewczyn wniósł skargę?

- Mówił mi.

- Musiał cię naprawdę bardzo kochać, jeżeli opowiadał ci takie rzeczy.

- Chyba tak. Lubił ze mną rozmawiać. - Noce na pokładzie, przy świetle gwiazd, w ciemnej sterówce.

- Było jasne, że przyczepią się do niego, przy tej reputacji, jaką miał, wszyscy chętnie wierzyli, że zdolny jest do najgorszego - powiedziała z goryczą Klotylda. - Te bliźniaczki mogły wybierać spośród pięćdziesięciu ojców! Łącznie z gliną, który aresztował Toma. Widuję je... znaczy te bliźniaczki... ciągle jeszcze tu mieszkają, dziś to już dorosłe kobiety. Nie radzę ci się z nimi spotykać. Jeden z ich dzieciaków wygląda, jakby był twoim bratem.

- Klotylda wesoło zachichotała. - Wreszcie zaczęło płynąć choć trochę przyzwoitej krwi przynajmniej w paru żyłach w tym mieście.

- Czasami - dodała miękko - późno w nocy leżę i tak się zastanawiam, jak by to było, co by z tego wynikło, gdybym posłuchała szalonych błagań twego ojca i uciekła z nim.

Dwudziestopięcioletnia służąca i szesnastoletni chłopiec, oboje bez grosza... Przecież nie mogłam mu tego zrobić? - zapytała błagalnie.

- Nie, chyba nie - odpowiedział Wesley.

- Ale ja nie przestaję mówić. O sobie. O tej dawnej historii. - Klotylda niecierpliwie potrząsnęła głową. - A co u ciebie?

Wszystko w porządku?

- Nie tak źle.

- Dobrze się bawisz?

- Nie posunąłbym się aż do takiego twierdzenia.

- Ale wyglądasz, jakby ktoś się tobą opiekował, dobre ubranie itede, jak młody dżentelmen.

- Miałem szczęście - powiedział Wesley. - Do pewnego stopnia. Ktoś się o mnie troszczy. W pewnym sensie.

- Opowiesz mi wszystko o sobie przy kolacji. Nie spieszysz się z wyjazdem, co?

- Nie. Zamierzałem wyjechać jutro.

- Zrobię dla ciebie pieczone żeberka wieprzowe z tłuczonymi kartoflami, sosem jabłkowym i czerwoną kapustą. To było jedno z ulubionych dań twojego ojca. - Zawahała się.

- Muszę ci coś powiedzieć, Wesley. Nie jestem sama. Żyję z jednym mężczyzną, który jest majstrem w fabryce mebli. Nie braliśmy ślubu. On ma żonę i dwoje dzieci i jest katolikiem. Będzie na kolacji. Nie masz nic przeciwko temu? - zapytała z niepokojem.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. Ani z moim ojcem.

- Ludzie są dziwni - powiedziała Klotylda. - Trudno przewidzieć, jak zareagują. - Westchnęła. - Kobieta nie może żyć sama. W każdym razie ja. Można żyć na dwa sposoby: na co dzień z mężczyzną, który wraca z pracy, siada wieczorem do czytania gazety i picia piwa i nie ma ci wiele do powiedzenia, i w wyobraźni, wspominając wspaniałe dni, kiedy było się młodszym, z dzikim chłopakiem.

Wesley, muszę ci powiedzieć, że twój ojciec był najdelikatniejszym i najczulszym mężczyzną, o jakim może marzyć kobieta na tym padole. I miał na młodych wspaniałych mięśniach skórę jak jedwab, najgładszą, jakiej kiedykolwiek dotykałam. Nie masz mi za złe, że mówię ci takie rzeczy?

- Właśnie to chciałem usłyszeć - powiedział Wesley czując, jak oczy wypełniają mu się łzami, nie nad sobą, ani nawet nie nad zmarłym ojcem, ale nad idącą obok niego starzejącą się kobietą o szerokich ramionach, ciemnej indiańskiej skórze, kobietą, której życie wypełnione pracą nie oszczędziło rozczarowań.

- Czy lubisz wino do kolacji? - zapytała Klotylda.

- Chętnie wypiłbym kieliszek - powiedział Wesley. - Dość długo byłem we Francji.

- Wstąpimy do sklepu z alkoholem - powiedziała wesoło Klotylda - i kupimy butelkę wspaniałego czerwonego wina, żeby uczcić wizytę pięknego syna mojego ukochanego. Frank, to jest mój chłop, majster w fabryce mebli, może przy takiej okazji zrezygnować z piwa.

Alice powiedziała Wesleyowi, że Schultz, dawny menażer jego ojca, jest w hebrajskim domu starców w Bronksie.

- To ten gruby stary człowiek, który siedzi w hallu ubrany w kapelusz i płaszcz, jakby

miał zaraz wyjść - wyjaśnił Wesleyowi ktoś z obsługi. - Tyle, że nigdy nie wychodzi. Siedzi tak codziennie, przez cały dzień, i nigdy nic nie mówi. Nie wiem, czy będzie z panem rozmawiał. Do nikogo się nie odzywa.

Wesley przeszedł przez pusty hall do miejsca, gdzie na prostym drewnianym krześle siedział nieprzeciętnie gruby mężczyzna, wypływający z garnituru i płaszcza, w meloniku prosto nałożonym na głowę. Rysy jego twarzy stanowiły niewyraźne zygzaki na ogromnej przestrzeni tłuszczu. Mężczyzna miał półprzymknięte oczy, patrzył na przeciwległą ścianę i oddychał z ciężkim sapaniem.

- Panie Schultz - zaczął Wesley - czy mogę z panem chwilę porozmawiać?

Pobrużdżone powieki mężczyzny podniosły się ciężko, a oczy obróciły się powoli w stronę Wesleya, chociaż głowa razem z melonikiem pozostała nieruchoma.

- Co to dla pana za różnica, czy jestem Schultz, czy nie? - zapytał grubas. Miał gardłowy głos, a kiedy mówił, słysząc było także kłapanie sztucznych szczęk:

- Nazywam się Wesley Jordach. Był pan kiedyś menażerem mojego ojca, Toma Jordacha.

Oczy powoli wróciły na dawną pozycję, Schultz znów się zapatrzył w odłazącą ze ściany korytarza farbę. - Tom Jordan - powiedział grubas. - Nie pozwalam wymieniać tego nazwiska w mojej obecności.

Jak słyszałem, podobno go zabili. Syn czy nie, nie spodziewaj się, że stary Schultz powie, że mu z tego powodu przykro. Było w nim coś, dzięki czemu mógł do czegoś dojść, ale przerznął to. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem, przez dwa tygodnie jadł i pił jak świnia z angielską dziwką. A kiedy dostał już w dupę, załatwiłem mu pensję w Las Vegas. Dostawał pięćdziesiąt dolców dziennie za sparring z Freddyem Quaylesem. To był chłopak! Jedyna szansa w moim całym żalonym życiu na prowadzenie mistrza. A co ten robi? Pieprzy się z żoną Quaylesa, a kiedy Quayles przychodzi do jego pokoju, żeby zaprotestować przeciwko takiemu zachowaniu, o mało go nie morduje. Potem już Quayles nie był w stanie pobić nawet mojej matki. Gdybym nie zlitował się wtedy nad twoim starym i nie pożyczył mu samochodu, żeby prysnął z Vegas, mafia pokrajałaby go na kawałki kuchennymi nożami. Nie ma powodów do dumy z twojego starego, chłopcze, to pewne, ale bez wątplenia w hotelowym pokoju był jak dynamit. Tyle że dla pieniędzy trzeba walczyć na ringu o wymiarach dwadzieścia cztery stopy na dwadzieścia cztery, i to jeszcze w obecności sędziego ringowego.

Gdyby pozwolili twojemu staremu walczyć w ustępie i pobierali opłaty za wstęp, to wtedy ten skurwysyn na pewno zostałby mistrzem świata. Moja jedyna szansa, Freddy

Quayles, który poruszał się jak tancerz, rozgromiony z powodu cipy. Chcesz usłyszeć coś o swoim starym, to ci powiem: pozwolił, żeby go zniszczył własny kutas.

- Ale był pan z nim przecież przedtem - wtrącił Wesley - przecież coś...

- Zniszczony przez własnego kutasa - powiedział starzec, kłapiąc szczękami i patrząc wprost przed siebie. - Powiedziałem swoje.

Spieprzaj stąd. Nie mam czasu.

Wesley chciał jeszcze coś powiedzieć, ale uświadomił sobie że to beznadziejne. Wzruszył ramionami i wyszedł zostawiając grubasa w palcie i meloniku, zapatrzonego w ścianę korytarza.

Nie bardzo wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, Wesley sumiennie zdał Alice sprawę z wizyty u Schultza. Kiedy skończył powiedział:

- Sam nie wiem, czy chcę jeszcze rozmawiać z kimkolwiek, kto go znał. W każdym razie po tej stronie Atlantyku. Może są pewne rzeczy, których syn nie powinien słuchać o swoim ojcu. Może wiele rzeczy. Jaki ma sens wysłuchiwanie po całym kraju ludzi, którzy go obsmarowują? Musiał być zupełnie innym człowiekiem, kiedy był w Ameryce. Nie ma związku między człowiekiem, którego ja znałem, a tym, o którym oni opowiadają. Jeżeli posłucham jeszcze jednej osoby opowiadającej, jak parszywy był mój ojciec i jak się cieszy, że on nie żyje, to może wrócę do Indianapolis i pozwolę, żeby matka ostrzygła mi włosy i zaprowadziła mnie do kościoła, i może zapomnę o ojcu raz na zawsze... - Przerwał widząc wyraz dezaprobaty na twarzy Alice.

- To równa się rezygnacji.

- Może tak właśnie nazywa się ta gra - powiedział Wesley. - W każdym razie moja gra.

- Klotylda nie mówiła w ten sposób o twoim ojcu - powiedziała Alice, a spoza okularów widać było, że oczy jej są gniewne.

- Gruba kobieta w pralni - powiedział Wesley z okrucieństwem.

- Przyznaj, że żałujesz tego, co powiedziałeś - Alice mówiła jak nauczycielka.

- W porządku. - Głos Wesleya był obojętny. - Żałuję. Jednak mam uczucie, że po prostu marnuję czas i pieniądze. Mój czas - dodał z krzywym uśmiechem - i twoje pieniądze.

- Nie martw się o moje pieniądze.

- Pewnie bohater twojej książki jest wspaniałym, mocnym młodym człowiekiem, który nigdy się nie załamuje, słyszy wszędzie, że jego ojciec był jednym ze szlachetnych charakterów który za życia spełniał same dobre uczynki, pomagał biednym, był szarmancki

wobec starych dam i nigdy nie zerznął żony przyjaciela...

- Zamknij się, Wesley - powiedziała Alice. - Już dosyć. Nie będziesz mi mówił, co mam pisać. Kiedy książka się ukaże, wtedy kupisz ją sobie i powiesz mi, jakie są w niej postaci. Ale nie wcześniej.

Byli właśnie w dużym pokoju, Alice siedziała w fotelu, a Wesley stał przy oknie i wyglądał na ciemną ulicę. Alice miała na sobie wieczorową suknię, była zaproszona na przyjęcie i czekała na znajomego, który miał jej towarzyszyć.

- Nie znoszę tego przeklętego miasta - powiedział Wesley patrząc w dół na ciemną ulicę. - Chciałbym być o tysiące mil stąd, na morzu.

Do diabła! - Odszedł od okna i rzucił się na sofę. - Chryste, gdybym tak mógł znaleźć się we Francji, chociaż na jedną noc, z ludźmi, których kocham i którzy na pewno mnie kochają...

- Zdejmij buty z kanapy - powiedziała ostro Alice. - Nie jesteś w stajni.

- Przepraszam. - Wesley przesunął nogi tak, że stopy znalazły się na podłodze. - Jestem nieokrzesany, w każdym razie tak mi wszyscy mówią.

I wtedy usłyszał, że Alice płacze. Przez chwilę leżał nieruchomo, pragnąc, żeby umilkł ten suchy, przerywany dźwięk. Ale dźwięk nie oddalił się, więc Wesley wstał i podszedł do fotela, w którym siedziała Alice z głową ukrytą w dłoniach i konwulsyjnie drgającymi ramionami. Ukłąkł przed nią i otoczył ją ramionami.

Wydawała się drobna i krucha w ładnej, czarnej wizytowej sukience.

- Przepraszam - powiedział miękko. - Naprawdę nie miałem tego na myśli, przysięgam. Jestem po prostu zły na siebie, i to dlatego. Nie myśl, że nie doceniam tego wszystkiego, co dla mnie zrobiłaś. Nie chciałbym ci sprawić zawodu, tylko czasami, tak jak dziś...

Alice uniosła głowę, po jej policzkach płynęły łzy.

- Przepraszam, że płakałam. Nie cierpię kobiet, które płaczą. Ja też miałam straszny dzień. Wszyscy przez cały czas wrzeszczeli na mnie. Możesz kłaść nogi w butach na sofę, kiedy tylko chcesz. - Roześmiała się, jeszcze przez łzy.

- Nigdy więcej - powiedział Wesley, ciągle otaczając ją ramionami.

Szczęśliwy, że się roześmiała, pragnął chronić ją przed rozczarowaniami i ludźmi, którzy wrzeszczą na nią przez cały dzień, i przed miastem, i przed swoimi wybrykami.

Spojrzeli na siebie w milczeniu; okulary powiększały jasne, wilgotne oczy dziewczyny. Alice uśmiechnęła się do niego niepewnie. Wesley delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Otoczyła go ramieniem i przytrzymała. Jej wargi były bardziej miękkie, niż sobie wyobrażał, były samą esencją miękkości.

Wreszcie Alice odsunęła się od niego. Łzy zniknęły.

- A więc do tego musi się posunąć dziewczyna, żeby ją ktoś w tym domu pocałował - powiedziała śmiejąc się.

W tym momencie zadzwonił dzwonek z dołu. Alice poderwała się z krzesła, Wesley również się podniósł. - To mój znajomy. Zajmij się nim, a ja poprawię makijaż. Jego specjalnością jest archeologia.

Umknęła do łazienki.

Rozległo się pukanie do drzwi i Wesley otworzył. W progu stał wysoki, chudy młodzieniec w okularach w metalowej oprawie.

- Halo - powiedział. - Czy jest Alice?

- Zjawi się za chwilę - wyjaśnił Wesley zamykając drzwi. - Mam się panem zająć, dopóki nie będzie gotowa. Nazywam się Jordach. Jestem jej kuzynem.

- Robinson - powiedział młodzieniec. Uścisnęli sobie ręce. Wesley zastanawiał się, w jaki sposób ma się nim zająć.

- Chce pan posłuchać radia? - zapytał.

- Niespecjalnie. Czy mogę usiąść?

- Oczywiście.

Robinson usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i wyjął paczkę papierosów.

- Zapali pan? - zapytał, podsuwając paczkę Wesleyowi.

- Nie, dziękuję - Wesley obserwował Robinsona zapalającego papierosa. Jak należy rozmawiać z człowiekiem, którego specjalnością jest archeologia? - Widziałem trochę ruin podczas pobytu we Francji - zaczął z nadzieją. - Arenę w Nimes, Arles i takie rzeczy - kontynuował mętnie.

- Naprawdę? - powiedział Robinson wypuszczając dym. - Interesujące.

Wesley zastanawiał się, czy Robinson byłby tak bezceremonialny, gdyby wiedział, że zanim zadzwonił, on całował Alice Larkin, w tym samym fotelu, w którym on teraz siedzi, całował dziewczynę, z którą umówił się na ten wieczór, a bezpośrednio przedtem doprowadził ją do łez. Czuł protekcyjną wyższość wobec chudego młodzieńca w luźnych spodniach i marynarce z drobno plecionego tweedu, ze skórzanymi łatami na łokciach, chociaż może tak właśnie ubierali się archeolodzy, był to może uniform, który w tym środowisku wzbudzał respekt. - Gdzie pan kopie? - zapytał z zniechęcią.

- Słucham? - Papieros Robinsona zatrzymał się w powietrzu, w drodze do ust.

- Pytałem, gdzie pan kopie - powtórzył Wesley. - Alice mówiła mi, że to pana branża. Czyż archeolodzy nie zajmują się właśnie kopaniem?

- Ach, o to chodzi. Głównie w Syrii. I trochę w Turcji.

- I co pan znajduje? - Alice prosiła, żeby zajął się tym człowiekiem, więc robił co mógł.

- Przeważnie ceramikę.

- Rozumiem - powiedział Wesley postanawiając poszukać tego słowa.

- Ceramikę.

- Pan się interesuje archeologią?

- Umiarkowanie.

Zapanowała cisza, Wesley odniósł wrażenie, że jednak nie zajmuje się wystarczająco Robinsonem.

- Jaka jest Syria? - zapytał.

- Ponura - odpowiedział Robinson. - Ponura i piękna. Powinien pan tam kiedyś pojechać.

- Mam zamiar.

- Do jakiego college'u pan chodzi? - zapytał Robinson.

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Na pana miejscu poszedłbym do Stanford. Jeśli uda się panu tam dostać. Wspaniali ludzie.

- Zapamiętam to.

Robinson przypatrywał mu się przez okulary w stalowej oprawie w sposób typowy dla osób krótkowzrocznych.

- Mówił pan, że Alice jest pana kuzynką?

- Tak.

- Nie wiedziałem, że w ogóle ma kuzyna. Skąd pan jest?

- Indianapolis - odpowiedział Wesley gładko.

- Okropne miejsce. Co pan robi w Nowym Jorku?

- Przyjechałem odwiedzić Alice.

- Rozumiem. A gdzie się pan zatrzymał?

- Tutaj - powiedział Wesley. Miał wrażenie, że stał się przedmiotem badań archeologicznych.

- Aaa. - Robinson ponuro rozejrzał się po niewielkim pokoju. - Trochę tu ciasno, powiedziałbym.

- Jakoś sobie radzimy.

- Ale to dobry punkt. Blisko Lincoln Center i w ogóle... - Robinson wydawał się przygnębiony. - A gdzie pan śpi?

- Na sofie.

Robinson zgasił papierosa i zapalił następnego.

- No cóż - robił wrażenie jeszcze bardziej przygnębionego - pewnie... między kuzynami...

Wyszła Alice, świeża jak pączek róży, zamiast okularów miała szkła kontaktowe, których zwykle używała wychodząc na przyjęcia, żeby, jak to kiedyś przy okazji innej randki wyjaśniła Wesleyowi, nie wyglądać na skromną sekretarkę.

- Jak tam, panowie? - zaczęła wesoło. - Czy odbyliście miłą pogawędkę?

- Fascynującą - odpowiedział ponuro Robinson wstając z fotela. - Lepiej już chodźmy. Jest późno.

Alice musi być naprawdę przyparta do muru, jeżeli największą jej zdobyczą jest Robinson, pomyślał Wesley. Człowiek, który spędzał życie wykopując ceramikę. Wprost desperacko pragnął mieć już dwadzieścia siedem lat. Równocześnie cieszył się, że nie będzie obecny przy tym, jak Alice zajmie się wyjaśnianiem archeologowi stopnia ich pokrewieństwa.

- Wesley - zaczęła Alice - jeżeli będziesz głodny, to w lodówce są dwa sandwicze z pieczoną wołowiną i trochę piwa. Och, byłabym zapomniała, mam adres i telefon faceta, którego szukałeś, pana Renwaya. On pływał z twoim ojcem. Dzwoniłam dziś do niego i powiedział, że czeka na spotkanie z tobą. Zdobyłam jego adres przez Związek Marynarzy. Mieszka niedaleko stąd, na Zachodniej Dziewięćdziesiątej. Kiedy nie pływa, mieszka u swojego brata.

Przez telefon wydawał się szalenie miły. Spotkasz się z nim?

Mówił, że jutro przez cały dzień będzie w domu.

- Zależy, jak się będę jutro czuł - odpowiedział nieelegancko Wesley, i Alice spojrzała na niego z wyrzutem.

Robinson podał Alice palto i kiedy już wychodzili, zwrócił się do Wesleya:

- Niech pan pamięta, Stanford.

- Będę pamiętał. - Wesley pomyślał, że Robinson tak się zachwyca Stanfordinem tylko dlatego, że jest to o trzy tysiące mil od Alice Larkin.

Kiedy obudziły Wesleya głosy po drugiej stronie drzwi wejściowych, nie miał najmniejszego pojęcia, która jest godzina, bo spał na sofie pod kocem. Rozległ się zgrzyt klucza w zamku, a potem usłyszał, jak Alice cicho weszła do mieszkania. Sama. Podeszła

cichutko do sofy i Wesley poczuł, że na niego patrzy, ale nie otwierał oczu udając, że śpi. Usłyszał, jak Alice westchnęła i odeszła. Po chwili zamknęły się drzwi jej pokoju i rozległ się stuk maszyny do pisania.

Ciekaw jestem, czego się po mnie spodziewała, pomyślał, zanim z powrotem zapadł w sen.

Calvin Renway przypomniał Wesleyowi Dwyera. Jego skóra miała kolor kawy, niemal taki sam jak skóra Króliczka po całym lecie przebywania na słońcu. Renway był niewielkiego wzrostu, drobnokościsty, a muskuły ramion rysowały się wyraźnie pod krótką kwiecistą koszulą z krótkimi rękawami. Kiedy witał Wesleya na progu mieszkania brata, głos jego był przyjemny, przesycony uprzejmością.

- Co to za miły dzień, syn Toma Jordacha przychodzi mnie odwiedzić. Wejdz, chłopcze, wejdz. Miła pani przez telefon uprzedziła mnie, że przyjdiesz.

Wprowadził Wesleya do pokoju i pchnął w jego stronę największe krzesło.

- Siadaj wygodnie, chłopcze. Czy napijesz się piwa? Minęło południe, pora na piwo.

- Nie, dziękuję, panie Renway.

- Na imię mi Calvin - powiedział Renway. - Byłem zaskoczony, kiedy ta miła pani zadzwoniła i powiedziała, że będziesz chciał się ze mną zobaczyć, nie widziałem twojego ojca przez te wszystkie lata.

Pływasz z człowiekiem i jest on dla ciebie kimś szczególnym, o kim pamiętasz przez resztę twoich dni, a potem on idzie swoją drogą, a ty swoją, jak statki mijające się w nocy, można by powiedzieć, i nagle wysoki młody człowiek dzwoni do twoich drzwi, na Boga, jak ten czas leci: Ja nigdy się nie ożeniłem, nigdy nie miałem syna, czego bardzo żałuję, ale takie jest życie marynarza, jeden port po drugim, nie ma czasu, żeby zalecać się do kobiety, a te, które chcą wstąpić w związki - Renway zaśmiał się szczerze, pobłyskując białymi zębami w szerokich, sympatycznych ustach - nie należą do kobiet, które chciałbyś widzieć jako matki twoich dzieciaków.

Jeżeli w ogóle kiedykolwiek można być pewnym, nie wiem, czy mnie rozumiesz. Ale co do ciebie, trudno się pomylić, chłopcze. Jak tylko stanęłeś w drzwiach, nie można było mieć wątpliwości, że jesteś synem Toma Jordacha. Tak, mój panie, jestem pewien, że on jest z ciebie dumny, z takiego dużego silnego chłopca.

- Panie Renway, to znaczy Calvin... - zaczął niezręcznie Wesley - czy ta pani nie powiedziała ci przez telefon?...

Renway zrobił zdumioną minę.

- Nie powiedziała mi o czym? - zapytał. - Wszystko, co powiedziała, to: „czy pan jest tym Renwayem, który pływał kiedyś na statku handlowym z Tomem Jordachem?”, a kiedy powiedziałem:

„Tak, proszę pani, ten sam”, ona powiedziała: „syn Toma Jordacha jest w mieście i chciałby porozmawiać z panem przez kilka minut”, to wszystko, co powiedziała i zapytała jeszcze, czy mój adres jest taki sam jak ten, który dostała w związku.

- Calvin - powiedział Wesley - mój ojciec nie żyje. Został zamordowany w Antibes.

- O Boże - wyszeptał Renway. Nie powiedział nic więcej, odwrócił jedynie głowę do ściany i przez długą chwilę siedział w milczeniu, jakby publiczne okazywanie przytłaczającego smutku świadczyło o braku dobrych manier. Tylko jego długie ciemne dłonie zaciskały się i rozkurczały w nieświadomym skurczu, jakby stanowiły jedyną część jego ciała, która nie nauczyła się jeszcze, że nie ma sensu pokazywać światu, kiedy coś boli.

Wreszcie odwrócił się do Wesleya.

- Zamordowany - powiedział bezbarwnie. - Pozbywają się dobrych, to nie ulega wątpliwości. Nie opowiadaj mi tej historii, chłopcze.

Może innym razem. To może poczekać, nie jestem spragniony szczegółów. Ale to miło, że przyszedłeś mi powiedzieć, co się stało. Mógłbym jeszcze przez całe lata się o tym nie dowiedzieć i mógłbym w barze w Marsylii, Nowym Orleanie czy gdziekolwiek indziej pić piwo i wspominać dawne dni, kiedy pływaliliśmy na „Eldze Anderson”, pewnie najplugawszym statku na Atlantyku i wszystkich innych oceanach, kiedy to Tom, można powiedzieć, ocalił mi życie, i wtedy ktoś mógłby się odezwać: „Tom Jordach? Przecież on już od wieków nie żyje”. Lepiej, że wiem, i dziękuję ci. Przypuszczam, że chcesz o nim porozmawiać, i pewnie dlatego tu przyszedłeś, prawda?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu - powiedział Wesley.

- Wtedy były inne czasy - zaczął Renway. - W każdym razie na statkach. Nikt nie mówił o nas „czarni” ani „panowie”, byliśmy czarnuchami i mieliśmy o tym zawsze pamiętać. Nie twierdzą, że twój ojciec był jakoś specjalnie przyjazny, nie przypominał kaznodziei, czy kogoś takiego, ale ile razy spotkał mnie rano, zawsze powiedział: „Hej, bracie, jak oni cię traktują”. Nie było to nic szczególnego, ot, normalne ludzkie przywitanie, ale na tym paskudnym statku brzmiało to dla mnie jak dźwięki wspaniałej orkiestry w porównaniu z tym, jak odnosili się do mnie wszyscy inni. Czy ojciec wspominał ci kiedyś nazwisko Falconetti?

- Słyszałem o nim coś niecoś.

- Najpaskudniejszy facet, jakiego miałem nieszczęście kiedykolwiek spotkać, pośród

czarnych czy białych - powiedział Renway. - Wielki byk, terroryzujący załogę, bił ludzi dla czystej zwierzęcej przyjemności i z ubóstwa ducha, zapowiedział też, że nie pozwoli, żeby jakikolwiek czarnuch siedział z nim w mesie, a ja byłem jedynym czarnym na pokładzie, co znaczyło, że ile razy wszedł do mesy, to nawet jeśli byłem w połowie kolacji, musiałem wstać i wyjść. I wtedy zajął się nim twój ojciec, jedyny z dwudziestoosobowej załogi, który miał na to odwagę. Nie zrobił tego dla mnie, Falconetti znęcał się też nad Króliczkim Dwyerem, ojciec spuścił mu lanie, jakiego nie dostał w życiu. Być może posunął się za daleko jak mówili inni, zawstydział go każdego dnia, ile razy się spotkali, mówił: „chodź no tutaj, cwaniaczku”, i przysuwał mu w żołądek tak, że ten wielki byk zginał się wpół i stał tak ze łzami w oczach, a ludzie patrzyli.

Pewnego wieczora, a było wtedy ciemno, sztormowa fala wysokości trzydziestu stóp, Falconetti siedział w mesie spokojny jak baranek, grało radio, twój ojciec przyprowadził mnie tam i powiedział: „Teraz usiądziemy jak dżentelmeni obok tego dżentelmena i posłuchamy muzyki”. Usiadłem obok Falconettiego... moje serce biło szybko i zapewniam cię, że jeszcze wtedy się bałem... ale nikt nie odezwał się ani słowa i wtedy ojciec rzekł: „Teraz możesz wyjść cwaniaczku”. Falconetti wstał, spojrział na siedzących dokoła mężczyzn, z których żaden na niego nie patrzył, wyszedł na pokład i skoczył za burtę.

Nie przydało to twojemu ojcu popularności wśród załogi. Mówili, że co innego pobić faceta, a co innego posłać go w ten sposób na śmierć. Nie jestem mściwy, Wesley, ale nie mogłem pogodzić się z tym gadaniem, ciągle pamiętam, jak się czułem siedząc przy tym okropnym człowieku, radio grało, a on nie powiedział słowa.

Zapewniam cię, że był to jeden z najwspanialszych, najbardziej radosnych dni w moim życiu i do dziś wspominam go z przyjemnością, a zawdzięczam to twojemu ojcu, i nigdy tego nie zapomnę.

Opowiadanie Renwaya było podobne do monotonnej recytacji; oczy miał zamknięte, jakby raz jeszcze przeżywał całe to wydarzenie, jakby nie znajdował się w schludnym mieszkanku na Zachodniej Dziewięćdziesiątej w Nowym Jorku, ale znów w mesie na statku, wśród milczących, zdetonowanych mężczyzn, smakując raz jeszcze ten moment niewypowiedzianej przyjemności, bezpieczny, chroniony odwagą ojca chłopaka, który teraz siedzi naprzeciwko niego.

Renway otworzył oczy i w zamyśleniu przyjrzał się Wesleyowi.

- Powiem ci coś, chłopcze, jeżeli wyrośniesz, choć w połowie na takiego mężczyznę, jakim był twój ojciec, to powinieneś codziennie dziękować Bogu za swoje szczęście. Poczekał tu chwilę. - Podniósł się i wyszedł do sypialni. Po kilku sekundach Wesley usłyszał

odgłos otwieranej i zamykanej szuflady. Renway powrócił do pokoju trzymając w ręce paczuszkę owiniętą w bibułkę. Odwinął ją i Wesley dojrzał niewielkie skórzane pudełeczko, inkrustowane złotem. - Kupiłem to pudełko we Włoszech - powiedział Renway. - We Florencji. To specjalność tego miasta. Proszę - wyciągnął pudełko w stronę Wesleya. - Weź je.

Wesley cofnął się.

- To twoje pudełko, Calvin. Musiało kosztować cholerną kupę forsy.

Dlaczego chcesz mi je dać, przecież jeszcze wczoraj nawet nie wiedziałeś o moim istnieniu?

- Weź je - powtórzył chrapliwie Renway. - Chcę, żeby syn człowieka, który zrobił dla mnie to, co zrobił, miał coś, co ja cenię. - Miętko, delikatnie włożył pudełko do ręki Wesleya.

- To piękne pudełko - powiedział Wesley. - Dziękuję.

- Zachowaj podziękowania na czas, kiedy będą rzeczywiście potrzebne. Teraz zakładam palto, zabieram cię na Sto Dwudziestą Piątą ulicę i nakarmię najlepszym lunchem, jaki można kupić za pieniądze w dzielnicy Harlem, w mieście Nowy Jork.

Lunch był gigantyczny: smażone kurczęta i słodkie ziemniaki z dużą ilością piwa. Renway odłożył na bok smutki i opowiadał Wesleyowi o Glasgow, Rio de Janeiro, Pireusie i Trieście. Brat stale namawia go, by rzucił morze, ale kiedy pomyśli o tym, że mógłby żyć na lądzie i nigdy już nie zobaczyć, jak nowe miasto wylania się z morza, kiedy zbliżają się do portu, to zdaje sobie sprawę, że nigdy nie będzie mógł przestać pływać na złych i dobrych statkach wzdłuż i wszerz oceanów.

Kiedy się żegnali, Renway wymógł na Wesleyu przysięgę, że ilekroć dowie się o jego obecności w mieście, odwiedzi go i znów pójda razem na lunch.

Wracając kolejką podziemną do śródmieścia z inkrustowanym złotem, twardym skórzanym pudełkiem w kieszeni, Wesley zdecydował, że wyrzuci swoją listę. Przerwę to teraz, powiedział sobie i poczuł, jak ciężar spada mu z serca.

ROZDZIAŁ III

Rudolf siedział na tarasie wynajętego domu patrząc ponad wysoką wydumą na pas białej plaży i fale otwartego Atlantyku. Był przyjemny poranek w połowie sierpnia, słońce grzało łagodnie i odbijało się od maszynopisu scenariusza Gretchen, który Rudolf czytał po raz drugi. Obok na dmuchanym materacu leżała w kostiumie kąpielowym Helen Morison, właścicielka domu przy plaży, która spędzała z Rudolfem kilka nocy w tygodniu. Była rozwódką, podeszła do niego na jakimś koktajlu u sąsiadów i przedstawiła się, ponieważ go rozpoznała. Helen była przyjaciółką Gretchen. Poznały się na jednym ze spotkań ruchu wyzwolenia kobiet u Idy Cohen.

Według opowieści Gretchen, ironiczny, rzeczowy sposób prezentowania faktów i planów przez Helen Morison wyraźnie kontrastował z szalonymi tyradami Idy Cohen na temat perfidii osobników płci męskiej. Rudolf zauważył, że Helen nie odczuwa wrogości wobec osobników płci męskiej. „Wprost przeciwnie”, powiedział jej, a Helen przyznała mu rację i roześmiała się. Fakt, że żyła z alimentów wypłacanych przez Morisona i że za jego pieniądze posyłała ich trzynastoletniego synka do ekskluzywnej episkopalnej szkoły dla chłopców, wydawał się wcale jej nie kłopotać. Rudolf, świadomy, jak rzadko jego czyny były odbiciem wyznawanych przez niego zasad, nie dokuczał jej zbytnio z tego powodu.

Była wysoką, smukłą kobietą, a jej twarz widziana z profilu miała surowy wyraz. Nie potrzebowała nosić stanika, ciemne rudawobrazowe włosy nosiła zazwyczaj rozpuszczone, czasem, kiedy Rudolf zabierał ją na kolację, upinała je do góry. W rygorystycznie republikańskiej społeczności Helen żyła sprawami partii demokratycznej, przez co utraciła wielu przyjaciół. Należała do tego typu kobiet, po których w warunkach krytycznych można było się spodziewać znacznie odważniejszego zachowania niż po większości mężczyzn.

Rano odbywała swą codzienną porcję pływania, chociaż woda w morzu stawała się z każdym dniem zimniejsza i powietrze było już chłodne. Nie zaniedbywała swego ciała. Nie ukrywała też faktu, że byli kochankami.

Rudolf był bardzo do niej przywiązany. Może nawet więcej. Nie miał jednak zwyczaju nieprzemysłanego demonstrowania uczuć czy składania deklaracji, które miałyby go później prześladować.

Liczyły się przede wszystkim fakty.

Na razie pochłaniały go filmowe plany Gretchen. Przy powtórным czytaniu scenariusz podobał mu się jeszcze bardziej. Film miał się nazywać Komedia restauracji, co było grą słów, jako że podstawę intrygi stanowiła działalność młodej bohaterki, która przymusem,

pochlebstwem, prośbami i dyskusją wywalczyła odrestaurowanie pięciu kwartałów pięknych starych domów, popadających w całkowitą ruinę po zamknięciu fabryki. Działo się to w umierającym przemysłowym mieście w Pensylwanii, fikcyjnej miejscowości zwanej Laundston. Dominującą postacią scenariusza była energiczna dziewczyna, która dzięki przebiegłości, urodzie, kokieterii i ogromnemu poczuciu humoru, a także typowo kobiecej postawie wobec nieuczciwości, przekonała cynicznych bankierów, skorumpowanych polityków, głodujących młodych architektów, samotne sekretarki, ośmieszanych biurokratów, bankrutujących przedsiębiorców budowlanych, a studentów college'u zmusiła nawet do prac fizycznych. W wyniku tego powstało zadowalające estetycznie i opłacalne w eksploatacji przedmieście dla średnio zarabiających, które nowe autostrady uczyniły łatwo dostępnym dla dojeżdżających z Filadelfii i Camden. Najbardziej interesujące w scenariuszu wydawało się Rudolfowi to, że choć był czystą fikcją i miejsce, gdzie się rozgrywa akcja, nie istniało, to zawarta w nim idea nawet tak praktycznemu biznesmenowi jak on wydawała się rozsądna.

Nie był pewien jedynie dwóch rzeczy: tytułu, który jego zdaniem zbyt zatracał kursami literatury angielskiej, i umiejętności realizacyjnych Gretchen. A jednak nie tylko braterska wyrozumiałość kazała mu się zaangażować finansowo w przedsięwzięcie Gretchen do wysokości jednej trzeciej budżetu niezbędnego do nakręcania filmu i spędzić niezliczone godziny z Johnym Heathem na sporządzaniu kontraktów w imieniu Gretchen. Ida Cohen i Gretchen znalazły same chętnych do sfinansowania pozostałych dwóch trzecich kosztów produkcji filmu, a gdyby miały więcej czasu, i bez Rudolfa załatwiłyby sfinansowanie całości.

Bawiło go to zajęcie i chętnie jeździł dwa razy w tygodniu do Nowego Jorku; nie musiał już teraz mówić przyjaciółom, że mogą dzwonić o każdej porze, bo i tak przez cały dzień będzie w domu.

Przygotowania zajęły wiele miesięcy, Rudolf sporo się przez ten czas dowiedział o filmowym biznesie, i nie wszystkie te wiadomości były przyjemne. Tym razem Gretchen zadzwoniła prosząc go o przybycie następnego dnia do Nowego Jorku nie w charakterze anioła stróża, ale „człowieka od pomysłów”, jak to określiła, ponieważ kiedy zastanawiali się wspólnie, gdzie można by znaleźć miejsce odpowiednie do kręcenia, Rudolf pól żartem podsunął ich stare miasto rodzinne, Port Philip, w którym cały kwartał starych domów od dwudziestu już lat popadał w ruinę. Gretchen pojechała do Port Philip z architektami i scenografem; wszyscy uznali, że jest to sceneria idealna. Załatwiała właśnie z burmistrzem i władzami miasta zgodę na kręcenie zdjęć i obietnicę pomocy ze strony władz komunalnych. Rudolf nie był przekonany, czy kiedykolwiek pojedzie obejrzeć na miejscu pracę ekipy. W

końcu Port Philip i sąsiednie Whitby nie zostawiły mu najprzyjemniejszych wspomnień.

Skończył lekturę scenariusza i zaśmiał się cicho.

- Nadal ci się podoba? - zapytała Helen.

- Bardziej niż kiedykolwiek. - Rudolf wiedział, że zdaniem Helen scenariusz za mało wyraźnie opowiadał się w sprawach politycznych.

To samo zresztą mówiła Helen o poglądach politycznych Rudolfa. - Zimna wojna, korupcja w Waszyngtonie, Wietnam i ogólna „znieczulica” uczyniły cię otepiałym - mówiła. - Kiedy ostatni raz głosowałeś?

- Nie pamiętam - odpowiedział, chociaż pamiętał doskonale: na Johnsona w 1974 roku. Potem wydawało się to bezsensowne.

- Wstyd - powiedziała Helen. Sama głosowała z zapalem, ilekroć miała okazję. Dla Helen Morison nie istniała „znieczulica”. - Czy nie uważasz, że Gretchen potrzebuje doradcy politycznego? Mogłabym robić to za darmo.

- To chyba ostatnia rzecz, której Gretchen potrzebuje - powiedział Rudolf. - Za darmo czy za pieniądze.

- W końcu zdołałam cię nawrócić - powiedziała Helen.

- Na co?

- Na jeffersonowską demokrację. Cokolwiek to znaczy.

- Proszę cię, oszczędź mi jeffersonowskiej demokracji. Cokolwiek to znaczy.

Helen zaśmiała się. Jej śmiech był przyjemny, szczerzy.

- To jest odpowiednie miejsce do rozmów o polityce - powiedziała.

- W słońcu, na plaży, po intensywnym pływaniu. Nigdy nie będzie wojny.

Rudolf pochylił się i pocałował ją. Skóra Helen była słona od morskiej wody. Zastanawiał się, dlaczego od czasu rozstania z Jeanne tak długo obywatel się bez kobiety. Do Helen, mieszkającej o kilka wydm dalej, nie trzeba było przepływać przez ocean. W ostatnich latach lekarze otwarcie zalecali regularne współżycie płciowe jako środek zapobiegający chorobom serca. Na myśl o Helen jako środku leczniczym uśmiechnął się w duchu, bo zdał sobie sprawę, jaka byłaby wściekła, gdyby powiedział to głośno.

- Na swój sposób - powiedział - jesteś wspaniała.

- Czy powiedziałaś kiedy kobiecie komplement, nie dodając ograniczającej klauzuli?

- Nie pamiętam. Tak naprawdę to nie pamiętam żadnej innej kobiety.

- Czy jutro w Nowym Jorku mam sobie przypiąć jakąś oznakę cudzołóstwa? - Zaśmiała się kpiąco.

- Nie zapomnij także kwefu.

- Czy myślisz, że sąsiedzi byliby zgorzeleni, gdybyśmy zaczęli się kochać tutaj, od razu, ja cała w soli i w piasku, a ty zajęty myślami o pieniądzach i kontraktach?

- Sąsiedzi nie, ale ja tak.

- Masz jeszcze długą drogę przed sobą, bracie.

- Jeszcze jaką. Ale nie pójde nią.

- To może po obiedzie. Ja przygotuję.

- Co przygotujesz?

- Coś lekkiego, odżywczego i podniecającego: Na przykład zupę z mięczaków. Zobaczmy, jak będziesz się czuł o drugiej po południu.

W domu dzwoni telefon. - Helen miała wyjątkowo dobry słuch.

Rudolfa zawsze bawiło, jak powtarzała słowo po słowie szeptane rozmowy o sobie, zwykle złośliwe, które w jakiś sposób potrafiła podsłuchać w hałaśliwym pomieszczeniu, trzymając równocześnie na uwięzi trzech lub czterech słuchaczy, którym opowiadała o swojej kolejnej pasji. - Czy mam odebrać? Powiem, że jestem lokajem, a ty na górze ćwiczysz jogę i nie można ci przeszkadzać.

- Sam odbiorę. - Rudolf ciągle jeszcze czuł się skrepowany, ilekroć Helen odbierała telefony i dawała do poznania, że czuje się u niego bardzo zadomowiona. - Tylko bądź tutaj, jak wrócę.

- Nie ma obawy. Słońce działa usypiająco.

Rudolf wstał i ruszył w kierunku domu. Służąca przychodziła tylko trzy razy w tygodniu, i nie był to akurat jej dzień. Wchodząc przez wielkie oszklone drzwi od strony morza Rudolf jak zwykle z przyjemnością rozglądał się po domu; widok jasnego drewna, wygodnych, krytych sztruksem kozetek i wypastowanych starych klepek podłogi salonu niezmiennie go cieszył.

- Rudolf - usłyszał głos Gretchen w słuchawce. - Mam kłopot. Czy jesteś zajęty?

Rudolf powstrzymał westchnienie. Gretchen miała co najmniej jeden kłopot w tygodniu, w sprawie którego telefonowała. Gdyby była mężatką, pomyślał, płaciłaby o połowę mniejsze rachunki za telefon. W ostatnim tygodniu kłopot sprawiał jej wuj Idy Cohen, producent filmowy w Hollywood, który miał wylew i poszedł na emeryturę. Był to stary, bystry człowiek, który doskonale znał przemysł filmowy, i kiedy Ida pokazała mu scenariusz, zaproponował swoją pomoc. Siedział w małym biurze w Nowym Jorku użerając się z agentami aktorów, dostarczając pomysłów obsadowych i dystrybucyjnych, wykonując brudną codzienną robotę: podpisywał kontrakty z aktorami i ekipą techniczną, uprzejmie odrzucał kandydatów do pracy. Ale przez trzy dni był chory i Gretchen się obawiała, że dostał nowego

wylewu, usiłowała więc wybadać, co zdaniem Rudolfa powinna zrobić w sprawie wuja Idy Cohen. Rudolf poradził, żeby porozmawiała z jego lekarzem, i Gretchen się dowiedziała, że starszy pan po prostu się zaziębił.

Następnym kłopotem okazał się problem Billy Abbotta. Gretchen zadzwoniła do Rudolfa w środku nocy. Mówiła głosem pełnym wzruszenia, że ojciec Billy'ego telefonował z Chicago.

- Tym razem trzeźwy - powiedziała chcąc podkreślić powagę sytuacji. - Billy pisał do ojca, że ma zamiar zostać w wojsku.

Willie jest temu równie przeciwny jak ja. Zawodowy podoficer. Tego właśnie pragnęliśmy dla naszego syna! Willie chciał, żebyśmy oboje natychmiast pojechali do Brukseli i wyperswadowali mu ten pomysł, ale wiesz dobrze, że ja nie mogę teraz ani na chwilę wyjechać z Nowego Jorku. Więc Willie zaproponował, żebym zatrudniła Billy'ego przy filmie jako trzeciego asystenta czy coś w tym rodzaju. Ale Billy nie ma najmniejszego pojęcia o filmach, nie wiem, czy w życiu widział ze trzy, on nie jest całkiem normalny jak na swój wiek i epokę, taki leniwy i nielojalny, więc gdyby wziął tę pracę, byłby to taki sam nepotyzm jak ten, który skazał studia starego Hollywoodu na zapomnienie. Nawet gdyby nie wymagało to dużo pieniędzy, i tak znaczyłoby okradanie osób finansujących, w tym także ciebie. Powiedziałam Willie'emu, że nie mogę dać chłopcu tej pracy i nie mogę jechać do Brukseli; zaproponowałam, żeby pojechał sam i zobaczył, co się da zrobić. Ale powiedział, że nie ma za co, i czy nie mogłabym mu pożyczyć pieniędzy na drogę. Pożyczyć!

Przecież każdego centa, jakiego posiadam, włożyłam w Komedie restauracji. Wtedy zapytał, czy nie mogę wziąć od ciebie, a ja na to powiedziałam, że kategorycznie zabraniam mu kontaktowania się z tobą.

W miarę jak zbliżał się czas kręcenia filmu, zdania Gretchen stawały się coraz bardziej złożone, a jej głos osiągał pełne napięcia crescendo. Rudolf czuł, że jest to zły znak, mogący wróżyć późniejsze wybuchy nerwowe.

- A ty? - teraz w głosie Gretchen było wahanie. - Czy nie musisz w żadnej sprawie jechać do Europy?

- Nie. Na jakiś czas skończyłem z Europą. Ale dlaczego tak strasznym problemem wydaje ci się syn w wojsku?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że wcześniej czy później będzie kolejna wojna.

- Na to chyba ani ty, ani ja niewiele możemy poradzić.

- Dobrze ci tak mówić. Ty masz córkę. - Gretchen odwiesiła słuchawkę.

Następny telefon dotyczył problemu obsadzenia roli młodszego brata bohaterki, gdyż

Gretchen koniecznie chciała zrobić próbne zdjęcia Wesleyowi. Miał to być urodziwy, smutny i cyniczny chłopak, bezustannie wylewający kubły zimnej wody na entuzjazm siostry i powtarzający jak refren: „Głową muru nie przebijesz”. W scenariuszu, chociaż był podobno nad wiek rozwinięty intelektualnie i wszechstronnie utalentowany, jednak świadomie marnował się pracując jako mechanik na lotnisku, grając w każdą niedzielę w półprofesjonalny football i zadając się z najnudniejszymi, najbardziej rozpróchnionymi typami w mieście.

Gretchen nie miała wątpliwości, że Wesley byłby wspaniały w tej roli, nawet przy minimalnym talencie aktorskim; sama jego powierzchowność pasowała idealnie. Żaden z chłopców, którym robiła próbne zdjęcia, nie odpowiadał jej, pisała więc ciągle do Wesleya, ale listy wracały nie odebrane z poste restante w Indianapolis bez żadnego nowego adresu. Dopytywała się, czy Rudolf wie, gdzie można znaleźć Wesleya, ale Rudolf powiedział, że nie rozmawiał z nim od czasu telefonu z Chicago. Nigdy nie mówił Gretchen o nakazie aresztowania Wesleya w Indianapolis. Był przekonany, że Wesley w końcu się pojawi, ale nie mogło to pomóc Gretchen w ustaleniu obsady. Wątpił także, czy Wesley przyda się jako aktor. Jeżeli chłopak miał w ogóle jakąś wyraźną cechę charakterystyczną, to było nią nieokazywanie własnych uczuć; dość kiepska rekomendacja do kariery filmowej. Poza tym Rudolf, choć nigdy się do tego nie przyznał, czuł nieodpartą niechęć do zawodu aktorskiego. Zbyt dobrze płatni, zakochani w sobie dorośli ludzie, którzy się dobrze bawią - tak określiliby aktorów, gdyby musiał się wypowiedzieć na ten temat.

Stojąc przy telefonie widział wyraźnie zarysowaną sylwetkę Helen na tle błyszczącego morza. Wstała z dmuchanego materaca i zaczynała wykonywać powolne i skomplikowane ćwiczenia, prostując się, robiąc skłony, jak tancerka w balecie.

Głos Gretchen w słuchawce drażnił jego słuch.

- O co chodzi tym razem?

- To jest poważna sprawa - powiedziała Gretchen. Mówiła tak o wszystkich swoich problemach, ale nie przypomniał jej tego. - Evans Kinsella zadzwonił do mnie dziś rano. Przyjechał z Kalifornii wczoraj wieczorem. Zmienił zdanie. Teraz sam chce robić Komedie restauracji. Mówi, że ma dwa miliony, załatwioną dystrybucję i dwie gwiazdy. Gotów jest spłacić wszystkich, z dziesięcioprocentowym zyskiem dla tych, którzy włożyli pieniądze.

- To skurwysyn. Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że muszę to przemyśleć. Mamy się spotkać u niego w hotelu za pół godziny.

- Porozmawiaj z nim i zadzwoń do mnie. Jeśli chcesz, powiedz: nie, ale nie mów: tak,

dopóki nie porozumiesz się ze mną. - Odwiesił słuchawkę. Dziesięć procent od kapitału w ciągu dwóch miesięcy, pomyślał. Niezły profit. A jednak myśl ta nie sprawiła mu przyjemności. Na zewnątrz, na tarasie, Helen wciąż wykonywała ćwiczenia. Po telefonie Gretchen przyda mu się lunch jako afrodisiacum.

Gretchen zrobiła staranny makijaż, poprawiła włosy, wybrała najlepszą sukienkę i spryskała się perfumami „Femme”, które lubił Kinsella. Ida Cohen nie popierałaby, pomyślała, takiego podkreślania kobiecości, robienia z siebie wabiącej samicy na spotkanie, które w rzeczywistości było spotkaniem w interesach, i w dodatku nie pozbawionym nieprzyjemnych podtekstów. W moim wieku, myślała Gretchen, patrząc w duże lustro, coraz trudniej zrobić się na kuszącą samicę. Ostatnio nie mogła zasnąć wieczorami, brała więc proszki, i to stawało się widoczne. Niech diabli wezmą Kinsellę. Pokropiła się jeszcze perfumami. Kiedy weszła do apartamentu Evansa w „Regency Hotel” przy Park Avenue, gospodarz był świeżo ogolony, miał na sobie marynarkę i krawat. Zazwyczaj, gdy otrzymywała wezwanie do jego apartamentów, przyjmował ją w koszuli z krótkimi rękawami lub w szlafroku. A więc tym razem postanowił uciec się do swojego wdzięku. Poczowała mrowienie w całym ciele, kiedy pocałował ją najpierw w jeden policzek, a potem w drugi. Ten rodzaj powitania przywiózł Kinsella z Paryża, gdzie kręcił kiedyś film. Była wściekła z powodu reakcji swojego ciała.

W wytwornym salonie był także Richard Sanford, młody autor Komедii restauracji, ubrany jak zwykle w rozpiętą wełnianą koszulę, wiatrówkę, dżinsy i długie nie wyczyszczone buty. Niedbale, niekonwencjonalne ubóstwo stanowiło publiczny wyraz jego pochodzenia i przekonań. Gretchen zastanawiała się, jak będzie się ubierał w Hollywood po swoim trzecim filmie. Sanford był miłym młodym człowiekiem o szerokim uśmiechu i dobrych manierach. Do tej pory zachowywał się wobec Gretchen bardzo przyjaźnie, ale chociaż widywała się z nim prawie codziennie, nigdy nie wspomniał, że zna Kinsellę. A więc konspiracja.

Zauważyła, że dzisiaj Richard Sanford nie zamierzał być przyjacielski, z całą pewnością nie. Daleko zajdzie w Kalifornii ten Richard Sanford.

Strzeż się młodych mężczyzn, pomyślała Gretchen, patrząc na nich obu. Wprawdzie po tym, czego się nauczył, co skopiował lub ukradł trzydziestotrzyletni Evans Kinsella, trudno było go uważać za młodego człowieka. Dla zachowania równowagi powinna była przyprowadzić z sobą Idę Cohen, ale przypominałoby to przytaszczenie niewielkiego wulkanu, gotowego w każdej chwili do erupcji. Jeszcze nie powiedziała Idzie o telefonie Kinselli. Zdąży to zrobić.

- Napiłabyś się odrobinę? - Kinsella wskazał ręką na stół gdzie stały porządnie ustawione butelki, szklaneczki i kubek z lodem.

W takich hotelach, pomyślała Gretchen, musi być jeden kelner, specjalista w swojej dziedzinie, biegający z pokoju do pokoju, jak tylko nadejdzie teleks z zawiadomieniem o przyjeździe nababów nowej arystokracji, i ustawiający butelki według sztywnej zasady, która uzależniona jest od aktualnej ważności poszczególnych gości w kartotece dyrektora hotelu. Nie bez złośliwej przyjemności Gretchen zauważyła, że wystawa butelek w barku Kinselli była zaledwie średnia. Jego ostatni film był chałą i prywatny Almanach gotajski dyrektora hotelu odnotował ten fakt. - Raczylismy się właśnie z naszym młodym geniuszem - powiedział Kinsella. - Umiarkowanie zresztą. Czego sobie życzy dama?

- Pominę tę część, dziękuję - powiedziała Gretchen. - To trochę za wczesna pora dla pracującej kobiety. - Zachowa lekki i spokojny ton, nawet gdyby miały jej popękać żyły. - Młody geniusz - powiedziała uśmiechając się łaskawie do chłopca. - Evans musiał zmienić zdanie na twój temat, Richard.

- Przeczytałem jeszcze raz scenariusz - wtrącił pośpiesznie Evans.

- Pierwszy raz musiałem go czytać po prostu w nieodpowiednim dniu.

- O ile sobie przypominam - mówiła Gretchen słodkim głosem - powiedziałaś mi wtedy, że to kupa gówna. - Jedna napaść warta drugiej. Z przyjemnością zauważyła, że Sanford spurpurowiał, odstawił szklanę i patrzył na Kinsellę.

- Artyści cały czas popełniają błędy, Dick - mówił Kinsella.

Gretchen zauważyła familiarne zdrobnienie. - Zawsze tysiące ludzi wywierają na człowieka nacisk. Można odpokutować swój błąd. - Teraz zwrócił uwagę na Gretchen, uśmiechając się z wyraźnym trudem. - Jednym z powodów tego spotkania jest fakt, że omawialiśmy z Dickiem scenariusz i uzgodniliśmy pewne zmiany, które są konieczne. Raczej drastyczne zmiany. Prawda, Dick?

- Tak - powiedział Sanford, ciągle jeszcze zarumieniony.

- Dwa dni temu - zaczęła Gretchen - powiedziałaś mi, że scenariusz jest gotowy i nie chcesz w nim zmieniać ani jednego słowa.

- Evans zwrócił mi uwagę na kilka rzeczy, które przegapiłem. - Sanford sprawiał wrażenie upartego chłopczyka, który wie, że za swój upór zostanie ukarany. Ta konspiracja musiała trwać od tygodni, jeżeli nie od miesięcy.

- Bądźmy uczciwi, Gretchen - powiedział Kinsella. - Przy dwóch milionach budżetu Sanford ma niemal trzy razy lepsze gwarancje niż te, jakie ty ofiarowujesz. Jak wiesz, nie jest człowiekiem bogatym. Ma żonę i małe dzieci na utrzymaniu...

- Maestro - powiedziała Gretchen - czy będziesz grał na skrzypcach tremolo na ten temat?

Kinsella spojrzał spode łba.

- Moja droga, zapomniałaś, co to znaczy być biednym i walczyć o forszę każdego miesiąca. Mając bogatego brata, zawsze miałaś grubą miękką poduszkę do oparcia pleców. A Dick nie ma takiej poduszki.

- Evans, chciałabym, żebyś zapomniał, że w ogóle mam brata.

Grubego, chudego, czy jakiegokolwiek. Natomiast chciałabym, żebyś ty, Richard, nie zapominał, że podpisałeś ze mną kontrakt. - Szczególnie zaakcentowała imię Richard.

- Właśnie do tego zmierzałem. - Kinsella znów mówił bardzo gładko.

- Wcale nie mam zamiaru wyłączyć ciebie czy twojej przyjaciółki Idy Cohen, tej żydowskiej Joanny d'Arc, z tego projektu. Chciałem ci zaproponować, żebyś została współproducentem, z pełnymi dochodami oczywiście. A Idę zrobić głównym montażystą. - Evans promieniał. - Czy może być układ bardziej fair?

- Rozumiem, Richard - powiedziała Gretchen - że zgadzasz się z Evansem? Chciałabym usłyszeć to od ciebie. I bez wątpienia jest ci też przyjemnie słyszeć, że Ida Cohen, która włożyła tyle wysiłku, żeby twój scenariusz znalazł się na ekranie, nazywana jest żydowską Joanną d'Arc?

Sanford znów się zarumienił.

- Nie, z tym się nie zgadzam. Ale zgadzam się, że można zrobić lepszy film mając dwa miliony dolarów niż mając siedemset pięćdziesiąt tysięcy. I mówiąc szczerze, zanim do mnie zadzwoniłaś, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ten film może zrobić kobieta...

- A teraz?

- No... - Chłopak był wzburzony. - Wiem, że jesteś sprytna i masz wiele doświadczenia. Ale nie jako reżyser. Gretchen, to mój pierwszy film, i wołałbym, żeby robił go mężczyzna, taki jak Evans Kinsella, mający za sobą tyle sukcesów i cieszący się taką reputacją.

- Jego reputacja cuchnie - powiedziała obojętnie Gretchen. - Tam, gdzie to się liczy. Na przykład ja tak uważam. Jeżeli zrobi jeszcze jeden taki film jak ostatni, nie będzie mógł wynająć nawet najprymitywniejszej kamery w Kalifornii.

- Widzisz, Dick, mówiłem ci, że podejdzie do sprawy po kobiecemu i będzie mściwa. Była żoną reżysera, którego uważała za kolejne wcielenie Stanisławskiego, chociaż znam jego filmy i mówiąc delikatnie, doskonale mógłbym się bez nich obejść. Po jego śmierci ona chce wziąć odwet na czymś, na kimś, na każdym reżyserze, i staje się największą przeciwniczką

mężczyzn dwudziestego wieku. A ta stara Polka, Ida, kwiat getta, której żaden mężczyzna nie dotknie nawet dziesięciostopową tyczką, nakładła jej do głowy, że jej przeznaczeniem jest doprowadzić kobiety do nagrody Akademii.

- Ty obrzydliwy, konspiracyjny nikczemniku. Zaslужujecie obaj na to, żebym oddała wam film i pozwoliła zmienić go w kupę gówna, jak określiłeś kiedyś ten scenariusz.

- Kiedy ją zatrudniłem - kontynuował Kinsella już bez żadnych hamulców - przyjaciel ostrzegał mnie, żeby nigdy nie angażować bogatych. Zwłaszcza bogatych kobiet. I nie rzucać ich. Nigdy ci nie wybaczy, kiedy pierwszy raz spojrzysz na inną dziewczynę. Wynoś się stąd, ty dziwko - krzyczał przeraźliwie. - Przyjdę na premierę i dobrze się ubawię.

- Gretchen - zaczął żałośnie Richard. Wyglądał na przerażonego, jakby żałował, że w ogóle kiedykolwiek dotknął maszyny do pisania.

- Proszę cię...

- Richard - powiedziała spokojnie Gretchen, czując się cudownie oczyszczona i oszłamiająco wolna - kiedy zaczniemy kręcić, możesz przychodzić lub nie. Będziesz mile widziany. Do widzenia, panowie - powiedziała i dumnie wyszła z pełnego kwiatów, butelek i przekleństw salonu.

W windzie śmiała się i płakała, nie zwracając uwagi na innych pasażerów. Co to będzie, jak opowiem o wszystkim Idzie, myślała.

Na ulicy podjęła jednak postanowienie: nigdy więcej młodych mężczyzn. Bez względu na to, jak błyszczące mają oczy, jak białe zęby, jak wspaniałą witalność, jak obiecujące obietnice, jak czystą skórę, jak słodki zapach. Od tej pory, jeżeli wybierze jakiegoś mężczyznę, będzie od niej starszy i wdzięczny jej, nie będzie oczekiwał od niej wdzięczności. Nie miała pojęcia, czy zgadza się to z filozofią Idy, ale nie bardzo ją to obchodziło.

Byli w połowie lunchu, złożonego z zupy z mięczaków i gorących biskwitów, który przygotowała Helen. Helen mówiła właśnie: „Lubię gotować dla mężczyzny, który nie musi troszczyć się o swoją wagę”, kiedy zadzwonił dzwonek.

- Psiakrew.

Lunch przerwał im już raz telefon od Gretchen. Gretchen potrzebowała piętnastu minut, żeby opowiedzieć Rudolfowi, co zaszło tego ranka między nią i Kinsellą; była pewna, że Rudolf zaaprobuje jej postawę. On jednak nie był tak przekonany, jak się spodziewała.

Tym razem przerwał im dzwonek do drzwi wejściowych. Rudolf wstał od stołu, podszedł do drzwi i otworzył. W oceanicznym wrześnie słońcu stał Wesley, schludnie ubrany w spodnie i sportową marynarkę. Wyglądał trochę mizernie, kości policzkowe

rysowały się wyraźnie, włosy miał ostrzyżone i porządnie uczesane, ani zbyt długie, ani zbyt krótkie, a oczy, jak zwykle, poważne i zamglone.

- Cześć, Wesley - powiedział Rudolf. - Wiedziałem, że wcześniej czy później się pokażesz. Przyszedłeś w samą porę na lunch. Wejdz.

ROZDZIAŁ IV

Billy z zainteresowaniem przyglądał się, jak George (wiedział, że nie jest to prawdziwe imię tego człowieka) starannie pracuje nad mechanizmem zegarowym. Monika, do której George zwracał się: Heidi, stała po drugiej stronie stołu. Twarz jej pozostawała w cieniu, powyżej jasnego strumienia światła, jaki rzucała na stół lampa do pracy.

- Czy obserwujesz to dokładnie, John? - zapytał George swoją z hiszpańska akcentowaną angielszczyzną, patrząc na Billy'ego. John to było imię Billy'ego w organizacji. Monika zawsze nazywała go John, ilekroć był w pobliżu ktoś z wtajemniczonych. Przypominało mu to rytuały tajnych stowarzyszeń zawiązywanych na dziedzińcu postępowej szkoły w Greenwich Village, kiedy był małym chłopcem.

Tylko że George ani Monika nie byli już małymi dziećmi.

Wystarczyłoby się roześmiać, pomyślał, a zabiliby mnie.

Billy poznał jeszcze tylko dwóch wspólników George'a i Moniki-Heidi, ale nie było ich tego popołudnia w niewielkim pokoiku w brukselskich slumsach, gdzie George pracował nad bombą.

Billy nigdy nie widział George'a dwukrotnie w tym samym pomieszczeniu. Z różnych odezwań George'a zorientował się, że w innych miastach Europy były podobne komórki jak ta, do której się przyłączył, ale dotychczas nie miał pojęcia, gdzie i czym się naprawdę zajmowały. Wprawdzie ze względu na własne bezpieczeństwo nie zależało mu zbytnio na tym, żeby wiedzieć więcej, niż mu mówiono, czuł się jednak dotknięty faktem, że ciągle traktowano go jak nie sprawdzonego i niezbyt pewnego outsidera, chociaż dwukrotnie już dostarczył im półtonową ciężarówkę z parku motorowego i prowadził samochód w Amsterdamie owej nocy, kiedy George podłożył bombę w hiszpańskim biurze turystycznym. Nie wiedział, w jakich jeszcze zamachach bombowych uczestniczyli George i Monika, czytał jednak o wybuchach w oddziale amerykańskiego banku w Brukseli i przed biurem Olympic Airways.

Jeżeli Monika i mężczyzna, którego znał jako George'a, byli odpowiedzialnymi za jeden lub obydwa wybuchy, to Monika dotrzymała obietnicy: nikt nie został ranny ani w Amsterdamie, ani w Brukseli.

- Czy myślisz, że w razie potrzeby potrafiłbyś to sam złożyć? - pytał George.

- Chyba tak.

- Dobrze - powiedział George. Zawsze mówił powoli i poruszał się niespiesznie. Był ciemny i niewysoki, miał łagodne, smutne oczy i nie robił wrażenia niebezpiecznego. Patrząc

na siebie w lustrze Billy również nie wierzył, że ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić jego jako niebezpiecznego osobnika.

Co innego Monika, z jej potarganymi włosami i oczami, które potrafiły płonąć ze złości. Jednak żył z Moniką, bał się jej i kochał ją bardziej niż kiedykolwiek. To Monika powiedziała, że musi zostać w wojsku. Kiedy oświadczył, że nie może wyobrazić sobie ani chwili dłużej w wojsku, wściekła się na niego i oświadczyła, że to rozkaz, nie sugestia, i że jeżeli Billy nie posłucha, to ona się wyprowadzi.

- Następnym razem złożysz dla wprawy atrapę - zapowiedział George.

Z powrotem zabrał się do pracy, jego delikatne, małe dłonie ostrożnie manipulowały przewodami. Ani on, ani Monika nie powiedzieli Billy'emu, gdzie, kiedy i w jakim celu ma być użyta bomba, ale teraz już wiedział doskonale, że zadawanie jakichkolwiek pytań nie miało sensu.

- No, to gotowe - powiedział George prostując się. Mały plastikowy ładunek, mechanizm zegarowy i detonator leżały niewinnie na stole w ostrym świetle lampy. - Na dziś lekcja skończona. Ty teraz wyjdiesz, John. Heidi jeszcze przez chwilę zostanie ze mną. Idź do autobusu. Jedź w kierunku przeciwnym od twojego mieszkania, miń osiem przecznic. Wsiądź, przejdź trzy dalsze przecznice i weź taksówkę. Każ się zawieźć do hotelu „Amigo”. Wejdź do środka.

Wypij drinka w barze. Potem możesz wyjść i pieszo iść do domu.

- Tak, George - powiedział Billy. Do tego ograniczało się wszystko, co kiedykolwiek powiedział do tego człowieka. - Czy zjesz dziś ze mną kolację? - zapytał Moniki.

- To zależy od George'a.

- George? - zapytał Billy.

- Nie zapomnij - ostrzegł George. - Co najmniej dziesięć minut w hotelu „Amigo”.

- Tak, George - powiedział Billy.

Siedząc w autobusie jadącym w kierunku przeciwnym niż jego mieszkanie, otoczony kobietami wracającymi z zakupów, by przygotować rodzinną kolację, dziećmi wracającymi ze szkoły do domu, starymi mężczyznami czytającymi wieczorne gazety, Billy chichotał w duchu. Gdyby tak mogli się domyślić, co robił przed chwilą ten niewysoki, łagodnie wyglądający młody Amerykanin na jednej z bocznych ulic ich miasta... Wprawdzie nie okazał tego George'owi ani Monice, ale kiedy obserwował montaż bomby, jego serce było w gwałtownym podnieceniu. Teraz już na zimno, w codzienności zatłoczonego autobusu, mógł nadać temu uczuciu inną nazwę: przyjemność. Takie samo niezwykle podniecenie odczuwał

uciekając spod biura turystycznego w Amsterdamie, słysząc słaby odgłos eksplozji w ciemnym mieście o sześć przecznic za plecami.

W przeciwieństwie do Moniki nie wierzył, że system polityczny i gospodarczy się rozpada i że obali go przypadkowa bomba tu i ówdzie, ale przynajmniej sam nie czuł się już nic nie znaczącym, łatwym do zastąpienia trybem w tej całej nędznej, nieludzkiej machinie. Jego działaniami zajmowano się, ważni ludzie próbowali się domyślić, kim jest, o co mu chodzi i gdzie może uderzyć następnym razem. Pogarda, jaką darzyli go towarzysze broni z tej racji, że był ulubieńcem pułkownika, wydawała mu się teraz pełnym ironii żartem, tym smakowitszym, że nie mieli najmniejszego pojęcia, jaki jest Billy naprawdę. I Monika musiała przyznać się do popełnienia pomyłki, kiedy mówiła, że Billy jest bezwartościowy. W końcu, pomyślał, dadzą mu do ręki broń i wydadzą rozkaz zabijania. A on będzie to robić. Następnego dnia przeczyta gazety i posłusznie zgłosił się do pracy, wypełniony tajemną radością. Nie wierzył, aby Monika, George i ich mętni wspólnicy mieli kiedykolwiek osiągnąć swoje mętne cele. Nie szkodzi. On sam nie był już dłużej zagubiony, zdany na łaskę drobnych codziennych wydarzeń typowych dla wojskowego, który musi mówić „tak sir”, „oczywiście sir”, żeby zarobić na codzienny chleb. Teraz on sam był jak płonący lont, którego w końcu nie można zignorować.

Liczył kolejne boczne ulice. Przy ósmej wysiadł z autobusu. W lekkiej mżawce przeszedł szybko jeszcze trzy przecznice, zgodnie z poleceniem George'a, uśmiechając się uprzejmie do przechodniów. Na rogu trzeciej zobaczył taksówkę, stała tam, jakby specjalnie dla niego zamówiona. Usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu i rozkoszował się jazdą do hotelu „Amigo”.

Kończył właśnie piwo w ciemnym barze hotelowym, małym pomieszczeniu, gdzie nie było nikogo prócz dwóch blondynów przy stoliku w kącie, rozmawiających językiem, który wziął za hebrajski, kiedy weszła Monika.

Wślizgnęła się na stołek obok niego.

- Wódkę z lodem - powiedziała do barmana.

- Czy to George kazał ci tu przyjść? - zapytał Billy.

- Teraz udzielam się towarzysko - powiedziała.

- Jako Monika czy Heidi?

- Zamknij się.

- Powiedziałaś: „towarzysko”. Ale to nieprawda. Wysłano cię tutaj, żebyś sprawdziła, czy zastosowałem się do poleceń.

- Wszyscy rozumieją po angielsku - szepnęła. - Mów o pogodzie.

- Pogoda. Było dość ciepło dziś po południu, prawda?

- Owszem. - Uśmiechnęła się do barmana, kiedy stawiał przed nią drinka.

Billy rozkoszował się ostatnimi kroplami piwa na dnie kufła.

- Co byś zrobiła, gdyby wysłano mnie z powrotem do Ameryki? - zapytał.

Monika spojrzała na niego ostro.

- Dostałeś przeniesienie? Czy coś przede mną ukrywasz?

- Nie. Ale pułkownik zaczyna się niecierpliwić. Jest tu już długo.

Poza tym w armii nigdy nie można przewidzieć...

- Wykorzystaj wpływy - powiedziała cierpko. - Załatw sobie jakieś miejsce w Niemczech.

- To nie takie proste.

- Ale da się zrobić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Ciągle nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Jak byś zareagowała?

Wzruszyła ramionami.

- To by zależało.

- Od czego?

- Od wielu rzeczy. Gdzie byłbyś wysłany. Do jakiego rodzaju pracy: Gdzie byłabym potrzebna.

- A może od miłości.

- Nigdy.

Billy się roześmiał.

- Zadaj głupie pytanie, a dostaniesz głupią odpowiedź.

- Priorytety, John - powiedziała akcentując ironicznie „John”. - Nie możemy nigdy zapominać o priorytetach, prawda?

- Nigdy - powiedział. Zamówił drugie piwo. - Może pojedę w przyszłym tygodniu do Paryża.

Monika znów spojrzała na niego ostro.

- Może? Czy na pewno?

- Prawie na pewno. Pułkownik uważa, że musi jechać, i jeśli rzeczywiście pojedzie, wyda rozkaz, żebym mu towarzyszył.

- Musisz się nauczyć nie strzelać we mnie takimi nowinami.

- Dowiedziałem się o tym dziś rano - powiedział tonem samoobrony.

- Jak tylko będziesz wiedział coś pewnego, zawiadom mnie. Jasne?

- O Boże, przestań mówić jak dowódca kompanii.

Monika zignorowała tę uwagę.

- Nie mówię tego bez przyczyny. W przyszłym tygodniu trzeba dostarczyć do Paryża paczkę. Jak tam pojedziesz? Samolotem pasażerskim?

- Nie, transportem wojskowym. To honorowa warta udająca się na jakąś uroczystość do Wersalu.

- O, to dobrze.

- Co będzie w tej paczce?

- Dowiesz się, jak będzie trzeba.

Billy westchnął i wypił połowę następnego piwa.

- Zawsze lubiłem miłe, nieskomplikowane, niewinne dziewczyny.

- Postaram się znaleźć ci taką - powiedziała Monika. - Za pięć albo sześć lat.

Billy zimno skinął głową. Dwaj blondyni w kącie rozmawiali teraz głośniejszym, jakby się kłócili.

- Czy ci dwaj mówią po hebrajsku? - zapytał.

Monika słuchała przez chwilę.

- Po fińsku - powiedziała.

- One są podobne? Mam na myśli fiński i hebrajski?

- Nie. - Monika roześmiała się i pocałowała go w policzek.

Zorientował się, że teraz postanowiła być Moniką, nie Heidi.

- Więc godziny pracy się skończyły? - powiedział.

- Na dziś.

- Na dziś - powtórzył i dopił piwo. - Wiesz, na co miałbym ochotę?

- Na co?

- Chciałbym pójść z tobą do domu i pieprzyć się.

- Coś podobnego - powiedziała z kpiącą uprzejmością - co za koszarne maniery!

- Po tych popołudniowych zajęciach opanowała mnie namiętność.

Monika się zaśmiała.

- Mnie też - wyszeptała. - Zapłać temu miłemu barmanowi i wyjdźmy stąd.

Kiedy dotarli do ulicy, przy której mieszkali, było już ciemno.

Zatrzymali się na rogu, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie szedł. Wydawało im się, że nikt ich nie śledził. Wolno szli po przeciwnej stronie ulicy obserwując dom Billy'ego. Na wprost budynku stał jakiś mężczyzna i palił papierosa. Ciągle jeszcze mżyło, toteż mężczyzna miał kapelusz wciśnięty głęboko na czoło.

Było zbyt ciemno, by mogli się zorientować, czy widzieli już kiedyś tego człowieka.

- Nie zatrzymuj się - powiedziała cicho Monika.

Minęli dom, skręcili za róg i weszli do kawiarni. Billy chętnie napiłby się jeszcze piwa, ale Monika zamówiła dwie kawy.

W piętnaście minut później wyszli z lokalu i zobaczyli, że mężczyzna po przeciwnej stronie ulicy nadal tkwi na posterunku i ciągle jeszcze pali papierosa.

- Ty pójdziesz dalej - powiedziała. - Ja go minę i wejdę na górę.

Wróć za pięć minut. Jeżeli wszystko będzie w porządku, zapalę światło we frontowym pokoju, i wtedy przyjdiesz.

Billy skinął głową, pocałował ją w policzek, jakby się żegnali, i doszedł do rogu ulicy. Tam się obejrzał. Ryzyko zawodu, pomyślał.

Wieczna podejrzliwość. Mężczyzna ciągle jeszcze stał, ale Monika zniknęła. Billy skręcił za róg i z powrotem wszedł do kawiarni, zamawiając piwo, którego nie pozwoliła mu wypić Monika. Wyszedłszy z kawiarni szybkim krokiem udał się przed dom. Zobaczył, że we frontowym pokoju pali się światło. Przeszedł z pochyloną głową na tę stronę, gdzie stał mężczyzna, i zaczął wchodzić na schody, wyciągając z kieszeni klucze.

- Halo, Billy - krzyknął za nim mężczyzna.

- Wielki Boże! Ojciec! - Billy był tak zaskoczony, że wypuścił z ręki klucze i omal nie zderzyli się głowami, kiedy obydwaj pochyłili się, żeby je podnieść. Roześmieli się równocześnie.

Ojciec podał Billy'emu klucze i uściskali się. Billy nie poczuł zapachu dżinu, który od wczesnego dzieciństwa kojarzył mu się z ojcem.

- Chodź na górę - powiedział. - Jak długo czekasz?

- Parę godzin.

- Pewnie przemokłeś.

- Nie szkodzi. Miałem czas na refleksje.

- Chodź na górę - powtórzył Billy, otwierając drzwi. - Ale tato, nie będziemy sami. Jest u mnie pewna pani - wyjaśniał idąc po schodach.

- Będę uważał na to, co mówię - powiedział Abbott.

Billy otworzył drzwi i weszli do niewielkiego przedpokoju. Pomógł ojcu zdjąć mokry płaszcz przeciwdeszczowy. Kiedy Abbott zdjął kapelusz, Billy zauważył, że włosy ojca są zupełnie siwe, a twarz podpuchnięta i żółtawa. Pamiętał zdjęcie ojca w mundurze kapitana.

Przedstawiało młodego, przystojnego mężczyznę o ciemnych włosach i pogodnych oczach, śmiejącego się właśnie z jakiegoś dowcipu.

Willie Abbott nie był już przystojnym mężczyzną. Ciało, niegdyś smukłe i wyprostowane, robiło wrażenie zwiotczałego pod zniszczonym ubraniem, a na linii pasa rysowała się niewielka okrągła wypukłość. Nie dopuszczę do tego, żeby tak wyglądać w jego wieku, pomyślał Billy prowadząc ojca do pokoju.

W małym zagraconym saloniku czekała Monika. Nigdy nie marnowała czasu na zajęcia domowe. Siedziała na jedynym fotelu i czytała.

Kiedy weszli do pokoju, wstała.

- Moniko - powiedział Billy - to mój ojciec.

Monika uśmiechnęła się, teraz oczy nadawały jej twarzy przyjemny wyraz. Ona ma sześćdziesiąt nastrojów na godzinę, myślał Billy, kiedy Monika podała rękę Abbottowi ze słowami:

- Witam pana.

- Widziałem, jak pani wchodziła - powiedział Abbott. - Obrzuciła mnie pani bardzo szczególnym spojrzeniem.

- Monika zawsze patrzy na mężczyzn w sposób szczególny - powiedział Billy. - Siadaj, siadaj. Czy mogę poczęstować cię drinkiem?

Abbott zatarł ręce i przeszył go dreszcz.

- To by mnie znacznie podreperowało.

- Przyniosę szklanki i lód. - Monika wyszła do kuchni.

Abbott z aprobatą rozejrzał się dokoła.

- Przytulnie. Widzę, że znalazłeś w wojsku swój dom?

- Mógłbyś to tak określić?

- Przejściowo czy stały? - Abbott skinął głową w kierunku kuchni.

- Przejściowo stały - odpowiedział Billy.

Abbott się roześmiał. Jego śmiech nie postarzał go tak jak siwe włosy i podpuchnięta twarz.

- Dzieje Abbottów - powiedział.

- Co cię sprowadza do Brukseli, tato?

Abbott w zadumie spojrzał na Billy'ego.

- Operacja badawcza. Chyba możemy porozmawiać o tym później.

- Oczywiście.

- Czym się zajmuje ta młoda dama?

- Jest tłumaczką w NATO. - Nie czuł się upoważniony do wyjaśniania ojcu, że ta dama planuje również zniszczenie systemu kapitalistycznego, i że prawie na pewno miała

swój udział w niedawnym zamordowaniu sędziego w Hamburgu.

Monika wróciła z kuchni z trzema szklaneczkami, lodem i butelką szkockiej. Billy dostrzegł, jak pożądlivym okiem spogląda ojciec na butelkę.

- Dla mnie troszeczkę - poprosił Abbott. - Po tej podróży samolotem i chodzeniu przez calusieńki dzień po Brukseli czuję się tak, jakbym nie spał od tygodni.

Billy zauważył, że ręce ojca drżały nieznacznie, kiedy brał od Moniki szklanę. Poczł przyplływ litości dla tego małego człowieczka, tak bardzo zredukowanego w skali i sposobie bycia w stosunku do ojca, jakiego pamiętał.

Abbott uniósł szklanę.

- Za ojców i synów - powiedział. Uśmiechnął się krzywo. Potrząsnął szklanką, aż zadzwonił lód, ale nie podniósł jej do ust. - Ile lat minęło od naszego ostatniego spotkania?

- Sześć czy siedem - odrzekł Billy.

- Aż tyle? Oszczędzę wam obojgu banałów. - Powoli sączył drinka, westchnął gęboko, z wdzięcznością. - Dobrze się spisywałeś, Billy. Wygląda na to, że jesteś w dobrej formie.

- Dużo gram w tenisa.

- Wspaniale: Z przykrością muszę powiedzieć, że ja ostatnio zaniedbałem tenisa. - Znów wypił łyk. - To bład. Ale w ciągu sześciu czy siedmiu lat popełnia się błędy. O różnym stopniu okropności. - Patrzył na Billy'ego, mrużąc oczy jak krótkowidz bez okularów. - Zmieniłeś się. To normalne. Dojrzałeś, to chyba właściwe określenie. Jest bardzo atrakcyjny, nie uważa pani?

- Umiarkowanie atrakcyjny - powiedziała ze śmiechem Monika.

- Był ładnym dzieckiem - kontynuował Abbott - ale nienaturalnie poważnym. Powinienem był przywieźć jego zdjęcia z okresu dzieciństwa. Kiedy lepiej się poznamy, wezmę panią na bok i zapytam, co on mówi o swoim ojcu. Z czystej ciekawości. Mężczyzna zawsze się martwi, że syn osądza go niesprawiedliwie. Można to nazwać cierpieniem ojcostwa.

- Billy zawsze mówi o panu z miłością - powiedziała Monika.

- Lojalna dziewczyna. Jak już wspomniałem, możliwości niesprawiedliwej oceny są nieskończone. - Znów wypił łyk. - Rozumiem, Moniko, że jest pani przywiązana do mojego syna?

- Tak bym to określiła. - W głosie Moniki była ostrożność. Billy widział, że ojciec zrobił na niej niekorzystne wrażenie.

- Powiedział pani bez wątpienia, że ma zamiar zostać w wojsku. - Abbott obracał w

ręce szklanek.

- Tak.

Aha, pomyślał Billy, to dlatego przyjechał do Brukseli.

- Armia amerykańska jest szlachetną i niezbędną instytucją - powiedział Abbott. - O ile dobrze pamiętam, ja też w niej kiedyś służyłem. Czy pani popiera jego zamiar pozostania w tej szlachetnej i niezbędnej instytucji?

- To jego sprawa - powiedziała sprytnie Monika. - Z pewnością ma swoje powody.

- Może będę wścibski, Moniko, to znaczy... wykorzystam prerogatywy ojca, który interesuje się towarzystwem, jakie wybiera jego syn... mam nadzieję, że nie czuje się pani dotknięta...

- Oczywiście, że nie, panie Abbott. Billy wie o mnie wszystko.

Prawda, Billy?

- Nawet zbyt dużo - powiedział Billy śmiejąc się, niezbyt zadowolony z przebiegu rozmowy.

- Jak mówiłem, jeżeli mogę być wścibski... wydaje mi się, że wyczuwam u pani ślad obcego akcentu. Czy może mi pani powiedzieć, skąd pani pochodzi? To znaczy, gdzie się pani urodziła?

- Niemcy. Dokładniej, Monachium.

- Aha, Monachium - Abbott skinął głową. - Leciałem raz samolotem, który bombardował Monachium. Cieszę się, że jest pani zbyt młoda na to, by mogła pani być wtedy w tym pięknym mieście. Na początku czterdziestego piątego.

- Urodziłam się w czterdziestym czwartym - powiedziała Monika.

- O, przepraszam.

- Nic nie pamiętam - ucięła krótko Monika.

- To wspaniałe, kiedy można tak powiedzieć. Nic nie pamiętam.

- Tato - wtrącił Billy - wojna się skończyła.

- Wszyscy tak mówią. - Abbott wolno pociągnął kolejny łyk. - To chyba musi być prawda.

- Billy - powiedziała Monika, odstawiając szklanekę z niedopitą whisky - mam nadzieję, że ty i twój uroczy ojciec nie weźmiecie mi tego za złe, ale muszę wyjść. Muszę się spotkać z pewnymi ludźmi...

Abbott podniósł się z galanterią, choć trochę sztywno, jak zreumatyzowany starzec wstający rano z łóżka.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli przyjemność zjedzenia kolacji w pani

towarzystwie.

- Niestety, nie, panie Abbott. Jestem umówiona na kolację.

- A więc innym razem...

- Oczywiście - powiedziała Monika.

Billy wyszedł z nią do przedpokoju i pomógł jej włożyć płaszcz przeciwdeszczowy. Obserwował, jak zawiązywała szalik na potarganych włosach.

- Zobaczą cię później? - szepnął.

- Pewno nie. I nie pozwól, żeby twój ojciec cokolwiek ci wyperswadował. Z pewnością wiesz, po co przyjechał.

- Chyba tak. Nie martw się - szeptał. - I wróc wieczorem. Bez względu na porę. Obiecuję że nadal będę miał ochotę.

Monika zachichotała, pocałowała go w policzek i wyszła. Billy westchnął bezgłośnie, przywołał uśmiech na twarz i wrócił do pokoju. Ojciec nalewał sobie następnego drinka, tym razem już nie maleńkiego.

- Interesująca dziewczyna - zaczął Abbott. Ręka nie drżała mu już, kiedy wlewał do szklanki wodę sodową. - Czy ona kiedykolwiek się czesze?

- Ona nie przejmuje się takimi rzeczami - wyjaśnił Billy.

- Tak mi się właśnie zdawało - powiedział Abbott siadając z powrotem na fotelu. - Nie mam do niej zaufania.

- Och, tato, daj spokój. Po dziesięciu minutach znajomości? Z jakiego powodu? Dlatego że jest Niemką?

- Wcale nie. Znam wielu dobrych Niemców. Mówię tak, choć to wcale nie jest prawdą, tylko dlatego, że na ogół wszyscy chcą słyszeć właśnie takie rzeczy. Prawda jest taka, że nie znam żadnych Niemców i nie żywię wobec nich żadnych uczuć, dobrych ani złych.

Mam natomiast specjalne uczucia wobec pań, bo jest to rasa, którą znam lepiej niż Niemców. Jak już mówiłem, jej spojrzenie było bardzo specyficzne, kiedy mnie mijała wchodząc do domu. Poczuję się dziwnie.

- W porządku, mnie nie obdarza specyficznymi spojrzeniami.

- Mam nadzieję - powiedział Abbott patrząc taksująco na Billy'ego.

- Jesteś niski, szkoda, że odziedziczyłeś wzrost po mnie, a nie po matce, ale z tymi ładnymi oczami i manierami pewnie podbijasz znaczną ilość damskich serc.

- Większość pań jakoś nie okazuje tego w mojej obecności.

- Podziwiam twoją skromność. - Abbott się roześmiał. - W twoim wieku byłem mniej

skromny. Miałaś wiadomości od matki?

- Tak. Napisała do mnie po tym, jak powiedziałeś jej o moim zamiarze pozostania w wojsku. Nie wiedziałem, że utrzymujecie tak bliskie stosunki.

- Jesteś jej i moim synem - powiedział Abbott z poważnym wyrazem twarzy. - Żadne z nas o tym nie zapomina, choć udaje nam się zapomnieć o wielu innych rzeczach. - Pociągnął duży łyk whisky.

- Proszę cię, tato, nie upij się dziś wieczorem.

Abbott w zamyśleniu przyjrzał się szklance, którą trzymał w ręce i gwałtownym ruchem rzucił ją w niewielki ceglany kominek. Szklanka rozprysła się na kawałki, a whisky pozostawiła ciemną plamę na palenisku. Obaj mężczyźni przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Billy słyszał głośny, nierówny oddech ojca.

- Przepraszam Billy. Nie jestem zły o to, co powiedziałeś. Wprost przeciwnie. Całkiem przeciwnie. Mówiłeś jak posłuszny i dobry syn.

Wzrusza mnie twoja troska o moje zdrowie. Zły jestem sam na siebie. - Głos Abbotta był przepelniony goryczą. - Mój syn jest w przededniu popełnienia czegoś, co uważam za wielki i być może nieodwracalny błąd. Pieniądze na podróż z Chicago do Brukseli pożyczyłem od ostatniego człowieka, którego można od czasu do czasu skłonić do pożyczenia mi dolara. Przyjechałem tu, żeby... żeby spróbować namówić cię do przemyślenia tego. Przez cały dzień chodziłem po mieście w deszczu, powtarzając argumenty, które mogłyby cię skłonić do zmiany decyzji. Udało mi się nie zamówić nawet jednego drinka podczas lotu nad oceanem, bo chciałem być w jak najlepszej formie - uśmiechnął się krzywo - co nawet w najlepszym wydaniu nie jest najlepszą z form na spotkanie z tobą.

Naraziłem ci się mówiąc o twojej dziewczynie, której nie znam, jak to zauważyłeś, i o szczególnym spojrzeniu, jakim obrzuciła mnie na progu, i rozpocząłem postępowanie od nalania sobie podwójnej szkockiej, co ma prawo przypomnieć ci bolesne weekendy z ojcem, kiedy matka wypożyczała mi ciebie na ojcowskie sabaty wychowawcze.

Willie Abbott znowu na miotle. - Podniósł się gwałtownie. - Chodźmy na kolację. Obiecuję, że nie wypiję już ani kropli, dopóki nie odstawisz mnie do mojego hotelu. Potem, obiecuję, upiję się aż do utraty świadomości. Nie będę jutro w świetnej formie, ale przyrzekam, że będę trzeźwy. Gdzie jest wychodek? Kilka godzin stałem na deszczu i pęcherz mi pęka. Ze względu na ciebie i armię Stanów Zjednoczonych nie chciałbym być przyłapany na obsikiwaniu mieszkań porządnym brukselskich mieszczan.

- Za sypialnią - wyjaśnił Billy. - Obawiam się, że wszystko tam porzrucane. Wychodzimy z Moniką wcześniej do pracy i przeważnie wracamy dopiero po kolacji. - Nie

chciał, żeby ojciec pomyślał, że Monika jest flejtuchem, choć sam czasami robił jej wyrzuty z powodu bałaganu w mieszkaniu. - Ani Marks, ani Mao, ani Che Guevarra - powiedział do niej niedawno - nie mówią o tym, że dobry rewolucjonista ma zostawiać swoją bieliznę na podłodze. - Sprzątamy podczas weekendów - wyjaśnił ojcu.

- Nie będę robił żadnych uwag na temat stylu życia twojego i twojej pani. Nie jestem najporządniejszym człowiekiem na świecie, ale, co może się wydać paradoksem, zamiłowanie do porządku uważam za pożyteczną zaletę kobiety. Nie szkodzi. Musimy brać to, co jest. - Spojrzał badawczo na Billy'ego. - Nie jesteś w mundurze, żołnierzu. Jak to się dzieje, że będąc w szlachetnej i niezbędnej armii Stanów Zjednoczonych nie chodzisz w mundurze?

- Po służbie możemy chodzić w ubraniach cywilnych.

- W moich czasach było inaczej. Nie nosiłem cywilnego ubrania przez cztery lata. Ale kolejne wojny zmieniają zwyczaje.

Pewnym krokiem wyszedł do hallu, kierując się do sypialni. Kiedy wrócił, Billy pomyślał: To ubranie musi już mieć z dziesięć lat.

Ciekaw jestem, czy pozwoli mi kupić sobie nowe.

Przy kolacji ojciec mówił mnóstwo rzeczy, na rozmaite tematy.

Nalegał, żeby Billy zamówił dla siebie wino, kiedy jednak kelner je nalewał, odwrócił swój kieliszek dnem do góry. Stwierdził, że jedzenie jest pierwszorzędne, ale ledwie je tknął. Był na przemian wylewny, usprawiedliwiający się, pełen żalu, cyniczny, optymistyczny, agresywny, pełen samooskarżeń i pychy.

- Jeszcze nie jestem skończony - powiedział między innymi - mimo pozorów. Mam milion pomysłów; gdybym trzymał się z dala od alkoholu, pochłoniłbym dziedzinę reklamy jak porcję bitej śmietany. Dziesięciu najlepszych w tej branży w Chicago powiedziało mi to, oferowano mi prace z sześciocyfrowym wynagrodzeniem, gdybym przystąpił do Ligi Antyalkoholowej. Ale nie widzę siebie czyniącego publicznie wyznania przed grupą zawodowo bijących się w piersi. Gdybyś tylko porzucił szalony pomysł pozostania w wojsku... nie mogę się z tym pogodzić, naprawdę nie mogę. Taki sprytny młody człowiek jak ty, z twoim wykształceniem, i nawet nie oficer. Co ty do diabła robisz przez cały dzień, wysyłasz samochody jak panienska w biurze radiotaxi? Gdybyś tak pojechał ze mną do Chicago, moglibyśmy otworzyć agencję William Abbott i Syn. Czytałem twoje listy, mam je zawsze przy sobie, pierwsza rzecz, jaką pakuję, kiedy się gdzieś przenoszę to pudełko, w którym je trzymam. Czytałem je, i mówię ci, że umiesz pisać, możesz iść o lepsze z najlepszym z nich. Gdybym ja miał twoje zdolności, w mojej szufladzie nie byłoby sterty nie

dokończonych sztuk, zapewniam cię. Moglibyśmy oszołomić ludzi, po prostu ich oszołomić, znam tę branżę od A do Z - możesz to pozostawić mnie - reklamiarze wybijałoby nasze drzwi błagając, byśmy przyjęli ich firmę. I nie myśl, że Chicago to mała rzecz.

Reklama tam właśnie się zaczęła, jak Boga Kocham.

W porządku, wiem, co myślisz o całej reklamie, że to dziwka społeczeństwa konsumpcyjnego i takie tam bzdury. Ale czy ci się podoba, czy nie, mamy jedynie to społeczeństwo, a prawo dżungli brzmi: jedz albo będziesz zjedzony. Sprzedaj kilka lat swojego życia, a potem zrobisz to, co ci się podoba. Napisz książkę... napisz sztukę. Jak wrócę do Chicago, odbiję twoje listy na ksero i przyślę ci je; sam się zdziwisz czytając tak wszystkie razem.

Słuchaj, twoja matka zarabiała na życie, cholernie dobre życie, pisaniem do czasopism, a przecież to, co wysmarowujesz do mnie w ciągu kilku minut, ma więcej... szukam jakiegoś odpowiedniego słowa... więcej sensu i polotu niż to, co kiedykolwiek pisała twoja matka, nawet w najlepszym okresie. A muszę ci powiedzieć że cieszyła się bardzo dobrą opinią wielu inteligentnych ludzi, redaktorzy ciągle ją nagabywali o więcej tekstów, nie wiem, dlaczego przestała pisać. To, co pisała, było wystarczająco dobre dla redaktorów, dla czytelników, ale nie dla niej. Ona miała jakieś niezdrowe pojęcie o doskonałości... strzeż się tego... to może w końcu doprowadzić do molekularnego unieruchomienia... to dopiero określenie, co mój chłopcze?... aż wreszcie przestała pisać. Na Boga, komuś w rodzinie wreszcie powinno się udać. Ona skarży się do mnie, że prawie nigdy do niej nie piszesz. Cieszę się, oczywiście, że tak często piszesz do mnie, ale mimo wszystko to jest twoja matka, i nic by ci się nie stało, gdybyś od czasu do czasu wysłał do niej parę słów. Wiem, że byłem dla niej okropny, że ją rozczarowałem, że byłem strasznym mężem. Ale prawda jest taka, że ona mnie przerastała pod każdym względem, fizycznie, intelektualnie, moralnie. Przygniotła mnie zupełnie, ale to nie przeszkadza, że po tylu latach potrafię ocenić jej wartość. Trudno powiedzieć, jak daleko by zaszła z innym mężczyzną, przy większym szczęściu... Colin Burke zginął...

Co za rodzina z tych Jordachów, stary samobójca, brat zamordowany, a świątobliwy Rudolf pobity prawie na śmierć w swoim mieszkaniu.

Dla twojej matki byłoby strasznym ciosem, gdyby on się z tego nie wygrzebał. Trzy na trzy. Dwaj bracia i mąż. Co za proporcje. I ten chłopak... Wesley... czy pisałem ci że przyjechał do Chicago i odwiedził mnie? Chciał, żebym opowiedział mu wszystko, co wiem o jego ojcu... jest jakby opętany przez ojca... mury Elsynoru, na miłość boską, chyba nie można go za to potępiać, ale wygląda jak żywy trup i ma straszne oczy... Bóg jeden wie, jak on

skończy.

Nigdy nawet nie widziałem jego ojca, ale próbowałem udawać, że był to wspaniały facet, i kłamałem ostro, a ten dzieciak po prostu wstał w połowie zdania i powiedział: „Dziękuję panu. Obawiam się, że marnujemy swój czas.”

Ty jesteś w połowie Jordachem... a może nawet więcej niż w połowie... bo jeśli jakakolwiek kobieta miała silniejsze geny, była to na pewno Gretchen Jordach, więc bądź ostrożny, nigdy nie wierz w dziedziczenie szczęścia, bo go nie masz, z żadnej gałęzi rodzinnego drzewa.

Powiem ci coś, skończ z tym przeklętym wojskiem, przyjedź do Chicago pracować ze mną, a ja przysięgnę, że do końca życia nie tknę kropli alkoholu. Wiem, że mnie kochasz... jesteśmy dorośli i możemy używać odpowiednich słów... masz przed sobą szansę, która niewielu synom jest dana... możesz uratować życie swojego ojca.

Nie musisz teraz nic mówić, ale kiedy wrócę do Chicago, chcę zastać list od ciebie z wiadomością, kiedy przyjeżdżasz. Będę tam za jakiś tydzień. Jutro muszę jechać do Strasburga. Muszę się zobaczyć z pewnym człowiekiem. Delikatne negocjacje w imieniu mojego starego klienta. Fabryka chemiczna. Mam wysondować tego Francuza, czy wzięłby wynagrodzenie, honorarium, czyli, nie owijając w bawełnę, łapówkę, za przyjęcie biznesu mojego klienta do swojej firmy. Nie powiem ci, o jaką sumę chodzi, ale gdybym ci powiedział, zatkałoby cię. A jeżeli mi się uda, dostanę swoją część. Nie jest to najpiękniejszy sposób zarabiania na życie, ale jedyna możliwość pozyczenia wystarczającej ilości pieniędzy, żeby przyjechać do ciebie. Pamiętaj, co powiedziałem o społeczeństwie konsumpcyjnym.

A teraz jest już późno, i twoja dziewczyna na pewno czeka, a ja jestem śmiertelnie zmęczony. Jeżeli choć trochę ci zależy na reszcie życia twojego ojca, to po powrocie do Chicago zastanę list od ciebie. To jest szantaż, ale nie myśl, że nie zdaję sobie z tego sprawy. I ostatnia sprawa. Ja płacę za kolację.

Odprowadziwszy ojca do taksówki, Billy ruszył wolno mokrymi ulicami Brukseli; latarnie otaczały małe aureole zamglonego światła. Po przyjeździe do domu usiadł przy biurku i zaczął się wpatrywać w maszynę do pisania.

Beznadziejne, beznadziejne, myślał. Biedny, bezradny, wyniszczony, bujający w obłokach staruszek. I nawet nie miałem okazji powiedzieć, że chciałbym mu kupić nowe ubranie.

Wreszcie położył się do łóżka, sam.

Tej nocy Monika nie przyszła.

Zjawiała się rano, zanim wyszedł do pracy, z paczką, którą miał dostarczyć na ulicę Du Gros-Caillou w siódmej dzielnicy Paryża, kiedy wraz z pułkownikiem uda się do stolicy Francji. Paczka była stosunkowo niewinna: dziesięć tysięcy francuskich franków w zniszczonych banknotach i automatyczny wojskowy rewolwer amerykański, kaliber 45, wyposażony w tłumik.

Kiedy o trzeciej dwadzieścia po południu wysiadł z taksówki na rogu Avenue Bosquet i rue St-Dominique, miał w torbie tenisowej czterdziestkę piątkę i dodatkowe magazynki nabojów. Sprawdził na planie Paryża, że ulica Du Gros-Caillou jest krótka i stanowi połączenie ulic St-Dominique z ulicą Grenelle, niedaleko Ecole Militaire. Dziesięć tysięcy franków, zapakowane w kopertę, schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Przyjechał za wcześnie. Monika powiedziała, że będzie oczekiwany o trzeciej trzydzieści. Powtarzał sobie adres, który kazała mu zapamiętać. Szedł wolno, patrząc na wystawy z nadzieją, że wygląda na amerykańskiego turystę, przechadzającego się leniwie w ciągu kilku wolnych minut przed spotkaniem z partnerami od tenisa. Miał jeszcze około trzydziestu jardów do arkadowej bramy prowadzącej na ulicę, kiedy minął go samochód policyjny z włączoną syreną, jadący pod prąd ulicą St-Dominique. Samochód zatrzymał się, blokując wejście na ulicę Du Gros-Caillou. Pięciu policjantów z pistoletami w rękach wyskoczyło z samochodu i pobiegło na ulicę Du Gros-Caillou. Billy przyspieszył kroku, minął ulicę. Patrząc przez arkadę, dostrzegł policjantów biegnących w stronę budynku, przed którym było już trzech innych funkcjonariuszy przybyłych z drugiej strony: Usłyszał krzyki i zobaczył, że pierwsi trzech policjanci wpadli do bramy. Chwilę później rozległ się odgłos strzałów.

Billy zawrócił i szedł z powrotem, starając się iść jak najwolniej w kierunku Avenue Bosquet. Dzień nie był zimny, ale Billy drżał i pocił się równocześnie.

Na rogu ulicy znajdował się bank. Billy wszedł do środka. Byle tylko nie stać na ulicy. Przy biurku koło wejścia siedziała dziewczyna, Billy podszedł do niej i powiedział, że chciałby wynająć sejf. Miał trudności ze znalezieniem francuskiego słowa coffre-fort. Dziewczyna wstała i poprowadziła go do okienka, gdzie urzędnik poprosił o dowód tożsamości. Billy pokazał paszport i urzędnik wypełnił jakieś formularze. Kiedy zapytał o adres, Billy pomyślał przez chwilę i podał adres hotelu, w którym zatrzymali się kiedyś z Moniką. Teraz mieszkał w innym hotelu. Podpisał dwa formularze. Własny podpis wydawał mu się dziwny. Zapłacił za rok z góry. Wtedy urzędnik zaprowadził go do podziemi i dał klucz do sejfu strażnikowi przy biurku. Strażnik zaprowadził Billy'ego do rzędu sejfów w

głębi, otworzył jeden zamek kluczem Billy'ego, drugi swoim, a potem powrócił do biurka. Billy został sam, odpiął torbę tenisową, przełożył rewolwer, magazynki i kopertę z dziesięcioma tysiącami franków do sejf. Zamknął drzwi sejf i zawołał strażnika. Strażnik zamknął obydwa zamki i podał Billy'emu jego klucze.

Billy opuścił podziemia. Wydawało się, że nikt nie zwraca na niego specjalnej uwagi, więc wyszedł na ulicę. Nie słyszał strzałów, nie widział już policji. Okazało się, że pesymizm ojca był przedwczesny, kiedy ostrzegał go, by nie ufał odziedziczonemu szczęściu. Przydarzyło mu się właśnie dziesięć minut największego szczęścia, jakie może się trafić w czymkolwiek życiu.

Zatrzymał jadącą taksówkę i podał szoferowi adres hotelu na tyłach Champs Elysees.

W hotelu zapytał, czy nie ma dla niego wiadomości. Nie było nic.

Poszedł na górę do swojego pokoju i zamówił telefon do swojego mieszkania w Brukseli. Po kilku minutach telefonistka poinformowała go, że Bruksela nie odpowiada.

Pułkownik dał mu wolne popołudnie i wieczór, został więc w swoim pokoju, dzwoniąc do Brukseli co pół godziny aż do północy, kiedy wyłączono hotelową centralę. Ale numer w Brukseli nie odpowiadał.

Próbował spać, ale zaraz po zaśnięciu budził się przerażony i zlany potem.

O szóstej rano znowu zadzwonił do Brukseli, ale numer nie odpowiadał.

Wyszedł z hotelu i kupił poranne gazety, „Le Figaro” i „Herald Tribune”. Pijąc kawę i jedząc rogaliki w kawiarni na Champs Elysees czytał o akcji policji. W żadnej z gazet nie była zbyt wyeksponowana. Osobnik podejrzany o handel narkotykami został zastrzelony w siódmej dzielnicy, stawiał opór próbującym go aresztować funkcjonariuszom. Policja w dalszym ciągu ustala jego tożsamość.

Rozgrywają to ostrożnie, pomyślał czytając gazety, nie ujawniają wszystkiego, co wiedzą.

Kiedy wrócił do hotelu, znów próbował dodzwonić się do Brukseli.

Ale nikt tam nie odpowiadał.

Dwa dni później wrócił do Brukseli. Mieszkanie było puste, zniknęły wszystkie rzeczy należące do Moniki. Nigdzie też nie znalazł listu.

Kilka tygodni później pułkownik zapytał go, czy zamierza zostać w wojsku. Odpowiedział - Nie, panie pułkowniku. Zdecydowałem, że nie zostanę.

ROZDZIAŁ V

Po wejściu z jasnego nadmorskiego słońca w mrok korytarza Wesley mrużył oczy, idąc za wujem w głąb domu. Przy stole nakrytym na dwie osoby, stojącym na wprost wielkiego okna z widokiem na wydmy i Ocean Atlantycki, siedziała kobieta. Jej twarz majaczyła niewyraźnie w świetle okna i przez moment Wesley, przekonany, że to eks-żona wuja, zaczął żałować, że w ogóle przyszedł. Nie widział jej od dnia śmierci ojca i od tej pory wiele czasu spędził starając się o niej zapomnieć. Po chwili oczy Wesleya przyzwyczyły się do światła, i wtedy zobaczył, że to nie Jean Jordach, tylko wysoka kobieta o długich brązoworudych włosach.

Rudolf przedstawił ją.

Kobieta uśmiechała się miło do Wesleya, wstała, wyszła do kuchni, przyniosła tacę ze szklanką, talerzami, sztuccami i położyła dla niego nakrycie. Zapach unoszący się z wielkiej porcelanowej wazy na stole, zmieszany z aromatem świeżych biskwitów, nie dawał Wesleyowi spokoju. Od siódmej rano jechał autostopem, ostatnią milę czy dwie od głównej drogi do plaży szedł piechotą i nie jadł obiadu. Musiał przełknąć ślinę, by ukryć fakt, że umiera z głodu.

Kobieta, ubrana w kostium kąpielowy, mocno opalona, nie przypominała pani Wertham. Zupa z mięczaków była wspaniała, ale starał się nie jeść zbyt prędko. Alice karmiła go nieźle, była jednak tak zajęta w redakcji „Time'u”, że posiłki składały się głównie z tego, co zdołała kupić w drodze do domu. Przyjemne wspomnienia uczt, jakie urządzała Kate na „Klotyldzie”, tonęły w odmętach sałatki z tuńczyka i kanapek z zimną pieczenią wołową.

Był wdzięczny Alice za jej gościnność; wiedział, że pracowała ciężko zarówno w biurze, jak i w domu, pisząc na maszynie do późnych godzin nocnych, ale kuchnię nie interesowała się zbyt.

Wesley nie mógł się powstrzymać od myśli, że byłoby lepiej, gdyby powiodło jej się pisanie, bo nie ma żadnych szans na sukcesy jako kucharka.

Kiedy zjadł zupę i cztery ociekające masłem biskwity, pani Morison nalegała, żeby raz jeszcze napełnić jego talerz i przyniosła z kuchni świeże pieczywo.

- Zdaje się, że przyszedłem w samą porę - powiedział Wesley z uśmiechem, kiedy skończył drugą porcję.

W czasie obiadu wuj nie zadawał mu żadnych ważnych pytań poza tym, jak znalazł się w Bridgehampton, jak tu trafił. Wesley nie spieszył się z wyjaśnieniami. Odpowie na pytania, kiedy zostaną sami.

- Nie planowaliśmy deseru - powiedziała pani Morison - ale myślę, że znajdę coś w lodówce dla naszego młodego gościa. Sama mam syna i wiem coś o młodzieńczych apetytach. Jest chyba kawałek porzeczkowego tortu z wczorajszego wieczoru i trochę lodów w zamrażalniku.

Wesley stwierdził, że podoba mu się ta kobieta, i zaczął się zastanawiać, czy wuj byłby innym człowiekiem, gdyby spotkał ją dawno temu i ożenił się z nią, zanim poznał tamtą.

Po obiedzie kobieta powiedziała, że musi wyjść, i włożyła plażową suknię. Rudolf odprowadził ją, zostawiając Wesleya samego w domu.

- Boże, jaki to przystojny chłopak - powiedziała Helen wsiadając do samochodu.

- Gretchen twierdzi, że on wygląda jak młody książe na florenckim obrazie. Chce mu zrobić próbne zdjęcia do roli w swoim filmie.

- A co on na to?

- Jeszcze go nie pytałem. Tylko tego nam jeszcze potrzeba, aktora filmowego w rodzinie.

- Zjawił się jednak w nieodpowiedniej chwili - powiedziała Helen.

- Masz rację. Zgodnie z obietnicą, obiad był podniecający.

Helen się zaśmiała. - Zawsze jest jeszcze jakieś jutro.

- A dlaczego nie dzisiejszy wieczór?

- Mam zajęcia. Usiłuję podminować partię republikańską. Zresztą myślę, że chłopak chce porozmawiać z wujem. Nie przyjechał taki kawał drogi tylko na obiad. - Wychyliła się z samochodu, pocałowała Rudolfa i uruchomiła silnik. Patrzył zamyślony, jak odjeżdża. Kobieta z celem w życiu. Zastanawiał się, czy on jeszcze kiedykolwiek będzie miał cel w życiu. Westchnął i wrócił do domu.

Wesley stał przy dużym oknie i patrzył na morze.

- Jeśli kiedykolwiek gdzieś zamieszkać na stałe - powiedział - chciałbym, żeby to było miejsce podobne do tego, z całym oceanem przed oczami.

- Miałem szczęście, że znalazłem ten dom.

- Tak - powiedział Wesley. - Szczęście. Obiad był świetny. Jaka to miła pani.

- Bardzo miła - przyznał Rudolf. Sprecyzowanie charakteru jego związku z Helen Morison i ocenę jej zalet można było odłożyć na później. - Nie chciałbyś popływać? Stale ktoś zostawia tu jakieś kostiumy, więc myślę, że znajdę spodenki dla ciebie. - Zdawał sobie sprawę, że próbuje odłożyć problemy, z jakimi przyjechał Wesley. - Woda jest zimna, ale za to będziesz miał cały ocean na własny użytek.

- To byłoby wspaniałe - powiedział Wesley. - Pływanie.

Wyszli na werandę po schodkach do pomieszczenia z prysznicem, gdzie wisiało pięć czy sześć par spodenek. Rudolf zostawił Wesleya samego, i poszedł na plażę.

Kiedy Wesley pojawił się w kąpielówkach i z ręcznikiem na szyi, Rudolf poszedł za nim na brzeg wody. Wesley rzucił ręcznik na piasek i chwilę wahał się przed wejściem do morza. Miał silne, nieco pochylone ramiona, płaski brzuch sportowca i długie umięśnione nogi. Jego twarz, pomyślał Rudolf, jest wyrafinowaną wersją twarzy jego ojca, a ciało, choć był trochę wyższy, było ciałem ojca. A może, myślał Rudolf, kiedy chłopak nagle zaczął biec w stronę przybrzeżnych fal, a wokół pieniała się woda, może Gretchen ma rację. Obserwował, jak chłopiec zanurzył się w wodę, a potem swobodnie popłynął przez grzywy fal na ocean. Enid ciągle jeszcze bała się morza i tylko chlapała się ostrożnie przy brzegu.

Nie próbował zmuszać jej, by wykazywała więcej inicjatywy. Nie miał zamiaru być jednym z tych ojców, którzy, rozczarowani, że nie mają syna, starają się wychować córkę na chłopaka. Znał kilka takich zbyt muskularnych pań i wiedział, że bez względu na to, co mówią o swoich ojcach, w głębi duszy ich przeklinają.

Wesley płynął coraz dalej i dalej, aż wreszcie jego głowa stała się małym punktem w błyszczącej niebieskiej dali. Rudolf zaczął się niepokoić. Czy chłopak mógł przyjechać zobaczyć się z nim tylko po to, żeby się utopić w jego obecności? Wróciło dawne poczucie skrępowania wobec bratanka, przekonanie, że w każdym momencie Wesley gotów jest powiedzieć coś nieprzewidzianego, niebezpiecznego czy co najmniej kłopotliwego. Gdyby tylko mógł spędzić z nim więcej niż kilka godzin, może udałoby mu się pozbyć przekonania, że Wesley nieustannie go osądza, ocenia go według jakiejś nierealnej, prywatnej skali wartości. Musiał się powstrzymać przed pomachaniem i wezwaniem chłopca do powrotu.

Odwrócił się gwałtownie i poszedł w stronę domu.

Pięćset jardów od brzegu Wesley płynął na plecach rozkoszując się zmysłową przejrzystością łagodnego unoszenia się w górę i w dół na fali. Patrząc na niebieskie bezchmurne niebo marzył, że Alice jest razem z nim, że ich ciała pozbawione ciężaru, splecione w szczypiącej słonej wodzie, nurkują pod powierzchnię, że całują się, podpływają do góry, by spojrzeć sobie w oczy, ogłaszając swą miłość na lądzie i na morzu. Prawda była taka, że od jedyne go pocałunku, kiedy to Alice płakała z powodu Wesleya, nie zbliżyli się do siebie, a ich wzajemne stosunki uległy zmianie, i to wcale nie na lepsze; wkradło się między nich jakieś nowe napięcie, jakaś wzajemna nieśmiałość.

Jednak teraz, unosząc się i opadając na łagodnych falach morza, Wesley myślał o

Alice z tęsknotą, której nie odważyłby się wyznać ani jej, ani nikomu innemu.

Ojciec powiedział mu, że kiedy był młodym człowiekiem, kochał się raz z dziewczyną w kąpielni i że to było cudowne przeżycie. Jeżeli było tak cudowne w wannie, to co dopiero w Oceanie Atlantyckim?

Gdyby to ojciec czekał na plaży, Wesley nigdy by się nie odważył wypłynąć tak daleko, bo ojciec zwymyślałby go za takie popisywanie się i podejmowanie ryzyka, zupełnie samotnie, bez względu na to, jak dobrym był pływakiem. „Podejmuj ryzyko - mówił mu - tylko wtedy, kiedy ma to jakiś sens. Nie rób nic na pokaz czy po to, żeby udowodnić sobie, jaki to jesteś wspaniały.”

Zaczynał odczuwać zimno, więc zawrócił i płynął do brzegu.

Przypływ się kończył, musiał się zdobyć na ogromny wysiłek, żeby dopłynąć do miejsca, gdzie załamywały się fale. Płynął na fali, opadając na grzywie piany. Kiedy stopy dotknęły miękkiego piasku, ruszył ku plaży. Stał na brzegu, wycierając ręcznikiem twarz i ramiona i patrząc na znikający za horyzontem ocean, na którym nie było widać żadnego statku. Cokolwiek w końcu będę robił, pomyślał, będzie to miało związek z morzem.

Suchy i ubrany, po wzięciu prysznicą, stanął na tarasie, a potem wszedł do domu, trzymając przewieszoną przez ramię marynarkę. Wuj rozmawiał przez telefon „...jeżeli nie dopłynął już do Portugalii” - usłyszał Wesley. Wuj uśmiechnął się do niego.

- Chwileczkę - powiedział Rudolf do telefonu. - Właśnie wszedł.

Wygląda jak gąbka nasiąknięta wodą. - Rudolf wyciągnął słuchawkę w stronę Wesleya. - To ciotka Gretchen. Chciałaby ci powiedzieć dzień dobry.

Wesley wziął słuchawkę.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Zpracowana - odpowiedziała Gretchen. - Cieszę się, że się wreszcie objawiłeś. Od miesięcy próbowałam się z tobą skontaktować. Gdzie się podziewałeś?

- Tu i tam - odpowiedział Wesley.

- Posłuchaj, Wesley - mówiła Gretchen. - Rudolf jutro wcześniej rano jedzie do miasta, żeby się ze mną spotkać. Czy mógłbyś z nim przyjechać? Marzę o tym, żeby cię zobaczyć. Rudolf wytłumaczy ci, dlaczego.

- Ale - zaczął Wesley - wuj nie zaprosił mnie, żebym został na noc.

- Czuj się zaproszony - wtrącił Rudolf.

- W porządku - powiedział Wesley. - Postaram się przyjechać.

- Nie staraj się, tylko przyjeźdź - nalegała Gretchen. - Nie będziesz żałował.

- Czy chcesz jeszcze rozmawiać z Rudolfem?

- Nie mam czasu. Do zobaczenia, kochanie.

Wesley odłożył słuchawkę.

- Jesteś pewien, że nie psuję ci wieczoru? - zapytał Rudolfa.

- Wprost przeciwnie. Cieszę się na ten wieczór.

- Gretchen powiedziała, że coś mi wytłumaczysz. Czy coś się stało?

- Nie. Usiądźmy wygodnie.

Usiedli naprzeciwko siebie przy stole pod oknem. W wyraźniejszym świetle lepiej było widać zniekształconą twarz Rudolfa. Złamany nos i blizna pod okiem sprawiały, że wydawał się mniej oziębły i odległy. Twarz wuja, myślał Wesley, wygląda teraz na bardziej naturalną, bardziej ludzką. Po raz pierwszy, myślał, wuj wygląda zupełnie jak ojciec. Do tej pory nigdy nie zauważył podobieństwa między braćmi.

- Ci dwaj faceci musieli ci dać niezły wycisk - powiedział.

- Ale nie wygląda to tak źle, co? - zapytał Rudolf.

- Nie - powiedział Wesley. - Mnie się nawet podoba. Chyba jestem przyzwyczajony do złamanych nosów. To dla mnie bardziej swojskie.

- Skojarzenie z ojcem przyszło mu łatwo i naturalnie, obaj z Rudolfem się roześmieli.

- Gretchen nalegała, żebym sobie zrobił operację - wyjaśnił Rudolf - ale powiedziałem jej, że moim zdaniem dodaje mi to charakteru.

Cieszę się, że się ze mną zgadzasz.

- A co mi miałeś wyjaśnić? Mówiła przez telefon...

- Pisałem do ciebie, że ona próbuje nakręcić film.

- Tak.

- No więc wreszcie udało jej się wszystko pozłatwiać. Za jakiś miesiąc zaczyna zdjęcia. Z niewiadomych powodów - kontynuował pogodnie Rudolf - uważa, że jesteś pięknym młodzieńcem...

- Och, daj spokój - przerwał niepewnie Wesley.

- Trudno wytłumaczyć gusty. Tak czy inaczej, jest przekonana, że świetnie nadawałbyś się do pewnej roli, i chciałyby zrobić ci próbne zdjęcia.

- Mnie? - pytał z niedowierzaniem Wesley. - Do filmu?

- Trudno mi to ocenić - mówił Rudolf - ale Gretchen zna się na filmie. Jeżeli tak uważa...

Wesley pokręcił głową.

- Chętnie zobaczę się z Gretchen, ale nie będę robił czegoś takiego. Jest mnóstwo rzeczy, które muszę załatwić, i nie zamierzam marnować czasu. Nie chcę też, żeby ludzie

podchodzili do mnie na ulicy i mówili: „Poznaję pana, panie Jordach.”

- Ja miałbym podobne odczucia - wyznał Rudolf - ale myślę, że grzeczniej będzie wysłuchać najpierw Gretchen, zanim odpowiesz: nie. W każdym razie i tak nie mówiliby: „panie Jordach”. W filmie zmieniają każdemu nazwisko, zwłaszcza jeśli brzmi ono Jordach.

Okazałoby się, że nikt nie potrafi tego wymówić.

- To nie byłby taki zły pomysł. Mam na myśli zmianę nazwiska. Nie tylko do filmu.

Rudolf przyjrzał się bratankowi. Dziwnie zabrzmiało to stwierdzenie. Częściowo rozumiał je, ale zaniepokoiło go, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Pora zmienić temat, pomyślał.

- Powiedz mi, co robiłeś?

- Opuściłem dom - powiedział Wesley.

- To mówiłeś mi przez telefon.

- Ale nie mówiłem, że poproszono mnie o to.

- Nie.

- Moja matka. Chyba można powiedzieć, że nie zgadzaliśmy się ze sobą. Nie potępiam jej. Nie pasujemy do siebie. Nie możemy żyć w jednym domu, prędzej może w jednym świecie... Czy zawracała ci mną głowę... tym nakazem aresztowania i tak dalej?

- To wszystko zostało załatwione.

- Pewnie przez ciebie. - Głos Wesleya miał niemal oskarżycielski ton.

- Im mniej o tym powiemy, tym lepiej - stwierdził niefrasobliwie Rudolf. - Gdzie byłeś przez ten cały czas?

- W wielu miejscach - odpowiedział wymijająco Wesley. - W Nowym Jorku i kilkakrotnie poza Nowym Jorkiem.

- Nie dałeś mi znać. - Rudolf starał się, aby w jego głosie nie zabrzmiała pretensja.

- Masz dość swoich kłopotów.

- Może mógłbym pomóc.

Wesley uśmiechnął się.

- Rezerwowałem cię na wypadek, kiedy naprawdę będę potrzebował pomocy. - Nagle spoważniał. - Miałem szczęście. Znalazłem przyjaciela. Dobrego przyjaciela.

- Wyglądasz dobrze - powiedział Rudolf. - Niemal zamożnie. Masz na sobie porządną garnitur... - Nagle przyszło mu do głowy, że może Wesleyem zajmuje się ktoś, kto wykorzystuje go do niecznych przedsięwzięć, podrywania biednych dziewcząt na przystankach autobusowych i przekazywania ich alfonansom, czy do pośredniczenia pomiędzy handlarzami narkotyków. Od czasu pobicia Nowy Jork stał się dla Rudolfa miastem nowym i ponurym,

terenem polowań, na którym wszyscy są ofiarami i nikt nie jest bezpieczny. Młody, niedoświadczony chłopak, włóczący się po mieście, bez grosza przy duszy... - Mam nadzieję, że nie zajmujesz się niczym nielegalnym.

Wesley znów się roześmiał.

- Nie. W każdym razie jeszcze nie. To jest ktoś z - pisma „Time”.

Kobieta. Kiedy przyjechałem do Nowego Jorku, pomogła mi szukać informacji o ojcu. Myślałem, że może będzie mogła mi dopomóc w odszukaniu ludzi, którzy go znali. Adresy i tak dalej. Wydaje się, że oni tam wiedzą wszystko o wszystkich. Chyba litowała się nade mną. W każdym razie moje przeczucia okazały się słuszne. Odkryła dla mnie wiele tropów.

- Czy ona kupiła ci ten garnitur?

- Pożyczyła mi pieniędzy - Wesley bronił się. - Sama wybrała to ubranie... i parę innych rzeczy.

- Ile ma lat? - Rudolf wyobraził sobie starzejącą się pannę, żerującą na młodzieńcu z prowincji, i myśl ta niezbyt mu się podobała.

- Kilka lat starsza ode mnie.

Rudolf się uśmiechnął.

- Byle przed trzydziestką, to nie będę miał zastrzeżeń.

- Brakuje jej jeszcze dużo do trzydziestki.

- Czy romansujesz z nią? Wybacz, że pytam tak wprost.

Wesley nie wydawał się dotknięty pytaniem.

- Nie - odpowiedział. - Śpię na kanapie. Ona nazywa mnie kuzynem.

- Chciałbym poznać tę młodą damę.

- Podobałaby ci się. Jest szalenie miła. Naprawdę wygrzebała dla mnie parę rzeczy.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytał zaciekawiony Rudolf.

- Z czterema czy pięcioma osobami, w różnych miejscach. Dobrymi i złymi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym to zatrzymać dla siebie. Muszę jeszcze wszystko przemyśleć... zdać sobie sprawę, jakie to ma naprawdę znaczenie.

- Czy uważasz, że teraz lepiej poznałeś ojca?

- W istocie nie - powiedział rzeczowo Wesley. - Wiem, że kiedy był młody, wpakował się w okropne tarapaty. Poznałem trochę faktów dotyczących tych tarapatów. Może teraz podziwiam go bardziej za to, do czego doszedł, mając taki start... nie wiem. Wiem natomiast, że pamiętam go lepiej. Bałem się, że go zacznę zapominać, i nie chciałem tego. Dzięki temu - mówił z zapalem - jest przez cały czas ze mną. W mojej głowie, jakby mówił do mnie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Chyba rozumiem - powiedział Rudolf. - A teraz... tak naprawdę, po co przyjechałeś?... - Roześmiał się niepewnie. - Poza obiadem, oczywiście.

Wesley się zawahał.

- Przyjechałem prosić cię o przysługę - zaczął, patrząc w stół. - Właściwie o dwie przysługi.

- Jakie?

- Chcę wrócić do Europy. Chcę zobaczyć Kate i jej dzieciaka. I Króliczka. I Billy Abbotta. Chciałbym zobaczyć, jak radzi sobie drugi syn w rodzinie. I jeszcze kilka osób z okolicy Antibes.

Jakoś nie czuję się dobrze w Ameryce. Odkąd tu przyjechałem, nie przeżyłem ani jednego dobrego dnia. - W głosie Wesleya było za dużo pasji, by mogło to zabrzmieć jak skarga. - Może mi to przejdzie, ale na razie tak jest. Powiedziałeś kiedyś, że ten adwokat w Antibes twierdził, że po roku mógłby mi załatwić powrót do Francji. Zastanawiam się, czy nie zechciałbyś do niego napisać i... no, zorientować się, co się da zrobić.

Rudolf podniósł się i szedł wolno w stronę kominka.

- Wesley, znów będę obcesowy. Czy podałeś mi prawdziwe powody, dla których chcesz wrócić do Europy, czy... - urwał.

- Czy co? - zapytał Wesley?

- Czy masz zamiar szukać faceta, z którym bił się twój ojciec?

Wesley nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili rzekł:

- Taka myśl mogła mi zaświtać.

- To byłoby głupie - powiedział Rudolf. - Bardzo głupie. I bardzo niebezpieczne.

- Obiecuję, że zachowam ostrożność - powiedział Wesley.

- Spodziewam się, że nie będę miał okazji przypomnieć ci tej obietnicy - powiedział Rudolf. - A ta druga przysługa?

- To jest trudniejsze - powiedział Wesley. Patrzył teraz na morze.

- Chodzi o pieniądze. Dopiero za rok skończę osiemnaście lat i dostanę swoją część spadku. Myślałem, że może mógłbyś pożyczyć mi jakieś tysiąc dolarów, które zwróciłbym ci na moje osiemnaste urodziny...

- Nie chodzi o pieniądze - powiedział Rudolf, chociaż nie mógł odpędzić myśli, że wszystkie jego działania wiązały się w jakiś sposób z pieniędzmi: namówienie matki Wesleya na zgodę na rozwód, pomoc Gretchen przy starcie w nowym zawodzie, jego własne pogodzenie z ojcem Wesleya, przeniesienie się do obecnego domu na wybrzeżu Atlantyku, ponieważ miał w kieszeni tylko kilka dolarów, i trochę drobnych, kiedy napadli go dwaj

mężczyźni na klatce schodowej w Nowym Jorku. Pieniądze grały rolę nawet w wyciągnięciu Wesleya z więzienia, ponieważ przebiegły stary adwokat w Antibes mógł dostać niezłe honorarium na zaszyfrowane konto w Szwajcarii.

- Nie chodzi o pieniądze - powtórzył. - Myślę o twojej przyszłości.

- Ja też myślę o swojej przyszłości - powiedział Wesley z goryczą.

- I chciałbym na osiemnaste urodziny, kiedy przyjdzie pora stawić się w biurze werbunkowym, być we Francji. Nie chcę, żeby moją przyszłością był grób w Wietnamie.

- To też można załatwić bez wyjeżdżania z Ameryki - powiedział Rudolf, podchodząc do chłopca. Stał u boku Wesleya i obaj patrzyli na morze. - Pisałem ci o Akademii Marynarki Handlowej...

- Pamiętam - powiedział Wesley. - Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- Jak ci idzie matematyka? Bo to jest ważne, żeby tam się dostać.

- Zupełnie dobrze. Łatwo mi przychodzi.

- To świetnie. Musisz jednak skończyć szkołę. I mieć rekomendacje kongresmena. Ale to na pewno będę mógł załatwić. I... - uderzyła go nagła myśl. - Mógłbyś przyjechać tutaj i mieszkać ze mną, nie jest to takie złe miejsce, prawda?

- Wspaniale.

- Szczerze mówiąc, bardzo bym tego chciał. Myślę, że mógłbyś wreszcie powiedzieć, że spędziłeś kilka przyjemnych dni w Ameryce.

Tutaj skończyłbyś szkołę. To znaczy, jeżeli ciotka nie zrobi z ciebie gwiazdora filmowego...

- Nie ma obawy.

- Kiedy skończysz Akademię, będzie już po wojnie. Ta wojna musi się przecież kiedyś skończyć.

- Kto tak twierdzi? - zapytał Wesley.

- Historia.

- Tej książki nie czytałem - powiedział ironicznie Wesley.

- Dowiem się wszystkiego. Nie musisz od razu podejmować decyzji.

Na razie napiszę do tego adwokata. Czy to ci odpowiada?

- Całkowicie - powiedział Wesley.

ROZDZIAŁ VI

Pakując walizki przed wyjazdem z Brukseli, Billy zerknął na kawałek papieru. „Zwolnienie z armii po wzorowej służbie”, przeczytał. Uśmiechnął się zimno, wkładając dokument do sztywnej koperty. Nie należy wierzyć wszystkiemu, co wydrukowane.

Następnie włożył do koperty list od ojca. Ojciec był szczęśliwy, że Billy podjął tak mądrą decyzję w sprawie wojska, i nieszczęśliwy, że syn zdecydował się nie przyjeżdżać do Chicago, choć doceniał atrakcyjność Europy dla młodego człowieka. Chicago może poczekać rok czy dwa. Pisał też o matce. Reżyserowała film.

Ojciec uważał, że Billy powinien do niej napisać i pogratulować jej. Poza tym, dodawał ojciec, jedną z głównych ról w filmie miał grać kuzyn Billy'ego, Wesley. Ponury chłopak ten Wesley, tak przynajmniej uważał Willie Abbott. Jordachowie troszczą się o Jordachów, napisał ojciec. Szkoda, że stosunki Billy'ego z matką nie układały się najlepiej.

Następną rzeczą jaką Billy zapakował do torby, był słownik hiszpańsko-angielski. Belgijski biznesmen, z którym grywał w tenisa, zbudował w miejscowości El Faro w pobliżu Marbelli w Hiszpanii kompleks bungalowów i urządził tereny rekreacyjne z sześcioma kortami tenisowymi; to on podpisał z Billym roczny kontrakt. Billy miał pracować jako instruktor tenisa. Hiszpania po Brukseli stanowiła propozycję nęcącą, bez porównania atrakcyjniejszą niż Chicago, a poza tym jedyną rzeczą, jaką Billy robił naprawdę dobrze, była gra w tenisa - czysta i dobrze płatna praca na świeżym powietrzu. Więc przyjął propozycję. Przyda mu się trochę słońca. Miej się na baczności przed senioritami, ostrzegął ojciec.

Ostatnia kartka papieru była bez daty, z podpisem: Heide. Znalazł ją poprzedniego wieczora w skrzynce na listy w nie ostemplowanej kopercie. „Musiałam nagle wyjechać z powodu śmierci przyjaciela.

Rozumiem, że nie zostajesz w wojsku. Zostaw nowy adres, choć jestem pewna, że i tak potrafię cię znaleźć. Mamy do załatwienia nie dokończone sprawy.”

Nie uśmiechał się czytając ten list. Podarł go na drobne kawałeczki, wrzucił do klozetu i spuścił wodę. Nie zostawił nowego adresu.

Wsiadł w pociąg do Paryża. Sprzedał swój samochód. Monika знаła go zbyt dobrze; markę, rok produkcji, numer rejestracyjny. Kto wie, ile osób ma dokładny opis tego pojazdu i będzie wypatrywać go na drogach Europy?

Może kupić sobie nowy samochód we Francji, stać go na to. Skromne, ale wystarczające dziedzictwo czekało na niego w piwnicach banku na rogu Avenue Bosquet w

siódmej dzielnicy Paryża.

- Dosyć - powiedziała Gretchen, i tak skończył się dzień zdjęciowy. Wśród aktorów i obsługi na planie rozległ się nagle szmer rozmów. Scenę kręcono przed rozlatującym się domem, który miał teraz fałszywą fasadę i sztuczny trawnik ciągnący się do ulicy. W tej scenie Wesley i dziewczyna, która grała jego siostrę, odbyli gwałtowną sprzeczkę na temat sposobu życia Wesleya.

Kręcenie tego zajęło cały dzień. Wuj Rudolf, który przyjechał na jeden dzień, również był na planie, i chociaż ledwie machnął Wesleyowi ręką, jego obecność sprawiła, że chłopak był znacznie bardziej skrepowany niż zwykle. Ale ponieważ grał rolę małomównego i biernego, i znacznie więcej do powiedzenia w tej scenie miała dziewczyna, więc nie przeszkadzało mu to zbytnio.

Przez kilka pierwszych dni Wesley był bardzo sztywny i próbował ukryć onieśmienie z powodu obecności tylu osób, ale wreszcie zrozumiał, czego od niego wymagano, i kiedy ciotka Gretchen wzięła go na bok i wytłumaczyła, żeby nie próbował „grać”, zaczęło go to wszystko bawić. Gretchen pochwaliła go, że radzi sobie bardzo dobrze; zrobiła to wprawdzie w cztery oczy, kiedy nikogo nie było w pobliżu, jednak Wesley się przekonał, że nie należała do kobiet, które kłamią.

Podobał mu się nastrój w zespole. Większość stanowili ludzie młodzi, przyjaźnie nastawieni, nieustannie dowcipkujący i chętni do pomocy. Wesley nigdy nie miał wielu przyjaciół w swoim wieku, toteż czuł się doskonale, bo nie musiał zwracać nieustannie uwagi na swoje zachowanie ze względu na obecność starszych.

Gretchen pozwoliła mu używać nazwiska Wesley Jordan. W końcu ojciec używał tego nazwiska zawodowo, syn miał więc do niego jakieś prawo. Początkowo dał się namówić na pracę w filmie głównie ze względu na honorarium w wysokości trzech tysięcy dolarów za miesiąc, które umożliwiło mu spłacenie Alice i uniezależnienie się od wuja przy podejmowaniu decyzji dotyczącej wyjazdu do Europy. Jednak teraz przekonał się, że z zapalem spieszy co dzień rano na plan, nawet kiedy sam tego dnia nie kręci.

Film fascynował go, biegłość kamerzystów, specjalistów od oświetlenia i dźwięku, poświęcenie aktorów, spokojny, ale stanowczy sposób, w jaki ciotka wszystkim zarządzała. Jej sposób kierowania ludźmi przypominał mu ojca. Frances Miller, dziewczyna, która grała jego siostrę i miała dopiero dwadzieścia dwa lata, ale pracowała w przemyśle rozrywkowym od czternastego roku życia, twierdziła, że nie zawsze tak jest na planie filmu. Zazwyczaj nie obydowało się bez hysterii i kaprysów. Frances powiedziała Wesleyowi, że w każdej sytuacji wolałaby Gretchen jako reżysera od większości mężczyzn, z którymi pracowała.

Frances była śliczną dziewczyną, o zabawnym, i jakby dzikim typie urody; była piegowata, miała głęboko i szeroko osadzone oczy, twarz młodziutką, pełną ostrych kątów, zmienną. Była drobna i okrągłutka, a jej skóra niemal prowokowała do najbardziej ekstrawaganckich snów. Zachowywała się bardzo bezpośrednio, czasami miała wręcz niewyparzony język. Od czasu do czasu lubiła sobie popić. A jeszcze częściej lubiła kochać się z Wesleyem, co zaczęła wcześniej, bo już w Port Philip, kiedy to przyszła wieczorem do jego pokoju, żeby powtórzyć kwestie na następny dzień, i została na noc. Wesley był oszołomiony jej urodą i tym, że go wybrała. Nigdy nie odważyłby się sam zrobić pierwszego kroku. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że jest niezwykle przystojnym młodym człowiekiem. Kiedy przyglądały mu się obce kobiety, czuł się skrępowany, w przekonaniu, że robi coś źle albo jest nieodpowiednio ubrany. Przez moment miał poczucie winy, ponieważ zdawało mu się, że jest zakochany w Alice Larkin. Ale Alice ciągle nazywała go kuzynem i kiedy bywał w Nowym Jorku, nadal spał na kanapie. Poza tym Frances oddawała się miłości z takim zapamiętaniem, że w jej obecności nic nie pozostawało z poczucia winy.

Frances była żoną młodego aktora, który aktualnie przebywał w Kalifornii, gdzie oboje mieszkali. Wesley starał się zapomnieć o jej mężu. Sądził, że nikt z zespołu nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co łączy go z odtwórczynią głównej roli. Przy ludziach Frances traktowała go, jakby rzeczywiście był dla niej tym, czym w filmie - młodszym bratem.

Oczywiście ciotka Gretchen orientowała się w sytuacji. Wesley odkrył, że ciotka orientowała się w ogóle we wszystkim. Pewnego wieczoru jadła z nim kolację i ostrzegła, że kiedy zdjęcia się skończą, Frances wróci do Kalifornii, i grając w nowym filmie, z pewnością zacznie sypiać z innym młodym mężczyzną z nowego zespołu, który jej się spodoba, ponieważ znana była z takiego postępowania. Wesley nie powinien więc brać całej sprawy zbyt poważnie.

- Chciałabym, żeby ta historia stała się dla ciebie wspaniałym doświadczeniem - powiedziała Gretchen. - Nie chcę, żebyś znienawidził mnie za to, że wciągnęłam cię w coś, z czym nie potrafisz sobie poradzić.

- Potrafię sobie z tym poradzić - powiedział Wesley, niezupełnie pewny, czy to prawda.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam o tej dziewczynie. Namąciła już w życiu mężczyznom starszym od ciebie. - Nie powiedziała Wesleyowi, że wiedziała o sześciomiesięcznym romansie Evansa Kinselli z Frances Miller i o tym, że Evans prosił Frances, żeby się rozwiodła z mężem i wyszła za niego. Ani o tym, że w dniu, w którym skończyła kręcenie z nim filmu, Frances przestała odbierać telefony Kinselli. Nie powiedziała także, że ona sama,

Gretchen, była ciągle jeszcze zazdrosna o Frances i żałowała, że tę właśnie dziewczynę uznała za najlepszą do głównej roli. Trudno w sypialni decydować o obsadzie do filmu, choć wiele osób tak właśnie robiło, i potem ogromnie się rozczarowywało. - Pamiętaj - ostrzegła Gretchen.

- Będę pamiętał - przyrzekł Wesley.

- Jesteś kochany i łatwo cię zranić, stary twardzielu - powiedziała Gretchen. Pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Nie daj się. Znalazłeś się w środowisku bardziej brutalnym, niż ci się zdaje.

Tej nocy kochał się z Frances prawie do rana tak namiętnie, że musiał przykryć jej głowę poduszką, żeby nie obudziła krzykiem całego hotelu. Nie należała do dziewczyn, które robią tajemnicę z doznawanej przyjemności.

Kiedy leżeli wyczerpani obok siebie, Wesley pomyślał z triumfem, że po tej nocy Frances nie wróci do nikogo.

Kolację jadł jak zwykle z innymi aktorami w hotelowej restauracji.

Na górze, w saloniku apartamentu Gretchen spotkali się Gretchen, Ida Cohen, wuj Idy, scenograf i Rudolf. Po kolacji Wesley i Frances postanowili pójść na spacer. Była zimna jesienna noc, księżyc niemal w pełni; szli pod rękę, jak każda młoda para na randce.

Główną ulicę, niemal opustoszałą, oświetlały neony z nędznych wystaw sklepowych. Mieszkańcy Port Philip oglądali telewizję i wcześniej kładli się spać. Frances leniwie przyglądała się mijanym wystawom.

- Nie ma tu niczego, co chciałabym kiedykolwiek kupić - powiedziała. - Wyobraź sobie, że ludzie mieszkają w takim miejscu. Brr.

- Moja rodzina stąd pochodzi - powiedział Wesley.

- O mój Boże! Biedny chłopiec! - westchnęła Frances.

- Nigdy tu nie mieszkałem. Mój ojciec, mój dziadek... - urwał, zanim zdążył powiedzieć: moja ciotka Gretchen. Nie powiedział Frances ani nikomu z zespołu, że Gretchen jest jego ciotką, a Gretchen starała się traktować go jak każdego początkującego aktora w zespole.!

- Czy widzisz kogoś z nich - zapytała Frances. - To znaczy, twoją rodzinę, kiedy tu jesteś?

- Nie ma tu już nikogo. Wszyscy się wynieśli.

- Mogę zrozumieć dlaczego - powiedziała Frances. - To miasto musiało podupać od dnia, kiedy po raz pierwszy otwarto tu pocztę.

- Babka mówiła mojemu ojcu, że kiedy przyjechała tu po raz pierwszy jako młoda dziewczyna, było to piękne miejsce. - Chodził po ulicach miasta, w którym urodził się jego ojciec, które na ojca wywarło wpływ, toteż nie podobało mu się, że dziewczyna z Kalifornii myśli o tym miejscu jako o upiornej dziurze. Gdzieś w tym mieście, myślał, mój ojciec musiał zostawić jakiś ślad, znak, że tu był i odjechał. Podpalił tu krzyż. Przynajmniej Teodor Boylan o tym pamiętał. Wesley zastanawiał się, co pomyślałby ojciec o tym, że syn chodzi po tych samych ulicach pod rękę z piękną, niemal sławną aktorką filmową. I co więcej, że zarabia trzy tysiące dolarów za cztery tygodnie pracy, która jest zabawą w stopniu większym niż jakiegokolwiek zajęcie, które wykonywał jego ojciec. - Babka mówiła ojcu, że wszędzie rosły drzewa, a te wszystkie wielkie domy były pomalowane i schludne, i stały w ogromnych ogrodach. Mój ojciec pływał w rzece Hudson, która była wtedy czysta i pełna ryb, zatrzymywały się tu statki... - Urwał, zanim powiedział dziewczynie, że z tą rzeką kojarzyły się nie tylko statki i ryby, ale także i to, że utopił się w niej jego dziadek.

- Jest coraz gorzej ze wszystkim, prawda? - powiedziała Frances. - Założę się, że w tych dużych ogrodach kopulowało wiele par. Co innego można robić wieczorami, kiedy nie ma moteli.

- Myślę, że każdy miał w tym swój udział.

- I każda - zaśmiała się Frances. - Jak teraz. Szkoda, że bierzesz udział w tym filmie.

- Dlaczego? - zapytał Wesley dotknięty.

- Gdyby nie ty przebrnęłabym już do tej pory przez Wojnę i pokój w ciągu tych długich nocy.

- Żałujesz?

- Wojna i pokój może poczekać - powiedziała. Pociągnęła go za ramię. - A propos, miałam cię zapytać, do jakiej szkoły aktorskiej chodziłeś?

- Ja? - zawahał się. - Do żadnej.

- Grasz, jakbyś się uczył całe lata. A tak na marginesie, ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden - odpowiedział Wesley bez wahania. Popełnił błąd, mówiąc Alice, ile ma lat, i traktowała go jak dziecko. Nie miał zamiaru powtarzać tego błędu.

- A jak to się stało, że nie jesteś w wojsku?

- Piłkarskie kolano - skłamał gładko. Od czasu powrotu do Ameryki nauczył się wymyślać kłamstwa na poczekaniu.

- Rozumiem - w głosie Frances brzmiała podejrzliwość. - W czym grałeś przedtem?

- Ja? - zapytał znów głupawo. - No... nigdzie. - Frances zbyt dużo wiedziała o tych rzeczach, by mógł ryzykować kłamstwo.

- A letnie statystowanie?

- Nawet to nie.

- Więc jak dostałeś tę pracę?

- Pani Burke... - Głupio brzmiało mówienie o własnej ciotce „pani Burke”. - Zobaczyła mnie w domu przyjaciół i zapytała, czy chciałbym spróbować. Dlaczego zadajesz mi te wszystkie pytania?

- To normalne, że dziewczyna chciałaby coś wiedzieć o mężczyźnie, z którym ma romans, nie uważasz?

- Chyba tak. - Sprawilo mu przyjemność słowo „romans”. Dawało nowe poczucie dorosłości. Nastolatki mają dziewczyny lub randki, a nie romanse.

- Mam jedną zasadę - powiedziała zdecydowanie Frances. - Nie idę do łóżka z mężczyzną, którego nie szanuję.

Wesley czuł się zakłopotany, kiedy Frances tak wprost mówiła o innych mężczyznach, których znała. Ale, mówił sobie, była przecież aktorką od czternastego roku życia, więc czego mógł się spodziewać? Jednak już niedługo, postanowił, powie jej, żeby refleksje na ten szczególny temat zachowała dla siebie.

- Muszę przyznać, że pojawiłeś się jak niespodzianka - powiedziała pogodnie. - Spojrzałam na obsadę i powiedziałam sobie, że dla mnie będzie to okres pasa cnoty.

- Co wpłynęło na zmianę decyzji?

- Ty - roześmiała się. - Znałam wszystkich innych, ale Wesley Jordan to było dla mnie nowe nazwisko. Nie przypuszczałam, że będziesz jak brylant na śmietniku. A propos, czy to twoje prawdziwe nazwisko?

- Nie - odpowiedział po chwili Wesley.

- A jakie jest prawdziwe?

- Długie i skomplikowane - powiedział wymijająco. - Nigdy nie wyglądałoby dobrze w czołówce.

Frances znów się roześmiała.

- To twój pierwszy film, ale uczysz się szybko.

Wesley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Łatwo wchodzę w rolę. - Praca w filmie bawiła go coraz bardziej, znajdowało to odbicie nawet w jego słownictwie.

- Co masz zamiar robić po tym filmie?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Jeśli będę mógł, to pojedę do Europy.

- Jesteś naprawdę dobry - powiedziała Frances. - To nie tylko moje zdanie. Freddie

Kahn, kamerzysta, widział już wszystkie sławy, a jest oczarowany tobą. Spróbujesz Hollywoodu?

- Możliwe - powiedział ostrożnie.

- Przyjedź. Obiecuję ci ciepłe przyjęcie.

Wesley zaczerpnął powietrza.

- Słyszałem, że jesteś mężatką - powiedział.

- Kto ci to mówił? - zapytała ostro.

- Nie pamiętam. Ktoś. Jakoś tak wyszło w rozmowie.

- Wolalabym, żeby ludzie trzymali te swoje przekłete mordy zamknięte. To moja sprawa. Czy robi ci to jakąś różnicę?

- Co byś powiedziała, gdybym przyznał, że robi?

- Powiedziałabym, że jesteś głupcem.

- A więc nie powiem tego.

- To już lepiej. Czy jesteś we mnie zakochany?

- Dlaczego pytasz?

- Dlatego że bardziej mi odpowiada, kiedy ludzie są we mnie zakochani. Dlatego jestem aktorką.

- Więc dobrze. Jestem w tobie zakochany.

- Wypijmy za to. Na następnej ulicy jest bar.

- Jestem abstynentem - powiedział Wesley. Nie chciał, żeby w obecności Frances barman spytał o dowód stwierdzający jego pełnoletność.

- Lubię pić - powiedziała Frances. - I lubię mężczyzn, którzy nie piją. Chodź, postawię ci colę.

Kiedy weszli do baru, zauważyli Rudolfa i scenografa, młodego mężczyznę z rudą brodą, o nazwisku Donnelly, siedzących przy stoliku i pogrążonych w rozmowie.

- Oho - szepnęła Frances - nasza „góra”.

Wszyscy w zespole wiedzieli, że Rudolf zaangażowany jest w finansową stronę przedsięwzięcia i pertraktuje z władzami Port Philip, kiedy wyłaniają się trudności z otrzymaniem pozwoleń, możliwością robienia nocnych zdjęć czy wykorzystania policji do zablokowania ulic. Zespół jednak nie wiedział, że jest to wuj Wesleya; przy kilku okazjach, kiedy Wesley zetknął się z nim przy ludziach, zwracał się do niego „panie Jordach”, a Rudolf odpowiadał bratankowi poważnie i uprzejmie, mówiąc do niego „panie Jordan”.

Frances i Wesley musieli przejść obok łóży, w której siedzieli obaj mężczyźni. Rudolf podniósł głowę, uśmiechnął się, wstał i powiedział: „dobry wieczór państwu”.

Wesley wymamrotał powitanie, ale Frances przywołała swój najbardziej uwodzicielski uśmiech ze słowami:

- Jakiż to nowy spisek przeciwko biednym aktorom knują dwaj dżentelmeni w tej hałaśliwej norze?

Wesley skrzywił się. Raził go ten fałszywy dziewczęcy uśmiech, wyszukany język. Nagle zdał sobie sprawę, że Frances na różne sposoby zwraca się do różnych osób.

- Siedzimy tu wychwalając wasze talenty aktorskie - powiedział Rudolf.

Frances zachichotała.

- Czyż to nie uprzejmy mężczyzna? Co za wspaniałe kłamstwo!

Donnelly coś zamruczał.

- Proszę usiąść - powiedziała Frances. - W Hollywood nikt nigdy nie wstaje na widok statystów.

Wesley znów się skrzywił. W pewnych momentach, poza wykorzystywaniem swego wdzięku, Frances potrafiła przypomnieć osobom, które uważała za ważne, o swojej dotychczasowej błyskotliwej karierze.

Obydwaj mężczyźni usiedli. Donnelly patrzył ponuro na stojącą przed nim szklanę. W czasie kręcenia filmu nikt nie widział, żeby się kiedykolwiek uśmiechnął.

- Panie Donnelly - ciągnęła Frances, ciągle jeszcze dziewczęcym głosikiem - nie mówiłam panu tego dotychczas, nie ośmieliłabym się, ale teraz, kiedy film jest już prawie skończony, chcę powiedzieć, że cudownie pan przygotował plan. Nie widziałam jeszcze ani kawałka filmu - zrobiła nieznaczny grymas - my, biedni aktorzy, nie decydujemy o tym, kto będzie żył, a kto umrze w pokoju projekcyjnym, więc nie wiem, jak to wygląda na filmie, ale muszę wyznać, że nigdy jeszcze nie poruszałam się tak swobodnie przed kamerą jak na planach, które pan dla nas zaprojektował. - Roześmiała się, jakby trochę zmieszana swoją śmiałością.

Donnelly znów zamamrotał.

Wesley zauważył, jak Frances zacisnęła szczęki.

- Nie będę już dłużej przeszkadzać, kiedy obydwoj panowie decydujecie o naszym losie - powiedziała. - Mały Wesley i ja - zabrzmiało to tak, jakby Wesley miał dziesięć lat - mamy w jutrzejszej scenie kilka trudnych miejsc, uznaliśmy więc, że będzie dobrze odrobić trochę pracy domowej.

Wesley pociągnął ją za rękę i Frances odeszła z nim rzucając ostatni oszałamiający uśmiech. Chciała usiąść w sąsiedniej łoży, ale Wesley stanowczo poprowadził ją do ostatniego stolika w głębi baru, z dala od wuja i Donnelly'ego.

- Co za cholerne przedstawienie - powiedział.

- Na miód łapie się więcej much niż na ocet, mój drogi - powiedziała słodko Frances. - Kto wie, kiedy ci dwaj mili panowie zaczną robić następny film i będą decydować, kto w nim zagra, a komu każą siedzieć na własnym zadku?

- Grasz tyle ról. Założę się, że musisz czasem zadzwonić do swojej matki, żeby się dowiedzieć, kim naprawdę jesteś.

- To właśnie jest sztuka, mój drogi - powiedziała zimno Frances. - Lepiej, żebyś się tego nauczył, jeśli chcesz do czegoś dojść.

- Za tę cenę nie chcę dojść do niczego.

- Ja też tak mówiłam. Kiedy miałam czternaście lat. Jak już skończyłam piętnaście, zmieniłam zdanie. Jesteś trochę opóźniony, mój drogi.

- Bogu dzięki.

Stanął przed nimi kelner i Frances zamówiła dla siebie dżin z tonikiem i colę dla Wesleya.

Kiedy kelner odszedł w stronę baru, Wesley powiedział:

- Wolałbym, żebyś nie piła dżinu.

- Dlaczego?

- Nie lubię zapachu twojego oddechu, kiedy pijesz dżin.

- Dziś wieczorem nie musisz się o to martwić - powiedziała zimno Frances. - Rano bardzo wczesnie mam fryzjerkę i nie zamierzam uprawiać dziś w nocy żadnej gimnastyki.

Wesley siedział w ponurym milczeniu, dopóki kelner nie przyniósł napojów.

- W każdym razie - mówiła Frances sącząc dżin z tonikiem - nawet jeśli ty jesteś tak cholernie krytycznie nastawiony do kilku drobnych, niegroźnych dziewczęcych sztuczek, to są inni, którzy uważają je za czarujące. Na przykład ten cwany Jordach z tymi wszystkimi pieniędzmi. Oczy świecą mu się jak tablica ogłoszeniowa, ile razy mnie widzi.

- Nie zauważyłem - powiedział Wesley, szczerze zaszokowany tym, że ktoś może nazwać jego wuja cwany Jordachem.

- Ale ja zauważyłam. Założę się, że to byłoby coś. Lodowata powierzchowność jankesa, a pod nią wulkan. Znam ten typ.

- Na miłość boską, on mógłby być twoim ojcem.

- Musiałby zacząć cholernie młodo. A założę się, że tak zrobił.

Wesley podniósł się.

- Nie mam zamiaru siedzieć tutaj i wysłuchiwać podobnych bzdur.

Wracam do hotelu. Zobaczmy, jak sobie poradzisz z tym cwany Jordachem i tymi

wszystkimi pieniędzmi.

- Proszę, proszę - powiedziała Frances, nie ruszając się - czy nie jesteśmy dzisiaj przewrażliwieni, młody człowieku?

- Dobranoc - powiedział Wesley.

- Dobranoc - odpowiedziała spokojnie Frances. - Nie martw się o rachunek.

Wesley przeszedł obok łoży, w której siedział wuj. Żaden z mężczyzn nie podniósł głowy, kiedy ich mijał. Wyszedł na ulicę.

Czuł się dotknięty i idiotycznie sentymentalny.

W pięć minut później Frances wstała i skierowała się ku drzwiom.

Zatrzymała się rozmawiając przez chwilę z obydwojma mężczyznami, ale nie poprosili, żeby się do nich przysiadła. Po powrocie do hotelu nie poszła korytarzem do drzwi pokoju Wesleya, jak to robiła zwykle; poszła do siebie i długo przeglądała się w lustrze nad toaletką.

Tymczasem w barze dwaj mężczyźni nie rozmawiali o robieniu filmów.

Donnelly był architektem, przerzucił się na scenografię, kiedy się zorientował, że dostaje jedynie nierentowne zamówienia na nędzne, małe obiekty, które uważał za niegodne swojego talentu. W trakcie przygotowań do „Komedii restauracji” zaprzyjaźnił się z Rudolfem i najpierw nieśmiało, a potem z coraz większym entuzjazmem opowiadał o ambitnym projekcie, którym się pasjonował, ale dotychczas nie potrafił rozwiązać jego strony finansowej. Teraz wyjaśniał Rudolfowi szczegóły.

- Żyjemy w epoce, którą Brytyjczycy nazywają epoką nadmiaru - mówił - nie tylko z powodu nowych maszyn czy przyrostu ludności, ale także z powodu wieku. Ludzie wcześniej wycofują się z interesów, ponieważ są znudzeni i mogą sobie na to pozwolić, albo dlatego, że nie mogą wytrzymać napięcia, albo dlatego, że na ich miejsce zatrudniani są młodszy. Dzieci już dorosły i wyprowadziły się od nich. Ich domy nagle stały się za duże, miasto, w którym mieszkają, przeraża ich albo przestało już być dla nich atrakcyjne. Ich renty czy oszczędności nie pozwalają im już na zatrudnianie służby; dzielnice, w których mogą znaleźć niewielkie mieszkania, zatłoczone są młodymi małżeństwami z małymi dziećmi, które traktują ich jak intruzów z innego stulecia; odizolowani są od przyjaciół w swoim wieku, którzy mają podobne problemy, ale ich rozwiązania szukali gdzie indziej. Chcieliby zachować swoją niezależność, ale przeraża ich samotność. Potrzeba im nowego miejsca zamieszkania, nowej atmosfery, odpowiedniej do ich stanu, pragnęliby mieć wokół siebie ludzi mniej więcej w swoim wieku, o zbliżonych problemach i potrzebach, ludzi, na których można polegać w

nagłych wypadkach; świadomość, że mogą przyjść z pomocą, kiedy sąsiad będzie jej potrzebował, również im samym dawałaby poczucie własnego człowieczeństwa - Donnelly mówił z takim przejęciem, jakby był generałem snującym plany odbicia obleżonego garnizonu. - To musi być prawdziwa społeczność - kontynuował wymachując wymownie wielkimi rękami, jakby już formował cegły, beton i cement w nadające się do mieszkania bryły. - Sklepy, kina, niewielki hotel, gdzie mogliby podejmować gości, pole golfowe, baseny, korty tenisowe, sale odczytowe... Nie mówię o nędzarzach.

Nie wiem, kto oprócz państwa mógłby się nimi zająć, a nie jestem na tyle próżny, by wierzyć, że przebuduję amerykańskie społeczeństwo. Mówię o grupie średnio uposażonych, o tych, których sposób życia zmienia się najbardziej drastycznie, kiedy żywiciel przestaje pracować. - Głos jego wypełnił się goryczą. - Wiem o tym wszystko na podstawie doświadczeń moich własnych rodziców. Mają troszkę pieniędzy, ja trochę im pomagam, ale z pogodnej, towarzyskiej pary stali się dwójką przygnębionych, przerażonych ludzi, która spędza ostatnie lata życia w bezużytecznej nudzie.

Mój pomysł nie jest taki nowy. Próbowano tego z powodzeniem w różnych częściach kraju, ale mnie dotychczas nie udało się zainteresować ani jednego człowieka z pieniędzmi, bo trudno liczyć tu na wielkie zyski, jeżeli w ogóle można na jakies liczyć. Na początek trzeba by kupić duży teren w jakiejś przyjemnej okolicy, niezbyt odizolowany - jeśli mieszkańcy zapragną miejskiego życia, musi ono istnieć gdzieś w pobliżu - i wybudować niewielkie, ale samowystarczalne miasteczko skromnych, dobrze zaprojektowanych, niedrogich segmentowych domków, połączonych w grupy, złożone, powiedzmy, z pięciu czy sześciu, usytuowane w parkowym pejzażu.

Miasteczko domków odpowiednich dla dwójga starzejących się ludzi.

Z komunikacją autobusową, lekarzami i pielęgniarkami pod ręką i sprawnym, ale niewidocznym zarządem. Nie byłby to dom starców z całą aurą rozpaczki; ciągle przyjeżdżaliby młodzi, synowie, córki, wnuki, pełni życia, nadziei, z widokami na przyszłość. Twoja siostra powiedziała mi, że jesteś człowiekiem o społecznym nastawieniu, że masz dostęp do pieniędzy i szukasz czegoś, co mogłoby ci zająć czas. Z tego, co zaobserwowałem, nie sądzę, żeby współpraca z filmem odpowiadała twojej idei służby publicznej.

Rudolf roześmiał się.

- Nie, niezupełnie.

- Gretchen powiedziała też, że jesteś urodzonym budowniczym - kontynuował Donnelly. - Jako młody człowiek przeforsowałeś pomysł budowy centrum handlowego w miejscu, które wówczas było praktycznie dziczą, i zrobiłeś z tego niemal całe miasto.

Poszedłem tam któregoś dnia, by zobaczyć ten kompleks Calderwooda; zrobiło to na mnie duże wrażenie, znacznie wyprzedzało owe czasy i świadczyło o prawdziwej wyobraźni.

- Jako młody człowiek - powtórzył Rudolf w zadumie. Nie okazywał tego, co myślał, słuchając przemowy Donnelly'ego, odczuwał jednak podniecenie, które było czymś nowym, a jednocześnie znanym. Czekał na coś, nie bardzo wiedział, na co. Może na to właśnie.

- Mam cały zestaw rysunków - ciągnął Donnelly - modele domków, jakie chciałbym wybudować, wyliczenia przybliżonych kosztów, wszystko.

- Chciałbym je zobaczyć - powiedział Rudolf.

- Czy możesz być jutro w Nowym Jorku?

- Nie ma powodów, żebym nie mógł.

- Dobrze. Pokażę ci rysunki.

- Oczywiście - zaczął Rudolf - wszystko będzie zależało od tego, jaki kawałek terenu uda się kupić, czy będzie się nadawał do budowy, jakie będą koszty itede.

Donnelly rozejrzał się po pustym barze, jakby w poszukiwaniu szpiegów.

- Znalazłem nawet takie miejsce - powiedział zniżając głos. - Cudowne. To opuszczona, zarośnięta farma, niedrogo. W Connecticut, krainie pagórków, nie więcej niż godzina drogi od New Haven, może dwie godziny od Nowego Jorku. Jakby specjalnie do tego celu stworzone.

- Czy mógłbyś mi to pokazać?

Donnelly przyjrzał się Rudolfowi, jakby nagle zaczął go podejrzewać o jakieś niecne zamiary.

- Czy jesteś naprawdę zainteresowany?

- Jestem naprawdę zainteresowany.

- Dobrze. Wiesz - teraz głos Donnelly'ego brzmiał poważnie - myślę, że to przeznaczenie kazało mi powiedzieć tak, kiedy twoja siostra zaproponowała mi pracę w tym filmie. Zawiozę cię tam i sam się przekonasz.

Rudolf położył na stole banknot, żeby zapłacić za drinki.

- Robi się późno - powiedział wstając od stołu. - Wracamy do hotelu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę tutaj i napiję się porządnie.

- Przed pójściem do łóżka połknij dwie aspiryny - poradził Rudolf.

Kiedy wychodził z baru, Donnelly zamawiał właśnie kolejną whisky, by uczcić przeznaczenie, które zetknęło go z Rudolfem Jordachem.

Rudolf szedł wolno, samotny, znajomymi ulicami. Od czasu gdy jeździł tędy na rowerze, rozwożąc co dzień o świcie bułeczki z rodzinnej piekarni, ulice zestarzały się, ale tej

nocy miał absurdalne uczucie, że znów jest młody, ma głowę pełną wielkich planów, które zostaną zrealizowane w przyszłości. I raz jeszcze, podobnie jak na kamienistej plaży w Nicei, miał ochotę pobiec przez ciemność, odnaleźć uniesienie z okresu młodości, kiedy to był najlepszym plotkarzem w szkole. Wykonał nawet kilka próbnych susów, ale zobaczywszy zbliżające się światła samochodu, powrócił do swego zwykłego, pełnego dostojeństwa kroku.

Minął wielki budynek, w którym mieścił się dom towarowy Calderwooda, popatrzył w okna i przypomniał sobie noce, które spędził na dekorowaniu wystaw. Jeżeli w ogóle można powiedzieć, że jego fortuna zaczęła się toczyć w jakimś miejscu, stało się to właśnie tutaj. Teraz okna wystawowe były obskurne; pomyślał, że przypominają starą kobietę z niedbale nałożonym makijażem, krzywo umalowanymi ustami, rozplywającymi się cieniami wokół oczu, witryny były jakby nędzną i nieprzekonywającą imitacją młodości.

Stary Calderwood zaryczałby na ten widok ze złości. Praca całego życia nieżyjącego już człowieka. Potrzebna? Bezużyteczna?

Rudolf przypomniał sobie także ów wieczór, kiedy szedł na czele pochodu studentów, grając na trąbce; właśnie skończyła się wojna, a przed nim roztaczała się triumfalna panorama przyszłości. Czytał w miejscowej gazecie, że poprzedniego dnia odbyła się także manifestacja studentów, tym razem na znak protestu przeciwko wojnie w Wietnamie; młodzi wykrzykiwali obsceniczne slogany, profanowali sztandar, szydzili z policji. Jedenastu studentów wyładowało w więzieniu. Wtedy Truman, teraz Nixon. Upadek. Lepiej nic nie pamiętać.

Kiedy zasugerował Gretchen, że Port Philip byłoby dobrym miejscem do kręcenia filmu - zaniedbane miasto, dalekie już od swej szczytnej i bogatej przeszłości nad brzegiem wielkiej rzeki - postanowił, że sam nie będzie miał nic wspólnego z całą machiną produkcji i nawet tam nie pojedzie. Jednak wyłoniły się problemy, Gretchen prosiła o pomoc, więc bardzo niechętnie odbył tę podróż, rozmawiał z władzami, pełen obaw, że przypomną sobie jego upadek, kiedy to studenci zwrócili się przeciwko niemu i zmusili go do odejścia.

Jaka piękna była Jean w tamtym okresie!

Ale urzędnicy okazali się pełni szacunku, chętni do pomocy.

Skandale przemijają. Przychodzą nowi ludzie. Pamięć się zaciera.

Donnelly przypomniał Rudolfowi jego samego z lat młodości - pełnego pasji, nadziei, energii, skoncentrowanego, pewnego swoich celów. Rudolf zastanawiał się, jak będzie się czuł Donnelly za dziesięć lat, mając już za sobą wiele osiągnięć, kiedy zmienią się ulice jego rodzinnego miasta, gdziekolwiek ono jest, kiedy zmieni się wszystko. Lubił Donnelly'ego. Wiedział, że Gretchen także go lubi. Ciekawe, czy było coś między nimi, myślał. Zastanawiał się też, czy pomysł Donnelly'ego jest możliwy do zrealizowania, wykonalny. Czy Donnelly

jest zbyt młody, zbyt ambitny? Donnelly starał się działać powoli, sprawdzać wszystko, tak chyba robił on sam w tym wieku.

Omówi to z Helen Morison. To rozsądna kobieta. Można na niej polegać. Tylko że teraz jest w Waszyngtonie. Zaproponowano jej tam pracę w biurze kongresmena, którego podziwiała, więc się przeniosła. Musi się jakoś z nią zobaczyć.

Pomyślał o Jeanne. Kilkakrotnie pisali do siebie, ale w każdym kolejnym liście mieli sobie mniej do powiedzenia, w miarę jak bladły przeżycia owego tygodnia spędzonego na Lazurowym Wybrzeżu.

Może kiedy Wesley w końcu pojedzie do Francji, Rudolf wykorzysta to jako pretekst do złożenia wizyty Jeanne. Adwokat z Antibes napisał wreszcie, że wszystko załatwione i chłopak może wracać, ale Rudolf nie powiedział jeszcze tego Wesleyowi. Czekał, aż skończą się zdjęcia. Nie chciał, żeby chłopak nagle rzucił film i poleciał za ocean. Wesley nie był chłopcem kapryśnym, ale kierowały nim jego własne duchy, nie można było przewidzieć, co zrobi.

Rudolfem też kierował duch ojca, desperata, człowieka, któremu się nie powiodło, samobójcy pijanego biedą i zniszczonymi nadziejami, toteż mógł w jakiś sposób zrozumieć bratanka. Dziwne, że ten powściągliwy, skryty chłopak okazał się tak dobrym aktorem.

Nigdy nie było w rodzinie kogoś, kto miałby tego rodzaju zdolności, chociaż Gretchen przez krótki czas występowała na scenie, zresztą bez powodzenia. Po naradzie w pokoju projekcyjnym, kiedy zachwycali się możliwościami aktorskimi Wesleya, Gretchen powiedziała Rudolfowi, że nigdy nie można powiedzieć, skąd się bierze taki talent. Zresztą nie tylko ten szczególny rodzaj talentu, ale każdy talent w ogóle. Szczególnie w Ameryce nie istniały mapy mówiące, skąd ktoś wypłynął i do jakiego portu zawinie. Nigdzie nie było drzew genealogicznych, na których można by polegać.

Rudolf wszedł do uśpionego hotelu i do swojego pokoju, rozebrał się i położył do zimnego łóżka. Nie mógł zasnąć, myślał o spotkanej w barze ładnej, zalotnej dziewczynie w dżinsach opinających uda i o jej profesjonalnie zapraszającym uśmiechu.

Jakie byłoby, zastanawiał się, to wspaniałe, młode ciało, gotowe na przyjęcie propozycji. Trzeba zapytać bratanka, pomyślał z zazdrością; pewnie teraz właśnie jest z nią w łóżku. Inne pokolenie. On sam w wieku Wesleya zachował jeszcze niewinność.

Wstydział się tego uczucia zazdrości, choć był pewny, że później chłopca nie ominie cierpienie. Cierpi może już teraz, przecież sam wyszedł z baru. Nie przywykł do takich gier. Zresztą Rudolf też nie był do nich przyzwyczajony. Cierpi się w zależności od własnych możliwości cierpienia, a w Wesleyu było coś takiego, co kazało przypuszczać, że

jego możliwości w tej dziedzinie są niebezpiecznie duże.

Rudolf, zawieszony między snem i jawą, tęsknił za kobiecym ciałem w łóżku. Za czyim ciałem? Jean, Helen, Jeanne czy kogoś, kogo nigdy jeszcze nie spotkał, a kto w końcu będzie spał obok niego?

Do chwili zapadnięcia w głęboki sen nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Obudził go dochodzący z ulicy pijacki śpiew. Rozpoznał chropawy i fałszujący głos Donnelly'ego, który śpiewał „Boola, boola”.

Donnelly kończył Yale. Nie był typowym absolwentem, myślał sennie Rudolf. Śpiew umilkł. Rudolf przewrócił się na bok i znowu zasnął.

Gretchen siedziała samotnie w swoim pokoju przygotowując ujęcia na kolejny dzień. Na planie starała się sprawiać wrażenie spokojnej i pewnej siebie, chociaż czasami miała ochotę wyć ze złości czy niepokoju. Ale kiedy, tak jak teraz, pracowała sama; od czasu do czasu czuła że ręce trzęsą jej się ze strachu i niezdecydowania.

Tyle ludzi zależało od niej, a każda decyzja była ostateczna.

Podobnie dwoisty sposób bycia obserwowała u Colina Burke, ilekroć reżyserował film czy sztukę, i dziwiło ją, jak on sobie z tym radzi. Teraz zastanawiała się, w jaki sposób jakakolwiek ludzka istota może przeżyć cały miesiąc albo dłużej w ten sposób rozdwojona. Prywatne twarze w miejscach publicznych, jak to sformułował Auden; dało się to odnieść również do pracy w przemyśle filmowym, gdzie ową „prywatność” należało ukrywać.

Usłyszała, jak Donnelly śpiewa przed hotelem: „Boola, boola”. Ze smutkiem pokręciła głową, zastanawiając się nad związkiem talentu i alkoholu w sztuce amerykańskiej. I znowu pomyślała o Colinie Burke, którego nigdy nie widziała pijanego i który bardzo rzadko w ogóle pił cokolwiek. Wyjątek. Wyjątek pod wieloma względami.

Teraz, kiedy pracowała, myślała o nim często, próbując wyobrazić sobie, jak ustawiłby kamerę, co powiedziałby upartemu aktorowi, jak poprowadziłby skomplikowaną scenę. Jeśli nie można naśladować zmarłego męża, myślała w odruchu samoobrony, to kogo w ogóle można naśladować?

Śpiew przed hotelem urwał się i Gretchen miała nadzieję, że rano Donnelly nie będzie zbyt skacowany. Rada była, że nie potrzebowała go do zdjęć następnego dnia, ze względu na niego, a nie na siebie samą, gdyż czuł się zawsze zawstydzony, kiedy się pojawiał na planie po takim wieczorze.

Uśmiechnęła się na myśl o tym dowcipnym, upartym, skomplikowanym człowieku, który z tą swoją sterczącą brodą i dumnymi nienasyconymi oczami przypominał jej młodego

pułkownika kawalerii z armii konfederatów. Lubiła go, domyślała się, że ona również go pociąga, i mimo ślubowań, że już nigdy nie pozwoli się dotknąć młodszemu mężczyźnie, gdyby nie była tak pochłonięta filmem, to kto wie...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - powiedziała Gretchen. Nigdy nie zamykała drzwi na klucz.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył Donnelly; szedł niemal zupełnie prosto.

- Dobry wieczór - powitała go.

- Przeżyłem doniosłą chwilę - oświadczył uroczyście - w towarzystwie twojego brata.

Kocham twojego brata. Uważałem, że powinnaś to usłyszeć.

Gretchen się uśmiechnęła.

- Ja też kocham mojego brata.

- Mamy zamiar dokonać razem wielkich... i znaczących przedsięwzięć - powiedział Donnelly. - Należymy do tego samego plemienia.

- Możliwe - powiedziała życzliwie Gretchen. - Nasza matka była chyba Irlandką, w każdym razie tak utrzymywała. Ale nasz ojciec był Niemcem.

- Szanuję zarówno Irlandczyków, jak i Niemców - powiedział Donnelly opierając się o futrynę, żeby jakoś się utrzymać na nogach - ale nie to miałem na myśli. Chodzi mi o plemienną wspólnotę duchową. Czy ci przeszkadzam?

- Właśnie skończyłam. Jeżeli chcesz porozmawiać, czy nie uważasz, że byłoby lepiej zamknąć drzwi?

Wolno, z godnością Donnelly zamknął drzwi i natychmiast się o nie oparł.

- Napiłbyś się kawy? - Gretchen wskazała termos na biurku. Sama wypijała dwadzieścia filiżanek dziennie, żeby móc pracować.

- Ludzie zawsze częstują mnie kawą - powiedział rozdrażniony Donnelly. - Uważam, że to poniżające. Nie cierpię kawy.

- Przykro mi, ale nie mam nic innego do picia - powiedziała Gretchen, choć wiedziała, że w szafie jest butelka szkockiej.

- Nie potrzebuję drinka, madame. Przyszedłem tu jako posłaniec.

- Od kogo?

- Od samego Davida P. Donnelly.

Gretchen się roześmiała.

- Więc przekaz wiadomość, a potem radzę, żebyś poszedł spać.

- Połowę już przekazałem. Kocham twojego brata. Druga połowa jest trudniejsza. Kocham jego siostrę.

- Jesteś pijany.

- Fakt. Pijany kocham jego siostrę i trzeźwy kocham jego siostrę.

- Dziękuję za informację - powiedziała Gretchen, ciągle jeszcze siedząc przy biurku, choć miała ogromną ochotę wstać i ucałować Donnelly'ego.

- Będziesz pamiętała, co powiedziałem? - zapytał, patrząc na nią.

- Będę pamiętała.

- W takim razie - kontynuował tonem mówcy - oddalę się na spoczynek. Dobranoc, madame.

- Dobranoc, śpij dobrze.

- Obiecuję, że będę spał bardzo dobrze. Ja!

Gretchen zaśmiała się.

- Ty!

Gdyby został jeszcze dziesięć sekund, poderwałaby się z krzesła i uściskała go. Ale Donnelly z powagą pomachał ręką na pożegnanie i wyszedł, niemal prosto.

Gretchen słyszała, jak idąc po korytarzu śpiewa „Boola, boola”.

Siedziała wpatrując się w drzwi i zadając sobie pytanie: dlaczego nie? Dlaczego, do diabła, nie? Pokręciła głową. Później, później, kiedy skończy się praca. Może.

Zabrała się z powrotem do wertowania scenopisu w cichym pokoju, w którym teraz unosił się zapach whisky.

Na piętrze poniżej Wesley usiłował zasnąć. Nasłuchiwał cichego obrotu klamki w drzwiach i szelestu sukni Frances wchodzącej do ciemnego pokoju. Ale klamka nie ruszała się i poza jękiem sprężyn w łóżku, kiedy przewracał się z boku na bok, panowała zupełna cisza.

Powiedział, że ją kocha. To prawda, że w jakiś sposób wymusiła to na nim, ale mówiąc te słowa, wierzył w nie. Ale czy kiedy się kogoś kocha, zauważa się, że ten ktoś jest fałszywy i udaje; czy mówi mu się, że postępuje głupio? Ludzie mówią o miłości tak, jakby była monolitem, jakby wystarczyło raz powiedzieć, że się kogoś kocha, żeby wszystko inne przestało się liczyć. W filmie, który właśnie kręcił, młody polityk, zakochany we Frances, nigdy nie krytykował jej zachowania, zachwycał się nim wręcz, miał zastrzeżenia jedynie do niektórych jej szalonych pomysłów, mających skłonić innych bohaterów scenariusza do przyznania jej racji. Miłość jest ślepa, mówi przysłowie. W każdym razie tego wieczora Wesley z pewnością nie był ślepy. Uważał, że przedstawienie, jakie Frances urządziła w barze, było sztuczne i obrzydliwe, i powiedział jej to. Może byłoby lepiej, gdyby nauczył się

nie wypowiadać swoich opinii. Może wtedy nie leżałby sam w łóżku o drugiej nad ranem.

Tęsknił za dotykiem jej ręki, za miękkością jej piersi pod jego pocałunkami. Jeżeli to nie jest miłość, to co nią jest? Kiedy Frances była z nim w łóżku, nie mógł uwierzyć, że wróci do swojego męża, że zacznie ją pociągać inny mężczyzna, bez względu na to, co mówiła ciotka. Przyjemnie spędzał czas z kobietami na pokładzie „Klotyldy”, kiedy ich mężowie spali w kajucie czy grali w kasynie, podobało mu się to, co robił z panią Wertham, ale wiedział z całą pewnością, że to, co wtedy odczuwał, to nie była miłość. Nie trzeba być doświadczonym światowcem, żeby dostrzec różnicę między tym, co odczuwał wtedy, i tym, co czuł przy Frances.

Pamiętał, jak Frances leżała w jego ramionach na wąskim łóżku, ich ciała splecione były w ciemności, a ona szeptała „kocham cię”. Co wtedy myślała? Wesley cicho jęknął.

Poradził Frances, żeby zatelefonowała do swojej matki i zapytała, kim naprawdę jest. Do kogo on mógłby zadzwonić, żeby się dowiedzieć, kim jest naprawdę? Do swojej matki? Powiedziałyby pewnie, że podobnie jak jego ojciec kazał porządkować chrześcijańskie domy. Do wuja? Wujowi pewnie wydawał się po prostu kłopotliwym członkiem rodziny, pozbawionym uczucia wdzięczności, który pojawia się tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebuje. Do ciotki Gretchen?

Dowiedziałby się pewnie, że przez dziwny kaprys natury został obdarzony talentem, ale jest zbyt głupi i pozbawiony ambicji, by ten talent wykorzystać. Do Alice? Niezręczny, prymitywny chłopak potrzebujący litości i macierzyńskiej opieki: Do Króliczka? Dobry chłopiec pokładowy, który nigdy nawet w przybliżeniu nie będzie takim mężczyzną, jakim był jego ojciec. Do Kate? Przyrodni brat jej syna, bolesne, żywe wspomnienie nieżyjącego męża. Jak złożyć to wszystko razem i z części stworzyć jedną całą osobę?

Czuł się tak rozdwojony, tak niepewny siebie tylko dlatego, że był młody? Opóźniony, powiedziała wieczorem Frances. Ale inni w jego wieku nie sprawiali wrażenia cierpiących, całkiem dobrze sobie radzili. Jimmy, roznosiciel w Supermarkecie, miał swoją muzykę i świadomość, że opinia siostr i matki, prosta, nieskomplikowana, opiera się na miłości. Matka Wesleya twierdziła, że go kocha, ale ta jej miłość była jeszcze gorsza od nienawiści.

Myślał o Healeju, rannym żołnierzu, który eskortował ciało syna Kralera. Healey żył w głębokim przekonaniu, że zawsze przypadał mu w udziale najgorszy los, że nic nigdy się nie zmieni w jego sytuacji, cały świat nic go nie obchodził.

Wesley myślał, że tylko jednej rzeczy on sam był pewny - tego, że się zmieni. Tyle, że kiedy tak leżał samotnie w ciemnym pokoju, nie miał najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku pójdą te zmiany.

Zastanawiał się, co też myślałby o sobie, gdyby tak dzięki jakiejś czarodziejskiej mocy mógł teraz ujrzeć siebie w wieku lat dwudziestu jeden, dwudziestu pięciu, trzydziestu.

Może, kiedy skończy z Frances, zrobi tak, jak chce ciotka, i zostanie aktorem? Pogodzi się z tą swoją wewnętrzną niejednorodnością i wykorzysta ją w pełni, grając nie tylko przed kamerą, ale w każdej minucie dnia, jak Frances? Może ona to przemyślała, może tego właśnie świat oczekiwał i ona to oczekiwanie spełniła?

Wiedział, że rano na planie wszyscy oczekują, że będzie nieokrzesanym, nieodpowiedzialnym łotrem. Była to dla niego łatwa rola. Może popróbuje jej przez rok czy dwa. Równie dobry punkt wyjścia jak każdy inny.

Kiedy wreszcie zasnął, śniło mu się, że jest w saloniku Alice, je kanapkę z pieczenią wołową, pije piwo, tylko że po drugiej stronie stołu nie siedziała Alice, lecz Frances Miller.

ROZDZIAŁ VII

Z notatnika Billy Abbotta, Znowu przy maszynie. Trudno się pozbyć złych przyzwyczajęń. Poza tym po lunchu wszyscy tutaj odbywają sjesty, a ja nigdy nie nauczyłem się sypiać w ciągu dnia, więc skoro nie mam z kim porozmawiać, mogę równie dobrze rozmawiać z sobą samym. Zresztą nie ma żadnego powodu przypuszczać, by policja Franco interesowała się bazgraniną amerykańskiego instruktora tenisowego w tej enklawie bogatych na brzegu niebieskiego morza. Co innego w Belgii. Możliwe, że łatwiej mieć prywatne życie w kraju faszystowskim niż demokratycznym. Muszę zająć się tym problemem.

Po Brukseli klimat południowej Hiszpanii wydaje się niebiański i zastanawiam się, czy ludzie, mając możliwość wyboru, żyliby w dalszym ciągu na północ od Loary.

Przyjechałem eleganckim, małym, używanym kabrioletem Peugeot na francuskich numerach tranzytowych TTX, którego niedrogo kupiłem w Paryżu. Kiedy tylko przekroczyłem Pireneje i znalazłem się pomiędzy zielonymi górami i oceanem, poczułem szczególną przyjemność, jak gdybym rozpoznawał wioski, pola i rzeki z innego życia, jakbym wracał do domu z długiej podróży, jakby to był kraj dla mnie.

Dopóki nie otworzę ust, mogę uchodzić za Hiszpana. Czy możliwe, że karnacja rodziny Abbottów pochodzi z okresu hiszpańskiej armady?

Pełni witalnych sił Andaluzyjczycy z rozbitych statków na wybrzeżach Anglii i Szkocji?

Hotel, w którym mieszkam, jest zupełnie nowy i upłynie co najmniej dwanaście lat, zanim podda się wpływom wiatrów i fal. Na razie jest wystarczająco solidny, a z mojego wygodnego, pełnego powietrza pokoju widać pole golfowe i morze. Muszę dawać lekcje początkującym i słabeuszom, ale jest tu wystarczająco dużo dobrych graczy, żeby można było codziennie przez dwie godziny pograć w prawdziwego tenisa. Jestem prostym człowiekiem o prostych gustach.

Tutejsi Hiszpanie to przystojni, mili i wyćwiczeni w uprzejmości ludzie, co stanowi przyjemną odmianę po amerykańskim wojsku. A inni są na urlopach, więc też zachowują się według swoich najwyższych standardów. Do tej pory nie zelżono mnie, nie wyzwano na pojedynek, nie zmuszano do oglądania walki byków ani nie proszono o pomoc w obalaniu systemu.

Staram się zachowywać jak najbardziej poprawnie wobec pań, bez względu na akcent. Należy przypuszczać, że każda ma męża czy towarzysza skłonnego do podejrzliwości wobec młodego Amerykanina, zawodowego sportowca, który co najmniej godzinę dziennie spędza,

dość skąpo odziany, z ich partnerkami. Panowie ci pojawiają się nagle na obrzeżach kortu w czasie lekcji, ponuro zadumani. Nie mam ochoty, by mnie wypędzono z miasta w niełasce, oskarżonego o zniesławienie żony czy kochanki jakiegoś hiszpańskiego dżentelmena. Mam zamiar co najmniej przez rok trzymać się z dala od kłopotów.

Po Monice godne polecenia są radości celibatu. Zamieszanie, czy to w łóżku, czy poza nim, to nie moja specjalność.

Jestem opalony i w lepszej formie niż kiedykolwiek, przyzwyczailem się podziwiać swoje nagie ciało w lustrze.

Otrzymuję dobrą pensję i hojne napiwki. Okazuje się, że nawet odkładam trochę pieniędzy, co jest rzeczą nową i dziwną w moim życiu.

Często urządza się tu przyjęcia i na większość jestem zapraszany.

Nowy chłopiec w mieście. Staram się nie pić za dużo i nie rozmawiać z żadną z pań dłużej niż piętnaście minut. Teraz znam już wystarczająco dobrze hiszpański, by rozumieć większość gwałtownych sporów politycznych, jakie wybuchają tu późnym wieczorem. Uczestnicy tych dysput najczęściej poruszają takie tematy, jak groźba rozlewu krwi, wywłaszczenie, komunizm i to, co stanie się z krajem kiedy stary umrze. W takich momentach nie odzywam się, dziękując moim gwiazdom, że pozwoliły mi osiąść, nawet jeśli nie na długo, w tak pięknym kraju, który tak odpowiada mojemu temperamentowi, i że nie potrzebuję wyrażać żadnej opinii bardziej zapalnej niż instrukcja, jak trzymać rączkę rakiety przy serwisie.

Raz jeszcze muszę podać w wątpliwość ostrzeżenie mojego ojca, że pochodzę z pechowej rodziny.

Matka napisała do mnie kilka listów. Jak zwykle dostała mój adres od ojca, do którego piszę z przeświadczeniem zarozumialca, że tylko moje listy powstrzymują go przed rzuceniem się do jeziora Michigan. Listy matki są teraz bardziej łagodne. Uznała, że moja decyzja wystąpienia z wojska jest wynikiem jej protestów i że świadczy o osiągnięciu przeze mnie dojrzałości. Teraz kończy swoje listy zwrotem: „Twoja kochająca matka.” Przez długie lata kończyła je po prostu „matka”, co było zrozumiałym dla mnie sygnałem jej kompletnego zdegustowania moją osobą. Odpłaciłem podobną uprzejmością i podpisałem list: „Kochający syn Billy.”

Matka pisze, że podoba jej się nowy zawód reżysera, co nie jest dla mnie niespodzianką, gdyż zawsze lubiła kierować ludźmi. Z wielkim entuzjazmem wyraża się o zdolnościach aktorskich kuzyna Wesleya. To jest zawód, którym powinienem był się zainteresować, jako że potrafię być równie fałszywy czy szczery jak każdy człowiek, ale teraz

już na to za późno. Matka pisze, że Wesley chce mnie odwiedzić. Jak mam go powitać? Witaj, bracie męczenniku?

Rany boskie! Dwa dni po napisaniu przeze mnie powyższych słów pojawiła się Monika w towarzystwie niemieckiego milionera w średnim wieku, który sprzedaje mrożonki. Monika wygląda bardzo dobrze, wbita w grzeczne, kosztowne ciuchy, z uczesаныmi włosami.

Dotychczas udaje, że mnie nie zna, ale to może być cisza przed burzą. Prześladowają mnie myśli o ucieczce.

Przegrałem w prostych setach z człowiekiem, którego zwyciężałem przez sześć kolejnych dni.

Kamerzysta Freddie Kahn wiódł prym w śpiewaniu „Ona jest wspaniałym kumplem”, trzymał rękę Gretchen w górze, jak zwycięzcy na ringu, podczas tradycyjnego przyjęcia w studio w Nowym Jorku na zakończenie ostatniego dnia zdjęć. Pieśń w wykonaniu zespołu aktorów, techników i grupki zaproszonych przyjaciół brzmiała głośno i życzliwie. Gretchen nie bardzo wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać, słuchając tego śpiewu rozbrzmiewającego w studio pełnym krzyżujących się kabli, pozastłanionych kapturami kamer i improwizowanych stołów na kozłach, zastawionych napojami i kanapkami, ozdobionych kwiatami. Ida Cohen nie kryła łez, miała nawet na tę okazję uczesane włosy. Kahn podarował Gretchen zegarek na rękę jako prezent od zespołu (do którego to prezentu Wesley dołożył pięćdziesiąt dolarów) i wezwał Gretchen do wygłoszenia mowy.

- Dziękuję, dziękuję wam wszystkim - powiedziała Gretchen trochę drżącym głosem. - Wszyscy byliście wspaniali i chciałabym podziękować serdecznie wszystkim razem i każdemu z osobna za to, że dzięki wam moje pierwsze kroki reżyserskie były tak szczęśliwym przeżyciem. Choć, jak mówi hollywoodzkie przysłowie: „Kiedy zespół jest zadowolony, wychodzi chała.”

Rozległy się śmiechy i kilka okrzyków: „Nie, tym razem nie.”

Gretchen podniosła rękę, prosząc o ciszę.

- Dla was wszystkich praca jest już skończona i mam nadzieję, że zaczniecie teraz robić lepsze rzeczy, że wasze potknięcia zostaną zapomniane, a wasze sukcesy utrwala się na zawsze w pamięci - przynajmniej do czasu następnej nagrody Akademii. Ale dla niektórych z nas, montażystów, ludzi pracujących nad dubbingiem, dla kompozytora i muzyków, i dla pana Cohena, który będzie musiał wykonać zadanie nie do pozazdroszczenia: sprzedać obraz dystrybucji tak, żebyśmy nie zostali do cna oszukani - dla nas wszystkich praca dopiero się

zaczyna. Życie nam dobrze, bo przed nami miesiące roboty, a od tego, co teraz zrobimy, zależy może, czy poniesiemy klęskę, czy czeka nas sukces.

Gretchen mówiła skromnie, ale Wesley, stojący w pobliżu, widział w jej oczach triumfalne błyski.

- Ida - zwróciła się Gretchen do przyjaciółki - przestań płakać.

Przecież to jeszcze nie pogrzeb.

Ida zaszlochała.

Ktoś podał Gretchen szklaneczkę whisky, wzniosła toast:

- Za nas wszystkich, od najstarszego - zwróciła się do Wesleya - do najmłodszego!

Wesley, który trzymał szklaneczkę nie tkniętej jeszcze whisky wraz z innymi podniósł rękę. Nie uśmiechał się ani nie wyglądał promiennie jak reszta zespołu, bo właśnie zobaczył, jak Frances Miller, stojąc u boku męża, trąca się z nim szklanką i jak się całują. Po wieczorze w barze w Port Philip Wesley i Frances pogodzili się i Frances znów przychodziła do jego pokoju, a kiedy kręcili sceny we wnętrzach w Nowym Jorku, pozwoliła mu spędzić kilka nocy w swoim mieszkaniu. Tak było jeszcze trzy dni temu, dopóki nie przyjechał jej mąż z Kalifornii. Wesley nie poznał jeszcze męża Frances, przystojnego blondyna, zbudowanego jak piłkarz, który zresztą, co Wesley musiał przyznać, wyglądał dość przyjemnie, zgodnie z hollywoodzkim standardem. Ale sposób, w jaki patrzyli na siebie on i Frances, kiedy podnosili szklanki, a także czułość ich pocałunku sprawiły, że Wesley wolałby w jakiś sposób uniknąć tego przyjęcia.

Alice była tu także, ale na razie nie mógł jej dojrzeć na zatłoczonym planie. Jak zwykle starała się być jak najmniej krępująca. Po nocach, w które nie zjawił się spać na kanapie, Alice zachowywała się dziwnie, stała się chłodna jak zawodowa pielęgniarka. Kiedy powiedział jej o przyjęciu, odpowiedziała, że pójdzie bardzo chętnie, bo nigdy jeszcze nie uczestniczyła w takiej uroczystości. Wesley starał się zaprosić ją z wdziękiem i swobodnie, ale wymagało to znacznego wysiłku. Kiedy człowiek jest starszy, myślał, starając się nie patrzeć w kierunku Frances i jej męża, może już wie, jak sobie radzić w podobnych sytuacjach.

Pociągnął duży łyk whisky z wodą sodową i przypomniał sobie, że po raz ostatni pił mocny trunek wieczorem w „Porte Rose” w Cannes.

Whisky smakowała mu, więc pociągnął następny łyk.

Gretchen chodziła dokoła, ściskając zebranych ręce, obcałowując ich policzki, a kilka innych kobiet także miało załzawione oczy.

Wydawało się, że nikt nie ma ochoty wyjść, jakby wszyscy chcieli możliwie najdłużej

utrzymać więź zadzierzgniętą w ciągu kilku miesięcy wspólnej pracy. Wesley usłyszał, jak kobieta w średnim wieku zwraca się do Gretchen: - Niech cię Bóg ma w swojej opiece, od tej chwili będzie coraz gorzej.

Wesley zastanawiał się, jak to się dzieje, że kręcenie filmu, które dla większości tych zawodowców jest po prostu sprawą zwykłej rutyny, może wzbudzać takie emocje. Jemu także podobała się praca przy filmie, ale wcale mu nie zależało, żeby kogokolwiek z zespołu - poza Frances i Gretchen - zobaczyć jeszcze raz w życiu. Być może bez względu na to, co mówi Gretchen, w gruncie rzeczy nie jest wcale stworzony na aktora.

Kiedy ciotka podeszła do niego, pocałowała go w policzek i powiedziała: „Wesleyu Jordan, będzie mi ciebie brakowało”, wiedział, że mówi szczerze.

- Bardzo ładnie przemawiałeś. Potrafisz się znaleźć w każdej sytuacji.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała Gretchen, nie przestając patrzeć mu przez ramię, jakby kogoś szukała. - Wesley, czy Rudolf mówił ci, że nie przyjdzie albo że się spóźni?

- Nie. - Podczas ostatnich dni kręcenia wuj Rudolf powiedział mu jedynie, że pisał adwokat z Antibes i Wesley może już wrócić do Francji. Jeszcze nie kupił biletu. Nie przyznając się do tego nawet przed sobą, miał uczucie, że jeszcze nie jest gotów do opuszczenia Ameryki, że jeszcze zbyt wiele rzeczy zostało nie załatwionych.

- Dzisiaj miał znów jechać z Donelłym do Connecticut - mówiła Gretchen, ciągle wypatrując brata ponad głowami otaczających ludzi - ale obiecał, że wróci o piątej. Już jest po siódmej. Rudolf nigdy się nie spóźnia. Nie mogę jeszcze wyjść z przyjęcia, bądź taki kochany i zadzwoń do hotelu, może Rudolf zostawił jakąś wiadomość?

- Oczywiście - powiedział Wesley szukając w kieszeni drobnych.

Musiał wyjść ze studia do telefonu na zewnątrz, żeby zadzwonić do hotelu „Alonquin”, gdzie wuj wynajmował pokój na te noce, które spędzał w mieście.

Chwilę czekał, bo Frances chichocząc rozmawiała właśnie przez telefon. Wesley odsunął się, ponieważ nie chciał słyszeć, co mówiła. Frances nie spieszyła się ze skończeniem rozmowy, wrzucając coraz to nowe monety do automatu. Wesley przyniósł ze sobą whisky i zanim Frances skończyła, wypił ją do dna. Słuchając tonu głosu Frances, bez rozróżniania słów, czuł, jak naprężają mu się mięśnie, miał nieprzyjemną świadomość spazmatycznego skurczu w lędźwiach i jądrach. Nigdy więcej, nigdy, obiecywał sobie, choć wiedział, że to kłamstwo.

Frances zakończyła wdzięczne chichoty, odwiesiła słuchawkę i skierowała się w stronę drzwi do studio, za którymi stał Wesley.

Włosy jej opadły na ramiona, odrzuciła je do tyłu bardzo kobiecym ruchem ręki.

- Ach - powiedziała i znów zachichotała - cudowny chłopiec na czatach.

- Muszę zadzwonić - powiedział Wesley - ale najpierw mam coś do zrobienia. - Objął ją gwałtownie i pocałował w usta.

- No, nareszcie - powiedziała ze śmiechem - nauczyłeś się aktorstwa. Wiesz, jak okazywać namiętność w obecności mężów. - Głos Frances był lekko zmieniony pod wpływem alkoholu.

- Kiedy cię znów zobaczę? - Wesley trzymał ją za ramię, jakby siłą swoich rąk mógł sprawić, by mu się nie wymknęła.

- Kto wie? - Frances zachichotała. - Może nigdy. Może wtedy, kiedy dorośniesz.

- Wcale tak nie myślisz - powiedział udreńczonym głosem.

- Kto wie, co ja myślę. Ja sama najmniej. Mam dla ciebie dobrą radę. Zabawialiśmy się, a teraz i to się skończyło. Zapomnij o tym.

Drzwi od studia otworzyły się i w smudze światła ukazał się mąż Frances.

- Puść ją - powiedział.

Wesley puścił Frances i cofnął się o krok.

- Wiem, coście robili przez cały czas - powiedział mężczyzna. - Nie myśl, że nie wiem. Ty dziwko!

- Uspokój się, Jack, proszę - powiedziała ostrożnie Frances.

Mężczyzna uderzył ją w policzek. Odgłos był głuchy i brzydki. - Co do ciebie, szczeniaku - zwrócił się do Wesleya - jeśli kiedykolwiek złapię cię w pobliżu mojej żony, przetrączę ci kości.

- Wielki, silny samiec - powiedziała kpiąco Frances. Nie podniosła ręki do policzka, jakby mąż w ogóle jej nie dotknął. - Wszędzie, tylko nie w łóżku.

Mężczyzna zaczerpnął powietrza i uderzył Frances jeszcze raz, tym razem znacznie mocniej.

Frances ciągle jeszcze nie podniosła ręki do twarzy.

- Świnia - powiedziała do męża. - Ty i twoi szpiedzy.

Mężczyzna złapał ją za ramię.

- Teraz pójdziemy tam z powrotem i będziesz się uśmiechała, bo twój mąż, którego interesy zatrzymały na Wybrzeżu, zdołał przyjechać do Nowego Jorku, żeby spędzić z tobą weekend.

- Jak chcesz, świni - powiedziała Frances. Wzięła go pod rękę i nie patrząc na Wesleya weszła wraz z mężem do studia, skąd dochodziły teraz dźwięki muzyki: pianina, trąbki i perkusji. Kilka par tańczyło.

Wesley stał nieruchomo w skąpo oświetlonym hallu, drgały jedynie mięśnie na jego twarzy. Zgniół pustą plastikową szklankę i cisnął nią o ścianę. Upłynęły dwie minuty, zanim nabrał pewności, że nie przebiegnie obok tańczących par i nie rzuci się do gardła temu mężczyźnie.

Kiedy czuł, że może już zapanować nad własnym głosem, zadzwonił do hotelu. Telefonista powiedział, że pan Jordach nie zostawił żadnych wiadomości. Jeszcze przez chwilę Wesley stał przy automacie, potem wrócił do studia, odnalazł ciotkę i powtórzył, czego się dowiedział w hotelu. Potem poszedł do baru, poprosił o whisky, wypił ją duszkiem i zamówił następną.

Kiedy kończył drinka, poczuł klepnięcie w ramię. Odwrócił się i zobaczył Alice z tym odległym, pielęgniarzkim wyrazem twarzy, którego zaczynał się bać.

- Myślę że byłoby nieźle - powiedziała spokojnie Alice - gdybyś trochę doprowadził do porządku swoją twarz. Jest cała w szmince.

- Dziękuję - powiedział drewnianym głosem. Wyjął chusteczkę, wytarł usta i policzki.
- Teraz lepiej?

- Znacznie lepiej. Chyba już pójdę. Przekonałam się, że przyjęcia filmowe są znacznie mniej oszalałające, niż się opowiada młodym dziewczynom.

- Dobranoc - powiedział Wesley. Chciał prosić ją o wybaczenie, zmienić ten obcy, zimny wyraz jej oczu, ale nie wiedział, jak to wyrazić i co właściwie miałyby mu wybaczyć. - Zobaczymy się później.

- Możliwe.

Boże, myślał, patrząc, jak drobna dziewczyna idzie pewnym krokiem i niknie wśród tańczących par. Boże, jaki ze mnie drań, muszę się wydostać z tego miasta. Potem odwrócił się do baru i poprosił o kolejnego drinka.

Właśnie odbierał go od barmana, kiedy podszedł do niego Rudolf.

- Dobrze się pan bawi, panie Jordan? - zapytał wuj.

- Wspaniale - odpowiedział Wesley. - Gretchen cię szuka. Martwi się. Na jej prośbę dzwoniłem do twojego hotelu.

- Zatrzymano mnie. Pójdę jej poszukać. Chciałbym z tobą później porozmawiać. Gdzie będziesz?

- Tutaj.

Rudolf zmarszczył brwi.

- Spokojnie, chłopcze. Jestem pewien, że przy odrobinie uporu uda ci się jutro znaleźć gdzieś w Nowym Jorku jeszcze jedną butelkę whisky. - Poklepał Wesleya przyjaźnie po

ramieniu i ruszył na poszukiwanie Gretchen.

Gretchen rozmawiała z Richardem Sanfordem, autorem „Komedii restauracji”, kiedy Rudolf dostrzegł ją po drugiej stronie zaimprovizowanego parkietu. Zauważył, że Sanford nie poszedł na żadne ustępstwa dla uczczenia ostatniego dnia kręcenia swego pierwszego dzieła. Ubrany był w zwykły mundurek, złożony z odpiętej pod szyją wełnianej koszuli i wiatrówki.

- Niepokoję się - mówił z przejęciem Sanford - że jest za mało zbliżeń tej dziewczyny w tym, co dotychczas widziałem. Te ogólniejsze plany nie dostarczają tyle emocji i...

- Drogi Richardzie - powiedziała Gretchen - obawiam się, że podobnie jak wielu innych autorów jesteś porażony wdziękiem aktorki, na czym cierpi jej talent...

- Och, daj spokój - Sanford się zarumienił. - Zamieniłem ledwie kilka słów z tą dziewczyną.

- Ona mówiła do ciebie. A to zupełnie wystarczy w przypadku tego rodzaju młodej damy. Toteż przykro mi, że była tak bardzo zajęta.

- Nie doceniasz mnie - warknął ze złością Sanford.

- Takie właśnie problemy mają artyści od pięciu tysięcy lat.

Będziesz musiał nauczyć się z tym żyć, synku.

- Ty i ja nie jesteśmy przyjaciółmi - powiedział Sanford. - Masz mi za złe mój... moją męskość. Wiem o tym od samego początku.

- To nie należy do sprawy - powiedziała Gretchen. - Poza tym jest to kompletna bzdura. Jeśli nie wiedziałeś o tym dotychczas, to pozwól, że teraz ci powiem, młody człowieku: sztuka nie rodzi się z przyjaźni.

- Jesteś zgorzkniałą, starzejącą się kobietą - w głosie Sanforda można było wyczuć długie miesiące żalu. - Potrzebne ci porządne pierdolenie. A nikt nie jest na tyle uprzejmy, żeby się tym zająć.

Gretchen przetarła oczy, zanim odpowiedziała:

- Jesteś uzdolnionym, niesympatycznym młodym człowiekiem. W miarę jak będziesz się starzeć, będziesz mniej niesympatyczny, ale obawiam się, również mniej uzdolniony.

- Nie musisz mnie obrażać, Gretchen - powiedział.

- W naszym zawodzie nie ma mowy o obrażaniu. Męczysz mnie. Ja też cię pewnie męcę. To także się nie liczy. Ale, mój drogi Ryszardzie - dotknęła jego policzka długimi, pomalowanymi paznokciami gestem, który był na pół pieszczotą, na pół groźbą - obiecuję, że będę ci dobrze służyć. Nie prosz mnie o nic więcej.

Obiecuję ci wszystkie zbliżenia, jakie są potrzebne, i wszystkie emocje, jakie ktokolwiek będzie mógł wytrzymać: Problem z tą dziewczyną nie polega na tym, że jest jej za

mało, tylko za dużo.

- Zawsze masz na wszystko odpowiedź. Nigdy nie zwyciężam w sporze z tobą. Kinsella ostrzegał mnie...

- Jak się czuje drogi Evans? - zapytała Gretchen.

- Bardzo dobrze. - Sanford lekko zmieszany, przestępował z nogi na nogę. - Prosił, żebym napisał scenariusz do jego następnego filmu.

- Jesteś więc w drodze do Hollywood.

- W istocie... tak.

- To dobrze. Dla ciebie i dla niego. Wiem, że będziecie razem szczęśliwi. A teraz muszę cię przeprosić, widzę, że nadchodzi mój brat.

Idąc w kierunku Rudolfa, Gretchen zauważyła, jak Sanford potrząsa głową w geście rozpacz. Rudolf śmiał się, kiedy podeszła do niego.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała.

- Z wyrazu twarzy tego młodego człowieka, z którym się rozstałaś.

Gretchen się skrzywiła.

- Oddawaliśmy się najbardziej twórczemu zajęciu: dokuczaniu sobie nawzajem. Pierwszy film, a on już myśli, że jest wydawcą „Cahiers du Cinema”. Zgubiony duch. Niewielka tragedia. Ameryka pełna jest jednorazowych geniuszy. Martwiłam się o ciebie. Gdzie byłeś przez cały czas?

Rudolf pokręcił głową.

- Wpakowaliśmy się w paskudną sytuację w Connecticut. Donnelly gotów jest poderżnąć sobie gardło. Wygląda na to, że cały pomysł się rozleci.

- Dlaczego? Co się stało?

- Jakieś cholerne towarzystwo ochrony środowiska czy coś takiego wystąpiło o nakaz sądowy zabraniający nam budowania. Spędziliśmy cały dzień z adwokatami.

- Sądziłam, że wszystko jest już ustalone.

- I ja też. Aż do wczoraj. Myśleliśmy, że kupujemy obszar opuszczonych farm. Teraz okazuje się, że kupiliśmy cenny fragment dzikich terenów stanu Connecticut, pełen rzadkich ptaków, stad wspaniałych jeleni, cudownych węży. W ostatnich latach zauważono tam także trzy rysie. I wygląda na to, że wcale nie jesteśmy półfilantropijnymi dobroczyńcami starzejącej się ludności, lecz złoczyńcami wyciągającymi miejskie macki, by zatruć czyste powietrze suwerennego stanu Connecticut, nie mówiąc już o tym, że widzą w nas wrogów rysie. - Znów pokręcił głową z niezbyt przekonującym uśmiechem.

- Co mówią adwokaci?

- Nawet jeśli w końcu wygramy, zajmie to całe lata. Donnelly niemal szlochał z rozpaczy, kiedy uświadomił sobie, jak długo nasze pieniądze będą tam uwiązane.

- A gdzie jest Donnelly? - zapytała Gretchen.

- Położyłem go do łóżka. Pijanego jak bela. Jutro będzie się czuł jeszcze gorzej.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Gretchen.

- Zrzączenie losu. Niech to nie popsuje twojego wielkiego wieczoru. Poza tym miałem wczoraj telefon z Kalifornii. Od człowieka, którego znam, agenta o nazwisku Bowen.

- Ja go też znam. Ma dobre biuro.

Rudolf skinął głową.

- Mówił, że rozeszły się wieści o Wesleyu. Twierdzi, że mógłby mu załatwić intratny kontrakt. Jeżeli Wesley zamierza zostać aktorem, będzie potrzebował agenta, a Bowen jest równie uczciwy jak inni.

Muszę porozmawiać z tym młodzieńcem.

- Kiedy go ostatnio widziałam, usmarowany szminką podpierał bar.

- Ja go też widziałem. Dałem mu nawet mądrą radę dobrotliwego wujaszka. - Rudolf pochylił się i pocałował Gretchen w policzek. - Gratuluję. Wykonałaś wspaniałą robotę. Nie tylko twój brat tak myśli.

- Wszystko poszło gładko. Obawiałam się, że będzie to amatorszczyzna, od początku do końca.

- Nie bądź taka skromna, siostrzyczko - Rudolf ścisnął rękę Gretchen. - Teraz jesteś w pierwszej lidze.

- Zobaczymy. Trzymaj palce. - Mówiąc to Gretchen nie potrafiła ukryć pełnego uśmiechu zadowolenia.

- Teraz kolej na młodego człowieka. Obiecuj mi taniec, kiedy z nim skończę.

- Nie tańczyłam od lat.

- Ani ja. Poproszę chłopców, żeby zagrali walca.

Rudolf poszedł do baru, ale Wesleya już tam nie było. Barman powiedział, że wyszedł przed pięcioma minutami.

Alice czytała w dużym pokoju, kiedy Wesley wrócił do domu. Po drodze wstąpił do dwóch barów. W obydwu było zbyt ciemno, by ktokolwiek pytał o dowody pełnoletności. Chodzenie po ulicach okazało się pewnym problemem, jako że chodniki uciekały mu pod różnymi kątami, a na rogach dwukrotnie potknął się o krawężnik.

- Dobry wieczór - powiedział z powagą do Alice.

- Dobry wieczór - odpowiedziała. Nie podniosła głowy znad książki.

Zauważył, że kanapa nie była jak zwykle zasłana kocami i prześcieradłem. Miał dziwne uczucie, że to, co widzi, to nie Alice, tylko jej odbicie w falującej wodzie.

Próbując usiąść; źle ocenił odległość i z trudem wylądował na brzegu krzesła. Wpatrywał się uporczywie w Alice, której obraz ciągle falował.

- Jestem do niczego - powiedział. - Tracisz tylko czas, martwiąc się o mnie.

- Jesteś pijany. A ja się o ciebie nie martwię.

- Jutro - zaczął, a własny głos wydawał mu się obcy i daleki - oddam ci każdego centa, którego jestem ci winien i od... odjadę.

- W samą porę. - Alice ciągle nie odrywała wzroku od książki. - Jestem pewna, że znajdziesz sobie inne miejsce do spania. I nie mów mi o pieniądzach. Nie jesteś mi winien ani centa. Nie robiłam tego dla pieniędzy.

Spojrzał na nią mając pewne trudności ze skoncentrowaniem wzroku.

- Masz coś przeciwko temu, żebym ci podziękował?

- Mam coś przeciwko wszystkiemu, co powiesz - rzekła dumnie. - Hollywoodzki próżniak.

- Nigdy nie byłem w Hollywood. Ani nawet w Kalifornii - odpowiedział głupawo.

- Ty i te twoje dziwki... - Alice cisnęła książkę o ziemię. - Po co ja czytam tę przekłętą książkę? Jest okropna.

- Myślałem, że jesteś dla mnie... no - Wesley mówił zmieszany - siostrą.

- Nie jestem twoją siostrą.

Szukał słów, które chciałby powiedzieć, czując, że i umysł, i język mu się płaczą.

- Mówiłaś, że umieram - powiedział. - W twojej książce. Chciałaś, żebym był szlachetny i umarł. Wymagasz zbyt wiele...

- O Boże - Alice wstała z krzesła, podeszła do Wesleya, objęła dłońmi jego głowę i przytuliła do siebie. - Przepraszam, Wesley, nie chcę, żebyś umarł. Musisz w to uwierzyć.

- Każdy chce ode mnie czegoś, czego nie mogę dać - mówił Wesley z ustami zatkanymi materiałem jej sukienki. - Sam nie wiem, gdzie jestem. Pytaj o mnie jutro w biurze rzeczy zagubionych.

- Proszę cię, Wesley - szeptała Alice - nie mów tak.

- Powiedziałaś kiedyś, że kradniesz kawałki mojej duszy... - mówiąc to Wesley jęknął.

- Słyszałem, jak nocami pisałaś na maszynie, i mówiłem sobie: oto jeszcze jeden kawałek mojej duszy...

- Proszę cię, proszę kochanie - przytulała coraz mocniej jego głowę, jakby pragnąc

powstrzymać go przed wypowiedzeniem następnego słowa. - Zabijasz mnie.

- Wszyscy mnie zawstydzają. - Odchylił głowę na bok, żeby móc mówić. - To, co przeżyłem dziś wieczorem... a teraz ty... Nie jestem ciebie godny, wiem, ale...

- Cicho, cicho, kochanie. - Alice tuliła go do siebie.

- ...kocham cię - powiedział.

Alice przyciągnęła go mocno. I nagle wybuchnęła śmiechem.

- Czemu do diabła czekałeś tak długo, żeby to powiedzieć. - Uklękła przed nim i pocałowała go. Potem odchyliła głowę do tyłu, żeby mu się przyjrzeć. - Powtórz to jeszcze raz.

- Kocham cię.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała.

- I czuję się okropnie. Po raz drugi w życiu jestem pijany.

Przepraszam cię, ale muszę się wyrzygać. - Podniósł się niepewnie i wtoczył do łazienki, a tam wypłynęła z niego cała wieczorna whisky. Nie czuł się lepiej, ciągle był słaby i chwiały się na nogach. - Rozebrał się starannie, przez całe dwie minuty mył zęby, potem wziął zimny prysznic. Kiedy się wycierał, czuł się już trochę lepiej, ale kiedy ruszał głową, musiał to robić bardzo ostrożnie; wydawało mu się, że w żołądku ma pełno gwoździ. Włożył jakiś szlafrok, który znalazła Alice, i z mokrymi włosami wrócił do pokoju, opierając się po drodze ręką o ścianę dla utrzymania równowagi.

Pokój był pusty, a kanapa ciągle jeszcze nie przygotowana do spania.

Z sypialni usłyszał głos Alice.

- Jestem tutaj. Nie musisz dzisiaj szukać innego miejsca do spania.

Ciągle jeszcze słaby, czując obracającą się w głowie karuzelę i grające organy, wtoczył się do sypialni. Paliła się tylko jedna lampa, w pokoju panował półmrok, dostrzegł jednak Alice, ciągle jeszcze jakby falującą, pod kołdrą w olbrzymim łóżku.

- Chodź tutaj - powiedziała. - Kładź się.

Zaczął się pakować do łóżka w szlafroku.

- Zdejmij ten cholerny szlafrok!

- Zgaś światło. - Myśl, że Alice Larkin, ta skromna i dobrze wychowana dziewczyna, zobaczy go nagiego, była dla Wesleya szokująca.

Alice zaśmiała się gasząc lampę. Wesley zachwiał się, kiedy zdejmował szlafrok, i zawadził nogą o toaletkę, próbując trafić w ciemności do łóżka. Objął Alice ramionami; była drobna, a jej skóra gładka i pachnąca, ale ciągle jeszcze czuł się okropnie.

- Nie mogę nic zrobić - wyszeptał. - Kocham cię i nie mogę nic zrobić. Powinnaś

powiedzieć mi to wcześniej, zanim wypilem całe to świństwo.

- Nie wiedziałam wcześniej. Nie szkodzi. - Pocałowała go w ucho, przysuwając się bliżej. - Rano będziesz się czuł dobrze.

I miała rację.

ROZDZIAŁ VIII

Z notatnika Billy Abbotta, Ona jeszcze ciągle jest tutaj.

Do tej pory nie dała żadnego znaku, że mnie zna. O ile zdołałem się zorientować, ani ona, ani ten jej producent mrożonek z Dusseldorfu z nikim nie rozmawiają. Nigdy nie widzę ich w czyimkolwiek towarzystwie. On codziennie gra w golfa. Nie byli na żadnym z przyjęć, na które byłem zaproszony. Wiem, że zameldowała się w hotelu jako seniorita Monika Hitzman; nie tak brzmiało jej nazwisko, kiedy ją poznałem. Kiedy mijamy się przypadkiem, bez względu na to, czy jest sama, czy z przyjacielem, przechodzimy koło siebie jak obcy, chociaż ja czuję wtedy lodowaty podmuch powietrza, jakbym przepływał obok góry lodowej.

Czasami, samotnie lub w towarzystwie przyjaciela, przechodzi koło kortów tenisowych. Przeważnie zatrzymuje się na krótszą lub dłuższą chwilę, by się przypatrzeć grze, co czyni także wielu innych gości...

Z każdym dniem gram gorzej.

Jest jeszcze inna komplikacja. Zaleca się do mnie, jeśli to w ogóle odpowiednie słowo, młoda Hiszpanka imieniem Carmen (czy nie można uciec od tego muzycznego echa?) z Barcelony, która zawzięcie i niezmordowanie gra w tenisa. Ojciec jej, jak się dowiedziałem, zajmuje wysokie stanowisko we władzach frankistowskich w Barcelonie i czasami jej towarzyszy. Jest to trzymający się prosto, siwy dżentelmen o zaciętej twarzy.

Jego córka ma dwadzieścia lat, zabójczo ciemne oczy, włosy blond i tygrysie ruchy, na korcie i poza kortem, jakby uważała za swój obowiązek dorównać bohaterce operowego libretta. Wykańcza mnie w singlach. Znajduje także okazje by postawić mi drinka po skończonej grze albo kiedy indziej, i robi mi wyznania, których wolałbym nie słyszeć. Chodziła do szkoły w Anglii i mówi po angielsku dobrze, choć z wyraźnym obcym akcentem. Uciekam w jej obecności w moje idiotyczne wcielenie sportowca, ale, jak twierdzi, przejrzała mnie na wskroś, co, obawiam się, jest prawdą.

Między innymi powiedziała mi, że ojciec, choć katalończyk, walczył w armii Franco i ma takie poglądy na życie jak kapitanowie króla Ferdynanda i Izabeli, którzy wypędzili Maurów i Żydów z Hiszpanii.

Doprowadza ojca do furii mówiąc do niego po katalońsku, ale kocha go szczerze. Twierdzi, że nie będzie szczęśliwa, dopóki nad Barceloną nie załopocze flaga katalońska, a poeci z jej kraju - jak mawia - nie zaczną pisać w ojczystym języku. Miałyby sobie wiele do powiedzenia z Moniką, która również przywiązuje wielką wagę do podziału językowego

Europy, choć wątpię, czy Carmen podłożyła już swoją pierwszą bombę. Rozpowszechnia ulotki, co może być, a może nie być sprzeczne z prawem. Ma wspaniałe, gibkie ciało i nie wiem, jak długo potrafię się jej opierać, chociaż boję się jej ojca, który, jeśli patrzy na mnie, co na szczęście zdarza się rzadko, robi to z wyrazem chłodnej podejrzliwości. Carmen twierdzi, że wszystkim cudzoziemcom, zwłaszcza Amerykanom, ojciec przygląda się również podejrzliwie, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tym razem jego niechęć ma podłoże nie tylko szowinistyczne.

Carmen przypomina typ młodej kobiety, jakie widuje się na zdjęciach w hiszpańskich gazetach stojące na barrera, podczas gdy matodorzy poświęcają im byki. Nie wygląda jak dziewczyny rozdające w Ameryce ulotki.

Przynajmniej pod jednym względem przypomina Monikę. Nigdy nie będzie dobrą żoną dla żadnego mężczyzny.

Następny dzień był złym dniem dla Billy Abbotta. Monika ze swoim przyjacielem przysłała na korty i zapisała się na tygodniowy kurs tenisa, codziennie o jedenastej przed południem.

Billy dał jej pierwszą lekcję. Monika była beznadziejna. Nie mógł jej nic powiedzieć, bo przyjaciel obserwował ich przez całe czterdzieści pięć minut. Monika zwracała się do Billy'ego per panie Abbott, a on mówił do niej seniorita Hitzman. Kiedy posyłał jej piłki, których przeważnie nie odbijała, myślał: muszę ją jakoś zapytać, do czego zmierza; do El Faro nie mogła trafić przypadkiem.

Po południu o mało nie przegrał z Carmen. Była w nieznośnym nastroju i grała zaciekle.

Później, kiedy siedzieli sami w hotelowym barze, zapytał ją, co się stało.

- Czytałeś dzisiejszą gazetę?

- Nie.

- Na pierwszej stronie jest zdjęcie jednego z waszych admirałów otrzymującego odznaczenie z rąk Franco.

Billy wzruszył ramionami.

- Po to są admirałowie - powiedział. - Naprawdę nie mam nic przeciwko temu, że dostał medal. Przeszkadza mi, że w ogóle jest tutaj, on i jego statki, i nasze lotnictwo, i samoloty. Długo byłem w wojsku i jestem nastawiony sceptycznie do naszej użyteczności, gdyby doszło do konfrontacji.

Carmen przeszła go wzrokiem.

- A co byś chciał, żeby Rosjanie zaleli Europę?

- Gdyby chcieli zalać Europę, już by to zrobili. Mamy w Europie wystarczające siły, by dokuczać Rosjanom, ale niewystarczające, żeby im dać radę. Gdyby przyszło do wojny, walkę toczyłyby rakiety, nie ludzie na ziemi. Tych poświęcono by zaraz pierwszego dnia. Byłem właśnie w takiej naziemnej obsłudze i nie bardzo mi się to podobało.

- Szczęśliwa jestem - w głosie Carmen był sarkazm - że mam prywatnego amerykańskiego eksperta wojskowego, który może mnie uświadomić.

- To wszystko na pokaz - stwierdził Billy. Nie wiedział, dlaczego właściwie się z nią spiera. Pewnie dlatego, że ostatni set zakończył się wynikiem 8:6. A może po prostu zmęczony był wykładami o polityce, jakie robiły mu młode, przystojne kobiety. - Bazy rozsiane tu i ówdzie dają wojskowym możliwość poćwiczenia mięśni i wyciągnięcia od Kongresu większej ilości pieniędzy, żeby mogli rozbijać się wielkimi samochodami, i żyć tu pięć razy lepiej niż kiedykolwiek w Ameryce. - I zaraz, bardziej z chęci podrażnienia Carmen niż z przekonania, dodał: - Gdybyśmy rozebrali z mundurów wszystkich amerykańskich żołnierzy i wysłali ich do domu, żeby wykonywali jakąś pożyteczną robotę, byłoby to z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych, z Hiszpanami włącznie.

- Słabsi i leniwi zawsze znajdują wymówki dla swojej słabości i lenistwa. Na szczęście nie wszyscy Amerykanie są tacy jak ty. - Poglądy polityczne Carmen były skomplikowane. Nienawidziła i Franco, i komunistów, a teraz, jak się wydawało, nienawidziła Billy'ego w równym stopniu co amerykańskiego admirała. - Samo stacjonowanie tutaj jest moralne. Ale jeśli się jest Amerykaninem, niemoralne jest pozwalanie, by taki człowiek jak Franco przypinał na piersi medal. Gotowość do obrony kraju we własnym w końcu interesie to jedna sprawa, a pomoc w podtrzymywaniu reputacji obrzydliwego reżimu to inna sprawa. Gdybym była Amerykanką, pisałabym do Kongresu, do Departamentu Stanu, do prezydenta, do gazet listy protestacyjne. Jeśli chcesz zrobić coś pożytecznego, napisz przynajmniej list do „Herald Tribune”.

- Jak długo, twoim zdaniem, mógłbym tu pozostać, gdyby taki list kiedykolwiek opublikowano?

- Dwadzieścia cztery godziny - powiedziała Carmen. - Ale byłoby warto.

- Człowiek musi również jeść.

- Pieniądze - Carmen mówiła z pogardą. - Dla ludzi takich jak ty wszystko jest sprawą pieniędzy.

- Chciałbym ci przypomnieć, że nie mam bogatego ojca jak niektóre ze znanych mi osób.

- Nieładnie, że to mówisz. Przynajmniej jednego nie można powiedzieć o Hiszpanach: że odmierzają swoje życie na dolary i centy.

- Widzę tu dokoła paru całkiem bogatych Hiszpanów, którzy spędzają czas na robieniu coraz większej i większej ilości pieniędzy. Na przykład na kupowaniu gajów oliwnych i przerabianiu ich na pułapki dla turystów. Te wszystkie ogromne jachty w przystani nie należą do ludzi, którzy złożyli śluby ubóstwa.

- To tylko szumowina. Drobną część ludności. Pozbawiona ducha. Oni zrobią wszystko, co rozkaże Franco i jego zbrodniarze, żeby tylko zatrzymać swoje fincas, jachty, kochanki, podczas gdy reszta kraju umiera z głodu. Nienawidzę komunizmu, ale kiedy widzę, co robi w Hiszpanii przeciętny mężczyzna czy kobieta, żeby wyżywić rodzinę, mogę zrozumieć, dlaczego komunizm ich pociąga. Z rozpacz.

- Co chciałabyś zobaczyć? Nową wojnę domową? Jeszcze jeden milion zabitych? Krew płynącą ulicami?

- Jeżeli do tego dojdzie, winni będą twoi przyjaciele, właściciele jachtów. Oczywiście, że nie chcę tego widzieć. Chcę widzieć uczciwe, spokojne zmiany. Jeżeli możecie tego dokonać w Ameryce, dlaczego jest to niemożliwe tutaj?

- Nie jestem badaczem charakteru Hiszpanów, ale gdzieś słyszałem, że kiedy twoi współobywatele są rozbawieni, mogą się stać żądni krwi, okrutni i gwałtowni.

- Och, mam już dosyć takiego gadania - wykrzyknęła Carmen. - Czyż Hiszpania to tylko walki byków, biczownicy i ludzie biorący odwet za honor rodziny? Dlaczego nikt nie mówi, jak okrutni i gwałtowni są Niemcy jako rasa, po tym, co zrobili w Europie? Albo Francuzi po Napoleonie? Że nie wspomnę już o tym, co w swoim czasie zrobili Amerykanie, ty biedny, bezyteczny tenisisto!

W czasie tej rozmowy siedzieli w hotelowym barze i Carmen z pogardliwą miną podpisała rachunek za drinki.

- Widzisz, oszczędziłeś wydatek na cztery dżiny z tonikiem. Nie cieszysz się, że przyjechałeś do okrutnej i gwałtownej Hiszpanii i stałeś się lokajem bogaczy?

- Być może - odpowiedział urażony Billy - nie powinniśmy się więcej widywać. Znajdź sobie innego partnera do tenisa.

- Będziesz grał ze mną w tenisa, ponieważ za to dostajesz pieniądze. Jutro o tej samej porze. Wyszła z baru, pozostawiając Billy'ego samego w dużym, pustym pomieszczeniu. Boże, pomyślał, a ja uważałem, że ona się do mnie zaleca. Najpierw Monika ze swoimi bombami, a teraz ta.

Następnego ranka Monika sama przyszła na korty. Billy musiał przyznać, że wyglądała na prawdziwą tenisistkę, drobna i smukła, ze zgrabnymi nogami, ubrana w odpowiednio krótką spódniczkę, w przepasce podtrzymującej starannie uczesane włosy.

Kiedy wyszli razem na kort, Billy zapytał cicho:

- Monika, o co ci tym razem chodzi?

- Nazywam się seniorita Hitzman, panie Abbott - powiedziała zimno.

- Jeżeli chcesz pieniądze, które wziąłem do Paryża, i pozostałą... część paczki, mogę ci to przywieźć. Zajmie to trochę czasu, ale mogę załatwić...

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie Abbott.

- Och, daj spokój - Billy był poirytowany - z panem Abbottem. Nie nazywałaś mnie tak, kiedy pieprzyliśmy się przez całe popołudnia w Brukseli.

- Jeśli pan nie przestanie, panie Abbott, będę zmuszona poskarżyć się w dyrekcji, że traci pan cenny czas na rozmowy, zamiast robić to, co do pana należy... to znaczy, uczyć mnie grać w tenisa.

- Nigdy się nie nauczysz grać w tenisa.

- W takim razie - powiedziała spokojnie - będzie to dla pana jeszcze jedno niepowodzenie do rozpamiętywania na starość. Teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym zacząć lekcję.

Billy westchnął, przeszedł na drugą stronę kortu i zaczął wysokim łukiem posyłać piłki na jej raketę. Monika nie odbijała ich lepiej niż poprzedniego ranka.

Po skończonej lekcji powiedziała: „dziękuję, panie Abbott”, i zeszła z kortu.

Po południu pobił Carmen 6:0, 6:3, złośliwie posyłając jej na przemian piłki długie i krótkie, aż od biegania zaczerwieniła się jej twarz. Ona także zeszła z kortu wypowiadając jedno krótkie zdanie: „Grałeś jak eunuch.” Nie zaprosiła go na drinka.

Hiszpania, pomyślał, obserwując Carmen z rozwianymi jasnymi włosami idącą w stronę hotelu, staje się coraz mniej przyjemna.

Jadąc pociągiem z Londynu do Bath Wesley z przyjemnością oglądał przez okno pogodny zielony pejzaż angielskiej wsi. Po napięciu i niepewności, jakie stale odczuwał w Ameryce, spacerowanie po Londynie, gdzie nie znał nikogo i nikt niczego od niego nie oczekiwał, działało uspokajająco. Jadł obiad na stojąco przy barze i głos barmanki przypominał mu sposób mówienia Kate. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęskni. Dokończył kanapki, poszedł na stację i wsiadł w pierwszy pociąg do Bath. Kate powinna być zaskoczona jego widokiem. Przyjemnie zaskoczona, miał nadzieję.

Po przyjeździe do Batb wziął taksówkę, podał szoferowi adres i wygodnie oparty rozglądał się z zaciekawieniem po schludnych ulicach, a patrząc na wdzięczną zabudowę miasta myślał: nie ma wątpliwości, to lepsze niż Indianapolis.

Taksówka zatrzymała się przed niewielkim wąskim domkiem, pomalowanym na biało i stojącym w rzędzie takich samych niewielkich domków. Zapłacił taksówkarzowi i zadzwonił. Po chwili drzwi się otworzyły, stanęła w nich niska, siwa kobieta w fartuchu.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry pani. Czy Kate jest w domu?

- Kim pan jest?

- Wesley Jordach, proszę pani:

- Wielki Boże! - Kobieta uśmiechnęła się szeroko. Wyciągnęła rękę, którą Wesley uściskał. Była to szorstka dłoń pracującej kobiety. - Słyszałam o panu wszystko. Proszę wejść, chłopcze. Jestem matką Kate.

- Bardzo mi miło, pani Bailey - powiedział Wesley.

Drzwi prowadziły wprost do małego saloniku. W kojcu na podłodze raczkowało dziecko, gaworząc do siebie. - To twój brat, Wesley - powiedziała pani Bailey. Chociaż tylko przyrodni. Na imię ma Tom.

- Wiem - powiedział Wesley przyglądając się dziecku z zainteresowaniem. - Wygląda na miłego, zdrowego dzieciaka.

- Jest kochany. Przez cały dzień zadowolony. Zrobić ci filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję. Chciałbym zobaczyć się z Kate, jeśli jest w domu.

- Jest w pracy. Możesz tam do niej pójść. To „King's Arms Pub”.

Tylko parę przecnic stąd. Boże, ależ ona się ucieszy! Czy zostaniesz na kolacji?

- Zobaczę, jak wypadnie spotkanie z Kate. Hej, Tommy! - Wesley podszedł do kojca. - Jak sobie radzisz?

Dziecko uśmiechnęło się do niego i wydało gardłowy dźwięk. Wesley pochylił się nad kojcem i wyciągnął rękę. Malec usiadł, złapał go za palec i wstał chwiejnie, kiedy Wesley podnosił rękę. Zaśmiał się triumfalnie. Wesleya zdumiała siła trzymającej go małej rączki.

- Tommy, masz mocny chwyt.

Dziecko znów się roześmiało, puściło palec i opadło w tył, na pupę. Wesley patrzył na niemowlę, ogarnęło go dziwne, nie znane dotychczas uczucie czułości pomieszanej z niewyjaśnionym niepokojem. Teraz malec jest szczęśliwy. Może on sam w tym wieku też się czuł szczęśliwy. Zastanawiał się, jak długo będzie trwało to szczęście brata. Może zawsze,

skoro Kate jest jego matką?

- A teraz - zwrócił się do pani Bailey - gdyby pani zechciała mi powiedzieć, jak znaleźć ten bar...

- Pójdiesz w lewo i zobaczysz go na rogu trzeciej przecznicy. - Pani Bailey otworzyła drzwi wejściowe. Gdy tak stała obok Wesleya, sięgała mu zaledwie do ramienia, jej twarz była dobra i prosta. - Muszę ci powiedzieć, Wesley - zaczęła poważnie - że okres, jaki moja córka spędziła z twoim ojcem, był najwspanialszy w jej życiu.

Nigdy tego nie zapomni. Czy żądałabym zbyt wiele prosząc, żebyś mnie teraz uściskał?

Wesley otoczył ją ramionami, przytulił i pocałował w czubek głowy.

Kiedy się odsunęła, zauważył, że ma wilgotne oczy, chociaż się uśmiecha.

- Nie powinienesz czuć się u nas jak ktoś obcy - powiedziała.

- Wróć. Ktoś będzie musiał go nauczyć grać w baseball zamiast w krykieta, więc równie dobrze mogę to być ja.

Pani Bailey się roześmiała.

- Jesteś dobrym chłopcem. Dokładnie takim, jak mówiła Kate.

Stojąc w otwartych drzwiach obserwowała, jak Wesley skręcił w nasłonecznioną ulicę.

Bar „King's Arms” był niewielki, miał ściany wyłożone ciemną drewnianą boazerią, wysoko za barem umieszczono małe baryłki na sherry i porto. Dochodziła trzecia, pora zamykania. Przy małym, okrągłym stoliku drzemał stary mężczyzna nad kuflem piwa. Kiedy Wesley wszedł, Kate płukała szklanki, a mężczyzna w fartuchu ustawiał na półkach butelki piwa.

Wesley stanął przy barze i nic nie mówiąc czekał, aż Kate podniesie głowę znad zmywania. Po chwili zapytała:

- Co dla pana?

Wesley wyszczerzył do niej zęby.

- Wesley! - wykrzyknęła. - Jak długo tu stoisz?

- Piętnaście minut. Umierając z pragnienia.

- Naprawdę chciałbyś się napić piwa?

- Nie, chcę tylko popatrzeć na ciebie.

- Wyglądam okropnie.

- Nie. - Wyglądała prawie tak, jak ją zapamiętał, może nie była tak opalona, bardziej okrągła na twarzy i pełniejsza w biuście. - Wyglądasz pięknie.

Kate przyjrzała mu się z powagą.

- To nieprawda, ale miło to usłyszeć.

Zegar nad barem wybił trzecią i Kate zawołała:

- Zamykamy, panowie.

Stary człowiek przy stoliku obudził się, dopił piwo, wstał i wyszedł.

Kate wyszła zza baru, stanęła kilka kroków od Wesleya, żeby mu się przyjrzeć.

- Stałeś się mężczyzną - powiedziała.

- Niezupełnie.

Wtedy Kate pocałowała go i przez chwilę trzymała w ramionach.

- Cieszę się, że znowu cię widzę. Skąd wiedziałeś, jak mnie znaleźć?

- Byłem u ciebie w domu. Powiedziała mi twoja matka.

- Widziałeś małego?

- Tak. Zdumiewający.

- Nie jest zdumiewający, ale mnie wystarczy. - Wesley dostrzegł, że zrobiło jej to przyjemność. - Włożę tylko płaszcz, pójdziemy na długi spacer i opowiesz mi wszystko, co się u ciebie zdarzyło.

Kiedy wychodzili, Kate krzyknęła do mężczyzny za barem:

- Do szóstej, Ally.

Mężczyzna chrząknął.

- To ładne miasto - mówił Wesley idąc wolno w łagodnym słońcu.

Kate lekko trzymała go pod rękę. - Chyba przyjemnie tu mieszkać.

- Bath. - Kate wzruszyła ramionami. - Widziało lepsze dni. Wyższe sfery zwykły przyjeżdżać tu na sezon, korzystać z wód, i wydawać za mąż córki i grać. Teraz spotyka się tu przeważnie turystów.

Trochę jakby się mieszkało w muzeum. Nie wiem, gdzie teraz jeździ elita. Czy w ogóle jest jeszcze jakaś elita.

- Tęsknisz za Morzem Śródziemnym?

Kate puściła jego ramię i wpatrywała się przed siebie.

- Za pewnymi rzeczami tak. Za innymi absolutnie nie. Ale proszę cię, nie mówmy o tym. Lepiej powiedz, co u ciebie.

Zanim opowiedział jej, co robił w Ameryce, przeszli niemal przez całe niewielkie miasto. Kate ze smutkiem kręciła głową, kiedy mówił o Indianapolis; zamyśliła się słuchając o ludziach, z którymi rozmawiał na temat ojca, a kiedy powiedział o swojej roli w filmie Gretchen, zaczęła mu się przyglądać z czymś w rodzaju pełnego uszanowania lęku.

- Aktor. Kto by pomyślał? Masz zamiar dalej występować?

- Może później. Mam pewne sprawy do załatwienia w Europie.

- W jakiej części Europy? - Kate patrzyła na niego podejrzliwie. - Na przykład w Cannes?

- Jeśli musisz wiedzieć, to tak. Właśnie w Cannes.

Kate skinęła głową.

- Króliczek obawiał się, że w końcu dojdzie do tego.

- W końcu - powtórzył Wesley.

- Ja chciałabym się zemścić na całym tym pieprzonym świecie. Ale podaję drinki w barze. Zemsty trzeba w jakimś momencie zaniechać, Wesley.

- Zemstę trzeba również w jakimś momencie zacząć.

- A jeśli cię zabiją, kto pomści cię? - Głos Kate był chrapliwy, pełen goryczy.

- Ktoś inny będzie musiał to rozwiązać.

- Nie mam zamiaru spierać się z tobą. Jesteś zbyt podobny do ojca.

Nigdy nie mogłam z nim się spierać. Na żaden temat. Jeśli nic nie może cię powstrzymać, życzę ci jak najlepiej. Zrób to przynajmniej sprytnie. Przypuśćmy jednak, że to zrobisz, przypuśćmy nawet, że ujdzie ci to bezkarnie... a to już będzie dużo... co zrobisz dalej?

- O tym także myślałem. Za pieniądze ze spadku i za to, co zarobię w filmie, po kilku latach będę mógł może kupić statek, coś takiego jak „Klotylda”, i wynajmować...

Kate niecierpliwie pokręciła głową.

- Jesteś synem swojego ojca, ale nie możesz być swoim ojcem. Żyj własnym życiem, Wesley.

- To będzie moje własne życie. Myślałem nawet, że może zechciałabyś zostać moją współniczką i pływać ze mną. Kiedy będzie nas stać na kupienie jachtu, Tommy... - zająknął się wypowiadając to imię - będzie już na tyle duży, żeby zostawać na pokładzie i...

- Marzenia. Stare marzenia.

Do następnej przecznicy szli w milczeniu.

- Muszę ci coś powiedzieć, Wesley. Moich pieniędzy już nie ma.

Skończyły się.

- Skończyły? - powtórzył z niedowierzaniem. - Twój sposób życia...

- Znam swój sposób życia - powiedziała gorzko. - Żyję jak głupia.

Jest człowiek, który mówi, że chce się ze mną ożenić. Ma tutaj, w Bath, niewielkie własne przedsiębiorstwo przewozowe. Powiedział, że potrzebuje moich pieniędzy, żeby

uratować się przed bankructwem.

- I dałaś mu forszę?

Kate skinęła głową.

- Wydawało mi się, że jestem w nim zakochana. Musisz coś zrozumieć. Wesley. Nie jestem kobietą, która może żyć bez mężczyzny. Widuję się z nim prawie każdego popołudnia po zamknięciu baru. Dziś po południu miałam iść do niego, więc kiedy przyjdzie wieczorem i się dowie, że spędziłam ten czas z synem Toma, będzie cholernie wściekły. Kiedy przychodzi po mnie do domu, nawet nie spojrzy na małego...

- I ty chcesz wyjść za takiego człowieka?

- Nie był taki, dopóki nie stracił pieniędzy. Był po prostu wspaniały. W stosunku do mnie, do dziecka, mojej matki... - Kate westchnęła. - Jesteś młody, uważasz, że wszystko jest albo czarne, albo białe. Więc coś ci powiem. Dla kobiety w moim wieku, z moją rodziną, wykonującej przez całe życie nędzne zajęcia, nic nie jest łatwe. - Spojrzała na zegarek. - Dochodzi piąta. Staram się zawsze chociaż godzinę spędzić z Tommym przed wieczornym otwarciem baru.

W milczeniu szli z powrotem do domu matki Kate. Przed domem stał zaparkowany samochód, za kierownicą siedział mężczyzna.

- To on - powiedziała Kate. - Czeka, jest wściekły.

Kiedy Wesley i Kate podeszli do domu, mężczyzna wysiadł z samochodu. Był duży, tęgi, twarz miał czerwoną i pachniał alkoholem.

- Gdzie byłaś, do cholery? - wykrzyknął. - Czekam tu od trzeciej.

- Na spacerze z tym młodym dżentelmenem - powiedziała spokojnie Kate. - Harry, to jest Wesley Jordach. Przyjechał mnie odwiedzić.

Harry Dawson.

- Na spacerze, co? - Dawson zignorował prezentację. Mocno uderzył Kate. Stało się to tak szybko, że Wesley nie zdążył zareagować.

- Ja cię nauczę chodzenia na spacerki - wrzeszczał Dawson, i podniósł rękę.

- Chwileczkę, bracie - powiedział Wesley. Złapał mężczyznę za rękę i odepchnął go od Kate, która stała pochylona, zasłaniając obydwoma rękami twarz.

- Puść mnie, ty francowaty jankesie - powiedział Dawson, próbując uwolnić rękę.

- Wykonałeś już porcję bicia na dziś, mój panie - Wesley ramieniem odepchnął Dawsona jeszcze dalej. Dawson oswobodził rękę i mocno zdzielił Wesleya w czoło. Siła uderzenia o mało nie powaliła chłopca. Wesley wymamrotał coś, zamachnął się i trafił Dawsona prosto w usta. Dawson chwycił go i obydwaj upadli na bruk. Zanim Wesleyowi

udało się wsadzić Dawsonowi kolano w krocze i zająć się jego twarzą, oberwał jeszcze dwa ciosy w głowę. Wreszcie ciało Dawsona zwiotczało. Wesley stanął nad nim i dwukrotnie ze złością kopnął go w głowę.

Kate, która w czasie walki obydwu mężczyzn stała w milczeniu pochylona, teraz podbiegła do Wesleya, otoczyła go ramionami i odciągnęła od leżącego na ziemi Dawsona.

- Już wystarczy - krzyknęła. - Chyba nie chcesz go zabić?

- Właśnie to chcę zrobić - powiedział Wesley, drżąc z wściekłości.

Pozwolił jednak, by Kate odprowadziła go na bok.

- Nic ci nie zrobił? - pytała, ciągle trzymając go w ramionach.

- Nie, odpowiedział, choć czuł się tak, jakby dostał cegłą w głowę. - To nic wielkiego.

Już możesz mnie puścić. Nie dotknę twojego przekłętą przyjaciela.

- Wesley - Kate mówiła teraz szybko - musisz stąd pryskać. Wracaj zaraz do Londynu:

Kiedy on dojdzie do siebie...

- Nie zrobi już nikomu krzywdy. Dostał nauczkę.

- Rozprawi się z tobą - powiedziała Kate. - I nie sam.

Przyprowadzi kilku facetów ze swojej firmy. I nie przyjdą z gołymi rękami. Proszę cię, idź już...

- A ty?

- Nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie. Ale ty idź.

- Nie mogę znieść myśli, że zostawiam cię z tym nędznym, drańskim złodziejem, - Spojrzał na Dawsona, który zaczynał się poruszać, chociaż ciągle miał zamknięte oczy.

- On się już nigdy do mnie nie zbliży - powiedziała Kate. - Skończyłam z nim.

- Czy mówisz to, żeby się mnie pozbyć?

- Przysięgam, że to prawda. Jeśli kiedykolwiek spróbuje się do mnie zbliżyć, wezwę policję. - Pocałowała Wesleya w usta. - Do widzenia, Tommy.

- Tommy? - Wesley roześmiał się.

Kate również się roześmiała, podświadomym gestem podnosząc rękę do twarzy.

- Zbyt dużo się dzisiaj zdarzyło. Uważaj na siebie, Wesley. Przykro mi, że zostałeś w to zamieszany. A teraz idź już.

Wesley spojrział na Dawsona, który próbował usiąść i nieprecyzyjnymi ruchami macał zakrwawione usta. Wesley przyklęknął obok niego na jednym kolanie i brutalnie złapał go za krawat. - Słuchaj, ty małpo - mówił z twarzą blisko napuchniętego ucha Dawsona - jeśli kiedykolwiek się dowiem, że ją tknąłeś, wrócę po ciebie. I wtedy to, co dostałeś dzisiaj, wyda ci się zabawą. Rozumiesz?

Dawson wybełkotał coś niezrozumiale pokaleczonymi wargami. Ciągłe trzymając Dawsona za krawat, Wesley uderzył go w twarz. Rozległ się suchy i głośny trzask. Podnosząc się, Wesley usłyszał, jak Kate głęboko wciągnęła powietrze.

- Koniec rozdziału - powiedział. Pocałował Kate w policzek i odszedł nie oglądając się za siebie. Głowa go jeszcze bolała, szedł jednak lekkim krokiem i czuł się coraz lepiej, a gdy wspomniął bójkę, wydawało mu się, że jest pogodzony ze światem.

Także w pociągu, przez całą drogę do Londynu, był we wspaniałym nastroju.

Billy grał właśnie z Carmen, tym razem bez złośliwości, kiedy pojawił się młody człowiek o włosach blond, w niebieskich dżinsach i z plecakiem. Przez chwilę stał przyglądając się grze, potem zdjął plecak i usiadł na trawie za kortem, żeby wygodnie obserwować. Podróżnych z plecakami nieczęsto widywano w El Faro, toteż Billy przyłapał się na tym, że z ciekawością zerka na młodego mężczyznę. Twarz przybysza miała wyraz poważny i pełen zainteresowania, choć nie objawiał ani aprobaty, ani dezaprobaty, kiedy Billy czy Carmen odbili szczególnie dobrą piłkę lub popełnili błąd.

Billy zauważył, że Carmen była również zaciekawiona i też co chwila rzucała spojrzenia na obserwatora siedzącego na trawie.

- Wiesz, kto to jest, ten chłopiec? - zapytała, kiedy zmieniali korty między partiami.

- Nigdy go nie widziałem - powiedział Billy wycierając ręcznikiem czoło.

- To i tak lepsze od tej Hitzman - powiedziała Carmen. Monika zazwyczaj pojawiała się przy korcie chwilę po czwartej, kiedy Billy i Carmen zaczynali codzienną partię, i obserwowała ich grę.

- W tej kobiecie jest coś dziwnego. Jakby nie interesowała się tenisem, tylko nami. I to w niezbyt przyjemny sposób.

- Daję jej lekcję każdego ranka - powiedział Billy, przypominając sobie, że kiedy ojciec poznał Monikę w Brukseli, również zauważył w niej coś dziwnego. - Może postanowiła obserwować grę.

Wkrótce skończyli seta, którego Billy wygrał stosując ortodoksyjne, nie eunuchowate piłki.

- Dziękuję - powiedziała Carmen, wkładając sweter. - Tym razem było nieźle. - Nie zaprosiła go do hotelu na drinka, a mijając młodego człowieka na trawie, uśmiechnęła się do niego. Nie odpowiedział jej uśmiechem, zauważył Billy. Tego popołudnia Billy nie miał już żadnych lekcji, toteż włożył sweter i właśnie schodził z kortu, gdy młodzieniec podniósł się i zapytał:

- Czy pan Abbott?
 - Tak. - Billy był zaskoczony, że młody człowiek zna jego nazwisko. Absolutnie nie wyglądał na kogoś, kto może sobie pozwolić na lekcje tenisa w El Faro.
 - Jesteśmy kuzynami. Wesley Jordach.
 - Ach, tak. Wiele o tobie słyszałem. - Uścisnęli sobie ręce. Billy zauważył, że ręka kuzyna była twarda i mocna, ręka człowieka pracującego.
 - Ja też sporo o tobie słyszałem.
 - Coś korzystnego?
 - Niespecjalnie. - Wesley się uśmiechnął. - Ostro grasz w tenisa.
 - Aktualny mistrz wcale się tym nie przejmuje - powiedział Billy, choć komplement sprawił mu przyjemność.
 - Ta dziewczyna też nie najgorsza, co?
 - W dobrej formie - powiedział Billy.
 - Nie tylko pod tym względem. Jest też bardzo piękna.
 - Pozory - powiedział Billy. Od czasu kłótni o admirała sposób, w jaki traktowała go Carmen, sprawiał mu przykrość.
 - Całkiem wystarczające. Masz tu niezłą pracę, jeżeli wszyscy, z którymi grasz za pieniądze, tak wyglądają.
 - Nie wyglądają. Gdzie mieszkasz?
 - Nigdzie. Jestem w drodze.
 - A co cię tu sprowadza?
 - Ty - powiedział rzeczowo Wesley.
 - Pomyślałem, że w końcu dobrze byłoby się przekonać, jak wygląda drugi mężczyzna z pokolenia Jordachów.
 - I co myślisz?
 - Masz doskonały serwis i grasz jak szatan przy siatce. - Roześmieli się obydwaj.
 - Nieźle zaczynasz - powiedział Billy. - Słuchaj, marzę o piwie. Napijesz się ze mną?
 - Do usług - powiedział Wesley podnosząc plecak.
- Kiedy szli w stronę hotelu, Billy stwierdził, że chłopak mu się podoba, nawet jeśli zazdrości mu wzrostu i wyraźnej siły, z jaką zarzucił plecak na ramiona.
- Mój... nasz wuj Rudolf powiedział, że znałeś mojego ojca - zaczął Wesley.
 - Widziałem go tylko raz, kiedy byłem dzieckiem. Przez jedną noc spaliśmy w tym samym pokoju w domu babki.
 - Jak ci się podobał? - Ton Wesleya był zdawkowy.

- Bardzo. Wszyscy przy nim wydawali się mięczakami. Pomyślałem wtedy, że chciałbym prowadzić taki tryb życia jak on: walki, morze, te wszystkie podróże. A poza tym - Billy uśmiechnął się - nie sypiał w pizamie. Wszyscy, których znałem, zawsze spali w pizamie. Chyba stało się to dla mnie jakimś wariackim symbolem swobodnego sposobu życia...

Wesley się roześmiał.

- Musiałeś być niezwykłym dzieckiem.

- Nie takim znowu niezwykłym - powiedział Billy, kiedy weszli do baru i zamówili dwa piwa.

Carmen siedziała przy stoliku z ojcem. Spojrzała na nich z zaciekawieniem, ale nie uczyniła żadnego gestu powitania czy nawet rozpoznania.

- I tak się złożyło - mówił Billy, kiedy pili piwo - że nigdy nie stoczyłem walki, nigdy się nie włóczyłem i zawsze spałem w pizamie. - Wzruszył ramionami. - Jeszcze jedna rzecz zrobiła na mnie wrażenie. Twój ojciec miał rewolwer. Bracie, kiedy to zobaczyłem, pomyślałem, że przynajmniej jedna osoba w rodzinie jest do rzeczy. Nie wiem, co on z nim zrobił.

- Nic - powiedział Wesley. - Kiedy był mu potrzebny, nie miał go w zasięgu ręki.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Bardzo mi przykro, Wesley - powiedział ciepło Billy. - Z powodu tego, co się stało.

- Tak - powiedział Wesley.

- Jakie są twoje plany? - zapytał Billy. - To znaczy, na przyszłość.

- Nie mam jeszcze żadnych sprecyzowanych planów. Zobaczą, co się objawi.

Billy miał wrażenie, że Wesley doskonale wiedział, czego chce, tylko unikał odpowiedzi.

- Matka pisze, że jej zdaniem masz wielką przyszłość jako aktor filmowy.

- Jestem gotów na propozycje, ale jeszcze nie teraz. Poczekam i zobaczą, jak wypadnie film.

- Matka pisze, że rozpatruje się wysłanie filmu do Cannes na tegoroczny festiwal.

- To dla mnie nowina. Ale cieszę się ze względu na nią. Twoja matka jest naprawdę kimś. Jeśli nie masz mi za złe, że się mieszam, to ci powiem, że chyba już najwyższy czas, żebyś zaczął być dla niej miły. Gdyby była moją matką, zrobiłbym dla niej wszystko. Jeśli rzeczywiście film wyślą do Cannes, może dobrze byłoby ją tam odwiedzić?

- To jest myśl - mówił Billy w zadumie. - Czy ty byś pojechał?

- Tak. Mam jeszcze inne sprawy w Cannes.

- Może moglibyśmy pojechać razem? Kiedy to będzie?

- W maju. Pod koniec miesiąca.

- Mniej więcej za sześć tygodni. To dobra pora na podróż.

- A możesz się stąd wyrwać?

Billy się uśmiechnął:

- Słyszałeś kiedyś o tenisowym łokciu?

- Tak.

- Czuję, że mnie to właśnie spotka. Przypadek paralizujący, którego wyleczenie będzie wymagało co najmniej dwóch tygodni kompletnego wypoczynku. Co będziesz robił do tej pory?

Wesley wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Gdyby nie robiło ci to różnicy, pokręciłbym się tutaj przez jakiś czas. Może wziąłbym od ciebie kilka lekcji tenisa. Może popracowałbym parę tygodni w porcie.

- Potrzebujesz forsy?

- Nie jestem jeszcze całkiem goły, ale trochę forsy by mi się przydało.

- Chłopak, który pracował tutaj na basenie... czyścił, wyciągał materace itede, czasem pełnił funkcję ratownika, odszedł dwa dni temu. Umiesz pływać?

- Dość dobrze.

- Chcesz żebyśmy zapytał, czy ta robota jest aktualna?

- To mogłoby być zabawne.

- W moim pokoju są dwa łóżka. Mógłbyś mieszkać ze mną.

- Nie masz dziewczyny?

- W tej chwili nie. I na razie, o ile wiem, nic się nie pojawi na horyzoncie.

- Nie chciałbym ci przeszkadzać.

- Po to właśnie są kuzyni, żeby sobie wzajemnie przeszkadzać.

Następnego dnia Wesley rozpoczął pracę na basenie. Wieczorami, przy światłach, Billy uczył go gry w tenisa. Wesley był bardzo szybki i miał wrodzone uzdolnienia sportowe, toteż wkrótce odbijał piłkę mocniej niż ktokolwiek na kortach. Grał z zapamiętaniem, twarz miał napiętą, oczy zwięzione, a piłki uderzał tak, jakby się rozprawiał z nieprzyjaciółmi. Wprawdzie stałe postępy Wesleya napępiały Billy'ego dumą, ale czasami czuł się niewyraźnie, obserwując trzeźwe okrucieństwo, z jakim Wesley grał, toteż miał ochotę mu powiedzieć: „Pamiętaj, to tylko gra.” Miał niepokojące odczucie, że nic w życiu młodego

kuzyna nie było tylko grą.

Billy'ego cieszyła obecność Wesleya i wkrótce się przekonał, że kuzyn jest idealnym współlokatorem; utrzymywał wszystko w nienagannym porządku, jak na statku, co po bałaganiarstwie Moniki stanowiło przyjemną odmianę. Kierownik hotelu, zadowolony z pracy Wesleya, gratulował swemu instruktorowi, że znalazł takiego pracownika. Kiedy Billy przedstawił Wesleya Carmen, jej zachowanie także uległo zmianie i wkrótce zaczęła zapraszać ich obydwu na kolację do jednej z małych restauracyjek w porcie, ilekroć ojca nie było w hotelu. Wobec Carmen Wesley zachowywał się poważnie i elegancko, a Billy spostrzegł, że dziewczyna, która do niedawna niewiele czasu poświęcała pływaniu, teraz spędzała prawie całe upalne poranki na basenie. Kiedy Billy powiedział jej, że jego matka reżyserowała film, w którym grał Wesley, Carmen zaczęła nawet okazywać umiarkowany respekt dla opinii Billy'ego, a kiedy w mieście grano film, który chciała zobaczyć, zabrała z sobą ich obydwu. Lubiła makabryczne filmy ze smutnym zakończeniem i lubiła z kina wychodzić zapłakana.

Najważniejsze jednak było to, że po drugim tygodniu lekcji Monika oświadczyła, że kończy już swoją tenisową edukację, ponieważ następnego ranka wyjeżdża.

- Ale - dodała zimno, wręczyszy mu hojny napiwek - jeszcze wrócę - chociaż nie powiedziała mu kiedy. - Czekamy na następne spotkanie - oświadczyła, nie sprecyzowała jednak, co znaczy owo my.

- Nie chcesz się dowiedzieć, co się zdarzyło na ulicy Du Gros-Caillou? - zapytał Billy, kiedy zbierała swoje rzeczy.

- Wiem, co się zdarzyło na ulicy Du Gros-Caillou - powiedziała. - Zginął niewłaściwy człowiek. Wśród wielu innych.

- Próbowałem do ciebie zadzwonić - mówił Billy.

- Nie zostawiłeś swojego adresu - powiedziała. - Nie popełniaj więcej tego błędu. Masz zamiar zostać w tym nędznym kraju do końca życia jako półetatowy instruktor tenisowy?

- Jeszcze nie wiem, jakie mam zamiary.

- Gdzie poznałeś tego chłopca z basenu?

- Przyszedł tu po prostu pewnego dnia - skłamał Billy. Nie powiedział nikomu, że Wesley jest jego kuzynem, i nie chciał, żeby chłopak miał do czynienia z taką kobietą jak Monika.

- Nie wierzę ci - powiedziała spokojnie Monika.

- Nic na to nie poradzę.

- On ma taką dobrą twarz - powiedziała. - Silną i namiętą.

Pewnego dnia muszę sobie z nim porozmawiać.

- Trzymaj się z dala od niego.

- Nie przyjmuję od ciebie żadnych poleceń. Pamiętaj o tym.

- Pamiętam o tobie wiele rzeczy. Niektóre wspaniałe. A jak ostatnio z twoją pamięcią?

- Źle, bardzo źle. Dzięki, że miałeś tyle cierpliwości na korcie, choć nie na wiele się to zdało, prawda?

- Nie. Jesteś beznadziejna.

- Spodziewam się, że osiągniesz większe sukcesy z innymi uczniami.

Na przykład z tą hiszpańską dziewczyną. Ile ci płaci, żebyś był jej żigolakiem? Czy w Hiszpanii potrzebna jest w tym zawodzie karta związkowa?

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich bzdur od nikogo - powiedział ze złością Billy.

- Może będziesz musiał się do tego przyzwyczaić, chłopcze, po kilku latach gry.

Adios, Johnny!

Billy obserwował, jak się oddalała. Ręce mu drżały kiedy chował do kieszeni napiwek od Moniki i brał rakieta, żeby zacząć następną lekcję. Mimo wszystko nie mógł się pozbyć nadziei, że dziewczyna się odwróci, podejdzie do niego, poda mu numer swego pokoju i poprosi, żeby przyszedł po północy.

W dwa tygodnie później Wesley pisał list przy biurku w ich pokoju, a Billy ubierał się na przyjęcie. Miało to być flamenco party ze specjalnie na tę okazję wynajętą grupą Cyganów i gości, proszono o ubranie się w stroje hiszpańskie. Billy kupił koszulę z falbankami i pożyczył od jednego z członków orkiestry czarne obcisłe spodnie, marynarkę bolero i buty na wysokich obcasach. Wesley również był zaproszony, ale powiedział, że zajmie się raczej pisaniem listów.

Poza tym twierdził, że czułby się jak głupiec w takim przebraniu jak Billy.

Tego ranka dostał od Gretchen list, w którym pisała, że „Komedie restauracji” wybrano na festiwal w Cannes. Prosiła, żeby Wesley przyjechał rozdawać ukłony i dzielić z nią sławę. Miał przyjechać także Rudolf i Dawid Donnelly. Frances Miller, jako gwiazda filmu, spróbuje pokazać się chociaż na trzy dni. Zapowiadają się interesujące dwa tygodnie. Gretchen cieszy się, pisała, że Wesley wreszcie poznał Billy'ego, że się polubili, i zastanawia się, czy Wesley nie mógłby wpłynąć na Billy'ego, żeby także przyjechał do Cannes.

- Słuchaj - zaczął Wesley, kiedy Billy wbijał się właśnie w buty muzyka. - Piszę do twojej matki. Chciałaby, żebyśmy obaj przyjechali do Cannes. Co mam jej napisać?

- Napisz - Billy zawahał się, mając jeden but na nodze i mocując się z drugim -

napisz... a zresztą, dlaczego nie?

- Będzie zadowolona - powiedział Wesley.

- Co, do diabła - Billy założył właśnie drugi but i wstał. - Myślę, że raz na dziesięć lat można zrobić przyjemność własnej matce. Jak wyglądam?

- Śmiesznie.

- Tak właśnie myślałem - powiedział nie spieszący Billy. - No to idę do Cyganów, tralalala. - Wykonał taneczne pas i obaj się roześmieli.

- Baw się dobrze - powiedział Wesley.

- Jeśli nie wrócę do rana, to znaczy, że zostałem porwany. Wiesz, jacy są Cyganie. Nie płac więcej niż trzynaście i pół dolara okupu.

Wyszedł pogwizdując arię torreadora z Carmen.

Cyganie okazali się cudowni, gitara i kastaniety burzyły krew, muzyka i śpiew były pełne smutku i utajonej pasji, tańce dumne i dzikie, a wina pod dostatkiem. I znów, podobnie jak po przekroczeniu granicy hiszpańskiej, Billy poczuł, że znalazł się we właściwym kraju.

Czemu zaprzeczać, myślał kiedy dokoła rozbrzmiewała muzyka, dziewczęta z różami we włosach unosiły spódnice i zalotnie zbliżały się do partnerów tylko po to, żeby ich odepchnąć w ostatnim momencie ze stukiem wysokich obcasów, czemu zaprzeczać, że przyjemności bogatych są naprawdę przyjemne. Przez większą część wieczoru Carmen siedziała obok niego, olśniewająca w ciemnej sukni, która wspaniale podkreślała jej cudowne ramiona i krągłe piersi. Billy widział, że oczy dziewczyny błyszczały z podniecenia. Daleko to odbiegało od potańcówek w college'u w Whitby i Billy był szczęśliwy, że ma już za sobą pokonanie tej całej odległości.

Jeden z tancerzy podszedł do Carmen i wyciągnął ją z miejsca.

Tańczyła radośnie i bardzo dobrze. Tak dobrze, myślał Billy, jak zawodowa tancerka. Jej jasne włosy powiewały, twarz przybrała tradycyjnie pogardliwy wyraz. Cokolwiek myślała na temat Hiszpanii, zastanawiał się Billy, hiszpańska muzyka potraçała w niej jakąś silną, rasową strunę. Taniec się skończył i Billy wraz z resztą gości bił głośno brawo. Carmen, zamiast usiąść, podeszła do niego i wyciągnęła go na parkiet. Przy akompaniamencie powszechnego śmiechu i klaskania Billy zaczął tańczyć naśladowując ruchy tancerzy. Był dobrym tancerzem, poruszał się prawie tak samo jak Cyganie, drwiąc równocześnie z własnego tańca. Carmen podchwyciła ten ton i roześmiała się głośno w połowie jednego z najśmielszych pas. Po skończonym tańcu pocałowała go, chociaż po twarzy Billy'ego obficie spływał pot.

- Muszę ochłonać - powiedział. Wyjdźmy na chwilę.

Nie zwracając niczyjej uwagi wyszli na taras. Niebo było zachmurzone i ciemne, chmury co chwila zasłaniały księżyc.

- Byłeś wspaniały - powiedziała Carmen.

Billy wziął ją w ramiona i pocałował.

- Później - wyszeptał - chciałbym przyjść do twojego pokoju.

Przez chwilę trwała nieruchomo w jego uścisku, po czym go odsunęła.

- Mogę z tobą tańczyć, grać w tenisa i sprzeczać się. Ale nigdy nie przysłoby mi do głowy, żeby się z tobą kochać.

- Ale patrzyłaś na mnie tak...

- To była zabawa - powiedziała wycierając z pogardą usta. - Tylko zabawa. Nic więcej. Gdybym miała ochotę kochać się z kimkolwiek w tym parszywym miejscu, wybrałabym tego chłopaka z basenu.

- Rozumiem. - Głos Billy'ego był chrapliwy ze złości i rozczarowania. - Czy chcesz, żebym mu to powiedział?

- Tak - zgodziła się beczelnie.

- Zrobię to. Zawsze do usług, madame.

- Mieszkam w pokoju nr 301. Zapamiętasz?

- Aż do śmierci.

Carmen się roześmiała. Ale nie był to przyjemny śmiech.

- Muszę wracać - powiedziała. - Ludzie zauważyli, że wyszliśmy razem. Jak wiesz, to zacofany kraj, przywiązujemy ogromną wagę do pozorów. Wracasz ze mną?

- Nie. Mam wiadomość do przekazania. A potem pójdę spać.

- Przyjemnych snów - powiedziała, odwróciła się i odeszła.

Billy wolno szedł w stronę swojego pokoju, w nocnym wietrze pot oblewający jego ciało zrobił się nagle zimny i chłopaka ogarnęły dreszcze. Uważaj na seniority, napisał ojciec. Stary poczciwy papa wiedział, co mówi.

Kiedy Billy wszedł do pokoju, Wesley już spał. Spał niespokojnie, rzucał się gwałtownie, szarpiąc pościel i pojękując od czasu do czasu, jakby nocą opanowywał go jakiś niemożliwy do wykorzenia niepokój, którego w ciągu dnia nie odczuwał lub który ukrywał.

Billy stanął przy łóżku i zaczął się wpatrywać w nowego kuzyna, nie bardzo wiedząc, czy się nad nim lituje, kocha go czy nienawidzi.

O mało nie zaczął się rozbierać, żeby położyć się na sąsiednim łóżku, pozostawiając

Wesleya jego smutnym snem, kiedy pomyślał: co, do diabła, w końcu wszystko zostanie w rodzinie, i obudził chłopca.

Wesley usiadł na łóżku przerażony.

- O co chodzi? - zapytał.

- Wróciłem właśnie z przyjęcia i mam dla ciebie nowiny. Jeśli pójdziesz do pokoju 301, będzie tam na ciebie czekała kobieta. Na imię ma Carmen. Prosiła mnie osobiście, żebym ci to przekazał.

Teraz Wesley obudził się już całkowicie.

- Wyglupiasz się!

- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie.

- Dlaczego, do diabła, ona mówi takie rzeczy?

- Na twoim miejscu nie zadawałbym żadnych pytań. Mówiłeś mi: jaka ona jest piękna. Gdyby chodziło o mnie, chwyciłbym okazję, kiedy jest tego warta.

- Nie kocham jej - powiedział Wesley. Robił wrażenie rozdrażnionego i nieszczęśliwego, jak mały chłopiec, któremu po raz pierwszy kazano wypełnić nieprzyjemny obowiązek. Billy zdał sobie sprawę, że jest między nimi siedem lat różnicy.

- To rozgrywka między dorosłymi osobami. Miłość nie zawsze jest tu sprawą pierwszej wagi. Idziesz?

Wesley usiadł na brzegu łóżka, pochylony. Sypiał tylko w spodniach od piżamy, mięśnie jego torsu lśniły w blasku lampy, którą Billy zapalił wchodząc do pokoju. Wyglądał jak bokser, pomyślał Billy, który wie, że w następnej rundzie zostanie znokautowany.

- Nie chcę, żebyś wziął mnie za głupca - powiedział Wesley - ale nie mogę tego zrobić. Kocham kogoś innego. Wspaniałą dziewczynę w Nowym Jorku. Za kilka tygodni będzie się starała przyjechać do Europy, żeby się ze mną zobaczyć. Nie dbam o to, co ta pani o mnie pomyśli - w jego głosie było wyzwanie. - Czekam na swoją dziewczynę.

- Możesz tego później żałować - ostrzegł Billy.

- Nigdy. Ty też uważasz, że jest piękna, znasz ją dużo lepiej ode mnie, dlaczego sam nie idziesz?

- Ta pani dała do zrozumienia, że nie byłaby zadowolona widząc mnie w pokoju 301.

- Chryste, kto by przypuszczał, że ta pani wybierze kogoś takiego jak ja!

- Może lubi artystów filmowych.

- To nie jest temat do żartów - powiedział poważnie Wesley. - Nie jestem artystą filmowym, i ona o tym wie.

- Jestem po prostu obrzydliwy. No dobrze, spełniłem obowiązek.

Teraz idę do łóżka.

- Ja też. - Wesley spojrział na skłębioną pościel. - Co tu się dzieje! Zawsze rano łóżko wygląda, jakbym w nocy odbył dwadzieścia rund. - Trochę uporządkował koce i położył się z uniesionymi ramionami i rękami pod głową. - Pewnego dnia - mówił, kiedy Billy się rozbierał - może będę wiedział, jak traktować miłość, seks i podobne drobiazgi.

- Nie licz na to - powiedział Billy kładąc się do łóżka. - Śpij dobrze. Miałeś wspaniały wieczór i potrzebujesz odpoczynku.

- Tak - powiedział kwaśno Wesley. - Zgaś to przekłete światło.

Billy wyciągnął rękę i zgasił lampę. Przez dłuższy czas nie próbował zamykać oczu wpatrując się w ciemny sufit. Po pięciu minutach usłyszał równy oddech śpiącego Wesleya i cichutkie jęki, które wydawał w momentach, gdy opanowywały go sny. Billy nie spał, dopóki światło brzasku nie zalało pokoju. W oddali ciągle jeszcze słychać było dźwięki muzyki. Uroki Hiszpanii, pomyślał, pieprzone uroki Hiszpanii.

Następnego dnia punktualnie o czwartej Carmen pojawiła się na korcie pogodna i wypoczęta. Tego popołudnia grali debla, inni gracze byli już na miejscu, więc Carmen powitała wszystkich, łącznie z Billym, tym samym promiennym uśmiechem. Chociaż pozostałymi partnerami byli mężczyźni, grali słabiej od Carmen, toteż ona i Billy grali w przeciwnych parach. Carmen grała dziś lepiej niż kiedykolwiek przedtem, zwinna i dokładna, wyłapując piłki przy siatce. Billy i jego partner musieli ciężko zapracować na każdy punkt. Było po cztery kiedy po długim rajdzie Carmen puściła loba nad głową Billy'ego. Kiedy się cofał na pełnej szybkości, dostrzegł jej ironiczny uśmiech, ale wyskoczywszy do góry zdążył dosięgnąć piłkę. Uderzył mocno znad głowy, chcąc posłać piłkę do stóp Carmen, ale ona rzuciła się do siatki i piłka śmignęła w jej stronę. Carmen potknęła się, a piłka uderzyła ją w oko i wytoczyła się z kortu. Carmen, upuściwszy raketę, pochyliła się z krzykiem, zakrywając rękami oko.

O Boże, pomyślał Billy, przeskakując przez siatkę, tylko tego mi było trzeba.

Lekarz był poważnie zaniepokojony. Oko jest w niebezpieczeństwie, powiedział. Carmen musi natychmiast jechać do Barcelony poradzić się specjalisty. Może zaistnieć konieczność operacji.

- Bardzo mi przykro - powiedział Billy, wioząc ją z gabinetu lekarza do hotelu.

- Nie masz powodu - odpowiedziała lakonicznie, chociaż wiedział, że cierpi. - To nie była twoja wina. Nie powinnam być przy siatce.

Próbowałam cię zahipnotyzować, żebyś przepuścił tę piłkę. Nie pozwól sobie wmówić, że to twoja wina.

Billy pochylił się i pocałował ją w policzek. Tym razem nie odepchnęła go.

Billy wiedział jednak, że to była jego wina. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie wydarzenia ostatniej nocy, nigdy nie posłałby Carmen tak silnej piłki z tak małej odległości.

Następnego dnia kierownik hotelu wezwał go do swojego biura.

- Młody człowieku - zaczął. - Obawiam się, że wpadłeś. Właśnie dzwonił do mnie ojciec tej panny. Z okiem prawdopodobnie wszystko będzie dobrze, specjalista sądzi, że obejdzie się bez operacji, ale ojciec jest wściekły. Jeśli chodzi o mnie, to nie płacę panu za maltretowanie gości. Stary nalega, żebym pana zwolnił, i chociaż dzwoniła do mnie również córka mówiąc, że jeśli to zrobię, nigdy mi nie wybaczy, obawiam się, że będę musiał ugiąć się przed życzeniem ojca. Niech pan lepiej spakuje swoje rzeczy i wyjeżdża.

Im prędzej, tym lepiej. - Kierownik wyjął z szuflady biurka kopertę i wręczył ją Billy'emu. - Tu jest miesięczna pensja. Nic panu nie potrącam.

- Dziękuję - powiedział pokornie Billy.

Kierownik pokręcił głową.

- Przykro mi, że pan odchodzi. Był pan tu bardzo lubiany.

Idąc w stronę basenu, by opowiedzieć wszystko Wesleyowi, Billy przypomniał sobie, co mówił ojciec na temat szczęścia Jordachów.

Nie miało znaczenia, że nie nazywał się Jordach, tylko Abbott.

Tego samego popołudnia byli już w drodze do Francji; jechali w słońcu otwartym Peugeotem. Billy próbował przekonać Wesleya, że głupio robi rzucając pracę, ale Wesley uparł się, więc Billy nie nalegał zbyt mocno. Polubił chłopca, toteż perspektywa wspólnej podróży przez wiosenne pejzaże Hiszpanii i Francji była kusząca.

Jechali wolno, zwiedzając zabytki i zatrzymując się na lunch, złożone z kiełbasy, razowego chleba i butelki wina, przy drodze, w cieniu oliwkowych gajów lub na skraju winnic. Mieli z sobą piłki i rakiety, i niemal każdego dnia udawało im się znaleźć w którymś z mijanych miast kort tenisowy i rozegrać kilka setów.

- Jeżeli tak dalej pójdzie - mówił Billy - za dwa lata pobijesz mnie.

W miarę posuwania się na północ, Billy zdawał sobie sprawę, że cieszy się z wyjazdu z El Faro, choć nigdy nie opuści go poczucie winy że doszło do tego w taki właśnie sposób. Żał mu było wyjeżdżać z Hiszpanii, ale nie żałował, że nie musi już się codziennie zastanawiać, czy Monika przyjdzie dręczyć go swoją beznadziejną grą w tenisa i

zawołowanymi groźbami przyszłych komplikacji.

Wesley mówił teraz znacznie bardziej otwarcie o tym, co robił, o ludziach, którzy znali ojca, a których odszukał. Wspomnił Billy'emu o swojej wizycie w Bath, napominając ledwie o Kate i pomijając milczeniem Dawsona i bójkę; opisał natomiast czule przyrodniego brata.

- Śliczny dzieciak - mówił. - Silny jak młody byk. Myślę, że jak dorośnie, będzie podobny do swojego ojca, do naszego ojca. To naprawdę szczęśliwy chłopak.

- Ty nie sprawiasz wrażenia szczęśliwego - powiedział Billy. - Jesteś młody, silny, przystojny i jak mówi moja matka, gdybyś tylko chciał, masz przed sobą wspaniałą karierę, a nie zachowujesz się jak szczęśliwy chłopak.

- Jestem wystarczająco szczęśliwy - odpowiedział wymijająco Wesley.

- Nie wtedy, kiedy śpisz. Czy wiesz, że jęczysz właściwie co noc?

- Sny. To nic nie znaczy.

- Psychiatrzy są innego zdania.

- A ty jakiego jesteś zdania? - Głos Wesleya nagle stał się chrapliwy.

- Powiedziałbym, że coś cię dręczy. Coś złego. Może dobrze byłoby, gdybyś o tym porozmawiał.

- Może innym razem. Na razie zostawmy ten temat.

Pierwszą noc we Francji spędzili w małym hoteliku nad morzem, tuż za granicą, w Port Vendres.

- Przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł - zaczął Billy. - Mamy być w Cannes dopiero za dwa tygodnie. Może wyskoczmy do Paryża na krótkie wakacje?

Wesley pokręcił głową.

- Nie. Ja muszę jechać do Cannes. Unikałem tego, ale teraz już nadeszła pora.

- Dlaczego?

Wesley popatrzył na Billy'ego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Muszę się zobaczyć z Króliczkiem. On był ze mną na „Klotyldzie”.

Teraz jest w Saint-Tropez. Może mieć dla mnie wiadomość. Ważną wiadomość. Ty jedź do Paryża, a ja pojedę autostopem na wschód.

- Jaka to wiadomość? - zapytał Billy.

Wesley znów popatrzył na niego dziwnie.

- Szukam kogoś, a Króliczek może wiedzieć, gdzie go znaleźć. To wszystko.

- Czy ten ktoś nie może poczekać dwa tygodnie?

- Czekaj już za długo.

- Kto to jest?

- Człowiek, który ponosi odpowiedzialność za moje sny. Śni mi się co noc. Śni mi się, że dźgam go raz po raz nożem, a on nie upada, po prostu stoi i śmieje się ze mnie... Kiedy się budzę, jeszcze słyszę jego śmiech.

- Czy poznajesz go? - zapytał Billy. - Znaczący, we śnie.

Wesley skinął głową.

- To człowiek, który kazał zabić mojego ojca.

Ton głosu Wesleya wywołał skurcz u nasady szyi Billy'ego.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy go znajdziesz?

Wesley głęboko zaczerpnął powietrza.

- W końcu muszę to komuś powiedzieć, więc równie dobrze mogę powiedzieć tobie.

Zamierzam go zabić.

- Chryste! - jęknął Billy.

Siedzieli w milczeniu patrząc na morze.

- Jak to zrobisz? - zapytał wreszcie Billy.

- Nie wiem. - Wesley wzruszył ramionami. - Coś wymyślę, jak przyjdzie pora. Może nożem.

- Czy masz broń?

- Nie.

- A on będzie miał?

- Chyba tak.

- Zabije cię.

- Postaram się tego uniknąć - powiedział ponuro Wesley.

- A jeśli uda ci się go sprzątnąć - kontynuował Billy - staniesz się dla glin pierwszym podejrzanym. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Chyba tak - przyznał Wesley.

- Będziesz miał szczęście, jeśli cię skazają na dwadzieścia lat więzienia. Chcesz tego?

- Nie.

- Ale nadal chcesz jechać do Cannes i to zrobić?

- Tak.

- Słuchaj, Wesley. Nie mogę pozwolić, żebyś na oślep atakował swoje przeznaczenie.

Musisz się zgodzić, żebym ci pomógł.

- W jaki sposób?

- Po pierwsze, mam ukryty w Paryżu rewolwer z tłumikiem.

Wesley z powagą skinął głową.

- To się może przydać.

- Mogę ci pomóc zaplanować całą sprawę. To... morderstwo. - Billy zająknął się na tym słowie. - W końcu byłem szkolony jako żołnierz. Mówię po francusku znacznie lepiej od ciebie. Umieję się obchodzić z bronią. A teraz powiem ci coś, co musisz zatrzymać przy sobie. Kiedy byłem w wojsku, dołączyłem w Brukseli do komórki terrorystów.

- Ty? - zapytał z niedowierzaniem Wesley.

- Tak ja. Brałem udział w akcji w Amsterdamie. Chodziło o hiszpańskie biuro turystyczne. Umieję złożyć bombę. Synu, nie mógłbyś znaleźć lepszego partnera. Powiem ci, co zrobię - kontynuował Billy. - Kiedy pojedziesz do Saint-Tropez, ja skoczę do Paryża, wezmę rewolwer i spotkamy się, gdzie będziesz chciał, w Saint-Tropez albo w Cannes. Zgoda?

Wesley badawczo przyjrzał się Billy'emu.

- Nie nabierasz mnie?

- Och, Wesley, daj spokój. - Billy był zatroskany. - Nie zrobiłbym czegoś takiego. Co masz do stracenia? Za kilka dni będę z powrotem na południu. Z rewolwerem. I wystarczającą ilością amunicji, żebyś się nauczył z nim obchodzić. Czy to brzmi jak nabieranie?

- Chyba nie - Przyznał Wesley, ale jakby niechętnie. - Dobra. Dasz mi znać, gdzie się zatrzymałeś w Paryżu, ja zadzwonię i powiem ci, gdzie się spotkamy.

- Myślę, że dobrze by nam zrobił drink - powiedział Billy.

- Ja też tak myślę.

Następnego dnia pojechali razem do Nimes, a tam Billy miał skręcić na północ, do Paryża. Billy siedział w milczeniu za kierownicą, w cieniu topoli, kiedy Wesley wyciągnął z samochodu plecak i zarzucił go sobie na ramię. Umówili się, że Billy przyśle mu telegram na poste restante w Saint-Tropez i poda nazwę hotelu, w którym się zatrzyma w Paryżu.

- Uważaj na siebie - powiedział Wesley.

- I ty też. Nie zrobisz żadnego głupstwa, dopóki nie wrócę, co?

- Nie. Obiecuję. - Uścisnęli sobie ręce. - Będzie mi brakowało tenisa.

Billy się roześmiał.

- Pamiętaj - powiedział - że we francuskich więzieniach bardzo rzadko grają w tenisa.

- Zapamiętam. - Wesley cofnął się o krok.

Billy zapuścił silnik i pomachał ręką, kiedy samochód, jakby stworzony do wakacji i

słońca, wyjechał z cienia topoli. W lusterku wstecznym widział szczupłą, wysoką sylwetkę zmierzającą w stronę Cannes.

Zaraz po przyjeździe do Paryża i zainstalowaniu się w hotelu na lewym brzegu, Billy zatelefonował do Ameryki. Kiedy Rudolf podniósł słuchawkę, Billy powiedział:

- Wuju Rudolfie, tu Billy Abbott. Jestem w hotelu „Alembert” w Paryżu. Potrzebuję pomocy. Bardzo. Coś strasznego może się przytrafić Wesleyowi, a pewno i mnie, jeżeli nie...

- Urwał.

- Jeśli co nie, Billy? - zapytał Rudolf.

- Jeśli nie zatrzymamy pewnych wydarzeń. Nie mogę mówić przez telefon.

- Będę jutro w Paryżu - powiedział Rudolf.

- Boże, co za wspaniałe słowa.

Zmęczony położył się na łóżku i w minutę później już spał.

ROZDZIAŁ IX

- A teraz - powiedział Rudi do Billy'ego, kiedy skręcili na autostradę prowadzącą z lotniska do Paryża - wytłumacz mi wszystko.

- Chodzi o Wesleya - zaczął Billy. Prowadził ostrożnie. Był wieczór, padał deszcz i światła zapóźnionych samochodów odbijały się w mokrej powierzchni jezdni. - Teraz jest na południu Francji i szuka człowieka, który, jak mówi, jest winien morderstwa. - Billy przekreślił kierownicę, żeby zjechać na prawy pas, bo kierowca za nim niecierpliwie mrugał światłami. Samochód przemknął obok, tryskając fontanną wody, która na chwilę zasłoniła przednią szybę.

- Drań - powiedział Billy, zadowolony, że chociaż przez moment może się zająć czymś innym.

Rudolf przesunął kapelusz na tył głowy i przejechał ręką po czole, jakby chcąc złagodzić ból.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał przytłumionym głosem.

- Powiedział mi. Bardzo zżyliśmy się w Hiszpanii. Cieszyłem się, że staliśmy się przyjaciółmi. Mieszkał ze mną w pokoju. Sypiał tak, jakby się skrył w lisiej norze, a strzały artyleryjskie zbliżały się coraz bardziej. Widziałem, że coś go gnębi, martwiło mnie to, więc w końcu go zapytałem i powiedział mi.

- Myślisz że mówił poważnie?

- Jak najbardziej. W jego repertuarze nie ma żartów. Nawet sposób, w jaki gra w tenisa, ma w sobie coś przerażającego. Nie jest podobny do żadnego chłopaka, jakiego kiedykolwiek znałem. Zresztą do żadnego mężczyzny także.

- Czy on jest zupełnie zdrowy?

- Poza tym tak.

- Myślisz, że psychiatra mógłby coś pomóc?

Billy zastanawiał się przez chwilę.

- Nie zaszkodziłby. Gdyby mógł sprawić, żeby przez rok chłopak posiedział spokojnie. Tylko że to się nie uda.

Rudolf chrząknął.

- Dlaczego nie zostałeś z nim? - W jego głosie brzmiało oskarżenie.

- No... - zaczął zmieszany Billy. - To inna część tej historii.

Powiedziałem, że mu pomogę.

- W jaki sposób?

Billy niezręcznie przesunął się na siedzeniu i zmienił położenie ręki na kierownicy.

- Powiedziałem, że wymyślę jakiś sposób wspólnego wykonania tej roboty, jakiś sposób, żeby to zrobić i nie dać się złapać. Z moim wojskowym przeszkoleniem i tak dalej.

- Czy ty jesteś zupełnie zdrowy? - Głos Rudolfa był ostry.

- Zawsze mi się tak zdawało.

- Czy rzeczywiście miałeś zamiar dotrzymać słowa?

- Tak naprawdę to nie wiem - powiedział tępo Billy. - Ale chyba teraz tak myślę. Nie musisz mówić jak policjant przesłuchujący więźnia.

Rudolf wykonał gest pełen desperacji.

- Dwaj głupcy, jak dwa jabłka z tego samego drzewa.

- Wszystko w rodzinie. - Billy'ego dotknęła ocena Rudolfa. - Witaj w mieście głupców, oddział europejski, wuju.

- Dlaczego siedzisz w Paryżu, kiedy on tam na wybrzeżu pakuje się w nie wiadomo jakie kłopoty? - W głosie Rudolfa w miarę mówienia narastał gniew.

- Powiedziałem mu, że mam w Paryżu rewolwer z tłumikiem i że go przywiozę - wyjaśnił Billy.

- Naprawdę masz rewolwer z tłumikiem?

- Tak.

- Psiakrew, Billy, w co ty się, u diabła, wmieszałeś przez te ostatnie lata?

Billy znów poruszył się niespokojnie na siedzeniu.

- Wolałbym o tym nie mówić. Będzie lepiej dla ciebie i dla mnie, jeżeli nie będziesz wiedział.

Rudolf westchnął.

- Czy policja cię szuka?

- Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedział Billy, zadowolony, że musi patrzeć na drogę i nie może zobaczyć wyrazu twarzy wuja.

Rudolf zmęczonym ruchem potarł twarz, przesunięcie ręką po nie ogolonym policzku wywołało niemal lekki chrobot.

- Lepiej daj mi ten rewolwer.

- Obiecywałem Wesleyowi, że przywiozę broń za dzień lub dwa.

- Słuchaj, Billy - Rudolf starał się nie podnosić głosu - prosiłeś, żebym przyjechał ci pomóc. Wsiadłem w najbliższy samolot. Albo zrobisz tak, jak mówię, albo... - urwał.

- Albo co?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Gdzie dokładnie jest teraz Wesley? Dzisiaj. W tej

chwili.

- W Saint-Tropez. Uzgodniliśmy, że wyślę mu telegram żeby wiedział, gdzie mnie znaleźć w Paryżu, i umówimy się, gdzie i kiedy spotkamy się na południu.

- Wysłałeś telegram?

- Dziś rano.

- Po co ten pośpiech? Dlaczego nie poczekałeś na mój przyjazd? Może byłoby lepiej, gdyby nie wiedział, gdzie cię znaleźć?

- I tak jest wobec mnie wystarczająco podejrzliwy - powiedział Billy na swoją obronę.

- Jeżeli nie wykonam mojej części umowy, zaczniesz na własną rękę, i to będzie koniec Wesleya Jordacha.

- Może masz rację. Może. Dzwonił już do ciebie?

- Nie.

- W porządku. Kiedy zadzwoni, nie mów mu, że jestem w Europie. I powiedz, że odzyskanie tego przeklętego rewolweru zajmie więcej czasu, niż myślałeś.

- A co to da?

- Da mi trochę więcej czasu, żeby coś załatwić - powiedział ze złością Rudolf. - I tobie też przyda się trochę czasu, żeby pomyśleć. A teraz nie mów nic przez chwilę. Jestem otepiały po podróży, chcę na chwilę zamknąć oczy i mam nadzieję, że albo na mnie, albo na ciebie spłynie jakieś olśnienie, czy chociaż jakiś jeden pożyteczny pomysł, zanim dojedziemy do hotelu.

Zanim powiedzieli sobie dobranoc, Rudolf przypomniał:

- Pamiętaj, że chcę mieć jutro ten rewolwer. I jedno jest pewne:

Wesley nigdy go nie zobaczy.

- To użyje noża albo pałki, albo może nawet zrobi to gołymi rękami - powiedział Billy. - Nie wiesz, jaki on jest.

- To prawda. I przykro mi, że teraz się dowiaduję.

- Słuchaj - zaczął Billy - jeśli naprawdę nie chcesz się w to mieszać, spróbuję sam sobie poradzić. Zawsze możesz zapomnieć o tym, co ci powiedziałem.

Rudolf w zamyśleniu przyglądał się Billy'emu, jakby rozważając zalety zapomnienia i wady pamiętania, potem potrząsnął głową i powiedział:

- Być może to ja powinienem odszukać Danovica. Dawno temu. Tylko że do dzisiejszego wieczora nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Nie, nie uważam, żeby zapomnienie było rozwiązaniem. Dobranoc, Billy. Jeśli będziesz miał w nocy jakiś pomysł, zadzwoń. Chyba i tak nie będę spał.

Znów potarł rękami twarz i wolno, ciężkim krokiem poszedł w stronę windy.

Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jaki on jest stary, pomyślał Billy, kiedy drzwi windy otworzyły się i zamknęły za jego wujem.

Następnego ranka zjedli razem śniadanie w jadalni hotelowej.

Rudolf był mizerny, miał worki pod oczami, jadł w milczeniu, pijąc jedną filiżankę kawy za drugą.

- Weźmiesz ten... przedmiot dziś po południu - powiedział w końcu - i oddasz go mnie.

- Czy jesteś pewien, że chcesz... - zaczął Billy.

- Jednej rzeczy jestem pewien - warknął Rudolf - nie chcę już żadnych dyskusji na ten temat.

- W porządku. Ty jesteś szefem - mówiąc to Billy odczuł ulgę; odpowiedzialność nie spoczywała już na nim.

Do jadalni wszedł recepcjonista i zbliżył się do Billy'ego.

- Telefon do pana, panie Abbott - powiedział po francusku. - W kabinie hallu.

- Dziękuję. - Billy wstał. - To pewnie on - powiedział do Rudolfa.

- Nikt inny nie wie, że tu jestem.

- Tylko sprytnie rozmawiaj - poradził Rudolf. - Żeby wszystko brzmiało prawdopodobnie.

- Postaram się. Ale jeśli chodzi o tego chłopaka, niczego nie gwarantuję. - Billy wyszedł z jadalni. Przechodząc przez hall poczuł nagle w ustach gorzki smak wypitej kawy. Wszedł do kabiny i podniósł słuchawkę.

- Billy - głos Wesleya był cieniutki - czy możesz rozmawiać?

- Niezupełnie.

- Jestem w „Les Pinedes” w Saint-Tropez. Kiedy przyjedziesz?

- Obawiam się, Wesley, że dopiero za kilka dni. Mam trochę kłopotów z odzyskaniem tego - nagle wydało mu się, że jego własny głos brzmi fałszywie.

- Jakiego rodzaju kłopoty? - zapytał chrapliwie Wesley.

- Powiem ci, jak się spotkamy.

- Będziesz to miał czy nie?

- Będę miał na pewno. Ale potrzebuję trochę czasu.

- Co to znaczy trochę czasu?

- Cztery, pięć dni.

- Jeżeli nie przyjedziesz za pięć dni, jadę do Cannes. Sam. Czy rozumiesz, co mówię?

- Zachowaj spokój, Wesley. Robię, co mogę.

- Myślę, że grasz na zwłokę.

- Nie gram na zwłokę. Po prostu wypłynęły pewne sprawy.

- Akurat! - Wesley odwiesił słuchawkę.

Billy powoli wracał do jadalni.

- Jest w „Les Pinedes” w Saint-Tropez - powiedział siadając przy stoliku. - Nie był uszczęśliwiony. Dał mi pięć dni.

Rudolf skinął głową.

- Nie powiedziałaś mu, że tu jestem?

- Nie.

- Dziś wieczorem wsiądę w pociąg do Antibes - powiedział Rudolf. - Nie chcę przechodzić przez kontrolę na lotnisku. Jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować, będę w „Colombe d'Or” w Saint-Paul-de-Vence.

- Czy wymyśliłeś coś przez noc? - zapytał Billy...

- Być może - odpowiedział ponuro Rudolf.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie. Jak ty powiedziałeś wczoraj: wolałbym nie. Będzie lepiej dla ciebie i dla mnie, jeśli nie będziesz wiedział.

- Jesteśmy wspaniałą rodziną, jeśli chodzi o sekrety, co?

- Do pewnego stopnia. - Rudolf podniósł się. - Mam zamiar nacieszyć się dziś Paryżem. Może nawet pójde do Luwru. Spotkamy się tutaj o piątej. Nie zrób tymczasem żadnego głupstwa.

- Postaram się - powiedział Billy. - Do piątej.

Po rozstaniu się z wujem Billy wziął taksówkę i pojechał do banku na rogu ulicy St-Dominique. Nie chciał, żeby ktokolwiek zauważył kabriolet Peugeot i zapisał numery rejestracyjne. Zabrał ze sobą torbę tenisową i kiedy urzędnik w skarbcu przekreślił obydwa klucze i wrócił do biurka, Billy wsunął do torby rewolwer, zapas naboju i resztę z dziesięciu tysięcy franków. Potem wrócił na górę, powiedział urzędnikowi, że rezygnuje z sejfu, i oddał swój klucz.

Wziął taksówkę z powrotem do hotelu. Torbę tenisową położył na łóżku. Siedział patrząc na nią aż do piątej.

W porannym słońcu południa Rudolf wysiadł z pociągu w Antibes. Na dworcu czekał

na niego samochód zamówiony w agencji Hertza.

Podpisując formularze przyciskał jedną nogą zamkniętą na klucz torbę.

Kiedy przyjechał do „Colombe d'Or”, sam wniósł torbę do hotelu i zameldowawszy się w recepcji, szedł za portierem, który niósł jego bagaż do pokoju.

Po wyjściu portiera zatelefonował do adwokata w Antibes i umówił się na jedenastą w jego biurze. Ogolił się i wziął kąpiel, w wannie nawet się trochę zdrzemnął. W Nowym Jorku była teraz druga w nocy, odczuwał tę zmianę czasu. Poruszał się sennie, zakładając czystą bieliznę, potem zadzwonił, żeby przysłano mu do pokoju kawę. Był to ten sam pokój, w którym mieszkał przedtem. Jeanne odwiedzała go tutaj i wspomnienie tych spotkań obudziło dawne pożądanie. Wydobył kawałek papieru i napisał: „Kochana Jeanne, jestem znów w naszym hotelu i zastanawiam się, czy masz czas”.

Przerwał pisanie i zgniółł kartkę. Upłynęło zbyt wiele czasu. To już nie ma sensu.

O dziesiątej trzydzieści zamknął torbę, zszedł do wynajętego samochodu i powoli pojechał do Antibes.

Adwokat czekał na niego przy dużym, błyszczącym stole, a w oknie za nim widać było niebieskie, oświetlone słońcem morze.

- Czy można tu bezpiecznie rozmawiać? - zapytał Rudolf siadając na krześle.

- Absolutnie - odpowiedział adwokat.

- Chodzi mi o to, czy nie ma w biurku magnetofonu.

- Jest - przyznał adwokat - ale nie włączony. Używam go tylko na życzenie klienta.

- Mam nadzieję, że nie poczuje się pan dotknięty, mecenasie, ale wolałbym, żeby pan postawił magnetofon na biurku. Obaj bylibyśmy pewni, że nie nagrywa.

Twarz starego człowieka wykrzywiła się.

- Jak pan sobie życzy - powiedział zimno. Otworzył szufladę i postawił z boku biurka niewielki aparat.

Rudolf wstał, żeby obejrzeć magnetofon. Nie był włączony.

- Dziękuję, mecenasie - powiedział i usiadł ponownie. - Byłbym również wdzięczny, gdyby pan nie robił żadnych notatek, ani teraz, ani po moim wyjściu.

Stary człowiek skinął głową.

- Żadnych notatek - powtórzył.

- Przychodzę tu w bardzo delikatnej sprawie - zaczął Rudolf. - Chodzi o bezpieczeństwo mojego bratanka, syna brata, który został zamordowany.

Stary człowiek znów skinął głową.

- Smutna sprawa - powiedział. - Spodziewam się, że rany jakoś się zagoiły.

- Jakoś - powiedział Rudolf.

- I że - kontynuował adwokat - masa spadkowa została podzielona przy minimalnych... ee... zadrażnieniach.

- Maksymalnych - sprostował ponuro Rudolf.

- Niestety. Jak to w rodzinie.

- Mój bratanek jest na południu Francji. Nie wie o mojej obecności w tym kraju i wolałbym, żeby na razie nie dowiedział się o tym.

- W porządku.

- Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, jak odszukać Danowica.

- Aha. - Stary człowiek spoważniał.

- Ma zamiar go zabić.

Stary człowiek zakasłał, jakby coś utkwilo mu w gardle. Wyciągnął dużą białą chustkę i wytarł usta.

- Przepraszam. Teraz wiem, co pan miał na myśli, mówiąc, że sprawa jest delikatna.

- Nie chcę, żeby on kiedykolwiek znalazł Danovica.

- Rozumiem pana sytuację - powiedział adwokat. - Nie rozumiem tylko, w jaki sposób ja mogę panu pomóc.

Rudolf odetchnął głęboko.

- Problem byłby rozwiązany, gdyby Danovic został zabity, powiedzmy, innymi sposobami, zanim mój bratanek się dowie, gdzie przebywa.

- Rozumiem - adwokat się zamyślił. Znów zakasłał i znów wyjął chustkę. - A w jaki sposób, pana zdaniem, ja mogę pomóc w osiągnięciu tego pożądanego celu?

- W swoim czasie musiał pan, mecenasie, prowadzić sprawy członków milieu tu, na wybrzeżu...

Adwokat skinął głową.

- W swoim czasie - powiedział miękko - tak.

- Gdyby skontaktował mnie pan z człowiekiem, który wie, gdzie można znaleźć Danovica, i którego można by namówić, by podjął się tego zadania, gotów byłbym zapłacić bardzo dobrze za jego... hm... usługi.

- Rozumiem - powiedział prawnik.

- Oczywiście - dodał Rudolf - gotów byłbym przekazać również znaczną sumę na pana szwajcarskie konto za pańskie usługi.

- Oczywiście - powiedział adwokat. Westchnął. Rudolf nie wiedział, czy westchnienie to dotyczyło ryzyka, jakie miał ponosić, czy znacznej sumy na szwajcarskim koncie.

- Należałoby to załatwić bardzo szybko - powiedział. - Chłopiec jest niecierpliwy i szalony.

Adwokat skinął głową.

- Rozumiem pana, panie Jordach, ale zdaje pan sobie sprawę, że nie jest to coś, co można załatwić w jeden wieczór, jeżeli w ogóle można...

- Gotów jestem wydać dwadzieścia tysięcy dolarów - powiedział twardo Rudolf.

Adwokat znowu zakasłał. I znów wytarł usta chusteczką.

- Nigdy w życiu nie paliłem - powiedział niemal z rozdrażnieniem - a jednak kaszel mnie przesładuje. - Obrócił się na krześle i spojrzał na spokojne morze, jakby mógł tam znaleźć sensowną odpowiedź na kłopotliwe pytanie.

Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała cisza. Rudolf ze smutkiem zastanawiał się nad tym, co robił. Popełniał czyn nieczny. Przez całe życie wierzył w dobroć i moralność i oto teraz popełniał nieczny czyn. Ale po co to robił? Żeby zapobiec gorszemu złu.

Moralność, tak jak wiele innych szlachetnych słów, może być pułapką, pomyślał. Pytanie polega na tym, co jest ważniejsze: zasady czy własna rodzina? Rudolf odpowiedział na to pytanie, w każdym razie na własny użytek. Może później będzie musiał cierpieć z tego powodu.

Adwokat przerwał ciszę i nie odwracając się do Rudolfa powiedział:

- Zobaczę, co się da zrobić. Mam nadzieję, że uda mi się skomunikować z dżentelmenem, którego ewentualnie mogłoby to zainteresować, i skontaktuję go z panem. Chyba rozumie pan, że dla mnie będzie to początek i koniec tej sprawy.

- Rozumiem. - Rudolf podniósł się z krzesła. - Zatrzymałem się w „Colombe d'Or” w Saint-Paul-de-Vence. Czekam na telefon.

- Niczego nie obiecuję, drogi panie - powiedział adwokat. - Obrócił się na krześle i siedząc plecami do morza uśmiechnął się blado do Rudolfa. - Mówiąc szczerze wolałbym, żeby udało się panu namówić bratanka do zaniechania tego brutalnego planu.

- Ja też bym wolał. Ale wątpię, czy mi się to uda.

Adwokat posepnie skinął głową.

- Młodzi ludzie... - powiedział. - Dobrze, zrobię, co będę mógł.

- Dziękuję. - Rudolf wstał. Kiedy wychodził z gabinetu, adwokat znów patrzył na morze. Nie podali sobie ręki na pożegnanie.

Siła pieniędzy, myślał Rudolf jadąc wzdłuż portu. Gdyby Hamlet miał floreny, czy zapłaciłby Rosencrantzowi i Guildensternowi za sprzątnięcie stryja?

Po przyjeździe do „Colombe d'Or” zadzwonił do hotelu „Alembert” w Paryżu. Na

szczęście zastał Billy'ego. Rudolf nie wiedział, że Billy opuścił hotel tylko raz, poprzedniego dnia, żeby udać się do banku.

- Billy - zaczął Rudolf - istnieje cień nadziei. Nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi, i nie pytaj o to... teraz... ani nigdy.

Musimy tylko zyskać na czasie. Postaraj się uspokoić Wesleya. Czy słyszysz mnie dobrze?

- Zbyt dobrze - powiedział Billy. - A co mam robić, żeby go uspokoić?

- Pojedź do Saint-Tropez piątego dnia. Wymyśl jakąś historię, jesteś mądrym facetem...

- Tak mówią - powiedział bezbarwnie Billy.

- Po prostu nie odstępuj go na krok. Nie chcę, żeby nam zniknął z pola widzenia. Przez cały czas musimy wiedzieć, gdzie on jest.

Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedział bez entuzjazmu Billy.

- Jeżeli to będzie konieczne, powiesz mu, gdzie jestem. Wolałbym, żeby nie wiedział, ale jeżeli się to okaże jedynym sposobem powstrzymania go, włączę się w tę operację. I informuj mnie na bieżąco.

- Na jak długo mam go zatrzymać?

- Jak długo będzie trzeba.

- To przyjemna, okrągła cyfra.

- Bez dowcipów, proszę - powiedział ponownie Rudolf. - Ja wykonuję swoją część, a ty swoją.

- Rozkaz. Następne dni spędzę na wymyślaniu jakiejś historyjki.

- Dobry chłopiec.

- Ale czy ten szaleniec w to uwierzy, to inna sprawa.

- Powodzenia! - Rudolf odwiesił słuchawkę.

„Klotylda” zakotwiczona była w porcie Saint-Tropez, niedaleko jachtu, na którym pływał Króliczek. Wesley z Króliczkiem poszli popatrzeć na nią, chociaż Króliczek bardzo się temu sprzeciwiał.

- Już dosyć się napatrzyłeś na ten statek - mówił.

- Nie martw się, Króliczku. Nie wybuchnę łzami ani nie pobiję nikogo. To był jedyny dom, w jakim kiedykolwiek czułem się dobrze.

Po prostu spojrzę na „Klotyldę” i przypomnę sobie czasy, kiedy był na niej mój stary.

Od tej pory widziałem już wiele bardziej przygnębiających widoków... - Wesley spędzał dni i noce oczekiwania na Billy'ego włócząc się po portach Saint-Tropez i Cannes, zaglądając do nocnych lokali. Nie mógł zapytać Króliczka, czy Danovic jest gdzieś w pobliżu, bo Króliczek zaraz zacząłby go uspokajać. Nie mógł też spytać o Danovica nikogo innego, bo nie mógł dopuścić żeby Danovic czy policja dowiedzieli się, że on go szuka; mógł jednak sam się rozglądać. Rozglądał się i nie znalazł tego człowieka, był jednak pewny, że po jakimś czasie Danovic gdzieś wypłynie. Czasu miał dosyć. To dziwne, ale pobyt w porcie w okresie zastoju, mniej więcej na miesiąc przed rozpoczęciem sezonu uspokoił go. Sypiał nawet lepiej, a niespokojne sny, które dręczyły go od tak dawna, jakoś nie powracały.

Kiedy doszli do miejsca, gdzie przycumowana była „Klotylda”, zatrzymali się, patrząc na nią bez słowa. Jacht wyglądał staromodnie i komfortowo, Wesley odczuł zadowolenie stwierdziwszy, że jest czysty i dobrze utrzymany. Sprawiłoby mu przykrość, gdyby statek był brudny i zaniedbany.

- Dbają o nią, co? - powiedział do Króliczka.

- To Niemcy, tu można jeść z pokładu. Chcesz wejść i się rozejrzeć? Zainstalowali automatycznego pilota.

Wesley potrząsnął głową.

- Nie. To mi wystarczy. Cieszę się, że ją widziałem, ale to mi wystarczy.

Wrócili na jacht i Króliczek przyrządził na kuchence duszoną rybę.

Mieli jeść we trójkę, bo Króliczek dogadał się z dziewczyną, która pracowała w jednym ze sklepów w porcie i jadła z nim codziennie lunch. Była to ładna, nieduża, ciemnowłosa dziewczyna, mówiła zupełnie nieźle po angielsku, a Króliczek szalał za nią. O ile Wesley zdołał się zorientować, ona też za nim szalała. Czasami przychodziła na jacht po pracy i spędzała z Króliczkiem noc.

Wesley zauważył, że Dwyer powoli zatracił swoje kobiece ruchy.

Króliczek i dziewczyna mówili o małżeństwie i zaokrętowaniu się jako para na jakiś większy statek. Wesley stwierdził, że Króliczek nie tylko przejął niektóre gesty Toma, ale również świadomie czy nieświadomie dążył do takiego życia, jakie prowadzili wspólnie Tom i Kate.

To także sprawiło Wesleyowi przyjemność, uznał, że był to hołd złożony zaletom jego ojca, hołd ze strony człowieka, który znał go lepiej niż ktokolwiek inny. Rekompensowało to wiele, wiele rzeczy, które Wesley słyszał o ojcu od Teddy'ego Boylana i od Schultzy'ego w hebrajskim domu starców w Bronksie.

Lunch z butelką zimnego wina był dobry. Wesley prosił Króliczka o zachowanie w

tajemnicy, że gra w filmie, który ma być pokazywany w Cannes, ale kiedy dziewczyna - miała na imię Nadine - zapytała Wesleya, jaki jest jego zawód, Króliczek nie wytrzymał:

- On jest, cholera, aktorem filmowym! Jak ci się to podoba? Mój stary kumpel!

No cóż, jeśli to poprawi sytuację Króliczka w oczach dziewczyny, to nie ma sprawy, pomyślał Wesley.

- Naprawdę? - Nadine patrzyła na Wesleya z niedowierzaniem.

- Niestety, tak. Po premierze może się okazać, że jestem eks-aktorem filmowym.

- Czy wy się obydwaj nabijacie ze mnie?

- Możesz sama zobaczyć - powiedział Króliczek. - On jest gwiazdą filmu, którą będą pokazywać na festiwalu.

- Nie gwiazdą - zaprotestował Wesley. - To niewielka rola.

Nadine przyjrzała mu się z bliska.

- Tak myślałam. Jesteś zbyt przystojny, żeby być po prostu nikim.

- To nie ma żadnego znaczenia. W głębi duszy jestem po prostu marynarzem.

- Pracuje ze mną pewna dziewczyna, moja najlepsza przyjaciółka, ona szaleje na punkcie kina, jest bardzo ładna, może przyprowadzę ją na kolację?

- Będę w Saint-Tropez krótko - powiedział niezręcznie Wesley.

Alice obiecała, że postara się przyjechać do Europy co najmniej na dwa tygodnie, nie chciał więc się wystawiać na pokusy jakiejś cholernie ładnej Francuzki.

- Ona mówi dobrze po angielsku - nalegała Nadine.

- Naprawdę mam dziś wieczorem spotkanie. - Dziś upływał piąty dzień i Wesley chciał być w hotelu, jeżeli Billy w ogóle się pojawi.

- A może jutro wieczorem? - Nadine była uparta.

- Jutro wieczorem będę prawdopodobnie w Cannes. Może innym razem.

- Czy wracasz tu z Cannes po festiwalu? - zapytała Nadine.

- To zależy - odpowiedział Wesley.

- Ona właśnie zerwała ze swoim chłopcem. Mógłbyś akurat ją pocieszyć.

- Nie bardzo się nadaję do pocieszania. Zapytaj Króliczka.

- On jest poważnym chłopcem - wtrącił Króliczek. - Jemu samemu by się przydało, żeby go ktoś pocieszył.

- Jeśli przyjedziemy do Cannes, czy mógłbyś nam załatwić bilety na ten film? - pytała Nadine.

- Chyba tak. Zawiadomię Króliczka, gdzie się zatrzymam. - Chryste, myślał Wesley, trzeba mi tylko dwóch Francuzek uwieszonych na szyi, kiedy natknę się na tego skurwysyna

Danovica.

- Ale nie zapomnisz? - dopytywała się Nadine, zbierając się do powrotu do sklepu.

- Nie zapomnę - skłamał Wesley.

Nadine ucałowała Króliczka i obaj obserwowali ją po chwili, jak zwinnie szła po nabrzeżu, pulchna, nieduża dziewczyna o tanecznych ruchach.

- Co o niej myślisz? - zapytał Króliczek. Do tej pory nie zadał takiego pytania.

- Bardzo ładna.

- Czy myślisz, że jest zbyt niepoważna, żeby mogła być dobrą żoną?

- pytał z niepokojem Króliczek.

- Myślę, że to wspianiała dziewczyna, Króliczku. - Wesley w żaden sposób nie chciał być odpowiedzialny za tak poważną decyzję, jaką dla Króliczka było małżeństwo. - Ale ja jej prawie nie znam.

- Coś ci powiem. Z twoim wyglądem i z tym, czego się nauczyłeś od ojca, a jeszcze teraz, kiedy jesteś aktorem filmowym, założę się, że wiesz o kobietach sto razy więcej niż ja. To nie był nigdy mój mocny punkt i nie chcę cię oszukiwać - Króliczek zawahał się. - Czy odniosłeś wrażenie, że ona z tobą flirtuje, czy coś takiego?

- Co ty, Króliczku? - Wesley był szczerze oburzony.

- Nie chciałbym się związać z kobietą, która zaczepia moich przyjaciół.

- Bądź spokojny, bracie. Nawet nie mrugnęła do mnie okiem.

- Cieszę się, że tak mówisz. A teraz, co ty...

- Co ja?

- Mam wrażenie, że nie przyjechałeś na Lazurowe Wybrzeże tylko po to, żeby zobaczyć się ze starym kumplem czy iść na jakiś przekłety film...

- Coś sobie wyobrażasz. Po prostu...

- Nic sobie nie wyobrażam. Dobrze cię znam. Wiem, kiedy mówisz prawdę. I kiedy coś ukrywasz. A właśnie teraz coś ukrywasz.

Obserwowałem cię, kiedy nie zdawałeś sobie sprawy, że na ciebie patrzę, i nie podoba mi się to, co zobaczyłem Wesley.

- Bzdury - powiedział brutalnie Wesley. - Przestań się zachowywać jak stara baba.

- Wiem jedno. Twój ojciec nie chciałby, żebyś popadł w kłopoty... duże kłopoty... zwłaszcza przez tego faceta, Danovica. Czy ty słuchasz mnie, Wesley?

- Słucham.

- Ojciec kochał cię i chciał przede wszystkim, żebyś miał dobre życie. I ja też. Nie chcę cię odwiedzać w więzieniu, w szpitalu ani w kostnicy.

- Nie chciałbym żałować, że się z tobą spotkałem, Króliczku - powiedział spokojnie Wesley.

- Nie zależy mi na tym, żeby cię jeszcze kiedykolwiek zobaczyć, jeżeli uda mi się wlać ci trochę oleju do głowy - oświadczył Króliczek. - Masz przed sobą wspaniałe życie... nie zmarnuj go.

Twój ojciec nie żyje, taka jest prawda. Szanuj jego pamięć, to wszystko, o co cię proszę.

- Muszę wracać do hotelu - powiedział Wesley. - Czeka na telefon.

Króliczek stał na rufie jachtu i zimno patrzył na przyjaciela, który wsiadł na wynajęty motorower i odjechał w stronę hotelu.

Na parkingu hotelowym Wesley zobaczył otwartego Peugeota. Wpadł do hallu.

- Jakiś pan czeka w barze - powiedział recepcjonista, podając Wesleyowi klucze.

Billy siedział samotnie w pustej sali sącząc piwo i patrząc na brzegi zatoki, nad którą stał hotel: Skulony na krześle, sprawiał wrażenie drobnego i zagubionego. Ubranie miał pogniecione, nie zadał sobie trudu, żeby poczesać włosy, potargane w drodze. Długa jazda otwartym samochodem do Paryża i z powrotem sprawiła, że jego zazwyczaj ciemna cera pociemniała o ton lub dwa. Wyglądał jak przebiegły mały Arab, myślał Wesley podchodząc do Billy'ego. Billy wstał i uścisnęli sobie ręce.

- No cóż, kuzynie - powiedział Wesley - już chyba pora.

- Na miłość boską - powiedział zaczepnie Billy - masz zamiar tak zaczynać?

- Chodźmy do mojego pokoju - powiedział Wesley, patrząc na barmana, który w drugim końcu sali obierał cytryny. - Tam możemy porozmawiać.

- Może pozwolisz mi skończyć piwo. A wyglądasz tak, że chyba i sam mógłbyś się napić.

- Jest wiele rzeczy, które zrobiłbym chętniej. Kończ piwo.

Billy rozejrzał się.

- To elegancki hotel. Pewnie kosztuje masę forsy.

- Myślałem, że zatrzymam się tu tylko kilka dni. Nie przypuszczałem, że będę musiał zostać na cały sezon. Skończyłeś to piwo?

- Tak, ale muszę zapłacić.

- Proszę zapisać to piwo na mój rachunek - krzyknął Wesley do barmana w kącie sali.

- Dziękuję - powiedział Billy wychodząc za Wesleyem z baru.

- Tyle przynajmniej mogę zrobić dla mojego niezawodnego kuzyna - oświadczył

ironicznie Wesley.

W pokoju Wesley odwrócił się do Billy'ego.

- Masz to? - zapytał chrapliwym głosem.

- Pozwól mi wytłumaczyć - zaczął Billy. - Facet, który to dla mnie przechowuje, znalazł się w kłopotach. Nie było go w Paryżu, a jego dziewczyna powiedziała, że nie wie, gdzie on jest. Ale on ma do niej zadzwonić i...

- Kiedy? - zapytał Wesley. - Kiedy ma do niej zadzwonić?

- Nie umiała powiedzieć. Spodziewała się, że wkrótce.

- Wkrótce? Czwartego lipca? Na Boże Narodzenie?

- O Jezu - powiedział urażony Billy. - Nie masz powodu mówić do mnie w ten sposób. Zrobiłem, co mogłem. To nie to samo, co wejść do sklepu i kupić pudełko cukierków.

- Wiesz, co myślę, Billy? - Wesley mówił beznamiętnie. - Myślę, że mnie okłamujesz.

- Nie bądź taki cholernie podejrzliwy. Czyż, na Boga, nie zgłosiłem się na ochotnika? Nikt mi nie przykładał pistoletu do skroni. Po prostu próbowałem ci pomóc.

- Bzdura. Wiesz, gdzie jest ten rewolwer. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek miałeś jakiś rewolwer...

- Przysięgam, że miałem.

- A więc powiedz mi, gdzie on jest. I to zaraz. - Nagłym kocim ruchem Wesley rzucił się na Billy'ego i zaczął go dusić. Billy opierał się, drapiąc ręce trzymające go za gardło i próbując sięgnąć kolanem do krocza Wesleya. Ale Wesley był o czterdzieści funtów cięższy. W milczeniu toczyli walkę. Billy poślizgnął się i upadł. Wesley uklęknął na nim, twarz miał spokojną, ręce po maniacku ścisnęły gardło Billy'ego. W momencie, kiedy Billy zaczął tracić przytomność, ucisk zelżał.

- Powiesz mi czy nie? - wyszeptał Wesley.

- Chryste - jęknął Billy - mogłeś mnie udusić.

- Bardzo możliwe. - Ręce Wesleya znów zaczęły cisnąć trochę mocniej.

- Rudolf - wybąkał Billy - jest w Saint-Paul-de-Vence... hotel „Colombe d'Or”. Czy możesz mnie puścić?

Wesley powoli rozluźnił chwyt i wstał. Pomógł wstać Billy'emu.

Billy opadł na krzesło macając rękami szyję.

- Do cholery, masz za dużo siły, żeby mogło ci to wyjść na dobre! - powiedział.

Wesley stanął nad nim, ciągle grożąc.

- Co robi w tym wszystkim wuj Rudolf? Tylko nie opowiadaj mi bajek, Billy.

- Zadzwoniłem do niego do Nowego Jorku. Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek może ci

pomóc, to właśnie on. Zrobiłem to dla ciebie.

Nie myślisz chyba, że zrobiłem to dla siebie?

- Stchórzyłeś - powiedział z pogardą Wesley. - I zawołałeś świętego Mikołaja. Powinienem być wiedzieć. Czego, do diabła można się spodziewać po tenisiście. Wracaj do swoich uroczych dam, ty draniu. Jesteś cholernym tchórzem!

- A ty jedź do Saint-Paul-de-Vence, zidiociały morderco - poradził Billy - i spróbuj udusić wuja Rudolfa.

- Może spróbuję. A teraz wynoś się z mojego pokoju. I z miasta.

Jeżeli cię tu spotkam, mogę pożałować, że w ogóle cię puściłem.

- Kiedy następnym razem będę się miał z tobą spotkać - powiedział Billy wstając - wezmę ze sobą nóż. Ostrzegam.

- Dziękuję. Zapamiętam to sobie.

Już przy drzwiach Billy odwrócił się.

- Ostatnie słowo. Bez względu na to, co myślisz, jestem twoim przyjacielem.

Wesley poważnie skinął głową, Billy otworzył drzwi i wyszedł z pokoju.

Z dołu zatelefonował do Saint-Paul-de-Vence. Kiedy Rudolf podszedł do telefonu, opowiedział mu, co się zdarzyło.

- O Boże - westchnął Rudolf. - To z nim jest aż tak źle?

- Jeszcze gorzej. On jest obłąkany. Lepiej przenieś się do innego hotelu, jeśli nie chcesz, żeby powtórzyła się następna próba rodzinnego duszenia.

- Nigdzie się nie przeniosę - oświadczył spokojnie Rudolf. - Niech przyjdzie.

- Tylko nie spotykaj się z nim bez świadków - powiedział Billy podziwiając pogodę wuja. - Do tego chłopaka potrzeba wielu świadków.

- Zobaczę się z nim w takich okolicznościach, jakie on zaproponuje.

- Wymyśliłeś coś?

- Może - powiedział wymijająco Rudolf. - Zobaczymy.

- Jeśli mogę dać ci radę, na twoim miejscu pozbyłbym się tej rzeczy, zanim on się pojawi. Wrzuć to do morza.

- Nie - powiedział zamyślony Rudolf. - Wcale nie chcę tego zrobić.

To się może przydać. W niezbyt dalekiej przyszłości.

- Powodzenia - powiedział Billy.

- Spotkamy się w przyszłym tygodniu na festiwalu w Cannes.

Zarezerwowałem pokoje dla nas wszystkich w hotelu „Majestic”.

Wzięłem dla ciebie wspólny pokój z Wesleyem. Ale w tej sytuacji...

- Rudolf dziwnie zachichotał. - W tej sytuacji chyba umieszczę cię na innym piętrze.

- Myślisz o wszystkim, Rudolfie, prawda? - zauważył z ironią Billy.

- Prawie o wszystkim.

Billy odłożył słuchawkę i podszedł do recepcji.

- Proszę wpisać ten telefon na rachunek pana Jordacha - powiedział.

Wesley nie zadzwonił ani tego dnia, ani następnego. Zadzwonił natomiast adwokat z Antibes.

- Chyba mam wiadomości - powiedział. - Dżentelmen, którego polecałem na stanowisko wspomniane przez pana tamtego dnia, jest w tej chwili nieosiągalny. Przebywa akurat w więzieniu w Fresnes.

Ale ma wyjść za dwa tygodnie i wkrótce potem oczekiwany jest w swoim domu w Marsylii. Skontaktuję się z nim i powiem, gdzie może pana znaleźć.

- Będę w hotelu „Majestic” w Cannes.

- Przykro mi z powodu tej zwłoki - powiedział adwokat.

- Nic na to nie można poradzić. Dziękuję, że się pan fatygował.

Będę czekał na telefon.

Nic na to nie można poradzić, myślał Rudolf odkładając słuchawkę.

To byłby dobry tytuł do historii mojego życia. Nic na to nie można poradzić.

ROZDZIAŁ X

Spec od festiwalowej reklamy puścił w obieg historię o kobiecie, której pierwszy samodzielnie wyreżyserowany film reprezentuje amerykańską kinematografię w Cannes, toteż kiedy przyleciał samolot, na lotnisku w Nicei pełno było dziennikarzy. Robili zdjęcia Gretchen wysiadającej z samolotu i potem, po przejściu przez cło, witającej się z Billym i Rudolfem. Gretchen o mało się nie rozplakała przy powitaniu z synem; ściskając go mocno wyszeptwała:

- Tak dawno cię nie widziałam.

Billy był zażenowany tą demonstracją uczuć macierzyńskich w świetle błyskających fleszów, toteż grzecznie, ale zdecydowanie wyswobodził się z uścisku.

- Mamo, czemu nie zachowamy tej sceny pojednania na później? - Nie podobała mu się zbyt myślenie o zdjęciach ukazujących go w matczynym uścisku, publikowanych w gazetach, bez względu na reklamę filmu.

Kiedy Gretchen się cofnęła, Billy dostrzegł jej zaciśnięte usta.

Jakże dobrze to znał!

- Billy - powiedziała oficjalnym tonem - pozwól, że cię przedstawię panu Donnelly. Robił scenografię do filmu.

Billy wymienił uścisk dłoni z młodzieńcem o rudej brodzie.

- Miło mi pana poznać - powiedział. Jeszcze jeden, pomyślał. Ona nigdy nie zrezygnuje. Zauważył w jak władczy, protekcyjny sposób mężczyzna trzymał ramię matki, kiedy przechodzili przez niewielki tłum zgromadzony przy wyjściu z cła. Miał zamiar być czuły i tkliwy podczas tego pierwszego spotkania po tak długim niewidzeniu, ale na widok matki, pięknej jak nigdy w eleganckim, niebieskim podróżnym kostiumie, ostentacyjnie eskortowanej z samolotu przez mężczyznę prawie w jego wieku, poczuł się trochę zbity z tropu.

Było mu wstyd, że pozwolił sobie na irytację. W końcu matka jest całkiem dorosłą kobietą, i to, co robi ze swoim własnym czasem, podobnie jak gust w doborze partnerów to nie jego sprawa. Idąc obok niej w stronę przysłanego na lotnisko samochodu z szoferem, Billy czule ścisnął jej rękę, chcąc zrekompensować uwagę na temat sceny pojednania. Gretchen spojrzała na niego zaskoczona, potem uśmiechnęła się szeroko.

- Przed nami dwa wspaniałe tygodnie - powiedziała.

- Mam nadzieję. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć film.

- Chyba prognozy są dobre - powiedziała Gretchen. - Sądzę, że podobał się tym,

którzy już go widzieli.

- Znacznie więcej - wtrącił Rudi. - Są zachwyceni. Ofiarowano mi już zwrot mojego wkładu ze stuprocentowym zyskiem, ale odrzuciłem ofertę.

- Lojalny brat - powiedziała niefrasobliwie Gretchen. - Lokuje pieniądze tam, gdzie serce. - Drgnęła. - Rudi, nie wyglądasz dobrze. Sprawiasz wrażenie, jakbyś nie spał od tygodni. Co się stało?

Rudolf zaśmiał się niewyraźnie.

- Nic. Może za długo siedziałem w kasynie.

- Wygrałeś?

- Jak zwykle.

Kiedy tragarz i szofer umieszczali bagaże w samochodzie, Gretchen powiedziała: - Jestem trochę rozczarowana.

- Czemu? - zapytał Rudolf.

- Spodziewałam się, że Wesley też wyjdzie mnie przywitać.

Rudolf i Billy wymienili spojrzenia.

- Czy nie mieszka z nami w hotelu? - zapytała Gretchen.

- Nie - odpowiedział Rudolf.

- Ale jest w Cannes? Po pokazie filmu napadną go dziennikarze z prasy i telewizji. Musi się zachować jak aktor, nawet jeśli się za aktora nie uważa.

- Gretchen - powiedział miękko Rudolf - nie wiemy, gdzie on jest.

Wiemy, że był w Saint-Tropez, ale zniknął.

- Czy stało się coś niedobrego?

- Nic nam nie wiadomo - skłamał Rudolf. - Nie martw się. Jestem pewien, że się zjawi.

- Lepiej, żeby to zrobił - powiedziała Gretchen wsiadając z Donellym do samochodu. - Bo inaczej zacznę go szukać, jako osoby zaginionej, przez radio i policję.

Bagażu było tak dużo, że w samochodzie zabrakło miejsca dla Rudolfa. Poszedł z Billym w stronę zaparkowanego Peugeota.

- Musimy wymyślić dla niej jakąś historyjkę o Wesleyu - powiedział, kiedy wsiadali do samochodu.

- Tym razem ty wymyślisz jakąś historyjkę - rzekł Billy wyjeżdżając z parkingu. - Ostatnia, jaką wymyśliłem, o mało nie doprowadziła do mojej śmierci.

- Może Wesley się zjawi, jak zobaczy zdjęcia Gretchen w gazetach - powiedział Rudolf. - Bardzo ją polubił w czasie kręcenia filmu.

- Wiem. Mówił mi o tym. Ale nie miałbym zbyt wielkiej nadziei.

Ostatnio lubi naprawdę jedynie myśl o znalezieniu pewnego Jugosłowianina. - Billy odwrócił głowę i przyjrzał się z zaciekawieniem Rudolfowi. - Coś nowego na twoim froncie?

- Będę wiedział dopiero za kilka dni.

- Ciągle nie chcesz mi nic powiedzieć?

- Nie - powiedział zdecydowanie Rudolf. - I nie pytaj.

Przez jakiś czas Billy zajęty był całkowicie prowadzeniem samochodu. Na przyjazd matki dał samochód do umycia, a sam ubrał się w świeże, czyste rzeczy. Było mu przykro, że nieobecność Wesleya rzuciła cień na ten uroczysty moment.

- Mam nadzieję że bez względu na to, co robi i gdzie jest, nie zepsuje matce wielkich chwil. Wydawało mi się na lotnisku, że mama jest w dobrej formie.

- Poza chwilą, kiedy zrobiłeś tę głupią uwagę o pojednaniu - powiedział z goryczą Rudolf.

- Siła przyzwyczajenia.

- Pozbądź się tego przyzwyczajenia.

- Spróbuję. W każdym razie mogę cię poinformować, że postanowiłem tak w drodze do samochodu.

- Myślisz, że ona jest twarda. A więc pozwól, że ci coś powiem. To nieprawda. W każdym razie nie wobec ciebie.

- Powiedziałem że spróbuję. - Billy się uśmiechnął. - Wygląda pięknie, prawda?

- Bardzo.

Billy znów obrócił głowę, by przyrzeć się Rudolfowi.

- Co ją łączy z tym facetem, Donnellym?

- O niczym nie wiem - uciął krótko Rudolf. - Dobrze im się razem pracowało, a teraz on jest również moim współnikiem. Nie zastanawiaj się nad tym zbyt.

- Po prostu pytałem. Naturalne zainteresowanie syna sytuacją matki. Co to za facet?

- Jeden z najlepszych. Utalentowany, ambitny, uczciwy, ze skłonnością do butelki.

- Do tego powinna być przyzwyczajona po latach przeżytych z moim ojcem. To znaczy do tej skłonności.

- Twojego ojca też tutaj zaprosiła. Ale powiedział, że ma nową pracę i nie może opuścić Chicago. Może wreszcie wziął się w garść.

- O to bym się nie zakładał. W każdym razie zrobił jedną pożyteczną rzecz dla swojego syna.

- Mianowicie?

- Zniechęcił mnie do picia. - Billy roześmiał się. - Słuchaj, mam pomysł. Nie chodzi o ojca czy matkę. Chodzi o Wesleya.

- Na przykład?

- Wiesz, policja zbiera formularze, które trzeba wypełnić przy meldowaniu się w hotelu... - Wątpię, czy Wesley zna kogoś, u kogo mógłby się zatrzymać w Cannes - kontynuował z zapalem Billy - więc najprawdopodobniej jest w jakimś hotelu w mieście. Możemy zwrócić się do policji o informacje. W końcu gra w filmie i możemy powiedzieć, że jest potrzebny do wywiadów, konferencji prasowych i tak dalej.

- Moglibyśmy, ale nie zrobimy tego. Im mniej interesuje się Wesleyem policja, tym lepiej dla nas wszystkich.

- To był tylko taki pomysł.

- Musimy sami go znaleźć. Pokręcić się po porcie, pochodzić do nocnych lokali, w ogóle mieć oczy otwarte. - Tymczasem możesz powiedzieć matce, że mówił ci, iż jest nieśmiały i krępuje go reklama przed filmem, boi się, że jest do niczego i ludzie będą się z niego śmiać, wołałby więc się raczej nie pokazywać.

- Myślisz, że ona to kupi? - zapytał Billy z powątpiewaniem.

- Może. Wie, że Wesley jest dziwnym młodzieńcem. Prawdopodobnie powie, że tego właśnie można się było po nim spodziewać.

- Jestem zaskoczony - zaczął Billy - że nie zadzwonił ani nie przyszedł do ciebie.

- Byłem prawie pewien, że tego nie zrobi. Dobrze wie, że nigdy nie dostanie ode mnie tego, czego szuka.

- Masz go jeszcze? Ten rewolwer?

- Tak.

Billy znowu zachichotał.

- Założę się, że jesteś jedynym człowiekiem na festiwalu, który ma w pokoju rewolwer z tłumikiem.

- Chętnie zrezygnowałbym z tego wyróżnienia - powiedział bezbarwnie Rudolf.

Kiedy jechali w dół Croisette w Cannes, Rudolf zauważył wśród plakatów reklamujących filmy, które miały być wyświetlane w ciągu najbliższych dwu tygodni, plakat „Komedii restauracji”. Nazwisko Gretchen zajmowało na nim poczesne miejsce.

- Ten widok musiał jej sprawić przyjemność - zauważył Rudolf. - Mam na myśli twoją matkę.

- A teraz - zażartował Billy - jakby mało było wszystkich zmartwień, jakie z nią mam, muszę się jeszcze nauczyć zachowywać jak syn sławnej matki. Co mam powiedzieć, kiedy

będą przeprowadzać ze mną wywiad i zapytają, jak się czuję?

- Powiedz, że to wspaniałe uczucie.

- Następne pytanie, panie Abbott - kontynuował Billy. - Czy pana zdaniem matka zaniedbywała pana na rzecz kariery? Odpowiedź: tylko przez dziesięć albo piętnaście lat.

- Możesz tak żartować ze mną - przerwał mu ostro Rudolf - ale z nikim więcej.

Rozumiesz?

- Tak, proszę pana. Oczywiście, wygłupiałem się.

- Tak czy inaczej, ona nie jest jeszcze sławna. W takim miejscu jak to jednego dnia możesz zdobyć sławę, a następnego ją stracić.

Twoją matkę czeka wiele trudnych chwil i musimy na nią uważać.

- Będę ją podtrzymywał jak opoka. Nie pozna swego krnąbrnego syna i będzie mi się przyglądała ze zdumieniem.

- Billy, nie pijesz wprawdzie tak jak ojciec, ale jak się wydaje, odziedziczyłeś po nim niezdolność przekonania kogokolwiek, że traktujesz coś poważnie.

- To jest cecha obronna, przekazana synowi przez ojca w celu ukrycia drżącego, miękkiego ducha.

- Pozwól mu czasami się objawić. To cię nie zabije.

W recepcji Rudolf zapytał, czy nikt nie zostawił dla niego wiadomości. Nie było żadnych.

W kącie hallu siedziała Gretchen otoczona dziennikarzami i fotografami. Wielkie sławy nie przyjechały jeszcze do Cannes i specjalista od reklamy wykorzystywał to, jak mógł. Rudolf spostrzegł, że Gretchen jest uśmiechnięta, swobodna i dużo mówi.

Zauważyła ich i pomachała, żeby podeszli; ale Billy pokręcił głową.

- Wychodzę - powiedział do Rudolfa. - Przejdę się po porcie i rozejrzę za naszym zagubionym chłopaczkiem. Powiedz matce, że ją kocham, ale mam sprawę do załatwienia.

Rudolf podszedł do Gretchen, która przedstawiła go jako swojego brata i inwestora równocześnie. Nie pytała, dokąd poszedł Billy. W przerwie między wywiadami, kiedy fotograf prosił Gretchen, by pozowała z Rudolfem, Rudolf zapytał ją, gdzie jest Donnelly.

- Zgadnij - odpowiedziała uśmiechając się do niego na użytek kamery.

Rudolf poszedł do baru. Donnelly w ponurej pozie siedział przed szklanką whisky.

- Rozkoszujesz się przyjemnościami przesławnego festiwalu? - zapytał Rudolf.

Donnelly spojrzał spode łba.

- Dodałbym jeszcze jedno określenie na p. Nie powinienem był przyjeżdżać na ten pieprzony festiwal.

- Dlaczego? - Rudolf był zaskoczony.
- Ten szczeniak. Jej syn, Billy. Rzucił mi takie zimne spojrzenie na lotnisku.
- Masz bujną wyobraźnię.
- Tego sobie nie wymyśliłem. Obawiam się, że będzie dokuczał Gretchen z mojego powodu. O co chodzi? Czy on jest zazdrosny?
- Nie. Może martwi się, że jesteś o tyle od niej młodszy i że ją zranisz.
- Powiedział ci to?
- Nie - przyznał Rudolf. - Nic mi nie powiedział.
- Ona mi o nim opowiadała. - Donnelly wypił resztę whisky i poprosił o następną. - Od dziecka sprawiał tylko kłopoty.
- Powiedział mi, że teraz się zmienił.
- Mogę cię zapewnić, że nie udało mi się tego zauważyć na lotnisku w Nicei. A gdzie ten drugi dzieciak, Wesley? Gretchen mówiła, że obydwoj mieli przyjechać z Hiszpanii.
- Gdzieś się tu kręci - powiedział wymijająco Rudolf.
- Gdzie? Nie było go, kiedy przyjechaliśmy, a powinien, u diabła, być, po tym wszystkim, co Gretchen dla niego zrobiła. - Donnelly zachłannie sączył whisky z drugiej szklanki. - Postawię dolara przeciwko staremu centowi, że ten jej synek ma z tym coś wspólnego.
- Nie wpadaj w histerię z powodu jednego spojrzenia na lotnisku - powiedział Rudolf.
- Gwarantuję, że wszystko będzie w porządku.
- Lepiej, żeby było. Jeżeli ten szczeniak zepsuje matce najbliższe dwa tygodnie, osobiście przetrączę mu kark. Możesz mu to ode mnie powiedzieć. Możesz mu także powiedzieć, że oświadczyłem się jego matce.
- A co ona na to?
- Roześmiała się.
- No to gratuluję.
- Szaleję za nią do tego stopnia, że nie wiem, co się dzieje - wyznał posepnie Donnelly.
- Wiedziałbyś lepiej - Rudi postukał w szklankę na barze - gdybyś na jakiś czas odstawił to świństwo.
- Ty też zamierzasz truć na ten temat?
- Sądzę, że Gretchen musiała coś powiedzieć w tej sprawie?
- Owszem. Obiecałem, że jeśli za mnie wyjdzie, przestawię się wyłącznie na wino.
- A co ona na to?

- Roześmiała się.

Rudolf zachichotał.

- Baw się dobrze w Cannes.

- Postaram się, ale pod warunkiem, że Gretchen będzie się dobrze bawiła. A propos, zanim wyjechaliśmy z Nowego Jorku, zadzwonił nasz adwokat i powiedział, że istnieje szansa załatwienia sprawy w Connecticut przed końcem roku.

- Wszystko zaczyna się układać, chłopie. Daj spokój. Wyglądasz jak ponury Irlandczyk.

- Celtycki zmierzch na Lazurowym Wybrzeżu. - Donnelly się uśmiechnął. - Widzę demony w galijskim mroku. Nie zwracaj na to uwagi, człowieku.

Rudolf przyjacielskim gestem poklepał Donnelly'ego po ramieniu i wyszedł z baru. Zorientował się, że konferencja prasowa dobiegła końca; wprawdzie specjalista od reklamy ciągle jeszcze tkwił w hallu, ale teraz już zbierał papiery. Był to Amerykanin o nazwisku Simpson, który pracował w Paryżu dla różnych wytwórni filmowych.

- Jak poszło? - zapytał go Rudolf.

- Wspaniale. Ona doskonale potrafi się posłużyć swoim wdziękiem wobec tych facetów. Wie pan, widziałem ten film na pokazie w Paryżu i myślę, że mamy tu do czynienia ze zwycięzcą.

Rudolf skinął głową, choć nigdy jeszcze nie widział specja od reklamy, który w pierwszym tygodniu pracy powiedziałby, że ma do czynienia z przegraną.

- Chciałbym, żeby się pan specjalnie postarał i opublikował zdjęcie Wesleya Jordana.

- Nie ma obawy. Już się rozeszła pogłoska, że to niezwykle chłopak. I do tego przystojny.

- Jest tu gdzieś w pobliżu i chciałbym, żeby go rozpoznano i żebyśmy mieli go pod ręką w celach reklamowych przed projekcją filmu.

- Przydałoby mi się też trochę wiadomości o jego prywatnym życiu.

- Dziękuję - powiedział Rudolf i poszedł w stronę swojego pokoju.

Torba leżała na krześle, tam gdzie ją zostawił. Przekręcił szyfrowy zamek. Rewolwer tkwił jeszcze wewnątrz. Co za paskudny przedmiot, myślał, zamykając z powrotem torbę. Łapał się na tym, że dziesięć razy dziennie wchodził do swojego pokoju i do niej zaglądał.

Wszedł do łazienki i łyknął dwa miltowny. Od przyjazdu do Paryża stał się nerwowy i nawet po raz pierwszy w życiu miał tik, mrugała mu prawa powieka, co w towarzystwie starał się ukryć pocieraniem oka, jakby mu coś tam wpadło. Miltown pomagał zwykle na godzinę lub dwie.

Kiedy wrócił do sypialni, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i usłyszał kobiecy głos: - Proszę z panem Rudolfem Jordachem.

- Jestem przy telefonie.

- Pan mnie nie zna - mówiła kobieta. - Jestem przyjaciółką Wesleya. Nazywam się Alice Larkin.

- Ach, tak: Wesley mówił mi o pani. Skąd pani dzwoni?

- Z Nowego Jorku. Czy Wesley jest z panem?

- Nie.

- Czy wie pan, gdzie mogę go złapać?

- Obawiam się, że w tej chwili nie.

- Miał dzwonić do mnie w zeszłym tygodniu. Próbowałam tak załatwić urlop, żebym mogła przyjechać do Cannes na kilka dni. I myślę, że mi się to uda. Dowiem się ostatecznie jutro rano, ale wolałabym mieć pewność, czy on jeszcze chce, żebym przyjechała.

- Chyba lepiej, żeby pani trochę poczekała przed podjęciem decyzji. Mówiąc szczerze, Wesley zniknął. Jeśli się zjawi, powiem, żeby do pani zadzwonił.

- Czy ma kłopoty? - zapytała z niepokojem Alice.

- Ja nie wiem o żadnych - Rudolf mówił ostrożnie. - Chociaż trudno powiedzieć. Jest nieobliczalny.

- Wiem coś na ten temat. - Teraz wydawało mu się, że dziewczyna jest zła. - W każdym razie, jeśli go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć, że życzę mu wszelkich sukcesów.

- Zrobię to - powiedział Rudolf i powoli odwiesił słuchawkę.

Chciałby, żeby miltowny zaczęły szybko działać. Ciężar obsesji Wesleya wykańczał go. Może, pomyślał, kiedy go znajdzie, dam mu ten przeklęty rewolwer i umyję od wszystkiego ręce. Podszedł do okna i wyrztał na morze, niebieskie i spokojne, na ludzi spacerujących po Croisette, rozkoszujących się słońcem, i na festiwalowe flagi nad ich głowami powiewające w ciepłym wietrze. Przez chwilę zazdrościł każdemu ze spacerowiczów, że nie jest jednym z nich.

Billy wrócił do pokoju o zmroku. Przez całe popołudnie przepatrywał stary port, przyglądając się statkom, wchodząc do barów i restauracji. Na żadnym statku, w żadnym barze ani restauracji nie było Wesleya. Zadzwonił do pokoju matki, ale w centrali powiedziano mu, że matka nie przyjmuje żadnych telefonów.

Pewnie jest w łóżku, pomyślał, z tym brodatym facetem. Lepiej o tym nie myśleć.

Rozebrał się i wziął prysznic. Dzień był długi i gorący, więc teraz Billy rozkoszował

się zimnymi igielkami prysznic, zapominając o wszystkim poza rozkosznym świerzbieniem skóry.

Kiedy wyszedł z łazienki, usłyszał pukanie do drzwi. Owinął ręcznik dokoła bioder i zostawiając na dywanie mokre ślady gołych stóp, podszedł do drzwi i otworzył je. W progu stała uśmiechnięta Monika w jednej z ładnych bawełnianych sukienek, w której widział ją w Hiszpanii.

- Wielki Boże - jęknął Billy.

- Widzę, że jesteś ubrany odpowiednio na przyjęcie gości. Czy mogę wejść?

Wyjrzał nad jej ramieniem na korytarz, żeby zobaczyć, czy przyszła sama.

- Nie martw się - powiedziała. - To wizyta towarzyska. Nikt ze mną nie przyszedł. - Otarła się o Billy'ego kiedy zamykał drzwi. - Ho, ho - rozejrzała się po dużym, elegancko umeblowanym pokoju - wspina się po szczeblach drabiny, co? To o wiele lepsze od Brukseli, prawda? Kapitalizm pasuje do ciebie, chłopcze.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał Billy, ignorując uwagę o „postępie wobec Brukseli”.

- To nie było trudne. Tym razem zostawiłaś adres.

- Muszę pamiętać, żeby nigdy więcej tego nie robić. Czego chcesz?

- Czuł się głupio, stojąc i ociekając wodą, z owiniętym dokoła bioder ręcznikiem.

- Chciałam ci powiedzieć dzień dobry. - Monika usiadła, założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się do niego. - Mogę zapalić?

- Co byś zrobiła, gdybym powiedział, że nie możesz?

- Zapaliłabym. - Roześmiała się, wyjęła z torebki papierosa, ale nie zapaliła go.

- Ubiorę się - powiedział Billy. - Nie jestem przyzwyczajony do przyjmowania obcych kobiet w stroju adamowym. - Skierował się w stronę łazienki, gdzie wisiały spodnie i koszula. Monika upuściła papierosa i złapała Billy'ego za ramię.

- Nie ma potrzeby. Nie jestem aż tak obca. Poza tym im mniej masz na sobie, tym lepiej wyglądasz. - Puściła rękę Billy'ego i objęła jego nogi. Przekrzywiła głowę, spojrzała w górę i uśmiechnęła się.

- Pocałuj mnie.

Próbował się wyswobodzić z uścisku ramion, ale trzymała go mocno.

- O co ci teraz chodzi? - zapytał ostro, chociaż czuł znajome poruszenie w pachwinie.

Monika zachichotała.

- Ciągle o to samo.

- W Hiszpanii nie chodziło ci o to samo - powiedział, przeklinając nagłą erekcję, widoczną pod ręcznikiem.

- W Hiszpanii miałam co innego na głowie - powiedziała. - I nie byłam wtedy sama, o ile pamiętasz. Teraz jestem sama, na urlopie, i chodzi ciągle o tę samą rzecz. Chyba mówiłam ci kiedyś, że w nowej lewicy orgazmy są rzadkie i nieliczne. To się nie zmieniło.

- Zręcznym ruchem sięgnęła pod ręcznik i położyła rękę na penisie.

Znów zachichotała. - Widzę, że to też się nie zmieniło. - Pieściła go delikatnie, dobrze pamiętał zwinne ruchy jej ręki.

- Na Boga - zaczął, widząc, że w końcu pożałuje tego, co mówi - chodźmy do łóżka.

- To właśnie miałam na myśli. - Monika wstała i pocałowali się. - Tęskniłam za tobą - wyszeptała. - Połóż się, a ja tymczasem się rozbiore.

Billy położył się na szerokim łóżku, ciągle jeszcze owinięty ręcznikiem, i przyglądał się, jak zdejmowała przez głowę tę swoją ładną sukienkę. Nie miała stanika i na widok jej ślicznych małych piersi poczuł dreszcz pożądania. Zamknął oczy. Ostatni raz, do diabła, pomyślał! Na piętrze wyżej matka prawdopodobnie robiła to samo. Jaka matka taki syn. Wielki wieczór dla całej rodziny.

Słyszał Monikę idącą bosą do łóżka i pstryknięcie kontaktu, kiedy wyłączała światło. Odrzucił ręcznik. Położyła się na Billym z cichym jękiem, a on objął ją ramionami.

Później, w ciepłej ciemności, leżał na plecach z ręką pod plecami Moniki, a ona przytuliła się do niego, z głową na jego ramieniu i nogą przerzuconą przez brzuch. Westchnął.

- Cudownie, cholernie cudownie. Kto się zgadza, niech powie: tak.

- Tak - powiedziała Monika. Od tej pory pamiętaj zawsze o zostawieniu adresu.

- Tak - powiedział, choć nie był całkiem pewny, czy zrobił to szczerze. Przeszedł już z Moniką zbyt wiele i czuł się z nią bezpiecznie tylko w łóżku. - A jaki jest teraz twój adres?

- Po co ci ta wiadomość?

- Mogę akurat przechodzić koło twojego hotelu i poczuć gwałtowne pożądanie.

- Przyjdę tutaj, kiedy przytrafi mi się nieopanowane pożądanie.

Nie chcę, żeby nas widziano razem. Będziesz mnie widywał wystarczająco często. Ale tylko w tym pokoju.

- Psiakrew. - Wyswobodził ramię i usiadł. - Dlaczego inicjatywa ma zawsze należeć do ciebie?

- Ponieważ lubię działać w ten właśnie sposób.

- Działać. Nie podoba mi się to słowo.

- Przyzwyczaj się do niego, chłopcze. - Monika też usiadła na łóżku i szukała teraz paczki papierosów, którą zostawiła na stoliku obok. Wyjęła papierosa, zapaliła, niewielki płomień zapalniczki oświetlił jej twarz i oczy.

- Zdawało mi się, że wspominałaś coś o urlopie.

- Urlopy się kończą.

- Jeżeli nie powiesz mi, gdzie mogę się z tobą skontaktować, to będzie koniec - powiedział ze złością Billy.

- Spotkam się z tobą tutaj jutro - Monika wciągała dym - o tej samej porze.

- Dziwka.

- Zawsze bawiło mnie twoje słownictwo. - Monika wstała z łóżka i zaczęła się ubierać, ognik papierosa był jedynym światłem w ciemnym pokoju. - A propos, dziś po południu widziałam twój kuzyna wychodzącego z hotelu. Wiesz, tego chłopca, z którym grałeś w tenisa.

- Tak? A kto ci powiedział, że to mój kuzyn?

- Sprawdziłam w Who's Who.

- Dowcipna jak zwykle, co? Jaki to był hotel?

Monika zawahała się.

Czy on nie mieszka tu z tobą?

- Nie. Jaki to hotel? Musimy go znaleźć.

- Kto: my?

- Czy to ważne dla ciebie? - Billy starał się mówić cicho.

- Nigdy nie możesz przewidzieć, co jest dla mnie ważne. Kto to my?

- Zapomnij o tym.

- Okazuje się, że nie pamiętam nazwy hotelu.

- Kłamiesz.

Roześmiała się.

- Może. Może, jeżeli będziesz tu jutro wieczorem, jak przystało na grzecznego chłopca, przypomnę sobie.

- Rozmawiałaś z nim?

- Nie. Interesuje mnie inny członek rodziny.

- Boże, ty potrafisz zrobić z seksu rzecz skomplikowaną.

- Z seksu? Kiedyś używałaś słowa miłość.

- Kiedyś - powiedział ponuro Billy.

- Jak chcesz, chłopcze - powiedziała lekkim tonem Monika. - Tymczasem! I jeszcze ostatni komplement: jesteś lepszy w łóżku niż na korcie tenisowym.

- Dziękuję.

- Pour rien, jak mówią Francuzi. - Wyrzuciła papierosa, podeszła do łóżka i szybko

pocałowała penis Billy'ego. - Dobranoc, chłopcze. Muszę iść.

Kiedy drzwi się zamknęły za Moniką, Billy leżał na plecach wpatrując się w ciemny sufit. Kolejny problem. Musi zdecydować, czy powiedzieć Rudolfowi, że tego popołudnia widziano Wesleya wychodzącego z hotelu w Cannes, ale że nie zna nazwy hotelu, chociaż może będzie znał jutro. Ale wtedy musiałby wytłumaczyć, skąd się tego dowiedział i dlaczego resztę będzie wiedział jutro.

A nie mógłby wytłumaczyć niczego, nie wspominając w ogóle o Monice. A wtedy musiałby powiedzieć o Monice przynajmniej cokolwiek. Zirytowany pokręcił głową na poduszkach. Rudolf i bez Moniki ma dosyć kłopotów.

Zadzwonił telefon. Rudolf informował, że za pół godziny wszyscy przed kolacją spotkają się w barze na dole. Po odłożeniu słuchawki Billy poszedł wziąć drugi prysznic. Nie chciał zejść na kolację rozsiewając taki zapach, jakby uczestniczył w orgii. Zastanawiał się, czy jego matka piętro wyżej też w tej chwili bierze prysznic.

ROZDZIAŁ XI

- Nie - mówiła Gretchen - nie chcę żadnego przyjęcia po projekcji.

Jestem wykończona, chcę tylko zwalić się do łóżka i spać przez czterdzieści osiem godzin. - Siedziała z Rudolfem i Donnellym w saloniku swojego hotelowego apartamentu. Rudolf sugerował, żeby po wieczornej projekcji „Komedii restauracji” wydać galową kolację, zaprosić sędziów festiwalowych, kilku przedstawicieli głównych firm dystrybucyjnych, a także dziennikarzy, z którymi Gretchen i Rudolf mniej czy bardziej się zaprzyjaźnili w ciągu ostatnich kilku dni. W miarę zbliżania się krytycznego dnia Gretchen wykazywała coraz więcej oznak napięcia. Przyjęcie mogłoby jej pomóc w odprężeniu się.

- Gdybyśmy nie byli tutaj tylko we troje - mówiła Gretchen - może miałabym ochotę na przyjęcie. Ale nie chcę być jedyną osobą zbierającą oklaski, jeżeli w ogóle będą jakieś oklaski, czy jedynym obserwatorem nosów spuszczonej na kwintę, jeżeli film zrobi klapę. Gdyby byli tu Frances Miller i Wesley, powiedziałabym: tak, ale ta kurewka nie mogła sobie zadać trudu, żeby przyjechać, wy nie możecie mi znaleźć Wesleya, a zresztą i tak jestem już za stara na przyjęcia...

- W porządku - powiedział Rudolf. - Nie będzie przyjęcia. Zjemy sobie kolację we czwórkę, nas troje i Billy, i pogratulujemy sobie nawzajem. - Spojrzał na zegarek. - Robi się późno. Proponuję, żebyś się położyła i spróbowała zasnąć. - Pocałował Gretchen na dobranoc i ruszył w stronę drzwi.

- Pójdę z tobą - powiedział Donnelly. - Ja też potrzebuję trochę snu. Chyba że chcesz, żebym został, Gretchen?...

- Nie, dziękuję. Zobaczymy się rano.

Na korytarzu w drodze do windy Donnelly powiedział:

- Rudi, muszę z tobą o niej porozmawiać. Jestem zaniepokojony. Za bardzo się przejmuje. Nie może spać, narkotyzuje się pigułkami, a kiedy jest ze mną sama, zalewa się łzami i nie wiem, jak ją uspokoić.

- Chciałbym być kobietą - powiedział Rudolf. - Sam bym się chętnie załamał i popłakał.

- Zdawało mi się, że jesteś dobrej myśli w sprawie filmu? - Donnelly wydawał się zaskoczony.

- Jestem. Nie o to chodzi. To nie ma nic wspólnego z filmem.

- Więc z czym?

- Powiem ci innym razem.

- Mogę ci pomóc?

- Tak. Zajmij się Gretchen.

- Może to byłby dobry pomysł, gdybym po projekcji wsadził ją do samochodu i zabrał na małą turystyczną przejażdżkę, żebym ją na kilka dni wyciągnął z tego domu wariatów.

- Byłbym za tym, gdyby tylko udało ci się ją przekonać.

- Spróbuję rano.

- Poczciwy chłop - powiedział Rudolf, kiedy otworzyły się drzwi windy. - Dobranoc, Dawid. Śpij dobrze.

Donnelly ruszył korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami saloniku Gretchen. Z pokoju nie dochodził żaden odgłos. Donnelly już wyciągnął rękę, żeby poskrobać w drzwi, ale się powstrzymał. Dziś chyba będzie lepiej, jeśli prześpi się sama, pomyślał. Wrócił do windy, zjechał na parter i pomaszerował do baru. Zawahał się, kiedy barman zapytał, czego się napije. Zamówił whisky z wodą sodową. Wino może poczekać na inną okazję.

Kiedy Rudolf otwierał drzwi pokoju, właśnie dzwonił telefon.

Podbiegł, podniósł słuchawkę i powiedział „słucham”, - Monsieur Jordach? - powiedział męski głos.

- Tak.

- L'avocat d'Antibes - kontynuował głos - m'a dit que vous voulez me parler...

- Czy mówi pan po angielsku? - zapytał Rudolf. Jeżeli to jest ten człowiek, którego się spodziewał usłyszeć, to lepiej, żeby zrozumiał dokładnie każde słowo. Może jakoś potrafi zaaranżować morderstwo po angielsku, ale nigdy w gimnazjalnej francuszczyźnie...

- Trochę - mężczyzna miał niski, ochrypy głos. - Adwokat z Antibes powiedział, że może zrobimy razem trochę interes.

- Kiedy możemy się spotkać?

- Teraz.

- Gdzie?

- A la gare. Dworzec: Ja przy bar, w bufet.

- Za dziesięć minut - powiedział Rudolf. - Jak pana poznam?

- Ubrany jestem niebieski pantalon, marynarka brąz. Jestem mały człowiek o duży brzuch.

- Dobrze - powiedział Rudolf. - Za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę. Niebieskie spodnie, brązowa marynarka, wielki brzuch. W końcu nie wybrał tego człowieka ze względu na jego urodę czy gust w doborze ubrań. Otworzył torbę, zajrzał do niej.

Rewolwer ciągle był wewnątrz. Zamknął torbę i wyszedł.

Na dole poszedł do pokoju kasjera za recepcją i kazał sobie otworzyć swój sejf. Bank z Nowego Jorku przysłał mu dziesięć tysięcy dolarów, które wymienił na franki. Wiedział, że cokolwiek się zdarzy, dobrego czy złego, będzie to kosztowało. Spojrzał na porządne paczki banknotów, zastanowił się chwilę i wyjął pięć tysięcy franków. Schował pozostałe pliki z powrotem do sejfu i zamknął go. Potem wyszedł z hotelu i wziął taksówkę.

- La gare - powiedział. W czasie krótkiej drogi na stację, starał się o niczym nie myśleć. Niezdarnie wy dobył z kieszeni banknoty dziesięciofrankowe, kiedy podawał kierowcy napiwek, ręka mu drżała.

Zobaczył grubego niskiego mężczyznę w niebieskich spodniach i brązowej marynarce, stojącego przy barze nad szklaneczką pastisu.

- Dobry wieczór panu - powiedział podchodząc do niego.

Mężczyzna się obrócił i przyjrzał mu badawczo. Miał ciemną, tłustą twarz, niewielkie, czarne, głęboko osadzone oczy, wargi grube i wilgotne. Dziwna niebiesciutka czapeczka golfowa, za mała na niego, zsuwała się z pomarszczonego, wypukłego czoła. Nie była to ujmująca twarz ani taka, która budziłaby zaufanie w innych okolicznościach.

- Może pójdziemy spacer - powiedział mężczyzna. Miał wyraźny akcent prowansalski.
- Światło tutaj, źle na oczy.

Wyszli razem i oddalili się od dworca długą, wąską i pustą uliczką. Jakby znaleźli się o tysiące mil od jasnego festiwalowego tłumu.

- Słucham propozycje - powiedział mężczyzna.

- Czy zna pan człowieka o nazwisku Danovic? - zapytał Rudolf. - Jugosłowianina. Drobneho rzezimieszka.

- Rzezimieszka? - powtórzył mężczyzna. - Co to rzezimieszka? - voyou - powiedział Rudolf.

- Ach!

- Czy pan go zna?

Mężczyzna w milczeniu przeszedł kilka kroków. Potem potrząsnął głową.

- Może pod innym nazwiskiem. Pan myśli, jest on gdzie?

- Najpewniej w Cannes. Ostatni raz widziano go tutaj w nocnym lokalu... „La Porte Rose”.

Mężczyzna skinął głową.

- Zła miejsce. Okropnie zła.

- Tak.

- Jak go znajdę, co się dzieje?

- Dostanie pan pewną ilość franków, jeśli pan go sprzątnie.

- Sprzątnie?

- Zabije. - Na Boga, pomyślał Rudolf, czy to ja powiedziałem?

- Compris - powiedział mężczyzna. - Teraz mówimy o pieniądze. Co pan rozumie pewna ilość franków?

- Powiedzmy, pięćdziesiąt tysięcy. Około dziesięciu tysięcy dolarów, jeżeli woli pan dolary.

- Ile naprzód? Teraz. Żeby go znaleźć.

- Mam przy sobie pięć tysięcy franków. Może pan je dostać.

Mężczyzna przystanął. Wyciągnął grubą rękę.

- Teraz wziąć pieniądze.

Rudolf wyciągnął portfel i wyjął banknoty. Patrzył, jak mężczyzna przeliczał je starannie w słabym świetle oddalonej o kilka metrów latarni. Ciekawe, co by powiedział, zastanawiał się Rudolf, gdybym go poprosił o pokwitowanie. Na tę myśl o mało się głośno nie roześmiał. Miał do czynienia ze światem, w którym jedyną gwarancją była zemsta.

Mężczyzna wepchnął banknoty do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Kiedy go znajdę, ile biorę?

- Przed czy po... robocie?

- Przed.

- Dwadzieścia tysięcy. Połowę całości.

- D'accord - powiedział mężczyzna. - A potem, jak wiem, że dostanę?

- Jak pan sobie życzy.

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

- Kiedy powiem, że go znalazłem, da pan dwadzieścia pięć tysięcy do ręki prawnika.

Adwokat przeczyta w „Nice-Matin”, że on jest... jak pan powiedział?

- Sprzątnięty.

- Sprzątać, i mój przyjaciel pójdzie do gabinetu adwokata po reszta pieniędzy. Ręka?

W przeszłości Rudolf ścisnął wiele rąk, przy wielu okazjach, które potem wymagały uczczenia. Po tym uścisku jednak nie będzie żadnej celebracji.

- Bądź blisko telefon - powiedział mężczyzna, odwrócił się i szybko odszedł w kierunku stacji.

Rudolf głęboko wciągnął powietrze i ruszył powoli w stronę Croisette i swojego hotelu. Myślał o dwóch mężczyznach, którzy zaczęli się na niego na klatce schodowej

kamienicy w Nowym Jorku i którzy byli wściekli, że człowiek wyglądający tak zamożnie ma przy sobie tylko kilka dolarów. Cała nagroda za trud, jaki sobie zadali. Gdyby dziś w nocy ktoś napadł go na ciemnych ulicach Cannes, chyba zabiłby go po przeszukaniu kieszeni. Nie miał przy sobie więcej niż na kurs taksówką.

Billy'ego obudziło pukanie do drzwi. Wstał z łóżka zaspany, bosy i w piżamie, podszedł do drzwi i otworzył je. Monika w płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na ramiona jak peleryna paliła papierosa. Weszła szybko do pokoju, Billy zamknął drzwi i zapalił światło.

- Cześć - powiedział. - Zastanawiałem się, kiedy się pojawisz. - Od jej ostatniej wizyty minęły cztery dni.

- Tęskniłeś za mną? - Zrzuciła płaszcz, usiadła na rozgrzebanym łóżku i uśmiechnęła się do Billy'ego.

- Później ci powiem. Która godzina?

- Wpół do pierwszej.

- Pracujesz o dziwnej porze.

- Lepiej późno niż wcale. Nie mam racji?

- To też ci powiem później. Fakt, że wolę popołudnia.

- Stałeś się Europejczykiem.

- A co ty, u diabła, robiłaś popołudniami?

Monika uśmiechnęła się do niego z udaną skromnością. - Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Billy chrząknął.

- Widzę, że postanowiłaś dziś nie wychodzić poza stereotypy. Czy już przypomniłaś sobie nazwę hotelu, w którym zauważyłaś mojego kuzyna?

- Bardzo się staram. Czasami wydaje mi się, że już ją mam na końcu języka.

- Cholera jasna!

- Jakie przyjemne słowa - powiedziała. Rzuciła papierosa na podłogę i wdeptała go w dywan. Billy skrzywił się. Jej sposób ubierania się poprawił się znacznie, ale instynkty pani domu pozostały na poziomie brukselskim. Monika wstała, podeszła do niego, otoczyła go ramionami i pocałowała. Język dziewczyny miękko wślizgnął się w jego usta. Billy miał natychmiastową erekcję.

Starał się myśleć o czym innym: czy trzeba już zmienić olej w samochodzie, czy ma ochotę grać następnego dnia w tenisa, czy powinien dać do uprasowania wyjściową

marynarkę na premierową projekcję „Komedii restauracji” za dwa dni, ale to nic nie pomogło.

- Chodźmy do łóżka - wybełkotał.

- Zastanawiałam się, ile będziesz potrzebował czasu, żeby to powiedzieć. - Monika zaśmiała się, pewna wpływu, jaki ma na niego.

Godzinę później powiedziała:

- W nocy też nie jest tak źle, prawda?

Billy pocałował ją w szyję. Wyplątała się z jego ramion i wstała z łóżka. - Muszę już iść.

- Czemu, do diabła, nie zostaniesz na całą noc? - zapytał rozczarowany Billy. - Chociaż raz.

- Wcześniejsze zobowiązania. - Zaczęła się ubierać. Nie zajęło jej to dużo czasu. Włożyła majtki, białe, dziecinnie skromne, na opalone, kształtne nogi i wciągnęła suknię przez głowę. Billy z poczuciem krzywdy obserwował, jak wkładała pantofle i czesała włosy przed lustrem. - A propos - oświadczyła - postanowiliśmy upomnieć się o nasze długi.

Billy'ego przeszył lodowaty dreszcz, naciągnął na siebie koc.

- Co to znaczy? - zapytał próbując zachować spokój w głosie.

- Paryski dług - powiedziała, ciągle się czesząc. - Chyba pamiętasz?

Billy nic nie odpowiedział. Leżał absolutnie nieruchomo.

- Powiem ci, co masz zrobić - mówiła, rozprostowując grzebieniem zmierzwione włosy. - Za dwa dni o szóstej po południu pójdziesz do baru „Voile Vert” na ulicy d'Antibes. Będzie tam na ciebie czekał człowiek. Będzie miał przy sobie dwa czasopisma, „L'Express” i „Le Nouvel Observateur”. Będzie czytał „L'Express” a „Observateur” położy na stoliku przed sobą. Usiądziesz przy tym samym stoliku i zamówisz kieliszek wina. On wyciągnie rękę pod stołem i poda ci szesnastomilimetrową kamerę filmową.

- Tylko że to nie będzie kamera filmowa - powiedział z goryczą Billy.

- Robisz postępy.

- Czy, na miłość boską, możesz przestać się czesać?

- Weźmiesz tę kamerę, a kiedy wieczorem pójdziesz do festiwalowego kina, otworzysz ją, wyjmiesz to, co tam znajdziesz, i schowasz w miejscu nie budzącym podejrzeń. To będzie nastawione na godzinę dziewiątą czterdzieści pięć. - Monika wreszcie odłożyła grzebień i podniosła rękami włosy do góry, wyginając się tak, żeby mogła obejrzeć się w lustrze z profilu.

- Musiałaś postradać zmysły - powiedział Billy, ciągle dokładnie przykryty kocami. - O dziewiątej czterdzieści pięć wyświetlają film mojej matki.

- No właśnie. Ciebie nikt nie będzie podejrzewał. Będą tam dziesiątki fotografów z różnymi kamerami. Możesz chodzić po całym budynku i nikt cię o nic nie zapyta. Dlatego właśnie wybrano ciebie do tej roboty. Nie martw się. Nikomu nic się nie stanie.

- Znaczący, będzie to miła, nieszkodliwa, przyjacielska bomba?

- Powinieneś wiedzieć już wystarczająco dużo, żeby nie pozwalać sobie na sarkazmy wobec mnie. - Monika odwróciła się od lustra i spojrzała na niego. - O dziewiątej policja dowiedzie się przez telefon, że gdzieś w budynku jest bomba. Ewakuują wszystkich w ciągu pięciu minut. Nie chcemy nikogo zabić. Tym razem.

- A co macie zamiar zrobić? - Billy wstydził się drżenia własnego głosu.

- Demonstrację - powiedziała bezbarwnie Monika. - Demonstrację, która będzie miała największą reklamę dzięki dziennikarzom, ekipom telewizyjnym i międzynarodowym sławom deptającym sobie po piętach, żeby się stamtąd wydostać. Jeżeli istnieje coś bardziej reprezentatywnego dla zgnilizny tego systemu niż cały ten cyrk, to w każdym razie my o niczym takim nie słyszeliśmy.

- A co będzie, jeśli powiem: nie, i nie zrobię tego?

- Zajmiemy się tobą - wyjaśniła spokojnie Monika. - Jeżeli wykonasz to tak, że będziemy zadowoleni, to chyba przypomnę sobie, w jakim hotelu widziałam twojego kuzyna. Tymczasem ufam, że ty zapamiętasz: „Voile Vert”, dwa czasopisma, szósta po południu.

Dobrej nocy, chłopcze. - Podniosła swoją torebkę, zarzuciła na ramiona płaszcz i wyszła z pokoju.

Wchodząc po stopniach kina na poranną projekcję „Komedii restauracji” wraz z Gretchen, Donnellym i Rudolfem, Billy powiedział:

- Chyba usiądę na parterze razem ze zwykłymi widzami. - Inni mieli zarezerwowane miejsca na balkonie. Pocałował matkę i szepnął: - Merde!

- Co to znaczy? - zapytała zaskoczona Gretchen.

- We francuskim przemyśle rozrywkowym to samo co „powodzenia”.

Gretchen uśmiechnęła się i raz jeszcze go pocałowała.

- Mam nadzieję, że film ci się spodoba.

- Ja też - odpowiedział poważnie. Pokazał bilet człowiekowi przy wejściu i wszedł na salę. Było już pełno, choć film miał się zacząć dopiero za dziesięć minut. Miejsce nie budzące podejrzeń, myślał Billy, nie budzące podejrzeń. Wszystkie miejsca wydawały mu się w najwyższym stopniu budzące podejrzenia. Poszedł do męskiej toalety. W tej chwili nie było tam nikogo. Stał wiklinowy koszyk na papierowe ręczniki. Wystarczyłoby trzydzieści sekund,

żeby otworzyć kamerę, wyjąć bombę i schować ją. Gdyby tylko przez trzydzieści sekund mógł być sam.

Drzwi toalety otworzyły się, wszedł mężczyzna w kwiciastej koszuli, podszedł do pisuaru. Billy ostentacyjnie mył ręce, zdjął papierowy ręcznik i wytarł je. Potem wyszedł z toalety, znalazł miejsce w pierwszych rzędach, gdzie było jeszcze kilka wolnych foteli. Nie był pewny, czy w tym stanie wytrzyma w ogóle do końca filmu, i to był jeden z powodów, dla których nie chciał siedzieć na seansie obok matki. Ale kiedy film się zaczął, zaabsorbował go natychmiast i Billy nawet śmiał się wraz z publicznością przy scenach komediowych. A gra Wesleya zadziwiła go. Był to wprawdzie Wesley, ale Wesley, który w jakiś sposób przysłonił czyjś charakter swoim własnym, stał się chłopcem skrytym i osaczonym, objawiającym w rzadkich chwilach emocji fragmenty swojego wnętrza spojrzeniem, ruchem głowy, wymamrotaną sylabą, i przez cały czas tak uderzająco przystojny, z elementem słodczy i wrażliwości nawet w momentach, kiedy scenariusz wymagał brutalności i cynicznego postępowania.

Kiedy zgasło słowo „koniec”, aplauz był długi i gorący, znacznie większy niż na innych filmach, o których Billy słyszał od chwili otwarcia festiwalu. Ludzie zaczęli się obracać do tyłu, klaszcząc, i zobaczył, że biją brawa jego matce, która z nieśmiałym uśmiechem stała przy poręczy balkonu. Billy, bliski łez, klaskał równie gorąco jak najbardziej entuzjastyczni z jego sąsiadów. Wychodząc z sali, wzruszony osiągnięciami matki, zastanawiał się, co spowodowało, że przez wszystkie lata tak okropnie się wobec niej zachowywał.

Na bulwarze Croisette dostrzegł grupę młodych ludzi zbierających autografy od mężczyzny, który był do niego odwrócony plecami.

Ktokolwiek to był, zasłaniał go całkowicie wysoki, potężny chłopak w niebieskich dżinsach. Zaciekawiony Billy podszedł do grupki. I zatrzymał się. To Wesley podpisywał programy, notesy, kartki papieru. Billy się uśmiechnął. Kabotyn, pomyślał, powinienem być wiedzieć, że nie oprze się chęci obejrzenia siebie. Jak najgrzeczniej przepchnął się przez niewielki tłumek wokół Wesleya, który właśnie pochylał się nad notatnikiem, jaki podawała mu niska dziewczyna w cygańskiej spódnicy.

- Panie Jordan - zaczął Billy wysokim kobiecym głosem - czy mógłby mi pan podpisać program? Uważam, że był pan wspaniały.

Wesley podniósł głowę znad autografów.

- Wypchaj się, Billy - powiedział, ale na twarzy miał uśmiech pełen zadowolenia.

- Billy stanowczo wziął Wesleya za ramię.

- To wszystko na razie, chłopcy i dziewczęta - powiedział głośno.

- Pan Jordan musi iść na górę na konferencję prasową. Proszę za mną. - Ruszył do przodu, ciągle trzymając ramię Wesleya. Wesley przez moment się opierał, aż wreszcie poszedł za Billym. - Dzisiaj matka potrzebuje właśnie ciebie i nie możesz sprawić jej zawodu.

- Tak - przyznał Wesley. - Jezu, ona jest cudowna, prawda?

- Cudowna. I to jej powiesz. Ty też byłeś w tym całkiem cudowny, wiesz?

- Niezły - powiedział z satysfakcją Wesley, z uśmiechem już na stałe przyklejonym do twarzy.

Kiedy czekali na windę, by wjechać na górę do sali konferencyjnej, Billy zapytał cicho:

- Udało ci się znaleźć tego człowieka?

Wesley pokręcił głową.

- Nie sądzisz, że już pora o tym zapomnieć?

Wesley w końcu przestał się uśmiechać.

- Nie, nie pora.

- Gwiazdy filmowe nie mordują ludzi.

- Nie jestem gwiazdą filmową - uciął krótko Wesley.

- Teraz każdy w Cannes zna twoją twarz. Nawet muchy nie uda ci się zabić bez świadków, a co dopiero człowieka. - Musiał urwać, bo jeszcze dwoje ludzi podeszło do windy.

W sali konferencyjnej wypełnionej dziennikarzami i fotografami Gretchen zaczynała właśnie mówić, kiedy weszli Billy i Wesley.

Zobaczyła ich natychmiast i przerwała.

- Panie i panowie - zaczęła nie w pełni panując nad swoim głosem - mam dla was przyjemną niespodziankę. Właśnie wszedł do pokoju jeden z najbardziej obiecujących młodych aktorów, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Wesley, czy możesz tu podejść.

- O Chryste - wymamrotał cichutko Wesley.

- Idź tam, idioto. - Billy pchnął go w kierunku podniesionej estrady, na której stała Gretchen. Wesley powoli przecisnął się przez tłum i wszedł na podwyższenie. Gretchen pocałowała go, a potem zwróciła się do zebranych: - Mam przyjemność przedstawić Wesleya Jordana.

Rozległy się gromkie oklaski, trzaskały flesze, a na ustach Wesleya pojawił się tym razem trochę sztywny uśmiech. Billy wyslizgnął się z pokoju. Idąc szybko w stronę wind, słyszał nie milknące brawa.

Wyszedłszy na zewnątrz, skręcił z bulwaru Croisette, wstąpił do kawiarni, zamówił piwo, pociągnął łyk, poprosił o żeton telefoniczny i zszedł do podziemi, gdzie były kabiny. Poszukał w książce prefecture de police, znalazł numer i nakręcił go. Męski głos powiedział: - Allo.

- Dziś wieczorem w kawiarni „Voile Vert” na ulicy d'Antibes - powiedział po francusku z mocnym południowym akcentem, którego używał tylko na przyjęciach, by zabawić gości - znajdziecie mężczyznę siedzącego przy stoliku z egzemplarzem „L'Express” w ręku i „Le Nouvel Observateur” na stoliku przed nim...

- Chwileczkę - policjant mówił głosem podnieconym i zaczął się jąkać. - Kto mówi? Czego pan chce?

- Na podłodze pod stołem - kontynuował Billy - znajdziecie bombę.

- Bombę? - wykrzyknął mężczyzna. - Co pan mówi? Jaką bombę?

- Będzie nastawiona na dziewiątą czterdzieści pięć - powiedział Billy. - O szóstej. W „Voile Vert”.

- Chwileczkę. Muszę... - policjant krzyczał głośniejsze.

Billy odłożył słuchawkę, wrócił do baru i dopił swoje piwo.

Po wieczornym pokazie filmu siedzieli w saloniku Gretchen, pijąc szampana, a Simpson, spec od reklamy, mówił:

- Zabierzemy wszystko, za najlepszy film, najlepszą aktorkę, najlepszą rolę drugoplanową, gwarantuję. - Simpson był wysokim, chudym mężczyzną o posępnej, pokrytej bliznami twarzy, a kiedy mówił, wymachiwał rękami. - Zwykle patrzę na sprawy od najgorszej strony, ale tym razem... - Pokręcił głową zadziwiony, jakby ogrom powierzonego mu skarbu przekraczał jego zdolność pojmowania. - Przyjeżdżam do Cannes od piętnastu lat i mówię wam, nigdy nie widziałem tak entuzjastycznej publiczności. Co do pana, młody człowieku - zwrócił się do Wesleya, który siedział na sofie obok Billy'ego w wieczorowej marynarce, zbyt krótkiej i za ciasnej, wypożyczonej na ten wieczór przez specja od reklamy - co do pana, dałbym głowę, że wróci pan do domu z nagrodą.

Wesley siedział na sofie z kieliszkiem szampana w ręce i przyklejonym uśmiechem na twarzy. Billy wstał i nalał sobie piątą kieliszek szampana. Przez połowę filmu siedział wpatrując się tępo w ekran. Obrazy nie miały dla niego żadnego sensu, a dialogi wydawały się wychodzić z ust aktorów jak ciągi nonsensownych sylab. Nie przestawał patrzeć na zegarek aż do dziewiątej czterdzieści pięć, potem zsunął się na krzesło i zamknął oczy.

Gretchen, blada i wyczerpana, nerwowo bawiła się pierścieniem, zdejmując go i

wkładając na palec. Szampan, który nalał jej Billy, stał nie tknięty w kieliszku na stole. Przez cały wieczór prawie się nie odzywała. Siedzący obok niej Rudolf od czasu do czasu pocieszająco poklepywał ją po ramieniu. Donnelly, oparty o kominek, pociągał się za brodę, wydawał się znudzony wylewnością specja od reklamy.

- Jutrzejszy dzień będzie bardzo wypełniony - mówił Simpson. - Dla Gretchen i Wesleya. Wszyscy, ale to wszyscy, będą chcieli z wami porozmawiać i zrobić zdjęcia. O dziewiątej rano dam wam program i...

Rudolf i Donnelly wymienili spojrzenia, potem Rudolf wstał i przerwał Simpsonowi.

- Jeżeli to ma być wielki dzień, to myślę, że Gretchen najlepiej zrobi, jak trochę odpocznie. Powinniśmy teraz wszyscy ją zostawić.

- To dobry pomysł - powiedział Donnelly.

- Oczywiście - przyznał Simpson. - Tylko że jestem taki tym wszystkim podniecony, że...

- Doskonale rozumiemy - powiedział Rudolf. Pochylił się i pocałował Gretchen. - Dobranoc, siostrzyczko.

Gretchen uśmiechnęła się do niego blado. Kiedy wszyscy szykowali się do wyjścia, wstała, podeszła do Donnelly'ego, wzięła go za rękę i powiedziała:

- David, czy mógłbyś chwilę zostać?

- Oczywiście. - Donnelly popatrzył surowo na Billy'ego.

Billy próbował się uśmiechnąć, potem pocałował policzek Gretchen.

- Dzięki, mam, za wspaniały dzień.

Gretchen na chwilę złapała go za rękę i wybuchnęła łkaniem.

- Wybacz - powiedziała. - To... po prostu... to dla mnie zbyt wiele. Rano już będę się czuła dobrze. - Wesley otworzył drzwi i miał właśnie wyjść, kiedy Gretchen zawołała: - Wesley, nie znikniesz znowu, co?

- Nie, madame. Jeśli będzie mnie pani potrzebowała, jestem dwa piętra niżej. - Rudolf próbował umieścić go w pokoju razem z Billym, ale Billy powiedział, że boi się spać na łóżku obok Wesleya. Trudno przewidzieć, co ten szalony chłopak może zrobić nawet w taką noc jak ta. Nie powiedział Rudolfowi, czego się bał naprawdę, i przy odrobinie szczęścia Rudolf może się nigdy o tym nie dowiedzieć.

Kiedy czterej mężczyźni po wyjściu od Gretchen szli korytarzem, Rudolf powiedział:

- Nie chce mi się spać. Ja też mam w pokoju butelkę szampana.

Pomożecie mi ją wypić?

- Muszę się z kimś spotkać w sprawie jutrzejszego dnia - powiedział Simpson - ale

wy, chłopcy, wypijcie. - Stał oparty plecami o ścianę windy, wychudzony i ponury, skazany przez całe życie na chwalenie innych, nigdy siebie. Uniósł wymownie rękę w geście pożegnania, kiedy Rudolf z dwoma kuzynami opuszczali go, by przy butelce szampana nadal celebrować ten wieczór. On musiał przygotować się na rano.

Mocując się z korkiem butelki szampana Rudolf zauważył, że Wesley rzuca spojrzenia na zamkniętą torbę stojącą na krześle pod oknem.

- Założę się - zaczął Wesley, kiedy korek już wyskoczył i Rudolf nalewał trunek - założę się, że to jest właśnie tam.

- Co jest właśnie tam? - zapytał Rudolf.

- Wiesz, o czym mówię.

- Wypij swój szampan. - Rudolf podniósł kieliszek.

Wesley starannie odstawił kieliszek, sięgnął do kieszeni pożyczonej wieczorowej marynarki i wydobył małego rewolwer.

- Tamten nie jest mi już potrzebny - powiedział bezbarwnie. - Zachowaj go na pamiątkę.

- Szalony jak zwykle - wtrącił Billy.

- Wypiję za to - powiedział Wesley.

Wypili.

Wesley schował rewolwer do kieszeni.

- A więc - powiedział Rudolf - siedziałeś w kinie obserwując własną grę, a potem kłaniałeś się, mając to cały czas w kieszeni?

- Tak - powiedział Wesley. - Nigdy nie wiesz, kiedy może objawić się cel.

Rudolf zmarszczył brwi i przechadzał się po pokoju.

- Wesley, co by było, gdybym ci powiedział, że ta sprawa będzie załatwiona i ty nie będziesz musiał mieć z tym nic wspólnego?

- Co to znaczy? Załatwiona?

- To znaczy, że właśnie teraz, kiedy my tu w pokoju pijemy szampana, zawodowy morderca szuka tamtego człowieka.

- Powiedziałbym, że nie życzę sobie, żeby ktokolwiek wykonywał za mnie moją robotę - powiedział zimno Wesley - i nie chcę już więcej prezentów od ciebie ani od nikogo innego.

- Zamierzam pozostać w Cannes do końca festiwalu - powiedział Rudolf. - To tylko dziesięć dni. Jeżeli do tej pory robota nie będzie wykonana, wracam do domu i rezygnuję. Chcę tylko, żebyś mi obiecał, że nic nie zaczniesz do tego czasu. Potem możesz robić co

chcesz.

- Niczego nie obiecuję - powiedział Wesley.

- Wesley... - zaczął Billy.

Wesley gwałtownie obrócił się w jego stronę.

- Trzymaj się od tego z dala. Już dosyć namieszałeś...

- Uspokójcie się. Obydwaj - przerwał mu Rudolf. - I jeszcze jedno, Wesley. Któregoś dnia dzwoniła twoja przyjaciółka, panna Larkin.

Jej też wiele zawdzięczasz.

- Więcej, niż przypuszczasz - rzekł Wesley. - Co miała do powiedzenia?

- Chce tutaj przyjechać. Sądzi, że dostanie urlop na dwa tygodnie.

Czeka na telefon od ciebie.

Wesley dopił kieliszek szampana.

- Niech poczeka - powiedział.

- Powiedziała, że wiedziałeś o możliwości jej przyjazdu. Że chciałeś, żeby przyjechała.

- Myślałem, że do tej pory wszystko będzie skończone. Ale nie jest. Zobaczę się z nią innym razem.

- Do diabła z tym - warknął Rudolf. - Nie mam zamiaru grać jeszcze dodatkowo roli Kupidyna. Skończmy tę butelkę. Chcę się trochę przespać.

- Co będziesz teraz robił? - zapytał Billy Wesleya, kiedy stali sami przed wejściem do hotelu.

- Nocny patrol. Chcesz pójść ze mną?

- Nie.

Wesley spojrzał na Billy'ego pytająco.

- Co myślisz o tym wszystkim?

- Boję się sakramencko. O nas wszystkich.

Wesley z powagą skinął głową.

- Pójdę z tobą aż do parkingu - powiedział Billy. - Zapomniałem założyć dach, a zanoszą się na deszcz.

Wesley pomógł przy zakładaniu dachu. Billy podkręcił okna.

- Wesley, ciągle uważam za dobry pomysł, żebyśmy razem pojechali do Paryża, grając po drodze w tenisa i urządając fiesty. Możesz się tam umówić z twoją dziewczyną. Tutaj po kilku dniach oszalejesz. W końcu dziesięć dni wcześniej czy później, co to za różnica?

- Będę grał z tobą w tenisa, Billy. Tutaj. Dobranoc, bracie.

Billy obserwował oddalającą się wysoką postać w ciemnym ubraniu, z niewielkim wybrzuszeniem w kieszeni. Pokręcił głową i wrócił do hotelu. Zamknął drzwi pokoju na dwa zamki.

Następnego ranka obudził się wcześniej i zadzwonił po gazety.

Goniec przyniósł specjalne festiwalowe biuletyny i „Nice-Matin”.

Na tytułowej stronie widniało zdjęcie znajomo wyglądającego mężczyzny. Miał ciemne okulary i stał między dwoma policjantami.

To był przyjaciel Moniki od mrozonek z Dusseldorfu. Billy przeczytał, że w wyniku anonimowego telefonu owego mężczyznę aresztowano i znaleziono przy nim bombę ukrytą w kamerze filmowej.

W artykule napisano, że mężczyzna, który telefonował, mówił z wyraźnym południowym akcentem.

Billy się uśmiechnął. Wesley, pomyślał, nie jest jedynym aktorem w rodzinie.

Następnego ranka grali w tenisa w spokojnym klubie w Juan-les-Pins. Przyjechali tu odkrytym samochodem. Wesley, ubrany w niebieskie dżinsy, wypłowiałą bawełnianą koszulkę i tweedową kurtkę, z pogniecionymi mankietami, nie przypominał aktora, któremu prasa przepowiadała ekscytującą karierę. Billy z niesmakiem dotknął wybrzuszenia jego kurtki i zapytał:

- Nie możesz zostawić tego świństwa w hotelu, kiedy masz grać w tenisa? Napędzasz mi stracha. Mam uczucie, że wyciągniesz to i zastrzelisz mnie, jeżeli zbyt często będę zdobywał punkty jednym uderzeniem.

Wesley uśmiechnął się błogo.

- Nigdy się z nim nie rozstaję. - Kiedy wyszli na kort, miał marynarkę zarzuconą na strój tenisowy, a zanim zaczęli grać, ułożył ją starannie na ławce w pobliżu siatki, żeby cały czas mieć ją na oku.

Pierwszego dnia Wesley grał z tym samym dzikim zapamiętaniem, uderzając szaleńczo piłkę, która trafiała najczęściej w siatkę albo poza kort. Po dwóch godzinach takiej gry Billy powiedział:

- Wystarczy na dzisiaj. Gdybyś był równie kiepskim aktorem, nie pozwoliliby ci nawet obejrzeć filmu, choćbyś zapłacił za bilet.

Wesley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Młodzieńcza brawura - powiedział narzucając tweedową marynarkę na przeupoconą koszulkę. - Obiecuję poprawę.

- Od kiedy?

- Od jutra.

Kiedy poszli wziąć prysznic, w szatni nie było nikogo, jednak Wesley uparł się, żeby Billy siedział i pilnował jego marynarki, w czasie gdy on będzie w kabinie.

- Robiłem w życiu różne głupie rzeczy - skarżył się Billy - ale po raz pierwszy wynajęto mnie jako szatniarza. - Billy siedział na ławce na wprost szafek, kiedy Wesley się rozbierał, mięśnie jego pleców rysowały się wyraźnie, długie nogi miały wspaniałe proporcje.
- Gdybym był tak zbudowany, znalazłbym się w finałach Wimbledonu.

- Wszystkiego mieć nie można. Ty masz rozum.

- A ty?

- Nie ma się czym chwalić.

- Daleko zajdziesz w wybranym zawodzie.

- Jeśli go wybiorę - powiedział Wesley idąc do kabiny z prysznicem.

Po chwili Billy usłyszał ponad pluskaniem wody głos Wesleya podśpiewującego: „Krople deszczu padają na moją głowę”. Wesley miał mocny, dobry głos i prawdziwy talent do frazowania tekstu.

Jeszcze i to, pomyślał Billy, poza wszystkimi innymi talentami.

Jedno jest pewne: gdyby ktokolwiek wszedł do szatni, zobaczył i usłyszał Wesleya, zachowującego się tak bez troski, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałby, że ten chłopak w dzień i w nocy nosi przy sobie rewolwer.

Kiedy szli do samochodu zaparkowanego w cieniu drzew za klubem, Billy powiedział:

- Jeśli przepieprzysz to wszystko, moja matka nigdy ci nie przebaczy. Zresztą ja także.

Wesley nic nie odpowiedział, wślizgnął się na siedzenie pogwizdując melodię ze swojego filmu.

Wesley dotrzymał obietnicy i następnego dnia grał spokojniej.

Wydawało się, że nagle odnalazł sens taktyki gry, zmieniał odbicia, grał na punkty, nie próbując zabić każdej piłki. Po dwóch godzinach Billy był kompletnie wyczerpany, chociaż wygrał wszystkie cztery sety. Wesley nie miał nawet przyspieszonego oddechu, mimo że biegał znacznie więcej od Billy'ego. I jeszcze raz Billy musiał pilnować marynarki, kiedy Wesley brał prysznic.

Trzeciego dnia mogli grać tylko przez godzinę, bo Billy obiecał wrócić wcześniej, żeby Gretchen z Donnellym mogli pojechać samochodem na obiad do Mougins. Od czasu projekcji filmu Gretchen nie mogła spędzić w Cannes nawet piętnastu spokojnych minut, i

zaczynała już odczuwać zmęczenie.

Całą godzinę zajęło im rozegranie jednego seta, Billy musiał walczyć o każdy punkt, chociaż wygrał sześć do trzech.

- No - powiedział w drodze do szatni - zaczynam żałować, że posłuchałeś mojej rady i zmieniłeś styl gry. Wykończysz mnie, jeżeli dalej tak pójdzie.

- Dziecinna igraszka. - Wesley był zadowolony z siebie.

Ubierali się właśnie po wzięciu prysznic, kiedy usłyszeli na zewnątrz eksplozję.

- Co to, u diabła? - zapytał Billy.

Wesley wzruszył ramionami.

- Może gaz.

- To nie był gaz - powiedział Billy. Czuł się niepewnie i musiał na chwilę usiąść. Siedział tak bez koszuli, kiedy do szatni wbiegł szef klubu. - Monsieur Abbott - zawołał głosem wysokim i przerażonym, jękał się - lepiej niech pan szybko przyjdzie. To pana samochód... To straszne...

- Zaraz tam będę - powiedział Billy, ale jeszcze przez chwilę nie ruszał się z miejsca. W oddali słychać było nadjeżdżający samochód z syreną policyjną. Billy włożył koszulę i powoli, starannie zapinał guziki. Wesley tymczasem szybko naciągał dżinsy.

- Wesley - powiedział Billy - nie chodź tam.

- Co to znaczy: nie chodź tam?

- Słyszałeś, co powiedziałem. Policja będzie tu za kilka sekund. - Billy mówił szybko, wypływając słowa. - Będziesz we wszystkich gazetach. Zostań tutaj. I schowaj ten swój pieprzony rewolwer. W jakimś niewinnym miejscu. A gdyby ktoś cię o coś pytał, nic nie wiesz.

- Przecież nie wiem nic... - zaczął Wesley.

- W porządku. I niech tak zostanie. Teraz muszę iść i zobaczyć, co się stało. - Billy dokończył zapinanie koszuli i bez pośpiechu wyszedł z szatni.

W stronę drzew za klubem, gdzie był zaparkowany samochód, zaczęli napływać ludzie z sąsiednich bloków. Niewielki samochód policyjny z włączoną syreną wjechał przez bramę klubu i zatrzymał się na podjeździe. Wsiadło z niego dwóch policjantów, którzy pobiegli w stronę parkingu. Podszedłszy bliżej Billy zauważył, że jego samochód rozpadł się na części, ma oderwane koła, a maskę odrzuconą kilka metrów od reszty nadwozia. Ludzie stojący dokoła zasłaniaли Billy'emu całą scenę, ale mógł dostrzec i usłyszeć dziko gestykującą kobietę, wykrzykującą do policjanta, że kiedy wchodziła przez bramę klubu, widziała jakiegoś mężczyznę pochylonego nad otwartą maską samochodu, a w kilka sekund później,

po minięciu bramy, usłyszała eksplozję.

W głośnym szmerze podnieconych rozmów Billy usłyszał, jak jeden z policjantów pyta szefa klubu tenisowego, kto jest właścicielem samochodu, i zobaczył, że szef, odpowiadając na pytanie, wskazuje na niego. Billy przepchnął się przez tłum i dopiero wtedy zobaczył ciało mężczyzny leżącego twarzą w dół, pokierszowane i pokrwawione, a obok chłodnicę Peugeot.

- Messieurs - powiedział Billy - to mój samochód.

- Gdyby nie było szefa klubu, który wiedział, że Billy zna francuski, mógłby udawać, że mówi tylko po angielsku.

Kiedy dwaj policjanci zaczęli odwracać ciało mężczyzny, Billy patrzył w bok. Ludzie w tłumie cofnęli się, jakaś kobieta krzyknęła.

- Monsieur - jeden z policjantów zwrócił się do Billy'ego - czy poznaje pan tego człowieka?

- Wolałbym nie patrzeć - powiedział Billy z głową ciągle odwróconą.

- Bardzo proszę, monsieur. - Policjant był młody, twarz miał bladą ze strachu i obrzydzenia. - Musi pan nam powiedzieć, czy zna pan tego człowieka. Jeśli pan teraz nie spojrzy, będzie pan musiał później przyjść do kostnicy i wtedy go obejrzyć.

Drugi policjant klęczał nad ciałem, przeszukując kieszenie. Wstał i pokręcił głową: - Żadnych papierów.

- Proszę, monsieur - nalegał młody policjant.

Wreszcie, obracając powoli głowę, świadom najpierw przerażonych twarzy gapiów, potem wierzchołków drzew i niebieskości nieba, Billy zmusił się do spojrzenia w dół. W miejscu klatki piersiowej mężczyzny widniała ogromna czerwona dziura, twarz była poszarpana, zastygły grymas utrzymywał wyłamane zęby w zwęglonych ustach, Billy rozpoznał jednak tę twarz. Był to mężczyzna, którego znał w Brukseli jako George'a.

Billy pokręcił głową.

- Przykro mi, messieurs. Nigdy nie widziałem tego człowieka.

CZEŚĆ CZWARTA

Billy siedział przy swoim biurku w niemal opustoszałym dziale miejskim i wpatrywał się w maszynę do pisania.

Był późny wieczór, wykonał już swoją pracę na ten dzień i mógł iść do domu. Ale jego dom to była paskudna jednopokojowa pracownia w pobliżu uniwersytetu, gdzie nie ma nikogo, kto by go powitał. Był to wynik świadomego wyboru. Od czasu Juan-les-Pins Billy unikał wszelkiego rodzaju towarzystwa.

Na biurku leżał gruby list od wuja Rudolfa z Cannes. Leżał tak nie otwarty na biurku przez trzy dni. Wuj pisał zbyt wiele listów z kuszącymi opisami fascynującego życia i wysokich pensji dla zdolnych młodych ludzi w Waszyngtonie, gdzie spędzał teraz większą część czasu, wykonując jakąś niepłatną, ale na pozór ważną pracę dla Partii Demokratycznej... Nareszcie jego nazwisko zaczęło się pojawiać w prasie, powiązane z Helen Morison i senatorem z Connecticut, któremu towarzyszył w misjach do Europy.

Billy sięgał właśnie po list wuja, kiedy na jego biurku zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę:

- Mówi Abbott.

- Billy, tu Rhoda Flynn. Kobięcy głos słyhać było na tle muzyki i ożywionych konwersacji.

- Halo, Rhoda. - Rhoda była ładną dziewczyną i początkującym reporterem w gazecie. Radziła sobie znacznie lepiej niż on, i miała już swoją rubrykę. Próbowwała flirtować z Billym, ilekroć wpadli na siebie w redakcji.

- Jest takie małe przyjęcie u mnie w domu - powiedziała dziewczyna - i przydaliby się nam dodatkowi mężczyźni. Więc pomyślałam, że jeśli nic nie robisz...

- Przykro mi, Rhoda, ale jeszcze pracuję. Może innym razem.

- Innym razem. - Rhoda wydawała się rozczarowana. - Nie pracuj zbyt ciężko. Wiem, ile ci płacą, nie powinienes ich rozpaskudzać.

- Dziękuję za radę. Nic nie wskazuje na to, żeby uważali, że ich rozpaskudzam. Baw się dobrze.

Billy odłożył słuchawkę, popatrzył na maszynę do pisania. Ciszę w pokoju przerywał tylko daleki stuk teleksów, w uszach dźwięczały mu ciągle odgłosy wesołej zabawy, usłyszane przez telefon.

Chętnie poszedłby na to przyjęcie, porozmawiał swobodnie z ładną dziewczyną, ale nie mógł jej powiedzieć tego, co naprawdę chciał.

Co, do diabła, pomyślał, skoro nie mogę porozmawiać z nikim innym, mogę przecież rozmawiać z sobą.

Wkręcił do maszyny kartkę papieru i zaczął pisać.

To jest do notatnika 1972. Z różnych powodów nie pisałem nic od czasu Hiszpanii, a teraz jestem w Chicago, samotny, anonimowy i przestraszony, i myślę, że są pewne rzeczy, które powinien powiedzieć mężczyzna z mojego pokolenia i o tak szczególnym życiorysie, bo może kiedyś z zainteresowaniem przeczytają to inni młodzi mężczyźni. Jak mawiał pułkownik w Brukseli: „Jesteśmy na pierwszej linii cywilizacji.” Jeżeli miało to sens w Brukseli, to musi mieć również w Chicago. Przekazy z tak ważnych pozycji powinny zostać, aby ci, którzy przeżyją, o ile w ogóle będą tacy, mogli je znaleźć.

Przerwał pisanie, przeczytał tekst i przypomniał sobie usłyszaną od kogoś wiadomość, że pułkownika pominięto przy rozdawaniu gwiazdek, więc kiedy przeszedł w stan spoczynku, przeniósł się do Arizony, gdzie przez cały rok może grać w tenisa. Potem znów zaczął pisać bardzo szybko.

Staję się historyczny. A może nie. Wydaje mi się, że jestem permanentnie śledzony. Wydaje mi się, że widzę mężczyzn i kobiety, których nigdy przedtem nie widziałem, przyglądających mi się natrętnie w restauracjach. Nabrałem zwyczaju niespodziewanego oglądania się za siebie, kiedy idę ulicą. W ciągu sześciu miesięcy cztery razy zmieniłem mieszkanie. Do tej pory nie przyłapałem nikogo. Może po prostu gnębią mnie jakieś przecucia i ma to być ostrzeżenie na przyszłość. Może czas jest kołem, nie spiralą, i ktoś idzie po kole w przeciwną stronę. Nerwica Williama Abbotta dotychczas nie rozpoznana przez naukę. Jeżeli zostanę zabity lub umrę w dziwnych okolicznościach, odpowiedzialna za to będzie kobieta, która nazywała się Monika Wolner, kiedy pracowała jako tłumacz w NATO, w okresie mojej służby w wojsku w Brukseli, a Monika Hitzman, kiedy spotkałem ją później w klubie El Faro w pobliżu Malagi w Hiszpanii. Była, a przypuszczam, że jest w dalszym ciągu, członkiem organizacji terrorystycznej, która działała i pewno jeszcze działa w całej Europie, w powiązaniu, być może, z podobnymi organizacjami w Ameryce.

Człowieka, którego znaleziono martwego, kiedy przypadkiem wysadził się w powietrze, instalując bombę w moim samochodzie w Juan-les-Pins we Francji, znałem jako George'a. Był szefem komórki, do której należała Monika Wolner-Hitzman, i specjalistą od broni lekkiej, a do czasu wypadku, który spowodował jego śmierć, uważano go za eksperta w

przygotowywaniu ładunków wybuchowych.

Piszę to w dziale miejskim „Chicago Tribune”, gdzie pracuję od sześciu miesięcy dzięki przyjaźni mojego ojca z jednym z redaktorów. Mój ojciec będzie wiedział, gdzie znaleźć ten trochę przydługi notatnik. Razem z książkami, papierami, starymi ubraniami i innymi rupieciami, jakie nagromadziłem w moich podróżach. Trzymam ten notatnik w schowku w piwnicy mieszkania ojca, bo w moim małym pokoiku nie ma na to miejsca. Ojciec wie, że w schowku mam jakieś swoje papiery, ale nigdy ich nie czytał.

Dałem mu do zrozumienia, że to szkic do powieści, do której napisania ciągle mnie namawia.

Odkąd wyjechałem z Cannes, gdzie przeszedłem dość ostre przesłuchania we francuskiej policji, która słusznie podejrzewała jakieś powiązania między mną i mężczyzną znanym mi jako George, ale nie mogła mi nic udowodnić, nie widziałem nikogo z mojej rodziny, powodowany bardziej strachem o to, co im się może stać w moim towarzystwie, niż brakiem uczuć. Prześladowuje mnie myśl, że w jakieś dwadzieścia minut po wybuchu bomby miałem pożyczyć samochód mojej matce i jej przyjacielowi, żeby pojechali na obiad; ale dziś po raz pierwszy zdobyłem się na to, by pisać o tym, co zdarzyło się na Côte d'Azur.

Jeszcze raz przestał pisać i przypomniał sobie godziny spędzone z dwoma detektywami, którzy przesłuchiwali go najpierw uprzejmie i ze współczuciem, a potem ostro i z otwartą wrogością. Grozili, że go zaarrestują, ale Billy wiedział, że bluffują, i powtarzał w kółko: „Odpowiadając na wasze pytania, mogę powtórzyć, że jestem w Cannes tylko po to, żeby obejrzeć film mojej matki, że nigdy przedtem nie widziałem tego mężczyzny i że nie wiadomo mi o tym, że mam wrogów. Mogę tylko przypuszczać, że ten człowiek popełnił jakąś tragiczną pomyłkę.”

Wreszcie policjanci załamali się i wypuścili go z ostatnim ostrzeżeniem, że sprawa nie jest zamknięta, a między Stanami Zjednoczonymi i Francją istnieje układ o ekstradycji.

Rudolf spojrzał na niego dziwnie; ale po owej historii z rewolwerem wyposażonym w tłumik można się było tego spodziewać.

- Masz szczęście - powiedział następnego dnia na lotnisku, zanim wsiedli do samolotu lecącego do Nowego Jorku. - Tak trzymaj.

- Nie ma obawy - odpowiedział mu na to.

Wesley, który był z nimi i który już się nie uśmiechał, w zamyśleniu potrząsnął głową, ale się nie odezwał.

Gretchen nie mogła przyjść na lotnisko. Kiedy się dowiedziała o bombie, a trudno byłoby to przed nią ukryć, załamała się i położyła do łóżka. Przywołany lekarz stwierdził, że

ma wysoką gorączkę, chociaż nie był w stanie postawić diagnozy. Polecił jej pozostanie w łóżku przez co najmniej pięć dni.

Kiedy Billy wszedł do jej pokoju, żeby się pożegnać, doznał szoku na widok matki. Jej twarz była sinobiała, wydawało się, że cała Gretchen zmniejszyła się w ciągu kilku godzin. Prawie niedostłyszalnym głosem powiedziała:

- Billy, zrób to dla mnie i uważaj na siebie.

- Będę uważał - obiecał, pochylił się nad nią i pocałował rozpalone czoło.

Teraz wspominając to potrząsnął głową i znów zaczął pisać.

Gdybym mógł powiedzieć całą prawdę glinom, może daliby mi Legię Honorową. W końcu przyczyniłem się do zniszczenia a w każdym razie osłabienia gangu morderców terroryzujących całą Europę. Oczywiście zrobiłem to przypadkiem, ale przypadki się liczą, może bardziej niż cokolwiek innego. Cała historia naszej rodziny jest ciągiem przypadków, dobrych i złych. Może takie są historie wszystkich rodzin.

Mimo że staram się unikać spotkań z moimi krewnymi, oni piszą do mnie często, informując na bieżąco o swoich sprawach. Odpisuję im w pogodnych i rozgadanych listach, udaję, że mój ojciec prawie cały czas jest trzeźwy, a ja świetnie sobie radzę w gazecie. Nie jest to prawda, bo zajmuję się drobnymi sprawami kryminalnymi.

Chociaż nie udaję przed moim ojcem, że powieść, nad którą pracuję, będzie drugą „Wojną i pokojem” czy nawet wielką amerykańską powieścią, zwiierzam mu się, że chyba rozwija się ona ku mojemu zadowoleniu.

Wuj Rudolf, który, jest lepiszczem, wybawcą, sumieniem i aniołem stróżem naszej rodziny, mimo że teraz w swym wiecznym dążeniu do spełniania dobrych uczynków krąży pomiędzy Long Island, Connecticut Waszyngtonem i stolicami Europy, znajduje czas na wysyłanie długich listów, pełnych przestroż i porad, do których nikt z nas się nie stosuje. Jest najbardziej zapalonym epistolografem i od niego właśnie dowiaduję się o różnych poczynaniach jego samego, mojej matki, która jest teraz panią Donnelly, kuzyna Wesleya, który został w Cannes i znalazł sobie pracę majtka na jachcie. Wuj Rudolf znajduje czas, by odwiedzać Wesleya w Cannes, w związku ze sprawą, która...

Billy przestał pisać wstał i obszedł dokoła biurko. Potem znów usiadł, spojrzął na kartkę papieru w maszynie i zaczął znów stukać, tym razem znacznie wolniej.

Nawet teraz wydaje mi się, że byłoby rozsądniej nie zajmować się obsesją Wesleya.

Wszyscy, moja matka, wuj i ja, próbowaliśmy wyciągnąć Wesleya z Côte d'Azur. Mówiąc delikatnie, nikt z nas nie ma stamtąd najlepszych wspomnień. Nawet festiwal okazał się rozczarowaniem. Wbrew przepowiedniom specja od reklamy jury nic nikomu nie przyznało i na szczęście dla pana Simpsona nikt nie wziął poważnie jego zakładu, w którym stawiał swoje lewe jajo, że Wesley dostanie nagrodę. Matka, która ma zacząć kręcenie drugiego filmu, twierdzi, że Wesley odmówił zagrania w nim roli i zarobienia mnóstwa pieniędzy, odrzucił także propozycje innych poważnych ról z innych wytwórni. Na razie Wesley jest bez wątpienia potencjalnie najbogatszym majtkiem na Morzu Śródziemnym.

W ostatnim liście napisał, że kiedy załatwi to, co muszę ciągle nazywać jego sprawą na Lazurowym Wybrzeżu, popracuje w filmie wystarczająco długo, żeby zarobić na statek i urządzić się tak jak jego ojciec, jako kapitan czarterowy. W listach jest dość pogodny, ale być może kłamie, tak jak ja to robię pisząc do rodziny. W przeciwieństwie do mnie on ma powody do radości. W wieku osiemnastu lat dorobił się trzydziestu tysięcy dolarów, choć trochę musiał oddać na podatki, a jego dziewczyna zdobyła pracę w paryskim oddziale „Time'u” i gdy tylko może, jeździ do Cannes, żeby się z nim zobaczyć. Wesley pisze też, że dużo gra w tenisa i przypuszcza, że teraz potrafiłby mnie pobić. Ja nie miałem w ręce rakiety od czasów Juan-les-Pins.

Policja nigdy się nie dowiedziała, jak brzmiało prawdziwe nazwisko George'a ani skąd pochodził. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że pewnego dnia podniosę głowę znad biurka i zobaczę Monikę. Śnię o niej ciągle, są to sny erotyczne i bardzo przyjemne, ale kiedy się budzę, jestem zdesperowany.

Billy przestał pisać, zmarszczył brwi. - Psiakrew - powiedział głośno. Wyjął kartkę papieru z maszyny i wraz z dwiema innymi włożył ją do dużej koperty, żeby zabrać do domu. Wstał, włożył marynarkę i miał już wyjść, kiedy wzrok jego padł na grubą kopertę przysłaną przez wuja z Cannes. Mogę to przeczytać teraz, pomyślał.

I tak musiałbym to kiedyś zrobić. Rozdarł kopertę. Była w niej kartka przypięta do wycinka z gazety, złożonego kilkakrotnie.

Druga kartka przypięta była z tyłu wycinka. „Przeczytaj ustęp zakreślony na czerwono - pisał wuj - a potem notkę po drugiej stronie.”

Billy ze znużeniem pokręcił głową. Zabawy, pomyślał...

To nie było podobne do Rudolfa. Zaciekawiony, usiadł przy biurku, żeby przeczytać wycinek pod lampą. W lewym górnym rogu wydrukowane było wersalikami: Marseilles, i mniejszą czcionką Page deux.

Kolumna zatytułowana „Faits divers” zakreślona była czerwonym ołówkiem.

„Mort d'un voyou”, przeczytał Billy. Jego francuski ciągle jeszcze był nie najgorszy.

Ostatniej nocy na nabrzeżu starego portu znaleziono ciało mężczyzny zidentyfikowanego później jako Janos Danovic, narodowości jugosłowiańskiej. Dostał dwa strzały w głowę. Wiadomo, że należał do milieu-na Côte d'Azur i w Marsylii, wielokrotnie był aresztowany za sutenerstwo i napady z bronią w rękę, chociaż nigdy nie został skazany za te przestępstwa. Policja przypuszcza, że to kolejny przypadek regulowania porachunków, jakie zanotowano w ostatnich tygodniach w Marsylii.

Billy wolno odłożył wycinek. Chryste, pomyślał. Rudolf musiał oszaleć, żeby wysłać coś takiego pocztą. Gdyby list się zgubił lub został przypadkowo otwarty, jakiś ciekawski drań mógłby się zainteresować, dlaczego doradca amerykańskiego senatora zajmuje się morderstwem zabójcy w Marsylii, i zacząć nieprzyjemne dochodzenia. Billy już miał podrzeć wycinek na drobne kawałki, kiedy przypomniał sobie notatkę na końcu, na odwrotnej stronie.

Odwrócił stronę i odpiął spinacz. „Spójrz na datę gazety” - pisał wuj. Billy spojrzał na górę strony. Była to pierwsza kolumna „Le Meridional” z datą: sobota, 24 października 1970. Danovic nie żył już przeszło sześć miesięcy przed powrotem Wesleya do Europy.

Billy oparł się łokciami o biurko i położył głowę na dłoniach.

Zaczął się śmiać. Śmiech stał się histeryczny. Kiedy wreszcie się uspokoił, podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę o numer Rhody Flynn. Kiedy odebrała telefon, powiedział:

- Hej, Rhoda, czy to przyjęcie u ciebie jeszcze trwa?

- Jeżeli możesz przyjść, to trwa.

- Już idę. Podaj adres.

Podawała mu adres, a Billy powiedział:

- Będę za dziesięć minut. Przygotuj mi mocnego drinka. Muszę się dziś napić.

Kiedy wyszedł z budynku „Tribune” i ruszył Michigan Avenue wypatrując taksówki, zdawało mu się, że jest śledzony. Odwrócił się i zobaczył dwie pary w odległości kilkunastu metrów za nim.

Może, pomyślał, byłoby dobrze, gdybym zapytał Rudolfa, czy ciągle ma ten rewolwer. Mógłby mi się przydać.

Wtedy zobaczył taksówkę, zawołał ją i pojechał na przyjęcie do Rhody Flynn.